

Przyłbice i kaptury

Rok 1408

Świeca zaczęła skwierczeć i przygasać. Ojciec Landulf wziął więc żelazne szczypce i przyciął knot. Stłumiony na chwilę płomień strzelił w górę złotym językiem i zrobiło się jaśniej.

Cień starca przesunął się po surowej, gołej ścianie komnaty, kiedy znów nachylił się nad trzymanym w rękach pismem.

„...a relikwię chcemy złożyć w darze Waszemu klasztorowi, jest to jeden z kamieni, którymi ukamienowano świętego Szczepana.

Sto pięćdziesiąt lat temu zakupił go Ludwik Święty od łacińskiego cesarza Baudouina de Courtenay i złożył w kościele Notre Dame. Obecnie, za zasługi w walce z pogaństwem, Jan Burgundzki, sam Nieustraszonym zwany, przesłał ten uświęcony kamień naszemu Zakonowi, a my z kolei Wam, jako wiernemu przyjacielowi tegoż Zakonu, zamierzamy go wręczyć.

Sądzimy, że zechcecie przybyć, by osobiście z naszych rąk ten dar odebrać, ku czemu czynimy przygotowania na dzień św. Zofii.

Dan w Malborku w dniu św. Teofila, Pańskiego roku 1408 po Chrystusie i podpisany własną ręką Waszego pokornego sługi Ulryka von Jungingen, Wielkiego Mistrza Zakonu NMP.”

Ojciec Landulf odłożył pismo i siedział przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w płomień, który znów zaczął przygasać. Potem chudym palcem podrapał się po nosie. Nieznaczny uśmiech ukazał się na jego suchej, starczej twarzy.

PO UROCZYSTEJ MSZY W KOŚCIELE na Wysokim Zamku, dar zamknięty w złotym puzdrze, został złożony przez Wielkiego Mistrza w ręce ojca Landulfa, opata klasztoru Cystersów w Oliwie.

Natychmiast po uroczystościach dwaj bracia zakonni dosiedli koni i w otoczeniu zbrojnych ruszyli w drogę powrotną, zabierając cenną relikwię. Sam ojciec Landulf, zmęczony uroczystością, z resztą swojego orszaku pozostał na zamku.

Maj tego roku był pochmurny i dżdżysty, toteż wieczerzę dla wskazanych przez wielkiego mistrza dostojników podano w zimowym refektarzu Średniego Zamku, gdyż jego ogrzewana podłoga chroniła przed zimnem i wilgocią.

Kiedy na stole pozostały tylko dzbany z winem, a służba opuściła salę, wielki mistrz osobiście nappełnił kielich opata i swój. Potem przesunął spojrzeniem po twarzach obecnych.

*Wielki komtur, Kuno von Lichtenstein, na wpół oparty bokiem o stół, odwzajemnił to spojrzenie.
Wielki szafarz, Albrecht von Schwarzburg, i*

prokurator Wormditt — poza nieobecny Tettingenem dwie najtęższe głowy Zakonu — rozmawiali cicho, nachyleni ku sobie. Marszałek Fryderyk Wallenrode oparł na dłoni łysiejcą, rudą głowę i bawił się pozostawionym na stole nożem. Ulryk zatrzymał wzrok na pergaminowej twarzy opata i odezwał się:

— Chcę z wami, ojczy, pogadać o tym i owym. Możemy mówić swobodnie, pozostali tu bracia znają trudności naszej służby w imieniu Krzyża tak jak ja sam.

Opat patrzył wyczekująco w twarz wielkiego mistrza.

Była to twarz o rysach ostro ciosanych, znamionująca męską siłę. Ciemne oczy o spojrzeniu pełnym wyniosłej dumy były mądre i przenikliwe. W chwilach dobrego nastroju świeciły w nich iskry humoru, w gniewie stawały się zupełnie czarne.

— Sytuacja staje się poważna — ciągnął Ulryk. — Wkrótce wyjeżdżam na objazd granicznych zamków, by sprawdzić, w jakim są stanie.

Po twarzy opata przesunął się cień niepokoju. Przechylił się do przodu, rzucając tylko jedno słowo:

— Wojna?

— Może i wojna... Wiadomości, jakie otrzymujemy, są coraz gorsze.

— Ależ przecież... — starzec zawahał się chwilę. — Z Kowna rozjechaliście się w przyjaźni, obdarowując się wzajemnie...

Ulryk prychnął pogardliwie. Schwarzburg i Wormditt przerwali szepty i zaczęli przysłuchiwać się rozmowie.

— Chcieli uspokoić nas podarkami! Udając, że wierzymy w ich dobre intencje, czyniliśmy to samo.

Opat pokiwał głową.

— Rozumiem. Czy jednak jest aż tak źle? Tyle już było z nimi sporów, a przecież do wojny nie doszło.

— Może i teraz nie dojdzie, ale musimy być na nią przygotowani. Obaj coś knują.

— Knuli zawsze — mruknął Wallenrode. — Ale od czasu Racięza to już nie tylko knucie...

Opat zwrócił głowę w stronę marszałka.

— ...lecz ciche przygotowania, by orężem wymusić nowe warunki.

— Tak... tak... — Ulryk westchnął z ubolewaniem. — A i obecnych nie dotrzymują zupełnie. Na Żmudzi, którą wówczas nam oddali, wciąż wre. Znów krążą tam Witoldowi podżegacze... Ale o niedotrzymanie przyrzeczeń obwiniają nas... Mój zmarły brat — Ulryk przeżegnał się — Panie, świeć nad jego duszą, rozzuchwiał swoją ustępliwością Władysława. Postanowiłem z tym skończyć,

tym bardziej że wiemy teraz, do czego dążą. Dzięki Świdrygielle dowiedziałem się rzeczy, których przedtem nie wiedziałem.

Wielki mistrz w miarę słów podniecał się i mówił coraz gwałtowniej:

— Żmudź chcę nam odebrać! Do tego doprowadziła polityka tego niedołągi Konrada!

Ojciec Landulf spojrział surowo na Ulryka.

— Przywołuję was do porządku! O zmarłym mówicie, a do tego o rodzonym bracie!

Wielki mistrz zreflektował się, że staje się zbyt szczery, i odpowiedział z pokorą:

— Wybaczcie, ojcze, to ich obłuda tak mnie wzburzyła.

— Ulżyjcie sobie — mruknął cynicznie Kuno. — Zmarłemu to obojętne.

— W marcu zaś — ciągnął już spokojnie wielki mistrz — znów otrzymaliśmy wiadomości od tego opoja Świdrygiełły. Na Rusi zajądą ważne wydarzenia, pozwólcie, że przemilczę jakie. Witold będzie miał pełne ręce roboty, co da nam okazję, by rozprawić się z Jagiełłą. O ile Luksemburczyk nie zawiedzie, rozbierzemy Polskę, a co zostanie na wschodzie, niech się o to biorą za łby teść z zięciem¹.

— Witold nie domyśla się niczego? — spytał, mimo woli ścisząc głos, opat. — To zbyt wielkiej miary człowiek, by wplątać się pochopnie w nieporozumienie z Moskwą.

— On chce mieć Żmudź. Polska mało go obchodzi. Chce stworzyć swoją dynastię i pozostawić następcy Litwę silną i nieokrojoną. Ale rozumie, że swój cel może osiągnąć tylko przy naszej pomocy, nie Polski. Za tę pomoc musi jednak zapłacić Żmudzią. I to jest orzech, który próbuje rozgryźć: jak wykręcić się od tak wysokiej zapłaty.

1 — Wielki książę Witold i jego zięć, książę moskiewski Wasyl.

Wielki mistrz urwał na chwilę i sięgnął po kielich. Upił nieco wina i ciągnął dalej:

— Dlatego chce doprowadzić do wojny między nami a Polską. Bez względu na to, kto ją wygra, obie strony będą słabe i przestaną być niebezpieczne. To rozwiąże mu ręce. I dlatego z jednej strony pcha Jagiełłę do tej wojny, a z drugiej ugodową polityką w stosunku do Zakonu chce nas przekonać, że z jego strony nic nam nie grozi.

Ale już teraz robi wszystko, by Żmudź od nas oderwać — mruknął Wormditt. — Ostatnie listy Kuchmeistera mówią o najeździe litewskich kupców. Wiemy, co to znaczy...

— Wiemy — zgodził się Ulryk. — Jednak pozornie Witold umywa ręce od Żmudzi i proponuje pomoc, jeśliby doszło do zamieszek.

— A wasze decyzje?

— Na razie zabroniłem Żmudzi wszelkich stosunków z Litwą. Granica ma być całkowicie zamknięta. Żadnych gości stamtąd, handlowych czy rodzinnych. Już pierwszych przybyszów po tym zakazie Kuchmeister kazał powiesić.

— Zatem grozą tam nowe zamieszki?

— I wójt, i Świdrygiełło ostrzegają nas przed tym, ale usadowiliśmy się tam mocno. Ludność trzymamy krótko, a wszelkie próby powstania zduszają załogi zamków.

— Ale... — opat zawahał się — nie bardzo rozumiem... Skoro wiecie, że wasza wojna z Polską leży w planach Witolda, dlaczego nie staracie się jej uniknąć?

Ulryk uśmiechnął się lekko.

— Uniknąć? A po co, skoro mamy przewagę? Poza tym dla nas wojna z Polską jest konieczna, bo tylko Polska jest zaporą przeciw dalszemu rozwojowi Zakonu. Dopóki jej nie pokonamy, jesteśmy skazani na dreptanie w miejscu. Nasza dalsza droga prowadzi na wschód. Z silną Polską pod bokiem nie ruszymy ani na krok. Nie chcę — Ulryk skrzywił pogardliwie usta — pocieszać się drobiazgami, ziemią dobrzyńską czy tym krecim kopcem — Drezdenkiem. Jeśli spieramy się o niego, to nie dla korzyści, jakie przynosi. Wolne drogi handlowe na zachód zdołamy zachować i bez tego. Von Ost mógł sobie być hołdownikiem Polski do sądnego dnia. Ale nie chcemy

dopuścić, by spory przygasły. Zarzewie musi się tlić, by w odpowiedniej chwili płomień wybuchnął.

Jednak opat Landulf nie wydawał się całkowicie przekonany, bo nuta wahania pojawiła się w jego głosie, kiedy przemówił:

— Ale Polska to jeden z najsilniejszych krajów. Nawet Zygmunt nie chce występować zbyt otwarcie przeciw Jagielle. Bądźcie ostrożni...

Wielki mistrz zmarszczył brwi. Oczy mu pociemniały, a na twarz wystąpił rumieniec gniewu. Chwytał za nóż, którym bawił się Wallenrode, i z rozmachem wbił go w dębowy blat stołu.

— Nie gadaj mi bredni! I dęby razi żelazo!

— Macie rację, ojczu — wtrącił pojednawczo Wormditt dla złagodzenia ostrych słów Ulryka. — Ale nie zapominajcie, że to nie Polska, lecz nasz Zakon jest dziś największą potęgą Europy! Nie tylko w Polsce, ale w żadnym innym kraju nie znajdziecie takich zasobów, tak licznych i warownych zamków, tak wyszkolonego i bitnego wojska, organizacji i porządku.

— I takiego rozeznania, co się dzieje u innych — dorzucił półgłosem Schwarcburg. — To oni, nie my, powinni się bać wojny!

Ulryk znów zabrał głos, ale teraz mówił spokojnie:

— Otóż to, ojczu. Poniechajcie więc obaw. Załatwimy się z Polską!

A musimy to wreszcie zrobić, bo, jak powiedziałem, jedyna to przeszkoda na drodze do dalszego rozwoju Zakonu. Nadchodzi pora, by wreszcie zapolować na te dwa lisy, Jagiełłę i Witolda!

Sięgnął po kielich, znów upił parę łyków i z brzękiem odstawił go na stół.

Wallenrode roześmiał się cicho. Był to śmiech pełen zajadłej, pogardliwej nienawiści. Zabrzmiał tak niesamowicie w ciszy, jaka nastąpiła po słowach Ulryka, że ojciec Landulf wzdrygnął się i mimo woli szybko przeżegnał. Zakonni rycerze wymienili między sobą kpiące spojrzenia.

— Cóż zatem ode mnie chcecie? — spytał zgnębiony, przechylając się na oparcie krzesła.

— Abyś i ty, dostojny ojcze, dopomógł Zakonowi w jego trudach nad przygotowaniem zwycięstwa.

Opat Landulf przypomniał sobie niektóre z tych myśli, jakie go naszły przy czytaniu listu, ale tym razem nie uśmiechnął się do nich. Spojrzał starczymi, wyblakłymi źrenicami w ciemne oczy wielkiego mistrza i powtórzył pytanie:

— Cóż zatem chcecie?

— To ci powie brat Kuno.

Opat zwrócił wzrok na wielkiego komtura. Ten złożył ręce przed sobą na blacie stołu i jakiś czas przyglądał się im z opuszczoną głową. Wreszcie wyprostował się i spojrzał w oczy ojca Landulfa.

— Brat Albrecht rzucił tu parę słów, do których chcę nawiązać. Nasze rozeznanie tego, co dzieje się na obcych dworach, jest istotnie bardzo dobre. Odnosi się to również do dworów Witolda i Jagiełły. Ale tu sprawa jest inna. Jak słyszeliście od wielkiego mistrza, czeka nas rozprawa orężna. Stąd wynika, że choćby to nasze rozeznanie było najlepsze, zawsze go jest za mało. My musimy wiedzieć nie tylko, co ci dwaj zamierzają, ale co jedli na obiad i wieczerzę, z kim sypiają w podróży, a nawet jakie mieli sny...

— A zatem?

— Zatem reprezentujecie zakon, który i w Polsce ma swoje klasztory. Siedzą cystersi w Mogile, Jędrzejowie, Wąchocku, Koprzywnicy, Sulejowie, Paradyżu. Znać zwyczaje i przepisy swego zakonu lepiej niż my. Waszą sprawą więc będzie znaleźć pozór, ale dobry, by rozesłać po tych klasztorach swoich braci. Muszą tam osiąść i patrzeć, co się dzieje wokoło nich.

— Muszą więc być piśmienni?

— Lepiej, aby byli. I nie mogą wiedzieć jeden o drugim. A całą sprawę, o czym chyba nie muszę wspominać, powierzamy wam pod pieczęcią tajemnicy. To wszystko, o co was prosimy, nie mówię: żądamy. Ale że przysługa to dla nas ważna, jak za ważną klasztor zostanie wynagrodzony. Chcecie, ojcze, jeszcze o coś spytać?

Wielki komtur znów uniósł jasnyniebieskie, zimne jak lód oczy na opata. Patrzył na niego badawczo i wyczekująco. Ten pochylił się nad stołem.

— Rozumiem, że chcielibyście, aby wyruszyli natychmiast. Ale chyba nie wszyscy razem? Zwróciliby na siebie uwagę. A i w moim klasztorze jednoczesne odejście kilku braci wywołałoby poruszenie...

Wielki komtur opuścił powieki, by nie zdradzić zadowolenia. A więc ich gość nie zaprotestował. Liczyli się bowiem z oporem, kiedy jeszcze w zimie rozważali tę sprawę i obmyślali środki nacisku. Na szczęście stały się zbędne.

— Macie słuszość. Należy ich wysłać kolejno i wydać zakaz wyjawiania, skąd są. Niech mówią, że przybyli z Niemiec, Czech, Węgier, a

nawet Italii, ale zawsze tak, by mnich znał naprawdę kraj, który poda za miejsce dotychczasowego pobytu.

— Jak mają przekazywać wiadomości?

— Podacie nam ich imiona, ze wskazaniem miejsca, dokąd zostali wysłani. Co jakiś czas odwiedzi ich nasz specjalny wysłannik. Hasłem, po którym go rozpoznają, będą słowa: „Chwała Marii, która depce węża”. Mają mu odpowiedzieć: „A biada węzowi”.

— Zapamiętam je.

Lichtenstein lekko skinął głową.

— A więc to wszystko. Gdybyście w przyszłości chcieli dalszych wskazówek albo porady, piszcie naszą pocztą osobiście do mnie.

Znów zabrał głos Ulryk:

— Cieszę się, czcigodny ojcze, że nie odmówiliście nam pomocy.

Jak powiedział brat Kuno, nie zapomnimy wam tej usługi. Teraz jeszcze jedna, nieznaczna już prośba. Chcę, abyście wysłali pismo do swego starego przyjaciela...

— Którego? — rzucił z ożywieniem opat.

— Tego, który jest domowym kapelanem u wdowy po Jakubie z Sośnicy. Siedzi ona w swoim dworze pod Lublińcem.

— Macie na myśli brata Egona?

— Właśnie.

— Cóż mam pisać do niego? — spytał opat Landulf nie bez nuty niepokoju w głosie. — Chroni mnie, Boże, abym czymkolwiek miał go zasmucić!

Ulryk uniósł dłoń uspokajającym gestem.

— Nie ma o tym mowy. Będzie to z waszej strony tylko przysługa. Jeśli nie dla niego samego osobiście, to dla bliskich, których ma w Krakowie.

— Przysługa? Co macie na myśli? — głos opata był już spokojniejszy.

— Muszę wam zdradzić coś niecoś z naszych wojennych planów. Po rozbiciu polskich sił, bo litewskie — jak przypuszczam — w ogóle nosa z lasów nie wysuną, ruszymy od razu na Kraków. Po zdobyciu miasta mam zamiar wydać je na dzień, dwa naszym wojskom do zabawy. Jeśli więc ma on bliskich w Krakowie, a my wiemy, że ma, niech zawczasu stamtąd umkną, zwłaszcza młode kobiety.

— A Sośnica? Czy uważacie, że tam będzie bezpiecznie?

— Lubliniec należy do jednego z synów Naderspana, Bernata z Falkenbergu. Opolczyk był do śmierci naszym przyjacielem, toteż ziem jego synów nie ruszymy. Tym bardziej że podległe są czeskiej koronie, co mogłoby poróżnić nas z Wacławem.

— A dlaczegoż to raptem troszczycie się o młode kobiety? — zapytał z naiwną szczerością ojciec Landulf.

Ulryk uśmiechnął się w odpowiedzi na te słowa, ale odpowiedział poważnie:

— Dajemy szansę ocalenia przyjaciołom naszych przyjaciół. Sobie zaś zachowujemy przyjemność siania zamętu i strachu pośród naszych wrogów.

Kpiący uśmiech Lichtensteina skryła broda, toteż ojciec Landulf go nie zauważył. Uspokojony zupełnie, oparł dłonie na poręczach krzesła i wstał.

— Zostańcie z Bogiem! Idę spocząć, bom zmęczony, a do brata Egona napiszę jutro rano.

W ZAKRĘCIE RZEKI, otoczona mrocznym borem, rozciągała się obszerna polana. Porastał ją tu i ówdzie kilkuletni młodziak, co wskazywało, że została wytrzebiona ręką człowieka, a później z jakichś przyczyn porzucona. Bór po drugiej stronie rzeki dochodził do samych jej brzegów.

Obronność miejsca — bo ciasny skręt rzeki dawał z trzech stron ochronę — została wykorzystana do budowy gródka.

Na koronie wału usypanego z ziemi świeciły w słońcu świeżo ciosane bale. Wał ujęty został w potężne, dębowe kłody, a wieńczącą go palisadę stanowiły ostro zakończone pale. Brakowało jeszcze w fosie wody, przerzucony przez nią pomost był prowizoryczny, sama palisada też nie była skończona, ale zabudowania widniejące poza nią robiły wrażenie gotowych. Rzucił się przede wszystkim w oczy obszerny dom mieszkalny, kryty dartymi gontami. Ze względu na oszczędność obwarowanego terenu budynki gospodarskie otaczały go zwartym półkolem.

Polanę przemierzało parę wołów ciągnących potężną kłodę drzewa. Z głębi lasu dochodził w ciszy letniego dnia miarowy łoskot siekier. Odpowiadał im z podwórza stuk topora ciosającego wielki bal leżący w pobliżu wznoszonej palisady. Topór miarowo podnosił się i opadał, za każdym razem błyskając refleksiem słońca, ślizgającym się po jego szerokim ostrzu.

Pracujący mężczyzna był wysoki i smukły, ale szeroki w ramionach. Stał nad balem nagi do pasa i brzozy od słońca, chroniąc przed nim głowę słomianym kapeluszem.

W drzwiach domu ukazała się młoda kobieta i, mrużąc oczy, usiłowała przyzwyczaić wzrok do słonecznego blasku. Na ciemnym tle sieni jej sylwetka rysowała się jasną plamą. Płócienna koszula

rozpięta u szyi ledwo osłaniała strome piersi, a suto fałdowana spódnica do kostek nie zdołała ukryć smukłości bioder. Jej śniadą twarz o delikatnych rysach rozświetlały wielkie ciemne oczy, pełne niepokojącego uroku.

Podeszła do pracującego mężczyzny.

— Ben, zawołaj ludzi, zaraz będzie obiad.

Mężczyzna wyprostował się i zsunął kapelusz na tył głowy. Spojrzał na kobietę i uśmiechnął się:

— Tych nie trzeba wołać! Do pełnej miski nie spóźniają się nigdy!

Woły ciągnące kłodę minęły prowizoryczny pomost na fosie i zbliżały się z wolna. Idący obok nich chłopiec trzepnięciem gałęzią po nozdrzach zmusił zwierzęta do skręcenia w bok, by przyciągnięty pień ułożył się na właściwym miejscu. Potem odpiął orczyk i zawiesił go na jarzmie.

— Prowadź do stajni — rzucił mu mężczyzna. — Pora na obiad.

Kobieta ruszyła ku domowi. Benko odwrócił głowę i chwilę patrzył za nią, przetarł wierzchem dłoni spoczone czoło i gwałtownie wbił ciosło w obłą krągłość pnia.

W rok po ślubie przybyli tu, na tę rubież, którą też Rubieżą nazywano. Jeszcze jego ojciec, towarzysz wypraw księcia Ziemowita, zabity podstępnie opodal rodzinnego Chynowa przez zwaśnionych z rodem Szeligów jazgarzewskich Ciołków, otrzymał tu nadanie stu łanów ziemi wraz z leśną osadą dziesięciu dymów. Jednak prędko się okazało, że zbyt blisko biegła wtedy granica zakonnego państwa; jedna z wypraw, którą Krzyżacy w odwet za posiłkowanie Witolda robili na ziemie mazowieckie, zawadziła o Rubież, pozostawiając za sobą zgliszcza i pustkę.

Ale że Benko miał dość swoich złych sąsiadów Ciołków, pozostawił rodzinne gniazdo młodszemu bratu, a sam udał się do Płocka, by ubiegać się u księcia o potwierdzenie dawnego nadania Rubieży. Kiedy je uzyskał, przeniósł się tu, a pięć kmiecych rodzin nie rozstało się z nim, ruszając na nowe miejsce. Tych usadowił pół mili za rzeką, a sam z kilku ludźmi czeladzi

i niewolnych rozpoczął budowę nowego gródka, trzebienie lasu pozostawiając najętym drwalom, zwanym łazęgami, jako że wynajmowali się wędrując po kraju.

Zyta od początku dzieliła z mężem trudy tego życia. A nie były to tylko noce pełne wzajemnego sycenia się sobą, ale i twarda praca od świtu do zmierzchu.

W ciągu tych dwóch lat monotonię wpływających dni przerwała tylko jedna nieoczekiwana wizyta. Pewnego popołudnia pod koniec września ubiegłego roku podwórzec zapełnił się gośćmi. Było ich trzech, z trzema zbrojnymi pachołkami. Benko znał z nich tylko jednego, z czasów kiedy w Płocku oczekiwał na przyjazd księcia. Był to Wojśław z Zalesia, tak jak i on z rodu Szeligów, rycerz starosty płockiego, Mikołaja z Boszewa. Wojśławowi towarzyszyli Laurencjusz z Targowa, podsędek warszawski, i Andrzej z Lubrańca, włocławski proboszcz.

Zyta podała gościom naprędce sporządzony posiłek, bo pora obiadowa dawno minęła. Kiedy go spożyli, poprosili gospodarza o rozmowę.

Trwała ona godzinę, a skutkiem jej po pewnym czasie zaczął odwiedzać Rubież chudy, nieco przygarbiony człowiek, któremu z oczu patrzyła bojaźliwa przebiegłość. Kiedy przybył po raz pierwszy, podał, że nazywa się Ulik, a że wymienił ustalone hasło, Benko wiedział, o co chodzi.

Za każdym razem przywoził małą, podłużną puszkę sporządzoną ze zwiniętej w rulon kory. Nie bawił długo, tyle aby dać koniowi odetchnąć i samemu spożyć posiłek.

Po jego odjeździe Benko wzywał jednego z młodych parobków, a ten, bez względu na porę, siodłał konia i zabrawszy puszkę, ruszał natychmiast w drogę. Wracał dopiero po sześciu, siedmiu dniach, bo do Włocławka było przeszło dziesięć mil drogi.

ZA ROZWARTĄ OKIENNICĄ noc tchnęła parną ciszą. Nad czarnym pasem boru stała stroma ściana nieba, migając mrowiem rozsypanych po niej gwiazd. Wielki, żółty krąg księżycy rzucał na uśpiony las, otwartą przestrzeń polany i zabudowania osiedla widmową poświatę seledynowego blasku.

Ben i Zyta leżeli obok siebie w sypialnej komorze, jeszcze pełni przeżytego przed chwilą uniesienia, gdy z czarnej ściany lasu doleciało ich dalekie, przeciągłe wołanie puchacza.

Kobieta odwróciła głowę ku oknu.

— Ben... — szepnęła ledwo dosłyszalnie. Ponieważ nie odpowiedział, powtórzyła nieco głośniej:

— Ben, nie śpisz?

— Nie, miła.

— Ben, boję się...

Uniósł się na łokciu i nachylił nad nią.

— Boisz się? Czego?

— Nie wiem... Raptem naszedł mnie strach. Jakby zło szło od tego lasu.

— To noc tak działa na człowieka. Nocą złe ma swobodę i straszy ludzi. Przeżegnaj się i uśnij spokojnie, jestem przy tobie.

— Wiesz Ben, ja ten strach czuję nie pierwszy raz. Zjawia się i za dnia. Wówczas nie mogę sobie znaleźć miejsca. Chce mi się uciekać. Uciekać byle gdzie, aby jak najdalej...

Objął ją w pól i przyciągnął ku sobie.

— Przysuń się do mnie i odpędź złe myśli.

— Żebym tylko zawsze miała cię tak blisko...

— Czy może być inaczej? Przecież wiesz, jak cię miłuję...

— To dobrze... — Przytuliła się do męża. — Już chyba teraz zasnę. Jakiś czas panowała cisza, potem znów gdzieś z dala odezwał się żałosny zew puszczyka.

— A jak będzie wojna? Ludzie wciąż o niej mówią — szeptem spytała Zyta.

— Jak nadlecą wici, trzeba będzie iść! Takie prawo i obowiązek męża.

— Wtedy mnie odejdiesz...

— Ale da Bóg, wrócę...

— Niech lepiej da, by nie było wojny.

— Nie trap się zawczasu. Nikt swemu losowi nie ujdzie. Odpowiedziało mu już tylko westchnienie kobiety i złowieszczy głos puchacza z mroków nocy.

Dunin ze Skrzynna, kanonik krakowski, a dziekan kielecki, bakalarz świętej teologii, wolnym krokiem zmierzył ku domowi. Spiętrzone, surowe bloki zamkowych budowli, które pozostawił za sobą, zdawały się być ogarnięte pożarem, tak intensywna była czerwień zachodzącego słońca.

Ksiądz Dunin przystanął, gdyż zagroziło mu drogę stado krów. Kanonik czekał cierpliwie. Nie było mu spieszno. Odczytywanie nadeszłych pism,

układanie konspektów, potem szlifowanie ich treści — właściwy dobór słów i umiejętna nimi żonglerka mówiły o dobrze opanowanym rzemiośle — były pracą wyczerpującą, toteż w letniej porze spacer do domu stanowił cenny wypoczynek.

Dom księdza Dunina, jednego z dwóch głównych sekretarzy podkanclerza Trąby, stał niedaleko Zamku, przy ulicy Kanonicznej. Ulica była cicha, pełna sadów i warzywnych ogrodów, o domach okolonych zabudowaniami gospodarskimi. Posesje te stanowiły własność duchownych. Nie było tu kramów i hałaśliwych warsztatów rzemieślniczych, pełnych gwaru, stuku młotów i młotków, swarów kłócących się czeladników i rubasznym wymyślań kupujących.

W dali, za Okolem, piętrzyły się domy miasta, a szereg baszt obronnych murów w miarę odległości roztopiał się w wieczornej poświacie. Ich stożkowe dachy wyglądały teraz jak języki znieruchomiłych płomieni.

Odezwały się pierwsze sygnały trębaczy z wież bramnych.

Stado krów przeszło i ksiądz ruszył dalej. Rozpoczynająca się ulica pełna była jam i wyboi. W miejscach najtrudniejszych do przebycia — zwłaszcza w porze słońca, kiedy błoto sięgało po kolana — leżały pomosty z okrągłych bierwion, zamocowane po brzegach wzdłużnymi balami. Latem jednak bez kłopotu można się było dostać do domu.

Dunin szedł wolno, bo spieszyć nie miał już do kogo. Z chwilą wyjazdu Uny dom stał się pusty. Ona wypełniała go sobą, stanowiła jedyną radość życia, pociechę dla oczu i serca. Była tą bliską istotą, która w samotnym życiu księdza pozwalała zaspokajać głód kochania.

Trudno teraz przychodziło staremu człowiekowi głużyć tęsknotę. Brakowało mu w domu głosu siostrzenicy i jej żartobliwych przekomarzań, śpiewu, a nawet ostrych słów, których nie szczędziła w chwilach gniewu.

Również jak ksiądz markotna chodziła Aniela. Nie mówiła nic — on też nie zwierzał się jej ze swoich myśli — ale nie darmo gospodarzyła mu od trzydziestu lat. Znali się dobrze.

Una wyjechała trzy tygodnie temu, w dzień świętego Marka. Kolasę z Sośnicy przyprowadził władarz z dziesięcioma ludźmi orszaku. Przywiózł ze sobą list, w którym stary ksiądz Egon, kapelan i rezydent siostry, pisał w jej imieniu, prosząc o wyprawienie Uny do Sośnicy pod opieką przysłanego pocztu.

To nagłe wezwanie ksiądz Egon tłumaczył wiadomościami, jakie otrzymał z zakonnego państwa. Podobno groziła bliska już wojna, nawet Kraków nie był bezpieczny.

To było powodem, że matka Uny, wdowa po kasztelanie lublinieckim, siostra księdza Dunina, wzywała córkę do siebie.

Rozdrażniony listem i bezkrytyczną decyzją Anny wybuchnął gniewem. Wojna, nawet jeśliby miała przyjść (znał przecież dobrze treść ostatnio krążących listów), nie wisiła nad głową, a cóż dopiero mówić o zagrożeniu samego Krakowa! O możliwościach wojny mówiło się, owszem, nawet sam podkanclerzy w poufnych rozmowach ze swoim najbliższym otoczeniem, do którego i Dunin należał, o niej wspominał, ale przecież od słów do obnażenia mieczy droga daleka!

Czy tego rodzaju wersje krążą po malborskim zamku? Bo stamtąd przecież przyszła wiadomość...

Takie w każdym razie pytanie postawił ksiądz Andrzej, któremu Dunin następnego dnia pokazał list. Przeczytał go uważnie, po czym położył przed sobą na stole i zamyślił się. Wreszcie, zwracając go, dodał tylko parę słów:

— Zamek malborski to kuźnia kłamstw. Ale dlaczego tym razem rozsiewają wieści o wojnie? Hm... no, dziękuję... To jest ciekawy list.

Dunin nie bardzo rozumiał wówczas, a i teraz nadal nie rozumiał, co miał na myśli ksiądz Andrzej, mówiąc, że list jest ciekawy. Zresztą proboszcza trudno było czasami zrozumieć, mimo że wyrażał się zwięźle. A może właśnie dlatego, że przez tę zbytnią zwięźłość wypowiadał tylko część swoich myśli?

Zresztą Duninowi zawsze dziwny wydawał się szczupły, siwiejący już na skroniach proboszcz Andrzej, którego lekko skośne oczy spoglądały uważnym, przenikliwym spojrzeniem.

Często mówiono na Zamku o proboszczu Andrzeju, ale zawsze szeptem i oglądając się uprzednio na strony. Podobno był kiedyś znakomitym rycerzem, nie wiadomo jednak, jakie powody skłoniły go do zmiany pancerza na duchowne szaty. W czasie przygód wojennych musiał być ranny w nogę, bo idąc, trochę utykał i chętnie przez to postugiwał się laską. Respekt, a nawet pewien strach, jaki nie wiadomo czemu wzbudzał swoją osobą, nie zbliżał do proboszcza ludzi, ale był on najbliższym kanclerzowi Trąbie człowiekiem, przed którym ten dostojnik nie miał podobno sekretów. Ta pozycja wyróżniała go spośród członków królewskiej kancelarii, był też pierwszym i jedynym

poza kanclerzem odbiorcą tajnej poczty. Przechodziła ona przede wszystkim przez jego rękę.

Ksiądz Dunin wrócił myślą do tematu bliższego sercu. Znów czeka go samotny wieczór, który jak zwykle trzeba będzie wypełnić Boecjuszowymi Pocięciami filozofii.

Matka miała tu jednak prawo decyzji, a odległość nie pozwalała na dyskusję. Dziewczyna spakowała się w dwa dni, a na trzeci wsiadła do kolasy i otoczona zbrojnymi ruszyła w kilkudniową drogę. Dzięki pobytowi w jego domu nabrała edukacji — w tym właśnie celu przyjechała do Krakowa — i nauczyła się sztuki pisania. Być może nadarzy się okazja i któryś z kupców przywiezie list od niej. Obiecała mu to solennie.

Dziekan przerwał rozmyślenia, gdyż znalazł się już przed swoim domem.

Po uderzeniu kołatki drzwi otworzyły się niemal natychmiast, jak gdyby czekano na jego przybycie. Istotnie dwunastoletni Grzymek, który mu otworzył, zawołał zaraz od progu:

— Księżę dobrodzieju, jest posłaniec z Sośnicy!

— Dawaj mi go zaraz na górę!

Odepchnął gwałtownie żelazną kratę, która zagradzała schody, i żywo, jakby mu ubyło dwadzieścia lat, wbiegł na kamienne stopnie.

Kiedy znalazł się w swojej komnacie, nie zdążył jeszcze zrzucić kaftana, a już drzwi uchyliły się i na progu stanął krępy mężczyzna lat około trzydziestu, o włosach opadających na ramiona i opiętych miedzianą przepaską. U nabijanego blachami pasa zwiisał krótki mieczyk.

— Pochwalone Imię Pańskie. Czy z wielbnym Duninem mówię?

— Z nim samym! — rzucił porywczo ksiądz. — A ty kto jesteś? Z Sośnicy! List masz?!

Pytania padały jedno po drugim, zdradzając niecierpliwość księdza.

— Jestem Radomir z rodu Jarota. Przybyłem wprawdzie od waszej siostry z pismem, ale już dowiedziałem się od służby, że podobno Unisława wyjechała stąd trzy tygodnie temu...

— Jak to podobno...? Co wy mówicie?!

Ksiądz cofnął się gwałtownie. Jego oczy, wpatrzone w gościa, rozszerzały się z wolna.

Rycerz odpowiedział, jak gdyby chodziło o rzecz zwykłą. Dziewczyna na miejsce nie dotarła. Oto list. Sięgnął w zanadrze i wydobył złożony papier.

— Wielmożna Anna wysłała to pismo niespokojna, dlaczego mimo wezwania córka nie przybywa? Przestraszyła się, że chora. Podjąłem się więc podróży, aby to wyjaśnić.

— Nie rozumiem... Nic nie rozumiem... Przecież... Myślałem, że już dawno jest na miejscu! — Dunin machinalnie odebrał list i równie machinalnie odłożył go na stół. Potem osunął się na krzesło, czując, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

— Co robić, Radomirze? Na Boga, poradź coś! Ja nie mogę skupić myśli!

— Co można zrobić, wasza wielbność, jeśli wyjechała przed trzema tygodniami? Co miało się stać, to już się stało...

— Już się stało... — powtórzył cicho Dunin, spoglądając w stronę drzwi, gdyż weszła Aniela ze świecznikiem. Postawiła go na stole i wyszła bez słowa.

Dziekan patrzył za nią pustym wzrokiem, jakby zdziwiony jej spokojnym zjawieniem się i odejściem. Potem obrócił się do rycerza.

— Ale co mogło się stać? Przecież miała asystę, dziesięciu zbrojnych, jak do bitwy. Na śląskim trakcie ostatnio nie słyszało się o napadach...

— Od Krzeszowic trakt idzie borem. Lasy ciągną się niemal aż po Piekary — mruknął Radomir. — Ale tak sobie myślę — zawahał się chwilę — czy nie spotkała się tutaj z kimś? Może upatrzył ją sobie i porwał?

— Ee! — rzucił opryskliwie dziekan, machnąwszy ręką. — Głupstwa mówisz! Dziewczyne te rzeczy nie były w głowie! A co z ludźmi z orszaku? Czyż porywając dziewczynę, wybiłyby wszystkich do nogi? Czy nie byłoby komu mnie powiadomić?

— Słusznie. Ale że orszak napadnięto, to nie ulega wątpliwości!

— Być może... — zgodził się po chwilowym wahaniu Dunin. — Jeśli jednak byli to zbóje, to po zabiciu zbrojnych ukryliby dziewczynę i żądali okupu, bo pieniądz jest im bardziej łakomy niż ona sama. Zwyczajnie tak czynią ze znaczniejszymi podróżnymi.

Dunin kończył wypowiedź coraz żywszym tonem, gdyż zaczęła mu świtać nadzieja. Zgasła ona jednak szybko po następnym pytaniu rycerza.

— I dotąd go nie zażądali? Po trzech tygodniach? Czy was to nie dziwi?

Dziekan opuścił głowę z rezygnacją. Odezwał się po chwili cicho, jakby do siebie.

— Tak... To prawda... Ale może jeszcze się zgłoszą... Wówczas zapłacę, zapłacę każdą cenę...

Raptem wyprostował się.

— Słuchaj! Że też o tym nie pomyśleliśmy! Może żądanie okupu poszło do Sośnicy!

— W ciągu tych kilku dni mojej podróży? Oby tak było! Teraz zaś już późna pora, pozwólcie więc, że zdrony pójde do swojej izby. A i wam radzę spocząć. Rankiem jaśniej się widzi.

— Rankiem poruszę cały dwór! — rzucił z nagłą energią Dunin. — Ubłagam jego dostojność kanclerza, by przedłożył sprawę wojewodzie! Jaśko nie odmówi mi pomocy! Cały poczet wraz z kolasą nie mógł przecież zapaść się pod ziemię!

JEDNAK NAJBLIŻSZA PRZYSZŁOŚĆ okazała, że chyba tylko tak mogło się stać. Stwierdzono, że na pierwszy nocleg orszak zatrzymał się w Krzeszowicach, a potem wszelki ślad po nim zaginął. Poszukiwania nie dały rezultatu. Nie znaleziono ani kolasy, ani żadnego z ludzi, żywego czy martwego. Nic, najmniejszego śladu, ani kawałka broni, odzieży czy choćby sprzączki od uprzęży.

Na domiar złego wkrótce potem przybył drugi goniec od zrozwalonej matki z zapytaniem, dlaczego Radomir nie wraca i co się stało z córką. Zatem zgasła nadzieja, że żądanie okupu poszło do Sośnicy. Trudno jednak powiedzieć, co było lepsze? Rozpacz nieświadomości czy wyjaśnienie sytuacji, które nastąpiło.

Pewnego ranka, wkrótce po wyjeździe Radomira, obudziło księdza Dunina potrząsanie za ramię. Siadł raptownie na posłaniu. Przed nim stała Aniela.

— Ktoś chce z wielbnością mówić — powiedziała poufale. — Nie chce czekać.

— Kto taki? Czy z Zamku?

Stara kobieta wzruszyła ramionami.

— Kto go tam wie! Chyba nie. Dobrze mu z oczu nie patrzy.

Ksiądz stanął na nogi i przetarł dłonią twarz.

— Dobrze. Niech wejdzie.

Stara kobieta wyszła, a po chwili rozległo się odmierzane stąpanie wspinających się po schodach nóg. Kroki ucichły pod drzwiami, które się zaczęły uchylać.

Przybysz miał na sobie szarą opończę z kapturem nasuniętym na głowę. Jego cień krył suchą twarz o zapadłych policzkach. Połyskiwały w nim oczy o badawczym spojrzeniu, na ustach, wąską, długą szramą rozcinających policzki, błąkał się lekki uśmiech.

— Z czym przybywasz, bracie? — rzucił ksiądz zaintrygowany osobą gościa.

— Z wieścią.

Przybysz rzucił tylko to słowo i ruszył od drzwi. Nie zwracając uwagi na gospodarza, bezceremonialnie przemierzył komnatę, zbliżył się ku sypialnej alkwie, zajrzał do jej wnętrza, po czym dopiero obrócił się do obserwującego go księdza.

— Z wieścią, wasza wielbność — powtórzył.

Stał teraz tyłem do okna, rysując się na jego tle ciemnym kształtem spiczastego kaptura.

Myśląc tylko o jednym, pełen tylko jednej troski, ksiądz rzucił z nagłą nadzieją w głosie:

— Czy... od niej...?

Przybysz lekko skinął głową.

— O niej.

— Mówże więc, człeku, prędzej! Gdzie jest! Co się z nią stało?!

— Jest żywa i ma się dobrze.

— *Ale gdzie? Na Boga! Mówże prędeż!*

— *Niestety, tego nie wiem. Polecono mi tylko, aby wam powiedzieć, że jest żywa i jak dotąd nic jej nie grozi.*

— *Polecono? Któż zatem jest twoim panem?*

— *Zakon Najświętszej Maryi Panny.*

— *A więc to Zakon...?*

— *Tak, to Zakon ujął waszą siostrzenicę.*

— *Przyznajesz to tak otwarcie?!*

— *Bo musicie to wiedzieć. Czekaliśmy jednak z tą wiadomością, aż pościg stanie się daremny.*

Dziekan usiadł ciężko na krześle.

— *A więc to Zakon... — mrucał na poły do siebie, nie zwracając uwagi na ostatnie słowa przybysza.*

— *To wy ją porwaliście... Że też nie pochłonie was ogień piekielny! A więc chcecie okupu...? Wiele?! — zerwał się raptownie, znów wzburzony. — Ale biada wam, jeśli ją tkniecie!*

Przybysz przez chwilę spoglądał na drżącego z gniewu księdza. Wreszcie odezwał się spokojnie:

— *Opanuj się i odzyskaj spokój. Będzie ci potrzebny, by dobrze zrozumieć, co ci powiem.*

— *Nie chcę twoich rad! Chcę znać cenę za dziewczynę, to wszystko!*

Przybysz wolno skłonił głowę.

— *Po to właśnie tu jestem, by ją podać. Ale nie chcemy pieniędzy.*

— *Czegóż więc chcecie?*

— *Abyś wykonał nasze polecenie.*

— *Polecenie? Co za polecenie możecie mnie dawać?*

— *Chcemy znać treść pism, jakie wymieniają między sobą Jagiełło i Witold.*

— *Co?!!!*

Dziekan pochylił się do przodu i znieruchomiał w tej pozycji, nie odrywając pełnego przerażenia wzroku od postaci przybysza. Wreszcie oprzytomniał.

— *Jak... jak śmiesz! — krzyknął i postąpił krok ku niemu.*

Gość ciągnął jednak dalej, jak gdyby nie spostrzegając reakcji spowodowanej jego słowami:

— Po roku, jeśli dobrze będziesz wykonywał swoje zadanie, dziewczyna wróci zdrowa. To ręczy ci Zakon całą swoją powagą i mocą. Poza tym mam cię ostrzec, byś nie próbował nas zdradzić, oszukać lub czegoś zataić. Mamy możliwość sprawdzenia, czy jesteś rozsądny. Wiedz o tym.

W miarę zdań odmierzanych cichym głosem rosło przerażenie w oczach Dunina. W pewnej chwili rzucił się ku przybyszowi i złapawszy go oburącz za opończę, począł nim potrząsać.

— Ty... Ty psie! Zdrady żądasz ode mnie?! Zdrady?! Chcesz, abym oddał duszę diabłu, abym, potępiony jak Iskariota, upadł na samo dno piekła?!

Przybysz ujął nadgarstki trzymających go rąk i jednym szarpnięciem uwolnił się od nich.

— Po co te puste słowa? — rzucił z szyderczym uśmiechem. — Zostaw je dla swoich owieczek...

— Nigdy mnie do tego nie zmusicie!

— Czyżby? Zastanów się... — Gość ujął za brzegi opończy i otuliwszy się nią, zrobił parę kroków ku drzwiom. — Gniew przesłania ci rozsądek. Myślisz o sobie, a zapominasz o dziewczynie.

Dunin oparł się o stół i ciężko dyszał. Na te słowa raptownie uniósł głowę.

— Jak to zapomniałem? O czym ty mówisz?

— Czy muszę ci wyjaśniać? Twoja odmowa przesądza jej los.

— Co... co zamierzacie?

— Powiedziano mi tak: „Jeśli odmówi, ostrzeż go, że dziewczyna pójdzie do zamtuza”.

— Do zamtuza... O szatany! Do zamtuza...

Dunin osunął się na krzesło i trzęsącą się głowę oparł na rękach. Przybysz stał w pobliżu drzwi, przyglądając mu się z obojętną twarzą. Odezwał się dopiero po chwili:

— Rozważ sobie teraz wszystko dobrze. Mnie już więcej nie zobaczysz. W piątki spowiadasz w zamkowej katedrze. W czasie najbliższej spowiedzi uklęknie przy twoim konfesjonale człowiek, który powie: „Czarna jest noc, ale świt zawsze po niej przychodzi”. Temu będziesz wręczał pisma. Nie musisz robić całych odpisów, tylko to, co ważne. I pisz drobno, by karteluszek mieścił się w dłoni. Jeśli nie usłuchasz, wiesz, co się stanie. A teraz zostań z Bogiem.

Nie patrząc już za siebie, przybysz cicho wysunął się za drzwi. Ksiądz Dunin pozostał sam, pogrążony w bezradnej rozpacz.

WIADOMOŚĆ OD DE RODERA, komtura Golubia, o ujęciu polskiego szpiega dotarła do Malborka „briefjungiem” w ciągu jednej doby. Ponieważ jednak Sonnenberg z Rakuz, specjalista od tych spraw, nie korzystał z rozstawnych koni poczty, przybył na miejsce dopiero po dalszych trzech dniach.

Ta zwłoka była zapewne przyczyną, że nie udało się ująć proboszcza z Lipnia. Już po drugim przypieczeniu uwięziony wyznał, że to od niego otrzymywał przesyłki, które następnie przewoził na drugą stronę granicy.

Kiedy po otoczeniu plebanii knechci wdarli się do środka, stara, trzęsąca się ze strachu gospodyni zeznała, że ksiądz właśnie wczoraj nagle wyjechał. Jednak mimo miażdżenia palców drzwiami nie umiała powiedzieć, dokąd się udał.

Zasadzka również nie dała rezultatu. Nie pojmano żadnego z polskich postrzegaczy, którzy, w myśl zeznania torturowanego Ulika (podał, że się tak nazywa), jakoby mieli po nocy przybywać na plebanię i przekazywać zebrane z terenu komturstwa wiadomości. Kim byli ci postrzegacze, Ulik nie wiedział.

Sonnenberg domyślił się, że jakiś umówiony sygnał dotyczył nie ostrzeżenia, lecz wolnej drogi. Po ucieczce proboszcza sygnału nie było i dlatego nikt się nie pokazał.

(Miał rację. Wstęp na plebanię był wzbroniony, jeśli nie palił się kaganek w okienku na poddaszu).

Niepowodzenie w wykonaniu polecanej misji wprowadziło brata Sonnenberga we wściekłość. Wziął więc z golubskiego zamku pięciu knechtów i kazawszy giermkowi przytroczyć do siodła koniec linki od skrępowanych rąk jeńca, ruszył w drogę.

Było już dobre popołudnie, kiedy Zyta skończyła wraz ze służebną dziewczką poobiednie porządki. Rada zabrała cebrzyk ze stawą dla świń i poszła do chlewa, Zyta zaś przysiadła na ławie, by nieco odpocząć. Benko wyruszył o świcie na polowanie i miał wrócić dopiero nazajutrz pod wieczór. Z obejścia nie dochodził więc żaden odgłos, a i drwale zapewne pracowali w innej stronie, bo od kilku już dni nie słyhać było ich nawoływań ani stukotu siekier.

Szeroki pas słonecznego blasku, ścielący się na bierwionach podłogi z otwartych na przestrzał drzwi od sieni i na podwórzec, oświetlał mrok komnaty.

Mimo to, siedząc w izbie, Zyta nie mogła dojrzeć jeźdźców, którzy o parę staj od gródka wynurzyli się z boru i zatrzymali nad brzegiem rzeki.

Jeniec mówił więc prawdę. Mieli przed sobą płyciznę brodu. Przez czysty nurt wody widać było piasek dna. Środkiem ciągnęła się piaszczysta łacha, a oba brzegi łagodną pochyłością schodziły ku rzece.

Sonnenberg, stojąc na czele oddziału, bacznie rozglądał się dookoła. Swój rycerski płaszcz z czarnym krzyżem, obrócony podszewką na wierzch, miał zawinięty i przytroczone do siodła, a skórzany kaftan i okrągły, otwarty z

przodu hełm oraz kolcze siatki knechtów nie mogły zdradzić, kim byli przybysze. Można ich było wziąć za zbrojny poczet polskich rycerzy, często spotykany w pobliżu granicy. Zatem ktoś, kto dojrzałby ich z gródka, nie mógł wiedzieć, kto są i skąd przybywają. Rycerz przerwał swoje rozważania i spojrzał na jeńca.

Stał on przy koniu Venta i ciężko dyszał po trudzie pieszego przedzierania się przez leśne chaszczce. Rycerz rzucił krótko:

— To tu?

Ulik, nie mogąc wydobyć głosu, skinął tylko głową. Wtedy Sonnenberg poszukał wzrokiem oczu Venta, po czym uniósł nieco dłoń i skierował kciuk ku ziemi. Giermek z uśmiechem sięgnął za siebie po

przytroczoną do czapraka włócznię. Zakręcił nią w powietrzu krótkie półkole, zdradzając tym ruchem wprawę w wyszkoleniu bojowym, i odchyliwszy nieco ramię, gwałtownie wbił ostrze w plecy jeńca.

Ulik zwinął się w sobie, ale nie padał na ziemię, dopóki Vento nie wyszarpnął z niego włóczni. Zamiast krzyku buchnęła mu z otwartych ust struga krwi. Rzucił się chwilę na piasku w podrygach, kopiąc go nogami, ale knechci, rozbawieni tym widokiem, nie mogli długo przyglądać się konającemu, gdyż Sonnenberg dał znak i trzeba było ruszać z miejsca.

Rozpryskując wodę kopytami koni, galopem przebyli bród i pognali ku zabudowaniom.

Głuchym tętentem zagrzmiał most przerzucony przez fosę, a kiedy, zeskakując z koni, stłoczyli się na podwórcu, stado kur z donośnym gdakaniem rozleciało się na strony i starało się unieść w powietrze, by przyspieszyć ucieczkę.

Hałas wywabił ze stajni starego koniuszego. Zaraz przyskoczyło do niego dwóch knechtów i przywlekło przed dowódcę.

— Gdzie gospodarz? — zapytał Sonnenberg poprawną polszczyzną.

— Na polowaniu... wyruszył dziś rankiem...

— Kiedy wraca?

— Nie wiem... chyba za dwa dni...

— A gospodyni?

— Pewno w domu....

Rycerz obrzucił pogardliwym spojrzeniem chudą, przygarbioną postać ubraną w zgrzebne portki, bosą, w lnianej, rozpiętej pod szyją koszuli.

— Raus mit ihm! — mruknął i, obróciwszy się, ruszył ku domowi.

Miecz błysnął krótko w słońcu i rozwalił głowę starego. Buchnęła krew, a on sam z ciężkim stęknieniem zwałił się na ziemię.

Ten sam los spotkał wkrótce dwóch parobków, którzy wybiegli pomiędzy zabudowań, wygnani stamtąd przez penetrujących obejście knechtów. Jedyne chłopak od wołów, który nadbiegł nad rzeki, uszedł temu losowi. Widząc krwawą masakrę, zawrócił i rzucił się w nadbrzeżne łożyny.

Z drzwi domu wypadła szczupła kobieta o smagłej twarzy i oczach rozszerzonych przerażeniem.

Za plecami zbliżającego się do niej ponurego mężczyzny ujrzała, jak dwóch knechtów dopadło uciekającą z chlewika Radę. Krzyknęła przeraźliwie, kiedy jeden z nich przewrócił na ziemię dziewczynę i przykrył sobą. Drugi stał opodal i rechotał, czekając na swoją kolej.

Zyta chciała umknąć nadchodzącemu, ale ten złapał ją za ramię i brutalnie szarpnął ku sobie. Zatoczyła się, opierając plecami o ścianę domu. Stanął przed nią i bez słowa wskazał na otwarte do sieni drzwi.

Patrzyła przez chwilę w groźną, nachyloną ku sobie twarz i zawróciła, wolno przekraczając próg. Wiedziała, co ją czeka, ale ucieczka była już niemożliwa, a w domu wisiał na ścianie krótki, męzowski mieczyk. To on dawał teraz jedyną możliwość uciezki.

Rycerz wszedł za kobietą. Kiedy znaleźli się wewnątrz, rozejrzał się przede wszystkim bacznie dookoła.

Na wprost wejścia stał ogromny, kamienny piec. W czasie trzaskających mrozów paliły się tu wielkie kłody drzewa, dając ciepło i blask na całą komnatę. Pod dwoma małymi oknami, zaciągniętymi cienko wyskrobaną i natłuszczoną skórą, stała szeroka ława, a przed nią duży, ciężki stół. Obok okuta skrzynia na odzież i inne bogactwa, a dalej kuchenna szafka na statki. Po drugiej stronie znajdowało się szerokie przejście do mrocznej alkowy, gdzie widniały zarysy łoża. Na ścianach pomiędzy oknami wisiała broń. Pośrodku okrągły szczyt, wokół niego parę łuków różnego rozmiaru i kształtów, myśliwskie noże, kilka rogów do picia i wreszcie, u dołu, że tylko ręką sięgnąć, na dwóch hakach spoczywał krótki miecz bez pochwy, połyskując w mroku polerowanym ostrzem.

Zyta oparła się o stół, chowając ręce za siebie i ściskając palcami skraj blatu. Oczy jej nie straciły wyrazu przerażenia, ale ich spojrzenie stało się

czujne i pełne wewnętrznego skupienia. Patrzyły uważnie w twarz straszliwego gościa.

— Gdzie twój mąż?! — warknął opryskliwie. Jednocześnie zmrużył powieki i przesunął spojrzeniem po jej postaci, lustrując każdy szczegół ciała.

— Na polowaniu... — wyszeptała czując, jak zgroza i rozpacz ściskają jej gardło.

— Zastąpię ci go, gołąbko. — Przywołał na twarz coś, co miało być uśmiechem, i ruszył ku Zycie, wyciągając ramię.

Szarpnęła się i jednym skokiem dopadła rozwieszanej broni. Porwała mieczyk i, opierając jego rękojeść o ścianę, rzuciła się piersiami na nastawione ostrze.

Jednak rycerz był szybszy. Kleszcze jego palców zacisnęły się na ręce kobiety o sekundę wcześniej. Mieczyk z brzękiem upadł na podłogę, a ona została uniesiona w górę.

Poniósł ją, szamoczącą się w jego rękach, jak gdyby nie stanowiła żadnego ciężaru, i rzucił na posłanie. Mimo oszołomienia starała się jeszcze walczyć, resztą sił broniąc się dziko i rozpaczliwie. Ale wreszcie, zmożona, wyrwała z głębi, z samego dna serca, krótki, pełen rozpaczny krzyk.

W godzinę potem znów zagrzmiął pod końskimi kopytami drewniany most. Wracali zwartą grupą z rycerzem Sonnenbergiem na czele. Giermek Vento trzymał przed sobą związaną i owiniętą w zakonny płaszcz brankę swego pana. Rycerz oznajmił krótko knechtom, że będzie mu potrzebna do złożenia dalszych zeznań.

Za ich plecami poczęły wykwitać pierwsze języki podrzuconego ognia. Lizały one zręby budynków, pomiędzy którymi pozostały trupy pomordowanej czeladzi.

SZYNK „POD RETMANEM” był ustalonym miejscem spotkań flisów, gdzie nie tylko można było zaproszyć sobie trunkiem łeb, ale i zaciągnąć się na którąś z kolei płynących z biegiem nurtu.

Wprawdzie szyprowie kompletowali załogi w miejscach załadunku, a więc w górnych rejonach rzeki, ale po drodze zdarzały się różne przygody. Ubywało włóczków z powodu choroby czy ran poniesionych w bójkach, a nierzadko i sternik wyrzucał nieprzydatnego chłopca.

Niedawno ustanowiona przez księcia Janusza stacja celna w Warszawie zmuszała zestawy tratw i statków rzecznych, zwanych kolejami, do

zatrzymywania się pod jej murami, co załogi witały zwykle z zadowoleniem, gdyż dawało to możliwość szybkiego przepicia zarobionych pieniędzy, zwłaszcza tym, którzy nie mieli ich komu odnieść w powrotnej, pieszej wędrówce przez kraj do dalekiego domu.

Okrągła blacha z wymalowaną na niej komiegią i skrzyżowanymi wiosłami zwisała nad wejściowymi drzwiami. Barwy znaku, mocno wyblakłe, nie przyciągały już oka, ale i bez tego miejsce było wiślanej braci dobrze znane.

Obszerną izbę szynkową słabo rozjaśniało światło z zewnątrz, przedziarając się szarą poświatą przez nawoskowane płótna dwóch małych okien. Pod ścianami stały ławy i ciężkie stoły o grubych na dłoń blatach. W pobliżu okien ciągnęły się szeregiem krzyżaki z antałkami różnych rodzajów piwa, a i beczki z miodem. Pod ich drewniane krany służba co i raz podsuwała kubki, kufle lub dzbany, w zależności od pragnienia i zasobności kieszeni gościa.

Izba pełna była ludzi i gwaru. Wrzawa rozmów, okrzyki pijących, swary i soczyste przekleństwa mieszały się często ze słowami sprośnej piosenki. Pośród tej ciżby kręciły się służebne dziewczki podające napoje, rzadziej jedzenie. Niejedno ramię hamowało je w szybkim biegu, zagarniając ku sobie, umiały jednak dawać sobie radę z męską rubasnością, zbytnio jej nie ulegając. W niektórych tylko wypadkach, jeśli kiesza adoratora nie była już pusta, można mu było ułatwić wypoczynek w izdebce na piętrze.

Właśnie drzwi prowadzące na schody uchyliły się i na progu stanął wysoki, młody mężczyzna. Wijące się ciemne włosy otaczały twarz suchą, o ściągłych, brązowych od słońca policzkach, kształtnym, nieco garbatym nosie i bystrych oczach pod czarnymi łukami brwi. Rozejrzał się dookoła niezbyt przytomnym spojrzeniem, przeczesał palcami włosy i, wstrząsnąwszy głową, ruszył w głąb izby.

Przebiegła mu drogę zgrabna dziewczyna z rękami pełnymi pustych kufli. Spojrzała mu w twarz rozbawionymi oczami, ukazując w uśmiechu białe zęby.

— Przespałeś się trochę, obwiesiu? — rzuciła wesoło.

— Nie szczerz gęby! — warknął młody mężczyzna. — Nie znalazłem w kieszeni ani denara!

— Dużoś ich tam miał! — prychnęła lekceważąco.

— Jeszcze by starczyło na rożek, dwa... Co za lichy w tobie siedzi, że zawsze mnie podkuszisz?!

— Wiesz dobrze jakie... — Dziewczyna kpiąco zmrużyła oczy.

Młody mężczyzna zignorował tę uwagę.

— Jaksza jeszcze jest?

— Nie słyszysz? Drze się tam, w kącie — kiwnęła głową. — A jeżeli chcesz się jeszcze napić, to mi powiedz. Zapłacisz później! Tylko nie pij za dużo!

— Jak mi się będzie chciało! No, zmykaj już! — Uderzył ją dłonią w pośladek i ruszył w stronę towarzysza.

Był to równie młody człowiek o piegowatej twarzy, sprytnych oczach i ognistej rudej czuprynie. Stał za stołem na rozstawionych nogach i, kołysząc trzymany w ręku kuflem, śpiewał na całe gardło:

Drogi dalekie, gościńce bez krańca

Strudzonym ścielcie się nogom,

Wagant was mierzy w znoju i trudzie

Żadnym nie wierząc już bogom...

Ten i ów spoglądał w jego stronę, ale, przyzwyczajony do pijackich pieśni, zaraz wracał do swojej rozmowy.

Mężczyzna ze schodów, zbliżając się ku niemu, podjął następną zwrotkę:

Mosty kamienne, bramy szerokie,

Idziem wichrami smagani,

Weseli królowie miłości i wina

Waganci, my pieśni kaptani...

Rudy teraz dopiero go dostrzegł. Urwał śpiew i wrzasnął na całe gardło:

— Niech żyją waganci! Czarny, gdzieś był tak długo? Znowu obłapiałeś Bożenę? Chodź, napijmy się!

Przyzwany ciężko opadł na ławę.

— Obrąta mnie do czysta — stwierdził. — A tobie dużo jeszcze zostało?

Rudy, mocno podchmielony, roześmiał się hałaśliwie.

— Zobaczymy! — Sięgnął w zanadrze krótkiej kurty i wyrzucił na stół kilka monet. — No, jeszcze trochę jest! Ale potem niech nas święta Adelina ma w opiece! Chyba trzeba będzie gdzieś popracować!

— Nie kracz! — Czarny rozejrzał się po sali i wyciągnął przed siebie długie nogi. — Hej, ślicznotko! — Zatrzymał jedną z dziewczyn. — Dwa kerstengi!

— Bert, to drogi trunek! — oprzytomniał Jaksza. — Za to możemy mieć sześć piw.

— Nie chcę tego sikacza! Kończmy po wagancku! Dobrze i szybko! Rudy, płąć!

Kamrat machnął ręką i zapłacił, mrużąc:

— Niech ci będzie. Ale od pracy nie wykręcimy się, zobaczysz. Tu inny kraj, to nie Italia... — rozmarzył się i ciągnął z pijacką melancholią: — Ani nawet Niemcy... Pamiętasz te nadreńskie gospody? Tam dziewczęta nie wołały o zapłatę, piosenką płaciliśmy...

— Phi... czy aby tylko piosenką?

Służebna przyniosła zamówiony trunek. Sięgnęli zgodnym ruchem po kubki i podnieśli je do ust. Miód mieszany z sokiem z wiśni i malin, zwany kerstengiem albo trójniakiem, był napojem zdradliwym, toteż wkrótce poczuli jego działanie.

— Posłuchaj, Rudy, mam właśnie nową piosenkę. Może i tu wystarczy za zapłatę? — zainteresował się nagle Bert.

Rudy kiwnął się nad stołem:

— Śpiewaj, bracie, śpiewaj! Na pożegnanie ostatniego grosza... Bert zaczął:

Znam braciszka,

dzielny zuch,

pacierz klepie,

żre za dwóch.

Tu i ówdzie rozległy się chichoty, które wybuchły śmiechem przy następnych zwrotkach:

Modły odbył;

duszę zbawił,

kuszę napiął,

dziewkę sprawił.

Szary habit,

złota dusza,

białym tyłkiem

tęgo rusza.

Kiedy skończył, trunków nie potrzebował już sam zamawiać. Lubiano rubaszny żart, toteż stawiających było sporo.

Incydent, który sprawił, że spełniły się obawy Rudego, miał miejsce wkrótce potem. Przyczyną jego stała się Bożena. Od pewnego czasu nagabywał ją flis o potężnych barach i długich, małych ramionach.

W pewnej chwili, kiedy dziewczyna przebiegała obok, wychylił się raptem z ławy, złapał ją obu rękami w pasie i, uniósłszy bez wysiłku, posadził sobie na kolanach.

Bożena trzepotała się dłuższą chwilę bezradnie w jego ramionach, nie mogąc sobie poradzić z potężną siłą napastnika, potem czując jego dłoń na swoich udach, krzyknęła przerażona:

— Bert, pomóż!

Młody mężczyzna obrócił się gwałtownie, jednym spojrzeniem ogarniając sytuację, po czym bezceremonialnie roztrzącił otaczających go flisów i ruszył ku napastnikowi.

— Nie na siłę, niedźwiedziu! Jak zechce, to sama ci rozewrze! — Nagłe i gwałtowne szarpnięcie spowodowało, że ramię obejmujące dziewczynę zwolniło żelazny chwyt. Bożena jednym susem skoczyła w bok.

Olbrzym jakiś czas siedział bez ruchu, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi, potem wolno uniósł się z miejsca i równie wolno wyszedł zza ławy.

W jednej chwili przestrzeń pomiędzy nimi opróżniła się. Czarny, wpatrując się w zbliżającego się ku niemu małpoluda, kątem oka dostrzegł obok siebie Jakcę.

— Uważaj, to straszny siłacz! — Doleciał go cichy szept, a jednocześnie dostrzegł, że towarzysz sięga za pas.

— Ani mi się waż! — warknął ku niemu, nie odwracając głowy.

— A podołasz?

— Zobaczymy...

Nic więcej już nie zdołał powiedzieć, gdyż potężne ramię zadało cios, którym zostałby zapewne zmieciony, gdyby sile towarzyszyła szybkość. Czujne oko Czarnego widziało nadlatującą pięść jak gdyby w zwolnionym tempie, toteż zdołał uchylić się, a to, co się stało potem, nie trwało nawet sekundy.

Pochylając ciało, jednocześnie wyciągnął ramię i porwał jeden z kubków stojących na pobliskim stole. Struga piwa chlusnęła w twarz napastnika. Ten nie zdążył jeszcze unieść rąk ku zalanym oczom, kiedy otrzymał uderzenie kolanem w brzuch, a potem następne, wyuczone we włoskich tawernach. Był to krótki, błyskawiczny cios zadany pod ucho kantem otwartej dłoni.

Olbrzym po pierwszym uderzeniu chybnął się tylko do tyłu, ale następne zwały go z nóg. Upadł na kamienną podłogę, po drodze uderzając ciemieniem o róg ławy.

Leżał bez ruchu, a spod skudłaczonyj głowy poczęła mu wyciekać strużka krwi, rozchodząc się po podłodze.

Zaległa w czasie bójki ciszę przerwał teraz nagły wybuch wrzasków. Dwaj towarzysze nieprzytomnego rzucili się ku niemu. Ponad ogólny gwar wybił się głos szynkarza:

— Wynosić się! Zamykam budę! Zaraz zamknę bramy, a noclegu nikomu nie dam!

Bert nachylił się nad jednym z klęczących towarzyszy zemdlonego i trącił go w ramię.

— Jak mu? Żyje?

Ten uniósł wykrzywioną złością twarz, ale na widok Czarnego złość zmieniła się w respekt.

— Serce wali, nic mu nie będzie. To tur, nie człowiek. Że też dałeś mu rady... — Pokręcił ze zdziwieniem głową. — Ale trzeba go stąd zabrać. Szynkarz się wścieka.

Oryl podniósł się z klęczek.

— No to go zabierzcie! Sam chyba nie jesteście?

— Jest nas tylko dwóch, a we dwóch nie damy rady unieść takiej góry mięsa.

— Zaraz przyjdzie do siebie, to stanie na nogi — wtrącił się do rozmowy Jaksza. — Chodź, Czarny, dość zabawy na dziś!

Oryl potrząsnął głową leżącego, próbując go przywrócić do przytomności. Ponieważ nie odniosło to skutku, zwrócił się bezradnie do swego towarzysza, który milcząc, przysłuchiwał się rozmowie.

— No i co, Kurek? Uniesiemy go? Bo on sam na nogi nie stanie...

Tamten popatrzył na obu młodych ludzi.

— Nie pomożecie nam? — rzucił prosząco. — Przecież to przez was ma rozwalony łeb. Nasza kolej stoi zaraz przy Gnojnjej bramie, to nie tak daleko...

— Niech go diabeł taszczy! — warknął Jaksza ze złością, ale i wahaniem w głosie.

— Trzeba im pomóc — zdecydował Czarny. — Niech twój kompan bierze za nogi, a my dźwigniemy go pod ramiona.

— Porządne z was chłopcy! — ucieszył się oryl nazwany Kurkiem, po czym dorzucił, widać zachęcony ich zgodą: — Ale słuchajcie, pomóżcie jeszcze w jednym...

— W czym znowu? — burknął niezadowolony z decyzji Czarnego.

Kurek podrapał się w głowę.

— Nam nie wolno było zejść z kolei. Taki zakaz wydał szyper jeszcze w Krakowie. Nikt z załogi aż do Torunia nie ma prawa zejść na ląd. Zapowiedział, że kogo złapie, to spierze po pysku i wyrzuci na zbity łeb.

Podkusiło nas widać lichy i prysnęliśmy... Gdyby nie ten zadziora, wrócilibyśmy cichcem, ale z rannym nie da rady.

— Więc chcesz, żebyśmy za was nastawiali gęby czy jak?! — już z wyraźną złością rzucił Rudy.

— Poczekaj, Jakska! — Czarny skinął uspokajająco na towarzysza, po czym zwrócił się do oryla. — Dlaczego otrzymaliście taki zakaz?

— Abo ja wiem...

Czarny zauważył jednak pytające spojrzenie, jakie Kurek rzucił na swego towarzysza.

Jeśli mamy wam pomóc, musimy wiedzieć, do czego przykładamy ręce. Jeśli nie wiesz, radźcie sobie sami!

— Kiedy my doprawdy nie wiemy... Gadki chodzą różne, ale tak po prawdzie, to nikt z nas nie wie, o co chodzi.

— Gadki? A jakie to?

— No jak, Czapa? Powiemy im chyba?

Zagadnięty wzruszył ramionami.

— Albo szyper kazał dochować tajemnicy? Jego sprawa, nie nasza!

Kurek zaczął już mówić bez wahania:

— W naszej kolei poza tratwami idzie komiega i szkuta z niemiecką załogą. Trzymają się na uboczu, z nami nie gadają i do szkuty bronią dostępu.

Jedni mówią, że wiozą na niej złoto, drudzy ponoć widzieli tam jakieś baby. Ale jak tam jest naprawdę, nie wiemy.

Czarny rzucił na swego towarzysza krótkie spojrzenie, po czym zagadnął oryla:

— Jak więc mamy wam pomóc? Co chcecie, abyśmy zrobili?

— Jak zejdziemy na brzeg, będzie już zupełnie ciemno. Zostaniecie z nim — kiwnął głową w stronę leżącego — i przywołacie gospodarza, nazywa się Radosław. Oddacie mu rannego, bo jego ukryć się nie da, a my cichcem przekradniemy się wtedy na kolej. Zajęty z wami rozmową, nas nie dojrzy...

— Sprytny jesteś. — Czarny uśmiechnął się. — No dobrze, taskajmy tego wołu. Ale jak on się nazywa? Piliśmy z nim, a nie wiedzielibyśmy imienia?

— Jak naprawdę, to nie wiem. Nazywamy go Dzieweczka.

— Nawet pasuje — mruknął Jakska w dalszym ciągu zły na rozwój sytuacji grożącej fatygą.

Obarczeni ciężarem Dzieweczki, który nadal nie odzyskiwał przytomności, wyszli z szynku. Miasto było nieomal puste. Słońce skryło się już poza dachy domów i mrok począł wypełniać wąskie wąwozy ulic. Tylko nieliczni przechodnie szybko przesuwali się pod murami, by jak najprędzej dostać się do domu,

toteż nikt na nich nie zwracał uwagi. Zresztą widok ludzi niosących ciało nie stanowił niczego niezwykłego. Bójki w zakamarkach zaułków zdarzały się zbyt często.

Minęli masyw kolegiaty Świętego Jana, granatową bryłą ostro rysujący się na tle świetlistej czerwieni nieba. Dalej mrocznym konturem majaczyły zręby księżęcego zamku. Wreszcie zagłębili się w ciemność ulicy Celnej.

Niosąc rannego Czarny rozmyślał. Zaciekawiał go ten zakaz schodzenia na brzeg.

Dzieweczka zaczynała im ciążyć coraz bardziej. Coraz to potykali się o zalegające jezdnię kupy nawozu i śmieci. Nie zwalniali jednak kroku, chcąc jak najprędzej wydostać się poza mury.

Prowadząca bezpośrednio ku Wiśle brama Gnojna, którą wywożono nieczystości miasta, była już zamknięta, zdążyli jednak wyjść przez boczną furtę, pozostawiając za sobą Warszawę układającą się do nocnego snu.

Za murami było znacznie widniej. Szeroka wstęga rzeki połyskiwała refleksami wieczornej zorzy, a pomiędzy obrastającymi jej brzegi łoziną i chaszczami wlokły się strzępy mgły. Wiało od niej wilgotnym chłodem.

Teraz nie potrzebowali się już spieszyć. Złożyli olbrzymie ciało na ziemi i zatrzymali się na moment, odpoczywając. W pewnej chwili ranny jęknął i otworzył oczy.

— No, może stanie na nogi! — ucieszył się Jaksą.

Istotnie ranny zaczął przychodzić do siebie. Żachnął się zrazu, ujrzawszy przed sobą Czarnego, ale uspokoił go Kurek.

— W porządku, Dzieweczka, to swój chłop! Pomógł cię dźwigać.

Olbrzym jęknął i złapał się za ciemię.

— Ale od tyłu mnie walnął...

— Od jakiego tyłu? Uderzyłeś łbem o kant ławy, stąd cię zemdlilo!

To oświadczenie znać uspokoiło urażoną ambicję rannego, bo pozwolił Czarnemu podeprzeć się przy wstawaniu.

Wzdłuż brzegu stały szeregiem liczne tratwy, łodzie i rzeczne statki, których nagie maszty chwiały się pod wpływem bystrego nurtu. Skierowali się w stronę przystani. Droga szerokim zakosem opadała w dół, omijając usypiska śmieci zwane Gnojną Górą. Tu obaj oryle przystanęli.

— Poprowadzicie go teraz sami? — spytał spieszenie Kurek.

— Dobra — zgodził się Czarny. — Gdzie stoi twoja kolej?

— Pierwsza od czoła. Bądźcie zdrowi, chłopcy! Może kiedyś się spotkamy!

Za chwilę już ich nie było. Nie spodziewali się, że spotkanie to nastąpi prędzej, niż mogli przypuszczać.

Na powtórzony parokrotnie okrzyk, skacząc z wprawą po bierwionach tratwy, zbliżył się do nich brodaty, barczysty mężczyzna. W zapadłej już ciemności trudno było rozeznąć rysy jego twarzy.

— *Co, psubraty, ode mnie chcecie?! — Padło pytanie rzucone gniewnym tonem.*

— *Coś taki pewny, żeśmy ci bracia! — odciął mu się Czarny.*

Głos na tratwie zamilkł i zapanowała chwila ciszy. Następne słowa zabrzmiały nadspodziewanie spokojnie:

— *Nie żartuj, a mów, czego chcesz?*

— *Przyprowadziliśmy człowieka z waszej załogi! Jest ranny w głowę! Odbierzcie go od nas!*

— *Skąd wiesz, że to mój? Jak się nazywa?*

— *Mówi, że go zwą Dzieweczka.*

Zabrzmiało soczyste przekleństwo, a potem propozycja:

— *Wrzuć go do wody! Nie chcę go widzieć!*

— *Trochę szkoda dawać rybom tyle mięsa. Może się wam jeszcze przydać.*

— *Czekajcie...*

Rozległo się parę stąpnięć, potem pluśnięcie i za chwilę ujrzeli przed sobą brodacza. Obrzucił majaczącą przed nim grupę szybkim spojrzeniem.

— *No, Dzieweczka, trafiłeś jednak na swego... Ciekaw jestem, kto cię tak urządził?*

— *A ten tu... — Olbrzym kiwnął głowę w stronę Berta.*

— *Ten? — W głosie sternika zabrzmiało zdumienie. — No... no — mruknął, ale już dalej nie stawiał pytań w tej sprawie.*

— *Zapomniałeś o rozkazie? Kto z tobą był?*

Tu olbrzym niespodziewanie okazał spryt. Spojrzał spode łba i mruknął:

— *Ci dwaj...*

— *Nie o nich, głupku, pytam! O załogę! Więc kto?*

— *Nikogo... ja sam...*

— *No to sam będziesz jutro gadał z szyprem! A teraz jazda do szafasu!*

— *On przez kilka dni nie będzie zdolny do pracy — odezwał się Czarny. — Upadł i mocno rozciął sobie głowę.*

— *Dzieweczka, prawda to?*

Olbrzym zawahał się.

— Chyba... Sam nie wiem — odparł niechętnie. — Wszystko mi we łbie chyboce...

— Czekaj, szyper da ci jutro bobu! I tak mamy za mało ludzi, a ty jak wielmoża będziesz rozwał się na barłogu!

— Skoro macie za mało ludzi, możemy się nająć — rzucił od niechcienia Bert. W ciemności zabrzmiało ciche przekleństwo Jaksy.

— Coście za jedni?

— Niedawno w kraju. Przed trzema miesiącami byliśmy jeszcze u Niemców, a przedtem w Italii.

— Co tam robiliście?

— Co się trafiało. Jesteśmy obaj pracowite chłopy.

— Pływaliście?

— To nie. Ale dla nas każda praca to fraszka. Pojętni.

— I piechotą szliście taki kawał drogi? — zainteresował się sternik.

— Nie. Wzięli nas na służbę kupcy z Wrocławia, których spotkaliśmy w Koblencji. Kiedy usłyszeliśmy rodzinną mowę, zatęskniliśmy za krajem.

— Co u nich robiliście?

— Należeliśmy do zbrojnej ochrony.

— Muszą z was być dobre zabijaki! To ty dałeś radę Dzieweczce?

— Zdarzyło się... — mruknął Bert skromnie.

— Jak się nazywacie?

— Mnie zwą Czarny, a tego — Rudy...

Sternik zamilkł na chwilę, widocznie rozważając propozycję. Wreszcie się zdecydował.

— No dobrze, wezmę was, ale na fryców.

— To znaczy za wiele?

— Pół grosza dziennie.

— Tylko?

— Fryc więcej nie dostaje. Jesteście nieprzyuczeni.

— A co z żarciem?

— Wasze.

— Niech będzie te pół grosza, ale z fasunkiem.

— To może być. Teraz zabierzcie mi tego gnoja sprzed oczu! Niech wam wskaże, który jego szafas. O świcie stajecie do pracy razem z załogą!

Sternik obrócił się i, nie zwracając już na nich uwagi, ruszył z powrotem.

Ledwie dostrzegalna szarość przedświt zaczął dopiero rozpraszać czerń nocy, kiedy na tratwach stojących szeregiem przy brzegu pojawiły się czerwone języki ognisk rozpalonych na glinianych polepach, ubitych przed każdym z flisowych szafasów.

W tańczących blaskach płomieni ukazywało się coraz więcej ludzkich sylwetek. Wyłaniały się nagle z ciemności, a wówczas światło ognia malowało czerwienią ich twarze i postacie. Oryle rozpoczęli dzień, przygotowując ranny posiłek.

Poprzedniego wieczora Dzieweczka zaprowadził nowych towarzyszy do swego szafasu. Obudzeni przed świtem, otumanieni jeszcze snem na wyścielanych słomą postaniach, początkowo nie wiedzieli, gdzie są. Dopiero znajome twarze Czapy i Kurka przywróciły ich do rzeczywistości.

Pierwsze wypowiedziane po oprzytomnieniu słowa Rudego dotyczyły rodowodu Czarnego i nie nadają się do powtórzenia. Nieco przydługą opinię w tym względzie zakończyło nieoczekiwane bezradne pytanie:

— Może więc powiesz, po jakiego czorta myśmy tu przyleźli?

— Aby zapracować na kawałek chleba. Zostaliśmy przecież bez grosza.

Rozmawiali, siedząc jeszcze w szafasie. Reszta jego mieszkańców wypełzła już na zewnątrz. Rozpalali ogień i myli się, lejąc sobie na podstawione dłonie wodę zaczerpniętą z rzeki.

Odpowiedź Czarnego, mimo że wypowiedziana poważnym tonem, niezbyt przekonała Rudego, toteż usiłował przebić wzrokiem ciemność, by chociaż z twarzy towarzysza wyczytać właściwą intencję tych słów. Był to jednak daremny wysiłek, gdyż pod dachem splecionym z gałęzi i słomy panowała nieprzenikniona czerń. Jedynie otwór wyjściowy szarzał nieco jaśniejszym trójkątem. Rudy pokręcił więc głową i rzucił z drwiną:

— No proszę... Naprawdę?... I uważasz, że to jedyny sposób ich zdobycia?

— Nie musisz przecież tu pozostać. Wieczorem, kiedy znów dobijemy do brzegu, możesz wiać.

— Pewnie, że mogę, ty barani tyłku! I na pewno nie spytam cię o pozwolenie! Ale chcę wiedzieć, co ci tak zamroczyło łeb, aby pakować się w taką harówkę?! Wstawać po nocy, a potem tyrać przy drygawce za nędzne pół grosza!

— Mów ciszej, Rudy, i przestań biadolić. Jak przechyliš się do mnie, to ci coś powiem do ucha.

— A więc gadajże wreszcie! — Rudy mimo wzburzenia ściszył jednak głos.

- Czy nie sądzisz, że ten zakaz schodzenia na brzeg jest dziwny?
- Ale co to nas może obchodzić?
- Mam już taką naturę, że lubię jasne sytuacje.
- Przestań się zgrywać! Nie myślę harować jak sobaka, żebyś ty mógł zaspokoić swoją ciekawość!
- Nic ci się nie stanie. Kilka dni wytrzymamy. Może to się opłaci...
- Co masz na myśli? — Dopiero teraz Rudy okazał pewne zainteresowanie.
- To, że coś za takim zakazem musi się kryć. Jeśli dowiemy się co, może to być nie bez korzyści.
- Jak, na przykład, oberwanie po łbie.

Czarny uśmiechnął się.

- Czy pierwszy raz?

Rudy westchnął.

- Że też podkuśiło mnie trzymać się ciebie!

Zaczął na czworakach posuwać się do wyjścia, a Czarny podążył za nim.

Kiedy wreszcie, z trudem utrzymując równowagę, stanęli na śliskich, okrągłych balach, pomiędzy którymi połyskiwały czarne pasma wody, Rudy zdecydował ostatecznie:

- Ale przysięgam na cycuszki świętej Agaty, tylko na trzy dni!
- Niech ci będzie — powiedział pojednawczo Czarny. — Ale miej oczy i uszy otwarte. Pogadamy znów wieczorem, a teraz dołączajmy do reszty.

Towarzysze zrobili im miejsce przy ognisku. Znalazły się zapasowe łyżki wycinane z lipowego drzewa, którymi zaczęły sięgać do wspólnego kociołka z kaszą, wiszącego nad dogasającym żarem. Szarość przedświtę zaczęła jaśnieć coraz bardziej, a mgła zasnuwająca rzekę przeświecać coraz mocniejszym różem.

Z jej oparów poczęły wyraźniej wysuwać się hurdycje obronnych murów przedzielonych okrągłymi basztami o stożkowych, spiczastych dachach. Coraz ostrzej rysowały się na wysokiej skarpie zręby książęcego zamku. Dalej zaś skupiska statków w solnym porcie i dalekie kontury grodu w Jazdowie, strzegącego płycizny, która w tym miejscu pozwalała na przeprawę przez rzekę.

Pierwsze ptasie głosy odezwały się z przybrzeżnych łozin.

Wreszcie niebo na wschodniej stronie sczerwieniło ogniście, przesycając różem kłęby wlokącej się nad rzeką mgły. Rozległy się pierwsze nawoływania sterników wzywających ludzi na stanowiska, a wkrótce potem zabrzmiał donośny rozkaz „gospodarza”.

- Wybijaj!

Było to hasło do dalszej podróży. Zastukały drewniane młoty, którymi wybito zastrzały klinujące mocne drągi wsparte o dno rzeki. Zwolnione, przechyliły się pod naporem pchanych nurtem tratw. Zaraz porwały je krzepkie ręce harpunników, wyciągając z otworów. Inaczej byłyby stracone, a wówczas winny niedbalstwa zapłaciłyby ich cenę przy najbliższym obrachunku z szyprem.

„Laski” wsparły się o piaszczyste dno, odpychając tafle od brzegu. Poszły w ruch drygawki — spłaszczone u końca, okrągłe drągi przymocowane do pionowych pali, umieszczonych na „głowie” i na „calu” tratwy. Długie i ciężkie, służyły do „obalania” — zmiany kierunku.

Kolej ruszyła w drogę.

Za tratwami płynęły ładowne łodzie. Jednomasztowa szkuta, zdolna nawet do przybrzeżnych morskich podróży, i prostokątna, pojemna komiega.

Po niedługim czasie brzeg się odsunął; zestaw tratw i łodzi wy dostał się na szeroki szlak wodny.

Czarny został przydzielony retmanowi jako wiosłarz małego baciku, w którym ten kręcił się po rzece, daleko przed nadciągającą koleją, i mierzył głębokość, wybierając szlak spływu. Szlak ten znakował następnie wierzbowymi tykami z wiechą liści u góry. Złamanie tej wiechy ostrzegało przed niebezpieczeństwem haka, czyli mielizny. „Posadzenie” zaś na haku powodowało dla szypra, poza zwłoką w podróży, dodatkowe koszta, gdyż zwyczaj wymagał, by za ściągnięcie z haka zrobić załodze „wesele” — poczęstunek trunkiem.

Toteż retman, do którego obowiązków należało zapewnienie bezpieczeństwa spływu, dbał, by kolej omijała haki. Stąd na bardziej niebezpiecznych odcinkach rzeki wyjeżdżał naprzód i znaczył szlak.

Opuszczenie płynącego zestawu uniemożliwiło Bertowi obserwację. Miał jednak nadzieję, że może Rudy zdoła coś dostrzec. Poznał go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że można na nim polegać.

Ciężka praca przy wiosłach była powodem, że nie zwracał uwagi na piękno szeroko rozlanej rzeki, połyskującej tysiącami tańczących iskier słońca na cichej, rozległej przestrzeni wodnej, nad którą z krzykliwym wołaniem krążyły mewy.

Brodaty, siwy retman nie okazywał chęci do rozmowy, toteż obaj pracowali w milczeniu przerywanym jedynie krótkimi poleceniami starego, wskazującymi zmiany kierunku biegu łodzi.

Było już dobrze po południu, kiedy retman rzucił parę pozostałych tyczek na dno łodzi i zdjąwszy słomiany kapelusz, przetarł rękawem spocone czoło.

— Nie zwyczajnyś do wiosła — powiedział widząc, że Bert ogląda swoje pokryte bąblami dłonie. — Jutro pójdziesz do innej roboty, to ci się łapy zagoją. Do Wyszogrodu mamy już spokój.

— A tam?

— Będziemy znów znakować. Rzeka pełna łach i haków.

Czarny postanowił spróbować, czy nie uda mu się uzyskać nieco informacji.

Łódka nieomal stała w miejscu, gdyż prąd był tu zupełnie wolny, mógł więc całą uwagę poświęcić rozmowie.

— Ale przynajmniej w Wyszogrodzie nieco popijemy? Będzie chyba postój, bo tam jest stacja celna?
— rzucił od niechcenia.

Retman przesunął kapelusz na tył głowy.

— To nie wiesz, że jest zakaz schodzenia na brzeg? Gospodarz ci nie mówił?

Czarny udał zdziwienie.

— Nie wolno? Nic nie wiem! A dlaczegoż to?

Stary spojrział w górę rzeki błyszczącej w słońcu jak polerowana blacha.

— Jeszcze ich nie widać... — mruknął raczej do siebie, ignorując pytanie. — Odszliśmy się sporo...

Czarny nie dał jednak za wygraną.

— Nie wiecie, dlaczego nie wolno?

— A nie wiem... Taki warunek postawił szyper przy zaciąganiu załogi w Krakowie. To jego sprawa, nie nasza.

— Może wieziemy złoto? I boi się żeby flisowie, przewąchawszy, nie rozpowiadali?

Brodacz rzucił na Berta krótkie, badawcze spojrzenie.

— A gdyby nawet, to co z tego?

— Podobno za Toruniem grasują buksy. Mogliby się zwiedzić...

— Szyper jest z Gdańska. Zna dobrze tamtą część rzeki. Zresztą nie rób sobie nadziei, wieziemy tylko zboże i wosk.

— Dlaczego mówicie o nadziei? Co mnie do tego?

— To po co wypytyujesz? Możeś ty nastany od rzecznych korsarzy na przespiegę?

— E, tam — wzruszył ramionami Czarny. — Pytam, bo jestem ciekawy, dlaczego nie wolno. Człowiek chciałby po tym znoju przepłukać gardło!

Stary retman uśmiechnął się pod wąsem.

— Jeszcześ nie zarobił na trunek. A zresztą nam wszystkim dziwny jest ten zakaz. Szyper Niemiec. Na szkucie trzyma tylko swoich ludzi, których przywiózł z Gdańska, i coś mi się zdaje, że dobrze zbrojnych. Ale powiadam: to jego sprawa. Płaci dobrze, nosa ze szkuty nie wysuwa, do roboty się nie miesza, to niech mu tam, mniej oryle przepiją.

Czarny doszedł do wniosku, że retman niewiele co wie, więc nie przedłużał rozmowy. Zresztą w dalekiej mgle ukazał się ledwie jeszcze widoczny zarys nadciągających tratw.

Słońce znikło za konarami drzew i od wody wiał chłód. Na rozstawionym trójnogu wisiał nad ogniem kociołek z grochem.

Flisowie obsiedli dookoła ogień palący się na skraju lasu, który podchodził tu nieomal do samej rzeki. Kolej stanęła przy brzegu na nocny postój.

Rudy nachylił się nad kociołkiem, pociągnął nosem, skrzywił się, ale nic nie powiedział.

— Jak ci poszło? — rzucił Kurek, zwracając się do Berta. — Twój kumpel, jak na pierwszy raz, dawał sobie nie najgorzej radę.

— Jakoś tam było — odparł zdawkowo Czarny — ale łapy odparzyłem.

— Boś nieprzyzwyczajony. Dłonie stwardnieją i będzie dobrze.

— Jeśli do tego czasu nie zdechniemy — mruknął Rudy.

Kurek i Dzieweczka, który nadspodziewanie szybko wracał do formy, przysłuchiwali się rozmowie. Olbrzym łamał na kolanie suche gałęzie i podrzucał je do ognia.

— Przyzwyczajcie się. Nasza praca ciężka, ale nie pomieniłbym jej na żadną lżejszą. Człowiek przywykł do wody.

— Rudy nawet święconej się boi — wtrącił Czarny.

Flisowie roześmieli się. Kurek sięgnął za siebie i przyciągnął płócienny mieszek, z którego wyciągnął potęg słoniny, jeden z przydziałów żywności, które otrzymali obaj fryce. Ukroił parę plastrów, nadział na zastrugany patyk

i, podrumieniwszy nad ogniem, wrzucił do gotującego się grochu. W milczeniu przyglądali się tej czynności.

— Jeszcze ze dwie niedziele — odezwał się Dzieweczka — i dotrzemy na miejsce. — Przeciągnął potężne ramiona. — A wtedy szukaj, człeku, nowej roboty...

— Takemu wołowi nie będzie trudno — mruknął Rudy.

— Płyniemy do samego Gdańska? — spytał Czarny.

— Tak. Wieziemy zboże, воск i budulec. Wszystko to zakonny towar.

— A statki też ich?

— A ich. I tak sobie myślę — Kurek mówił wolno, szukając właściwych słów dla wyrażenia myśli — jak to jest? Ludzie wciąż mówią, że będzie z nimi wojna, a sprzedajemy im zboże, miód, sukna, płótno. I czego tam jeszcze nie wozimy...

— Myślicie, że wojna będzie? — zainteresował się Czarny. — My z Rudym niedawno w kraju.

— Wszyscy tak mówią i wszyscy jej wyczekują. Panowie, rycerze, kmiecie, pospólstwo — zabrał głos Czapa.

— A co król?

— Kto wie, co nasz pan zamyśla? Mówią różnie. Jedni, że boi się tej wojny, drudzy, że i on jej chce, ale zwleka, bo jeszcze nie gotów. A inni, że pokumał się z tymi psuśratami i aby mu Litwy nie ruszali, to gotów kawał Polski im oddać.

— Mój brat jest stajennym przy królewskich koniach na Wawelu — wtrącił Kurek. — Mówi, że nie ma tygodnia, by z Litwy putnik albo i dwóch nie przybyło. A i od nas gońce co i raz pędzą z pismami. Coś się szykuje...

— Mogą sobie gadać, co chcą — włączył się do rozmowy Dzieweczka — ale ja wam mówię, że nasz pan wie, co robi! On już im poradzi! Najpierw tak, potem siak, niby po dobremu, a przecież wiadomo, że miecze, topory i inną broń po kuźniach kują.

— A i w Radzie królewskiej siedzą mądre chłopy — uzupełnił te wywody Kurek. — Wielcy to panowie i wielkie rozумы. Co my, prostacy, będziemy się tym kłopotać! Nas nie wezwą wojować. My mamy harować i słuchać.

— Wieczera gotowa — oświadczył Czapa pełniący rolę kucharza — bierzcie łyżki.

Po kolacji obaj młodzieńcy wstali. Czarny się przeciągnął.

— Trzeba trochę przed snem rozprostować nogi. Chodź, Rudy, przejdziemy się.

Po chwili zatrzymali się przy grubym pniu sosny. Panowała tu zupełna ciemność, a wewnątrz puszczy ziało nieprzeniknioną czernią. Ostatnie odbłaski słońca kładły się jeszcze czerwonymi refleksami na wodzie, ale refleksy te z wolna gasły, ustępując przed nadchodzącą nocą.

— Wolę paść świnie... — rzucił w ciemności Rudy — niż tu harować... Rąk nie czuję... Ta zaszrana drygawka ciężka jak diabli!

— Spozrzegłeś co?

— Chyba tak... Ale czy ma to jakieś znaczenie, sam nie wiem.

— Mów!

— Pracowałem z Kurkiem na calu. Oczywiście tam, bo ciężej niż na głowie...

— No, już dobra! Coś tam dostrzegł?

— Łodzie miałem więc przed nosem, bo idą na krótkich cumach. Komiega jak to komiega, ale szkuta ma nową nadbudówkę.

— Pewnie skarbówka szypra?

— Nie. Skarbówka jest na komiedze. W południe szyper wlaź do tej nadbudówki z garnkiem stawy i zaraz wyszedł, ale bez garnka.

Czarny cicho gwizdnął.

— Szyper, mówisz? Nie omyliłeś się?

— Na pewno nie.

— To dziwne... A więc ma pasażera. Oryle mówili, że jakieś baby. Ale kto to może być, komu posługuje sam szyper?

— I nie złazi ze szkuty, a wciąż się kręci po pokładzie jak stróżujący pies.

— To ciekawe. Teraz wracaj, bracie, do szałasu, a ja podsunę się do szkuty. Muszę ją sobie bliżej obejrzeć.

— Tylko uważaj! Chyba miałeś rację. Coś w tym musi być! — Rudy kiwnął towarzyszeni ręką i skierował się ku tratwom, a Czarny ruszył ostrożnie ku majaczącym na tle rzeki statkom.

Szkuta stała ostatnia. W pobliżu paliły się ogniska, a wokół nich siedzieli oryle. Bert zagłębił się w czerń lasu; chciał obejść je z dala, ale tak, by nie stracić z oczu ogni, które chroniły przed zabłądzeniem w ciemnościach.

Kiedy pnie drzew coraz bardziej zaczęły zasłaniać czerwone punkty ognisk, zmienił kierunek i znów zaczął zbliżać się ku rzece. Stromy w tym miejscu brzeg ułatwiał widoczność. Łódź stała w cieniu olbrzymiego dębu rosnącego tuż przy brzegowej skarpie.

Bert od razu dostrzegł nadbudówkę, gdyż jaśniała bielą nowych desek. Widocznie sporządzono ją tuż przed podróżą. W bocznej ścianie miała maleńkie okienko zasłonięte błoną. Prześwietlało ją teraz palące się wewnątrz światło.

Załogi zaczęły opuszczać ogniska, przysypując je ziemią, toteż wkrótce brzeg opustoszał. Czarny postanowił jednak jeszcze poczekać, by ludzie ułożyli się do snu.

Obserwując szkutę, zauważył nieruchomą postać wartownika siedzącego na dziobie. Jeden z potężnych konarów dębu wysuwał się daleko ponad wodę, zwisając nad spiętrzoną stertą tobołów i worków wypełniających statek.

Czarny podkrał się do dębu. Gruba gałąź znajdowała się w zasięgu jego ramion. Objął ją w podskoku, podciągnął się i po chwili siedział na niej okrakiem. Potem zaczął przesuwac się do przodu.

Wkrótce poczuł, że konar staje się coraz cieńszy i zaczyna coraz bardziej poddawać się ciężarowi jego ciała. Ale już był nad wodą, a po kilku dalszych ruchach miał szkutę pod sobą.

Ukryty w liściach, leżał względnie wygodnie. Gałąź ugięła się wprawdzie mocno, ale prężne dębowe drzewo utrzymywało ciężar. Nieopodal, niemal w zasięgu ręki, sterczał koniec masztu. Toboły, obciążone płótnem i owiązane sznurami, piętrzyły się wysoko ponad burty.

Komiega i tratwy, nieruchome i ciche, leżały na wodzie. Ich załogi, zmorzone pracą dnia, spały po szafasach twardym snem.

Nadzieja Czarnego ziściła się szybciej, niż się spodziewał. Po niedługim oczekiwaniu usłyszał skrzyp drzwi, a potem stuk kroków. Kubryk przestał mu widok, ale po chwili zza jego rogu ukazały się dwie postacie. Stwierdził, że istotnie były to kobiety.

Podeszły do burty.

Jedna z nich była wysoka i smukła, druga, jakby dla kontrastu, tęga i niska. Smukła postać oparła się o burtę i patrzyła na rzekę. Potem doszły Czarnego słowa tak wyraźnie, jakby zwrócone do niego:

— Jak długo jeszcze tej nudnej podróży? — Głos miał niskie, melodyjne brzmienie, ale mówiącej nie mógł rozeznaczyć, gdyż, patrząc z góry, nie widział jej twarzy.

Odpowiedział głos skrzekliwy, zrzędzący:

— Długo... długo... Mówiłam ci, że jeszcze najmniej tydzień! A ty wciąż swoje!

— Już me mogę wytrzymać tej ciasnoty! Zaledwie parę chwil dajecie mi odetchnąć świeżym powietrzem.

— Widzieliście ją! Wielmożna pani! Miałaś komnaty, to teraz posiedź w kojcu! Przez ciebie to i ja muszę tu siedzieć jak kwoka.

— Ale wam za to płacę...

— Tfu, z taką zapłatą! Myślisz, że Zakon taki skory do płacenia! Syn za knechta u nich służy, to i ja muszę być posłuszna! Co ci zresztą będę dużo mówiła! Masz siedzieć cicho, i koniec.

— Po co ja wam? Co chcecie ze mną zrobić?

— Wciąż o to nudzisz! Nie bój się, nic złego cię nie spotka... Będziesz pod opieką mniszek...

— Mniszek? O tym nic nie mówiliście!

— To i teraz więcej nie powiem! I tak za dużo z tobą gadam.

— Ale wciąż nie wiem, dlaczego mnie porwano?

— A myślisz, że ja wiem? Że z ochoty tu jestem? Żeby nie syn, wypięłabym tyłek na wszystko!

Melodyjny głos zniżył się do szeptu:

— Dopomóżcie mi uciec. Matka i wuj zapłacą, wiele będziecie chcieli...

— Ani mi się waży o tym mówić! Nie znasz potęgi brodaczy! Na męki bym poszła prędzej, niżbym ujrzała grosik! Boże, uchowaj, jeszcze kto posłyszysz... No dość, wracaj do kubryku!

Po chwili obie postacie zniknęły za węglem. Czarny, który nie uronił ani słowa z tej rozmowy, ostrożnie i cicho, by nie zwrócić uwagi wartownika, poczęt się cofać. Po chwili osunął się na ziemię i ruszył z powrotem.

Przedostał się po desce na swoją tratwę i skacząc po śliskich balach, dotarł do szałas.

Kiedy układał się na pościeli wśród zgodnego chrapania towarzyszy, z ciemności doszedł go szept Kurka:

2 — Powszechnie wówczas używana nazwa rycerzy zakonnych.

— Gdzieś był tak długo?

— Ty nie śpisz jeszcze? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Spałem, aleś mi wlaź na nogę.

— Zbłądziłem w lesie. Myślałem, że już po mnie, ale szczęśliwie natrafiłem na rzekę.

— To naprawdę miałeś szczęście, bo mogeś nocować w borze. No, śpijmy!

— Słuchaj, Kurek — zagadnął go jeszcze Czarny — gdzie będziemy za tydzień?

— Bo ja wiem... Chyba za Włocławkiem. Może koło Torunia, może i dalej... Dlaczego pytasz?

— Chciałem wiedzieć, jak długo tej harówki.

— A widziałeś lekką robotę? Bo ja nie... Dobranoc! Spijmy wreszcie.

— Czekaj chwilę! Powiedz mi, gdzie w zakonnym państwie są żeńskie klasztory? Nie wiesz?

— Czarny, coś ty?! — zdziwił się Kurek. — Po co ci mniszki?

— Gadaj! Wiesz czy nie?

— Jest, zdaje się, jakiś zakon w Chełmnie. Ale widziałem je i w Toruniu.

— Aha... No to śpijmy...

Po oprawionych w ołów grubych szklach okien ściekały strugi wody.

Od trzech dni padał deszcz, zmieniając ulice w grząskie bajora.

Zwłaszcza drogi Okolą, łączące Zamek z miastem, były nie do przebycia bez ubabrania się po kolana błotem.

Ale w komnacie było sucho i zacisznie. Zaciągnięte chmurami niebo sprawiało, że panował w niej półmrok. Toteż kanonik krakowski, proboszcz od Świętego Floriana, prokurator generalny i podkanclerzy, Mikołaj Trąba, kazał napalić na kominku, by oświetlić wnętrze i osuszyć przenikającą przez mur wilgoć.

Ulokował się przed ogniem w fotelu, którego oparcie wznosiło się wysoko ponad jego głowę. Obszerny płaszcz, obrzeżony bobrowym futrem, układał się sutymi fałdami wokół jego masywnej postaci. Nałożył go, gdyż mimo ognia było mu zimno.

Podkanclerzy, a właściwie kanclerz Korony Polskiej, bo piastujący oficjalnie tę godność Zaklika nie opuszczał z powodu złego stanu zdrowia

rodzinnego Międzygórza, miał twarz ściągłą, o nieco wklęsłych policzkach i dwóch uderzających szczegółach: dużym, mięsistym nosie i pięknych oczach, pełnych żywego blasku i skupionej mądrości w spojrzeniu.

Drugi z obecnych w komnacie, proboszcz włocławski, Andrzej z Lubrańca, ubrany w obciste łosiowe spodnie, pasiasty kaftan z wielkim, stojącym kołnierzem i z szerokimi rękawami oraz obuwiu o nosach długich i zagiętych ku górze, stał przy oknie oparty na lasce i spoglądał przez grube szyby na zasnutą deszczem, mało co widoczną rzekę. W deszczowej mgłę połyskiwał szeroki łuk Wisły, przecinający zielone pastwiska, a na prawo Rudawa ciemnym mirtem wiła się pomiędzy kępami łożin. Brunatny pas murów wznosił się ponad nią, szczerząc zęby blanków. Niby biodrzaste baby w stożkowatych kapeluszach tkwiły w nim obronne baszty.

W komnacie panowała cisza zakłócona jedynie trzaskiem palących się bierwion. Ciszę tę przerwał ksiądz Andrzej, kontynuując rozmowę:

— Być może... Ale Witold ręce ma długie... Skirgielle podał mnich truciznę aż w Kijowie...

— Ale Skirgiełłę nienawidził osobiście. I, prawdę mówiąc, miał za co. Skirgiełło był ulubieńcem Władysława i rywalem na wielkoksiążęce krzesło.

Ponieważ ksiądz milczał, podkanclerzy ciągnął dalej:

— Świdrygiełło jest zdolniejszy od tamtego. Należy bardzo czujnie śledzić jego kroki. Zwłaszcza teraz.

Nachylił się i, ująwszy pogrzebacz, odsunął nieco palącą się szczapę od brzegu kominka. Żółty blask przesunął się po jego twarzy, oświetlając ściągnięte brwi.

— Opat Łukasz ma go na oku. Siedzi w Trokach, ale wie wszystko, co dzieje się na Witoldowym dworze. Ostatni goniec Świdrygiełły odjechał do Malborka dwa tygodnie temu. Ale z Zakonu nikogo nie było... — stwierdził ksiądz Andrzej.

— Jesteś tego pewien? — Trąba wyprostował się i złożony dłoń na poręczach, obrócił się lekko w stronę okna. — Tajnych posłańców niełatwo dostrzec.

— Oprócz nas pilnuje go i Witold. Przygląda mu się równie bystro jak my...

— Nie łudźcie się, że Świdrygiełło o tym nie wie. Sprytu mu nie brak. Jest chytry... — Trąba zamyślił się na chwilę. — I zwolenników ma sporo.

— Starych bojarów ruskiego kościoła, do którego i sam należy...

— Mniejsza o przyczyny, ale ich ma. Myśli tak, jak oni, i lubi to, co oni...

— Pić i mordować.

— Ale to dobry wódz i oni o tym wiedzą. A im jest ich więcej, tym cenniejszy staje się dla Zakonu. Zwłaszcza w chwili obecnej...

Ksiądz Andrzej odsunął się od okna i, lekko utykając, zbliżył się do kominka. Siadł na zydłu stojącym obok fotela Trąby i, oparłszy dłonie na lasce, milczał zapatrzony w ogień. Dopiero po pewnym czasie odwrócił głowę ku swemu rozmówcy.

— Biskup Jakub jest poważnie chory. Kto wie, czy przeżyje ten rok. Czy wiecie, kogo Władysław chce osadzić w Wilnie?

— Staram się, by krzesło wileńskie zajął Mikołaj z Gorzkowa. Znam go dobrze, bo to przecież dziekan od Świętego Floriana i też tutejszy kanonik. Myślę, że da sobie radę na tym trudnym stanowisku.

— Tak, to dobry wybór... W obecnej chwili nie można dopuścić, by biskupstwo to było nie obsadzone.

— Nie dopuścimy do tego. Nie może braknąć kierującej ręki ani na dzień. Wiem przecież, wiele pomocy mieliśmy od Jakuba i jak go teraz brak.

— A nasza Rada nie jest Mikołajowi przeciwna?

— Nie. Zresztą i w sprawie wojny oponentów w niej ubywa. Wielkopoleanie potrafili zarazić nienawiścią do brodaczy i naszych panów, którzy wreszcie dostrzegli, że cały naród jest za wojną z Zakonem. A Władysław dostrzegł ten zryw wcześniej niż Rada. Mówią niektórzy, że głupi i gnuśny! Że wszystko zawdzięcza szczęściu! Ale szczęście samo nie przychodzi. Trzeba na nie zapracować.

— Jednak trochę racji w tym jest, co mówią. Lubi nasz miłościwy pan pół dnia u stołu spędzać, lubi pospać do południa...

— Tak. Ale i umie też trzy dni z konia nie schodzić, umie znosić trudy wojny. To natura pełna przeciwieństw, której nie sposób ocenić pobieżnym spojrzeniem.

— Wy go znacie, wielbny ojczu, lepiej niż ja. Jesteście przy nim od początku...

Ksiądz Andrzej uniósł się z zydla i rozpoczął wędrówkę po komnacie. W obuwiu o miękkich podeszwach stąpał cicho, to zatapiając się w gęstniejącym

już mroku, to wyłaniając się z niego, kiedy wstępował w krąg światła z kominka.

Podkanclerzy zaczął teraz mówić na wpół do siebie, jak gdyby chciał głośno sprecyzować swoje rozmyślenia nad ludźmi i zdarzeniami, jakby pragnął ostatecznie podsumować rezultat tych rozważań.

— Pewno, że znam... Znam jego zalety i wady, bo jak każdemu, tak i jemu wad nie brakuje. Ale to człowiek wielkiego serca. Nie ma w nim pychy, jest miłosierny i przyjazny ludziom. A że nieufny? To naturalna cecha władcy. Rzemiosło panowania nauczyło go nieufności.

— Niezgorszym nauczycielem był tu sam Witold — mruknął ksiądz Andrzej z głębi komnaty.

— A właśnie! Ale to niepowszedni człowiek. Takie jest zresztą całe Gedyminowe potomstwo. Lingwen i Świdrygiełło wielkiej miary wodzowie, Jagiełło i Witold to władcy, jakich dziś chyba nie ma w Europie. Witold może i zdolniejszy od Jagiełły, jednak nie jemu los przeznaczył koronę. On też ma naturę pełną przeciwieństw. Lubuje się w gusłach i starych przesądach, ale wzorem dla niego jest rycerstwo zachodnie.

Okrutny i zawzięty, ale szczodry. Srogi, surowy władca, któremu nieobcy serdeczny śmiech. Dba o kraj, podnosi rzemiosło i handel, ale poddanych uważa za swoich niewolników, nie wyłączając najznacniejszych bojarów. Dla człowieka nieznanego ludzkiej natury to trudne do pojęcia. Cała zaś jego polityka to balansowanie wagi. Na jednym ramieniu trzyma Koronę, drugie zajmuje Zakon. Jeśli któreś z ramion przeważa, natychmiast przybliża się ku przeciwnemu. To sztuka nie lada! Władysław rozumie tę jego politykę i... skrycie jej sprzyja.

— Sprzyja?!

— Właśnie: sprzyja. Nie zapominaj, że Władysław najpierw był władcą Litwy, zanim stał się naszym królem. Litwa jest mu bliższa niż Polska. Tej miłości do rodzinnego kraju nie wyruguje żadna racja stanu. Ale i on musi rozgrywać partie na politycznej arenie, a jego przeciwnikiem jest nasza Rada Koronna. A im Litwa jest silniejsza, tym łatwiej mu prowadzić rozgrywkę z Radą, bo Litwa jest dla niego tym, czym Zakon dla Witolda. Ale warunkiem utrzymania własnej, decydującej roli jest lojalność wielkiego księcia. Stąd ciche popieranie jego polityki przez naszego króla, ale też i stąd ciągła

nieufność. Tyle razy już Witold zdradził, mniejsza o powody, że Władysław nie może sobie pozwolić na osłabienie czujności.

Podkanclerzy zamilkł na chwilę. Ksiądz nie odezwał się również. Zatrzymał się przy kominku i końcem laski zsuwał ku wnętrzu tlejące węgle. Wreszcie odwrócił się od ognia i znów przysiadł na zydlu.

— Już od pewnego czasu chciałem z waszą wielbnością omówić pewne swoje spostrzeżenia... — Przerwał, jakby zastanawiając się nad doborem słów.

Trąba rozsunął brzegi płaszcza, gdyż od kominka zaczęło uderzać coraz mocniejsze ciepło, i założył końce palców za szeroki, skórzany pas. Spojrzał w skierowane na siebie czarne, lekko skośne oczy, w których drgały czerwone iskierki refleksów ognia. Takie same refleksy oświetlały jedną stronę zwróconej ku niemu twarzy o ściągłych, suchych policzkach z mocno zarysowanymi szczękami.

— Słucham cię, bracie, mów!

— Czy zaufani sekretarze waszej wielbności, Jędrzej z Brochocic i Dunin ze Skrzynna, mają określony zakres spraw, czy też prace przydzielacie im w kolejności nadejścia?

Podkanclerzy odpowiedział zdziwionym tonem:

— Stałego podziału nie mają. Nie uważam, aby był potrzebny.

— Zatem taki czy inny dobór spraw dla każdego z nich nie zwróci specjalnej uwagi?

— Oczywiście, że nie! Ale do czego zdążasz?

Ksiądz Andrzej nie udzielił odpowiedzi, przechodząc z kolei do innego tematu.

— Co wasza wielbność myśli o tym zaginięciu siostrzenicy Dunina?

Podkanclerzy rzucił na księdza spojrzenie spod oka i odpowiedział z pewnym wahaniem:

— Spotkało go wielkie nieszczęście. Wiem, jak kochał tę dziewczynę.

— No właśnie... — mruknął ksiądz.

— Nie poznaję go po prostu — ciągnął Trąba. — To nie ten sam człowiek. Zamknął się w sobie, ścichł, stał się jakiś powolny i dziwnie lękliwy. Żał mi go, bo widać, jak cierpi. Nie może ukryć swego bólu...

— Właśnie... — powtórzył ksiądz Andrzej. — Początkowo zabiegał o pomoc u was, u wojewody, u kasztelana, prosił i mnie o wstawiennictwo. A

potem jakby stracił wszelką nadzieję. Już teraz nawet nie pyta, czy znaleziono ślady.

— Tak. To człowiek złamany swoim nieszczęściem.

— Czy miłość do tego dziewczęcia mogła spowodować aż takie załamanie?

— Co masz na myśli? — Trąba uniósł oczy, bo ksiądz podniósł się z zydlu i, utykając, znów skierował się ku oknu.

— Ale leje — mruknął raczej do siebie, przybliżając twarz ku szybom. — Już który dzień?

— Ty mi tu o pogodzie nie gadaj, a odpowiedz, skoro pytam! — obruszył się podkanclerzy. — To już drugie pytanie, na które mi nie odpowiadasz!

Ksiądz Andrzej oparł się o parapet i odwrócił się do swego rozmówcy.

— Odpowiem za chwilę — uśmiechnął się. — Wpierw przedłożę waszej wielbności prośbę.

— Jakąż to?

— Aby Duninowi nie dawać spraw tajnych. Niech załatwia mniej ważne. Ale nie można tego zrobić od razu. Tamte odejmować mu stopniowo...

— Coś ty?! — Trąba obrócił się całym ciałem ku oknu. — Dlaczego?

— To zwykła ostrożność. A teraz czas na odpowiedź. Więc, po pierwsze: siostrzenica Dunina miała wracać do matki skutkiem pisma, jakie otrzymał jej kapelan z zakonnego państwa. Było to ostrzeżenie opata z Oliwy, by zabrać ją z Krakowa, bo wkrótce miasto znajdzie się w krzyżackich rękach.

— Ależ to bzdura!

— Oczywiście, ale informacja ta miała na celu wywołanie strachu u osoby mało krytycznej. Stąd można przypuszczać, że komuś chodziło tylko o to, by dziewczyna opuściła Kraków.

— Po co?

— Aby łatwiej dokonać porwania.

— Na podróży napadają i zwykli rozbójnicy. Skąd wiesz, że to nie ich robota?

— To jest właśnie punkt drugi. List pochodzi od człowieka bliskiego Zakonowi, a rozbójnicy porywają ludzi dla okupu. Do tej pory nikt okupu nie zażądał. Jak na zbójców to dość dziwne.

— Czy to wszystko?

— Nie. Następuje punkt trzeci, ten najważniejszy. Dunin ma dostęp do tajnej korespondencji...

— Zaraz jutro z nim pogadam! Musi wyznać wszystko, co wie o tej sprawie!

— Boże uchovej, wasza wielbność! Najgorsze, co można zrobić! To są na razie tylko moje domysły, a nawet jeśli słuszne, on nic o nich nie śmie wiedzieć! Pozostawcie to mnie.

Podkanclerzy zmarszczył brwi i schyliwszy głowę, jakiś czas siedział zamyślony. Wreszcie burknął:

— Biedny Dunin... No cóż, niech, będzie, jak chcesz.

— Ludzie wojewody niczego nie wykryli, ale ja już wiem, jak się to wszystko odbyło. A ponieważ wiem, tym bardziej jestem pewien, że to nie robota zbójców, w każdym razie nie tych z gościńców.

— Skoro wiesz, to mówże, do czarta! — zniecierpliwiał się podkanclerzy.

— Wasza wielbność, nie przystoi duchownemu... — Ksiądz Andrzej uśmiechnął się przy tej uwadze.

— Nie pleć głupstw! Jest nas tylko dwóch! No, gadaj!

— Napad odbył się dwie mile za Trzebiną. Poczet dziewczyny został otoczony przez przeważającą liczbę napastników i bez walki uprowadzony w boczną drogę. Dokonano tego tak szybko i sprawnie, że na gościńcu nie zostało żadnego śladu. Te znaleźliśmy dopiero na dalekiej polanie, obok szataśów porzuconych przez smolarzy. Tam ludzi z orszaku wymordowano i zakopano z resztkami spalonej karocy, a dziewczynę i konie uprowadzono.

Trąba pokręcił głowę.

— Okrutna, ale przemyślna robota.

— Otóż to. Nie zbójcka. Ci pozostawiliby trupy i kolasę na gościńcu.

— To ważna sprawa — mruknął z troską podkanclerzy.

— Bardzo ważna! Trzeba dziewczkę wydobyć z ich rąk. Dokąd nie wróci, Dunin jest w położeniu bez wyjścia.

— Dobrze, że to rozumiesz, bracie Andrzeju, ty, który trzymasz pieczę nad bezpieczeństwem i tajemnicą naszych poczynań! Bacz jednak, byś wypalił i to oko zaglądające w nasze kotły!

— Bądźcie spokojni, wasza wielbność.

— Ale wiedzieć, co się dzieje u nich, to teraz ważniejsze, niż kiedykolwiek było! — dorzucił nadal podnieconym tonem Trąba. Widać było, że usłyszana wiadomość wstrząsnęła nim.

Ksiądz Andrzej uśmiechnął się lekko.

— Wiem i o tym, wasza wielbność. Nasi ludzie są w każdym zakonnym mieście. Pracują przy kościołach, w młynach, browarach, po oberżach, wśród włóczków, w zakonnych stajniach, magazynach, zbrojowniach, wszędzie tam, gdzie może dotrzeć najemnik. Mamy i miejsca, gdzie postrzegacze dostarczają wiadomości. Są to przeważnie plebanie, bo niższe duchowieństwo w większości pochodzi z Polski, a od proboszczów pisma idą przez granicę do Włocławka. Tamtejsze biskupstwo ma specjalnych gońców, a ci stacje z rozstawnymi końmi, więc wiadomości dochodzą w kilka dni od chwili wysłania przez plebanię. Pisma z obszaru wschodniego otrzymuje opat Łukasz. Idą do Trok, do tamtejszego klasztoru.

— Kiedy przybył ostatni goniec?

— Onegdaj. Jeden z proboszczy komturstwa w Golubiu musiał uchodzić, gdyż brodacze pojмали jego łącznika.

— Gdzie jest teraz?

— Dotarł do Włocławka. Poleciałem, by na razie tam pozostał.

— Uzupełnisz ten ubytek?

— Już wysłałem brata Erazma. On tam będzie przebywał i kierował naszymi ludźmi na miejscu.

— To ten dominikanin? Nie zaniedbuj powiadomić mnie, jak sobie radzi. No, ale zrobiło się już późno. Zwalniam cię, bracie. Idź z Bogiem.

Korytarz był pusty i ciemny, bo paliły się tylko z rzadka porozwieszane kagańce, rzucając słabe, chybotliwe światła. Pałacowa straż stała nieruchomo, oparta na glewiach. Ksiądz Andrzej, podpierając się laską, przemierzał korytarz cichym krokiem, a jego cień wielki i czarny, sunął za nim ślizgając się po ostrołukach sklepienia.

DO WŁOCŁAWKA KOLEJ dotarła w godzinach popołudniowych. Mimo że do zachodu słońca pozostało jeszcze sporo czasu, gospodarz zarządził postój. Była tu kolejna stacja celna, szyper musiał więc mieć czas na uiszczenie księżęcej opłaty.

Rozważając w ciągu ostatnich dni sytuację, Czarny postanowił zejść do miasta. Ale po warszawskim nieposłuszeństwie Dzieweczki na postojach

pełniło straż dwóch ludzi z załogi szkuty. Przeszkodę tę należało zatem pokonać, i to za dnia, bo chociaż miasto nie miało obwarowań, ale pałac biskupi był otoczony murem, nocą więc dostać się doń było niemożliwe.

Kolej przepłynęła obok katedry wznoszącej się dwiema niedokończonymi wieżami ponad dachami obsiadłych ją domów. Były spowite siecią rusztowań. Biskup Jan, zwany Kropidłem, kończył wreszcie

budowę ciągnącą się już bez mała siedemdziesiąt lat. W pobliżu, wśród zieleni drzew, rozsypały się domy kapitulnych kanoników.

Nieco dalej, na wzniesieniu opadającym ku rzece, pięły się w górę ziemne waty książęcego grodu, a na Podgrodziu, schodzącym ku brzegowi chaotycznym skupieniem zabudowań, pomiędzy domostwami wyrobników, rybaków i czynszowników książęcych, czerwieniały mury spichrzów i browarów słynnego wrocławskiego piwa.

Tratwy zatrzymały się przy ujściu Zgłowiączki. Kiedy zostały już umocowane, Czarny odszukał Jaksię i odciągnął go na bok.

— *Chcę, żebyś mi pomógł. Muszę zejść do miasta.*

— *Po co?*

— *Nie pytaj, a pomyśl, jak to zrobić.*

— *Teraz, za widna? Nie możesz poczekać, aż się ściemni? Tu bram nie ma.*

— *Albo są. Chcę dostać się do biskupiego pałacu.*

— *Patrzcie go! — Rudy gwizdnął. — Jego eminencja oczekuje na waszą wielmożność?*

— *W pałacu mieszkają nie tylko biskupi. Masz jakiś pomysł?*

Jaksa popatrzył wzdłuż piaszczystego brzegu. Kolej ciągnęła się długim pasem tratw i statków. Komiega i szkuta były widoczne tylko częściowo, gdyż zasłaniało je zadrzewienie rybackich domostw przysiadłych nad samą wodą. Strażnika szkuty nie było więc widać. Natomiast drugi, postawiony przy tratwach, siedział nieopodal na kamieniu i rozglądał się wokół.

— *Pilnuje nas, jakbyśmy byli więźniami — mruknął Rudy ze złością.*

— *Do tamtych płotów pój staj. — Czarny wskazał przed siebie. — Aby ich dopadł, to pies z nim tańcował.*

— *Spróbuję go zagadać — zaproponował Rudy.*

Czarny rozejrzał się na boki.

— *I jeszcze jedno. Gdybym nie wrócił, pilnuj, co stanie się z dziewczyną. Zwłaszcza nie przegap Torunia...*

Rudy zmierzył towarzysza zdumionym spojrzeniem.

— *Coś ty...? Dlaczego miałbyś nie wrócić?*

— *Może się różnie zdarzyć. To zwykła przezorność.*

— *Same tajemnice. Cóż ci jednak z tego, że będę wiedział, co zrobili z dziewczyną, jeżeli rozejdziemy się?*

— Skoro będziesz już wiedział, staraj się szybko dotrzeć do Krakowa. Tam się spotkamy.

— Gdzie? — rzucił Jaksę z rozbudzonym zainteresowaniem.

— W oberży „Pod Turem”.

— Dobryś! Tyle tu zarobię na tej głównianej robocie, że starczy na podróżną kolasę i oberżę!

— Płacić tam nie będziesz. Powiesz gospodarzowi, żeś przyjaciel Czarnego. On już będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

— Skoroś taki znany, to po co włóczysz się po świecie?

— Wypomniałeś mi ciekawość, a widzę, żeś sam nie lepszy. No ruszaj, bo za długo już gadamy i może lada chwila wrócić gospodarz.

Jaksę kiwnął głową i już bez słowa skierował się ku wartownikowi. Czarny obserwował, jak po chwili obaj stali naprzeciw siebie, prowadząc dyskusję ożywioną gwałtownymi gestami.

W paru skokach przebył przestrzeń dzielącą go od krzaków otaczających najbliższe domostwo. Potem minął jakieś obejście, przeskoczył parę płotów i wreszcie znalazł się na placu targowym. Tu, przepytawszy o drogę, ruszył dalej. Wkrótce dotarł pod mur okalający budowlę, z których widział jedynie rzędy górnych okien i dachy pokryte zaśniedziałą blachą. Brama miała rozwarte wierzeje ukazujące sklepione ostrołukiem mroczne przejście. W masywie ceglanego muru czerniały wąskie szpary strzelnic i otworów okiennych.

Kiedy Bert zagłębił się w mrok przejścia, zastąpiło mu drogę dwóch strażników uzbrojonych we włócznie i krótkie miecze zwisające u skrzyżowanych na piersiach pasów.

— Dokąd, obwiesiu?! — warknął jeden z nich. — Pyskaj stąd!

Czarny nie przejął się jednak ostrym tonem.

— Prowadź do burgrabi! I bacz na słowa!

— Wynoś się! — wrzasnął drugi strażnik, zamierzając się drzewcem włóczni. — Bo oberwiesz po łbie.

— A ty stul gębę i rusz się, psi synu, po burgrabię!

Pewność siebie i ostry ton słów odniosły skutek. Strażnik zawahał się.

— Burgrabi tu nie ma — burknął. — Zarządcą jest brat Michał.

— A więc chcę mówić z bratem Michałem! I to zaraz, bo czasu mam mało!

Ich podniesione głosy grzmiały w niskim przejściu spotęgowane echem.

W tej chwili w bocznej ścianie otworzyły się okute drzwi i stanął w nich wysoki, chudy mnich w brunatnej sutannie.

— Co się tu dzieje? — rzucił spokojnie, ale tonem przywykłym do rozkazywania.

Czarny postąpił ku niemu parę kroków. Ujrzał w mroku chudą twarz i dwoje przenikliwie wpatrzonych w siebie oczu.

Podchodząc do mnicha, dwoma ruchami palców rozpiął guziki kurty. Ukazał się pod nią szeroki, skórzany pas przytrzymujący spodnie, a za pasem rękojeść myśliwskiego noża.

Wzrok mnicha przesunął się z twarzy przybysza na rękojeść tego noża. Była wykonana z bawolej kości, z delikatnym ornamentem w miejscu uchwytu. Ku górze zaginała się w kształt głowy orła z drapieżnym dziobem i ostro wyrzeźbionym rozwartym okiem.

— Czy udzielicie wędrowcowi krótkiej gościny? — rzucił Czarny półgłosem, nie spuszczając oczu z twarzy mnicha.

Ten na moment opuścił powieki i lekko skinął głową.

— Chodź, bracie. Utrudzony wędrowiec zawsze znajdzie u nas spoczynek.

Krótki ruch dłoni wystarczył, by obaj strażnicy szybko usunęli się na bok.

BYŁO JUŻ BLISKO DO ZACHODU słońca, kiedy Benko, polując w południowej stronie puszczy, dotarł do rzeki.

Podmokłe w tym miejscu brzegi zarastała szerokim pasmem trzcina. Za nią świeciła powierzchnia wody, a dalej ciągnęła się znów ściana sitowia przeciwległego brzegu, tworząc zielone, szumiące koryto. Dalej stał bór nieruchomy, tajemniczy i groźny.

Po ciemnym wnętrzu lasu światło otwartej przestrzeni raziło oczy. Benko stał chwilę, ogarniając wzrokiem rozległą przestrzeń wody. Z ruchliwego

gąszczy zarośli, pełnego szmerów, szelestów i ptasich pisków, coraz to wystrzelał w górę skrzydlaty pocisk i czas jakiś krążył w powietrzu. Potem znów opadał w zaciszne schronienie trzcinowych ostępów, mimo że błękitny bezmiar nieba, z białymi płachtami wolno sunących obłoków, zdawał się tchnąć spokojem i bezpieczeństwem.

Ale na północnej stronie, w sianej mgiełce dalekiej przestrzeni, ponad ciemną koronką wierzchołków drzew biegła ku górze wąska strużka dymu, rozciągając się w brudną, włokącą się po niebie smugę.

Benko zauważył ją od razu, ale refleksja nad przyczyną odległego pożaru przysła nieco później. Trzebiecie puszczy czy przypadkowo zaproszony ogień? A potem nagle zjawiła się obawa, nieomal przerażenie. To był przecież kierunek jego własnego domu.

Ogarnięty strachem, podrzucił łokciem kuszę, by lepiej ułożyła się na plecach, i ruszył skrajem lasu w dół rzeki, ku czółnu ukrytemu wśród sitowia.

Po godzinie szybkiego marszu dopadł i trzęsącymi się rękami zepchnął na wodę. Czółno było drążone w kłodzie drzewa, chybotliwe i niepewne. Paru gwałtownymi ruchami wiosła skierował je ku środkowi rzeki, tam gdzie nurt jej był najbystrzejszy.

Rozpoczęły się godziny nieprzerwanej ani na chwilę pracy wiosem, z sercem ściśniętym przecuciem nieszczęścia. Czółno leciało z prądem jak ślizgający się po wodzie ptak.

Gdy minął wreszcie ostatni zakręt rzeki, była już pora przedświt. W szarzyźnie wstającego dnia, pomiędzy liśćmi nadbrzeżnych chaszczy ujrzał czerwień żarzących się zgliszczy i noc powróciła znów, ogarniając świat.

Dom postawiony tego lata, a więc z niezupełnie jeszcze wyschłego drzewa, ocalał. Jedna ściana była wprawdzie osmalona żarem palących się obok zabudowań, ale przybyli na widok pożaru kmiecie — na swoje szczęście już po odjeździe napastników — zdołali nie dopuścić do dalszego postępu ognia. Ocalili również część stajni, a rozpierzchły inwentarz łapano jeszcze do późnej nocy. Relację tę zdawał Benkowi siwy Lasota, rówieśnik i towarzysz młodości jego ojca. Ten znów przebieg napadu znał z opowiadania ukrytego w zaroślach Tomka. Chłopak widział, jak Benkową Zytę, chyba nieprzytomną, wyniósł z domu rycerz. Potem nieznani najeźdźcy związali ją i uprowadzili z sobą.

Benko wysłuchał kmiecia z nieruchomą, niemal kamienną twarzą. Kim zaś byli napastnicy, domyślił się, kiedy za brodem znaleziono zwłoki człowieka, w którym rozpoznał Ulika.

Z następnych dni pozostało mu w pamięci tylko jedno wspomnienie. Chwila, kiedy wszedł do domu i stanąwszy na progu małżeńskiej alkowy, ujrzał w blasku świtu jej wnętrze.

Srebrna poświata sączyła się z okna. W martwym bezruchu trwały sprzęty i rzeczy znane kiedyś dobrze, przyjazne, swoje. Teraz były obce i wrogie, bo bezlitośnie obojętne, bo nie krzyczały razem z jego sercem.

Przewrócony zydel sterczał nogami do góry, na skrzyni leżała zapaska Zyty, w rogu tkwił kołowrotek, którego już nie dotknie jej stopa. A ich posłanie, gniazdo wspólnego spoczynku i najczulszego zespolenia, skotłowanym kłębem pościeli, zmiętej i zbrukanej śladami błota obcych nóg, świadczyło o tym, co się stało. Była to otchłań, w której pogrążał się wyobraźnią, zaciskając usta, by nie krzyknąć.

Potem obraz tego, co zaszło, wciąż trwał. Świat raptem opustoszał i wszystko przestało mieć znaczenie. Nie czuł potrzeby snu ani pożywienia. Jego kmiecie, z delikatnością nieoczekiwaną u tych przywykłych do twardego życia ludzi, dostarczali mu posiłków i próbowali odciągnąć myśli ku powszednim troskom dalszego bytu. Były to jednak daremne wysiłki, bo nie słyszał ich słów ani nawet nie dostrzegał ich obecności. Jedzenie pozostawało nietknięte, a on, z twarzą podpartą na rękach, trwał godzinami bez ruchu.

Więc troszczyli się już tylko o ocalały dobytek i inwentarz, jego samego nie nagabując. Może człowiecza rozpacz wypalił się i myśli wrócić do zwykłego biegu.

Myśl wróciła, ale inna. Pewnego wieczoru, siedząc przy ognisku, jakby się ocknął z otumanienia.

Od zgliszczy szedł zapach spalenizny, z tyłu czerniał zrab opuszczonego domu, a obok stały resztki ścian niedopalonej stajni. Teraz spędzał w niej noce, leżąc na garści siana i patrząc w rozgwieżdżone niebo.

Niepodsycany ogień ledwie co pełgał płomieniem po tlejących węglach. Poczut na plecach chłód idący od rzeki. Siedział jeszcze chwilę, wpatrując się w znikające płomienie, po czym uniósł się na nogi i stał

z pochyloną głową, jak gdyby nasłuchując sobie tylko znanego wołania, idącego nie wiadomo skąd, z czarnej otchłani lasu za rzeką czy z bezmiaru rozgwieżdżonego nieba.

Wreszcie odwrócił się i ruszył ku stajni. Nie było w niej ciemniej niż na dworze, gdyż poprzez częściowo spalony dach docierało tu światło gwiazd i wstającego nad puszcza księżycą.

Podszedł do ściany i zdjął wiszącą na drewnianym kołku uździenicę. Odpiął wodze i uniósłszy głowę, obserwował nadwęglone belki stropowe.

Jedna z nich wydała mu się dostatecznie mocna i najbardziej przydatna. Podszedł do niej i przerzuciwszy koniec rzemienia, zawiązał na nim węzeł. Potem, ściągając go ku górze, szarpnął po gospodarsku parę razy, by upewnić się, czy trzyma mocno.

Próba dała dobry wynik, więc u drugiego końca rzemienia sporządził pętlę. Wreszcie podsunął obrócony do góry dnem cebrzyk do pojenia koni.

Po dokonaniu tych przygotowań spojrzął ku górze i wolno, z rozważą przeżegnał się.

Jednak czas jego jeszcze nie nadszedł. W chwili bowiem, kiedy miał wstąpić na cebrzyk, raptem rozległo się z ciemności wołanie:

— Hej, jest tam kto?!

Jednocześnie w wejściowym otworze ukazał się kontur postaci. Ciemna sylwetka stała nieruchoma i milcząca. Benko wypuścił z ręki pętlę, która kołysała się lekko.

Chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Wreszcie rozległ się głos przybysza, pozornie obojętny, jakby scena, którą zastał, uszła jego uwagi.

— Ty jesteś Benko?

— Tak. A ty kto jesteś?

— Dla ciebie — Boży wysłannik. Chodź ze mną.

Przybysz obrócił się i wyszedł ze stajni, nie oglądając się za siebie, jak gdyby wykonanie polecenia uważał za przesądzone. Podszedł do tlejącego ogniska, dorzucił do ognia parę szczap i nasunął na nie żar, by łatwiej chwycić je płomień. Potem wyprostował się, spoglądając przez ramię na wolno zbliżającego się Benka.

— Wiem, co się tu stało — odezwał się spokojnie. — Opowiedzieli mi kmiecie. Siadaj, porozmawiamy.

W świetle na nowo rozbłysłego płomienia Benko ujrzał drobną twarz pełną zmarszczek, z zaciśniętymi w wąską linię ustami. Nieznajomy ubrany był w obszerną opończę, której kaptur opuścił teraz na ramiona, ukazując łysą czaszkę z otokiem siwych włosów.

Sam usiadł pierwszy, odrzuciwszy skraje opończy, bo od ognia szło ciepło. Benko ujrzał pod spodem napierśnik z twardej, wyrobionej skóry, a za pasem frankoński toporek i nóż o prostym, długim ostrzu, ukrytym w pochwie.

Zajął miejsce po drugiej stronie ognia i bez słowa obserwował przybysza. Początkowe zniecierpliwienie wywołane jego nieoczekiwanym pojawieniem się minęło, natomiast pragnienie ucieczki od męki własnych myśli zaczęło powracać. Milczał więc, cierpliwie oczekując na chwilę, kiedy znów pozostanie sam.

Przybysz raz i drugi rzucił krótkie spojrzenie na jego ściągniętą cierpieniem twarz o głęboko zapadniętych oczach, wreszcie przerwał zaległe milczenie:

— Pytałeś, kto jestem. Zanim przejdziemy do innych spraw, powinieneś to wiedzieć. Otóż jestem wędrownym kupcem z Krakowa, a nazywam się Erazm. Ciągnę do Prus bocznymi ścieżkami. Jak wiesz, my, kupcy, nie lubimy traktów, bo tylko duże tabory kupieckie są na nich bezpieczne. Juczne konie i pachołków pozostawiłem u twoich kmieci. Oni też powiedzieli mi, co tu zaszło. Pomyślałem więc sobie, że może na coś się przydam...

Przerwał na chwilę i schyliwszy się poprawił ognisko. Potem uśmiechając się samymi tylko kącikami warg, dokończył:

— I chyba istotnie przydałem się...

Benko uniósł wzrok i spojrzał w zupełnie jasne, jakby wyblakłe oczy o uporczywym, ostrym spojrzeniu.

— Jesteś tego pewny...?

— Wątpisz? Tylko Bóg może odebrać nam życie. Człowiek tego prawa nie ma, a jeśli je łamie, ulega karze wieczystego potępienia. A ty, głupi człowieku, wybrałeś mękę wieczystą, uciekając od krótkiej, doczesnej.

— Bo tej już wytrzymać nie mogłem — mruknął Benko.

— Nie mogłeś...? Ale dokąd chciałeś uciec? Z jednej męki w drugą, już bez końca i stokroć gorszą! I to miał być ratunek?

Benko zaczął mówić na wpuł do siebie:

— A więc nie ma ucieczki? Muszę zność boleść, której znieść nie sposób? — Oparł łokcie o kolana i chwyciwszy głowę w dłonie, powtarzał z uporem: — Nie, nie mogę... I jakże mam żyć, skoro i z hańby wyrwać jej nie umiem, i nie wiem nawet, na kim jej hańbę mam mścić...

Erazm bez słowa obserwował Benka. W jego spojrzeniu pojawił się wyraz współczucia, ale głos, którym przerwał słowa młodego mężczyzny, był ostry i opryskliwy:

— Weź się w garść! Zduś w sobie myśli i zabierz się do roboty!

Benko znieruchomiał i gorzki grymas wykrzywił mu usta.

— Do roboty mówisz? Dla kogo, skoro ją straciłem?

— Nie straciłeś! Przecież ona żyje!

— Wolałbym, aby zmarła. Ona już nie dla mnie.

— *A dlaczegoż to nie?*

— *Bo ma ją inny. Daj mi spokój! — wybuchną nagle. — Nie mogę tego znieść!*

— *Nie wrzeszcz, mów spokojnie. Przecież nie poszła z własnej woli.*

— *Cóż z tego? Zhańbionej pozostała tylko śmierć! Oby chociaż z mojej ręki... Byłoby jej lżej...*

— *Opamiętaj się, ślepy człowieku! Chcesz żonę karać za gwałt, który jej uczyniono? Cóż ona winna?*

— *Kto mówi o karze? To wyzwolenie z hańby...*

— *Najpierw musisz ją znaleźć.*

Benko opuścił z rezygnacją głowę.

— *Właśnie... Ale jakże to mara zrobić? Wszystkie te dni i noce rozmyślałem nad tym i nie widzę sposobu.*

— *Pomówimy jeszcze o tym. Teraz mam ci do powiedzenia co innego. Kiedym przygotowywał w Krakowie tę kupiecką wyprawę, już słyszałem o tobie.*

Benko spojrzał ze zdumieniem na Erazma.

— *O mnie? Przecież ja tam nikogo nie znam!*

— *Czyżby? Toś zapomniał o księdzu Andrzeju z Lubrańca, co tu był zeszłego lata?*

— *A prawda! To on teraz w Krakowie?*

— *Tak. I pamięta o tobie. To właśnie on prosił mnie, abym cię tu odwiedził i pozdrowił od niego. Nie wiedział jeszcze o nieszczęściu, jakie cię spotkało.*

— *Podziękuj mu za pamięć.*

— *Ale to nie wszystko. Ksiądz Andrzej chciałby wiedzieć, co się stało z Ulikiem? Czyś dawno go widział?*

Benko popatrzył w oczy gościowi.

— *Czy tylko handlem się trudnisz?*

Erazm uśmiechnął się lekko.

— *Tylko, bracie. Zapamiętaj sobie, że tylko handlem i niczym więcej. Ale jako kupiec lubię wiedzieć to i owo. Nie wiadomo nigdy, co może być pomocne w interesach...*

— *Ksiądz Andrzej nic więcej ci nie mówił?*

— *Owszem. Miałem cię pozdrowić i życzyć, by święty Bruno strzegł twego dnia, a święty Marek nocy.*

Benko skinął głową potwierdzającym gestem.

— Ulik nie żyje. Zabili go przy brodzie. To on ich tu przywiódł.

— Tak sądziłem. A teraz skoro już wiesz, co trzeba o mnie, słuchaj uważnie, co ci powiem.

Człowiek ten, mały i niepozorny, o przeciętnym, niczym niewyróżniającym się wyglądzie, mówił spokojnie, bez podnoszenia głosu, ale siła jego indywidualności zmuszała do posłuchu, toteż Benko mimo woli utkwiał skupiony wzrok w jego twarzy.

— Dależ się ugiąć swojemu nieszczęściu. Zrzucisz teraz jego brzemię i staniesz do pracy, którą ci wskażę. Spodziewam się, że ją przyjmiesz, bo pozwoli ci ona służyć i twojej własnej sprawie. Czy znasz niemiecki?

— Znam.

— A litewski i ruski?

— Trochę. Tyle co od jeńców, których miał ojciec.

— Na początek wystarczy. A więc jeśli chcesz, dam ci możliwość dotarcia do krzyżackiego kojca. Tam wykonując otrzymane zadania, będziesz miał jednocześnie możliwość szukania śladów swojej żony.

— Jakie to będzie zadanie?

— Odpowie ci na to człowiek, do którego cię skieruję. On ci twoje zadanie wyznaczy i on wymyśli sposób na wprowadzenie cię w malborskie mury, bo tam musisz się znaleźć.

— Kto jest ten człowiek?

— A więc przyjmujesz moją propozycję?

Benko gwałtownie pochylił się do przodu.

— Tak! Po stokroć tak! Jak trzeba, to będę i najmarniejszym z marnych, abym tylko mógł dopaść tego psa! A wówczas — biada mu...

Erazm przyglądał się Benkowi spod oka.

— Ale pamiętaj — uniósł dłoń do góry ostrzegawczym gestem — zawsze, w każdym wypadku poruczone ci zadanie musi być na pierwszym miejscu! To musisz zaprzysiąc, a więc najpierw zastanów się dobrze, czy przysięgi zdołasz dotrzymać.

Benko opuścił głowę i siedział jakiś czas ze zmarszczoną brwią. Wreszcie uniósł wzrok na Erazma.

— Jeślibym miał stracić sposobność, którą mi wskazałeś, nie mam po co żyć, a bez takiej przysięgi nie dasz mi pomocy, więc przysięgam ci, że nie uczynię nic dla siebie, co by w czymkolwiek zaszkodziło zadaniu, które mi dacie. Ono niech będzie pierwsze, tak mi dopomóż Bóg!

Erazm skinął głową.

— Dobrze. A więc słuchaj. Jutro przed rozstaniem dostaniesz ode mnie pismo, którego masz strzec jak żrenicy oka. Potem udasz się na Litwę, do Trok, gdzie zgłosisz się do klasztoru Benedyktynów i oddasz pismo do rąk opata Łukasza. Będziesz pod jego pieczęcią i będziesz czynił to, co on ci rozkaże. Ale już teraz mogę ci powiedzieć, że jeśliś sam przywykł do rozkazywania, musisz nauczyć się posłuszeństwa; jeśliś hardy — musisz umieć stać się pod stopy; jeśli kochasz wolność — bacz, byś zdołał żyć w okowach. Nie będzie ci wolno być sobą, nigdy, ani przez chwilę, nawet we śnie, bo sen bywa zdradliwszy niż jawa. Pamiętaj, że będziesz żył wśród wrogów, ale masz być ich przyjacielem, powiernikiem, a nawet pomocnikiem. Wtedy będziesz człowiekiem, który nam jest potrzebny, a resztę wskaże ci ojciec Łukasz.

— Mam teraz po co żyć... — rzucił cicho Benko, wpatrując się w ogień.

— Wypocznij, bo jutro czeka cię podróż. Ja wracam do swoich pachotków, a ty przyjdź o świcie po pismo, będzie gotowe.

Sen nadszedł twardy i krzepiący, pierwszy taki od wielu dni. Mimo to Benko zerwał się na nogi, kiedy pierwsza różowość pojawiła się ponad puszcza. Ogarnął się i ruszył ku kmiącym zagrodom położonym o kilka staj od gródka. Obudził śpiącego jeszcze Lasotę, a potem odszukał Erazma. Ten wręczył mu złożony kawałek szarego, zapisanego łąciną papieru, w którym romańskie litery, biegnące równymi rzędami, stanowiły o jego dalszych losach.

— Ruszaj tedy w swoją drogę, bo nic tu już po tobie. I pamiętaj o przysiędze!

— Masz rację, nic już tu po mnie... — cicho powtórzył Benko, kiedy poczet dziwnego kupca, składający się z dwóch jeźdźców i trzech jucznych koni, zniknął w lesie.

— Odjeżdżam, stary — zwrócił się Benko do Lasoty — i nie wiem, czy i kiedy wrócę. A póki nie wrócę, zwalniam was z danin i opłat. Inwentarz, który został, rozdzielisz sprawiedliwie pomiędzy ludzi. Ja biorę tylko gniadego.

— Jedziesz sam?

— Sam. I jeszcze jedno. Obejdź zagrody i powiedz, by nie biegli, jeśli ujrzą ogień. Gasić go nie będzie trzeba...

— Co chcesz uczynić?

— Zostawić po sobie popiół, by rozwiął go wiatr. Niech wszelki ślad po mnie zniknie.

— Benko! Taki dom! I tyle dobra, broni, sprzętów! Opamiętaj się!

— Nic mi po tym. A nie dam nikomu, czego dotykały jej ręce. No, dość tego gadania! — przerwał raptownie. — Bądź zdrow!

Kiedy Benko, kierując się na wschód, wjeżdżał pomiędzy pierwsze drzewa lasu, dom podpalony jego własną ręką buchał w niebo olbrzymim słupem ognia i dymu. Słyszał za sobą huk i trzaskanie tego ognia, ale nie obejrzał się ani razu.

DNI PŁYNEŁY JEDNOSTAJNIE jeden po drugim, wypełnione pracą, której towarzyszyło ciągłe gorzkie poczucie winy, bezradność i lęk. Strach nie opuszczał księdza Dunina ani na chwilę, zatruwając dzień i budząc po nocy. Nie był to jednak strach o siebie, bo ze swoim losem pogodził się z chrześcijańską pokorą. Bał się o los Uny, jak mu się zdawało, zależny tylko od niego. Od jego zaparcia się siebie, posłuszeństwa i rezygnacji.

Żyjąc w tym stanie ducha i umysłu, nie zwrócił uwagi, że zakres spraw poruczonych mu zawężił się tylko do stosunków z Litwą, a podpis podkanclerza na jego pismach wyglądał nieco inaczej niż dotąd, gdyż kończył go teraz zamasztysty zakręt. Nie wiedział też, że kancelaria wielkiego księcia została uprzedzona inną drogą, jak należy traktować pisma z takim podpisem.

Podkanclerzy Trąba wrócił do sprawy swego kanonika w jednej z kolejnych rozmów z księdzem Andrzejem.

Wyszedł w gronie dostojników z wieczerzy u króla i pożegnawszy ich, skinął na proboszcza. Ruszyli w dwóch korytarzem w stronę kręconych schodów prowadzących na następne piętro, gdzie mieli swoje komnaty. Ksiądz Andrzej przystanął jednak u pierwszych stopni.

— Nie idziesz do siebie? — rzucił podkanclerzy, obracając się ku proboszczowi.

— Jeszcze nie. Mam spotkanie w grodzkim urzędzie.

— Pilne?

— Może poczekać, jeśli wasza wielbność chce ze mną mówić.

— To dobrze, bo ostatnio nie miałem ku temu okazji. Siądziemy sobie tu...

Trąba podszedł do okiennej niszy, w której stała kamienna ława, wskazując proboszczowi miejsce obok siebie. Ten najpierw spojrzął w obie strony pustego o tej porze korytarza, a upewniwszy się, że w jego odległych perspektywach widać było jedynie nieruchome sylwetki pałacowej straży — usiadł.

— Co z Duninem? — rzucił bez wstępów Trąba. — Czy odbyłeś z nim rozmowę?

— Nie.

— Jeszcze nie? Dlaczego? — zdziwił się podkanclerzy.

— Bo powstała sytuacja jest dla nas korzystna. Obecnie Zakon otrzymuje wiadomości, które chcemy, aby otrzymywał. Czy ten ostatni konspekt pisma już Dunin opracował?

— Masz na myśli nasze ostrzeżenie wielkiego księcia, że w razie wojny Litwy z Zakonem pozostaniemy na uboczu?

— Tak.

— Oczywiście! Zależy mi, by Ulryk był tego mniemania. Im mniej czasu będzie miał na przygotowania do rozprawy z nami, tym lepiej. Rzecz prosta, list podpisałem tak, jak to ustaliliśmy. W ten sposób adresat wie, że nie należy brać go pod uwagę.

— A więc wasza wielbność widzi, że Dunin spełnia ważną rolę. Rozmowa z nim uniemożliwiłaby taką grę.

— Hm... Może masz rację.

— Bez wątpienia, bo to nie jest człowiek zdolny do udźwignięcia podwójnej roli. Już i ta presja, pod którą żyje, wydaje się być ponad jego siły. Mam go na oku i doprawdy z trudnością przychodzi mi udawanie ślepego.

— A więc nie masz już żadnej wątpliwości?

Ksiądz Andrzej skinął głową, ale nie odpowiedział od razu, gdyż w korytarzu rozległy się kroki i dwóch dworzan, zajętych rozmową, minęło wnękę, w której siedzieli. Podjął temat dopiero, gdy ich kroki zaczęły ucichać.

— Żadnej, wasza wielbność. Kazałem go obserwować jednemu ze swoich ludzi. Dwa dni temu człowiek ten został zasztyletowany...

— Co mówisz?! — Podkanclerzy uderzył dłonią o kant ławki. — Niech to piorun trzaśnie! Gdzie?

— W zaułku, koło oberży „Pod Wesołym Żakiem”.

— Może to zwykła bójka? Po prostu przypadek?

— Dawno przestałem wierzyć w takie przypadki. Moim ludziom nie wolno wdawać się w bójki. Ten otrzymał uderzenie w plecy.

— I uważasz to za dowód? — W głosie Trąby zadrgało lekkie wahanie.

— A wasza wielbność nie? — Ksiądz Andrzej spojrzał w twarz dostojnika.

— Kogo śledził ten biedak? Bo przecież nie samego Dunina?

— Ba! O to chodzi, że zabójstwem tym zatarli ślad!

— A więc to działanie całego zespołu?

— Już porwanie dziewczyny tego dowiodło.

— A czy nie uważasz, że należy zająć się i tą dziewczyną? Mamy przecież takie możliwości. Chcę wiedzieć, co się z nią stało, a zwłaszcza gdzie jest. Wyrwanie jej z zakonnych rąk uratuje Dunina.

Na to mamy jeszcze czas. Póki Dunin jest posłuszny, nic jej nie grozi.

— Co masz zamiar teraz robić?

— Dotrzeć do grubej zwierzyny. Sprawę tę już poruczyłem człowiekowi, którego uważam za jednego ze zdolniejszych.

— Miałeś już wiadomość od brata Erazma?

— Tak. Zabito łącznika, punkt przerzutowy z komturstwa Golub został zlikwidowany. Całą organizację na tym terenie musimy odbudowywać na nowo.

— A więc zamordowali jeszcze jednego z naszych ludzi?

— Nie, ale zgwałcili i porwali mu żonę. Brat Erazm zaproponował poszkodowanemu, by podjął się roboty na terenie Prus. W ten sposób będzie mógł poszukiwać śladów żony, jednocześnie wykonując i nasze zadania. A zbieżność interesów jest najlepszą gwarancją dobrej roboty.

— Hm... Jak na mój gust, zbyt cynicznie traktujesz ludzi.

Ksiądz Andrzej uśmiechnął się.

— Takie są wymogi naszej służby. Mówiłem już waszej wielbności, że do brata Erazma można mieć zaufanie.

Podkanclerzy uniósł się z ławki.

— Zatem Dunina wolisz nie ruszać?

— Nawet przeciwnie. Musimy dołożyć wszelkich starań, by obecny stan trwał jak najdłużej. W ten sposób odniesiemy dwie korzyści.

Trąba spojrzął spod oka na proboszcza.

— Rozumiem... Podsuwanie fałszywych informacji i złapanie tropu do zakonnych ludzi tu, w Krakowie?

Ksiądz Andrzej skinął głową, po czym dorzucił bez akcentu pochlebstwa, jedynie jako stwierdzenie faktu:

— Wasza wielbność, jak zwykle, od pierwszego spojrzenia trafnie ocenia położenie.

Mimo to Trąba pogroził mu palcem.

— No, no... bracie... Chcesz mnie zjednać pochlebstwem? Niepotrzebnie, bo bez zbieżności interesów służę memu panu, jak umiem najlepiej. Zostań z Bogiem!

GOSPODA „POD WESOŁYM ŻAKIEM”, przez bywalców zwana potocznie „Pod Gnatem”, znajdowała się przy ulicy Szrotarskiej. Nie była miejscem zebrań żadnego z cechów, zapewne z racji nie najlepszej opinii, bo jej goście przeważnie nie mieli stałych i określonych zarobków. Ale właścicielowi wystarczyło, że płacili — reszta nie była ważna.

Sam z niejednego pieca chleb jadał, ale zajmwszy się wyszynkiem, zajęcia już nie zmieniał. Wiek zresztą i tusza nie pozwalały na bardziej ruchliwą pracę, nie mówiąc już o rzemiośle z młodych lat, kiedy to — jak przebąkiwano — rzekomo trudnił się rozbojem po gościńcach. Ale jeśli nawet o tym mówiono, to tylko po cichu, bo i teraz karczmarz miał opinię człowieka, z którym lepiej żyć w zgodzie.

Gospoda zajmowała parter dwuokiennej kamieniczki. Na piętrze znajdowało się parę gościnnych izb dla podróżnych lub zapóźnionych gości, którzy woleli przenocować na miejscu pijatyki niż narażać

skórę, wracając po nocy do domu. Mieszkania znajdowały się w oficynie, nad stajniami i wozownią. Drzwi od tych pomieszczeń wychodziły na kryty krużganek obiegający dom od podwórza.

Z racji wczesnej pory sala była jeszcze pusta. Otyła postać gospodarza tkwiła w mrocznym kącie, skąd obserwował dwie służebne, krzątające się po sali.

W rogu pięły się drewniane schody prowadzące na piętro, gdzie galeryjkę przyozdobioną rzeźbioną poręczą kończyło łukowato sklepione przejście. W tej chwili w tym przejściu ukazała się sylwetka młodego mężczyzny.

Niebieskie, obciste spodnie kończyły się u bioder bufami, czarny kaftan z cienkiego sukna miał rozcięte i ściągnięte sznurem rękawy. U metalowego paska ze srebrnych kótek zwisał mały sztylet, a głowę młodzieńca nakrywał czworokątny biret, przynależny tytułowi bakałarza.

Opartszy dłoń o poręcz, począł wolno schodzić, ostrożnie stawiając stopy obute w płytkie cizmy z długimi nosami.

Minął salę, skierowując się do wyjścia. Szedł z pochyloną głową, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Z ciemnego kąta rozległ się tubalny bas:

— Dzień dobry, panie... Przed wyjściem nie popłuczecie gardziółka kufelkiem piwa?

Młody mężczyzna zatrzymał się i, pochylając do przodu, zmrużył nieco oczy.

— A kto tam? Nie dostrzegam w półmroku.

— Wasz pokorny sługa Marcin, właściciel tej oberży.

— Aha... Witam pana Marcina! Istotnie kufelek dobrze zrobi, bo, zdaje się, upał dziś doskwiera.

— No to proszę. — Szylnik uniósł się z zydła, wskazując pobliską ławę. — Panie... Jak, za pozwoleniem, mam nazywać? Wczoraj nie zdążyłem spytać.

— Jestem Kacper z Szymonowa, bakałarz nauk prawnych.

— Miło mi mieć tak uczonego gościa. Anka, daj nam dwa kufelki zielonego biłgorajskiego.

Młody mężczyzna, nie zmieniając skupionego wyrazu twarzy, skinął w milczeniu głową i sięgnął po podstawiony kufel, dmuchując zeń pianę, by umoczeniem nosa nie okazać prostactwa obyczajów.

— Studiuję, by zdobyć magisterski tytuł — rzucił wyjaśniająco, ocierając usta wierzchem dłoni. — Tutejsza biblioteka kolegiacka jest znana z zasobności, toteż korzystam z niej chętnie.

— Pan bakałarz nie z tych stron?

— Z Wielkopolski. Ale nie byłem w kraju, bo studiowałem w Niemczech. Tytuł uzyskałem w szkole katedralnej w Ratzbonie.

— Pan bakałarz długo zatrzyma się w Krakowie?

— To będzie zależało, jak mi się tu powiedzie. Zasobów zbyt dużych nie mam, ale może jakoś się tu urządzę, by i zarobić coś niecoś, i mieć czas na naukę.

— Moja oberża nie jest droga. A w najgorszym razie może znajdzie się miejsce w profesorskiej bursie?

— Aby tam mieszkać, trzeba prowadzić wykłady, a ja sam jeszcze muszę wiele się nauczyć. No, czas na mnie. Ile za piwo?

— Piwo moje. Na obiad pan bakalarz przyjdzie do mnie?

— Ależ tak! — Młody człowiek wstał z miejsca i skłoniwszy się gospodarzowi, ruszył ku drzwiom. Grubas odprowadził go wzrokiem, po czym pozostał w miejscu, nieruchomy i wpatrzony w podłogę u swoich nóg.

Od tej zapoznawczej rozmowy upłynęło parę dni. Młody bakalarz zniknął z oberży już rankiem. Przychodził albo nie na południowy posiłek, ale przed wieczorem wracał do swojej izby na piętrze. Zdaje się, że lubił jednak ruch i gwar sali pełnej gości, bo na wieczór schodził na dół, przesiadując potem aż do zamknięcia przy kuflu piwa.

Kiedy ruch zmniejszał się i roboty było mniej, przysiadł się do niego gruby Marcin. Wypytywał o to i owo, coraz bardziej przekonując się o prostoduszności swego lokatora. Naiwność jego wypowiedzi śmieszyła często gospodarza, nie okazywał jednak po sobie rozbawienia.

Tego dnia, a był to piątek, kropił drobny deszcz. Młody bakalarz wyszedł z oberży nieco później, naciągnąwszy kaptur opończy na głowę. Stał jakiś czas na małym placyku przed oberżą, stanowiącym coś w rodzaju podjazdu, gdyż kamieniczka była nieco cofnięta. Rosły tu dwie wielkie lipy, pod którymi w słoneczny dzień również stawiano stoły.

Młody człowiek rozejrzał się dookoła, po czym ruszył na lewo, w stronę kościoła Świętego Rocha.

Mijając zaułek, a właściwie wąskie przejście za gospodą w stronę ulicy Św. Krzyża, spojrzął w jego głębię ograniczoną dwiema ścianami parkanów. Lśniło teraz pomiędzy nimi czarne błoto, tu i ówdzie świecąc kałużami wody.

W pół godziny później dotarł do Wawelu. Zamkowa brona była podniesiona, a za przerzuconym nad fosą mostem czerniał ostrołuk wjazdu.

Kiedy po wyjściu z bramy bakalarz znów znalazł się w blasku dnia, nienagabywany przez straż, bo ruch był duży, skierował się ku katedrze Świętego Wacława.

Wnętrze było mroczne i ciche. Minął kaplicę Mariacką, gdzie właśnie kapłan odprawiał mszę, słuchaną przez małą grupę wiernych, i siedł dalej. W kaplicy Jana Ewangelisty tylko kilka postaci klęczało pod ścianami, czekając zapewne na swoją kolej do dwóch spowiedników, których sylwetki rysowały się niewyraźnie w ciemnych wnętrzach konfesjonatów.

W pierwszym od wejścia spowiadał sekretarz kancelaryjny, tutejszy kanonik, Dunin ze Skrzywna. Drugiego kapłana Kacper nie znał, natomiast znał człowieka, który klęczał w pobliżu.

Sam również ukląkł przy bocznej kolumnie i ukrył twarz w dłoniach. Wyglądał jak zatopiony w modlitwie, ale przez rozstawione palce obserwował, co się dzieje w kaplicy.

Wypełniał ją półmrok przygaszonego przez witraże światła. Jego skośne, różnokolorowe smugi padały z wysokich gotyckich okien, kładąc się barwnymi plamami na kamiennych płytach posadzki. Panowała cisza, którą z rzadka przerywał stłumiony głos kapłana, odprawiającego gdzieś nabożeństwo, i perlisty dźwięk dzwonka.

Czas płynął wolno. Kacper nie podnosił się z kolan. Znany mu człowiek klęczał również. Uplynęło jeszcze parę długich chwil, zanim Kacper posłyszał wreszcie za sobą cicho stąpające kroki przybysza. Dostrzegł, jak ten umieścił się nieopodal konfesjonatu Dunina, a potem, kiedy zrobiło się przy nim miejsce, zbliżył się i nachylił ku kracie. Trwał tak przez kilka chwil, dopóki nie ukazała się na parapecie przykryta stulą dłoń spowiednika. Przybysz schylił się ku niej pokornie, ujął tę dłoń w swoje palce i ucałował stulę ze czcią. Ruch ten był zbyt pospolity, by zwrócić czyjś uwagę, jednak Kacper dostrzegł moment zetknięcia się obu dłoni.

Przybysz odwrócił się do wyjścia, a Kacper spojrział w stronę, gdzie klęczał pod ścianą Jurga. Właśnie uniósł się z kolan i ruszył za wychodzącym. Wkrótce obaj zniknęli za załamaniem muru.

W pierwszej chwili młody bakalarz chciał podążyć za nimi, ale instynkt, a może i przezorność kazały mu pozostać jeszcze jakiś czas bez ruchu. Ta ostrożność pozwoliła mu dostrzec postać, która wysunęła się zza ołtarza i podążyła w ślad za tamtymi. Kiedy wychodzący mijał go, Kacper ujrzał twarz o zapadniętych policzkach i wąskich, ale ponad miarę wydłużonych ustach.

Teraz i on ruszył ze swego miejsca, by po chwili znaleźć się przed katedrą.

Na podwórcach kręciło się sporo ludzi. Od strony stajen rozlegało się rzenie koni i pokrzykiwanie stajennych, a od Robsztyna, gdzie mieściła się królewska menażeria, dochodziły groźne pomruki lwów. Kacper rozejrzał się dookoła i zdołał jeszcze dostrzec chudą postać znikającą właśnie w mrokach bramy.

Poza murami Zamku droga rozwidła się. W lewo szła ku Kanonicznej, a w prawo do Okołą, za którym rozpoczynała się ulica Grodzka. Wśród drzew przyległych cmentarzy lśniły po deszczu dachy kościołów Św. Marcina, Andrzeja i Piotra, a dalej, ku północy skupiało się miasto, wciśnięte w obręcz murów. Z gąszczu kamienic i domostw wystrzelały kościelne wieże i stożkowe dachy obronnych baszt, strzegących znaczniejszych gmachów.

Młody bakalarz przeniósł wzrok na drogę, szukając wśród przechodniów znajomych sylwetek. Pierwszy szedł człowiek w wysokiej brązowej czapce, której koniec opadał mu na ramię. Drugim był Jurga, trzecim chudy mężczyzna w opończy.

Brązowa czapka skierowała się w lewo, niknąc na chwilę za drewnianymi zabudowaniami okalającymi kościółek Świętego Idziego, potem ukazała się znów. Jak należało oczekiwać, Jurga poszedł tą samą drogą. Ale i chudy mężczyzna obrał ją również, co upewniło Kacpra, że dobrze zrobił, nie ruszając się od razu ze swego miejsca pod kaplicznym filarem.

W ten sposób minęli Kanoniczną, skręcając potem ku Grodzkiej.

Tu był duży ruch. Ulicę ciągnęły ładowne wozy, których woźnice krzykiem popędzali konie, obrzucając wyzwiskami nieostrożnych pieszych, a i siebie wzajemnie, jeśli zaczepiły się osie lub któryś z wozów utknął mimo słomy w błotnistej dziurze, tarasując drogę. Po jej nierównościach kolebały

się miejskie szrotwagony z piwem dla oberży, wozy z bałwanami wielickiej soli, sadzawice z wodą lub ciągnące z dalszych stron kupieckie budy z węgierskim winem czy miedzią.

Człowiek w brązowej czapce, nieświadomy tego, co działo się za nim, szybko szedł naprzód. Zaczęli zbliżać się ku Rynkowi. Widać już było stłoczoną na nim ludzką ciżbę, a nad nią sterczący wysoko drąg z kapeluszem zawieszonym u szczytu, znak, że targ trwa i nie wolno jeszcze miejskim kupcom nabywać od kmieci towarów.

Znów zaczął siąpić deszcz. Z gorgulców, sięgających wylotami jezdni, tryskała woda ściekająca z dachów. Kacper naciągnął kaptur, obserwując jednocześnie z uwagą chudą postać kroczącą przed nim. Brązową czapkę i Jurgę stracił z oczu w tłoku śródmieścia, ale mając przed sobą człowieka w opończy, nie obawiał się, że zgubi ślad tamtych.

Zastanawiał się nad sytuacją. A więc słuszne było założenie, że piątek jest właściwym dniem do obserwacji kanonika. W piątek bowiem zginął poprzednik Jurgi, a miejsce, gdzie zginął, wskazywało, dokąd udaje się brązowa czapka. Ale, co najważniejsze, znał już początek drogi, którą szły informacje. Wiedział też, jak to się stało, że poprzednik Jurgi otrzymał cios w plecy i kto go zadał. Mordercę miał przed sobą.

Teraz należało wyprzedzić tych trzech.

Oto Koci Zaułek. Skręcił i przebył go biegiem. Wydostał się na Stolarską, przeciął cmentarz i, nadal biegnąc, dotarł do Szrotarskiej. Tam zwolnił, a dochodząc do oberży, rzucił spojrzenie w głąb ulicy. Zza rogu Szpitalnej wyłaniał się właśnie człowiek w brązowej czapce.

Sala gospody z powodu targowego dnia i deszczu była pełna. Kacper celowo przywitał głośno gospodarza, po czym usiadł tak, by mieć na oku wejściowe drzwi.

Człowiek w brązowej czapce nie nadchodził, natomiast zjawił się Jurga. Przysiadłszy za stołem, omiatał wzrokiem salę. Kacper, czekając na zamówiony posiłek, zastanawiał się, gdzie jest brązowa czapka, i nadal obserwował Jurgę. Kiedy po chwili ich spojrzenia spotkały się, uniósł na moment brwi do góry. Otrzymał w odpowiedzi nieznaczny ruch kciukiem w stronę kuchni.

Gospodarz, nachylony nad beczką, napełniał podawane mu kufle. Nagle drzwi pod schodami otworzyły się i Kacper dostrzegł swoją zgubę.

Człowiek w brązowej czapce zatrzymał się na progu i stał tak przez chwilę. Grubas wyprostował się i rzuciwszy okiem na salę, dostrzegł go.

Przed Kacprem stanęły pierogi z serem, jako że dzień był postny. Zabrał się więc do jedzenia, nie spuszczając szynkarza z oczu.

Ten skinął wkrótce na jedną z dziewczyn i poruczywszy jej szynkowanie, skierował się ku drzwiom kuchennym.

Sala brzmiała gwarem. Z kuchni weszła służebna z misą gorącej zupy, kierując się ku stołowi, gdzie siedział Jurga. Przesuwając się za plecami siedzących, znalazła się za Jurgą, a wówczas musiała się potknąć, gdyż część zawartości misy chlusnęła mu na kubrak.

Oblany zerwał się z przekleństwem na nogi. Skonfundowana dziewczyna próbowała oczyścić go ścierką, ale widocznie nie dało to dobrych wyników, gdyż wzięła rozgniewanego klienta za ramię i poprowadziła w stronę kuchennych drzwi.

Kacper przestał jeść, pełen zrodzonej obawy. Nic jednak na razie nie można było zrobić. Należało czekać na dalszy bieg wypadków. Istniała przecież szansa, że cały incydent nie był spowodowany rozmyślnie i Jurga zaraz wróci na salę.

Nie wrócił jednak po upływie pacierza, dwóch ani trzech, zjawił się natomiast gospodarz, kierując się do swego miejsca przy beczkach z trunkami.

Obawa młodego bakałarza wzrosła. Wolno wstał zza stołu i z opończą przerzuconą przez ramię ruszył po schodach. Kiedy znalazł się już na górze, szybko wyciągnął klucz, otworzył drzwi, od progu rzucił opończę na posłanie, po czym głośno je zatrasnął i stał chwilę na korytarzu, nastuchując.

Z sali dochodził gwar rozmów, ale na piętrze panowała cisza. Kacper skierował się ku drzwiom prowadzącym na zewnętrzny krużganek.

Podwórze znał już dobrze. W rogu stary wóz bez dwóch kół kończył pracowity żywot wśród obrastającego go zielska. Za szopą na drzewo była studnia z wkopaną obok rzępią, wypełnioną wodą na wypadek pożaru. Pod krużgankiem znajdowały się wrota wozowni, stajni i składów paszy.

Gdy Kacper tak stał, rozglądając się dookoła, w pewnej chwili wydało mu się, że właśnie stamtąd dochodzi go stłumiony głos.

Położył się na deskach pomostu i wychylił głowę poza jego krawędź. Znowu usłyszał jakby zduszony, głuchy szepot, w którym nie można było rozeznąć słów.

Poderwał się na nogi, przemknął wzdłuż ściany ku schodom i zjechał po ich poręczy. Potem począł skradać się cicho ku uchylonym wrotom. Kiedy znalazł się już przy szczelinie, przez którą widać było ciemne wnętrze, głos odezwał się. znowu, tym razem bliski. Można też już było rozeznąć słowa:

— No i co? Wolisz milczeć?

Kacper wolno i ostrożnie rozszerzył szczelinę, nadal jednak nic nie mógł dojrzeć prócz płóciennej budy jakiegoś wozu majaczącego w mroku.

Wśliznął się do środka i skulił za wozem. Panowała cisza, którą tym razem przerwał zduszony jęk. Potem znowu zabrzmiały słowa:

— Wydłubię ci na wierzch każde żebro z osobna, jeśli nie zaczniesz gadać!

Rozległ się jęk, potem słowa:

— No, masz dość? Kto cię tu przysłał?

Kacper, którego wzrok przyzwyczał się już do ciemności, wychylił się zza wozu. Na wiązce słomy leżał nagi do pasa Jurga, z rękami skrępowanymi na plecach. Na jednym z jego boków czerwieniały długie rany, z których sączyła się krew. Chudy mężczyzna stał nachylony nad nim z zakrzywionym nożem w ręku. Zbrukane krwią ostrze jaśniało w mroku srebrzystym połyskiem.

Kiedy nóż miał dotknąć ciała po raz trzeci, Kacper wyszedł zza wozu.

— No i co, małodobry3? Jak ci idzie? — rzucił, wyciągając z pochwy sztylet.

Chuda postać wyprostowała się gwałtownie, obracając się ku intruzowi.

— Kto jesteś?!

— Czy i to chcesz wiedzieć? — Kacper zbliżył się o krok.

Tamten opanował jednak moment zaskoczenia. Błyskawicznym ruchem ściągnął z haka zawieszoną na ścianie opończę i okręcił nią lewe ramię. Przycisnął je do piersi i, pochylony, z nożem w ręku, ruszył w stronę przybysza.

Dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Kacper, ukazując tamtemu swoją twarz, musiał go zabić, jeśli miał wykonać poruczone zadanie. Czekąca go jednak walka, a z walką tamten był wyraźnie obeznany, toteż nie wolno było dać przeciwnikowi szansy. Zatrzymał się więc w miejscu, uniósł sztylet nieco ku górze, jakby badając jego wagę, i zamachnął się ramieniem.

3 — Kat.

Lotu noża nie było widać. Jego rękojeść ukazała się dopiero wówczas, kiedy ostrze tkwiło już w gardle.

Chudy odchylił się do tyłu, jakby uderzony kamieniem, potem skręcił się w sobie i, charcząc, zwałił na ziemię.

Kacper podszedł do rzucającego się w agonii, odwinął mu z ramienia opończę i nakrywszy nią rękojeść noża, by przy wyciąganiu krew nie poplamiała mu ubrania, wyrwał go z rany. Potem wytarł ostrze i obrócił się do Jurgi.

— Dobrześ się, głupcze, urządził! — mruknął. — Wart jesteś, aby cię tak zostawić.

Jurga obrócił się na bok, nadstawiając skrępowane ręce.

— Tnijcie, panie, ledwie już dycham...

— Co ty masz w tym swoim łbie?! Tnijcie! Chcesz, by poznali, że był tu jeszcze ktoś?

Wygłaszając to pouczenie, jednocześnie cierpliwie rozluźniał węzły sznura. Kiedy ten opadł, pomógł rannemu wstać i odszukał jego kaftan.

— Bardzoś osłabł? Potrafisz iść?

— Potrafię. Tylko że rany trochę krwawią...

— Tu jest twoja koszula. Przewiążę cię, to przytamuje krew.

Obwiązał Jurgę jego własną koszulą, pomógł mu naciągnąć kaftan i wypchnął na podwórze.

— W parkanie jest furta. Wyjdiesz nią na zaulek! Zmiataj teraz szybko, aby cię nie dostrzeżono!

Po wyprawieniu Jurgi Kacper obrzucił jeszcze wewnątrz uważnym spojrzeniem, zanim wyśliznął się na podwórze. W paru skokach dopadł schodów i wkrótce był w swoim pokoju. Tu dopiero, podsunąwszy się ku oknu, obejrzał dokładnie ubranie, po czym rzucił się na pościel i nakrywszy opończę udawał, że śpi, czekając, co będzie dalej.

Wkrótce, zmęczony przeżytą emocją, istotnie zaczął zasypiać, ale będąc jeszcze w półśnie, postyszał, jak drzwi uchyliły się i ktoś stanął na progu. Potem rozległo się stuknięcie drewnianego skobla i odgłos zacichającego ciężkiego stąpania.

Dwa najbliższe dni nie przyniosły nic nowego. Mimo czujnej obserwacji Kacper nie zdołał stwierdzić w zachowaniu swego gospodarza najmniejszej

zmiany. Był ościęzły i dobroduszny, uważny zarówno w obsłudze gości, jak i w ściąganiu od nich zapłaty.

Natomiast trzeci dzień obfitował w wydarzenia, i to już od samego rana. Pierwsze nastąpiło zaraz po zejściu na salę. Grubas zagadnął go po przywitaniu:

— No jak tam, mistrzu? Ma pan już na widoku jakiś zarobek?

— Jeszcze nie... Czy może obawiacie się, że poproszę o kredyt?

— I tak bym go nie dał! — roześmiał się gospodarz. — Ale był u mnie wczoraj jeden ze znaczniejszych kupców i zgadało się, że potrzebuje pisarza. Zajęcia nie ma na cały dzień, ale mimo to gotów zapłacić uczciwie, jeśli wasza miłość przypadnie mu do gustu. Warto z nim pogadać.

— I ja myślę, że warto. Dziękuję, panie Marcinie, bo to cenna dla mnie usługa! — rzucił Kacper bez śladu ironii.

— Kupiec nazywa się Klaus Vogelweder i ma skład sukna przy Mikołajskiej, w pobliżu grodu. To człowiek zamożny i solidny.

— Zgłoszę się jeszcze dziś.

— Szczęść Boże! — Tłusta dłoń wyłoniła się z mroku w pożegnalnym geście.

Jednak następne wydarzenie odsunęło zamierzoną wizytę na plan dalszy.

Po wyjściu z oboziska, przechodząc koło rosnących przy niej lip, Kacper, jak zwykle, przesunął spojrzeniem po ich potężnych pniach. Tym razem w rozwidleniu dwóch konarów tkwiła ucięta gałązka. Wspiął się na palce i zdjął ją. Miała aż trzy rozgałęzienia boczne. Było to ustalone wezwanie, w którym ilość rozgałęzień mówiła o pilności stawienia się.

Z SIERŚCI KONIA MOKREJ od potu spadały płaty białej piany. Mimo tłumu pieszych wypełniających ulice, a raczej zwykłe drogi biegnące wśród lichych zabudowań, jeździec nie zwalniał pędu. Ludzie uskakiwali w bok, a ten, który nie zdążył, pchnięty końską piersią lub uderzony kopytem, padał na drogę, słysząc już daleko przed sobą okrzyk pędzącego jeźdźca:

— Wolna droga! Służba książęca!

Jeździec skręcił ze Spaskiej na ulicę Wielką Zamkową wiodącą do tak zwanego książęcego miasta, ciągnącego się za przekopem wypełnionym wodą Wilny, potem minął ostrokół kupieckiego grodu, handlowe centrum tej części Wilna.

Tłoczno tu było, bo miasto, zamieszkane przez Litwinów, Rusinów, Polaków, Niemców, Żydów, Tatarów, Ormian, a nawet Turków i Skandynawów, było ruchliwą, wrzącą życiem zbieraniną ludzi różnych narodowości i religii.

Mimo tłumu wypełniającego ulice książęcy goniec nie zwalniał pędu. Wyrwał jedynie spod nogi kańczug o długim rzemieniu i, podrywając konia do skoków, rozdzielał na boki razy.

Wreszcie przeciął mu drogę szeroki pas wody. Ściągnięty wodzami koń zadarł łeb i, robiąc bokami, sapał z wysiłku. Potem, przynaglony ostrogą, rozdymając chrapy i wężąc nieufnie, wstąpił na drewniane bale pomostu. Głęboko pod nim woda szła szerokim nurtem, pełnym drobnych wirów, ciemnym i mętnym.

Domy i klecie kupieckiego miasta schodziły do samego przekopu, za nim rozciągało się znacznie mniejsze miasto książęce. Stanowiły go przede wszystkim dworzyszczka bojarskie, rozsiadłe wśród drzew i otoczone obronnymi zasiekami. Były to siedziby książęcej starszyny. Wśród nich, w miejscu, gdzie ongiś stał Perkunowy ołtarz, piętrzyły się zręby katedry, odbudowanej na nowo po ostatnim krzyżackim najeździe. Nieopodal białą za obronnym murem ściany franciszkańskiego klasztoru, ku północo-wschodowi zieleńiały drzewa. Szerejkiszek, a jeszcze dalej — ongiś święte gaje Antokolu.

Goniec przebył most i znów poderwał konia do galopu. Minął Moniwidowe dworzyszczce, otoczone własną fosą i własnymi wałami obronnymi, i począł wspinać się po pochyłości wzgórza ku wałom i palisadom znacznie potężniejszym, okalającym oba książęce zamki: Krzywy Gród i Zamek Górny.

Przerzucony przez fosę pomost kończył się bramą w szerokiej wieży z samborem u szczytu. Ciężkie, nabijane gwoździemi wierzeje stały rozwarte, bo czas był spokojny. Przy bramie kręciło się nieco zbrojnych, którzy na widok jeźdźca skupili się przed wjazdem.

Koń, z wolna przebierając nogami, minął niezabezpieczony poręczą most na fosie i, ściągnięty wodzami, zatrzymał się.

— Putnik z Briańska do kniazia! — rzucił jeździec strażnikom.

— Kniazia nie ma! Szukaj horodniczego! — odkrzyknęli mu, dając drogę.

Goniec znów spiął konia, minął długi, ciemny korytarz bramy i wjechał w skupisko zabudowań Krzywego Grodu z główną bryłą książęcego pałacu, poza którym wznosiły się stoki Turzej Góry. Jej

szczyt, niby cielsko olbrzymiego węża, otaczały mury obronne Górnego Zamku. Wsparte gęsto skarpami, opadały lub wznosiły się podług wymogów terenu, biegnąc od baszty do baszty.

Horodniczego spotkał w otoczeniu dworzan przed wejściem do książęcej siedziby. Prysnął z konia jak zdmuchnięty wiatrem i schylił się w głębokim pokłonie, nie śmiąc się wyprostować, zanim nie usłyszy pierwszych słów dygnitarza.

Horodniczy podszedł do niego szybkim krokiem.

— Skąd?! — zapytał krótko.

— Z Briańska, putnik bojar Oleg, z pismem do wielkiego kniazia — goniec wyprostował się.

— Nie ma go. Poluje pod Trokami. Coś ważnego?

Oleg spojrzął ponad ramieniem Minigajły ku stojącej opodal grupie i ściszył głos:

— Książ Świdrygiełło uciekł z Briańska...

Minigajło postąpił pół kroku do przodu i, schyliwszy głowę, rzucił wzburzonym szeptem:

— Dokąd? Do Malborka?

— Podobno do Moskwy...

— Na ogień Perkuna! Tfu, Panie Boże wybac, człowiek nie wie, co gada! Idź, oddaj pismo panu sekretarzowi. Zaraz wyślę gońców do kniazia.

Była już późna noc, kiedy na trakcie trockim zabrzmiał tętent kopyt. Co koń wyskoczy pędził poczet jeźdźców. Ich ciemne sylwetki sunęły szybko pomiędzy uspiionymi domami przedmieścia.

Najpierw przemknęło dwóch konnych z długimi tykami osadzonymi u strzemion. W metalowych widłach kolebały się u ich szczytów żelazne garnki, w których paliły się nasyczone smołą i tłuszczem pakuły. Płomienie niby czerwone wstążki furkotały ponad głowami dzierżących te kagańce ludzi, oświetlając drogę chybottliwym światłem.

Za nimi gnał oddział Tatarów. Na głowach mieli kołpaki z ostrymi końcami, a za plecami kołysały się im pałki łuków. Ich małe postacie

wydawały się zrośnięte z grzbietami koni, gdy tak lecieli, pochyleni nad łbami swoich wierzchowców, milczący i groźni.

Za oddziałem Tatarów znów oświecił drogę konny z kagańcem, a tuż za nim pędził szczupły, drobnej budowy jeździec owinięty opończę, która łopotąta za nim jak czarne skrzydło.

Nieco w tyle z brzękiem i łoskotem oręża rwała zbita gromada mężów. Grzmot kopyt szedł echem na śpiące miasto. Poczet, dopadłszy mostu na przekopie, wydłużył się, by potem, już dopadając zamkowej bramy, zbici się ciasniej. Na Samborze paliły się pochodnie i wierzeje były rozwarte. Z horodniczym mogło być niedobrze, jeśliby pan choć przez chwilę musiał czekać, bo, porywczy w gniewie, za najmniejszą opieszałość karał gardłem.

Zdarte gwałtownie konie przysiadły na zadach przed zamkowym gankiem. Nie czekając na służbę, książę zeskoczył na ziemię i, rzuciwszy wodze na siodło, wbiegł na schody. Towarzyszący mu wielmoże pośpieszyli za nim, a porzucone konie łapała stajenna służba.

Główny sekretarz, zaufany doradca wielkiego księcia, magister nauk prawnych, Mikołaj Cebulka, po otrzymaniu pisma natychmiast wysłał braciszka Alberta po marszałka Rumbolda, który z racji swoich funkcji przebywał na zamku. Już wspólnie posłali wiadomość księciu Moniwidowi i staremu Gedygoldowi. Nikogo więcej ze znaczniejszych dygnitarzy na dworze nie było, bo reszta znajdowała się u boku kniazia na polowaniu pod Trokami.

Na szczęście Moniwid z powodu chwilowej słabości pozostał w domu. Jako wielkksiążęcy namiestnik dla wileńskiego księstwa i jeden z najbardziej zaufanych był sekretarzowi koniecznie potrzebny. Należało natychmiast odbyć naradę, by jeszcze przed przybyciem kniazia przedyskutować sytuację dla ustalenia poglądów kancelarii księżęcej.

A sytuacja była i groźna, i niezwykła. Po raz pierwszy w historii utarczek, niesnasek i intryg pomiędzy braćmi wybuchł bunt o tak szerokim zasięgu i przybrał taką formę.

Przed wieczorem przybyło jeszcze dwóch gońców z dalszymi wieściami, tym razem z Czernihowa i Putywła.

Wieści o buncie były więc coraz dokładniejsze. Nie tylko uciekł do Moskwy wraz z całą rodziną i dworem książę Świdrygiełło. Uciekli również litewscy i ruscy książęta z Dźwinogrodu, Putywła, Peremyśla, Starodub,

Rosławla i innych miast. Był to prawdziwy exodus, świadczący o szeroko zakrojonej i dokładnie ustalonej akcji, gdyż ucieczka odbyła się nieomal w jednym czasie. Wszyscy zabrali swoje rodziny i dwory, a wraz z nimi ruszyli także co znaczniejsi włódcy i bojarzy.

Goniec udający się do Trok zabrał również i osobne pismo do opata Łukasza. Magister Cebulka, powiadając go o zaszych wypadkach, miał wątpliwości, czy opat zechce przybyć teraz do Wilna, wiedząc, jak gorące dni będzie dwór przeżywał. Pisał jednak, świadom bliskich związków łączących go z krakowskim dworem. Łukasz przybył bowiem do Trok z Tyńca, kiedy przed trzema laty wielki książę fundował w Trokach benedyktyński klasztor.

A dni istotnie nastały gorące. I to nie dlatego, że koniec lipca przyniósł wreszcie upragnione słońce po uporczywych deszczach, jakie zatapiały Litwę strugami wody już od wiosny, wróżąc na zimę brak ziarna i paszy.

Z różnych miast nadchodziły coraz to nowe wiadomości. Sytuację, która zaistniała, znano już nawet w szczegółach. Pierwszy ruszył książę Aleksander Nelub, syn Jana Olgimuntowicza. Nie było to wprawdzie zgodne z ustalonym planem, ale książę został zmuszony do przyśpieszenia wyjazdu, gdyż przejęto tajne pismo jego błazna do kancelarii wielkksiążęcej, w którym donosił on o zamierzonej zdradzie. Błazna książę kazał wprawdzie rozerwać końmi, ale sam został zmuszony do ucieczki, bez czekania na sygnał Świdrygiełły. Dopiero więc po nim ruszył sam Olgierdowicz, spaliwszy uprzednio Briańsk i Starodub, a Nowogród Siewierski przekazując we władanie moskiewskiego Wasyla. Świdrygiełło wyjechał z całym swym dworem i stronnikami, z czernihowskim biskupem Izaakiem u

boku. Za nim poszli książęta: Aleksander ze Starodub, Fedor z Putywła, Patrykij z Dźwinogrodu, Semen z Peremysza, Michał z Chotłowa, a nawet i Urustej z odległego Mińska oraz wielu innych kniaziów, wielmoży i znakomitych bojarów.

Wielki zasięg buntu nie tylko rzucił cień na autorytet wielkiego kniazia Witolda, ale zarysował szczeliny w cokole jego wielkksiążęcego krzesła, grożąc i na przyszłość poważnymi kłopotami, bo jasne było, że nie po to wyruszył Świdrygiełło do Witoldowego zięcia, by zamienić jedną zależność na drugą. Powstało drugie niebezpieczeństwo — w danej chwili znacznie groźniejsze — a mianowicie dla tajnych planów znanych tylko kilku ludziom, które niby się wiązało w ciszy obu zamków — wileńskiego i krakowskiego — planu upolowania Wielkiego Szczupaka.

Narady nad powstałą sytuacją odbywały się więc prawie bez przerwy, a brali w nich udział tylko najbliżsi i najznacniejsi. Poza obu sekretarzami wielkiego księcia, kierującymi jego kancelarią, Mikołajem Cebulką i Jakubem Glinianym, radzili: zarządca ziemi wileńskiej, Wojciech Moniwid, namiestnik krewski, Piotr Gasztołd, namiestnik trocki, Jawnus Wolimontowicz, marszałek Litwy, Wojsund, marszałek dworu, Rumbold, oraz horodniczy wileński, Minigajło.

Przede wszystkim uznano za najpilniejsze obsadzenie przez tymczasowych zarządców opuszczonych ziem. Przystosowali więc do drogi swoje zbrojne drużyny książęta: Świrski, Kieżgajłło, Butrym, Gedygold, Giedroyć i inni. Popędzili gońcy do Krakowa, a za radą sekretarza Cebulki nie pominięto i Malborka, mimo że rola Zakonu w buncie była wiadoma.

Obowiązujące bowiem dotąd porozumienie przewidywało w razie trudności politycznych czy wojennych wzajemne udzielanie sobie pomocy. Żądanie jej w tym wypadku stwarzało wielkiemu mistrzowi poważny problem, bo odmowa demaskowała go przed księciem Witoldem, a zgoda na pomoc podważała z kolei zaufanie Świdrygiełły do Zakonu i mogła zrazić do obłudnego sojusznika.

Wreszcie wysłano gońców do pozostałych kniaziów z nakazem stawienia się z wojskiem na koniec sierpnia, ustanawiając Smoleńsk jako miejsce koncentracji. Wezwania poszły do namiestnika kijowskiego, Jerzego Nosa, księcia pińskiego, Jana Żedewida–Włodzimierskiego, nieświeskiego Fedka, kopylskiego i stuckiego Włodzimierza Olgierdowicza, siewierskiego Jana Chodkiewicza i innych. Nowej wyprawie na Moskwę miał przewodzić sam wielki książę.

Podczas obrad wyszło na jaw (w pewnej mierze i dzięki opatowi Łukaszowi), że nici spisku biegły do samego Wilna.

Tłumiony dotąd gniew Witolda buchnął teraz tym groźniejszym płomieniem. Poszły pod miecz głowy winnych i ich rodzin. Pojęcie litości było nieznane ani władcy, ani zresztą jego ofiarom. Nie miały dzień bez egzekucji. Znaczniejszych ścinano, mniej znaczni sami musieli zakładać sobie na szyję stryczek. Obławy i ściganie winnych zakłóciły normalne życie miasta, które dzień w dzień oczekiwało ze zgrozą, gdzie padnie następny cios.

PARA WIELKOKSIĄŻĘCA WSTAŁA od stołu wyjątkowo późno, toteż dwaj krzyżaccy rycerze, Henryk hrabia von Warnsdorf i Baldwin von

Helfenstein, brat grudziądzkiego komtura, byli zmęczeni długotrwałym napięciem uwagi, jaką zwykli poświęcać wszelkim biesiadom, w których brali udział na wileńskim zamku.

Obaj przebywali tu jako jeńcy na rycerskie słowo w oczekiwaniu na nadejście okupu. Szli teraz do siebie, poprzedzani przez pachołka niosącego światło.

— Zbiega! U nas, psi synu? — wrzasnął Baldwin czerwony z gniewu już nieudanego, bo pogardliwe prychnięcie strażnika rozwścieczyło go. — Poskarżymy się kniaziowi, że naruszacie spokój chrześcijańskiej modlitwy, wy, pogańskie pokurcza! Nam, zakonnym mnichom, nie wolno jej przerywać!

Starszyna rzucił na rozsierzonego rycerza krótkie spojrzenie, po czym odezwał się pojednawczo:

— Bez gniewu, panie. Mamy rozkaz marszałka Rumbolda szukać zbiega. Wiemy, że uciekał tym skrzydłem.

— Więc szukajcie gdzie indziej. Może skrył się na krużganku albo wlaź na poddasze, a swego Rumbolda wsadź sobie w tyłek! My nie książęcy poddani, lecz panowie niemieckiego Zakonu Marii, to chyba wiesz! A jak mi stąd nie pójdziesz, to chwycę za miecz!

Von Helfenstein istotnie ruszył ku ścianie, gdzie wisiała pozostawiona im broń.

Starszyna skinął na swoich ludzi.

— Skoro mówicie, że u was go nie ma, niech i tak będzie. Rycerze jesteście, to wam wierzę. Ale zważajcie na słowa, bo jeśli rozgniewacie naszego kniazia, okup może być niepotrzebny. Marszałek Rumbold u niego w łaskach...

Kiedy wyszli, von Warnsdorf uniósł się z klęczek i z uśmiechem skinął głową.

— To było dobrze zrobione, bracie Baldwinie. Ci nowochrześciany boją się jak ognia, by ich nie posadzić o brak szacunku dla chrześcijańskiej wiary.

Przeniósł krucyfiks i lichtarz na stół i uniósł wieko skrzyni. Zbieg wysunął się z niej i, stanąwszy na nogi, odetchnął.

— Myślałem, że już po mnie! Dzięki wam, panowie rycerze! Może zdarzy się odplacić...

Von Warnsdorf machnął lekceważąco ręką.

— Mniejsza z tym. Odplacisz, jak będziesz dobrze służył naszemu Zakonowi. Co teraz zamierzasz?

— Zezwolicie tu zostać do świtu?

— Jak się wydostaniesz? Pamiętaj, że jeśli cię pojмали, nie możesz zdradzić, gdzie spędziłeś noc!

— Bądźcie spokojni, nie zdradzę! O świcie robi się na zamku ruch, kręci się sporo służby. Idą pachołkowie po drzewo do kuchni, sokolnicy karmić ptaki. Jakoś się przemknę. A u was, w Malborku? Nie wygonią mnie?

— Pytasz, czy cię nie wygonią? — Von Helfenstein wydął wargi.

— Nasz Zakon zawsze był przytułkiem dla uciskanych i wspomóżycielem pokrzywdzonych. Tego bądź pewny. Znajdziesz u nas schronienie, by przeczekać zły czas. A jak Świdrygiełło osiądzie na wielkosiężnym tronie...

— Oby jak najprędzej! — przerwał mu żywo zbieg. — Wtedy rozprawimy się z tymi psami, Rumboldem i resztą...

— Ale tymczasem strzeż własnej skóry, bo Malbork jeszcze daleko. Do rozmowy wtrącił się von Warnsdorf:

— Dam ci parę słów do wielkiego marszałka. Ale gdyby cię mieli pojmać, połkniesz papier. Przysięgasz?

— Przysięgam, wielmożny panie.

— I pamiętaj jedno. W Malborku dla swoich mamy chleb i ciepłą izbę, ale dla wrogów lochy...

— Idę do was na służbę, więc lochów nie mam czego się bać.

Baldwin zdjął z haka opończę i rzucił pod ścianę.

— Masz, połóż się! Ale świtaniem ma cię tu nie być!

Kiedy, pogasiwszy świece, obaj towarzysze ułożyli się do snu, a w komnacie rozległo się pochrapywanie ich nieoczekiwanego gościa, von Helfenstein mruknął półgłosem:

— A może pismo przestać przez niego? Dzisiaj istotnie była przy wieczerzy mowa o spaleniu Niemierzy i ubiciu starego Neymira.

Jakiś czas w ciemnościach trwała cisza, zanim rozległ się głos von Warnsdorfa:

— I ja myślałem o tym. Ale to zbyt niepewne. Nawet trochę żałuję, że dałem mu tę kartkę. Mimo że pisząc, zachowałem ostrożność.

Brat Baldwin westchnął i, obracając się na bok, szepnął:

— Niech Bóg strzeże twego snu, bracie Henryku.

— I twego, bracie Baldwinie...

Kiedy zaś wczesnym rankiem obaj rycerze podnieśli się na nogi, zbiega już nie było. Jedyne przerzucona przez oparcie zydła opończa świadczyła o jego bytności.

WEZWANIE BYŁO PILNE, toteż Kacper postanowił odłożyć na później zamierzoną wizytę u imć Vogelwedera, mimo że zapowiadała się ona ciekawie.

Grzegorz, szynkarz i właściciel gospody „Pod Turem”, nie był bowiem człowiekiem, który nadsyłałby wezwanie z błahych powodów.

Jego oberża znajdowała się przy Wiślanej, w pobliżu Rynku.

Kacper minął bramę wjazdową i znalazł się na obszernym, brukowanym podwórku. Tak jak w innych oberżach i zajezdnych domach, było ono otoczone gospodarskimi zabudowaniami. I tu, jak w oberży „Pod Gnatem”, dom mieszkalny miał na piętrze krużganek biegnący wzdłuż ściany.

Na podwórku, przed rozwartymi drzwiami kuchni, kręciła się służba oberży. Na progu dwie dziewczyny oprawiły nad cebrzykiem półcie mięsa.

Kacper rozejrzał się dookoła, po czym wbiegł na schody i zatrzymał się na krużganku. Z wnętrza jednego z pokoi doszedł go szmer rozmowy, potem rzucone głośniej przekleństwo. Poznał ten głos.

Pchnął drzwi i stanął na progu z uśmiechem na twarzy.

Rudy leżał na łóżku z rękami pod głową i coś tłumaczył człowiekowi siedzącemu przy stole z butem i dratwą w ręku. Był to Dzieweczka.

— Jak się macie, włóczęgi?

Dzieweczka z wolna odstawił but i ze zdziwieniem spoglądał na dostatnio ubranego przybysza. Rudy zerwał się na nogi.

— Bert! No, nareszcie sobie ulżę! Ale co za strój! Patrzcie go, biret bakalarski! Szkoda, że bracia waganci tego nie widzą! — Klepnął przybysza po ramieniu i obszedł dookoła, oglądając ostentacyjnie, po czym znów opadł na pośladki.

— Wybacz, przyjacielu, ale wzruszenie odbiera mi siły. Tu czuję się najlepiej. Mów, proszę, co słychać w tutejszych kołach naukowych...

Czarny roześmiał się.

— Nie spodziewałem się zobaczyć was dwóch.

— Musiałem tego bawołu wziąć pod opiekę. Krzepy ma za dziesięć, ale rozumu tyle, co w pustym orzechu.

Dzieweczka musiał już przyzwyczać się do swego kompana, bo uśmiechnął się tylko i bez słowa wrócił do przerwanej roboty. Bert przesunął po nich spojrzeniem.

— Wyglądacie jak ostatnie łazęgi. Będziecie musieli się ogarnąć. Kiedyście przybyli?

— Wczoraj wieczór. A co do wyglądu, to wasza wielmożność raczy wybaczyć. Pobyt w loszku i włóczenie się po gościńcach wytworności nie przysparza. A wszystko dlatego, żeby dotrzymać głupiej obietnicy.

— Było aż tak źle? Jak dotarliście do Krakowa?

— Sam nie wędrowałeś, że pytasz? — prychnął Rudy. — Na pewno nie karocą!

— A tu jak? Nie brakuje niczego?

— Jedyna rzecz, która w tej całej historii mnie zadowala. Ten stary smok, gospodarz, obejrzał nas sobie ze wszystkich stron, potem coś głędził, że mu zaświnimy postania, ale izbę dał i żarcie też, nie mogę narzekać — dobre i niemało. Tyle tylko, że zabronił wystawiać stąd nosa. Uff, zmęczyłem się gadaniem. I w gardle sucho. Każ coś dać na popłukanie...

— O picciu będziesz musiał na jakiś czas zapomnieć.

— Musiał? Czy aby nie przesadzasz?

— Oczywiście, jeśli się dogadamy. Jeśli nie, będziesz mógł robić, co chcesz.

— Może znów będziesz chciał, żebym machał drygawką?

— Nie! Tym razem co innego! Ale znów jesteś mi potrzebny!

— Coś mi się wydaje, żeś taki wagant, jak ja biskup — rzucił z przekąsem Rudy.

— Niech ci się wydaje. Teraz mów, gdzie dziewczyna?

Rudy uniósł brwi.

— Ano... wiem gdzie... Ale ktoś obiecywał, że wiadomość ta ma się opłacić...

Czarny przestał się uśmiechać. Zmarszczył brwi i chciał już dać opryskliwą odpowiedź, spostrzegł jednak w utkwionych w siebie zielonych oczach Rudego kpiące błyski. Bez słowa sięgnął w zanadrze, wyciągnął sakiewkę i rzucił ją na łóżko.

— Starczy?

Rudy rozsunął rzemyk i zajrzał do środka.

— Fiu! Wielmożność przy forsie... Dzieweczka, wiele nam się należy za tę koszulę, cośmy ją użyli w loszku do zgięcia prętów?

Olbrzym spojrzął kolejno na obu, zanim mruknął: — Muszę kupić przede wszystkim buty... Te złaziłem już na nic.

— A więc i buty... Poza tym ubranie, bo nasze jest nieco wysłużone i nie ma co się dziwić, że wzbroniono nam wstępu na salę.

— Nie odmawiaj litanii! — zniecierpliwiał się Czarny. — Bierz, co dają, bo bez grosza nie możecie zostać!

— Aleś ty bystry! — rzucił Rudy z podziwem. — A przecież po takim poście popić też trzeba!

— Na to nie licz!

— O... wolnego, bracie! — Rudy uniósł dłoń w górę. — Jeszczem nie na twojej służbie!

— Na mojej nie będziesz.

— A na czyjej?

— W tajnej, królewskiej. Mów, co z dziewczyną?

Rudy popatrzył na towarzysza spod oka i gwizdnął cicho. Czarny podniósł się z zydła i zbliżywszy się do drzwi, wyjrzał na krużganek. Potem zamknął je starannie i wrócił na miejsce.

— No — przynaglił Jaksę — mów wreszcie!

— Dziewczynę wysadzili w Toruniu, nocą. Czuwaliśmy na przemian z Dzieweczką i jak tylko zbrojni, co po nią przybyli, zeszli na brzeg, ruszyliśmy ostrożnie za nimi. W ciemności udało się nam wśliznąć przez furtę. Odstawili ją do klasztoru Cystersek. Ale na powrotnej drodze złapała nas miejska straż. Na szczęście nie zasiekli na miejscu, bośmy udali pijanych, ale nie obyło się bez ratuszowego lochu. Dałem Dzieweczce koszulę, wsadził w nią kawałek drewna i ściągnął pręty. Ja wylazłem, ale Dzieweczka nie zdołał. No więc grzecznie poprosiłem strażnika o klucze — z chęci do pomocy aż go nieco zamroczyło — i wypuściłem tę górę mięsa. Potem przeczekaliśmy na jakimś podwórku do otwarcia bramy i na kolej już nie wróciliśmy.

— Brawo, Rudy! Dobrześ się spisał, dziękuję ci! A teraz mam dla was pewną propozycję. Przysuńcie się bliżej, bo to, co powiem, nie dla obcych uszu.

Kiedy siedli obok, pokrótce przedstawił im wymogi służby, która ich czeka. Jak przewidywał, obaj skinęli głowami na znak zgody, czego, znając Rudego i jego zamiłowanie do szukania guza, był zresztą pewny. Wtedy już dokładnie określił ich zadania.

— Od tej chwili nie znamy się. Ty, Dzieweczka, pójdiesz zaraz do tego kupca i postarasz się, by dał ci pracę, obojętnie jaką, przy koniach, jeśli je ma, do pilnowania składów — abys tylko tam się dostał. A wtedy miej oczy i uszy otwarte. Postaram się z tobą spotykać. Jeśli będziesz chciał ze mną mówić, zdejm czapkę i otrzep ją ręką. Zrozumiałeś?

— No chyba... Tylko czy mnie przyjmie?

— Jesteś silny jak wół. Jeśli nie będziesz stawiał dużych wymagań, to go skusisz. Zarobek nie powinien grać roli. Pamiętaj, że za twoją służbę płaci ci nasz król, a nie ten Niemiec. A teraz ty, Rudy. Musisz sobie sprawić przechodzony chłopski strój. Kupisz jajek, wybieraj co najpiękniejsze, nie targuj się, kup też parę ładnych kur, trochę masła, załaduj to w kobiałkę i jutro zgłoś się z tym do kuchni tego Vogelwedera, proponując sprzedaż. Ceny mają być niskie, aby cię proszono o nową dostawę, rozumiesz?

— Pewnie... Mam kupować drogo, a sprzedawać tanio. Całkiem jasne.

— Nie chodzi o zarobek, powtarzam. Twoim zadaniem będzie dostarczać im produkty. To pozwoli ci na poznanie się ze służbą. Możesz sobie przygadać którąś ze służebnych dziewczek. Jak jej dogodzisz, będziesz wiedział wszystko, co się tam dzieje, a o to mi chodzi. Bądź przygotowany, że cię spytają, do jakiej wsi należysz.

— Rozumiem.

— Dzieweczka, jeśli się tam dostanie, będzie miał kwaterę na miejscu. Ty zostaniesz tu. Oczywiście nie możesz pokazywać się na sali. Wchodzić będziesz zawsze przez podwórze. Jeśli będziesz chciał ze mną mówić, powiedz gospodarzowi. To wszystko. Bądźcie ostrożni, bo jeden nierozważny krok, a dostaniecie nożem w plecy.

Około południa w dniu ucieczki Jawnuty z wileńskiego zamku, udanej dzięki pomocy krzyżackich panów, horodniczy Minigajło, a właściwie w obecnych czasach już kasztelan, wezwał do siebie brodatego setnika książęcej straży.

— No, Daniło, jak poszło? — zapytał, odpowiedziawszy skinieniem ręki na głęboki pokłon przybyłego.

— Zgodnie z waszą wolą, nie naciskaliśmy zbytnio. Tyle, aby myśleli, że naprawdę ścigamy zbiega. Schowali go w skrzyni, bo bronili do niej dostępu.

— Konia dostał?

— Dostał, wasza wielmożność. Sam go przed świtem ukryłem w krzakach, obok Kieżgajłowego dworu.

Minigajło ściągnął brwi i spojrzał w oczy setnika.

— Swoim ludziom nic nie mówicieś?

— Ani słowa!

— Pamiętaj, to książęca sprawa. Ani pary z gęby, bo stracisz głowę!

— Nie bójcie się, wasza wielmożność! Służę nie od wczoraj.

Horodniczy skinął głową.

— Upominam, aby nie podkusiło cię przy piwie powiedzieć słowo za dużo.

— Nie gadatliwy ja.

Minigajło sięgnął za pas.

— No to masz... Ojciec Łukasz przykazał ci dać...

Datek musiał być znaczny, bo brodate oblicze setnika rozjaśniło się, a dziękczynny pokłon powtórzył dwukrotnie.

Piętrowy dom Klausego Vogelwedera miał trzy okna frontu i stał na rogu Rzeźniczej i św. Krzyża. Płaskorzeźby, malowidła i bogato rzeźbiony portal dowodziły zamożności właściciela.

Trzeba było mocno natężyć ramię, by otworzyć ciężkie, okute mosiężną blachą drzwi do obszernej, mrocznej sieni, z której na prawo i lewo prowadziły drzwi wewnętrzne.

Bert stał chwilę, nasłuchując, po czym otworzył jedno z nich i przestąpił próg.

Pokój był długi i wąski. Jedno okno wychodzące na ulicę skąpo przepuszczało światło przez okrągłe, grube szybki oprawne w ołów.

Blisko okna stały dwa pulpity do pisania i regał z kupieckimi księgami. Resztę wnętrza wypełniał mrok, nie pozwalając dojrzeć dalszych sprzętów.

Bert bezskutecznie starał się przeniknąć wzrokiem ten mrok. Panowała cisza, tylko nieznacznie zakłócona stłumionym gwarem ulicy.

Podszedł do jednego z pulpitów, rzucając wzrokiem na rozłożoną na nim księgę. Zapisy biegły w niej równymi kolumnami od góry do dołu stronicy.

Z głębi komnaty rozległ się raptem suchy trzask, a po nim krótkie westchnienie. Bert odwrócił się z wolna.

— Jest tam kto? — zapytał półgłosem, kierując się w głąb pokoju.

— A jest, jest... — Znów powtórzył się trzask, potem chrobot gryzienia. — Zbliź się panie. Rozmawiając, należy widzieć się wzajemnie...

Wzrok Czarnego na tyle przyzwyczaił się już do mroku, że mógł rozeznaczyć zarysy masywnego stołu i dwóch krzeseł stojących przy nim. Jedno z nich zajmował mężczyzna w średnim wieku, otyły, o twarzy białej i okrągłej jak talerz. Siedział rozwalony i raz po raz sięgał do misy pełnej orzechów, które gniótł żelaznymi szczypcami.

— Chciałbym mówić z panem Klausem Vogelwederem.

— Możesz sobie chcieć. Ale... nosisz strój bakałarza. Czy skierował ciebie Marcin? — Głos był przyciszony, o dobrodusznych akcentach.

— Tak. Przychodzę z jego polecenia.

Człowiek w mroku milczał przez pewien czas.

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — Zadając to pytanie, sięgnął po nowy orzech. Zdawał się bardziej zaabsorbowany jego rozłupaniem niż prowadzoną rozmową.

— Kacper z Szymonowa, bakałarz nauk prawniczych.

— Dawno w Krakowie?

— Od paru miesięcy.

— A przedtem?

— Kończyłem naukę w Ratyzbonie.

— Po coś tu przyjechał?

— Kształcić się dalej. Pragnę zdobyć tytuł magistra w tutajszej szkole katedralnej.

— Bywasz więc na Zamku?

— Co dzień. Słucham wykładów dwa razy w tygodniu, a oprócz tego korzystam z biblioteki.

— Kto ci polecił gospodę Marcina?

— Nie pamiętam. Rozpytywałem o oberżę, niezbyt drogą i niezbyt podłą.

— Hm... — Tłusta postać w fotelu rozgniotła kolejny orzech i wydtubywała go cierpliwie z pokruszonej skorupy. Znów zapadło krótkie milczenie.

— A więc, panie Vogelweder? — Bert zawiesił na chwilę głos. — Zechce pan skorzystać z moich usług?

Dopiero po chwili padła odpowiedź:

— Pytanie pod niewłaściwym adresem, mój drogi. Nazywam się wprawdzie również Vogelweder, ale nie jestem Klausem. Nie mam tu nic do decydowania, a jeśli czasem zabieram głos, to raczej w charakterze... powiedzmy... doradczym.

— Jak więc mogę trafić do pana Klausem Vogelwedera? Zostałem do niego skierowany podobno za jego zgodą?

— Trafić możesz łatwo, ale nic ci to nie da.

— Nie rozumiem, panie...

— Peter Vogelweder, do twoich usług. Bratanek tego starego sępa.

Tłusciuch przechylił się do przodu, spoglądając z lekką drwiną na przybysza.

— Dlaczego przesądza pan sprawę? Mówiono mi, że znajdę tu możliwość zarobku.

— Być może... Ale chcąc to załatwić, nie pytaj o Klausem, bo jest sparaliżowany, a interes prowadzi jego syn, Johann, mój drogi stryjeczny braciszek. — Tłusciuch roześmiał się cicho. — Z nim gadaj.

Tym razem Bert urwał rozmowę. Był zaskoczony, gdyż sprawa się komplikowała.

Peter Vogelweder przerwał milczenie.

— Cóżś tak zamilkł? Zaskoczyła cię ta wiadomość?

Bert uśmiechnął się.

— Zależy mi na zarobku, a nie na tym, kto będzie decydował. Oby jednak ta decyzja należała do jednego człowieka. Bo jeśli tych synów jest więcej i każdy będzie miał coś do gadania, to długo tu nie wytrzymam.

W mroku rozległ się cichy chichot.

— Masz rację, ale na szczęście jest tylko jeden.

— Czy wyłącznie jemu będę podlegał?

— Jemu i, być może, zarządcy Antoniemu.

— Czy to też jakiś krewny?

— Żaden krewny. Służy tu od czterdziestu lat. Piła i mało co więcej.

— Gdzie ich znajdę?

Postać w fotelu zdobyła się na wysiłek i uniosła rękę.

— Po tamtej stronie sieni. W składzie materiałów.

Drzwi na lewo prowadziły więc do składu. Bert minął sieni i pchnął ciężkie, dębowe skrzydło.

Było tu mało co widniej niż w korytarzu. Długie regały pełne były bel materiałów. Ostry, świdrujący nozdrza zapach suszonych ziół, którymi przesypano zwoje, wypełniał pomieszczenie. Pomiędzy regałami kręcił się kilkunastoletni pacholek.

— Gdzie właściciel?

Chłopak bez słowa skinął głową w stronę otwartych w głębi drzwi.

Krępy mężczyzna o ciemnych włosach, przykrytych bufiastym beretem, rozmawiał z wysokim, chudym człowiekiem. Paru robotników ładowało zwoje płótna na stojący przy rampie wóz.

Bert podszedł do rozmawiających.

— Chciałbym mówić z panem Janem Vogelwederem.

Barczysty mężczyzna odwrócił się i spojrzał na przybysza przez ramię.

— To ja. Kto pan jest? — Głos był niski, z cudzoziemska wymawiający polskie słowa.

— Kacper z Szymonowa. Zostałem tu skierowany przez Marcina z oberży „Pod Wesołym Żakiem”. Podobno potrzebuje pan kancelisty?

Przenikliwe źrenice zmierzyły Berta od stóp do głów, po czym zatrzymały się na jego twarzy.

— Niemiecki pan zna?

— Znam. W piśmie również. — Bert odpowiedział w tym języku.

— Pan jeszcze się uczy?

— Tak. I dlatego mógłbym dysponować czasem tylko po południu.

— Wystarczy. U mnie pisaniny dużo nie ma. Ale jeśli praca będzie zła — raus!

— Ile będę dostawał?

— Dostaniesz grosz dziennie i wikt. Ja płacę dobrze.

Bert postanowił sprawdzić swoje podejrzenia.

— *Gdybym był robotnikiem, panie Vogelweder, płaca istotnie byłaby dobra. Ale jestem bakalarzem nauk prawniczych, biegłym w piśmie łacińskim, polskim i niemieckim.*

Vogelweder zmrużył oczy.

— *A wiele pan chce?*

— *Mając nadzieję, że pański wikt będzie dobry — trzy grosze dziennie.*

Brunet obruszył się.

— *Trzy grosze dziennie? Za pół dnia pracy? Wykluczone!*

— *Zatem żegnam pana, panie Vogelweder. Życzę powodzenia w interesach!*

Bert skłonił się nieco niżej, niż wymagał tego obyczaj, i ruszył rampą, licząc w myśli kroki. Postanowił, że po dwudziestym, jeśli nie zostanie wezwany, zawróci sam i wznowi rozmowę.

... dziesięć... dwanaście... czternaście, piętnaście, szesnaście...

— *Ej, młody człowieku! — usłyszał za plecami starczy, skrzeliwy głos. — Poczekaj chwilę!*

Bert zawrócił i z wolna zbliżył się do nich. To wołał ten drugi.

— *Nie bądź taki gorący! Twoje szczęście, że istotnie potrzebna mi jest pomoc w kantorze! — Chudy mówił szybko, gestykulując zwiędłą dłonią o długich, kościstych palcach.*

— *Wielmożny pan Vogelweder na moją prośbę zgadza się dać dwa grosze dziennie. Radzę przyjąć, bo to naprawdę dużo, biorąc pod uwagę, że będziesz zatrudniony tylko przez parę godzin.*

A więc chcieli go mieć u siebie. Nie należało zatem przeciągać struny. Spojrzał pytająco na kupca. Ten skinął głową.

— *Niech będzie, jak mówi Antoni. Dostaniesz wikt i dwa grosze dziennie. Zajmiesz izbę na mansardzie, bo musimy cię mieć pod ręką.*

— *Zgadzam się. Kiedy mam się sprowadzić?*

Obaj mężczyźni zamienili spojrzenia.

— *Nawet dziś wieczorem — zdecydował Antoni. — Proszę mnie odszukać, a wskażę panu izbę.*

Bert skłonił się i odszedł zadowolony z wyniku rozmowy. Obaj pozostali na rampie mężczyźni również zdawali się być z niej zadowoleni.

Rozłożył swój szczupły dobytek w izdebce na poddaszu i zszedł na dół z Antonim, który miał swoją izbę drzwi w drzwi z nim.

W jadalnej komnacie cała rodzina Vogelwederów była już zebrana przy wieczornym posiłku. Długi stół jadalny oświetlały dwa lichtarze ustawione po obu jego końcach. Bert zajął wskazane mu miejsce, a kiedy rozmowa przy stole ożywiła się, rozpoczęła dyskretną obserwację obecnych.

U szczytu stołu, jako głowa domu, siedział Johann. Po jego prawej ręce Peter, któremu mógł się teraz dokładnie przyjrzeć. W białej twarzy, o ustach małych, pełnych jak u kobiety i równie małym, delikatnie zarysowanym nosie, świeciło dwoje czarnych jak węgiel oczu, których przenikliwe, ostre spojrzenie najczęściej kryły powieki.

Po lewej stronie Johanna zajmowała miejsce stara kobieta. Na białych włosach nosiła czepek. Za nią siedziała młoda dziewczyna o ładnej twarzyczce, której zmysłowy urok mieszał się z dziecięcą jeszcze naiwnością. Miała zapewne na imię Weronika, gdyż zwano ją Wera.

Obserwując zebranych, Bert rzucił na nią kolejne spojrzenie. Przyłapał jej wzrok skierowany na siebie. Dziewczyna szybko odwróciła oczy, a lekki rumieniec ukazał się na jej twarzy.

Bert nie wiedział, czy ten drobny epizod został dostrzeżony przez Petera i wywołał jego uwagę, czy też był to tylko zbieg okoliczności, bowiem tłuścioch odezwał się w tej samej niemal chwili:

— Nasza kochana Wera pięknieje z dnia na dzień... Ale nic nie wskazuje na to, a już specjalnie jej oczy, by zbyt tęskniła za swym wybranym.

— Mój wybrany, wujku, powinien przede wszystkim tęsknić za mną, a nie pokazuje się już od kilku dni.

— Widocznie jest zajęty. Gospodarowanie takim dużym młynem to nie byle co.

— Bruno musi się teraz mocno krzątać — wtrącił Johann — bo oczekują go duże wydatki.

— Myślisz o ślubie? — spytała starsza pani. — Czy ustaliliście wreszcie datę?

— Mnie się nie spieszy! — rzuciła zaczepnie dziewczyna.

— Nikt ciebie nie pyta o zdanie! — ofuknęła ją babka. — Od tego są twoi opiekunowie. No, ale dość o tym! Podziękujmy Bogu za posiłek i spać! Już późno...

Bert wysunął się dyskretnie za Antonim. Wstępując na strome stopnie, myślał z pewną zazdrością o nieznanym Brunonie, gdyż dziewczyna wydała mu się smakowitym kąskiem. Za tę myśl skarcił jednak sam siebie. Należało utrzymać się w roli statecznego bakałarza, a takiemu nie uchodziło zaglądać dziewczętom za staniki.

Pierwsze dni pobytu u Vogelwederów dłużyły się Czarnemu mocno. By zachować pozory, rano szedł na Zamek, a licząc się, że może być śledzony, rezygnował z ulubionej włóczędzy po mieście, zmierzając od razu ku Okolowi, za którym królewska siedziba lśniła z dala kolorowymi dachami i czerwienią cegieł.

Na Zamku z nudów zaglądał czasem do kolegalnej biblioteki, by na marginesach grubych foliów wypisywać frywolne wierszyki.

Za to popołudnie miał w dwójnasób wypełnione pracę. Stojąc za pulpitem, kreślił starannie szeregi słów i cyfr, utrwalając na piśmie handlowe transakcje swego chlebodawcy i starając się jednocześnie, by nic, co działo się wokół, nie uszło jego uwagi. Klienci, którzy odwiedzali kantor, obsługiwani

przeważnie przez Antoniego, nie dawali powodów do bliższych zainteresowań. Również Marcin, właściciel gospody „Pod Gnatem”, wbrew przewidywaniom, nie pokazał się ani razu.

W tym czasie Bert stwierdził, że Dzieweczce udało się dostać zamierzoną pracę. Pewnego dnia ujrzał z rampy oryła, jak z widłami w ręku wyrzucał ze stajni nawóz.

Z niecierpliwością czekał piątku. Był to dzień spowiedzi, dzień, w którym powinna nadejść kolejna wiadomość. Czy uda mu się dostrzec drogę, jaką tu dotrze?

Tymczasem w czwartek zaszło drobne zdarzenie, które nieco ożywiło monotonię jego bytowania, pozwalając na bardziej pogodną ocenę sytuacji, w której się znalazł.

Pracował sumiennie nad dziennym zestawem wydatków i wpływów, kiedy drzwi od kantoru uchyliły się z wolna. Nie przerywał roboty, sądząc, że to wraca zarządca. Dopiero lekkie stąpanie i szelest spódnicy kazały mu unieść głowę.

Obok pulpitu stała Wera. Przyglądała mu się bez słowa, z uśmiechem na ustach, lekko zdyszana, jak gdyby zatrzymała się w biegu.

Bert bez słowa patrzył na nią, z zawieszonym w powietrzu gęsim piórem.

— Och, przepraszam... — szepnęła, opuszczając oczy, ale nie przestając się uśmiechać — przeszkodziłam panu. Szukam wuja Piotra i myślałam, że go tu znajdę.

Bert wolno odłożył pióro.

— Był godzinę temu. Jeśli pani zechce zaczekać, będę błagał niebiosy, by przyszedł jak najpóźniej...

— Doprawdy? — przechyliła na bok główkę. — I nie będzie pan narzekał, że przeszkadzam, panie bakalarzu?

Spojrzał w jej oczy. Drgały w nich iskierki humoru.

— Nie. Obiecuję, że nie będę. A poza tym — nie jestem bakalarzem.

— Nie? A kim?

— Wilkiem, który porwie biedną owieczkę i zaciągnie ją do lasu...

— By ją pożreć? — udała przestraszoną.

— Nie. W lesie będzie wróżka, która przemieni wilka w rycerza, a owieczkę w piękną dziewczynę, taką jak pani...

— Oo... i co będzie potem?

— Potem rycerz weźmie dziewczynę w ramiona i będzie ją całował...

— Zrobił krok w jej stronę, a ona odskoczyła szybko ku drzwiom.

— Muszę już lecieć, bo babcia będzie zła! Żegnaj, straszny wilku!

Zniknęła za drzwiami z poszumem spódnicy, a Bert zabrał się do przerwanej pracy.

Przyszedł wreszcie oczekiwany piątek. Wiedział, że do południa nic się nie może stać, toteż odbył swą normalną turę do Zamku, wrócił na obiad, po czym rozpoczął zajęcia w kantorze.

Ale mimo czujności i napiętej przez całe popołudnie uwagi nie dostrzegł niczego, co mogłoby nasunąć jakieś podejrzenia. Jeśli zatem materiał został dostarczony, musiało to nastąpić poza terenem pomieszczeń handlowych.

Zawiedziony i zły ruszył na wieczerzę. Wśród siedzących przy stole ujrzał nieznanego sobie młodego mężczyznę z płaską twarzą o dużym nosie i wąskich, zaciętych wargach. Zajmował miejsce pomiędzy babką a wnuczką.

Bert kątem oka dostrzegł uważne, chłodne spojrzenie, jakim został zlustrowany, kiedy zajmował swoje miejsce na krańcu stołu. Z rozmowy zorientował się, że był to ów Bruno, narzeczony Wery.

Kolacja minęła na potocznej rozmowie o błahych zdarzeniach i sprawach. Równie błaha wydała się Bertowi uwaga starszej pani, kiedy w pewnej chwili, rzuciwszy okiem na talerz Johanna, odezwała się z przekąsem:

— No tak, piątkowy posiłek niezbyt waszmości smakuje! Wolelibyście pewnie w ogóle nie pościć, wy, bezbożnicy! — Spojrzała z kolei na Petera.

— Ależ, mam, smakuje... — próbował protestować Johann. — Nie jesteśmy jednak głodni.

— Nie dziwię się! Zamawiacie sobie faszerowane ryby, a potem domowe jedzenie parzy gęby!

Johann sięgnął posłusznie po misę pierogów z kapustą, przyprawionych olejem.

— Nie gniewaj się, mam, już sobie dokładam — powiedziała i z uśmiechem zwrócił się do Petera:

— Mówiłem ci, że oberwiemy. Jedz, bo dostanie się i tobie.

Ktoś się roześmiał, zaczęto mówić o czymś innym i epizod ten został szybko zapomniany. Również i Czarny puścił go mimo uszu. Dopiero potem przypomniał sobie i zrozumiał właściwe znaczenie słów, które usłyszał.

JUŻ ÓSMY DZIEŃ BENKO przedzierał się lasami północnego dorzecza Mereczanki, przebywając jej dopływy bądź wplaw, bądź odszukując brody. Puszcza była tu podmokła i trudna do przebycia, ale dlatego bezpieczna.

Cała marszruta ucieczki była ustalona dokładnie, a on otrzymał wskazówki co do jej trasy i kierunku. Pościg wprawdzie nie groził, ale mimo to Benko otrzymał surowy nakaz unikania zarówno wszelkich dróg, jak i większych osiedli. Istniało bowiem niebezpieczeństwo spotkania księżęcych oddziałów zwiadowczych, zwłaszcza w pobliżu granicy. Czas był wprawdzie spokojny i otrzymywane wiadomości nie wskazywały, by szykowałą się nowa reja krzyżacka, ale ostrożność nie pozwalała na poniechanie czujności.

Nie wolno mu też było wyjść z roli zbiega nawet tu, na litewskiej ziemi, a zagarnięcie przez któryś z oddziałów — jeśli nawet nie skończyłoby się powieszeniem na najbliższym drzewie — stwarzało niebezpieczeństwo zwłoki. Toteż pouczenia ojca Łukasza były surowe.

Długie tygodnie w zaciszu trockiego klasztoru spędził Benko pracowicie. Musiał pogłębiać znajomość języków ruskiego i litewskiego oraz dobrze poznać zwyczaje panujące w państwie krzyżackim, a zwłaszcza sposoby penetracji policyjnej. Należało, na przykład, wiedzieć, że każdy oberżysta, a nawet zwykły właściciel domu był obowiązany zgłosić swojej terytorialnej zwierzchności czyjekolwiek przybycie, jeśli przybyszowi udzielił noclegu choćby tylko na jedną noc. Również pouczono go i o zwyczajach litewskich, wdrażano w psychikę ludzi tego kraju, zaznajomiono ze składem, stosunkami i stanem posiadania rodu Neymirów, informowano o szczegółach dotyczących

Niemierzy, posiadłości zabitego przez księżęcych ludzi Butowta. Wreszcie już w ostatniej rozmowie w cztery oczy z ojcem Łukaszem, Benko otrzymał hasła do ludzi, z którymi miał się na terytorium zakonnym stykać, i z góry został rozgrzeszony z fałszywych przysięg, jeśli byłby zmuszony je składać. Otrzymał też zezwolenie, a nawet przykazania zatajenia przy spowiedziach przed kapłanami zakonnymi prawdy o sobie.

Na dziesiąty dzień, po kilkugodzinnym poszukiwaniu brodu, przebył Niemen i znalazł się w Jaćwieży, na ziemi sudawskiej. Potem pozostawił za sobą Jezioro Rajgrodzkie i wkroczył do zakonnego państwa, zagłębiając się w Puszcze Galindzką.

Obszary te, oddzielające Litwę od Zakonu, były niezamieszkane, gdyż osadnicy unikali terytoriów leżących zbyt blisko granicy.

Gdzieś od północnej strony znajdował się zamek Ełk, najbardziej w tych stronach wysunięta na wschód krzyżacka strażnica. Benko minął go łukiem i kierując się ściśle na zachód, wynurzył się następnego dnia z boru nad brzeg szeroko rozlanej wodnej przestrzeni, sięgającej aż po horyzont.

Ujrawszy to jezioro, wiedział już, że nie zmylił drogi. To musiały być Śniardwy, jeden z punktów orientacyjnych na jego drodze. Teraz należało skrócić ku północy, by dotrzeć do Rastemborka⁴. Stąd wchodził już w obowiązki i niebezpieczeństwa przyjętej służby.

Zanim zsiadł z konia, przeżegnał się i jakiś czas siedział bez ruchu, zapatrzony w rozległe wodne pustkowie.

Nad jeziorem odpoczywał resztę dnia i noc, o świcie ruszając w dalszą drogę. Coraz trudniej było teraz wędrować borem; lasy wciąż się urywały, bo coraz częstsze były przestrzenie pól uprawianych przez osadnicze wsie.

Rastembork ujrzał następnego dnia o popołudniowej porze. Nad rzeką okalającą z tej strony miasto przysiadły pod miejskimi murami skupiska domów i kleci. Wśród drewnianych zabudowań czerwieniały mury zakonnych młynów i szpitala Świętego Ducha, a za rozległym stawem piętrzyły się na wysokim wzgórzu zręby zamku. Jego wieże zdawały się nie tylko strzec, ale i grozić rozciągniętemu u jego stóp miastu.

Brzeg stawu obrastało gęste sitowie. Zamek, odbity w zielonym lustrze wody, widoczny był w całej swej groźnej potęgde. Benko przyglądał mu się

4 — Obecnie Kętrzyn.

ze zmarszczoną brwią, teraz dopiero zaczynając sobie w pełni zdawać sprawę, z jaką mocą wszczęł swoją samotną walkę.

Przebył most przerzucony przez Guber i znalazł się przed Młyńską bramą. Nie wjechał jednak do miasta, lecz skręcił w lewo, na drogę wiodącą wzdłuż murów.

Następnego dnia Benko wyjechał nieco później, kiedy wskazany mu w Trokach człowiek, u którego zatrzymał się na nocleg, już dawno udał się do pracy. Przebył miasto i wyostał się na północny trakt Wysoką bramą. I właśnie tuż za miastem, przy kościele Świętej Katarzyny, nastąpiło spotkanie, które zrzędził kpiący z ludzi los. Bo tu właśnie, niemal u progu zakonnego państwa, spotkał człowieka, którego imienia poszukiwał potem długo i z upartą zaciętością. Jednak chyba lepiej się stało dla Benka, że spotykając po raz pierwszy Sonnenberga, nie wiedział, że to jest właśnie on.

Rycerz, pędząc na czele oddziału knechtów, na widok samotnego jeźdźca uniósł w górę dłoń w grubej, łosiowej rękawicy i zdarł konia wodzami, wstrzymując poczet.

Mimo że Benko nie wiedział, kogo ma przed sobą, raptowna fala nienawiści rozpała mu serce. Gest bowiem był pełen pychy i butnej pewności siebie, a spojrzenie, którym został obrzucony, pogardliwe i nieufne. Bojąc się zdradzić oczyma opanowujące go uczucie, Benko opuścił powieki, karcąc się w duchu, że już przy pierwszym spotkaniu z Krzyżakiem omal się nie zdradził.

Brat Sonnenberg przed świtem wyjechał z zamku Barciany, gdzie bywał częstym gościem. Tamtejsze bowiem lochy miały liczne cele, a izba tortur najlepsze wyposażenie ze wszystkich zakonnych zamków. Tam więc głównie kierowano więźniów, których należało poddać dłuższemu śledztwu. Była tu również wieża o głęboko w ziemię opuszczonym dnie. W jej wewnętrzne ściany wmurowano kawałki żelaznych szyn, które łamały kości strącanym skazańcom. Byli nimi ludzie uznani przez brata Sonnenberga za nieprzydatnych już do dalszego śledztwa.

Rycerz zmierzył badawczym spojrzeniem rosłego mężczyznę z chudą, zapadniętą twarzą i nienaturalnie błyszczącymi oczami siedzącego na zabiedzonym koniu o zmierzwionej sierści. Widać było, że odbyli długą podróż.

— Czapkę ze łba! — warknął, uderzając konia ostrogą. Koń dał susa do przodu i naparł bokiem na stojącego w milczeniu wędrowca.

Benko już się opanował i wrócił do roli, którą tak uparcie mu wdrażano. Zerwał czapkę i trzymając ją w obu rękach, patrzył w rycerskie oblicze ze służalczą uległością.

— Skąd jedziesz? — Twarz o grubo ciosanych rysach, zakończona podobną do łopaty brodą, nachyliła się ku niemu. Biały płaszcz z czarnym krzyżem spływał rycerzowi na plecach, a w jego ręku Benko ujrzał batog sporządzony z byczego ogona, którego uderzenie zwałało z konia. Przeniósł wzrok na chmurne oblicze o przekrwionych białkach.

— Z Litwy, panie — odpowiedział spokojnie.

Przez srogą twarz przebiegł cień zdumienia.

— Przyznajesz, żeś z Litwy? A ktoś ty?

— Zbieg, panie.

Sonnenberg uśmiechnął się ironicznie.

— Oo... patrzcie! Jeszcze jeden! Mamy takich sporo! Ale załatwiemy się z nimi szybko.

— Ja nie zwykły pachotek, lecz bojarski syn, Jawnuta Neymir z Niemierzy.

— Jeśliś bojarski syn, to będziesz wisiał wyżej od innych. — Sonnenberg roześmiał się głośno, a knechci, którzy otoczyli Benka półkolem, zawtórowali przywódcy.

— Mówiono mi inaczej. — Benko nie tracił spokoju, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że życie jego wisi na włosku.

— Mówiono ci? A któż ci to mówił? Może nasz wielki przyjaciel, ten gad Witold?

— Mówicie panie głośno to, co ja dotąd mogłem tylko myśleć. Bo on właśnie kazał zabić mego ojca. Sam ledwie uszedłem z życiem.

Sonnenberg przestał się uśmiechać i ściągnął brwi.

— Więc co ci mówiono?

— Żebym udał się do Malborka, a znajdę chleb i opiekę.

— Któż to był taki szczodry na nasz koszt?

— Rycerze Henryk von Warnsdorf i Baldwin von Helfenstein.

— Oni są jeńcami Witolda! Jakżeś do nich trafił?

— Ocalili mi życie, skrywając w swojej komnacie, kiedy ścigała mnie książęca straż.

Rycerz zmierzył Benka nieufnym spojrzeniem, widać było jednak, że zaczyna poważniej traktować jego odpowiedzi.

— Jaki masz dowód, że nie łżesz?

— Wiozę ich pismo do wielkiego marszałka. — Benko uniósł trzymaną w ręku czapkę. — Czy przykażecie rozpruć?

Sonnenberg jednak, jak większość krzyżackich rycerzy, nie umiał czytać, toteż machnął ręką.

— Pokażesz wielkiemu marszałkowi! Ale bacz, by nie przyszedł dzień, w którym będę musiał pomagać cię szczypcami. A teraz z drogi!

Rycerz uderzył konia ostrogą, a Benko pośpiesznie usunął się na bok. Oddział pognał ku Wysokiej bramie, wzniesając za sobą obłok kurzu.

Dyktując już na rastemborskim zamku kolejne sprawozdanie dla zakonnej rady, które miało odejść jeszcze tego dnia przez pocztowego gońca, Sonnenberg wspominał w nim również o spotkaniu zbiegu. Ten ustęp był powodem wezwania przez wielkiego marszałka archiwisty. Kazał mu wyszukać w zapiskach zakonnych, dotyczących litewskich bojarów, wszystkie dane o rodzie Neymirów z Niemierzy.

MINAŁ JUŻ SZEREG TYGODNI, a tajemnica, w jaki sposób wiadomości od Dunina były dalej przekazywane i dokąd szły, pozostawała nadal niewykryta.

Pierwsze jesienne podmuchy zaczęły już przeciągać nad miastem, strącając żółknące liście, a Bert ciągle jeszcze nie zdołał złapać poszukiwanego tropu. Jedyne co, jak dotąd, warte było zastanowienia, to informacja Dziewczki, którą ten przekazał mu pewnego dnia: „Na jutrzejszy ranek Peter kazał przygotować sobie konia”.

Istotnie wyjechał rano, ale na popołudnie był już z powrotem i Bert zastanawiał się, dokąd nieprzyzwyczajony do siodła grubas mógł jeździć?

Rodzina Vogelwederów z nikim nie utrzymywała bliższych, pozakupieckich kontaktów. Jedyne Bruno Brenner, jak się okazało, właściciel młyna gdzieś na Żabim Kruku, bywał u nich częstym gościem, ale powodem tego była Wera. A właśnie jej osoba odegrała główną rolę w wypadkach, które wkrótce zaszły.

Robił się już lekki zmierzch, z każdym dniem teraz coraz wcześniejszy. Bert ustawiał sobie na pulpicie lichtarz, by przy świetle świec dokończyć roboty — którą równie dobrze mógł i przerwać, bo zgodnie z ogólnym zwyczajem praca kończyła się o zmroku — kiedy drzwi uchyliły się i na progu pojawiła się Wera.

— Nic przeszkadzam? — Z ręką opartą na klamce przechyliła zgrabną figurkę do przodu.

— Skądże! Proszę dalej, właśnie kończę robotę!

Przestąpiła próg i zamknęła za sobą drzwi.

— Szukam Antoniego — zawahała się, po czym dorzuciła z uśmiechem — tym razem...

— Jeśli naprawdę jest potrzebny, to znajdzie go pani na górze. Przed chwilą poszedł do siebie. — Bert uśmiechnął się nieco kpiąco.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Co znaczy to „naprawdę”? Gdyby nie był potrzebny, to bym nie pytała. Babcia chce z nim mówić.

— Proszę się nie chmurzyć. Powiedziałem tak, bo zaświtała mi nadzieja, że być może nudziła się pani i zechciałaby nieco pogawędzić.

— *Pan jest bardzo zarozumiały, panie bakałarzu! Sądzi pan, że rozmowa z nim stanowiłaby dla mnie rozrywkę?*

— *O święty Celestynie, patronie bakałarzy! A więc narażem się na niełaskę?! Jestem gotów na kolanach błagać o przebaczenie!*

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— *Niech pan spróbuje...*

Nie doszło jednak do tej próby, gdyż usłyszeli za drzwiami odgłos prowadzonej rozmowy. Bert przybrał obojętny wyraz twarzy, udając, że kończy rozpoczęte zdanie.

— *...nie ma go tu. Mówił, że idzie do swojej izby.*

Na progu stanął Peter, a za nim w ciemnej sieni zarysowała się wysoka postać Brunona. Weszli do kantoru. Peter obojętnie przeszedł obok dziewczyny i opadł na najbliższe krzesło. Postępujący za nim Bruno obrzucił oboje badawczym spojrzeniem. Zatrzymał wzrok na Werze, nic nie mówiąc, jakby w oczekiwaniu wyjaśnienia z jej strony. Tak też musiała zrozumieć jego milczenie, gdyż rzuciła niepewnie, jeszcze z resztkami rumieńca na twarzy:

— *Babcia kazała poszukać Antoniego. Myślałam, że go znajdę w kantorze...*

— *Ale go tu nie ma.*

— *Wiem już o tym sama! — prychnęła nagle rozłoszczona.*

Kiedy wyszła, Bruno patrzył przez chwilę na zamykające się drzwi i z kolei przeniósł wzrok na Bertę. Przez chwilę spotkali się oczami, ale Czarny zaraz skromnie opuścił swoje i oparty o pulpit oczekiwał na wyjaśnienie ich przybycia.

Bruno przemierzył pokój i usiadł na drugim krześle. Wówczas Peter odezwał się:

— *Przybyliśmy nieco z wami pogawędzić, mości panie bakałarzu... Jesteście już u nas sześć tygodni. Nie jest to dużo, by dobrze poznać człowieka, ale i tyle starczyło, abyśmy mogli się przekonać, że jesteście pracowici i spokojni. Ze swej strony musicie przyznać, że nie obarczaliśmy was nadmiarem pracy. A ponieważ mniemanie, jakie sobie wyrobiliśmy o was, jest dobre, skłania nas ono do uczynienia wam pewnej propozycji.*

Bert uklonił się lekko, jakby w podziękowaniu za pochwałę, ale i na znak, że słucha z uwagą, co zresztą było prawdą.

— *Chcemy związać was bardziej z naszym przedsiębiorstwem i zatrzymać u nas na dłużej.*

Peter na chwilę zamilkł i uniósł wzrok na swego rozmówcę. Bert odezwał się:

— *Moje studia nie skończą się ani za rok, ani za dwa.*

Peter lekko skinął głową.

— A więc idźmy dalej. Na pewno wiecie, że każde przedsiębiorstwo ma swoje handlowe tajemnice, prowadzi sprawy, o których nie należy mówić, ale nie dlatego, broń Panie Boże, że są to sprawy nieuczciwe. Po prostu są inni kupcy, przed którymi musimy się strzec i z którymi należy walczyć, jako że handel to walka, tyle tylko, iż nie używamy w niej mieczy i toporów. Ale jak każda walka, tak i ta wymaga przygotowań, o których przeciwnik nie śmie wiedzieć. Czyś mnie dobrze zrozumiał?

— Z całą pewnością. — Bert skłonił głowę. Słuchał wypowiedzianych słów z napiętą uwagą i radosnym przeświadczeniem, że coś się wreszcie zaczęło dziać.

— To dobrze. Dotąd nie obarczaliśmy was zadaniami, które wykraczałyby poza pospolite czynności pisarza. Teraz natomiast pragnęlibyśmy włączyć was w sprawy, które jak powiedziałem, wymagają dochowania tajemnicy. Na początek obejmiecie czynności łącznika pomiędzy nami a panem Brennerem. Zdarza się, że musimy mu przesłać pilną wiadomość. Będziecie to załatwiali. Uprzedzam jednak po raz drugi, że nikomu o tym mówić nie wolno, zrozumieliście mnie?

— Jak najlepiej. Będę postępował podług otrzymanych wskazówek — złożył Czarny dwuznaczną obietnicę.

— Cieszę się więc, żeśmy doszli do porozumienia. — Peter z trudem wstał. — Od dziś ze względu na nowe funkcje podnosimy wam zapłatę do trzech groszy.

Bert przywołał na twarz uśmiech zadowolenia.

Miasto spało, pogrążone w ciemnościach. Jesienne chmury przesłaniające niebo pozbawiały je naturalnego oświetlenia, toteż wąskie ulice wypełniała ciemność tym głębsza, że i pozamykane szczelnie okiennice nie przepuszczały na zewnątrz światła. Czarny, owinięty opończą, szedł, przyświecając sobie latarnią, która kolebała mu się w ręku, uciepiona u krótkiego łańcuszka.

Wprawdzie na cmentarzu Najświętszej Panny na wysokim słupie paliło się światło, a drugie migotało z dala przed nim, zapewne przed klasztorną bramą Braci Mniejszych, ale nie oświetlały one drogi, znacząc tylko jej kierunek.

W parę dni po owej rozmowie Bert otrzymał polecenie odniesienia pisma do Brennera. Obejrzał je u siebie w izdebce.

Było zawinięte w cienkie płótno, pod którym wyczuł palcami papier. Nie znalazł jednak twardej nierówności, która wskazywałaby na istnienie pieczęci. To było zastanawiające, zwłaszcza wobec upomnień o zachowaniu tajemnicy. Może papier był zalepiony tylko opłatkami? Nie dawało to jednak należytego zabezpieczenia, bo opłatek łatwo było odkleić i z powrotem przymocować. Czyżby więc zapraszano go, by przeczytał list?

Kościółek Świętego Idziego pozostał za nim. Skręcił ku furcie. Tu nie było już światła orientacyjnych, ale wyjście za mury znajdowało się gdzieś w pobliżu.

Znalazł furtę i wydostał się na zewnątrz. Droga była nierówna, pełna wyboi, pokryta głębokimi koleinami. Idąc, nasłuchiwał uważnie, bo każde spotkanie groziło niebezpieczeństwem.

Ale usłyszał jedynie odgłos swoich kroków po zamarzłej ziemi. Latarnia, kołysząc się miarowo, rzucała smugi skaczącego światła.

Gdzieś zza murów, przytłumione i odległe, rozległo się nawoływanie nocnego stróża. Jednocześnie ukazał się w blaskach latarni masyw dużego budynku i okalający go mur. Był u celu nocnej wędrówki.

Odszukał furtę i umocowaną przy niej kołatkę. Miała żelazną rękojeść odlaną w kształcie smoczej głowy. Został pouczony, by uderzyć trzy razy po dwa stuknięcia.

Dźwięk kołatki rozległ się daleko w ciszy nocnej. Po chwili Bert usłyszał wolne kroki i skrzekliwy głos zza muru:

— Do kogo przychodzisz?

— Jako przyjaciel do przyjaciela — odpowiedział półgłosem, przybliżając twarz do bali furty.

Zgrzytnęło żelazo i Czarny wsunął się do środka.

Przygarbiona postać odźwiernego minęła go z krótkim „chodźmy” rzuconym przez ramię. Bert, idąc za nim, rozglądał się dookoła, ale noc nie sprzyjała obserwacji. Poza wielkim masywem młyna dostrzegł jedynie zarysy dachów kilku przyległych doń budynków. Wreszcie światło latarni padło na dębową płytę masywnych drzwi. Przewodnik pchnął je i znaleźli się w sieni oświetlonej oliwną lampką.

Weszli na piętro. Odźwierny zastukał do jednych z drzwi. Usłyszeli krótkie, opryskliwe: „Wejść!”

W komnacie był tylko Bruno. Na widok Czarnego podniósł się z krzesła i bez słowa wyciągnął rękę nakazującym gestem.

Czarny, rozzłoszczony pogardliwym przyjęciem i brakiem powitania, stał bez ruchu.

— Dawaj pismo! — przyznał go Bruno z akcentem zniecierpliwienia.

Bert spojrzał mu w oczy.

— Tak ci pilno?

Powieki Brennera zwężyły się.

— Mów grzeczniej, mości bakalarzu! — powiedział cicho, ale z groźbą w głosie.

— I tobie należy się takie pouczenie!

— Śmiesz to czynić?!

— Słyszysz przecie. Zapominasz, że nie jestem twoim sługą.

— Moim czy nie, ale jesteś! Radzę ci o tym pamiętać!

Czarny wyciągnął wreszcie pismo i podał je.

— Nie lubię zapominać. Oto wasze pismo i bądźcie zdrowi!

— Zaczekaj! Płótno otrzymasz z powrotem na znak doręczenia.

Bert zatrzymał się i czekał, aż tamten wyjmie list. A więc to płótno miało jednak jakieś znaczenie? Z zainteresowaniem obserwował, jak zostanie rozwinięte.

Bruno położył list na stole, po czym dopiero rozwinął płótno i wyjął złożoną we dwoje kartkę grubego, szarego papieru. Rzuciwszy zaledwie okiem na treść, odłożył ją na bok, a płótno podał Czarnemu, który, idąc za starym klucznikiem, zastanawiał się, czy istotnie Bruno jest tak biegły w czytaniu, że wystarczył mu tylko rzut oka na pismo, by zapoznać się z jego treścią?

NASTĘPNEGO RANKA, KIEDY jak zwykle wyszedł na podwórze dla zachowania kontaktu z Dzieweczką, ujrzał, że ten, uzbrojony w miotłę, kręcił się przy stajni. Na widok Berta olbrzym przerwał pracę i zdjawszy czapkę, złożył mu ukłon, potem przetarł ją rękawem.

Rampa dochodziła do samych wrót stajni. Nie zwracając pozornie uwagi na pracującego parobka, Bert ruszył nią do końca. Kiedy byli blisko siebie, usłyszał:

— Rudy chce z tobą mówić.

Znalazł swego towarzysza w gospodzie „Pod Turem”. Zamknąwszy starannie drzwi izby, rzucił od progu:

— Wzywałeś mnie, więc jestem. Co masz dla mnie?

Jaksa zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

— Ano tak, wzywałem cię... Powiedz mi, długo jeszcze tej maskarady?

Bert zniecierpliwiał się.

— O to tylko chciałeś spytać?! Czy znów narzekanie?

Rudy uśmiechnął się kpiąco.

— Niech pan bakalarz nieco przystygnie. A będę narzekał, bo mi się nudzi. I do tego to chłopskie przebranie... Żadna dziewczyna na człowieka nie spojrzy. Chyba że jaka kuchta...

— A kuchty spoglądają? — wtrącił z uśmiechem Czarny. Gniew mu minął, gdyż wyczuł, że, swoim zwyczajem, właściwy powód wezwania Rudy pada mimochodem.

— Od biedy ujdzie... — skrzywił się Rudy.

— Więc wezwałeś mnie, żeby pomówić o kuchtach?

— Właśnie...

Bert spojrzął na piegawatą twarz obróconą w stronę okna. Nie zdradzała niczego poza znudzoną obojętnością.

— Czy o tych od Vogelwederów? I o której? Tej czarnej? Jest niczego sobie.

Rudy odwrócił się od okna.

— Jakbyś zgadł. Gorąca dziewczucha.

— I jeszcze narzekasz?

— Okropnie gadatliwa.

— Tym lepiej!

— Kiedy gada nie o tym, co mnie obchodzi.

— Tak? A o czym na przykład?

— Ostatnio coś mi plotła o gospodzie Marcina, tego, gdzieś mieszkał...

— No, patrzcie! I cóż takiego ci powiedziała? — Czarny już był pewny, że Rudy nie wezwał go z błahego powodu.

— A to, że co piątek gospoda „Pod Gnatem” przesyła Vogelwederom jakiś postny specjał, przeważnie faszzerowaną rybę... I nie do kuchni, a od razu do któregoś z braci, Johanna albo Petera.

Czarny zmarszczył brwi.

— Rybę, mówisz? — Raptem uderzył się w czoło. — Co za głupiec ze mnie! Żeby w tedy wiedział, że to z gospody „Pod Gnatem”! Dziękuję ci, to bardzo cenna wiadomość!

Rudy skromnie opuścił oczy.

— Ciesz się, że pan bakałarz jest zadowolony.

— Tej informacji mi brakło! Teraz rozumiem! Po znalezieniu zwłok szerokogębe podwoili ostrożność, nie rozumiejąc, co zaszło! Ale najważniejsze, że idziemy dobrym śladem!

— A ciebie ściągnęli do siebie. A więc coś chyba przewąchali?

— Być może... I chcę lepiej mi się przyjrzeć. A z ciebie są zadowoleni?

— Jeszcze by nie! Wybieram z targu co lepsze produkty, nie targując się, a liczę tanio. Ale nie za bardzo, żeby nie wzbudzić podejrzenia.

— Rób tak dalej i miej oczy otwarte.

— Nie potrzebujesz mnie pouczać. Tylko to przebranie mi zawadza, bo jest tam sikora, którą chętnie bym przygruchał. Ale na chłopka nie chce patrzeć, bo to ich wnuczka.

— Teraz rozumiem, dlaczegoś narzekał na ten chłopski strój! — Czarny roześmiał się. — Ale pociesz się, że niewiele tam jest do zyskania! Ona ma narzeczonego, mają się wkrótce pobrać. Prawdę mówiąc, sam bym chętnie z nią poświergolił, bo zdaje się, że w swoim przyszłym zbytnio zakochana nie jest. Ale muszę unikać niepotrzebnych kłopotów, więc...

— A jakże! Jakbym cię nie znał! — przerwał mu Jaks. — Ty nie poniechałbyś spódnicy, choćbyś wiedział, że pod nią siedzi gniazdo szerszeni.

Ponieważ Czarny uprzytomnił sobie, że istotnie nie ma zbyt czystego sumienia, zmienił temat rozmowy.

Parokrotnie już usiłował dotrzeć do księdza Andrzeja, jednak młody wikary, pełniący przy nim obowiązki sekretarza, wciąż bezradnie rozkładał ręce. Proboszcz był w jednej ze swoich licznych podróży, ale podobno miał wrócić lada dzień.

Jego cierpliwość nie była jednak narażona na zbyt długą próbę, po paru dniach sekretarz sam go odnalazł w kolegalnej bibliotece, gdzie Czarny układał kolejny wierszyk. Ukazał się zza regalu i kiwnął nań palcem. Bert domyślił się, że ksiądz Andrzej powrócił.

Istotnie czekał na niego, siedząc za stołem zawalonym papierami. Bert złożył głęboki ukłon i zatrzymał się u drzwi.

Ksiądz odwrócił głowę i przyglądał mu się przez chwilę. Wreszcie skinął ręką.

— Chodź i siadaj! — Wskazał mu krzesło stojące w pobliżu stołu.

Było to zaszczytne wyróżnienie. Bert zajął wskazane miejsce i milczał, oczekując na zezwolenie zabrania głosu.

— Mów, z czym przybywasz — usłyszał po chwili.

Czarny zdał sprawozdanie z przebiegu zdarzeń, nie omijając niczego, wiedział bowiem, jaką wagę przywiązywał proboszcz do dokładności szczegółów. Podczas gdy mówił, ksiądz podniósł się z krzesła i, podpierając laską, począł przemierzać obszerną komnatę. Gruby, włochaty kobierzec

tłumił jego kroki. Nie przerywał, chwilami tylko lustrował mówiącego badawczym spojrzeniem.

Kiedy Czarny skończył, ksiądz Andrzej zatrzymał się przy oknie i czas jakiś wyglądał przez nie, jakby zapominając o swoim rozmówcy.

Wreszcie odwrócił się i zatrzymał przed Bertem.

— Zatem mimo zabójstwa tego człowieka w wozowni listy Dunina przekazywane są nadal?

— Tak, wasza wielbność.

— Jak to oceniasz? Dlaczego to zabójstwo ich nie spłoszyło?

— Zastanawiałem się nad tym. Wydaje mi się, że nie wiedzą, co o tym sądzić. Zechce wasza wielbność wziąć pod uwagę, że zginął, nie zdążywszy wyjawić, co spostrzegł. Kazał pojmać Jurgę i sam go przesłuchiwał. Ale co było tego powodem, zapewne nie wiedział ani Marcin, ani z kolei nie wiedzą Vogelwederowie.

— To możliwe. A więc obecnie znamy już kolejny etap drogi tych listów. Teraz musisz dojść, dokąd idą dalej w swojej wędrówce do Malborka.

— *Może kupieckimi taborami?*

Ksiądz Andrzej potrząsnął głową.

— *Te chodzą za rzadko i ciągną zbyt wolno. Zakon docenia pośpiech, zwłaszcza że to źródło jest dla nich ważne. Dowiedz się, dokąd to wyjeżdżał ów Peter.*

Ksiądz Andrzej odwrócił się ku swemu krzesłu i usiadł z laską opartą o kolano.

— *Teraz sprawa tych przesyłek, które ci zaczęli powierzać. Wątpię, aby zaistniała trzecia możliwość poza tymi dwoma, które widzę. Albo są to istotnie jakieś wiadomości, które przekazują sobie potajemnie i chcą ciebie naprawdę wciągnąć do swojej roboty, upewniwszy się najpierw, że umiesz milczeć, albo to tylko egzamin, a wiadomości wymyślają na poczekaniu. W obu wypadkach jednak powinienes stwierdzić, co tam jest, bez obawy, że się zdradzisz. Oni zapewne z góry założyli, że nie opanujesz ciekawości i listy przeczytasz. W pierwszym wypadku będą tylko ciekawi, co zrobisz, aby ocenić, czy można na ciebie liczyć. Ale jeśli zachodzi druga możliwość, bądź ostrożny, bo to będzie tak ustawiona pułapka, byś zdradził się, kim jesteś.*

— *Byłoby dobrze wiedzieć, do jakiej roboty chcą mnie wciągnąć.*

— *Tego ci tak od razu nie powiedzą. Jest im wiadome, że co dzień bywasz na Zamku. Wygodnie mieć takiego człowieka. To daje możliwości...*

— *Co wasza wielbność ma na myśli?*

Ksiądz odwrócił głowę i spojrzał w twarz Berta.

— *Wiemy, że brodacze wyznaczyli cenę za głowę miłościwego pana. Trzydzieści tysięcy grzywien...*

— *Och! — wykrzyknął Czarny opanowany oburzeniem i nieomal zgrozą. Po chwili rzekł półgłosem:*

— *Olbrzymia suma! Toż to fortuna, za którą niejeden byłby gotów popełnić taki czyn!*

— *Otóż to. Strzeżemy więc naszego pana pilnie, bo liczymy się, że próba taka może nastąpić.*

— *W czasie mego pobytu na Zachodzie wiele się w kraju zmieniło — powiedział Czarny. — Wygląda na to, że wojna zbliża się szybko.*

— *Tak. Spodziewamy się jej, a nawet świadomie ku niej dążymy. Stąd i ty masz do wykonania swoją część roboty...*

— *Trafiając przypadkiem na ślad tej dziewczyny, nie przypuszczałem, że to tak poważna sprawa. A kiedy we Włocławku otrzymałem polecenie jak najszybszego przybycia do Krakowa, nie spodziewałem się z kolei, że właśnie w niej przyjdzie wziąć mi udział.*

— *Że jest poważna, tego nie potrzebuję ci powtarzać.*

— *A co z dziewczyną? Czy usiłujemy ją uwolnić?*

Ksiądz potrząsnął głową.

— Na razie nie. Wiemy, gdzie jest, i to nam wystarcza.

Czarny nie mógł opanować zdumienia.

— Dlaczego, wasza wielbność? Przecież jak ją uwolnimy...

— Otóż to! Wtedy Dunin będzie miał rozwiązane ręce. A nam obecna sytuacja jest potrzebna i musi jeszcze jakiś czas pozostać bez zmian.

— Ależ... Wasza wielbność... A oni? Dunin i ona?

— Wydaje ci się to okrutne? W naszej służbie na litość nie ma miejsca.

— Rozumiem, wasza wielbność...

— A więc wracajmy do tematu. Tej dziewczynie u Vogelwederów daj spokój, nie wolno ci jej ruszyć. Zachowaj dużą ostrożność, a na nocne spacery radzę nie wychodzić samotnie.

Ksiądz Andrzej poprawił osuwającą mu się z kolan laskę i ciągnął dalej:

— Ja będę teraz w coraz częstszych rozjazdach, musisz więc sam dawać sobie radę i decydować, co dalej czynić. Rozprawa z Zakonem staje się coraz bliższa i pracy mi przybywa. Ostatnio znów mamy nowy zatarg z brodacami i podkanclerzy miał dużo kłopotu z uśmierzeniem królewskiego gniewu. Miłościwy pan tak się rozsierdził, że chciał od razu ogłaszać wojnę.

— O co znów poszło?

— Wymordowali kupców, którzy wieźli zakupione przez króla zboże dla głodującej Litwy. Było tego dwadzieścia kryp. Krzyżacy zatrzymali statki w Ragnecie, bo ponoć otrzymali wiadomość, że w zbożu idzie ukryta dla Żmudzi broń. No i podobno ją znaleźli, co kupcy przyptacili życiem.

— Skoro broń była istotnie, to skąd królewski gniew?

— Bo Władysław o broni nie wiedział.

— Jak to się mogło stać?

— Przybył tu z Wilna zaufany wielkiego księcia od handlowych spraw, Maciej z Trok, lubelski kupiec. To człowiek obrotny i sprytny. Broń załadował na krypy potajemnie i przykrył królewskim zbożem.

— Wielki książę działał więc bez porozumienia z naszym panem?

— Albo to pierwszy raz? On po prostu chciał wykorzystać okazję do przewiezienia broni na Żmudź, gdzie wkrótce będzie potrzebna.

— Ale wasza miłość chyba wiedział o tym? — rzucił impulsywnie Czarny, po czym zamilkł, zdając sobie sprawę, że powiedział zbyt wiele.

Lecz ksiądz Andrzej rzucił mu tylko krótkie, rozbawione spojrzenie i mruknął:

— *Być może... Ale nie uważałem za wskazane wtrącać się do poczynañ władców. To jeszcze nikomu na dobre nie wyszło. Pieniądze masz?*

— *Zarabiam u Vogelwederów i tego mi starczy.*

— *Ale nie wiadomo, co może zająć. Możesz ich pilnie potrzebować, a mnie nie będzie. — Wyciągnął szufladę stołu i wyjął spory trzos. — Masz, weź to.*

Czarny podniósł się i schował sakiewkę. Stał, oczekując na pozwolenie odejścia. Ksiądz podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— *A więc, chłopcze, bądź zdrow! I postaraj się, abym jak najprędzej wiedział, kto i jak odbiera listy Dunina.*

Czarny skłonił się i ruszył do drzwi. Zatrzymał go jednak głos księdza.

— *Hubert, poczekaj chwilę!*

Odwrócił się. Ksiądz szedł ku niemu, lekko kulejąc. Czarny zauważył, że twarz jego ma skupiony, poważny wyraz. Wreszcie stanął przed nim i bez słowa patrzył w oczy. Dopiero po chwili odezwał się:

— *Nie chciałem ci tego mówić, ale zmieniłem zamiar. Lepiej, abys wiedział, choć to zła wiadomość. Twoja siostra została uprowadzona przez Krzyżaków.*

Czarny otworzył usta, ale nic nie mówił, jakby mu zabrakło tchu. Wreszcie wyjąkał:

— *A Benko? Gdzie on był, że nie bronił? Czy ubity?*

— *Napad odbył się w czasie jego nieobecności. Teraz udał się do zakonnego państwa, aby jej szukać.*

— *Czy... Czy wasza wielebność wie kto?*

— *Sonnenberg z Rakuz.*

Czarny przetarł twarz dłońią.

— *Niech wasza wielebność zezwoli... pojedę też...*

Ksiądz Andrzej w milczeniu potrząsnął głową.

— *Benko już wyruszył. To jego prawo i obowiązek. Ty musisz pozostać tu, bo tu jesteś potrzebny.*

— *Nie podołam... Biedna Zytka...*

— *Bacz, abym nie żałował, że ci powiedziałem.*

Czarny już się opanował.

— *Stanie się, jak sobie życzyście... Oby tylko Benkowi się poszczęściło.*

— *Wierzę, że Bóg go wesprze. Idź już.*

Mijając korytarz, a potem krużganek, Czarny nie mógł się otrząsnąć z wiadomości, która spadła na niego jak grom. Wśród chaosu myśli dominowało dzikie pragnienie zemsty. Potem zaś przyszła nikła refleksja: czy nie dlatego właśnie ksiądz powiedział mu, co zaszło?

List, który w jakiś czas później Bert otrzymał do odniesienia, tym razem został przez niego otwarty. Jego treść brzmiała:

„Piątek, dwie msze po wieczery na drodze Kocia–Święty Michał następna przesyłka. W latarni szyba czerwona”.

Czarny zwinął starannie płótno, starając się zachować jego poprzedni układ. Potem siedział dłuższą chwilę, zastanawiając się nad przeczytaną treścią.

Podany dzień kazał przypuszczać, że była to właśnie ta poszukiwana droga Duninowych wiadomości. Ale może właśnie ten, a nie inny dzień został podsunęty umyślnie? Przypomniawszy sobie możliwości wskazane przez księdza Andrzeja. W obu wypadkach nakazał zachować bierność. Ostatecznie więc Czarny postanowił pozostawić sprawę jej dotychczasowemu biegowi.

Należało jednak przekonać się, czy naprawdę we wskazanej porze przyjdzie postaniec. Umówił się więc z Rudym na piątkowy wieczór, a sam poczynił pewne przygotowania. Polegały one na zapewnieniu sobie możliwości dostania się po nocy do domu bez dobijania się do drzwi oraz na znalezieniu zawczasu dobrego punktu obserwacji.

I jedno, i drugie nie nastroczało trudności. Ulica Kocia szła wzdłuż murów miejskich, a w miejscu, gdzie skręcała nieco ku wschodowi, łączyła się ze Świętym Michałem. Stała tam baszta Rymarzy, dająca doskonały wgląd w obie strony, skąd mógł nadejść nocny postaniec.

Dostali się z Rudym na mury i zasiedli przy baszcie, licząc, że zbyt długo nie przyjdzie im czekać. Mróz na noc brał tęgi. Było ciemno, ale leżał śnieg i obie ulice odcinały się białym pasmem od czarnych ścian domów. Mimo ciepłej odzieży ziąb przenikał ich coraz bardziej, uderzali więc rękami o ramiona i chuchali w palce, by nie skostniały z zimna.

Wreszcie w zaległej nad miastem ciszy usłyszeli skrzyp śniegu, a po chwili ujrzeli sylwetkę człowieka wyłaniającego się z zaułka. Miał na sobie opończę ze spiczastym kapturem, a w ręku latarnię. Jedna z jej czterech szybek była czerwona.

Doszedłszy do Kociej człowiek zatrzymał się i rozejrzał na boki, po czym skręcił pod mury i wkrótce ciemność wchłonęła jego postać. Błyskało tylko coraz drobniejsze światełko latarni.

— A więc to chyba nie pułapka — szepnął Rudy.

— Żeby to można było wiedzieć na pewno! — westchnął w odpowiedzi Czarny. — Wystarczyłoby wówczas pójść za nim, by przekonać się, dokąd przesyłają materiał.

— To nie takie proste. Przecież nie wiesz, czy już przesyłki nie oddał, a teraz wraca do siebie.

— I to możliwe... No chodź, złazimy!

W tydzień potem Dzieweczka znów dał znak, że chce mówić. Wiadomość, którą miał do zakomunikowania, w ciągu najbliższych godzin zmusiła Czarnego do dużej ruchliwości.

— *Na jutro Peter kazał szykować konia — szepnął olbrzym, lejąc przy studni wodę panu bakałarzowi na rękę.*

— *O której?*

— *Zaraz jak się rozwidni.*

— *Dobrze. Uważaj na mnie, bo muszę jeszcze raz z tobą mówić. Powiem, co masz robić.*

Po otrzymaniu tej wiadomości Czarny przede wszystkim udał się „Pod Tura”. Było jeszcze wcześniej, zastał więc Rudego, który nie należał do ludzi lubiących bez potrzeby wstawać.

— *Zbieraj się! — zawołał zaraz od progu. — Pójdiesz na Zamek.*

Rudy przeciągnął się.

— *Stało się coś nowego? — rzucił zdawkowo, nie okazując żywszego zainteresowania słowami Berta.*

— *Dzieweczka dał mi znać, że Peter kazał na jutro przygotować konia. Narzekalesz, że ci się nudzi, więc chcę cię postać za nim.*

— *Piechotę?*

— *Nie udawaj głupka! Weźmiesz konia i psa!*

— *Psa? — zdumienie Rudego było szczere. — Po jakiego czorta? I skąd mam ten inwentarz zdobyć?*

Czarny wyciągnął zza pasa nóż z kościaną rękojeścią.

— *Weź go i pilnuj dobrze. Pokażesz go burgrabi na Zamku i z nim to załatwisz. Masz być jutro rano przed świtem w Żabim Zaułku. Dzieweczka wskaże ci, w jakim kierunku pojechał Peter, a reszta będzie należeć do ciebie!*

— *Ale po co mi pies? — jęknął Rudy. — Mało będę miał kłopotu z koniem? Jak nic poodbijam sobie pośladki.*

— *Bo ruszysz za Peterem nie wcześniej jak w dwa, trzy pacierze. Skoro bierze konia, to znaczy, że jedzie za miasto, a tam, jeśli będziesz blisko, spostrzegłby od razu, że go śledzisz. Zrozumialesz, poczciwcze?*

— *Zrozumiałem, wasza wielmożność! A dalej?*

— *Musisz dowiedzieć się, dokąd pojechał. To najważniejsze. Poza tym działaj tak, jak nakaże ci rozsądek.*

— *On każe postać cię do diabła!*

— *Gotów jestem usłuchać, bo mam mało czasu. Nie pokpij sprawy.*

Po opuszczeniu gospody Czarny udał się z kolei do apteki. Zakupił zestaw wywarów ziołowych i z flaszeczką w kieszeni wrócił do siebie. Wywołał Dzieweczkę za bramę i wręczył mu zakup.

— Weź to. Namocz kawał szmaty i ponacieraj od spodu kopyta konia. Zrób to kilka razy. Rankiem będzie tu czekał Rudy. Dasz mu kawałek tej szmaty, niech da psu powąchać. Patrz, w którą stronę pojedzie Peter, i powiedz Rudemu. To wszystko.

W tym samym czasie Benko dotarł do Malborka. Już z dala ujrzał zespół ogromnych, najeżonych wieżami budowli, wysoko wznoszących się stromymi dachami. Od murów i baszt zamku biła moc i groza.

Czarne otwory strzelnic patrzyły niby czujne oczy na okolicę, a wysoko spiętrzone ściany gmachów zdawały się urgać swą potęgą rozciągniętemu u ich stóp miastu i krzątającemu się ludzkiemu mrowiu.

Do miasta wjechał Benko Garncarską bramą. Ulica prowadząca do rynku była prosta i krótka, toteż wkrótce dotarł tam bez pytania o drogę. Potem wskazano mu, którądy może dostać się na zamek. Jechał wolno, rozglądając się i obserwując ruchliwą ludzką cizbę wypełniającą ulicę. Wszędzie słychać było niemiecki język, ale od czasu do czasu wyłapywał uchem i urywki polskiej mowy.

Minął ratusz i skręcił w prawo ku kościołowi Świętego Jana. Miał teraz przed sobą ogrom zrębów Górnego Zamku. Dołem odgradzał go od miasta podwójny ciąg murów, a górą, gdzieś ku obłokom, szła skosem wielka płaszczyzna jego dachu. Pod nim biegł krużganek obronny, a nieco niżej rząd małych okienek, podobnych raczej strzelnicom niż otworom dla przepuszczania światła.

Mijając kościół, Benko zdjął czapkę i przeżegnał się, westchnąwszy o pomoc, bo nadchodził moment decydujący.

Jak go objaśniono, za kościołem należało skręcić w lewo, ku Szewskiej bramie, bo tędy tylko można było dostać się z miasta na zamek. Potem wskazano mu z kolei kaplicę Świętego Wawrzyńca, za nią już właściwą bramę miał dojrzeć sam. Była zbyt potężna, by ujść uwadze.

Tak więc minąwszy Podzamcze, zwane Dolnym Zamkiem, stanął u kresu wędrówki.

Przed bramą wiodącą do Średniego Zamku kazano mu zsiść z konia. Poprzedzany przez knechta, minął w jej długim tunelu kilkoro potężnych wrót z dębowych bali, gęsto obitych żelazem. Potem znaleźli się na podwórku z trzech stron otoczonym ścianami gmachu, okalającymi go niby olbrzymia podkova. Czwarta strona, południowa, była otwarta i ukazywała północne skrzydło Górnego Zamku. Oba zamki dzieliła przepaść głębokiej fosy bez wody, z przerzuconym przez nią zwodzonym mostem. Strzegła go kwadratowa wieża obramiona górą blankami.

Knecht poprowadził przybysza do narożnika, skąd kamienne schody prowadziły na krużganek. Z niego przez małą sień dostali się na długi korytarz, malejący gdzieś u krańca, tak że w odległej perspektywie jego ściany zdawały się nieomal schodzić ze sobą.

Jednak nie szli nim długo. Knecht wprowadził go do dużej, pustej sali. Wokół jej ścian biegły kamienne ławy, a przed nimi stały ciężkie, dębowe stoły. Z prawej ciąg ław przerywał ogromny kominek.

Tu przewodnik wskazał Benkowi ławę, a sam zniknął za bocznymi drzwiami. Nie bawił długo, a po powrocie siadł obok niego. Benko obrzucił go spojrzeniem, ale pacholek milczał, więc i on nie zabierał głosu.

Dopiero po paru godzinach drzwi otworzyły się i na progu stanął młody mężczyzna. Był ubrany w czarne, obcisłe spodnie i takąż jakę, a po wierzchu narzucone miał okrycie z szarego sukna, wycięte na kształt krótkiego ornatu. Opinał go skórzany pas, u którego zwisał mieczyk.

Odprawił knechta ruchem dłoni, a Benkowi zalecił iść za sobą.

Znaleźli się w niedużej komnacie. Obok okna stał stół, a przy nim krzesło z wysokim oparciem. Siedział na nim masywny, rudy mężczyzna w skórzanym kaftanie. Obrócony bokiem do stołu, bawił się leżącym u jego nóg psem.

— Masz przed sobą wielkiego marszałka Fryderyka von Wallenrode — objaśnił młody mężczyzna. — Chciałeś z nim mówić.

Benko skłonił się głęboko.

Rycerz trzepnął psa po grzbiecie i uniósł głowę.

— Czego, bracie, chcesz ode mnie?

Benko ujrzał szare, szklście lśniące oczy wpatrzone w siebie z przenikliwą uwagą. Ich ostremu spojrzeniu towarzyszył pozornie przyjazny uśmiech.

— Jestem litewski zbieg. Jawnuta z Niemierzy. Uszedłem przed gniewem wielkiego kniazia i mam list do waszej miłości.

— Jak zdołałeś uciec?

— Krewni mnie ukryli i dali konia. Ale szczęśliwą ucieczkę zawdzięczam przede wszystkim waszym rycerzom: hrabiemu von Warnsdorf i von Helfensteinowi.

— A więc oni dali ci pismo?

Wallenrode gestem nakazał swemu służebnemu bratu odebranie pisma.

— A dlaczegóż to musiałeś uciekać?

— Bom Świdrygiełłowy zwolennik. Moja siostra jest żoną jego dworzanina. Po ucieczce kniazia Witold zaczął tępić jego stronników. Zabito mi ojca, a ja sam ledwie uszedłem z życiem. Ale zasiekliby i mnie, gdyby wasi rycerze nie dali mi u siebie schronienia.

Wallenrode zwrócił głowę ku młodemu mężczyźnie.

— Czytaj ten list.

Ten rozłożył kartkę papieru.

„Pisane na wileńskim zamku w wieczór świętego Dominika A.D. 1408. Pozdrowienia dla Wielkiego Marszałka. Oddawca mówi, że nazywa się Jawnuta Neymir z Niemierzy. Był ostro ścigany przez straż, cośmy widzieli. Prosił o schronienie, ale jako goście kniazia Witolda takowego nie udzieliliśmy. Skoro przeczytacie te słowa, będzie znaczyło, że mimo to zdołał uciec. Ostańcie zdrowi i nie zapominajcie o nas, bo obaj jak najprędzej pragnęlibyśmy już być z naszymi braćmi i u Waszego boku”.

Wallenrode spojrział z uśmiechem na Benka.

— *Piszq tu co innego, niż mówicie...*

— *Widać bali się, że wpadnę w ręce straży, i stąd chcieli zachować ostrożność.*

— *Być może... Zatem chciałbyś u nas pozostać?*

— *Potom przyjechał, by wam służyć. Ale tylko do czasu, aż kniaź Świdrygiełło obejmie wielkksiążęcy tron.*

— *Mówisz, że zabili ci ojca? A co z resztą rodziny?*

— *Matka zmarła trzy lata temu, siostra jest za dworzaninem Świdrygiełły, a młodszy brat służy u kniazia Lingwena. Myślę, że uchowa się.*

Wallenrode rzucił spojrzenie na swego służebnego brata. Ten lekko skinął głową za plecami przybysza. To spojrzenie nie uszło uwagi Benka. Zdał sobie sprawę, że teraz zaczyna się najtrudniejsza część indagacji.

— *A służba i niewolni? Co się z nimi stało?*

— *Albo zostali pojmani na śledztwo, albo puciekali.*

— *A więc dwór stoi pusty?*

— *Spalony, wasza miłość.*

— *Mój ty Wielki Boże! — westchnął marszałek. — Co za szkoda! Przecież ja znam wasz dwór! Podczas ostatniego oblężenia Wilna stałem w nim kwaterą przez cały czas! Pamiętam, że rósł przed domem ogromny dąb, pozostałość pogańskich czasów. A więc pożar zniszczył zapewne i drzewo?*

Benko potrząsnął głową. W pytaniu tym kryła się pułapka — zdał sobie z tego sprawę, podziwiając jednak w duchu krzyżacką dokładność, ujawnioną znajomością nawet tak drobnych wydarzeń.

— *Z tym dębem, wasza miłość, to była dziwna historia. Widzę, że jej nie znacie, to wam opowiem. Przeszłego lata, podczas burzy, uderzył w drzewo piorun, rozłupując pień aż po korzenie. Jedna z naszych starych wrózek ostrzegła ojca, że za rok zdarzy się nieszczęście. I zginął akurat tego samego dnia, w którym przed rokiem piorun roztrzaskał dąb...*

Wallenrode zerknął spod brwi na przybysza i splunął przez ramię.

— *Tfu! Precz z pogańskimi siłami! To Bóg was ostrzegł! Że też sami nie strzeżliście się!*

— Nikt swego losu nie ujdzie...

— A powiedz mi, z kim to stawaliście przed księżęcym sądem? Coś tam słyszałem, ale nie pamiętam, o co to szło?

Benko ściągnął brwi, udając, że już samo wspomnienie tej sprawy wzbudza w nim gniew.

— To był spór z Dowgardem o tabun koni, który on zagarnął z naszych pastwisk.

— I jak się skończył?

Benko wzruszył ramionami.

— Książ nigdy przychylny nam nie był, więc konie zatrzymał Dowgard, a opłatę za sąd wnieśliśmy my.

Marszałek roześmiał się.

— To cały Witold! On pozwala swoim poborcom ściągać z ludności nie tylko opłaty księżęce, ale i zdierać bezprawnie naddatki. Potem wiesza za to poborców, odbierając im zagrabione dobro. W ten sposób książ wyciska pieniądze, a naród ma swego obrońcę! No, ale czas ucieka, dość tej rozmowy! Więc chcesz u nas pozostać?

— Tak, wasza miłość. Myślę, że mógłbym być przydatny, bo darmo chleba jeść nie chcę.

— Żebyś jadł darmo, o tym, bracie, nie może być mowy! Wprawdzie z Witoldem utrzymujemy teraz przyjazne stosunki, ale schronienia ci nie odmówimy. Jednak będziesz musiał na to zapracować. Na razie obejmiesz pieczę nad stajnią briefjungów na prawach służebnego brata, a potem zobaczymy. Może przydasz się nam jako tłumacz lub przewodnik. Puszcze litewskie chyba znasz dobrze?

— W nich się rodziłem, wasza miłość.

Wallenrode skinął dłonią.

— Idź więc z Bogiem! Ale pamiętaj, abyś służył wiernie, bo nasze serca są litościwe, ale rękę mamy ciężką.

Benko skłonił się marszałkowi.

— Dziękuję wam, panie. Obiecuję dobrze wypełniać wasze poruczenia.

— Bracie Albercie, zaprowadźcie go do domowego komtura. Niech go wprowadzi w obowiązki.

Na znak, że posłuchanie zostało zakończone, Wallenrode znów zajął się psem. Brat Albert skinął na Benka i obaj ruszyli ku drzwiom.

— ODJECHAŁ TRZY PACIERZE temu — rzekł Dzieweczka, wskazując na widoczny z zaułka szczyt wieży Mikołajskiej bramy.

Rudy ruszył w drogę.

Koń z trudnością wyciągał nogi z grząskiego błota. Na Rzeźniczej było już lepiej, bo leżała tu warstwa słomy, gdyż przeważnie tędy kmiecie przewozili do miasta swoje produkty.

Rudy minął gródek otoczony własnymi murami i przylegający doń klasztor, potem przejazd w gmachu Mikołajskiej bramy. Dostał się na jej zewnętrzny, otoczony murem dziedziniec, skąd musiał skręcić na drugi podwórzec również otoczony murami. Z niego dopiero wyjechał na przedmieście.

Ranek był mglisty i mokry. Droga, rozmokła i błotnista, zryta była koleinami, pełna dołów i wyboi. Ciągnęły nią liczne chłopskie zaprzęgi. Konie, z wyciągniętymi ku ziemi łbami, prężyły grzbiety i z trudnością ciągnęły po błocie kolebiące się wozy.

Rudy zjechał na bok, gdzie biegła nieco suchsza ścieżka, z której korzystali piesi. Zapewne korzystał z niej i Peter, bo pies prowadził z pyskiem przy ziemi, szarpiąc się do przodu na rzemiennej linie.

Na prawo od drogi ciągnęła się szeroka fosa z czarną powierzchnią nieruchomo stojącej wody. Tuż za nią wysoko w górę wznosiły się brunatne mury obronne.

Z lewej rozciągały się mokradła i uprawne połacie pól, pokryte teraz płatami rozmokłego śniegu. Tu i ówdzie czerniały na tym tle zabudowania i otoczone ostrokołami folwarki. Ponad niektórymi dachami snuł się dym, wlokąc się w wilgotnym powietrzu szarymi pasmami.

Gdzieś z dala doleciał głos dzwonu. Rudy wypatrywał uważnie, czy nie dojrzy przed sobą jeźdźca, który, według słów Dzieweczki, siedział na bułanym koniu.

Ale chwilowo ukazała się tylko rzeczka obrośnięta na brzegach łoziną. Droga wygięta się nieco w łuk i doprowadziła do brodu. Minęli go, a pies od razu znalazł na drugim brzegu dalszy ślad, obwieszczając to zajadłym skowytem.

Rudy musiał przebyć jeszcze blisko pół mili, zanim ukazał mu się zamglony, obły zarys kopca Wandy, a potem chaotycznie rozrzucone zabudowania Mogiły. Wśród jej klet i chałup, na nieznanym wzniesieniu, widniał poprzez czarną siatkę gołych, splątanych gałęzi masyw kościoła i przywierający doń klasztor Cystersów.

Wkrótce wjechał między zagrody i dotarł do obszernego placu przed murem okalającym kościół i klasztorne zabudowania. W pobliżu furty stał uwięzany bułany koń. Plac otaczało kilka dostojniejszych chałup. Przy jednej z nich wisiał na drągu dzban, znak, że można tu zaspokoić pragnienie.

Rudy skierował się zatem ku karczmie, przede wszystkim po to, by pozbyć się kłopotliwego teraz psa, rwącego się ku klasztorowi.

Po krótkiej rozmowie z karczmarzem zwierzęta zostały ulokowane w szopie, a Rudy wszedł do środka, by napić się piwa i zastanowić, co robić dalej.

W karczmie panował półmrok. Zajął miejsce za stołem i rozejrzył się dookoła.

Nieopodal niego siedziało kilku kmieci, wiodąc przyciszoną rozmowę. Obok nich leżały na klepisku dwa zające pojmane zapewne na wnyki.

To nasunęło Rudemu pewien pomysł. Wdał się z kmięciami w rozmowę i po krótkim targu stał się właścicielem zajęcy.

Wypiwszy podane piwo, wyrzał na dwór. Konia przy furcie już nie było.

Zapłacił za piwo i wziąwszy zające ruszył ku klasztorowi. Po kilkakrotnym stuknięciu kołatką usłyszał kroki. Furta uchyliła się, a w jej szczelinie ukazała się rumiana, okrągła twarz brata furtiana.

— A czego tam, dobry człowieku? — Łysa głowa świeciła napiętą skórą, a małe oczka patrzyły z dobroduszną chytrłością.

Rudy skłonił się głęboko.

— Niech będzie pochwalony. Grzesznik przybył, aby tym darem uzyskać wstawiennictwo świętego Wacława — wyciągnął przed siebie rękę z zajęcami.

Furtian skinął głową i z uśmiechem aprobaty odebrał dar.

— To pięknie, mój synu! A cóżes popełnił za grzech, by naszego świętego prosić o pomoc? — Brat furtian ruszył ku małemu domkowi stojącemu w pobliżu furty.

— Zdarzyło się, że sprąłem swoją babę... I to mocno... — westchnął Rudy, idąc za zakonnikiem. — Ale jak człowiek łeb sobie zaproszy, to go babskie jazgotanie złości.

— A więc nie tylko gniewem, ale i pijaństwem zgrzeszyłeś? — Braciszek wszedł do środka, po czym wrócił do Rudego bez zajęcy.

— Ano właśnie — przytaknął Rudy. — Ale myślę, że ten dar, choć drobny, ulży memu sumieniu.

— Oby Bóg to sprawił! A za zające dziękuję ci. Dam je bratu Szymonowi, który zarządza kuchnią. Pewnie pójdą na stół opata — westchnął z nieukrywanym żalem.

— Nie ma za co, ojczy, dziękować. Skromny to podarek. Nie taki zapewne zostawia wam ten bogaty pan, com go spotkał...

— Ee — braciszek machnął ręką. — Do datków to on niezbyt skory.

— To bym go nie przyjmował! Wygląda na takiego, co i pół grzywny mógłby dać!

— Przyjmujemy go, bo to jakiś krewny brata Anzelma. Odwiedza go więc czasami. Obaj ponoć pochodzą ze Szwabii.

— Którego brata Anzelma? Był u nas w Pleszewie jakiś brat Anzelm na kweście. Mówił, że od was. Taki mały, suchy.

— To chyba nie od nas, bo my drugiego nie mamy. Ten wprawdzie też gruby nie jest, ale wysoki i kościsty.

— I ze Szwabii, mówicie? To kawał świata.

— Przybył do nas chyba z wiosną na krótką gościnę. Ale że i łacinę, i pismo zna, opat go zatrzymał. Uczony zawsze przydatny, toteż odwiedzają go ludzie, datki zostawiając.

— Zajmuję wam czas, ojcze, a na mnie pora. Niech wam te zajęczki pójdą na zdrowie.

— Idź z Bogiem, synku! A jak coś jeszcze będziesz miał, nie zapominaj o nas. I swojej baby za bardzo nie tłucz, zawszeć to też boże stworzenie.

ZDAWAŁO SIĘ, ŻE WYPADEK był błahy, ale to on właśnie zdecydował o dalszym rozwoju sytuacji. Miał miejsce następnego wieczoru.

Czarny siedział w swojej izdebce, pomału gotując się do snu, kiedy usłyszał lekkie kroki na drewnianych stopniach schodów, po chwili drzwi otworzyły się i ze zdziwieniem ujrzał w nich Werę z naręczem pościeli w ramionach.

— Przyniosłam panu świeżą pościel — rzuciła z przekornym uśmiechem, ale i z pewnym zażenowaniem.

— A służba? Dlaczego pani sama się trudzi?

— Służebne mają dużo roboty. Święta już blisko. — Rzuciła bieliznę na pościel. — Niech ją pan sobie zmieni.

— Stokrotnie dziękuję, Wero! Będzie z pani dobra gospodyni. Zazdroszczę przyszłemu mężowi...

Dziewczyna uśmiechnęła się zalotnie.

— Jest pan o mnie zazdrosny?

— Jak można nie być zazdrosnym o taką buzię i takie oczy! — Czarny zbliżył się do dziewczyny i ujął jej rękę.

Próbowała mu ją wyrwać, ale niezbyt stanowczo.

— Czy potrzebna wam moja ręka? — spojrzała mu prosto w oczy.

Czarny uśmiechnął się, objął ramieniem jej plecy i przechylił ku sobie. Tym razem już naprawdę próbowała mu się wyrwać, ale nie zwolnił uścisku ramienia.

Raptem uległa, podała mu usta.

Pocałunek trwałby zapewne długo, ale w pewnej chwili Bert usłyszał szmer i uniósł głowę.

W czarnym prostokącie otwartych drzwi ujrzał złowrogą twarz Brunona wpatrującego się w nich bez słowa. I to jego milczenie, zanim nie zniknął w ciemnościach, było straszniejsze od wybuchu gniewu.

ZARAZ Z POCZĄTKIEM TYGODNIA Johann wyjechał do Wrocławia. Z wyjazdu tego nie robił tajemnicy. Rozmowy, jakie prowadził z kontrahentami, obracały się wokół zamierzonej podróży, a Czarny otrzymał polecenie przygotowania wykazów rozliczeniowych z tamtejszymi kupcami.

Natomiast we środę po południu Peter wszedł do kantoru i, rozejrzawszy się, skinął na Bertę. Podał mu list jak zwykle zawinięty w płótno.

— Dostarczysz go zaraz. Tym razem sprawa pilna.

— Nie po wieczery? — zdziwił się Bert.

— Nie. Ale na wieczery zdążysz wrócić.

— Zaraz ruszam. Wezmę tylko opończę.

— Powtórzysz ustnie Brunowi, że ma być tym razem specjalnie ostrożny. Idzie bardzo ważna przesyłka.

— Powtórzę, jeśli ujrzałszy mnie, nie złapie za miecz.

— Za miecz? Dlaczego?

— Ostatnio krzywo na mnie patrzy. Widać czymś go uraziłem... — Czarny spojrzał na Petera, by zorientować się, co wie o zaszłym zdarzeniu.

— Uraziłeś? Ależ przeciwnie! Właśnie ostatnio mówił o tobie jak najlepiej.

Czarny wzruszył ramionami.

— Widać tak mi się tylko zdawało.

— I ja tak myślę. Zresztą Bruno wie, że jesteś pod naszą opieką, a sądzę, że nieco się z nami liczy... — Peter uśmiechnął się z lekceważącą pewnością siebie.

Przed ruszeniem w drogę Bert zaznajomił się z treścią pisma. Była nieomal identyczna jak poprzednie. Przesyłka miała przybyć w piątek wieczorem.

Oddał pismo i powtórzył ustne zlecenie. Bruno ani jednym słowem czy gestem nie okazał, że był świadkiem sceny na poddaszu. Odczytał list i zwracając mu płótno, nawet zdołał zdobyć się na uśmiech.

— Tym razem wcześniej przysłicie. To może i lepiej, bo bezpieczniej za dnia odbywać tę drogę. Nie mieszkam zbyt blisko...

Czarny pożegnał podejrzenie uprzejmego gospodarza i ruszył w powrotną drogę pełen rozterki i złych przeczuć.

Miał więc o czym myśleć, idąc ku Wiślanej bramie wyślizganą saniami drogą. Dlaczego Bruno udaje, że nic się nie stało? Okazywał mu od początku niechęć, a to, co widział, musiało tę niechęć przeobrazić w nienawiść. Przygotowuje zatem zemstę i nie chce się z tym zdradzić?

— Och, te baby! — westchnął. — Ze też licho mnie podkusiło, wiedziałem przecież, czym to pachnie...

Wrócił jeszcze przed wieczerzą i na pytające spojrzenie Petera odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy. Po kolacji udał się do siebie i przed ułożeniem się do snu starannie niż zwykle zaryglował drzwi.

To miało miejsce w środę. Natomiast w piątek w nocy obudziło go niezbyt głośne, ale uporczywe stukanie. W pierwszej chwili nie mógł zorientować się w przyczynie hałasu, który wyrwał go ze snu. Za chwilę jednak zerwał się na nogi.

— Kto tam? — rzucił półgłosem, łapiąc jednocześnie za mieczyk.

— To ja. Peter. Otwórz wreszcie!

Czarny odsunął rygiel. Na progu istotnie stał Peter z latarnią w ręku.

— Co się stało!

— Żebym to wiedział! — Peter był wyraźnie wzburzony. — Bruno przysłał nagłe wezwanie! Ubieraj się, musimy iść! Masz mi towarzyszyć!

Czarny ogarnął się szybko, zastanawiając się jednocześnie, co mogło się stać? Czyżby i Peter...? Nie, z tej strony nie mogło chyba grozić niebezpieczeństwo. Mimo to rzucił z troską w głosie:

— Obawiam się, że sam nie wystarczę jako obrona. Może by wziąć jeszcze waszego parobka? Wygląda na siłacza. Zdaje się, że sypia nad stajnią.

— Nie trzeba. Czeka na nas posłaniec Brunona. Będziemy więc we trzech.

— A w drodze powrotnej? Nie wiadomo przecież, kiedy wrócimy. W razie napaści we dwóch możemy nie dać rady.

Peter spojrzał nieco kpiąco na Berta.

— Sam chodziłeś i nie bałeś się?

Czarny obrzucił grubasa rozbawionym spojrzeniem.

— Nie wiem, wasza miłość, jak władacie mieczem, ale jest i drugi sposób ratunku, a z tym byłoby wam trudno.

— Co masz na myśli?

— To, że biegam dobrze i zawsze zdołałbym uciec, spotykając zbyt silną przewagę. Wy nie ubieglibyście daleko... Musimy więc wzmóc siły, bo w razie napaści nic innego nam nie pozostanie, jak siłą przeciwnika odpierać.

Peter zastanawiał się przez chwilę.

— Masz chyba słuszność. Idziemy, po drodze zawołam parobka.

Wkrótce zagłębili się w ciemne i ciche ulice.

Czarny nie mógł zamienić z Dzieweczką ani słowa, gdyż wszyscy trzej szli zbyt blisko siebie, by nie zgubić się w gęstej czerni panującej między domami. Korzystając jednak z ciemności, w pewnej chwili ujął jego dłoń i znacząco ją ścisnął. Ten odpowiedział mu podobnym sygnałem i dłuższą chwilę potem Bert musiał rozcierać zdrętwiałą od tego uścisku rękę.

Dotarli do Pobocznej i wyszli na Podwale. Było tu nieco jaśniej. Domy stały dalej od drogi i nie skupiały się tak gęsto. Śnieg okrywał grubym kożuchem ich dachy, blanki murów i zamarznąłą w fosach wodę, skrzypiąc pod nogami na wyjeżdżonej saniami drodze.

Wreszcie wyłonił się mur okalający młyńskie zabudowania Brennerów, a po chwili ukazała się furta. Peter uderzył kołatką w umówiony sposób. Musiano już na nich oczekiwać, bo furta otworzyła się nieomal natychmiast. Peter odwrócił się do Dzieweczki z krótkim poleceniem:

— Wracaj do domu. Nie będziesz już potrzebny.

Bert znieruchomiał zaskoczony tym nakazem. Przecież wzięli go przede wszystkim ze względu na drogę powrotną? Co się za tym kryło?

— A z powrotem? — rzucił, starając się nadać głosowi zdawkowy ton.

— Odprawiam go, bo zmieniłem zamiar. Zostaniemy tu do rana.

— Wobec zmiany decyzji ja chyba też nie jestem potrzebny? Jeszcze sobie trochę pośpię.

— Bruno polecił powiedzieć, byśmy przyszli we dwóch, więc sprawa zapewne dotyczy i ciebie. Chodź, nie marudźmy, stary czeka, by zamknąć furkę.

Nie mając wyboru Czarny, teraz czujny, bo zaczął wietrzyć niebezpieczeństwo, zwrócił się żartobliwie do Dzieweczki:

— Dobrze, że noc, bobyś niecnoto, zamiast do domu trafił do oberży! „Tura” masz akurat po drodze!

Dzieweczka odpowiedział tym samym tonem:

— Pewnie, że kufelek grzanego dobrze by zrobił! Ale po nocy do szynków nie puszczają.

— Spragniony drogę zawsze znajdzie! No, bywaj i zważ, com powiedział!

Przekraczając za Peterem furkę, Bert nieznanym ruchem wsunął rękę za opończę, sprawdzając, czy mieczyk łatwo wychodzi z pochwy. Był skupiony w sobie i czujny na wszystko.

Ruszyli dziedzińcem, poprzedzani przez starego, który przyświecał im latarnią. Czarny bacznie rozglądał się dookoła, ale wszędzie panowała cisza. Zarysy budowli majaczyły bryłami murów, a stojące wokół nich drzewa wyciągały w górę ubielone konary.

Bert raz i drugi obejrzał się za siebie.

Za nim szedł ich przewodnik, potem posłaniec Brunona, a dalej stała czarna ściana nocnej ciemności.

Doszli do domu. Stary otworzył przed nimi drzwi i usunął się na bok. Peter wziął z jego rąk latarnię i wszedł do środka. Bert ruszył za nim, wchodząc do sieni.

Ostatnim obrazem, jaki tu ujrzał, był widok Petera stojącego na środku z latarnią uniesioną wysoko w górę i kilku pachołków doskakujących do niego.

Nie zdążył wyrwać miecza spod opończy, bo opadła mu na głowę wielka płachta, a kilkanaście rąk udaremniło wszelkie ruchy. Sprężył się w sobie i próbował uwolnić kopnięciami nóg, ale w następnej chwili otrzymał uderzenie w głowę, które pozbawiło go przytomności.

Ocknął się od zimnej wody, którą chluśnięto mu na głowę. Miał ręce związane na plecach sznurem, którego koniec zamocowano do żelaznego pierścienia tkwiącego w ścianie.

Ciemię bolało go jeszcze od otrzymanego uderzenia, ale wróciła świadomość, a z nią rozeznanie sytuacji.

Z trudem opierając się ramieniem o mur, z twarzą ociekającą wodą, uniósł się na nogi i rozejrzał dookoła.

Zatknięta w ścianę, paliła się z sykiem pochodnia. Pomieszczenie było obszerne, ale niskie. Potężny, rozszerzający się ku górze filar podpierał je pośrodku. Biegły od niego kamienne żebra opadające łukami ku ścianom. W pobliżu stała drewniana ława z żelaznymi obręczami — na szyję i nogi. Opodal ławy w drucianym koszyku żarzyły się węgle. Tkwiło w nich kilka żelaznych prętów z drewnianymi uchwytami.

Nieco dalej dostrzegł ciemny otwór biegnący skosem ku górze. Kończyła go żelazna krata do połowy zasypana śniegiem. Naprzeciw znajdowały się żelazne, wąskie drzwi.

Pochodnia rzucała chybotliwe światło. Czerwone smugi przesuwwały się po ostrołukowym sklepieniu. Kiedy przygasła, ponurą izbę wypełniał mrok.

Barczysty pachoł, widząc, że jeniec podnosi się na nogi, odstawił kubek z wodą i krzyknął w stronę drzwi:

— Hej, tam! Powiedźcie, że oprzytomniał!

Gdzieś obok musiały znajdować się dalsze pomieszczenia, bo coś mu odkrzyknięto, ale grubość murów nie pozwoliła na rozeznanie słów. Wkrótce rozległy się kroki, żelazne drzwi rozwarły się z hukiem i do pomieszczenia wszedł pachoł z latarnią, a za nim Peter z Brunonem u boku.

— Powieś latarnię i zabierajcie się precz! — rzucił pachołkom Bruno.

Peter zbliżył się do Czarnego i jakiś czas przyglądał mu się z lekkim uśmiechem. W mroku piwnicy Bert widział jego białą tłustą twarz z dwójgciem czarnych oczek świdrujących go kpiącym spojrzeniem. Przypomniat sobie owe popołudnie, kiedy odbył z nim pierwszą rozmowę.

— No i co, mości farbowany bakalarzu, wpadło się?

— Wpadłem...? — Czarny pragnął zorientować się w sytuacji. — Nie rozumiem ani waszych słów, ani swego uwięzienia.

— Słyszysz, Bruno, on nie rozumie... — Peter zwrócił głowę do Brunona, który stał obok, wpatrując się z nienawiścią w jeńca.

— Zaraz zrozumie...

Peter obrócił się znów do Czarnego.

— Skoro nie rozumiesz, coś niecoś ci wyjaśnię.

— No to wyjaśniaj, niech wiem przynajmniej, o co tu chodzi!

— Wiesz dobrze, ale nie wszystko, to pewne. Obecnie mogę ci dopowiedzieć resztę. Czy myślisz, żeśmy przyjęli cię dlatego, że był nam potrzebny skryba?

Czarny udał zdziwienie.

— Nie dlatego? A więc po co?

— Gdyż postanowiliśmy przyrzeć ci się bliżej. Wtedy, po śmierci owego człowieka w oberży Marcina. Chyba wiesz, o czym mówię?

To, co słyszał, dowodziło słuszności jego własnych przewidywań. Mimo to słuchał uważnie dalszych słów.

— Muszę przyznać ciągnął Peter — że nie zauważyliśmy w twoim zachowaniu niczego podejrzanego. Postanowiliśmy więc poddać cię próbie. Byliśmy ciekawi, czy pokusisz się o odebranie pościeńcowi tej rzekomo ważnej przesyłki? Wówczas wiedzielibyśmy już, kto jesteś. Chyba słusznie, co?

— Słusznie, mów dalej!

— A ponieważ napad istotnie nastąpił, zostałeś pojmany, byś nieco opowiedział o sobie.

Czarny zachnął się.

— Napad? Na pościeńca? Nic nie rozumiem!

— Ejże! Uważasz, że zaprzeczanie coś ci pomoże? Miałem o tobie lepsze mniemanie! Ale na szczęście Bruno od razu odgadł, coś za jeden, i on to podsunął mi myśl, by znęcić cię ważnością przesyłki! No i dałeś się złapać.

Czarny ze zdumieniem powtórzył jego słowa:

— Dałem się złapać? O czym ty mówisz?!

— Czy naprawdę jesteś taki tępy? Przecież poza nami tylko ty wiedziałeś, kiedy i jaką drogą będzie szedł pościeńiec. Bo nasze listy przecież czytałeś...

— A więc dziś wieczorem napadnięto na pościeńca?

— Niby o tym nie wiesz?! Został napadnięty i przeszukany. Kiedy nie przybył na czas, Bruno wystął ludzi, a ci znaleźli go w śniegu. Był mocno poturbowany i bez przytomności.

To nie mogło być kłamstwem i Czarny nie mógł się połapać, co zaszło. Rozumiał teraz, dlaczego go ujęli, ale kto dokonał tego napadu? Czyżby ksiądz Andrzej dał takie polecenie bez uprzedzenia go? Nie, to było niemożliwe. Więc tylko głupi przypadek...? Ponieważ więzień milczał, Peter odezwał się:

— Już teraz nie masz nic do powiedzenia? Obawiam się jednak, że będziesz musiał mówić. Chcemy bowiem wiedzieć, z czyjego polecenia działasz i co o nas zdołałeś się dowiedzieć?

— O jakim działaniu mówisz i o co chodzi? Co mogę o was wiedzieć? Tyle że prowadzicie sprawy handlowe!

— Więc nie chcesz mówić?

— Toć mówię!

— No, trudno... — Peter obrócił się. — Sam sobie jesteś winien. Będziemy musieli cię zmusić.

Bruno podszedł do drzwi i zawołał.

— Ej, chodźcie tu!

Do piwnicy weszło trzech drabów. Peter zwrócił się do Brunona:

— Zaczekam obok... — Czarny ujrzał, że wargi mu drżą. — Nie lubię takich widoków. Wiesz, o co masz pytać, i powtórzysz, co zezna.

— Możesz iść. Nie bój się, wyśpiewa wszystko! Skoro już dostałem go w swoje ręce, dam sobie z nim radę!

Słowa te, rzucone z zawziętą nienawiścią, niby błyskawica rozświetliły Czarnemu mrok całej zagadki. Że też od razu na to nie wpadł! Oczywiście, że to Bruno! Najpierw namówił do zaznaczenia ważności przesyłki, a potem sam obrabował posłańca! A to diabeł! W ten sposób dokonuje zemsty za zgodę, a nawet pomocą Vogelwederów! I nic tu nie pomogą wszelkie zaprzeczenia, bo słowa nie sprostają faktom! Ale czy tu właśnie nic tkwi możliwość ratunku? Gdyby zamiast zaprzeczać...?

— Ej, poczekaj jeszcze chwilę!

Peter obrócił się i stanął w wyczekującej pozie.

— Skoro twierdzisz, że jestem na królewskiej służbie, bo zapewne to miałeś na myśli, to czy sądzisz, że nikt o mnie nie spyta? A wówczas co powiesz?

— Po prostu, że nie wiem. Nie byłem przecież twoim opiekunem.

— I myślisz, że tym się wykręcisz? Twój parobek wie, że wyszedłeś ze mną. Czy i jego zgładzisz i powiesz, że gdzieś wyszedł?

Czarny z zadowoleniem spostrzegł, że spojrzenie Petera pobiegło ku Brunonowi.

— A chociażby... — W jego głosie zadrgało wahanie.

— Dobrze to sobie rozważ! Bo zapłacisz gardłem, czy jestem w służbie, czy nie!

— Ale żywy bardziej mi grozisz.

— A więc przyznajesz, że grożę? — uśmiechnął się ironicznie Czarny.

Peter był wyraźnie wytrącony z równowagi. Skinął na Brunona.

— Chodź, on może trochę zaczekać! Musimy jeszcze pogadać. Niepotrzebnie brałem tego parobka.

— Tego już nie zmienisz! Teraz najważniejsze, żeby nam wyznał, co wie. Zostaw mnie tu, skoro nie lubisz zapachu palonego mięsa. Tamten nam nie ucieknie!

Peter podszedł do Brunona i uniósłszy głowę, począł coś szeptać mu na ucho.

— No dobrze... skoro nalegasz... — zgodził się niechętnie Bruno.

— Zostańcie tu — zwrócił się do parobków. — Zaraz wracam!

Kiedy wyszli, pachotkowie usiedli na ławie i rozpoczęli cichą pogawędkę, nie zwracając uwagi na więźnia. Czarny zastanawiał się przez chwilę, czy nie skusić ich znaczniejszą kwotą za pomoc w ucieczce, ale odrzucił tę myśl. Z jednym może by się i udało, ale z trzema...

Czas wlokł się wolno. Pachotkowie urwali rozmowę i panowała cisza zakłócona jedynie sykiem palącej się pochodni.

W pewnej chwili ciszę tę przerwał odległy, stłumiony murami śpiew. Z okiennego otworu doszły niewyraźne, ale znane słowa pieśni. Gdzieś z zewnątrz przylatywała melodia, która raptownie ożywiła więźnia nadzieją.

Gospody przydrożne, oberże zasobne,

Życzliwych uchylcie wierzei,

Wagant strudzony do was przybywa

Wyzbyty fałszywych nadziei...

Czarny nabrał w pierś powietrza i odpowiedział, jak mógł najgłośniej:

Mosty kamienne, bramy szerokie,

Idziem wichrami smagani,

Weseli królowie miłości i wina,

Waganci, my pieśni kaptani...

Pachotkowie zerwali się na nogi, zaskoczeni tym nagłym wybuchem.

— Co to?! — wrzasnął jeden z nich. — Rozum ci pomieszało ze strachu?

Czarny, nie zwracając na niego uwagi, rozpoczął następną zwrotkę.

Do lochu wpadł Bruno.

— Co się tu dzieje?! — wrzasnął od progu. — Otto, batogiem go!

Pachoł zdjął z haka kańczug i zbliżył się do Czarnego. Ten urwał pieśń i rzucił spokojnie:

— A spróbuj tylko, psi synu!

Parobek zatrzymał się niezdecydowany. Bruno doskoczył do niego i wyrwał mu z rąk batog.

— Dodajesz sobie śpiewem odwagi? Czekaj, ja ci zawtóruję!

Rzemienie świsnęły w powietrzu i z klaśnięciem spadły na jeńca. Ten zwinął się pod uderzeniami, ale nie wydobył głosu. Znów świsnął batog, raz i drugi.

— A teraz rozdziać do pasa i na ławę z nim!

Kiedy już leżał z szyją i nogami w żelaznych obręczach, ramiona mając przywiązane sznurem do nóg łąwy, Bruno nachylił się nad wyprężonym ciałem skazańca.

— Wygodnie ci? — rzucił ironicznie.

— A ujdzie, bydlaku... — Bruno roześmiał się.

— Zaraz zmienisz ton. Udało ci się nastraszyć Petera, ale mnie nie nastraszysz. Teraz my sobie pogadamy...

— Toś ty napadł na postaćca?

— A więc domyśliłeś się? Dostaniesz zaraz nauczkę, by cudzych bab nie macać, czy jesteś na królewskiej służbie, czy nie... Właściwie to mi wszystko jedno, bo i tak żywego cię stąd nie wypuszczę. Ale tak z ciekawości: jesteś?

— Nie. Nie jestem.

— Może to i prawda... — Bruno wyprostował się i skinął na pachołków, jeden z nich skoczył ku węglom i wyjął żelazo. Jego koniec, rozżarzony do białości, pryskał drobnymi iskrami. — No, zabierajmy się do roboty! Najpierw opal mu uszy.

Rozpalone żelazo zbliżyło się do nieruchomej głowy. W powietrzu zaczął się rozchodzić zapach przypalonych włosów.

IDĄC Z POWROTEM DZIEWECZKA zastanawiał się, co mogły znaczyć słowa Czarnego, rzucone przy rozstaniu. Niełatwo przychodziło mu to zastanawianie się, bo czy człowiek tak od razu potrafi potapać się, co znaczyło takie lub inne słowo? Od takiego myślenia może się nawet zakręcić w głowie. Albo po co ścisnął go w ciemnościach za rękę? Po co gadał o szynku, kiedy wiadomo, że zamknięty? I kazał

zważać, co mówi...? Znaczy coś mu grozi? Ale gdyby tak było, przecież nie laźłby jak głupi za furkę! Szedł dobrowolnie, nie opierał się!

Z drugiej jednak strony, po co Peter, budząc go w stajni i każąc iść ze sobą, uprzedzał, by miał na oku pana bakatarza i nie pozwolił mu uciec, a w razie oporu nawet przymusił siłą. Coś w tym jednak musi być... A z tym szynkiem to tylko głupie gadanie. W nocy ludzie śpią, a nie szynkują. Hm... ale czemu akurat powiedział, że mam „Tura” po drodze... A może, że tam Rudy...?

I tu umysł Dzieweczki doznał ciśnienia. Rudy! Tak, to było to! Trzeba dostać się do niego, a on już będzie wiedział, co robić dalej. To chłop z pomysłem! On zaraz wszystko wie! Wtedy, w Toruniu, gdyby nie on, byłoby z nimi kiepsko!

Uradowany, że znalazł wyjście z sytuacji i kto inny rozstrzygnie jego wątpliwości, przyspieszył kroku. A jak się dostać po nocy do oberży, to Dzieweczka wiedział. Przecież mieszkał tam i mimo zakazu Czarnego wymykali się czasem z Rudym na piwko.

Był już na miejscu. Minął front oberży, obszedł róg i dostał się w zaułek biegnący na tyłach posesji. Przyświecając latarnią, rozsunął znane sobie bale i przecisnął się do środka. Wkrótce był na krużganku.

Zaraz... które to było ich okno? Chyba to...

Zastukał w okiennicę raz i drugi. Wkrótce posłyszał rzucone z wnętrza zaspanym głosem:

— A tam kto?

— Otwieraj, Rudy! To ja, Dzieweczka...

— Co za dziewczeczka? Czeka, ja ci pokażę głupie żarty!

Rozległo się szuranie i stuk potrąconego krzesła. Po chwili drzwi wychodzące na krużganek uchylły się lekko i zabłyśta oświetlona szczelina, ukazując sylwetkę gospodarza. W jednym ręku trzymał kaganiec, w drugim siekiere.

— Nie bójcie się, to ja, com u was mieszkał! — uspokoił go olbrzym. — Muszę zaraz gadać z Rudym...

— Aha, to ty... A co takiego? — Drzwi otworzyły się szerzej.

— Z Czarnym coś niedobrze... Przyszedłem zawiadomić.

— Z Czarnym? Chodźże prędzej! Ziąb ciągnie, a ten stoi jak wkopany!

Obudzili we dwóch Jaksę i Dzieweczka opowiedział przebieg zdarzeń. Jak przewidywał, Rudy od razu wiedział, co trzeba robić. Ogarnął się szybko i rzucił:

— Dostali Czarnego! Musimy się spieszyć!

— We dwóch? Dacie radę? — Zatrószył się gospodarz.

— Gdzie teraz po nocy szukać ludzi! Zresztą ten starczy za dziesięciu!

— *I bez broni? Toż to szaleństwo!*

— *Mam swój nóż, a on woli dobrą pałkę od miecza!*

— *Czekajcie, coś tam w komorze wynajdę!*

Po krótkiej chwili gospodarz przyniósł dwa krótkie mieczyki używane przez strażę miejskie.

— *Najlepsza broń w ciasnocie. Weźcie, bo nie wiadomo, co może być.*

— *Jak dojdzie do walki, to i tak nie damy rady, bo obskoczą — mruknął Rudy, ale mieczyk przypasał.*

— *Jak do świtu was nie będzie, dam znać na Zamek — oświadczył na pożegnanie gospodarz.*

Pół idąc, pół biegnąc, wkrótce byli na miejscu.

— *Jak stuknął Peter? — spytał Rudy, kiedy Dzieweczka wskazała mu furkę.*

Olbrzym milczał chwilę, wreszcie odpowiedział z wahaniem:

— *Uderzał po dwakroć... chyba trzy razy...*

— *No to próbuj! Ale... — Rudy zawahał się. — Musi być chyba i hasło. Możeś słyszał?*

— *Nie... Coś tam gadali, ale stałem z dala...*

Rudy zastanawiał się przez chwilę, po czym rozkazał:

— *Przysuń się do muru i podstaw rękę!*

Kiedy olbrzym wykonał polecenie, Rudy skoczył mu na dłoń, potem wy dostał się na ramiona i złapał za brzeg muru. Z ramion wspiął się na głowę towarzysza, podciągnął ku górze i po chwili leżał na szczycie.

— *Bij w kotatkę! — rzucił półgłosem w dół.*

Echo odbite od ścian budynków powtórzyło w nocnej ciszy kolejne uderzenia. Po chwili usłyszeli człapiące kroki i do furty zbliżyła się przygarbiona postać z latarnią w ręku.

— *Kto tam? — Rudy widział pod sobą przygarbione plecy i otok siwych włosów.*

— *Otwórzcie, pilna sprawa! — odpowiedział z drugiej strony Dzieweczka.*

— *Powiedz wprzód, kto i od kogo.*

— *Postaniec...*

Dzieweczka zawahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale dalszy ciąg nie był już potrzebny, bo Rudy kucnął na murze i skoczył wprost na starego.

Siła upadku rozruciła obu na strony. Latarnia poleciała w bok, ale nie zgasła, paląc się z sykiem topionego śniegu. Rudy zerwał się od razu na nogi, ale stary leżał bez ruchu.

Przewrócił go na plecy i wyszarpnąwszy z zaciśniętych palców pęk kluczy, szybko znalazł właściwy.

Furtę pozostawił otwartą. Kopnięciem nogi zasypał śniegiem latarnię i zatknąwszy za pas klucze, skinął na Dzieweczkę.

Przez chwilę stali w miejscu, nasłuchując, potem ruszyli wydeptaną w śniegu ścieżką. Zaprowadziła ich pod dom o zawartych okiennicach. Zza jednej z nich dojrzeli sączące się światło.

Rudy zbliżył się do drzwi. Nie potrzebował szukać kluczy, gdyż okazały się otwarte; widać stąd wyszedł klucznik, nie zamykając ich, bo spodziewał się zaraz wrócić.

Znaleźli się w obszernej, sklepionej łukami sieni oświetlonej oliwną lampką. Na piętro prowadziły kamienne schody ginące za załamaniem muru.

Ukazało się stamtąd najpierw światło, a potem kobieca postać ze świecą w ręku. Miała na sobie płaszcz, a na głowie czepek. Była równie stara, jak i klucznik.

— A wy co tu chcecie?! — rzuciła opryskliwie, ale bez niepokoju w głosie. — Znów mi naniesiecie śniegu, pieskie syny!

Rudy zastanowił się przez krótką chwilę.

— Szukamy towarzyszy, babciu. Nie ma ich tu?

— Pewnie, że nie ma, gamoni! Wszystkich zabrał ze sobą pan Bruno!

— To gdzie są?

— Gdzie są? Patrzcie go! To ja mam wiedzieć?! Idźcie sobie w obejście i szukaj!

— Dobrze, dobrze, już się nie sierdź, kokoszko! Myślę, że ich znajdziemy... — Rudy uśmiechnął się i ruszył do drzwi. Ale wychodząc, jeszcze się obrócił:

— A pan Vogelweder jest z nimi?

— Jak nie poszedł, to jest! Pojmali tu jakiegoś zbója, to pewnie jeszcze pozostał. No, jazda, ruszajcie stąd i zamknąć mi dobrze drzwi!

Znów znaleźli się w ciemnościach nocy. A więc pojмали Czarnego? Ale gdzie go zawlekli?

Dzieweczka dał wyraz tym domysłom:

— Mają Czarnego. Trzeba go szukać.

— Gdzieś tu musi być... Chodź, przysuniemy się ku tym budynkom. To w którymś z nich.

Znikąd jednak nie dochodził najmniejszy znak życia. Rudy próbował rozpoznać ślady w śniegu, ale były zbyt liczne i splątane. Wskazał Dzieweczce gruby pień pobliskiego drzewa.

— Chodź, schowamy się za nim i spróbujemy wywabić ich ku sobie... Bądź gotów do bitki...

Dzieweczka, nie rozumiejąc, co jego towarzysz miał na myśli, usłuchał jednak polecenia. Kiedy przywarli obaj za pniem, ku zupełnemu już zdumieniu olbrzyma Rudy zaczął śpiewać pełnym głosem i najdonośniej, jak mógł. Nocna cisza wypełniła się pieśnią.

Gospody przydrożne, oberże zasobne.

Życzliwych uchylcie wierzei,

Wagant strudzony do was przybywa

Wyzbyty fałszywych nadziei...

— Rudy, coś ty? — Dzieweczka złapał towarzysza za ramię.

— Puść, do czorta! — szarpnął się Jaks. — Łapę masz jak niedźwiedź! Uważaj teraz, skąd wyskoczą, i w nich, póki się nie opamiętają!

Przyczajeni za drzewem, starali się przebić wzrokiem ciemności, ale nic się nie działo. Echo pieśni roztopiło się w nocnej pomroce i znów nastąpiła cisza. Rudy chciał właśnie rozpocząć drugą zwrotkę, kiedy skądś, jakby zza jednego z pobliskich domów, doleciał ich słaby, ledwie dostłyszalny odzew.

... idziem wichrami smagani,

weseli... pieśni kapłani...

Rudy gwałtownie pociągnął towarzysza za rękę.

— Chodź, to Czarny! Jest w tym domu! Musimy znaleźć wejście!

Obeszli budynek dookoła i znaleźli się po jego drugiej stronie.

W pobliżu biegł mur, a wzdłuż niego dostrzegli dobrze wydeptaną ścieżkę. Doprowadziła ich do kilku schodów idących w dół, ku uchylonym drzwiom.

Znaleźli się w zupełnej czerni jakiegoś wnętrza. Sunąc rękami wzdłuż ściany, ruszyli cicho przed siebie. Po chwili mur się skończył, a kiedy skręcili za jego załamaniem, ujrzeli przed sobą niski, sklepiony korytarz. Oświetlała go smuga padającego gdzieś z głębi światła.

Rudy, idąc przodem, odwrócił się do Dzieweczki.

— Teraz cicho... oni są tam...

Skradając się, dotarli do smugi światła. Padała z otwartych na korytarz drzwi. Rudy, przywarł do muru, wychylił się ostrożnie.

Ujrzał niedużą izbę z kilku ławami i stołem. Paliła się na nim latarnia, a czterech uzbrojonych pachołków obsiadło go dookoła. Czarnego między nimi nie było.

Szybko cofnął głowę i, wyciągnąwszy za siebie rękę, wstrzymał towarzysza. Uchylone skrzydło drzwi znajdowało się blisko, a po ich zewnętrznej stronie dostrzegł odsunięty rygiel.

Skok do przodu, zatrzaśnięcie drzwi i przesunięcie rygla trwało mgnienie oka.

Ruszyli przed siebie, już nie zachowując ostrożności, bo i tak grzmiały za nimi przekleństwa i walenie rękojęściami mieczów. Następne drzwi znaleźli po kilku krokach, a kiedy je rozwarli, ujrzeli rozciągniętego na ławie Czarnego. Stał nad nim pachoł z kawałkiem żelaza w ręku. Jego rozpalony koniec zbliżał się właśnie ku głowie więźnia.

Rudy skoczył do przodu.

Bruno ujrzął przed sobą szczupłego, czerwonowłosego napastnika. Uniósł kańczug w górę i zamachnął się ramieniem, by jednym ciosem zwalić go z nóg, ale Rudy, obyty z bójkami po tawernach i szybki jak nagle puszczona sprężyna, uskoczył w bok. Rzemienie bata przecięły tylko powietrze, a w następnej chwili Bruno poczuł, jak pierś przenika mu język ognia, i było to ostatnie odczucie, jakiego doznał.

W tym czasie Dzieweczka, nie sięgając nawet za miecz, a korzystając z zupełnego zaskoczenia pachołków, dopadł dwóch najbliższych i złapał ich za kołnierze. Pociągnął najpierw ku sobie, a potem niby snopy cisnął z rozmachem o ścianę. Uderzenie musiało być potężne, bo padli pod nią i leżeli jeden na drugim, nie dając znaku życia. Trzeci drab odrzucił na bok żelazko i osunął się na kolana, unosząc ręce obronnym gestem.

— Ulituj się, bracie! Nie bij...

— Zostaw go, Dzieweczka, weź mu tylko nóż. Ma go za pasem.

Nie potrzebowali nawet tego robić, bo pachołek sam go wyszarpnął i odrzucił daleko od siebie.

Rudy podszedł do ławy i spojrzał na Czarnego.

— Całyś?

— Przybyliście w sam czas... To była dobra robota, Rudy!

— Ano, zdarza się i mnie! A jak tam waszej wielmożności? Myślę, że nieco za twardo?

— Nawet dość wygodnie. Jakbyś tyle nie gadał, chętnie bym teraz pospał...

— Ale — przypomniał sobie Rudy. — Nie widzę tu Petera. Podobno był z wami?

— Był. Musiał chyba odejść. On nie lubi widoku krwi.

Rudy skinął na pachołka.

— Rozewrzyj te żelaza!

Po chwili Czarny podniósł się z ławy. Naciągając koszulę, a potem kaftan, syknął z bólu. Z rozciętej rzemieniem skóry sączyła się krew. Rozejrzał się dookoła.

— A gdzie reszta?

— Nie słyszysz, jak hałasują?

— Zamknęliście ich?

— Tak, na rygiel.

— No, to idziemy. Mam jeszcze nieco do pogadania z grubaskiem, jeżeli dotąd nie uciekł. — Zwrócił się do pachotka:

— Pójdiesz z nami do furty, bo za wcześnie wypuściłbyś towarzyszy.

— Może lepiej na klucz? — zaproponował Rudy. — Klucze mam przy sobie.

Czarny uśmiechnął się.

— Myślisz, że będą nas ścigać z własnej ochoty? Ten już ich nie ponagli... — Kiwnął głową w stronę Brunona leżącego w kałuży krwi.

Wyszli, nie zwracając uwagi na hałasujących pachotków. Na dworze Czarny obłożył sobie głowę śniegiem i ruszyli ku furcie.

Zaczęło już szarzeć. Właśnie w bramie Wiślanej ze zgrzytem łańcuchów opadł most, nie potrzebowali więc nakładać drogi ku Zamkowi.

Udali się „Pod Tura”. Tu Czarny otrzymał opatrunek, a wszyscy po zimnym piwie, bo ogień już buzował pod kuchenną płytą.

Pu naradzie postanowili, że Dzieweczka stanie do pracy, jak gdyby nic się nie stało, co pozwoli im poznać dalszy przebieg zdarzeń w domu Vogelwederów.

Ostrzeżenie Czarnego, by miał się na baczności, Dzieweczka zbył lekceważącym machnięciem ręki.

— Niech tylko spróbują ze mną zacząć! Wszystkim porozwalam łby!

— Nie bądź taki dufny, Dzieweczka. Miej oczy otwarte i nie obracaj się do nikogo plecami — upomniał go Bert.

Sam musiał udać się na Zamek, by podać przebieg zdarzeń i wysłuchać dalszych poleceń. Peter zapewne i tak już uciekł, a jeśli ksiądz Andrzej przykaże go ścigać, parę godzin nie stanowi wielkiej różnicy.

PETER I BEZ POGRÓŻEK CZARNEGO zrozumiał, że w powstałej sytuacji musi uciekać. Postanowił z tym nie zwlekać. Skoro bowiem posłaniec został napadnięty i zrewidowany, jego udział w sprawie nie da się ukryć, a dalsze powiązania rzekomego bakałarza, w czym Brenner go upewnił, jeszcze bardziej pogarszały położenie.

Przywołał jednego z pachotków, kazał mu wziąć latarnię i iść za sobą.

Wyszli na dwór, kierując się ku furcie. Dochodząc do niej, ujrzeli leżącego w śniegu człowieka.

— Poświeć no! — polecił Peter. — Toż to klucznik!

Pochylił się nad leżącym i uniósł mu głowę. Ten z wolna otworzył oczy.

— Co wam? Co tu się stało?

Stary spróbował się wyprostować.

— Napadł mnie... napadł, wasza wielmożność...

— Ale kto? Mówże, człowieku!

— Sam diabeł, jak pragnę zbawienia... Skrył się w chmurach, nieczysty, i nagle skoczył mi na grzbiet...

Peter mimo woli spojrzął w górę, a stojący obok pacholek przeżegnał się szybko.

— Diabeł, mówisz? A widziałeś go?

— Przecie mówię, że na plecy mi skoczył... Pazurami ucapił i chciał porwać w górę... Alem widać nie taki grzeszny, skoro nie poradził...

Peter poniechał dalszych indagacji, przerażony już teraz ostatecznie. Obaj z pachółkiem podparli starego i pomogli mu wstać.

— Ruszaj do siebie i oprzytomnij! — polecił, widząc, że klucznik ledwo trzyma się na nogach.

Po raz drugi ogarnęło Petera przerażenie, kiedy, odprawivszy pachółka, stwierdził, że w komórce nad stajnią nie ma parobka. Do świtu było już niedaleko, należało więc samemu siodłać konia, a resztę zlecić Antoniemu.

Starając się opanować męcący strach, Peter wszedł do domu i przede wszystkim wyjął ze skrzyni pas z pieniędzmi. Potem obudził Antoniego i odbył z nim prowadzoną szeptem rozmowę. Wreszcie zapakował do sakwy żywność i wrócił do stajni, by natychmiast wyjechać, jak tylko otworzą bramy.

Wydostał się z miasta jako jeden z pierwszych i od razu ruszył z kopyta. Mimo tuszy był nie najgorszym jeźdźcem, a konia dobrał do swej wagi. Gnał więc szybko i wkrótce dotarł do brodu.

Przebył go, nie zwalniając szybkości. Przynaglając jeszcze wierzchowca, dojrzał wreszcie pierwsze zabudowania Mogiły. Teraz należało zwolnić, by pośpiechem nie zwrócić na siebie uwagi.

Decyzja ta okazała się zbawienna. Właśnie wyjeżdżał zza węgła chaty, która przesłaniała mu dotąd widok na klasztor, kiedy to, co ujrzał, kazało mu nagle szarpnąć za wodze.

Przed klasztorną furtą stał wóz, a koło niego kilku konnych. W chwili kiedy wyrżał zza węgła, wyprowadzono właśnie brata Anzelma, pomagając mu wdrapać się na wóz, bo ręce miał związane na plecach.

Peter zawrócił i wjechał pomiędzy opłotki, starając się skryć wśród zabudowań. Potem, kiedy już klasztor pozostał za nim, skierował konia na drogę wiodącą ku północy.

MŁODY WIKARY NA WIDOK Czarnego z obandażowaną głową uniósł ze zdziwieniem brwi. Potem jednak oświadczył, że księdza Andrzeja nie obudzi, bo przyjechał późno, położył się po północy i teraz śpi.

Ale ten właśnie argument tego ranka najmniej mógł trafić Czarnemu do przekonania.

— *Słuchaj no! — odezwał się, postępując ku księżułkowi — albo pójdziesz i zgłosisz mnie, albo ci zadrę tę twoją kieckę i przyłożę parę kopniaków.*

— *Coś ty... jak śmiesz! — Młodzieniec odskoczył do tyłu.*

— *Sprawa pilna i nie na twój rozum. Ruszaj, a szybko!*

— *Poskarżę się proboszczowi! — rzucił już zza drzwi wikary, ale widać poszedł spełnić polecenie, bo wróciwszy po chwili, burknął, obrzucając przybysza niechętnym spojrzeniem.*

— *Wielebny pan proboszcz was czeka...*

Ksiądz Andrzej, wbrew przypuszczeniom sekretarza, wcale nie leżał w pościeli. Przywitał Czarnego skinieniem głowy i, rzuciwszy spojrzenie na bandaż, powiedział krótko:

— *Mów!*

Czarny opisał przebieg zdarzeń, podczas gdy ksiądz Andrzej swoim zwyczajem spacerował po komnacie. Kiedy relacja dobiegła końca, zatrzymał się przed Bertem.

— *Uprzedzałem cię, abys dał spokój dziewczynie! Gdyby nie ci dwaj, drogo byś zapłacił za lekkomyślność. Ale i nie to jest tu najważniejsze. Czy zastanowiłeś się, czym groził brak dalszych informacji w tej sprawie?*

— *Zawiniłem, wasza wielbność. — Czarny opuścił głowę.*

— *Poprzestanę na tych słowach, boś i tak swoje oberwał. — Ksiądz pogroził palcem. — Ale pamiętaj, że nieposłuszeństwa nie ścierpię! No, skończmy z tym. Ci teraz proponujesz?*

— *Trzeba ścigać Petera. Na pewno jest już w drodze.*

— *Skąd możesz wiedzieć, dokąd jedzie, nawet jeśli tak jest?*

— *Wasza miłość wie to również. Do Malborka, by uprzedzić brodaczy. A wówczas najlepsze, co może spotkać dziewczynę, to szybka śmierć, bo Dunin już im niepotrzebny.*

Proboszcz lekko skinął głową.

— *Tak. Ale zapewne najpierw uda się do Mogiły, bo stamtąd otrzymuje instrukcje. I rzecz w tym, że ich nie otrzyma, bo właśnie dziś rankiem kazałem ująć tego braciszka Anzelma. Spodziewam się, że mi udzieli nieco wyjaśnień — ksiądz Andrzej uśmiechnął się z lekka.*

— Zatem wydaje się jeszcze pewniejsze, że Peter pojedzie do Krzyżaków. Tu nie ma już co robić, a jeśli zostanie pojmany, wie, co go czeka. Teraz koniecznie musimy uwolnić dziewczynę! Jej los zależy od naszego powodzenia. Szczęśliwie się stało, że wiemy, gdzie jest.

— Chcesz się podjąć tego?

— Jeśli zezwolicie, wasza miłość... Tu nie mam już nic do roboty. Dzieweczka wróci do Vogelwederów, by popatrzeć, co tam się dzieje, a Jaksa czeka „Pod Turem”. Wziąłbym ich ze sobą.

— Dobrze, zgadzam się. Ale pamiętaj — ksiądz Andrzej ściągnął brwi — abyś mi nie piekł dwóch pieczeni przy jednym ogniu...

— Co rozumiecie, wasza miłość, przez te słowa?

— Na poszukiwanie Zyty otrzymał zezwolenie Benko, nie ty.

— Ale jeśliby się zdarzyło...? — W głosie młodego mężczyzny zadrgała tak natarczywa prośba, że ksiądz powiedział nieco łagodniej.

— Wszystkich okoliczności przewidzieć nie sposób. Chodzi o to, abyś za główne zadanie uważał to, które ci poruczam.

— Tak też będzie, przyrzekam.

— Konie i ekwipunek weźmiesz z królewskiej stajni. U cystersek w Toruniu pracuje chłopak, którego osadził tam jeden z naszych ludzi.

Miał za zadanie obserwować, co dzieje się z dziewczyną. Podam ci, gdzie masz się dowiedzieć o niego. Zbliź się i nachyl ku mnie. Ludzi, których i wymienię, ujawnić ci nie wolno, choćbyś dostał się na męki.

— Nie ujawnię, bądźcie spokojni...

Ksiądz Andrzej położył dłoń na ramieniu młodego mężczyzny i jakiś czas szeptał mu do ucha. Potem sam skłonił ku jego ustom głowę i polecił:

— A teraz powtórz.

Kiedy Bert wykonał polecenie, ksiądz dorzucił:

— Gdybyś musiał zmienić miejsce pobytu, oni przekażą cię innym. Pilne wieści przesyłaj przez Włocławek. Hasła znasz?

— Znam, wasza miłość.

Ksiądz podeszedł do stojącej pod oknem skrzyni i uniósł jej wieko. Kiedy obrócił się do Czarnego, trzymał w ręku mocno wypchany skórzany miś.

— Weź to i ruszaj z Bogiem.

Czarny, skłoniwszy się, opuścił komnatę.

Wyjazd jego uległ jednak zwłoce, a to z powodu Dzieweczki. Okazało się bowiem, że wrodzona dobroduszość i powolność myślenia siłacza pozbawiły go czujności we właściwej chwili.

Dzieweczka po powrocie nie zastał już Petera. Stajnia była otwarta, miejsce bułanego puste, a jego kantar wisiał rozpięty przy żłobie.

Spojrzał w górę na drewniane kołki tkwiące w ścianie. Brakło również i siodła, którego używał Peter. Zgodnie ze wskazówką Czarnego należało teraz dowiedzieć się, co się dzieje w domu. Poniechał więc codziennych czynności porządkowych i udał się do kuchni. Otwarta stajnia i brak konia były dostatecznie dobrym pretekstem do zgłoszenia się celem wyjaśnienia sprawy.

Po kuchni krzątały się służebne, ale pierwszym człowiekiem, na którego się natknął, był stary zarządca.

— Dobrze, że jesteś — skinął głową na ukłon Dzieweczki — właśnie chciałem posyłać po ciebie.

— Przyszedłem dowiedzieć się, kto otworzył stajnię? Brak bułanego i siodła.

— Właśnie... — Antoni utkwiał wyblakłe oczy w twarzy parobka, po czym dodał porozumiewawczym szeptem: — Zaraz sobie pogadamy, ale nie tu... Mirka! — zawołał ku jednej z dziewczyn. — Przynieś nam do kantoru dwa kufle gorącego mleka. Ranek zimny i łamie mnie w kościach. A ty chodź za mną!

Ruszył przodem, a Dzieweczka, ściskając w rękę czapkę, podążył za nim. Kiedy znaleźli się w kantorze, Antoni obrócił się do parobka.

— Zamknij dobrze drzwi. Musimy pogadać bez świadków.

Dzieweczka wykonał polecenie i stał w milczeniu, ciekaw, czego chce od niego zarządca. Początkowy niepokój o własną osobę, wywołany ostrzeżeniem Czarnego, minął, bo obawiać się wyraźnie nie było czego. To stare chuchro mógłby zgnieść jednym zaciśnięciem palców. Skoro zaś tamten ma do niego interes, to chyba nic niebezpiecznego nie zamierza...

Toteż spokojnie przyglądał się przygarbionej postaci kręcącej się po komnacie.

Istotnie stary kręcił się tu i tam, jak gdyby szukając sobie miejsca. Nie odzywał się, z wyraźnym zniecierpliwieniem co i raz spoglądając ku drzwiom.

W reszcie zjawiała się dziewczyna z dwoma wielkimi kufłami mleka, nad którymi unosiły się strużki pary. Stary sam je odebrał z jej rąk i podszedł z nimi ku stołowi w głąb mrocznej komnaty. Dzieweczka odprowadził wzrokiem jego zgarbione plecy, z bielejącym nad nimi otokiem siwych włosów.

Antoni jeden z kufli postawił na stole, by za chwilę powrócić z drugim do stojącego przy drzwiach parobka.

— Masz, napij się i ty... Mróz dziś tęgi, gorące mleko dobrze nam zrobi!

Dzieweczka odebrał kufel i czekał, póki zarządca nie napocznie swego, bo tak nakazywała grzeczność. Stary wrócił do stołu, opadł na stojący przy nim fotel i głośno siorbnął gorący płyn.

— Pij, bracie... — zachęcił parobka — i słuchaj, co ci powiem.

Dzieweczka usłuchał wezwania. Ponad brzegiem kufła widział starcze oczy uporczywie wpatrujące się w jego twarz. Po chwili zarządca odezwał się:

— Przyprowaǳiłem cię tu, bo sprawa nie jest dla babskich uszu.

Zresztą w ogóle dla niczyich... — poprawił się — bo to, o czym będziemy mówili, musi pozostać między nami. Przrzekasz mi?

Dzieweczka skinęła głową.

— Na pewno, panie...

— A więc wbij sobie do łba i zapamiętaj. Pan Peter wyjechał stąd wczoraj po południu! Sam siodłałeś mu konia! Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, panie...

— O ile tak będziesz odpowiadał temu, kto o to będzie pytał, dostaniesz ode mnie całą grzywnę srebra! Myślę, że to niemało... Ale pamiętaj, wczoraj po południu...

— Będę pamiętał. — Dzieweczka uśmiechnęła się porozumiewawczo. — A tę grzywnę kiedy mi dacie?

— Jak przekonam się, że dotrzymałeś obietnicy. Wówczas możesz być pewny, że i ja dotrzymam swojej.

— Możecie być spokojni. — Dzieweczka odstawił pusty kufel i wytarł usta wierzchem dłoni. — A za mleko ǳiękuję. Czuję teraz naprawdę, że we wnętrzu robi mi się gorąco.

Przez usta Antoniego przewinął się lekki uśmiech.

— A więc tę sprawę mamy załatwioną. Teraz jestem spokojny, że naprawdę nic nikomu nie powiesz... Idź do swojej roboty.

Dzieweczka, wracając do stajni, odtwarzał w pamięci przebieg rozmowy, by jak najwierniej powtórzyć ją Czarnemu. Ale sięgnąwszy po widły, by zabrać się do podścielania koniom słomy, poczuł raptem gwałtowny, przeszywający ból skręcający mu wewnątrzności. Wypuścił widły z rąk i, zgięty wpół, złapał się oburącz za brzuch.

Ból po chwili ustąpił. Dzieweczka wyprostował się i przerażony łapał powietrze ustami. Czuł, jak pot zaczyna mu ściekać po czole. Uniósł rękę, by zetrzeć go rękawem, ale w tej chwili ból powrócił równie nagle, jeszcze silniejszy.

Z głuchym jękiem zwałił się na ziemię, wprost pod nogi najbliższego konia. Zwierzę usunęło się i opuściwszy łeb, chrapiąc niespokojnie, zaczęło obwąchiwać tarzającego się u jego kopyt człowieka.

Ciemno było w borze i cicho. Śnieg sięgał koniom po brzuchy, a gałęzie młodych sosen gięły się ku ziemi pod jego ciężarem. Mróz trzymał mocno, ale nie był dokuczliwy, bo gęsty las chronił przed podmuchami wiatru.

Dwóch jeźdźców z wolna posuwało się pomiędzy drzewami. Konie nie były rosłe, ale ich gruba kość wskazywała, że odznaczały się wytrzymałością. Obaj jeźdźcy, ubrani w jednakowe krótkie kozuchy i skórzane hełmy, trzymali w rękach włócznie, a na ich plecach kolebały się kusze. Okrągłe, nieduże tarcze mieli przytroczone u siodeł.

Jechali w milczeniu. Gęstą czern pod drzewami rozprasała biel śniegu i poświata gwiazd.

W pewnej chwili zatrzymali się. Konie, parując sierścią, robiły bokami. Obaj wojownicy rozglądali się chwilę, nasłuchując szmerów nocy w milczącym borze, potem zawrócili, ruszając po swoich własnych śladach w powrotną drogę.

Po półgodzinnej jeździe wydostali się na skraj lasu.

Drzewa były tu rzadkie i stare, o grubych, gołych pniach. Za nimi rozciągała się rozległa, płaska równina, pokryta bielą śniegu. U krańca tej równiny, w ciemnej dali rysowały się w gwieździstej poświacie nikłe kontury rozciągniętych zabudowań. Bliżej zaś i nieco z boku wznosił się masyw grodu. Biła nad nim łuna ukrytego za ostrokołem ognia. Na jego tle wierzch

ostrokołu wyglądał jak piła odwrócona do góry zębami. Za nim rysowały się obronne mury i masyw samego zamku, oświetlony czerwonym blaskiem padającym na jego ścianę.

— Spalą jeszcze zamek... — mruknął jeden z jeźdźców.

— Nie spalą, dziedziniec obszerny — uspokoił go drugi. Bez rozgrzewki służbę na takim mrozie trudno byłoby wytrzymać.

— Musiał ktoś znaczny tu zjechać, że aż z Grodna nas ściągnęli. I w noc, i w dzień bez przerwy wysyłają wokół zwiady...

— Pewnie sam wielki książ. Inaczej nie wspomagaliby miejscowej załogi.

— Chyba, bo gdyby szło o namiestnika czy zwykłego kniazia, nie strzegliby całej okolicy.

Jednak litewscy wojownicy tylko częściowo mieli rację. Na zamku nowogrodzkim przebywał bowiem nie tylko wielki książę Witold, ale i polski król Władysław.

Mimo że zjechali tu w tajemnicy, zachowano najdalej posuniętą ostrożność. Ze ściągniętego z Grodna wojska część rozrzucono po okolicy, a część osadzono w samym zamku dla patrolowania jego pobliza.

Przed chwilą obaj władcy skończyli wieczerzę i zasiedli przed buzującym w kominku ogniem, by przeprowadzić poufną naradę. Spotkanie to, przygotowywane już od kilku miesięcy, było konieczne, tak ze względu na dalszą realizację uprzednio powziętych zamierzeń, jak i zaszłych ostatnio wydarzeń.

W komnacie byli poza nimi tylko najbardziej zaufani doradcy, których wyznaczono do wzięcia udziału w rozmowie. W poblizu Jagiełły siedzieli: Mikołaj Trąba i Piotr Szafraniec z Pieskowej Skąły, a obok Witolda — Mikołaj Cebulka, marszałek nadworny Rumbold i ponury, mądry Kieżgajłło, jeden z najlepszych Witoldowych wodzów.

Jagiełło i Witold z postaci byli podobni, bo jednakowo niscy i szczupli. Zasiadłszy blisko ognia, obaj milczeli, czekając zapewne, by rozpoczęcie rozmowy przypadło stronie przeciwnej. Jagiełło, zagłębiając się w swoim fotelu, złożył ręce na jego poręczach i bez słowa wpatrywał się w ogień; Witold przechylił się do przodu, jakby lada chwila chciał stanąć na nogi. Ale był to raczej gest zmierzający do zbliżenia ku ciepłu bijącemu z płonących kłód drzewa.

Na twarze obu mężczyzn padały ruchliwe blaski od buszujących płomieni. Rzucając chybotliwe światła i cienie, raptownie ukazywały ich rysy, by za chwilę znów pogrążyć je w mroku.

Twarz Witolda była pociągła, o rysach regularnych, gładko wygolona, o oczach ciemnych i bystrych. Miała w sobie surowość i siłę władcy, ale pewną miękkość w linii ust. Może dlatego udało się mu swego czasu zwieść krzyżacką straż i w kobiecym przebraniu wydostać się z więziennego lochu.

Twarz Jagiełły, podobna Witoldowej, bo też ściągła i zwężająca się ku dołowi, różniła się jednak w wyrazie. Rysy miała ostrzejsze, policzki bardziej zapadłe, a ich kości mocniej wystające. Oczy nieduże, czarne jak węgle, niespokojne i biegające, jakby w obawie nagłego niebezpieczeństwa zachowywały nieustanną czujność.

W ciszy zalegającej izbę słychać było jedynie trzask palących się bierwion.

Podkanclerzy Trąba, widząc tę obopólną niechęć do zabierania głosu, przerwał przydługie milczenie.

— Jeśli pozwolicie mi mówić, najjaśniejszy panie, to zacząłbym od wyrażenia waszego uznania i podzięków za mądrość, jaką znów okazał wielki książę, zawierając nad Ugrą pokój z Wasylem i przebacząc Świdrygielle ucieczkę...

Jagiełło zacisnął pięść i uderzył nią o poręcz fotela.

— Uznanie za mądrość, mówisz?! — rzucił porywczo. — Nie przeczę, że jest mądry, ale i przebiegły, nazbyt przebiegły!

Witold odwrócił głowę i, zmrużywszy z lekka oczy, spoglądał na rozsierzonego króla.

— Najjaśniejszy panie — zaoponował z troską podkanclerzy. — Czy nie sądzisz, że są ważniejsze sprawy do omówienia niż ta, którą macie na myśli? Nie warto o tym wspominać...

— Nie warto?! — pojednawcze słowa Trąby zamiast uspokoić jeszcze bardziej wzmożyły gniew porywczego władcy. — Po co mi stał poselstwo i prosił o pomoc? Aby dostać zboże czy przemycić broń? A nawet, niechby! Ale dlaczego to zataił? Nie mógł po bratersku, otwarcie ze mną załatwić!

— Boryś się, bracie, nie zgodził. — Wielki książę zdawał się być rozbawiony królewskim gniewem. — Jakbym słyszał twoją odpowiedź: „Nie

mogę zezwolić, bo niechby wykryli, byłby nowy spór, a my do rozprawy niegotowi...”

Zdawało się, że ostatecznie słowa wypowiedział nie Witold, lecz Jagiełło, tak do złudzenia umiał wielki książę naśladować gruby, szorstki głos stryjecznego brata.

Jagiełło rzucił niespokojne spojrzenie na obecnych. Cebulka i Kieżgajłło byli poważni, Trąba tylko lekko się uśmiechał, ale Rumbold miał szczęki zbyt mocno zwarte, a brzuch Szafrarica drgał od tłumionego śmiechu. Z kolei wzrok Jagiełły pobiegł ku Witoldowi, i król, znany z tego, że długo nie umiał się gniewać, sam wybuchnął śmiechem.

Nastrój uległ odprężeniu. Znów zabrał głos Trąba. Ton, jakim przemówił, był rzeczowy i wolny od rozbawienia, jak gdyby podkanclerzy pragnął zwrócić uwagę słuchaczy, że nie należy zbyt długo zajmować się błahostkami wobec powagi głównego tematu.

— Wracam do tego, com rzekł, najjaśniejszy panie, wielki książę spełnił to, cośmy uprzednio wspólnie z nim ustanowili. Od wschodu mamy więc potrzebny spokój. Z moskiewskim Wasylem stanęła ugoda. Psków oddaliśmy pod pieczę kniaziewi Nosowi, a w Wielkim Nowogrodzie namiestnikiem jest Lingwen Olgierdowicz. Daje to nam nie tylko potrzebne z tej strony bezpieczeństwo, ale też możliwość ściągnięcia i stamtąd posiłków wojennych. Zanim zaś przystąpimy do dalszych obrad, pozwólcie mi rzec jeszcze parę słów, bo myślę, że dobrze będzie, jeśli zapoznam wszystkich z naszym położeniem.

Trąba zamilkł, spoglądając na króla. Jagiełło skinął głową.

— Mów, Mikołaju!

— Mamy dwóch potężnych sąsiadów, na północy i na południu, i obaj są nam wrody. Który groźniejszy, zbędne mówić po tysiącach intryg, potwarzy, rabunków, gwałtów i zabójstw, jak i wszelkiej innej niecnoty, jakich od lat zaznajemy ze strony zakonnego państwa. Toteż nadszedł czas, by miecz wymierzył sprawiedliwość. Aby jednak za miecz sięgnąć, należy wprawdzie nieco obejrzeć się wokół siebie. Dostrzemy wówczas, że od dłuższego czasu Zakon osiągnął znaczną przewagę dyplomatyczną nad nami. Właściwie to od czasów bulli papieża Bonifacego, zakazującej mu działalności na Litwie, nie osiągnęliśmy wiele na Zachodzie. A od tego czasu upłynęło już pięć lat. Wpływy Zakonu są większe niż nasze — to nie ulega

wątpliwości. Właściwie jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron. Na północy sam Zakon, ku zachodowi Marchia i Brandenburgia, na południu Węgry Zygmunta, który jeszcze za czasów Opolczyka przemyślał nad rozbiorem naszych ziem mimo zawartego z nami pokoju. Miał on ostatnio kłopoty w Bośni, gdzie z trudem uśmierzył bunt tamtejszych panów, a inne w Niemczech ze schizmą, nie było więc czasu na zajmowanie się Polską. Ale mimo to coraz częściej zaczyna spoglądać w naszą stronę, a nie są to spojrzenia przyjazne. Odebrał naszym kupcom prawo sprzedaży na Węgrzech, a niedawne odstąpienie Krzyżakom Drezdenka za niespełna osiem tysięcy grzywien dokonane zostało nie dlatego, by zdobyć pieniądze, bo na jego potrzeby to suma znikoma, ale po to, by poróżnić nas z Krzyżakami. Tu więc żadna najaktywniejsza dyplomacja nic nie pomoże, bo układ stosunków jest korzystny dla Zakonu. Luksemburczyk zabiega o względy niemieckich książąt, gdyż są mu potrzebni do usunięcia schizmy. Zabiega również o ich poparcie dla Wacława w jego dążeniach do uzyskania tytułu króla rzymskiego. Robi to mimo niesnasek z bratem, powodowany względami dynastycznymi. A przecież wiemy, jaką popularnością cieszy się Zakon w Niemczech. Niechby Zygmunt spróbował jednego nieprzychylnego gestu w stosunku do krzyżowych rycerzy, a straci od razu poparcie książąt. W tych warunkach nie może być mowy ani o sprawiedliwości na sądach rozjemczych, ani wdzięczności za uratowanie mu głowy przez miłośniczego pana, kiedy to Wacław wtrącił go do lochu. Przeciwnie, musi

wyraźnie okazywać nam swą wrogość i... przestrzega tego pilnie. Cóż więc dziwnego, że w zabiegach dyplomatycznych Zakon jest górą? Tego nie zdołamy zmienić, bo Europa trzyma z nimi.

Rozstrzygnięcie musi więc nastąpić nie w królewskich kancelariach, lecz na polu bitwy, a cesarska szkatuła jest teraz pusta. Nie ma on pieniędzy nie tylko na wojnę z nami, lecz nawet na opłatę zaległych żołdów zaciężnych rot. Stąd moje przekonanie, że po ugodzie z Wasylem i przy obecnej sytuacji Zygmunta nadszedł dla nas dobry, długo wypatrywany czas na rozmowę z Zakonem.

Oświadczenie to, rzucone bez ostonek i niedomówień, wywarło poruszenie wśród zebranych, ale nikt nie zabierał głosu, bo podkanclerzy ciągnął dalej:

— Z jaką siłą przyjdzie nam się zmierzyć? Nie taję, że dziś jest ona największa w Europie. Znamy zarówno dobrze wyćwiczone i silnie zbrojne

chorągwie Zakonu, jak i ich ogromne zasoby pieniężne, które pozwolą na szeroki werbunek. Ściągnie im też na pomoc sporo zachodniego rycerstwa, bo ono zawsze było i jest żądne przygód. Prócz tych sił liczyć się musimy z pomocą, jakiej udzieli im Zakon Inflancki, Marchia, a zapewne i księżęta pomorscy. Wprawdzie są nam przychylni, ale nie zdołają się uchylić przed krzyżackim naciskiem.

Jak widzicie, nie ukrywam ani nie pomniejszam potęgi naszego przeciwnika, a czynię to dlatego, byście wykazali należyłą troskę o przygotowanie i zebranie odpowiednich sił z naszej strony. Nie będzie to bowiem walka o byle gród czy kawał ziemi, lecz zmaganie się na śmierć i życie. Tym bardziej was ostrzegam, bo mimo pozorów przyjaźni, jaką i oni, i my staramy się utrzymać, nie są oni bezczynni. Wielki mistrz na przykład latem objeżdżał nadgraniczne zamki. Po tym objeździe dokonano napraw, umocniono załogi i zaopatrzenie.

— Wiemy również, że wzmógł nasyłanie nam postrzegaczy — wtrącił Rumbold.

Trąba skinął głową.

— To obserwujemy u siebie też. Ale mimo ich mocy, z którą przyjdzie nam się zmierzyć, walkę tę podjąć musimy. Bo jeśli nie powstrzymamy Zakonu, jeśli nie złamiemy jego dzisiejszej potęgi, za lat dwadzieścia, trzydzieści zawładną Krzyżacy Pomorzem, ujarzmią Żmudź i połączą się w jeden pas od Inflant po Nową Marchię. A wówczas będziemy w paszczy bestii. Jedna jej szczęka — to Zygmunt, druga — Zakon. Jeśli się zewrą, pogruchoczą nam kości, a siedzibą Zakonu nie będzie Malbork, lecz Kraków. Wielkopolska, Mazowsze, Małopolska, księstwa: brzeskie, grodzieńskie, wileńskie i inne zostaną ustanowione komturstwami, staną się prowincjami Zakonu. A co nas czeka lub nasze dzieci? Przyjrzyjcie się Prusakom, a będziecie wiedzieć.

W komnacie zaległa cisza. Gdzieś z dworu rozległ się przytłumiony murami śmiech, potem jakieś słowa. Na kominku trzaskał ogień, a jego blask tańczył po suficie, poruszając cieniami siedzących. Witold poprawił się na krześle i spojrzął na Cebulkę. Ten lekko zaprzeczył głową.

— No tak... — mruknął Jagiełło. Siedział pochylony, patrząc w ogień. — Ciągle się u nas mówi, że tylko patrzeć, wezmą nas za gardło, ale na decyzję moja Rada nie może się zdobyć. Myślę widać, że ktokolwiek byłby

panem, oni przy swoich włościach zostaną... — Spojrzał po obecnych zatrzymując nieco dłużej wzrok na Witoldzie. — Kto chce po Mikołaju wziąć głos?

Odezwał się Szafraniec:

— Doradzam nie rozpatrywać, czy ma być wojna, czy nie, tylko jak się do niej sposobić. Myślę też, miłośnicy panie, że to zbyt ostre słowa, któreście wyrzekli o Radzie. W ciągu ostatnich lat wiele się zmieniło, dziś cały naród dość ma brodaczy i z Wielkopolską na czele chce wojny i o nią woła, a Rada już nie taka głucha jak przody. Wpierw tylko wyście zdołali usłyszeć to wołanie, a teraz słyszą i oni. A że się boją jednak krzyżackiej potęgi, to...

— To nie bez racji — wtrącił Kieżgajłło, tając lekki uśmiech w wielkiej, siwej brodzie. — Sam pan kanclerz przyznał, że to wielka siła. Ale mimo że są od nas silniejsi i sprawnością bojową, i rycerskim pokryciem — my się ich nie boimy!

— To nie strach, lecz rozwaga! — obruszał się Szafraniec.

— Ja to rozumiem. Strach nie zawsze jest hańbą, hańbi tylko uległość przed strachem. Bać się trzeba, aby nie lekceważyć przeciwnika, nie chciałem was przeto urazić. My boimy się mniej, bo my budujemy z drzewa, którego mamy dość. Jak nam wieś spala, to w tydzień stoi nowa, a i wojować z nimi częściej nam się zdarzało.

Jagiełło spojrzał na Witolda.

— A ty, bracie, co nam powiesz? Nie zawsze szliśmy ręką w rękę. Nieraz daleko rozchodziły się nasze drogi. Prowadziłeś własne gry, mnie uważając za tępego. Może masz rację, a może nie tak bardzo. Zawsze starałeś się wygrywać Zakon przeciw mnie, ale kiedy brodacze zalewali ci za skórę sadła, znajdowałeś do mnie drogę. Może więc nie na rękę ci złamanie Zakonowi kręgosłupa? Mów szczerze, zrozumieć cię i ja, mimo że podobno ciężki w myśleniu. Zrozumieją cię także moi doradcy. Nadeszła bowiem chwila, kiedy musisz się wypowiedzieć, bo grać dłużej nie zdołasz i nie oni będą złamani, a ty. Był państwa, którym władam, wymaga, aby była wojna, i jest moją wolą, aby do niej przyszło. Czy chcesz zostać z boku, by stanąć twarzą w twarz ze zwycięzcą? Jeśli Zakon zwycięży i Polski nie stanie, wiesz, co cię czeka. A jeśli ja tę wojnę wygram, wojując bez ciebie, zapomnę wówczas, żeś mi bratem — tak mi, Panie Boże, dopomóż!

Trąba, a zapewne i inni doradcy zdawali sobie sprawę, jak niedyplomatyczne to były słowa. Jego królewska mość nieraz już przysparzał im kłopotu zbytnią szczerością, tyle tylko, że dziwiono się potem, bo nie zdarzyło się, by taka szczerość okazała się błędem. Kładziono to na karb osobistego szczęścia Jagiełły, nie biorąc pod uwagę jego instynktu politycznego.

Trąba podjął próbę, by sprawę przedstawić nieco inaczej:

— Najjaśniejszy pan nie poruszył wszystkich aspektów sprawy, pozwólcie więc, wielki książę, mnie to uczynić. Mówiąc tylko o tym, co rani mu serce, najjaśniejszy pan w swej szlachetnej prostocie nie wspominał na przykład o obecnych kierunkach polityki krzyżackiej. Podpisując pokój w Raciążu, zrezygnowaliście, wasza miłość, ze Żmudzi. Ale chyba nikt lepiej ode mnie nie wie, dlaczego tak się stało i jakich jednocześnie użyliśmy sposobów, by podważyć moc tego podpisu. Bo przecież nie

wspominając tu o pieczęciach, których użyliśmy, ja byłem tym, który wam doradził, byście obiecali nawet pomoc w ujarzmieniu i chrzcie Żmudzi. Pozornie był to akt waszej zupełnej uległości wobec Zakonu i tak to wtedy oni zrozumieli. Teraz dopiero widzą, co im, a właściwie wam to dało: prawo mieszania się w sprawy żmudzkie, ba, nawet nie tylko prawo, lecz obowiązek, wynikły przecież z warunków ugody! Wierzcie, że oni by was chętnie z tego obowiązku zwolnili! Ale nie mogą tego uczynić bez podważenia mocy zawartego pokoju, który przecież oddaje im Żmudź. Zaplątawszy się we własne sieci, zmierzają inną drogą do odsunięcia was: bądź drogą obalenia waszych rządów, o czym świadczy bunt Świdrygiełły, bądź pokonania orężem, co pozwoliłoby na zmianę pokojowych warunków. Nie jest przecież dla was tajemnicą, że już nas zapytywali, jak zachowamy się w razie ich wojny z wami? Jest to wielka troska mego miłościwego pana, który wie, że sami nie zdołacie sobie poradzić, i druga przyczyna, dla czego postanowił uderzyć na Zakon.

Nadszedł czas na słowa Witolda. Zrozumiał to i zabrał głos.

— Mój brat i miłościwy mój pan wspomniat o różnych drogach, którymi chadzaliśmy. Jest to prawda, ale niech sobie przypomni o przyczynach, niech zajrzy w swoje serce, czy nie on sam mnie na te drogi spychał?

Myślę jednak, że nie zebraliśmy się tu na wspominki, aby jak pacholęta spierać się o to, kto komu urwał guzik od sukni, bo im dalej w przeszłość by się sięgało, tym łatwiej przyszłoby nam popaść w nową niezgodę...

Witold urwał na chwilę, a Trąba westchnął lekko, gdyż poczuł ulgę po napięciu, w jakim oczekiwał odezwania się wielkiego księcia. Już pierwsze jego słowa wskazywały na pojednawcze stanowisko, a nawet wzmianka dalekiej przeszłości nie zdawała się być niebezpieczna. Wielki książę miał tu wprowadzić na myśli zagadkową śmierć swego ojca, Kiejstuta, którą przypisywano Jagielle, ale słowa jego były oględne, co wskazywało nie na intencję wywlekania na wierzch dawnego dramatu, lecz raczej na grę słowną, zmierzającą do ukrócenia zbytnej zapalczowości Jagiełły w czynieniu zarzutów. Wynikało z tego, że Witold też widzi powagę położenia i konieczność powzięcia ostatecznej decyzji. Już pierwsze słowa wielkiego księcia, które padły po przerwie, jaką uczynił, potwierdziły przypuszczenia kanclerza. Witold wznowił przemowę:

— O krzyżackich zamierzeniach wiem, bo moje uszy słyszą równie dobrze jak wasze. Jestem więc zgodny w ocenie położenia, jakiej dokonał mości podkanclerzy, i dlatego nie będę dłużej nad tym się zatrzymywał. Ale każda wojna musi mieć swój cel. Wy pragniecie złamać krzyżacką siłę, by zażegnać niebezpieczeństwo, jakim ona grozi. Groźba taka wisi również nad krajem, którym rządzą, i dlatego gotów jestem wspólnie z wami podjąć walkę. Ale poza tym głównym celem są i korzyści uboczne. Dla was będzie to odzyskanie Drezdenka czy Santoka, zabezpieczenie ziemi dobrzyńskiej, zwolnienie ujścia Wisły, ale dla mnie nie korzyścią uboczną, ale celem równie ważnym, jak starcie potęgi Zakonu, jest Żmudź! Jeśliby więc Bóg w sprawiedliwości swojej dał nam zwycięstwo, musi być Żmudź Litwie oddana! Chcę od was, najjaśniejszy panie, mieć zapewnienie i słowo uroczyste, że, wszczynając wojnę, nie schowamy mieczy, jeśliby pokój w Raciążu zawarty nie miał być obalony, a Żmudź nieprzywrócona macierzy!

Ostatnim słowom towarzyszyło uderzenie dłoni o poręcz fotela, jak gdyby tym gestem wielki książę chciał podkreślić stanowczość swego oświadczenia. Wszystkie twarze zwróciły się ku Jagielle w oczekiwaniu na jego odpowiedź. Król nie dał na nią długo czekać. Obrócił się do Witolda i oświadczył z powagą:

— Zgadzam się, bracie, i ślubuję ci nie zawierać inaczey pokoju po tej wojnie, jak tylko w porozumieniu z tobą i z twoją zgodą w prawach litewskich.

Rozległ się szmer zadowolenia i uznania. Teraz, kiedy zasadnicza decyzja została powzięta, ciężar narady przesunął się na zagadnienia realizacji. Rozmowy trwały do przedświt, gdyż postanowiono pobytu w Nowogródku nie przedłużać.

Ustalono główne wytyczne dla dalszego postępowania. Witold miał trzymać Świdrygiełłę, który wrócił już na Litwę, przy swoim boku i uważnie go obserwować. W tym celu oba wywiady, polski i litewski, miały zespolić wysiłki, by nie dopuścić do nowej zdrady. Żmudź miała powstać i rzucić krzyżackie jarzmo, jak tylko drzewa okryją się liśćmi, by cieplejsze noce i las mogły dać schronienie zarówno powstańcom, jak i ludności, gdyby ta musiała chronić się przed krzyżacką zemstą.

Po dłuższej dyskusji przełamano opór wielkiego kniazia i zgodził się on udzielić przebaczenia tym z książąt, którzy powrócą z Moskwy na Litwę, ale pod warunkiem że ze wszystkimi swymi ludźmi staną do walki. Uchwalono również rozesłanie poselstw na dwory zachodnie ze skargami na Zakon, by chociaż w ten sposób przeciwdziałać zbyt niemu stamtąd napływowi rycerstwa.

Na sygnał Witolda Jerzy Nos miał napaść na ziemie Zakonu Inflanckiego, by związać tamtejsze siły. Postanowiono rozpocząć rekrutację obcych najemników, co również wzięła na siebie strona polska, przy finansowej pomocy wielkiego kniazia, który przybiecał również ściągając, jak wiele się da, wojsk tatarskich. Do czasu ogłoszenia wojny oba dwory miały prowadzić w stosunku do Zakonu jak najbardziej ugodową politykę. Na zakończenie rozmów, kiedy już, bardzo znużeni, mieli się rozejść, król Władysław zabrał jeszcze głos:

— Proszę was i upominam, abyście wszystko, o czym tu było mówione, zachowali w jak najgłębszej tajemnicy, słowo bowiem wylatuje wróblem, a wraca wołem. Plan wojny zostanie ustalony potem, ale już teraz polecam, by nie obarczać wojsk zbyt wielką ilością oblężniczych maszyn i dział. Podkanclerzy Trąba jest tym, którego wyznaczam do dawania wskazówek, jak mają iść przygotowania, o ile do mnie nie byłoby dostępu. Zróbmy wszystko, co w naszej mocy, i nie poniechajmy niczego dla skupienia wszystkich sił do

czekającej nas walki, a dopiero wówczas wolno nam będzie liczyć i na sprawiedliwość Boga. Amen.

Kiedy dworzanie za przykładem władców powstali z miejsc, by udać się na spoczynek, podkanclerzy Trąba podszedł do marszałka Rumbolda i odciągnął go na stronę.

— Chcę was o coś prosić, wasza wielmożność.

— Co rozkażecie? — Rumbold nachylił głowę ku kanonikowi, bo był wzrostem znacznie wyższy.

— Chodzi mi o Jawnutę z Niemierzy, którego trzymacie w lochu.

Jak wiecie, bo za waszym pozwoleniem to się stało, wysłaliśmy do Zakonu naszego człowieka pod jego mianem...

— Wiem. — Rumbold skinął głową. — Minigajło mówił mi o tym.

— Nie karzcie Jawnuty gardłem. Raz, że przy egzekucji nie ustrzeżlibyście się przed dostatecznym zachowaniem tajemnicy, kto został stracony, co naraziłoby naszego wysłannika, a po wtóre, nie godzi się odbierać życia człowiekowi, który oddał nam przysługę, nawet jeśli stało się to bez jego wiedzy. Przyrzekniecie mi to?

Rumbold spojrzął na Witolda, który stał w pobliżu, rozmawiając z Cebulką.

— Myślę, że mi się to uda. Wielkiemu kniaziowi już pierwsza złość przeszła.

— Ale w lochu trzymać go, niestety, musicie, i to bacznie, jeśli by uciekł, wówczas śmierć tego drugiego pewna.

Rumbold skinął głową.

— Rozumiem...

Miało to miejsce to Nowogródka, w miesiącu grudniu, roku 1408

Rok 1409

Za białą płaszczyną skutej lodem rzeki ciągnął się rdzawy pas miejskich murów. Biegł wzdłuż brzegu niby dwukolorowa wstęga, u dołu brunatna, górą biała od śniegu pokrywającego krenelaże, kryte krużganki i dachy baszt.

W głębi, równie ośnieżone, piętrzyły się dachy Torunia. Tu i ówdzie, niby palce wskazujące niebo, strzelały ku górze wieże kościołów. Opasana podwójnym ciągiem własnych obronnych murów czerniała ogromna bryła zamczyska, pnąc się po stokach wzgórza zrębami gmachów i wież, z których wielka Dansheren górowała nad innymi swym potężnym masywem.

Od bram miejskich, poprzez biel zamarznętej rzeki, biegły ciemne smugi rozjeżdżonych w śniegu dróg. Podobne mrówkom, sunęły po nich w obie strony szeregi sań.

Pierwszy zmierzch zimowego popołudnia zaczął zacierać już kontury miasta, kiedy Bert i Jaksą, minąwszy bramę w ziemnym wale otaczającym przedmieścia, wjechali pomiędzy jego domy. W miejscu gdzie droga skręcała opadając ku rzece, wstrzymali konie. Bert rozejrzał się dookoła i mruknął:

— Miała tu być gdzieś z prawa... niedaleko zakrętu.

Rudy wskazał grupę ludzi kręcących się wokół czworokątnego budynku stojącego nieco na uboczu. Jego dach podparaty od frontu dwa słupy, tworząc podcień. Dochodził stamtąd dźwięczny głos młotów.

— Masz swoją kuźnię — rzucił półgłosem.

Bert ruszył koniem. Zbliżyli się ku budynkowi, przed którym stało parę chłopskich sań. Zeskoczyli na ziemię, rzucając wodze na siodła.

— Zostań przy koniach. Zaraz wrócę...

Usuając bezceremonialnie kręcących się u wejścia kmieci, Czarny zagłębił się w mrok kuźni. W rogu krępy wyrostek pociągał za poziomo zawieszony drąg, sprzężony łańcuchem z wielkim, skórzanym miechem.

Podsycany silnym podmuchem powietrza furkotał na palenisku biały płomień. Na pułapie czarne, ruchliwe cienie powtarzały ruchy pracujących przy kowadłach ludzi.

— Chcę mówić z mistrzem — zagadnął Bert jednego z nich.

Czeladnik, nie przerywając pracy, skinął głową w stronę barczystego mężczyzny w skórzanym fartuchu. Bert podszedł do niego.

— Czy mistrz Piotr?

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

— Ja sam.

— Obejrzyjcie moje strzemię. Pękło po drodze.

Były to pierwsze słowa hasła. Kowal nachylił się nad Czarnym.

— Daleką mieliście drogę?

— Dziś przebyłem sześć mil.

— Pokażcie to strzemię. — Mistrz Piotr odłożył cęgi i ruszył do wyjścia. Kiedy zbliżył się do Rudego stojącego przy koniach, spojrzał pytająco na Berta.

— To mój towarzysz — objaśnił ten, dodając cicho: — Razem przybyliśmy z Krakowa.

Kowal nachylił się, udając, że bada strzemię.

— Czego potrzebujecie?

— Stancji na noc i nieco wiadomości. Muszę mówić z mistrzem Albertem.

Żeglarska ulica, wiodąca ku rynkowi od bramy tejże nazwy, mimo wczesnej pory pełna już była przechodniów. Czarny wypatrywał ulicy Świętej Anny, przy niej bowiem znajdowała się łaźnia mistrza Alberta, człowieka, który był mu potrzebny.

Wreszcie odnalazł dom, którego szukał. Nad jego frontowymi drzwiami wisiała miednica i kufel. Mistrz Albert prowadził bowiem przy łaźni i szynk.

Bert postanowił zająć najpierw do łaźni, by powierzyć golibrodzie swój kilkudniowy zarost.

Pora była wczesna, toteż nie potrzebował czekać i wkrótce wstał ze stołka gładko wygolony.

— *Patron zszedł już na dół? — zagadnął golibrodę.*

— *On przychodzi pierwszy. Znajdziecie go w gospodzie. — Zapytany wskazał łukowato sklepione przejście.*

Mistrz Albert, mały i chudy, kręcił się żwawo po sali, a zagadnięty przez Czarnego zatrzymał się przed nim i zmierzył go zaczepnym, ostrym spojrzeniem.

— *Czego ode mnie chcecie? — rzucił opryskliwie na pytanie Berta.*

— *Nieco pogadać po długiej podróży. Sześć dni byłem w drodze, by do was dotrzeć.*

Gospodarz zmierzył go powtórnie spojrzeniem, tym razem mniej wrogim, ale bardziej badawczym. Czarny ujął brzeg kożuszka, pozostawiając na

zewnątrz dwa palce, którymi uderzał po okryciu, jego rozmówca powinien być teraz wspomnieć o pogodzie.

— *Sześć dni to długo — powiedział tamten, po czym dodał, rozglądając się nieznacznie po sali: — zwłaszcza w taką pogodę...*

— *Święty Krzysztof ustrzegł, tośmy drogi nie zgubili.*

— *Chodźcie, pogadamy! — Gospodarz skierował się do bocznego stołu. — Jeszcze pusto, nikt nam nie przeszkodzi. — Sam napełnił dwa kufie i postawił na stole, po czym siadł naprzeciw Czarnego.*

— *Z Krakowa? — rzucił szeptem.*

Bert skinął głową.

— *Czego potrzebujecie?*

— *W sprawie dziewczyny...*

— *Co wy mówicie! Właśnie wczoraj wysłałem specjalnego do Włocławka!*

— *Stało się coś?! — zaniepokoił się Czarny.*

— *Tak. Zabrali ją od cysterek.*

Bert gwałtownie odstawił kufel, aż piwo chlusnęło na blat stołu.

— *Dawno?*

— *Dwa dni temu.*

— *Nie wiecie dokąd?*

— *Ba! Żeby to...*

— *Kto? — pytania padały szybko, rzucane stłumionym szeptem. Czarny już się opanował.*

— *Nie wiadomo. Podobno przyszło polecenie z samego Malborka.*

— *Dwa dni temu! Bodaj ich czarci! Spóźniłem się tylko o dwa dni! Mam przykazane ją wykraść!*

Mistrz Albert pokiwał głową.

— *Kiepska sprawa... Tym bardziej że nie wiemy, dokąd ani kto ją zabrał. A szukać po całym zakonnym państwie, nie wiedząc nawet, czy jeszcze żyje, chyba nie warto... Zbyt niebezpieczna to rzecz. Brodaczycy mają wszędzie swoich ludzi i niedługo potrwają, a będą wiedzieć, że jej szukacie.*

— *To chyba wiedzą, bo zapewne zostali już o tym ostrzeżeni.*

— *Ostrzeżeni? Przez kogo?*

— *Wyprzedził nas człowiek, którego chcieliśmy doścignąć, ale struli nam towarzysza i wprzód musieliśmy zająć się tym, który to uczynił.*

Gospodarz odstawił kufel i rzucił wystraszone spojrzenie na swego gościa.

— *Zatem mówicie, że już wiedzą? — Ściszył jeszcze bardziej głos.*

— *No to nie macie tu już nic do roboty! Ta dziewczka nie będzie ani pierwsza, ani ostatnia, która zginie. Nie widzę sposobu, jak ją ratować, natomiast wiele jest sposobności, abyście sami stracili głowę!*

Czarny poderwał się z miejsca, złapał w garść kurtę mistrza Alberta i przyciągnął go ku sobie.

— *Sam wiem, co mam czynić! Jest rozkaz i wykonamy go. Ty i ja! Ja, co mnie przykazano, a ty, co tobie przykażę! — Zwolnił chwyt, pchnąwszy szynkarza na zydeł.*

Ten wymamrotał:

— *Człowieku, opamiętaj się... Ja... ja wiem, co mówię... Sprawa przegrana, szkoda nawet rozważać!*

Czarny wyciągnął zza pasa swój nóż z kościaną rękojeścią i wbił go w blat stołu.

— *Znasz to? Wiesz, co oznacza?*

Szynkarz utkwiał wzrok w głowie orła, po czym przeniósł spojrzenie na Bertę.

— *Wiem — mruknął. — Masz prawo karania śmiercią za zdradę lub brak posłuchu.*

— *Właśnie. Chciałem, abyś to wiedział.*

Gospodarz nie dawał jednak za wygraną.

— *Zrobisz, jak zechcesz, ale jeszcze raz cię pytam, czy warta jedna spódnica, by przez nią ginęło wielu ludzi? Przecież nie tylko ja wam służę... A jak zaczną mnie przypiekać albo nogi ścisną kleszczami,*

wiem, że nie strzymam. Pójdzie na kaźń całe nasze bractwo. I co wtedy? Czy tam, w Krakowie, pochwalą cię za taki brak rozwagi?

Czarny zdążył już opanować pierwszy wybuch gniewu. Wyrwał nóż, schował go za pas i powiedział spokojniej:

— Jużem ci rzekł, że mam przykazane uwolnić dziewczynę, jedyne więc, co mogę rozważyć, to w jaki sposób rozkaz wykonać! My już wojujemy, inni będą wojować potem, a co wart wojownik, który rachuje, a nie walczy? Jarzmo wam doskwiera, ale chcielibyście je macać tylko końcami palców, miast chwycić pełną garścią, bo to zbyt niebezpieczne. Tfu!

Znów złość go zaczęła ponosić, ale się pohamował. Porwał za kufel i, wychyliwszy do dna, odstawił z hałasem na stół.

— Co więc zamierzacie? — Albert nachylił się ku swemu gościowi.

— Właśnie to musimy obmyślić. Przede wszystkim chcę mówić z tym chłopcem, którego trzymacie w klasztorze. On już tam niepotrzebny.

Gospodarz uniósł się z miejsca.

— Ostaniecie na sali?

— Teraz tu pusto. Dajcie mi jeszcze kufelek, posiedzę i podumam.

Chłopak zjawił się dopiero po dobrych kilku pacierzach. Przez ten czas Bert zdołał opanować gniew i uczucie zawodu. Przez wszystkie dni uciążliwej podróży, kiedy wraz z Rudym przedzierali się przez zawiane śniegiem drogi, zastanawiał się nad czekającym go zadaniem. Brał wówczas pod uwagę każdą możliwość, ale kiedy faktem stała się ta najgorsza, najmniej przewidywana, mimo wszystko naszała go złość na los, który tak z niego zadrwił.

Chłopiec mógł mieć najwyżej dwanaście lat. Był szczupły, o drobnej twarzyczce i oczach zdradzających spryt. Miał na sobie chłopską siermięgę przepasaną sznurkiem, a na nogach zbyt duże buciory, toteż idąc, szurał nimi po podłodze. Szykarz, zbliżając się, wysunął go przed siebie.

— Jak się, szkrabie, zwiesz? — rzucił Czarny z uśmiechem, by surową twarzą nie speszyc małego.

— Tomasz, wasza wielmożność.

— Skąd jesteś?

— Z Mazowsza, z osady Rubież, przynależnej Benkowi z rodu Szeligów.

— Benkowi z Rubieży?! — Bert aż uniósł się z krzesła.

— Znacie go, panie?

— Coś niecoś znam... Jakżeś tu trafił?

— Pan Benko własnoręcznie spaliwszy dwór uszedł z Rubieży, a mnie wziął ze sobą kupiec Erazm. Byłem z nim dłuższy czas, wreszcie oddał mnie tu, do klasztoru, przekazawszy baczyć na brankę.

— Jaka ona? Mała, wysoka, ciemna, jasna?

Chłopak uniósł oczy ku górze.

— Piękna i dostojna jak księżniczka. Wysoka i jasna. Kosy ma jak ze złota...

Bert uśmiechnął się.

— Widzę, żeś ją dobrze obejrzał! Kto po nią przybył?

— Ktoś ważny, bo miał ze sobą ośmiu zbrojnych knechtów.

— Konno przybyli?

— Konno, panie, ale mieli też ze sobą sanie.

— Długo bawili?

— Aby kilka pacierzy. Potem posadzili ją na sanie, otoczyli końmi i tyle ich było widać.

— Dokąd pojechali? Nie dostrzegłeś?

— Nie. Z miejsca ruszyli cwałem i znikli za klasztorną bramą.

— Byłeś może w pobliżu? Słyszałeś, co mówili?

— Nie słyszałem... Tyle tylko, że ten ważny, jak wyprowadzał dziewczkę, przynaglał knechtów, krzycząc, żeby pośpieszali, bo przed nocą nie zdążą na wyznaczony nocleg.

— Kiedy wyruszyli?

— Koło południa.

Bertowi przyszło coś na myśl.

— Widziałeś dobrze tego przywódcę? Czy nie był gruby, czarny o okrągłym licu?

— Nie. Wysoki był i suchy.

— A co panna? Nie sprzeciwiała się, nic nie mówiła?

— Nie... Tylko trzy biegły jej po licach.

— Zostaniesz teraz tu, przy oberży. Myślę, że znajdzie się dla ciebie robota. — Czarny zwrócił się do gospodarza. — Weźmiecie go do siebie? Nie ma już po co tam wracać. Wieczorem przyjdę z towarzyszem na naradę, może nam coś przyjdzie do głowy... Spać będziemy u was, bo po nocy lepiej nie chodzić.

Sala była pełna i gwarna, kiedy Czarny i Rudy, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagę, przysiedli za jednym ze stołów. Zamówili piwo i, pijąc je z wolna, zamieniali ze sobą po niemiecku zdawkowe uwagi. Po pewnej chwili zbliżył się do nich łaziebny posługacz i nachyliwszy się, szepnął:

— Kąpiel gotowa, waszmoście. Proszę ze mną, poprowadzę.

Nie zadając pytań, wstali i ruszyli za przewodnikiem, który skierował się ku przejściu wiodącemu do kąpielowych pomieszczeń. Przeszli przez obszerną sień, a stamtąd kamiennymi schodami na piętro, zagłębiając się w

mrok przedsiionka. Tu posługacz wskazał im jedne z drzwi, a kiedy zniknęli za nimi, pozostał na miejscu i stał z pochyloną głową, nasłuchując dochodzących z wewnątrz głosów.

Znaleźli się w obszernej, bogato urządzonej komnacie. Suto fałdowane materie kryły ściany, meble były wygodne, pięknie rzeźbione i lśniące połyskiem.

Przed kominkiem siedział wysoki, szczupły mężczyzna w czarnej, długiej szacie. Jego sztywny, stożkowy kapelusz leżał obok. Gdy Albert, który stał przy nim, obrócił się ku wchodzącym, wysoki mężczyzna uniósł się z krzesła. Na czarnym tle jego szaty odcinał się żółty trójkąt.

— Oto moi goście, mistrzu Beniaminie — odezwał się gospodarz — zechciej ich poznać.

Suchą, ściągłą twarz o lekko garbatym nosie okalała ciemna broda, w której tu i ówdzie przewijał się biały włos pierwszej siwizny. Czarne oczy miały spojrzenie łagodne i mądre. Uścisnęli wiotką, wąską dłoń, która zdawała się nie mieć kości.

— Siadajcie! — Albert wskazał na krzesło stojące wokół palącego się na kominku ognia. — Szczęśliwie przyszło mi na myśl zwrócić się w waszej sprawie do jedyne go człowieka, który może nam pomóc.

— Rozumiem przez wasze słowa — zabrał głos Czarny — że odpowiadacie za obecnego tu mistrza Beniamina.

— Jak za siebie samego! Jego milczenia możecie być pewni.

— Wybaczcie, panie, moją ostrożność — Bert skłonił się lekko w stronę, czarnej postaci — ale zaskoczyła mnie nieco wasza obecność.. Powody, dla których muszę być ostrożny, są ważne.

Gość uśmiechnął się lekko i skłonił głową, ale nic nie odpowiedział.

— A zatem... — Czarny pokrótce wyjaśnił sytuację. Kiedy zamilkł, mistrz Beniamin przeczesał palcami brodę. Odezwał się dopiero po chwili:

— Nietrudno będzie dowiedzieć się, gdzie poczet zatrzymał się na nocleg, bo ani do Chełmna, ani do Brodnicy dostać się przed nocą nie mogli. Ale to pozwoli na ustalenie tylko kierunku jazdy, a nie celu.

— Kierunek pozwoli jednak na ograniczenie pola poszukiwań. Musimy dowiedzieć się, gdzie popasali.

Mistrz Beniamin jakiś czas spoglądał w twarz Berta, po czym opuścił głowę.

— Występujecie przeciw władzy Zakonu, a to niebezpieczna rzecz. Pozostawcie tę sprawę mnie.

— Nie zapomnimy wam tej przysługi, panie, a wszelkie koszty pokryjemy.

— Pokryjecie je, jak powstaną. Z tym jest czas.

Czarny i Rudy przesiedzieli dwa dni w ukryciu, walcząc z nudą oczekiwania. Dopiero po tym czasie mistrz Beniamin zjawił się powtórnie.

— Na pierwszy nocleg poczet zatrzymał się w Stolnie — oznajmił bez wstępów. — Dziewczynę ulokowali w osobnej izbie tamtejszego zajazdu, stawiając pod drzwiami straż. Słyszano też kłótnię dwóch knechtów. Jeden z nich twierdził, że jadą do Tczewa, drugi, że do Gdańska.

— Cel podróży był zapewne znany tylko dowódcy.

— Być może knechci nie byli dalecy od prawdy. Zastanawia mnie jednak, że nie brali pod uwagę samego Malborka.

— Ale teraz co dalej? — westchnął Czarny.

— Chcę wam coś poradzić. Ryzykowna to wprawdzie rada, bo partner niepewny, ale to chyba jedyne, co możecie zrobić. — Mistrz Beniamin rozejrzał się po komnacie, jakby w obawie przed obcymi uszami.

— Musicie odszukać Kosookiego, przywódcę buksów. Ma swoją siedzibę w Gdańsku. Trzeba do niego dotrzeć i przekonać, by zechciał wam pomóc. Nie zdradzajcie się przed nim, że macie pieniądze, bo odbierze je i będzie dobrze, jeśli puści was żywych.

— Jak go znaleźć?

— W tym właśnie leży pierwsza trudność. Druga — to skłonić do udzielenia pomocy. — Mistrz Beniamin uśmiechnął się lekko. — Trzecią trudnością będzie zachować przy tym całą skórę... Bo muszę uprzedzić, że mało komu spotkanie z nim wyszło na dobre. Ale ma wszędzie swoich ludzi i wie niemal wszystko, bo to jest podstawa jego zbójckiego rzemiosła. Tylko bowiem kupcy, którzy wniosą mu opłatę, mogą liczyć, że przewiozą rzeką swój towar. Jeśli zechce, za parę niedziel będzie wiedział, gdzie ukryto waszą dziewczynę.

— Za parę niedziel?! — obruszył się Bert. — Kiedy za kilka dni może ona już nie żyć!

Mistrz Beniamin rozłożył ręce.

— W takim razie pomocy może wam udzielić tylko Wszechmocny. Zwróćcie się do Niego...

— Jak znaleźć tego Kosookiego?

— Odszukajcie w porcie zbożowe magazyny Hanzy. Spytajcie o strażnika zwanego Chromaczem, bo brak mu nogi. Pozdrówcie go ode mnie i powiedzcie, że życzę, by gwiazda Betleemu nie skąpiła mu blasku. On będzie waszym przewodnikiem, a reszta już zależy od waszego rozsądku i szczęścia.

Następnego dnia Czarny i Rudy wyjechali do Gdańska.

W ciągu długiej i uciążliwej drogi, bo pora była zimowa i do podróży, zwłaszcza szybkiej, bardzo trudna, Peter Vogelweder miał dość czasu na przemyślenie swojej sytuacji.

Stała się ona w sposób nagły i nieoczekiwany zgoła niebezpieczna. Nie brał nawet pod uwagę strat materialnych, jakie zapewne będzie musiał ponieść. Tym zajmie się Johann — na szczęście jego wyjazd do Wrocławia pozwoli mu odzegnać się od zaszłych wypadków i będzie mógł nadal wraz z Antonim kierować przedsiębiorstwem. On zaś, Peter, niestety musi obecnie cały wysiłek kierować przede wszystkim ku ratowaniu własnej skóry, i to z dwóch stron naraz. Za sobą pozostawiał groźbę pojmania i kaźni, przed sobą miał widmo malborskiego zamku i sądu jego bezwzględnych władców.

Po pewnym jednak czasie, kiedy ostrość ostatnich zdarzeń nieco się zatarła, zaczął dochodzić do wniosku, że sytuacja jego nie była znów tak zupełnie beznadziejna.

Cóż się bowiem stało? Jeśli nawet istotnie — tak jak twierdził Bruno — ten bakalarz był z tajnej służby królewskiej, to czego się dowiedział? A zresztą, czy w ogóle warto się nim zajmować, skoro Bruno w samą porę go pojmał i już stracił? Jeśli nawet tamten coś przewąchał, to nie miał czasu ani sposobności przekazać swoich spostrzeżeń... Drugim źródłem niebezpieczeństwa mógłby być ten parobek, jeśli Zamek chciałby dociekać, co się stało z bakalarzem. Ale i tu ślad się urwie, gdyż Antoni polecenie na pewno wykonał.

Pozostawała więc tylko dziewczyna. Ona wiedziała, kto kierował jej porwaniem, bo tego, niestety, nie dało się ukryć. Ale gdyby i ją... Wówczas nie byłoby już nikogo, kto mógłby świadczyć przeciwko niemu, a bez mocnego świadka rajcy miejscy, kupcy jak i on, ujmą się za nim i nie

dopuszczą do skazania, nawet gdyby go miał sądzić sąd koronny, a nie miejski.

Chwilowo więc z tej strony nic mu nie grozi, ale nie wiadomo, jaki obrót przyjmie sprawa teraz, kiedy brat Anzelm został pojmany? Zdrada Dunina zapewne zostanie przez Polaków wykryta, a w związku z tym co postanowi Zakon? Brodacze lubią pieniądze — w powstałej sytuacji, miast skrywać dziewczynę, może postawią na nią cenę? Wówczas nie ulega wątpliwości, że matka i ten księżulo okup zapłacą.

W takim wypadku nie mógłby już nie tylko wracać do Krakowa, ale niebezpieczny byłby w ogóle jego pobyt w którymś z polskich miast. To by się równało stracie majątku, bo kochany Johann oczywiście wykorzystałby sytuację. A jeśli nawet Zakon nie postawi ceny i zechce spełnić groźbę — są oni przecież równie żądni pieniędzy, co i mściwi — dziewczka pójdzie do zamtuza. Będzie więc żyła, a żyjąc, zacznie rozpowiadać przygodnym gachom, kto stał się sprawcą jej hańby. Wieści gębami ludzkimi idą szybko, byłoby chyba szaleństwem siedzieć wówczas w Krakowie.

A więc tułaczka lub służba pod ciężką ręką Zakonu...

Należy zatem za wszelką cenę dostać dziewczynę, a cały spryt wyteńczyć, aby brodacze zgodzili się ją wydać. Dziewka piękna, można by się z nią parę nocy przespać, a potem gdzieś na uboczu to kochanie po cichu zakończyć...

Kiedy wreszcie ujrzał w zimowej mgle szare zarysy malborskiego zamku, trafił go już tylko niepokój, czy uda mu się tak pokierować sprawą, by pozwolono mu zabrać dziewczynę z Torunia.

Zatrzymał się w zajezdzie i posłał wiadomość do zamku, że Peter z Krakowa prosi o posłuchanie. Nie czekał zbyt długo, bo już po kilku dniach przybył po niego pachotek.

Ogarnął się, jak mógł najlepiej, i pełen wewnętrznego napięcia ruszył za przewodnikiem. Znał kapitulną starszyznę, przekonał się więc po wprowadzeniu go do komnaty przyjąć, że stanął nie przed komturem domowym, zastępcą wielkiego komtura — czego się spodziewał — lecz przed samym Kunonem von Lichtenstein, groźnym i niebezpiecznym. Nie była to okoliczność pomyślna i nic dobrego nie wróżyła.

Barczysty i wysoki stał na środku komnaty z dłońmi zasuniętymi za pas.

Peter skłonił się głęboko i zatrzymał zaraz u progu, oczekując na pierwsze słowa powitania. Jednak powitania nie było. Czyżby już coś wiedzieli? Było to jednak nieprawdopodobne i obawę tę Peter odsunął od siebie.

— Ty jesteś Peter Vogelweder? — padło pytanie rzucone grubym, szorstkim głosem.

— Ja, panie. — Peter ukłonił się powtórnie, ale już nie tak głęboko.

— Z czym przybywasz?

— Ze złą wieścią, panie. Ujęto brata Anzelma!

— Jakiego brata Anzelma?

— Z zakonu Cystersów w Mogile.

Wielki komtur postąpił krok do przodu.

— Jak to się stało?

— Nie wiem, wasza wielmożność. O mało sam przy tym nie dostałem się w ręce strażników, bo nadjechałem, kiedy brano go na wóz.

— A co z Duninem?

Peter wywołał na twarz wyraz zdziwienia.

— Jak to co? Do chwili wyjazdu przejmowałem jego pisma.

— Dlaczego nie wystąłeś gońca, lecz przybyłeś sam?

— Pojmanie brata Anzelma wymaga waszych decyzji, panie. Sądziłem, że zanim je wydacie, będziecie chcieli ze mną mówić.

— Dlaczego pojмали tego mnicha?

— Tego też jeszcze nie wiem. Ale przed wyjazdem poruczyłem, aby do mego powrotu wyjaśniono tę sprawę.

— Dlaczego samżeś tego nie uczynił?

— *Pojmanie Anzelma godziło przede wszystkim we mnie, bo osobiście doręczałem mu listy Dunina. Uważałem więc, że lepiej będzie, jak do czasu wyjaśnienia sytuacji opuszczę Kraków.*

Von Lichtenstein zbliżył się do Vogelwедера i nachylił nad nim swoją groźną twarz.

— *Strach cię obleciał, dlatego uciekłeś! Wiesz, co robimy z tchórzami?*

Peter poczuł, jak kropelka potu ścieka mu po czole, nieprzyjemnie łaskocząc skórę.

— *To nie strach, wasza wielmożność, lecz rozważa. Co miałem w takim położeniu poczuć?*

— *Jak to co? W żadnym razie nie opuszczać swego miejsca! Mogłeś skryć się i z ukrycia kierować sprawą aż do jej wyjaśnienia, a dopiero wówczas rozstrzygać o wyjeździe! Chcesz od nas, głupcze, decyzji, nie dając rozeznania sprawy! Nie rozumiałeś, iż ujęcie Anzelma dowodzi, że Dunin stał się bezużyteczny?*

— *Toż dlatego tu przybyłem, wasza wielmożność, zem rozumiał! Nie czułem się władny decydować, co dalej robić.*

— *I chcesz, żebym ci na ślepo dawał poruczenia, tak jak ty byłeś ślepy, nie wiedząc, ku czemu sprawa idzie! Chyba że coś tu taisz! Ale poczekaj, przywrócę ci pamięć! Posiedzisz w lochu, póki jej nie odzyskasz!*

Peter przestał się łudzić, że zdoła zataić przebieg zdarzeń. Groźba lochu wywołała przerażenie, które ścieniło mu głos niemal do pisku.

— *Ależ ja niczego nie taję! Co wiem, to wszystko powiem! Tym bardziej że trzeba mi waszego postanowienia i o tej dziewczce, siostrzenicy Dunina!*

— *Poczekasz na nie w lochu! Hej, straż... — von Lichtenstein nie dokończył wezwania, gdyż drzwi raptem się otworzyły i na progu ukazał się wielki marszałek w towarzystwie prokuratora Wormditta.*

— *A, Vogelweder! Co tu robisz, grubasie?! — Głos przybyłego nie miał groźnych akcentów i Peter poczuł się raźniej. — Słyszę, że o dziewczkach gadacie?! Nie wolno tego w naszych zakonnych murach!*

— *Von Wallenrode roześmiał się hałaśliwie i, mijając Petera, klepnął go po plecach.*

— *Lepiej posłuchajcie, marszałku, z czym ten głupiec do nas przybył — warknął von Lichtenstein.*

Wielki marszałek z tonu wyczuł, że chwila nie nadaje się do żartów, toteż zmarszczył brwi i spojrzął badawczo na przybysza.

— *Cóżeś takiego przeszkrobał, że rozgniewałeś brata Kunona? — Siadł ciężko na krześle i oparł łokcie o jego poręczę, wysuwając nogi przed siebie. Wormditt przeszedł przez komnatę, cicho stąpając w łosiowym obuwiu, i przysiadł na kamiennej ławie pod oknem. Wielki komtur odezwał się już nieco spokojniej:*

— *Coś mi się zdaje, że nie wszystko chciałeś nam rzec, co wydarzyło się u ciebie. Masz jeszcze okazję, by grzech kłamstwa naprawić. Mów prawdę, a wtedy postanowimy wspólnie, co z tobą uczynić. — Zwrócił się do przybyłych: — Przywiózł bardzo złe wieści.*

— A więc mów, drogi Vogelweder, mów szybko, abyśmy to zło mieli już za sobą, i licz na naszą łaskawość i wyrozumienie — przynaglił wielki marszałek.

Peter zdawał sobie sprawę z podstępnej dobroduszości tej obietnicy, toteż mówiąc o ostatnich zdarzeniach, dobierał starannie słowa i choć nie opuszczał niczego, starał się tuszować te fakty, które mogłyby stać się powodem zarzutów. Wiedział już, że jego los zawisł na bardzo cienkiej nitce i jedno załamane głosy lub źle dobrane słowo mogło go zgubić.

Kiedy skończył, poczuł słabość pod kolanami i dałby wiele, aby pozwolono mu usiąść.

— Hm... — mruknął Wallenrode. — Istotnie złe to wieści. A więc mówisz, że ci dwaj, bakałarz i parobek, nie staną, aby świadczyć przeciw wam?

— Bakałarza zostawiłem w rękach Brunona. Miał go przypiekać, by najpierw wydobyć zeznania. Wykonanie mego polecenia przez zarządcę uważam za pewne — odparł ostrożnie Peter. — To pozwala mi wierzyć, że obaj już nie żyją. Jedyne teraz świadki, jaki pozostał jeszcze przy życiu, to ta dziewczyna, ale na szczęście jest w waszych rękach.

— Cóż więc zamierzasz dalej czynić w tej sprawie?

To pytanie uspokoiło nieco Petera. Musiał teraz wykazać swoją dalszą przydatność dla Zakonu.

— Wracać do Krakowa, by rozeznaczyć, co tam się stało. Johann już na pewno z Wrocławia powrócił. Jeśli, jak się spodziewam, wieści będą dobre, nakazę Duninowi dalej przysyłać listy, jeśli zaś nie, to rozkazy, co należy czynić, muszę dostać od was.

— Czemuś nie wysłał do nas gońca, by samemu pozostać na miejscu? — zabrał głos Wormditt, nie wiedząc, że to samo chciał już wiedzieć wielki komtur. Ale że pytanie to już raz padło, Peter miał przygotowaną odpowiedź.

— Głupio byłoby twierdzić — zaczął, przesuwając spojrzeniem po twarzach słuchaczy, by nie uronić najmniejszego ich drgnięcia — że człowiek nie dba o własną skórę. Ale główny powód był nie ten. Zważcie, że gdyby mnie ujęto, kto by mnie zastąpił? Johanna nie było, bo wyjechał, Brenner jest zbyt pochopny w działaniu i za mało ostrożny. Rozsądek więc nakazywał zejść z placu, by spokojnie zdecydować, co robić dalej.

Wallenrode objął w zamyśleniu brodę palcami i nic nie powiedział. Ponieważ Wormditt i Lichtenstein nie odzywali się również, Peter postanowił od razu poruszyć nurtujący go problem:

— Był jeszcze jeden powód, dla którego postanowiłem sam podjąć tę podróż, boć nie dla gońca to sprawa. Chodzi o tę dziewczynę. Jeśli wrócę do Krakowa, czego najbardziej bym pragnął — a nic nie wskazuje, by coś temu miało przeszkodzić — ona jedna będzie stanowić groźbę wiszącą mi bez przerwy nad głową. Znam waszą siłę, wielmożni panowie, i waszą ostrożność, ale wiem też, jak chytry i podstępni potrafią być Polacy! Nie będę mógł spokojnie spać, bo nigdy nie będę pewny, czy właśnie tej nocy nie porywają wam zakładniczki. Ten ślad do mnie prowadzący musi być zatarty, i to całkowicie!

Wallenrode i Wormditt milczeli, natomiast głos zabrał Lichtenstein:

— Zanim poweźmiemy jakieś postanowienie co do dziewczyny, musimy wpierw rozstrzygnąć, co uczynić z samym imć Vogelwederem. Uważam, że łudzi się on, iż nadal będzie otrzymywał od Dunina wiadomości. Łudzi się sam albo usiłuje nam sypać piaskiem w oczy. A to, że uciekł, tłumaczę sobie inaczej. Vogelweder od razu zrozumiał, że sprawa z Duninem jest przegrana, i to stało się powodem jego przyjazdu do nas. Brenner ma rację — bakałarz został im nastany, lecz głupiec Vogelweder nie umiał tego w porę dostrzec! Śmierć bakałarza również dowodzi głupoty jego zabójców, bo dali tym dowód, że ślad, po którym tamten szedł, był dobry. Oskarżam więc tu obecnego Vogelwedera o brak czujności, lekkomyślność i głupotę. Do tego zaś jest tchórzem, bo kiedy już rzeczy zaszły zbyt daleko, zamiast czynić starania w celu zatarcia śladów, uciekł tu i usiłował nas okłamać, by wykręcić się od odpowiedzialności. Dba więc przede wszystkim o własną skórę! Zważcie, bracia, że teraz, kiedy zabiega o wydanie mu dziewczyny, również tylko tę troskę ma na głowie!

Wallenrode, po zakończeniu przez wielkiego komtura tego miażdżącego oskarżenia, czas jakiś siedział zamyślony, po czym uśmiechnął się jedną tylko stroną ust. Peter z pobladłą jak płótno twarzą czekał, co powie wielki marszałek.

— Przecież, bracie Kuno, nie zaprzeczał on, że kierował nim również wzgląd na własne bezpieczeństwo. Temu zaś dziwić się nie należy, bo taka już jest nasza słaba ludzka natura. Racje zaś, które przytoczył, mają również

pewną swoją wagę... Sądzę, bracia, że zbyt pochopnie nie powinniśmy tego tu Vogelwedera potępić...

Peter doznał uczucia ulgi, usłyszawszy te słowa. Wielki marszałek był mu wyraźnie przychylny o tyle, o ile wielki komtur wrogi. Teraz opinia Wormditta stawiała się języczkiem u wagi. Na którą przechylił się stronę? Wyczul to i von Lichtenstein, bo spojrzał pytająco na prokuratora.

Ten skinął głową na znak, że gotów jest do wyrażenia swego sądu.

— Uznaję, że brat Kuno ma rację (Peter poczuł, że robi mu się słabo, znów wróciła omdlałość w kolanach). I ja sądzę, że sprawa Dunina została zaprzepaszczone. Ale imć Vogelweder twierdzi inaczej, uważa, że wszystko zostało po staremu, wobec czego wnoszę, by nakazać mu powrót do Krakowa dla dalszego prowadzenia tej sprawy. Niech udowodni, że nie my, lecz on ma rację.

Jednak strzegąc się, by nie wykroczyć przeciw sprawiedliwości, należy przyznać, że w tej sytuacji dziewczyna stanowiłaby dla niego poważne niebezpieczeństwo. Przeto proponuję, aby mu ją wydać, tym bardziej że nasze groźby nie mogą pozostać niespełnione, bo rychło kury znosiłyby nam jaja w szyszakach. Ale że imć Vogelweder winien jest temu, co zaszło, sprawiedliwie będzie, jeśli zażądamy, by zwrócił Zakonowi koszta poniesione na tę sprawę. Koszta te niech zapłaci wraz z należnymi odsetkami, a wtedy dziewczynę wydamy mu do własnych rąk w dowolnym miejscu, byle na terenie naszego zakonnego państwa. Taki proponuję wyrok.

Wallenrode patrzył przez chwilę na Wormditta z uwagą, jak gdyby rozgryzając sens jego słów, po czym przeniósł wzrok na Vogelwedera i wybuchnął grmiącym śmiechem, bijąc się dłońmi po udach.

— Wormditt, jak zwykle jesteś niezawodny! Dobry wyrok i ja się zgadzam! A ty, bracie Kuno?

Po ustach Lichtensteina przewinął się krótki, złośliwy uśmiech.

— *I ja się zgadzam, ale wnoszę poprawkę.*

— *Jakż to?*

— *Aby suma, jaką Vogelweder ma zapłacić, była oparta nie na poniesionych kosztach, bo strata Dunina nie może być mierzona tylko wydanymi pieniędzmi. Musimy do rozliczenia wziąć inną podstawę.*

— *Co masz na myśli? — zainteresował się Wallenrode.*

— *Musi zapłacić tyle, wiele wyniósłby okup od matki dziewczyny, a to zamożna niewiasta.*

Peter musiał się opanować, by nie zakłóć.

— *Jaką więc sumę proponujesz?*

— *Sądzę, że gdybyśmy zażądali od niej pięćset grzywien, otrzymalibyśmy je dość rychło.*

Wielki marszałek spojrzął na Wormditta. Ten skinął głową. Z kolei Wallenrode zwrócił się do Petera.

— *Co ty na to, Vogelweder? Przyjmujesz wyrok?*

— *Wasze wielmożności — jęknął Peter, z trudnością wydobywając głos — zlitujcie się! Toż to dla mnie ruina! Za znamienitego rycerza żąda się stu grzywien, a wy za byle dziewczkę chcecie aż tyle!*

— *Tę cenę musisz przyjąć jako karę, mój bracie — powiedział strofująco wielki marszałek. — Nie jesteś bez winy.*

— *Ależ czy nie dość byłoby ukarać mnie rzeczywistymi kosztami? Niechby już te sto grzywien! Albo i dwieście — poprawił się szybko. — A nie zabierać mi wszystko, co mam! Za dziewczkę pięć razy tyle co za rycerza?!*

— *Wszystko to nie będzie, już o to się nie boję — rzucił ironicznie Wallenrode — coś niecoś wiemy, ile posiadasz. Pamiętaj, że to, co dasz na Zakon, zapewni ci odpuszczenie grzechów nie tylko przez nas, ale i przez Wiekuistego...*

— *A co do opłaty za rycerza również nie masz racji — wtrącił już rozbawiony Lichtenstein — ostatnio, jak wyznaczyliśmy pojmanemu Janowi z Koziegłów wykup na dwieście grzywien, to ów nas skłął i zagroził wyzwaniem na ostre...*

— *Wyzwaniem? Nie rozumiem was, panie... — jęknął Peter, widząc, że nie wykręci się od zapłacenia wyznaczonej sumy.*

— *Uważał, że go lekceważymy, postępując takiego rycerza jak on zbyt niskim wykupem. Udobruchaliśmy go dopiero, potroiwszy cenę. Zapłacił i rozstaliśmy się w zgodzie, przyjaźń zachowując do dziś...*

— *Za tyle pieniędzy też bym przyjaźni dochował — mruknął Peter, nie mogąc opanować dławiącej go złości.*

— No więc, mości Vogelweder? — Wallenrode wstał z krzesła. — Chcę słyszeć twoją odpowiedź, bo za dużo straciłem już czasu. Płacisz czy żądasz powtórnego rozpatrzenia twojej sprawy?

— Zapłacę, wasza wielmożność, bom zbyt z wami związany i zbyt ta dziewczyna dla mnie niebezpieczna. Ale nie dlatego, abym przez to przyznał, że mało gorliwie służył Zakonowi.

— Przyjmujemy to oświadczenie, bo nie wątpimy w twoją wierność. Zapłać tedy, a omówimy, gdzie i kiedy dziewczynę odbierzesz.

— Nie mam ze sobą ani części tej sumy. Muszę ją dopiero zebrać.

— Zatem kiedy chcesz wręczyć pieniądze? Trzy miesiące ci starczy?

— Powinno, wasza wielmożność. Zaraz udam się do Wrocławia, by zebrać, skąd się da, tę kwotę.

— Do tego zaś czasu możesz być spokojny. Dziewczynę zabierzemy z Torunia i ukryjemy tak, że nawet ty nie będziesz wiedział, gdzie przebywa! — Wielki marszałek roześmiał się i ruszył ku drzwiom.

W dwa dni po tej rozmowie Peter Vogelweder opuszczał Malbork. Suma pięciuset grzywien, jaką musiał zapłacić w ciągu kilku najbliższych miesięcy, była wprawdzie ogromna, ale stokroć gorsza była ewentualność, która go czekała, gdyby wyroku nie przyjął. Ponadto pieniądze te nie szły na marne. Po usunięciu groźby, jaką stanowiła dziewczyna, nie widział niebezpieczeństwa w powrocie do Krakowa, a wówczas przyjdzie czas, żeby sobie te pieniądze odbić chociażby i na samym Zakonie. Toteż rozpoczynając podróż do dalekiego Wrocławia, Vogelweder nabrał otuchy i przekonania, że ostatecznie wyszedł z opresji obronną ręką; wprawdzie z nadszarpniętym majątkiem, ale z całą skórą, co było stokroć ważniejsze.

WRONY, SKRZECZĄC WRZASKLIWIE, poderwały się z blanków. Zatoczyły parę kół w mglistym powietrzu, po czym, obsiadłszy różańcem czarnych paciorków dach Średniego Zamku, iskały się, wtykając głowy pod skrzydła.

Ben obserwował je, siedząc na ławce przed stajnią. Roboty zbyt dużo nie miał. Poruczono mu nadzór nad końmi briefjungów, dodając do pomocy dwóch parobków. Odpowiadał za stan zdrowia zwierząt i ich stałą gotowość do natychmiastowego wyruszenia w drogę.

Dzień był wilgotny i mglisty. Po silnych mrozach kończącej się zimy zaczęły już następować pierwsze odwilże zapowiadające rychłe nadejście wiosny.

Benko przestał przyglądać się wronom, skierowując wzrok na otaczające go zabudowania Podzamcza. Z lewej ciągnęły się stajnie zakonnych

dostojników: wielkiego mistrza, komtura, marszałka i innych. Na wprost miał ludwisarnię i kuźnię, z prawa zaś, zza stawu, dochodziło uparte kucie kamieniarskich młotów. Tam od świtu do zmierzchu niewolnicy obrabiali głązy na armatnie kule, których nigdy nie było dość.

Rozciągało się przed nim nieomal całe podzamcze — skupisko warsztatów, składnic, spichrzy, stajni, mieszkań mistrzów i czeladzi, ze szpitalem knechtów i kaplicą Świętego Wawrzyńca w głębi. Poza tym

skupiskiem pozornie chaotycznej zabudowy wznosiły się obronne mury obu zamków, a nieco dalej potężny masyw ich ścian.

Śnieg, brudny i lepki, leżał jeszcze pomiędzy domami, ale drogi Podzamcza były już czarne, błotniste, pełne wody połykującej w brzdach kolein.

Już od pół roku Benko pełnił w tym wrogim gnieździe jednostajną, codzienną służbę. Poznał rzemieślniczych mistrzów pracujących po zakonnych warsztatach, ich pomocników i nadzorców, czeladź, wielu z tej szarej braci, jak i on pędzącej tu żywot w znojnym trudzie powiększania mocy i chwały Zakonu. Z briefjungami, stawiając im w gospodach miasta przedwieczorne piwo, żył się przyjaźnie, prowadząc przy kuflu długie gawędy. Tak się też złożyło, że umiając grać w szachy, wiele zimowych wieczorów spędził nad szachownicą z samym bratem von Schirau, wielkim amatorem tej gry. Z powodu podeszłego wieku nie był on już zdolny do rycerskiej służby, pełnił więc na Podzamczu funkcję głównego koniuszego.

Wszystkie te podtrzymywane skrupulatnie znajomości pozwalały na dokładne poznanie życia Podzamcza, a nawet i w znacznej mierze obu zamków: Wysokiego i Średniego, siedziby władz i dostojnych braci-rycerzy. Ich widywał tylko z dystansu, kiedy w wielkim refektarzu odbywały się ogólne posiłki. Siedzieli przy pierwszym bądź drugim stole, jemu zaś przysługiwał dopiero piąty. Ale i tych znajomości ze zwykłymi szeregowymi pracownikami starczyło, by znać tok codziennych zdarzeń, wiedzieć, wiele kul wykuwają dziennie kamieniarze, co odlewa ludwisarnia (ostatnio przystąpiono tam do prac nad odlaniem wyjątkowo wielkiego działa), co i wiele po kuźniach kują kowale. Znajomość z nadzorcami spichrzy i magazynów pozwalała ocenić, jaką broń i wojenne wyposażenie wysyłano do zamków, jakimi zasobami i w jakich ilościach wspomagano poszczególne

komturstwa. Stamtąd zaś przez briefjungów, knechtów lub woźniców dowiadywał się o brakach i usterkach w środkach obronnych.

Te wszystkie ważne i mniej ważne wiadomości należało spisać, toteż kiedy z dostawą mleka z pobliskiej wsi przybywał wiadomy woźnica, otrzymywał od Benka kartkę wypełnioną drobnymi literkami niezdarne pisma.

Nie tego jednak pragnęło jego żądne zemsty serce. Nie drobnych okruczeń wiadomości, ale dotarcia do tych tam u góry, starszyny niedostępnej, dumnej, odgradzonej murami zamku i niemiecką krwią. Dotarcia i wyszarpięcia z ich mózgow, co zamyślają, co knują, do czego dążą.

Coraz wyraźniej widział, jak nieosiągalne to było pragnienie. Dla tamtych był tylko litewskim zbiegiem, pariasem podłej rasy. Nie jemu być dopuszczonym nie tylko do komitywy, ale nawet w fizyczne pobliże.

Zdając sobie z tego sprawę, ani na chwilę nie zapominał o swojej osobistej trosce. Zapomnieć zresztą było trudno, bo rana nie goiła się; piekła po dawnemu boleśnie. Tu jednak spotykało go wciąż niepowodzenie rodzące głuchą rozpacz. Wszelkie, początkowo ostrożne, okrężne pytania, potem coraz niecierpliwsze, nieomal wprost zacierające do celu — ciągle pozostawały bez odpowiedzi. Osoba branki jak gdyby rozplynęła się w powietrzu, z chwilą kiedy znalazła się w siodle owego nieznanego rycerza.

Popełnił jakiś błąd. Ale jaki i gdzie? To przeświadczenie nurtowało go coraz bardziej.

Z chrzęstem upręży i głośnym śmiechem przejechała grupa zakonnych rycerzy wracających z placu ćwiczeń. Od strony zamkowych murów doleciał dźwięczny głos dzwonu oznajmiający południe. Benko wstał i ruszył do swojej izby, by nieco się ogarnąć przed posiłkiem.

Odkrycie popełnionego błędu przyszło niespodzianie i z najmniej oczekiwanej strony, gdyż tym, który mu go wskazał, był von Schirau.

Jak to już nieraz bywało, Benko udał się któregoś wieczora do kwatery starego koniuszego na partię szachów. Rycerz wyciągnął z komory dzban, nalał piwa do kubków, przyciął świecom knoty, po czym położył szachownicę wymalowaną na lipowej desce i wysypał z plecionej kobiałki niezdarnie rzeźbione w drzewie figury. Wybrali kolory, ustawili bierki i pochyliwszy się nad deską, rozpoczęli grę, zadumani i milczący.

W pewnej chwili stary koniuszy ujął grubą wieżycę i zanim postawił na upatrzone pole, jakiś czas obracał w palcach. Potem odchylił się do tyłu, opierając plecy o ścianę, i spojrzął z kpiącym uśmiechem na swego przeciwnika.

— No i co teraz, przyjacielu? Koniecznie chciałeś upolować damę i przez to przegrałeś partię...

— Jeszcze jej nie przegrałem — mruknął Benko, nie unosząc głowy.

— Niedługo przekonasz się. A wszystko, bracie, dlatego, żeś uparty. Nie umiesz poniechać obranej drogi, nawet kiedy wiedzie ku zgubie...

Dopiero po tych słowach Benko uniósł głowę. Czyżby stary coś dostrzegł? Spojrzął w pełną bruzd twarz Krzyżaka. Na wargach ukrytych wśród siwego zarostu starca błękał się kpiący uśmiech, ale wzrok, z którym się zetknął, zdradzał jedynie zadowolenie z wygranej. Benko postanowił przedłużyć rozmowę, by przekonać się, co tamten miał na myśli.

— Czy godzi się mężowi zbaczać z upatrzonej drogi?

— Tylko głupcy jej nie zmieniają, skoro okazuje się zła. Niejedna droga wiedzie do upatrzonego celu. Rzecz w tym, aby wybrać tę najlepszą.

— A jeśli innej nie ma?

— Ee... Każda droga ma boczne ścieżki. O, patrz tu, na tę deskę! Gonisz za damą, a dwa ruchy wcześniej nie ona, lecz ten laufer wart był uwagi. Wtedy byłoby ze mną kiepsko...

Benko odruchowo przetarł dłonią czoło. O czym ten stary gada? Czy naprawdę bez głębszego zamysłu? A może to boska ręka nim kieruje? Jak powiedział? Nie dama, lecz laufer?

Odsunął szachownicę i gwałtownie wstał od stołu. Von Schirau uniósł na niego zdziwiony wzrok.

— Czego się złościysz? Żem udzielił ci rady czy z przegranej? Jedno i drugie niewarte gniewu.

Benko opanował się. Należało jakoś wyjaśnić nagły odruch.

— Wybaczcie! Wasze słowa przypomniły mi innego, bliskiego człowieka, który pouczał jak wy... To wspomnienie tak mnie wzburzyło.

Stary rycerz pokiwał głową.

— Więc i inni spostrzegli, że masz w naturze niebaczną zaciętość, przeciwną rozumowi? Staraj się zatem zwalczać tę wadę. No, ale dość o tym. Pora iść spać.

— Ostańcie, panie, z Bogiem. Zapamiętam waszą radę.

— Idź, bracie, z Bogiem i spocznij. Jutro nowy dzień pracy.

Brnąc w rozmokłym śniegu, Benko już bardziej spokojnie rozważał słowa Krzyżaka i doszedł ostatecznie do wniosku, że stary koniuszy nie miał żadnych ubocznych intencji. Słowa te tylko dlatego wydały mu się dwuznaczne, bo pasowały do jego własnej sytuacji. A więc to Bóg podsunął staremu te słowa jako wskazówkę dla niego, zwykłego grzesznika! — Benko przeżegnał się. — Zatem jest wolą Boga, by znalazł Zytę i spełnił, co postanowił. Nie dama, lecz laufer... Ależ był głupi! Tu właśnie tkwił ów błąd.

Nie o brankę należało pytać, ale o tego gońca, Ulika! Gdzie i kto go pojmał, kogo prowadził przez granicę? Dowiedzieć się o tym — o wiele to łatwiejsze zadanie! Bo i przepytywać nie tak niebezpiecznie, i ludzi, którzy o tym wiedzą, na pewno jest sporo. Nie tak jak z branką... Zakonny rycerz ma przykazane żyć w czystości, a skoro przeciw zakazowi wziął sobie niewiastę, musi mocno dbać o zachowanie tajemnicy, bo sąd kapitulny jest surowy, a kara zdjęcia zakonnego płaszcza bardzo dotkliwa. Wielki mistrz osobiście batoży winowajcę, a później przez rok albo dwa trzeba pracować wspólnie z niewolnymi i na ich prawach.

Przewidywania, że o pojmanym gońcu łatwiej będzie zasięgnąć języka, okazały się słuszne. Już wkrótce potem Benko dowiedział się, że pół roku temu w Golubiu przychwycono jakiegoś polskiego postrzegacza, któremu obiecano darować życie, jeśli doprowadzi oddział do miejsca, gdzie przekazywał wiadomości.

Knecht, który mu o tym opowiadał, mało co więcej słyszał, ale rzucił na zakończenie kpiącą uwagę, nie zdając sobie sprawy, jak była celna: „A jak chcesz wiedzieć więcej, jedź do Golubia, bo nie nasi, ale tamtejsi knechci brali udział w wyprawie...”

I bez tej rady Benko, raz uchwyciwszy ślad, wiedział, co ma robić, chwilowo jednak nie było okazji do jazdy w tamtym kierunku. Musiał uzbroić się w cierpliwość, czas oczekiwania poświęcając na zapewnienie sobie pomocy briefjungów. Wyjaśnił im, że ma w Golubiu dłużnika, od którego musi ściągnąć pożyczony pieniądz. Za pomoc obiecał pocztowej braci antałek piwa, bo słuszne przecież było, by odzyskawszy dzięki nim swoją należność, część jej przeznaczył na trunek dla pomocników.

Kiedy więc wreszcie po paru tygodniach przysłano z zamku pismo z poleceniem natychmiastowego przesłania go komturskiej kancelarii w Golubiu, dyżurnych gońców akurat nie można było wysłać. Jednego złapały nagłe silne bóle żołądka, drugi zaś, dosiadając konia, zwichnął nogę. I Benko zaproponował więc staremu koniuszemu, że weźmie na siebie trud tej podróży, jeśli kulejący goniec zastąpi go w stajni.

W godzinę później, rozpryskując kopytami konia mokry śnieg gościńca, gnał już na południe. Zmienił wierzchowca w Kwidzynie, potem w Grudziądzu i na drugi dzień dojechał do Golubia.

Już z dala dojrzał ponury kontur południowej wieży zamku. Z dwóch wież zachodniej jego ściany ta była dwakroć potężniejsza, swoim ogromem górując nad okolicą.

Sam zamek wznosił się na wysokiej górze o stromych zboczach. Miasto, otoczone z trzech stron ciasnym skrzyżowaniem Drwęcy, leżało u podnóża tej góry, jakby ścieląc się zamkowi do stóp.

Benko wspinał się po ostrym stoku i minąwszy zwodzony most i obronną bramę, znalazł się na Podgrodziu.

Aczkolwiek szczuplejsze od malborskiego, również mieściło warsztaty i stajnie. Nie nagabywany przez nikogo, minął je pędem, dostrzegając przed sobą bramę wjazdową do właściwego zamku.

Była tu druga fosa, znacznie głębsza. Kopyta konia zadudniły głucho na balach pomostu przerzuconego nad jej przepaścistą głębią. Jeździec minął pierwszą bramę i dojrzał przed sobą ciemną czelusć następnej. W jej czarnym wnętrzu migotało okienko światła znaczące odległy wylot.

Przejazd był długi i prowadził pod ponurym, ostrołukowym sklepieniem. Również ponure i groźne wrażenie robił podwórzec.

Wokół pierwszego piętra biegł kryty krużganek, na który można było dostać się tylko schodami zwisającymi na łańcuchach. Podnoszono je i opuszczano za pomocą kołowrotów.

Dwóch knechtów, uzbrojonych po zęby i okrytych kolczymi zbrojami, zagroziło koniowi drogę. Bramny wyszedł ze swojej izby i zbliżył się do gońca. Benko wyjaśnił im, skąd i po co przybywa.

Po oddaniu przesyłki przywołanemu kapłanowi, gdyż tylko księża, jako znający sztukę czytania i pisanie, odbierali i wysyłali pisma, posłańca

skierowano na positek do czeladnej izby. Po drodze zagadnął odprowadzającego go pachotka:

— A piwa nie można tu dostać? Tylko te pół kwaterki co do obiadu?

Knecht przymrużył oko i uśmiechnął się.

— A masz parę skojców?

— Gdybym nie miał, po co bym pytał?

— Pogadaj z bramnym. U niego można dostać.

— Napijemy się?

— Czemu nie! Trunkiem nikt nie gardzi.

Piwo istotnie znalazło się szybko, bo i sprzedawca został zaproszony na kufelek. Zasedli więc w izbie bramnego w kilku, gdyż knecht przywiódł towarzysza, i stuknęli się kufłami.

Ponieważ przybyły okazał się swój chłop i nie skąpił poczęstunku, wkrótce mocny napój począł kręcić w głowach. Rozmowa stawała się bardziej ożywiona i hałaśliwa. Benko w pewnej chwili uznał, że nastrój jest odpowiedni, by pokierować dalszą wymianą zdań.

— Gadacie o rozprawie z Polakami, a mnie się wydaje, że w ogóle do wojny nie dojdzie! — rzucił w pewnej chwili.

Odpowiedział mu jeden z knechtów:

— Armaty leją, prowiant i broń na zamki ślą, w murach każdą szparę łatają, że i mysz się nie przemknie, a ty mówisz, że wojny nie będzie! Przecież bez powodu przygotowań nie robią!

— Pewnie, że wojna będzie — zawyrokował bramny, głośno czkając. — Mówili chłopcy z Lisewia, że widziano, jak po zaśnieżonych polach nad Drwęcą chodził czarny kosiarz i zagarniał kosą śnieg, jakby trawę ciął. Wiadomo, co to znaczy...

— A w Malborku przygotowań nie widać? — zapytał knecht, przeżegnawszy się uprzednio po słowach gospodarza.

— Widać istotnie — zgodził się Benko. — Ale mimo że w wojnę nie wierzę, muszę przyznać, że sam wielki marszałek mówił o polskich postrzegaczach, ostrzegając przed nimi. Skoro zaś ich nasyłają, musi to coś znaczyć. Trudno rozeznąć się w tym wszystkim...

— Kto by się tam rozeznał! — zgodził się jeden z pacholków. — Do tego trzeba mieć księżowski łeb!

— Myślę więc, że ci postrzegacze to tylko takie straszenie! — rzucił zdecydowanie Benko. — Że ich w ogóle nie ma!

— E, tam... Nie ma! — obruszył się bramny. — Toć i u nas zeszłego lata jednego złapali!

— U was? — zdziwił się przybysz. — Tu, w zamku?

— Nie, w mieście... Wieści od proboszcza z Lipna podobno przez granicę woził.

— Co wy mówicie!! — wykrzyknął ze zdumieniem goniec, starając się zapanować nad głosem, by nie zdradził nic więcej jak zdziwienie i wątpliwość. — Co tu u was było do postrzegania? Aż się wierzyć nie chce!

— Toć Otto wie najlepiej: był postrzegacz czy nie był? — Gospodarz zwrócił się do jednego z knechtów, by potwierdził jego relację. — Niejaki Ulik, smolarz z naszych lasów.

— I co się z nim stało? Stracono go czy uciekł?

Knecht nazwany Ottonem roześmiał się głośno.

— Uciekać to on uciekał, tylko że linka, którą Vento u strzemienia sobie uwiązał, była krótka! Więcej jak na pięć kroków nie mógł uciec!

— Vento? — zastanowił się Benko. — Skądś znam to imię...

— To giermek rycerza Sonnenberga, co nam przewodził w tej wyprawie.

— Gadajże, człowieku, po ludzku! — obruszył się Benko. — A wy, gospodarzu, dolejcie nam piwa! O jakiej ty wyprawie znów pleciesz?! I po co gnaliście tego Ulika na lince?!

— To było tak... — Knecht starał się skupić myśli. — Pojmawszy tego postrzegacza, zawiadomiliśmy Malbork, bo takie było przykazanie, jego wielmożność rycerz Sonnenberg nadjechał tu zaraz, bo on zwykł takie sprawy załatwiać. Nasz komtur przydzielił mu kilku ludzi, w tym i mnie... — Otto sięgnął po napełniony przez gospodarza kufel i przerwał relację, przytknąwszy go do ust. Upił połowę, otarł usta i ciągnął dalej:

— Przebadał się gospodynię tego proboszcza, ale nic nie wiedziała, a klecha uciekł. Rycerz Sonnenberg wściekł się, bo ślad mu się urwał. Postanowił więc, mając w ręku tego posłańca, ruszyć za granicę, by obejrzeć ów gródek, dokąd szły wiadomości... No i pojechaliśmy...

Otto znów chwycił za kufel, a Benko poszedł za jego przykładem. Pozwalało to zakryć nim poblądłą twarz i mieć czas na opanowanie się.

— A więc to był Sonnenberg! Słyszałem, że to mąż zaufania kapituły — rzucił z szacunkiem w głosie. — Skoro to on przewodził, wyprawa udała się na pewno!

— Jeszcze jak! Ten smolarz doprowadził nas na miejsce. Gródek był jeszcze w budowie. Niestety samego gospodarza nie zastaliśmy, ale to, co było, spaliliśmy, paru chłopów trąciliśmy mieczami, nas paru dosiadło służebną dziewczkę — knecht roześmiał się na cały głos — a przez ten czas i nasz pan rycerz nie próżnował, obłąpiwszy gospodynię w komorze. Piękna była niewiasta i musiała mu dobrze dogodzić, bo zabrał ją ze sobą...

Knecht roześmiał się znów, a Benko poczuł, jak mu z przegryzionej wargi ścieka strużka krwi. Otarł ją szybko trzęsącą się dłonią i znów skrył twarz za kuflem. Kiedy zaś odstawił go na stół, znów był tylko zaintrygowanym słuchaczem.

— Patrzcie no! Toście sobie dogodzili! A co z tą branką? Przecież zabrać jej nie mógł, bo niewiasty zakonnym rycerzom zakazane!

— Toteż powiedział nam, że bierze ją do dalszego przesłuchania. Wiedzieliśmy wprawdzie, że nie o przesłuchanie mu chodziło, ale przykazał trzymać gęby zawarte, tośmy o tym nie gadali. Tyle co teraz mi się zdarzyło wam powiedzieć.

— I co? Przywieźliście ją tu?

— Rozstaliśmy się zaraz za granicą. Oni we dwóch z branką mieli jechać do Barcian, a nam przykazali wracać do zamku.

— A co z tym Ulikiem czy jak mu tam? Puściliście go za taką przysługę?

— Miał ponoć to obiecać, ale jak już doprowadził nas na miejsce, rycerz przykazał Ventowi go ubić.

— Żałuję, że nie przydarzyło się być z wami! Lubię takie wyprawy! — westchnął z zazdrością Benko, po czym zawołał na gospodarza: — Hola, czy zabrakło wam trunku? Przecie dzban już pusty, a ja jeszcze parę groszy w kieszeni mam!

LATARKA PRZEWODNIKA MIGOTAŁA słabo widocznym światełkiem zaledwie parę kroków przed Czarnym, a mimo to było tak ciemno, że gdyby nie ten świecący punkcik, zgubiłby się już dawno.

Mżył drobny deszcz, z trudnością więc wyciągali nogi z grząskiego błota zaułków gdańskiego portu. Ocierali się miejscami o ceglane mury budynków,

potem przełazili przez jakieś przejścia w parkanach, skręcali raz w lewo, raz w prawo, tak że Czarny wkrótce stracił orientację i pozostawiony sam sobie musiałby czekać dnia, by wydobyć się z tego labiryntu składów, szop, spichrzów i magazynów.

Wreszcie poprzez szelest deszczowych kropel usłyszał nikły, jednostajny plusk wody. Dochodzili zatem do kresu wędrówki; tu musiała zagradzać im drogę rzeka lub jedna z jej licznych odnóg.

Istotnie nikłe refleksy światła ukazały po chwili równą linię nabrzeża. Szli wzdłuż niej jeszcze kawał drogi, zanim przewodnik zatrzymał się, obracając ku Czarnemu i unosząc do góry latarkę.

— Jesteś na miejscu. Poświęcę ci, zanim nie wejdiesz na kładkę.

Czarny dostrzegł wąską deskę spoczywającą jednym końcem na nabrzeżu. Drugi ginął w ciemności.

— A ty? Nie idziesz dalej?

— Nie. Jesteś u celu. To hulka, gdzie Piotr wyznaczył ci spotkanie. Bądź zdrów i pozdrów mistrza Beniamina, jeśli go jeszcze zobaczysz, bo z Kosookim nigdy nie wiadomo...

Pożegnanie nie było zachęcające, ale Czarny puścił je mimo uszu.

— Ty zaś powiedz memu towarzyszowi, by czekał na mnie nie dłużej jak przez jutrzejszy dzień i noc. Jeśli nie będę w tym czasie, niech wraca, skąd przybył.

— Powtórzę mu. A tobie życzę szczęścia, bo będziesz go potrzebował. Mało kto sam szuka tego człowieka...

Podniósł do ust zgięty palec i lekko gwizdnął. Potem, kiedy już Czarny wstąpił na chybotałą kładkę zawieszoną ponad czarną przepaścią, uniósł wyżej latarkę.

Po przebyciu deski Czarny zsunął się po drabinie ku człowiekowi, który czekał nań w dole, i rozejrzał się dookoła.

Wiele nie mógł dostrzec, bo latarnia czekającego zbyt mocno nie świeciła, zauważył jedynie, że znajduje się na dnie starej szkuty o na wpół przegniłych wręgach. Spomiędzy szczelin desek pokrywających jej dno wydobywały się pod ciężarem stąpnąć wąskie strużki wody.

Przeszli parę kroków, zatrzymując się przed zmurszałym przepierzeniem, w którym znajdowały się drzwi. Przewodnik otworzył je i, nie oglądając się za siebie, wszedł do środka.

Wnętrze oświetlały dwie sztormowe latarnie wiszące u sufitu. Za stołem siedziało kilku mężczyzn ubranych w najprzeróżniejsze stroje: od sukiennych dostatnich kaftanów po dziurawe, wystrzępione jak i, byle jak przepasane rzemykami lub po prostu sznurami. Na stole stały kufle i parę dzbanów, a pomiędzy nimi kilka kości, którymi zapewne przed chwilą grali.

Wszyscy obrócili się ku drzwiom, obserwując przybysza.

Czarny obrzucił ich wzrokiem. Zarośnięte twarze o rysach grubo ciosanych, a spojrzeniach ponurych i przebiegłych należały do ludzi, których nocą lepiej było nie spotykać.

Pozdrowił ich skinieniem głowy i odrzuciwszy na ramiona kaptur, przetarł dłońią mokrą twarz.

— Chcę mówić z patronem — przerwał panujące milczenie.

Najbliżej siedzący uśmiechnął się krzywo i spojrzał na towarzyszy.

— Zaraz będziesz mówić — mruknął, spoglądając w głąb pomieszczenia.

Czarny ujrzał w przeciwległej ścianie dwoje wąskich drzwi. Jedne z nich odskoczyły nagle i wysoki próg przekroczył chudy, żyłasty chłop, ubrany w obciste, płócienne spodnie i krótki kubrak przepasany szerokim pasem, za którym tkwił nóż w ozdobnej pochwie. Twarz miał suchą, ściągłą, z licznymi bruzdami wokół długiego nosa. Nad niskim czołem sterczała grzywa zmierzwionych włosów, a oczy, osadzone głęboko, migotały ostrym spojrzeniem. Jedno z nich co chwila uciekało w bok, ukazując nieomal całe białko. A więc to był sam Kosooki.

Czarny zamiast oczekiwanych słów powitania usłyszał warknięcie:

— Szukałeś mnie?

— Inaczej bym tu nie był.

— Jak się zowiesz?

— Czarny.

Herszt zrobił parę kroków do przodu i zatrzymał się przed Bertem.

— Tylko tyle?

— Wystarczy. Więcej wiedzieć nie potrzebujesz.

— Ejże...? — Nachylił się nieco do przodu. — Potrzebuję i masz gadać, kiedy pytam.

Czarny postanowił nie drażnić człowieka, od którego oczekiwał pomocy.

— Ciebie też nie pytam o rodowód — odpowiedział pojednawczo.

— Myślę, że ważniejsze jest, po co tu przybyłem.

— O tym mamy czas pomówić. Najpierw muszę wiedzieć, kto jesteś i skąd przybywasz?

— Myślałem, że to ci już powiedziano. Z Krakowa.

— W królewskiej służbie?

— Nie, szukam tu swojej dziewczki, którą porwali Krzyżacy.

— To słyszałem! — Zbój roześmiał się nagle. — I chcesz, abym to za ciebie zrobił?!

— Nie za mnie, ale dla mnie. Jestem gotów ci zapłacić, jeśli cena będzie dla mnie dostępna.

Kosooki klasnął w dłonie i spojrzał na kompanów.

— Gotów zapłacić! Słyszycie, jaki to pan u nas gości!

Odpowiedział mu rehot śmiechu.

— A wiele jesteś gotów zapłacić?

— Postaw cenę, będziemy mówić. Bogaty nie jestem, ale dam wszystko, co mam.

— A wiele tego będzie, skoroś niebogaty? — Zbój przymrużył zezujące oko, drugim spoglądając na Czarnego z kpiącym uśmiechem na twarzy.

— Nie chcesz powiedzieć swojej ceny? A więc dobrze: jestem gotów ci dać dwadzieścia grzywien.

Herszt znów obrócił się do kompanów.

— Widzicie go! Dwadzieścia grzywien! Ale mi bogacz! I takiemu hołyszowi Zakon porwał dziewczkę! Musi być głupcem, skoro myślał, że damy temu wiarę!

Czarny przesunął spojrzeniem po roześmianych gębach.

— To jest wszystko, czym rozporządzam. Jeśli ci tego mało, to trudno, poradzę sobie bez twojej pomocy.

— Nie poradzisz, ty krzyżacki pachołku, bo żywym cię stąd nie wypuścimy!

— Głupcem jesteś, nazywając mnie krzyżackim pachołkiem. Po co bym tu laź? Aby zobaczyć twoją gębę? A jeśli wolisz mnie ubić, niż zarobić taką sumę, toś głupek podwójny. Ubić mnie możesz, bo masz przewagę, ale co ci to da?

Ostatnie słowa zdały się nieco uśmierzać wrogość opryszka, bo odpowiedział bez dotychczasowej zjadliwości:

— A więc dajesz dwadzieścia grzywien za wskazanie miejsca ukrycia dziewczyny czy za uwolnienie jej?

— Za wskazanie. Jak będę wiedział, gdzie jest, sam sobie poradzę. Szukam zaś pomocy w poszukiwaniach, bo sprawa jest pilna. Grozi jej rychła śmierć, dlatego muszę się śpieszyć.

— A wiesz ty, jakie to zadanie? Wiele ludzi muszę zatrudnić, wielu użyć sposobów, aby je wykonać?

— Wiem. Ale dwadzieścia grzywien to duża suma.

— No to posłuchaj, co ci powiem. Po co mi ponosić trud dla zdobycia pieniędzy, które mogę otrzymać bez żadnej fadygi?

— Co masz na myśli? — Czarny ściągnął brwi.

— To, że dasz mi te pieniądze za swoją skórę. Pozostaniesz tu, dopóki ich nie dostanę! Myślę, że siebie cenisz na równi z tą dziewczką!

Mimo ostrzeżeń mistrza Beniamina takiego obrotu sprawy Czarny nie przewidział. Ostrzeżenia te nie były więc rzucone na wiatr.

— Zjesz diable łajno, zanim zobaczysz choć grosz! — zawołał, zły zarówno na chytrego opryszka, jak i na siebie. — Chcesz mi pomóc — zapłacę. Nie — to mnie szlachtuj, jeśli ci twój zakuty łeb tak radzi, bo za siebie nie dam nic!

— Daję ci czas do namysłu do jutra. Jeśli odmówisz, pójdziesz do worka i za burtę! — Kosooki zwrócił się do swoich kamratów:

— Obszukać go! Broń zabrać i do komory!

Czarny w tej sytuacji wolał nie stawiać oporu. Być może sprawę przemyśli i herszt. Został też w jednej chwili pozbawiony swego noża i chudej sakiewki, którą rzucono przed herszta na stół, a jego samego wepchnięto do małej komórki położonej obok kubryku.

Znalazł się w zupełnej ciemności. Za sobą posłyszał stuk zasuwanego rygla, pod nogami zaszeleściła mu słoma.

Komórka była zupełnie mała. Opadł na słomę, mimo że była mokra, otulił się opończę, bo ziąb był przenikliwy, i podłożywszy ramię pod głowę, spał już po kilku minutach.

Obudził się skostniały z zimna. Przez małe okienko, zaciągnięte rybim pęcherzem, którego rozmiar nie pozwalał nawet na przesunięcie głowy, sączyło się szare światło.

Wstał, przeciągnął się i rozejrzał dookoła. W rogu stała jakaś baryłka, jedyne wyposażenie komórki. Wąskie drzwi miały mocne okucia.

Otrzeptał opończę ze słomy i, okręciwszy się szczerze, siadł na baryłce, rozpoczynając cierpliwe oczekiwanie na ostateczną rozmowę z Kosookim.

Czas płynął wolno, bo nic nie skracało nudy tego oczekiwania. Zza ściany nie dochodziły żadne odgłosy. W pewnej chwili gdzieś nad głową posłyszał ciężkie stąpanie po deskach pokładu i strzępy jakichś słów. Po dłuższym czasie za okienkiem przesunął się cień i rozległy się głosy komendy. Musiał ich mijać jakiś statek, kończąc lub rozpoczynając morską podróż.

Wreszcie usłyszał stuk otwieranych za ścianą drzwi i urywane słowa rozmowy. Przybysze musieli siadać za stołem, bo doszło go szuranie przesuwanych stołków.

Stanął na nogi i przesunął się do przepierzenia. Rozmowa trwała w dalszym ciągu, ale słów nie mógł rozróżnić.

Po chwili stuknęły odsuwane rygle i w drzwiach stanął Kosooki.

— *Chodź, jest ktoś, kto chce z tobą mówić.*

Odstąpił na bok, dając przejście. Czarny przeszedł próg, zaintrygowany dziwnym obrotem sprawy.

Za stołem, plecami oparty o ścianę, siedział człowiek ubrany w burą opończę. Odrzucony na plecy kaptur ukazywał łysą głowę otoczoną wieńcem siwych włosów. Czarny dojrzał utkwione w siebie bladoniebieskie oczy o skupionym, uważnym spojrzeniu. Po wąskich wargach nieznajomego błękał się lekki uśmiech.

Podszedł do stołu, na którym dojrzał swoją sakiewkę, i, co ważniejsze, odebrany mu nóż z głową orła. Potem zatrzymał wzrok na ciężkim cynowym dzbanie stojącym obok.

— *Nie działaj zbyt pochopnie! — rozległ się spokojny głos.*

Czarny drgnął zdziwiony spostrzegawczością nieznajomego, który zdawał się czytać jego myśli.

— *Siadaj! — Sucha, pomarszczona ręka wskazała jeden ze stołków. — Chcę z tobą pomówić.*

Ustąpił wezwania. Został ostrzeżony, że zaskoczyć się nie dadzą. Należało to respektować. Nieznajomy przyglądał mu się w milczeniu, a Czarny, nie opuszczając wzroku pod tym badawczym spojrzeniem, czekał, aż tamten zdecyduje się mówić. Wreszcie padło pierwsze pytanie:

— *Nazywają cię Czarnym?*

— *Zgadza się.*

— *Powiedziałeś, że przybywasz z Krakowa?*

— *I to się zgadza.*

— *Skąd go masz? — Nieznajomy uniósł sztylet rękojeścią ku górze.*

— *Ten nóż? — Czarny odpowiedział pytaniem, by zastanowić się nad odpowiedzią. — Kupiłem go na rynku w Krakowie.*

Nieznajomy odłożył nóż.

— *Hm... Mówił mi mistrz Piotr, żeś szukał u niego pomocy. Co to za dziewczyna, którą pragniesz uwolnić?*

— *Moja narzeczona. Porwali ją brodacze.*

— *Dlaczego została porwana? Czyżbyś był tak bogaty?*

Czarny zawahał się.

— *Sam rozmyślałem nad tym, dlaczego to zrobili, bo bogaty nie jestem.*

— *Była ukryta w Toruniu?*

— *Skąd wiecie?*

Nieznajomy uśmiechnął się.

— *Bo stamtąd otrzymałeś hasło do Chromacza. Dawno ją zabrali z Torunia?*

— *Po co pytacie? Czy chcecie mi pomóc?*

— *Być może. Ale musisz mówić prawdę, a nie kluczyć jak zajac.*

— *Wiem o was mniej niż wy o mnie. Nawet nie wiem, jak się nazywacie.*

— *Przyjdzie czas i na to. Więc dawno ją zabrano?*

Czarny zrobił pamięciowe obliczenie.

— *Dziesięć dni temu.*

— *Mistrz Albert nie mógł ci pomóc?*

— *Znacie więc i jego?*

— *Jak słyszysz.*

— *Może więc wreszcie się dowiem, z kim mówię?*

— *Jestem kupcem z Polski, zwą mnie Erazmem. — Przy tych słowach nieznajomy uchylił nieco opończę. Ruch był nieznaczny, ale wystarczył, by ukazać rękojęść sztyletu tkwiącego mu za pasem. Rękojęść ta również była wycięta w kształt orlej głowy, tyle tylko, że sporządzono ją ze srebra, a w miejscu oka tkwił duży rubin.*

— *To wy! Wy... — Czarny nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Był zdumiony i uradowany. — Słyszałem o was!*

— *I ja o tobie, Hubercie z Borów, zwany Czarnym. Masz, weź swoją własność. — Przesunął po stole nóż i sakiewkę w stronę Berta. — Dostałeś polecenie uwolnienia tej dziewczyny?*

— *Tak.*

— *Miałeś szczęście, że właśnie jestem w Gdańsku. — Mistrz Piotr chciał ci nieco ulżyć na sakiewce, ale nie miej o to do niego żalu. Nie dbając o wieczne zbawienie, para się swoim rzemiosłem mimo moich upomnień. Zmienić go chyba już nie zmienimy, ale nam sprzyja — Erazm uśmiechnął się — oczywiście nie z dobrego serca. W tym wypadku udzieli ci również swojej pomocy. Musiało coś zająć, co kazało brodaczo wzmóc ostrożność. Dowiemy się i tego, ale obecnie przede wszystkim należy odszukać dziewczynę. Mistrz Piotr zajmie się tym, nie ściągając żadnych dodatkowych opłat.*

Erazm pogroził Kosookiemu palcem.

Czarny spojrzął spod oka na herszta, ciekaw, jak ten się zachowa. Ujrzał ze zdziwieniem, jak Kosooki skinął potakująco głową i bez słowa sprzeciwu zapewnił:

— Stanie się według waszej woli. Natychmiast przykażę ludziom, aby zabrali się do roboty.

Czarny podał znane sobie szczegóły, wskazując na kierunek poszukiwań, po czym spytał:

— Wiele czasu potrzeba, aby ją odnaleźć?

Zbój wzruszył ramionami.

— Tego nie sposób powiedzieć, bo tu decyduje traf. Myślę, że miesiąc, może dwa...

Z kolei Bert zwrócił się do Erazma.

— Chciałbym, ojcze, zamienić z wami parę słów na osobności.

— Pogadajcie tu — odezwał się Kosooki. — Ja i tak muszę iść do miasta. — Wstał ze stołka i wyciągnął wielką łapę do Berta.

— No, panie... Bez obrazy?

Bert uśmiechnął się, podając mu rękę.

— Dobrze, że znalazł się ktoś, kto przytrzymał cię za poję. Inaczej ręki byś do mnie nie wyciągnął...

— Też bym wyciągnął, tyle że po pieniądze! — roześmiał się zbój. — No, ale ci się udało! — Skłonił się przed bratem Erazmem i ruszył do wyjścia.

Kiedy zostali sami. Czarny odezwał się:

— Dziwno mi, ojcze, że pod waszą ręką ten zbój tak mięknie. Umiecie sobie radzić z ludźmi...

— Jak wszyscy, tak i on ma swoje słabe miejsca. Sztuka polega na tym, by je znaleźć. Ale do rzeczy, co chciałeś mi powiedzieć?

— Ustalić z wami, gdzie odbierać wiadomości. Mam tu bowiem jeszcze inną sprawę, swoją własną, którą teraz, mając nieco czasu, chciałbym się zająć. Może i tu moglibyście mi pomóc?

— Dlaczego sądzisz, że mógłbym?

— Boście byli w Rubieży i zapewne wiecie coś niecoś o Benku?

— To mój szwagier. Ma za żonę moją siostrę.

Erazm na moment uniósł brwi do góry.

— Tegom nie wiedział! Żal mi go, bo bardzo miłował swoją kobietę... Żal mi i ciebie, bo spotkał ją okrutny los...

Czarny zacisnął usta.

— Nie o tym chciałem mówić. Wiem, że Benko przebywa w zakonnym państwie. Muszę go odnaleźć, by dowiedzieć się, co zdołał już w tej sprawie zdziałać. Może potrzebuje pomocy?

Brat Erazm zamyślił się.

— Nie wiem, jak daleko postąpił w swoich poszukiwaniach. Zresztą... może lepiej, aby jej w ogóle nie odnalazł...

— Dlaczego?! — obruszył się Bert.

— Głęboko przeżywa jej i swoją hańbę. Dlatego też zbyt srogie nosi w sercu postanowienie. Upominałem go, by się opanował, a i inni to czynili, ale myślę, że również bez skutku...

— Co za postanowienie?

— On ją szuka, ale nie po to, by nieszczęśliwą uwolnić...

— Chce ją zabić?

Brat Erazm skinął głową.

— Tak myślę.

— Tym bardziej muszę go znaleźć! To zawzięty człowiek i postanowienia tak łatwo nie poniecha. Muszę więc ratować siostrę i przed

nim! Niełatwe to zadanie, zwłaszcza że mam tu tę sprawę, którą mi poruczono!

— Właśnie. I dlatego waham się, czy powiedzieć ci, gdzie znajdziesz Benka.

— Szukać go i tak będę, ale bez pomocy stracę za dużo czasu!

Erazm nie odpowiadał, wpatrując się w blat stołu. Wreszcie uniósł głowę i spojrzął na Berta.

— Dobrze, powiem ci. Benka znajdziesz w Malborku na Podzamczu. Zwie się teraz Jawnuta z Niemierzy i przebywa tam jako uciekinier spod Wilna. Jedź więc i czekaj na wiadomości ode mnie lub Kosookiego. Ale skoro je otrzymasz, masz natychmiast, bez żadnej zwłoki, porzucić sprawę siostry!

Czarny zerwał się na nogi.

— Dziękuję wam, wielbny ojcze! Bądźcie spokojni! Skoro przyjdzie wiadomość, wyruszę natychmiast. Jest nas tu dwóch i jeśli będzie trzeba, rozdzielę się z towarzyszem.

— Możliwe, że podeślę ci do Malborka i tego chłopca. On w Toruniu będzie się teraz objął, a tobie może się przydać, bo na takiego szkraba nikt nie zwraca uwagi, a to sprytne pachole! Teraz zaś słuchaj, z kim masz się zetknąć w Malborku i gdzie na Podzamczu szukać Benka.

BENKO ZAUWAŻYŁ CHŁOPCA przy porannym czyszczeniu koni. Kręcił się w pobliżu stajni w siermiędze przepasanej sznurkiem i przydużych buciorach, którymi człapał po rozmiękłym już gruncie.

Początkowo nie zwracał na niego uwagi, sądząc, że przyciągnęły go tu czerwonomodne mundury

briefjungów sposobiących się właśnie do drogi. Ale kiedy wreszcie osiodłano im konie i, rozpryskując błoto, ruszyli cwałem ku bramie, uważniej spojrzął na małego. Wówczas poczuł raptem, jak serce przestaje mu bić, a w gardle z nagłą robi się sucho.

Znieruchomiał, w milczeniu wpatrując się w chłopaka. Ten zaś, widząc, że został dostrzeżony, zatrzymał się i tak stali naprzeciw siebie rozdzieleni błotnistą drogą, milczący i przejęci.

Wreszcie Benko opanował zdumienie i wolno ruszył z miejsca, rozejrzawszy się uprzednio na strony. Na Podzamczu panował jednak codzienny ruch i nikt nie zwracał na nich uwagi. Zbliżył się do chłopca.

— Tomek? Ty tutaj?!

— Ja, panie Jawnuta...

— Znasz to imię?!

— Tak przykazano was nazywać.

— Kto?

— Pan Bert.

— To on też tu?!

— Tak. I chce z wami mówić. Prosi, abyście wyznaczyli sposobną wam porę. Przyjdę po was i zaprowadzę.

Benko mimo woli znów rozejrzął się na boki, po czym skinął głową.

— Dobrze. Czekaj na mnie jeszcze dziś po południu za furtą, tam, w rogu — wskazał chłopcu wzrokiem narożnik murów pomiędzy stajnią wielkiego komtura a stolarnią.

Była to furta za skrytym porozumieniem knechtów niezamykana na noc. Wykorzystywano ją dla wycieczek na pobliskie przedmieścia do licznych tam oberży. Tak jak inne przedmieścia otaczające zamek i miasto i to było zamieszkałe przez rzemieślników, rybaków, ogrodników i wszelkiego rodzaju wyrobników pochodzenia polskiego i pruskiego.

Z lewa, zaraz za furtą, ciągnął się wzdłuż murów staw rybny. Łączył się on z Nogatem, a w prawo, ku południowi, z kanałem stanowiącym od wschodu obronną fosę tej części murów.

Ścieżka biegnąca u ich podnóża doprowadziła idących ku kładce przerzuconej przez kanał. Minęli ją i wkrótce weszli pomiędzy pierwsze zabudowania przedmieścia. W pewnej chwili znaleźli się na jakiejś drodze, zapewne mało uczęszczanej, bo zarastały ją młode pędy bezlistnych jeszcze teraz zarośli.

Miejsce było odludne. Minęli jakąś kletę bodaj niezamieszkaną, potem jakiś skład ogołoconych z kory drzewnych kłód, wreszcie chłopak skręcił w bok, ku łozinom obrastającym brzeg skrytego wśród nich niedużego stawu. Benko dostrzegł przed sobą szopę otwartą od przodu, służącą za schronienie rybackim łodziom, które odbywały tu swój zimowy wypoczynek.

— Pan Bert na was czeka w tej szopie, panie. Ja już wam niepotrzebny.

— Bądź zdrów, Tomek, i niech cię Bóg prowadzi. — Benko położył dłoń na głowie chłopca. — Pewnie się już nie zobaczymy...

— Nie mówcie tak, panie... Oby się wam poszczęściło.

Na odgłos rozmowy z szopy wyszedł Bert.

W milczeniu uściśniły sobie dłonie. Czarny obrzucił uważnym spojrzeniem twarz Benka, starając się nie okazywać po sobie wrażenia, jakie na nim sprawiły zaszłe w niej zmiany. Policzki zapadły, a ściągnięte bruzdami usta były wąskie, zacięte i stwardniałe. Pamiętał tę twarz otwartą, uśmiechniętą, o wesołym spojrzeniu szarych oczu. Teraz spojrzenie to było ostre, niemal dzikie; chwilami tylko ukazywały się w nim błyski, które jak połysk wody w głębi studni migotały gdzieś u dna to płochliwym napięciem, to raptownym zagubieniem i obcością.

— Chodź, pogadamy... — Czarny zawrócił do szopy. — Przebyłem długą drogę, by dotrzeć co ciebie.

Weszli pod dach i przysiedli na wywróconym czótnie. Benko odezwał się pierwszy:

— Jakżeś mnie znalazł? Skąd wiedziałeś, gdzie jestem i jak mnie zwać?

— Długo by o tym mówić. Nie bój się jednak, bo człowiek, który mi pomógł dotrzeć do ciebie, jest nam obu znany i pewny. To Erazm.

— Ach, on... — W głosie Benka zadrgała nuta odprężenia. — Kiedyś przyjechał?

— Już ze dwie niedziele, ale dopiero teraz znalazł sposób, jak do ciebie dotrzeć.

— Masz dobrą kwaterę? Tu pełno zakonnych szpiegów. Węszą po wszystkich oberżach i zajazdach.

— Pracuję u powroźnika na tym przedmieściu. Kwaterę mam u niego.

Benko z aprobatą skinął głową. Czarny odpowiadał mu cierpliwie, nie chcąc od razu poruszać tragicznego tematu, mimo że pytania cisnęły mu się na usta. Milczenie, które zaległo na chwilę, pozwoliło mu wreszcie na uchwycenie właściwego wątku. Zaczął ostrożnie.

— Jak tu żyjesz?

— Jak żyję? — Benko odwrócił głowę, spoglądając ku ciemniejącym już w przedwieczornej mgle brunatnym konturom zamku, zamazanym teraz, a jednak wciąż budzącym grozę swą potęgą i ogromem. — Jak niewolnik... Pacholek gotowy do służenia panom na każdy ich rozkaz, zginający grzbiet i z dołu patrzący w wielmożne ślepią, czy aby nie pojawi się w nich gniew. Sługa, któremu wolno dychać tym samym powietrzem, ale nie wolno się przybliżyć, chyba dla wykonania posługi. Ale muszę to strzymać i strzymam.

— Szukasz wciąż?

— Nie. Już teraz czekam. Czekam na tego szatana, by mu smrodliwą duszę wyrwać pazurami... Och, Boże ty mój! Nie stój wtedy przy mnie, kiedy będę sędzią i oprawcą! Aby ani krzta litości do serca mi się nie wdarta, aby zapłacił mi własną męką i bólem za mój ból i mękę.

— Sonnenberg z Rakuz?

Benko odwrócił się gwałtownie.

— Już wiesz?! Tak, on i jego giermek Vento! Napadli z sześcioma knechtami gródek, właśnie kiedy mnie tam nie było...

— A ona żyje?

— Myślę, że tak. I to jest najgorsze... — Zaciśnął dłonie w pięści i przyłożył je do pochylonego czoła. — Nie ubił jej potem, lecz uwiózł i teraz... teraz... skrywa ją dla siebie...

— Benko, opamiętaj się! — Czarny położył mu dłoń na ramieniu, — Trzeba działać, dłużej nie można czekać. Wiesz, gdzie ją ukrył?

— Mówili mi, że ponoć wywiózł do Barcian... Ale nieboga musi zaczekać!

— Zaczekać? Co tobie?! Wiesz, gdzie jest i nie śpieszysz, by ją, by ją uwolnić?

— Nie wolno mi, bom przysiągł. Ale prawdę ci powiem, że nie przysięga mnie wstrzymuje... Niechbym nawet i duszę zgubił... — Zniżył głos do szeptu i rozejrzał się półprzytomnym spojrzeniem, które wstrząsnęło Czarnym nie mniej niż słowa. — Nie teraz... Jeszcze nie teraz... bo on tu ma być, lada dzień ma być... A dopiero potem nadejdzie jej czas...

— Co chcesz zrobić?! Czyś ty, człowieku, oszalał?! — Czarny zerwał się na nogi i stanął nad pochylonymi plecami Benka.

Ten jakby oprzytomniał. Wyprostował się, ale w jego oczach Bert dojrzał znów ten zagubiony, płochliwy wyraz. Przypomniał sobie ostrzeżenie Erazma i poczuł, jak strach ścisną mu serce.

— Czy mam ci się spowiadać, co chcę zrobić? — Na wargach Benka ukazał się nikły uśmiech. — Utulę ją, moją najmilejszą w ramionach, pocieszę, niech zapomni o naszym złym losie i niech go już nigdy nie wspomni...

Zaczął coś mamrotać do siebie, ledwie poruszając wargami, tak że dalszych słów nie można było zrozumieć.

— Benko, opamiętaj się! — Bert chwycił go za ramię. — Czyś ty stracił rozum? Przybyłem tu, aby ci pomóc, a ty mi takie rzeczy...

I ja pragnę, aby Zyta zapomniała o swoim nieszczęściu, ale przez spokój i bezpieczeństwo, a nie śmierć. Nie zezwolę, abys uczynił jej krzywdę, ty, jej mąż, bo dość już jej zaznała od wroga!

Z kolei Benko zerwał się na nogi.

— Czego chcesz ode mnie?! Wprawdzieś jej brat, ale i bratu nie dam mieszać się w sprawy jej i moje! Ślubna ona moja, weszła w moje łóżko i jam jej stróżem i panem! Ja postanawiam o jej losie! To sobie spamiętaj!

— Ty jej stróżem? — rzucił z sarkazmem Czarny. — Toś dobrze jej stróżował...

Benko po tych słowach cofnął się jak ugodzony w pierś i jakiś czas spoglądał na Berta błędnymi oczami. Raptem opadł na kolana i przyłożywszy głowę do wysmolonego dna czółna, począł uderzać w nie czołem.

— Przestań! Przestań! Człowieku, com ci zawinił?!

Czarny chwilę stał nad nim, wreszcie, wzruszywszy ramionami, wyszedł z szopy. Dalsza rozmowa była daremna, gdyż rozpacz tego człowieka zrodziła w nim szaleństwo, na które nie widział rady. Być może zgaśnie ono i rozum powróci, na razie jednak trzeba działać samemu, ratować Zytę i przed oprawcą, i przed wybawicielem. Ale że nie wyczerpał jeszcze tematu, jaki miał do omówienia z Benkiem, wkrótce zawrócił z powrotem.

Benko podniósł się już na nogi. Stał teraz z pochyloną głową, zapatrzony w ziemię u swych stóp. Uniósł ją na odgłos kroków i spojrzął na Berta.

— Nie miej mi za złe gniewnych słów — zaczął przepraszająco. — Zmogło mnie... Nie mam tu nikogo, z kim mógłbym mówić otwarcie. Odwykłem od tego i własne słowa mnie wzburzyły.

Czarny z uwagą obserwował szwagra. Widać było, że wróciło mu opanowanie i równowaga psychiczna. Tamto, ich osobiste, zostało już omówione, wiedział, jak rzeczy stoją i czego należy oczekiwać. Natomiast istniała druga sprawa, której jeszcze nie poruszył.

Rozmyślając bowiem nad trapiącym go problemem, dostrzegł nową możliwość rozwiązania go, i to możliwość łatwiejszą. Dziwił się nawet, że nie wpadł na tę myśl od razu, wówczas gdy poszukiwali śladów dziewczyny, idąc za kierunkiem jej drogi.

W akcji brali udział ludzie, trzeba więc ich odnaleźć, a wówczas znajdzie się sposób na pociągnięcie któregoś za język. Takiego zdarzenia jak wyjazd oddziału i sań do Torunia nie da się otoczyć zastoną zupełnej tajemnicy. Musiało być wiadomym, którzy z knechtów zostali wyznaczeni do tego zadania.

— Nie gniewnym — odpowiedział, ujmując Benka za ramię — bo rozumiem, jak cierpisz. Cośmy mieli sobie rzec, tośmy rzekli, więc pozwól, że teraz będę mówił o czymś innym.

— Mów, bracie, już jestem spokojny.

— Mam tu do spełnienia zadanie. Natrafiłem na trudności, których sam nie zdołam pokonać, więc muszę prosić ciebie o pomoc. Pracując na tutejszym Podzamczu, masz możliwość jej udzielić.

— O jaką pomoc ci chodzi?

— Chcę, abyś się dowiedział, którzy z knechtów wyjeżdżali dwie niedziele temu do Torunia jako poczet. Poszły sanie i ośmiu ludzi pod wodzą jednego rycerza. Wystarczy mi wiedzieć, którzy z knechtów należeli do tego oddziału.

— Po co wyjechali?

— Po dziewczynę ukrytą u cysterek w Toruniu. Zabrali ją stamtąd i gdzieś wywieźli. Muszę dociec, gdzie została ukryta. Jeśli zdołałbyś i to wywąchać, powiem, że mam szczęście.

— Ośmiu ludzi to spory oddział. Tego tak łatwo ukryć się nie da. Gdzie przekazać wiadomość?

— W pobliżu twojej stajni będzie kręcił się Tomek. Dasz mu znać, a spotkamy się znów tutaj.

— Dobrze. Teraz muszę już iść... Ostań tu parę pacierzy, aby nas razem nie widziano.

Jednak wiadomość, jaką Benko przekazał wkrótce przez chłopca, nie była pomyślna. Nawet nie wyznaczał spotkania, oznajmiając jedynie, że żaden oddział z saniami czy bez do Torunia nie wyjeżdżał. Radził jednocześnie, by w dalszych poczynaniach Bert nie miał co do tego wątpliwości.

PO WIECZERZY, KIEDY ZNALEŻLI się już w swojej komórce na poddaszu, Czarny opowiedział Rudemu przebieg rozmowy z Benkiem. Ten słuchał go owinięty opończą i zagrzebany w słomie. Ale przy końcu relacji uniósł się raptownie na postaniu.

— Chce ją zabić?! — rzucił zdumiony. — Pomieszało mu się z tego nieszczęścia we łbie?!

— Nie można się dziwić, bo chłop cierpi ponadludzką wytrzymałość, to widać. Zresztą wiem, jak miłował Zytę. To, że ulega innemu, rozdziera mu serce i rodzi nienawiść, która objęła nie tylko sprawcę jego hańby, ale i Zytę, bo uczestniczy ona w tej hańbie. — Czarny zaśmiał się i ciągnął z drwiną w głosie. — Bo my strzeżemy swoich kobiet jak świętych relikwii. Nawet gdy zadany zostanie gwałt, w skrytości serca uważamy je za współwinnę straty na honorze. Do zrozumienia to trudne, bo jeśli mój honor ma zależeć od tego, co zrobi moja kobieta z własnej czy nie z własnej woli, to na cienkiej nitce go wieszam...

— A jednak coś w tym jest, co wydaje się słuszne...

— A wiesz, co to jest? Poczucie własności! Naszą własność uważamy za świętą rzecz! Dlatego wieszamy koniokradów i łamiemy kołem cudzołózców, ale za ubicie człeka wystarczy zapłacić grzywnę! Ale niech tam! Sam ubiłbym takiego, który próbowałby sięgnąć po moją dziewczynę, tyle tylko, że nie rozumiem, co ma z tym wspólnego mój honor? Że Benko krwią tego zbója chce zaspokoić pragnienie zemsty, to słuszne i to rozumiem, ale że krwią swojej żony chce zmywać jakąś tam hańbę, tego pojąć nie mogę i temu się przeciwstawię!

— A ja go nieco rozumiem. Żywa, nawet gdyby już jej nie tknął, będzie mu wciąż przypominała przeszłe, będzie wciąż drażnić ranę. Patrząc na nią, będzie ją wciąż widział z tamtym, a to nigdy nie zagoi rany. On swoją ranę chce wypalić do kości i może ma rację... Bo jakie będzie to ich przyszłe życie? I on, i ona musieliby przeszłość zatrzeć w pamięci, a tego nie zdołają...

Czarny obruszył się.

— Zyta to jedyny bliski człowiek, jakiego mam na świecie. Gadaj, co chcesz, a nie dam jej uczynić krzywdy! Dość nieboga wycierpiąta!

— Ależ ja ci nie odmawiam słuszności! Staram się jedynie pojąć tamtego. Powiedz, co chcesz czynić, a pomogę ci z serca!

— Dziękuję, Rudy.

— Nie ma o czym gadać! Rozpuściliśmy jęzory jak baby! Dysputy były dobre na zachodnich gościńcach, kiedyśmy je wiedli, by droga szybciej zbiegła i własne myśli stały się jaśniejsze! Teraz masz na głowie dwie baby, a to nie byle co!

— Otóż to! I dlatego rozdzielimy się. Ja muszę wracać do Gdańska, bo tamta, obca, to służba, a ty bierz Tomka i jedź do Barcian. Tam jest główne zakonne więzienie, tam też na pewno Sonnenberg ukrył Zytę. Musisz ją odnaleźć i uwolnić. Nie oglądajmy się teraz na siebie. Niech każdy działa według tego, co sam uważa za najlepsze. Poruczam ci najbliższą mi istotę, zrób, co się da zrobić, nic innego nie mogę ci rzec. Da Bóg, spotkamy się w Polsce!

Rudy ziewnął ostentacyjnie.

— Resztę omówimy jutro, bo teraz chce mi się spać. Naciągnął opończę na głowę i obrócił się do ściany.

O PRZYJEŹDZIE BRATA SONNENBERGA na zamek malborski Benko dowiedział się jeszcze tego samego dnia od starego koniuszego, który polecił mu zajść do głównej stajni i obejrzeć kopyto okulałego w drodze konia z Sonnenbergowego oddziału. Benko bowiem zdołał już sobie wyrobić opinię dobrego fachowca w tym zakresie. Jak się okazało, był to wierzchowiec Venta, rycerskiego giermka.

Nadchodziła więc chwila, której oczekiwał długo, o której wciąż przemyślał, rozważając wszystkie szczegóły ułożonego planu. Toteż gdy zjawił się zwierz, na którego zamierzał nastawić pułapkę, dobrze wiedział, co teraz ma robić.

Był mu do tego potrzebny giermek Vento, toteż fakt, że okulał jego koń, Benko poczytywał za boskie zrządzenie i szczęśliwą wróżbę. Było bowiem jasne, że w tej sytuacji muszą się ze sobą zetknąć. A że stanie się to bez jakiegokolwiek starania z jego strony, co potem mogłoby być podejrzone, było oczywistym dowodem, że sprzyjają mu niebieskie moce.

Przewidywanie to okazało się słuszne, gdyż istotnie pod wieczór do stajni briefjungów przyleciał pachołek z wezwaniem od Venta, który oczekiwał go w karwanie.

Benko podążył za pachołkiem. Gra zaczęła się.

Szczupły, zgrabny mężczyzna, o postaci zdradzającej sprawność fizyczną, stał przed stajnią. Łosiowe spodnie ciasno opinały jego muskularne nogi, a szary kaftan zrobiony był z kosztownego, angielskiego sukna.

— Tyś Jawnuta, dozorca koni? — rzucił przez nos, mierząc zbliżającego się wyniosłym spojrzeniem.

Nie wolno było dopuścić do takiego traktowania. Przeciwwstawienie się było ryzykiem, ale należało je podjąć. Albo się uda, albo trzeba będzie kiedyś, w przyszłości, zaczynać wszystko na nowo.

— A tyś kto? — odpowiedział mu więc tym samym tonem. — Dobry obyczaj każe, abyś to rzekł pierwszy. Jam kniaziowy syn i zwykłem rycerskich obyczajów przestrzegać.

Vento ściągnął brwi i prychnął lekceważąco:

— *Kniaziowyś syn, a za koniucha u nas służysz!*

— *Bom musiał ojcowe włości opuścić. On głowę dał pod Witoldowy miecz, a jam swoją u was ratował, ale za parobka nie służę. Może przyjdzie czas, że będziecie moim gościem na Litwie, wtedy przekonacie się, że pili ze mną braterstwo najznakomitsi rycerze.*

Benko mówiąc, obserwował jednocześnie twarz Venta. W pewnej chwili z ulgą spostrzegł, jak ściągnięte brwi giermka prostują się, a na ustach pojawia się niedbały i jeszcze nadal nieco lekceważący, ale przecież uśmiech.

— *A myślicie, że zaproszenie przyjmę?*

Benko uśmiechnął się również.

— *Myślę, że tak! Oby tylko przyszedł ten szczęśliwy dzień, kiedy wygnamy Witolda! Wykąpię was wtedy w miodzie, a potem przykażę dziewczkom oblizać!*

Vento wybuchnął już śmiechem i wyciągnął dłoń.

— *Jam Vento z Waldebergu! Podobacie mi się! — rzucił już wesóło.*

— *Skoro tyle obiecujecie, to chyba zaproszenie przyjmę!*

— *Chcieliście wiedzieć, co z koniem? — rzekł Benko, ściskając wyciągniętą prawicę.*

— *Ano właśnie! Długo będzie chorował?*

— *Nic ważnego. Wbił sobie w kopyto drzazgę, alem już ją wyciągnął. Za dwa dni będziecie go mogli dosiąść.*

— *To dobrze, bo wkrótce ruszamy w teren.*

— *A więc nawet nie wytchniecie nieco? Wiosna nastaje, drogi pełne błota, to mordęga dla koni.*

— *Co zrobić? Służba to służba. Dobrze i te kilka dni.*

— *Pewnie. Jest przynajmniej czas gardło nieco przepłukać...*

Vento machnął ręką.

— *Te malborskie winiarnie za byle sikacza liczą jak za małmazję — westchnął. — Nie ma to jak nasze reńskie winnice! Kraj piękny, a wino nie to, co tu...*

— *I tu można dostać dobrego trunku. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie się udać.*

Vento okazał nagle zainteresowanie.

— *A wiecie?*

— *Pewno, że wiem. I anibyście się spodziewali gdzie. Wiadomo, że w mieście wyciągają tylko człowiekowi grosz z kieszeni, a dają byle co. Ale są po przedmieściach gospody, gdzie warto pójść.*

Wina nie mają, ale taki miód jak tam, mało gdzie znajdziecie. Sycą go Polacy, którym w mieście osiadać nie wolno, a oni umieją to robić jak nikt inny. Nie lubię ich, ale trzeba przyznać, że mają dobry trunek. Łagodny i słodki, a łeb mroczy niby kadzidło. Rankiem zaś człek wesoty i świeży, jakby samo mleko tylko pił.

— *Pójdziemy tam?* — zapytał z ożywieniem Vento. — *Zaprowadzicie mnie?*

— *Czemu nie. Z pustą kieszenią z Wilna nie uciekłem. Znajdzie się i u mnie na dzbanuszek czy dwa...*

Vento klepnął Benka po ramieniu.

— *Doprawdy, przedniś chłop!*

Mimo pokonania pierwszej trudności nadal trzeba było dokładnie ważyć słowa, by nie splotzyć zwierzyny, a i przezornie unikać podejrzeń, jakie mogłyby się w przyszłości nasunąć wytrawnej i przebiegłej zakonnej starszyźnie.

— *Muszę was jednak ostrzec* — odpowiedział więc giermkowi — *że nocą niezbyt bezpiecznie łązić. Jeśli macie paru dobrych kompanów, weźcie ich ze sobą. Jak będzie nas czterech czy pięciu, możemy się nie bać napaści.*

— *O kompanię nietrudno! Kiedy pójdziemy?*

— *A chociażby i dziś! Mieszkam obok stajni briefjungów. Przyjdźcie po wieczery i gwizdnijcie dwa razy, będę trzymał światło przy oknie.*

— *A jak wydostaniemy się za mury?*

— *Wyprowadzę was. Mamy tu taką furtę na nocne wyjścia. Mieczyki weźcie ze sobą, bo mogą się przydać.*

— *To się wie! No, bywajcie! Niedługo po was przyjdziemy!*

OBERŻA BYŁA ZAMKNIĘTA, ale na umówione pukanie Benka otwarto im drzwi. Przybyli w pięciu, bo Vento, zgodnie z radą, wziął ze sobą trzech towarzyszy, również jak on rycerskich giermków.

Izba nie była duża, mieściły się w niej tylko trzy stoły o mało wygładzonych blatach, zbitych z grubych bali. Kubki były cynowe, a podłogę stanowiło zwykłe klepisko. Wnętrze oświetlały zatknięte w żelazne uchwyty łuczywa i ogień na kamiennym palenisku, z którego dym wydostawał się przez otwór w dachu.

Ale mimo ubóstwa wyposażenia miód istotnie okazał się doskonały, znajdując uznanie przybyłych. Wywołało to ogólną przychylność dla Benka, jako że dotrzymał obietnicy. Pociągali więc chętnie i sporo, dając hałaśliwie dowody zadowolenia. Rozmowa stawała się teraz coraz żywsza, coraz głośniejszy śmiech, a żarty coraz bardziej rubaszne.

W pewnej chwili jeden z giermków zawołał:

— *Dobry ten miód, ale i dziewczki nie byłyby gorzkie! Zdałoby się kilka do kompanii!*

Wybuch śmiechu potwierdził tę opinię. Benko, który pilnie dolewał trunków, sam starając się pić jak najmniej, mimo że głowę miał mocną, roześmiał się również i pochylił do ucha siedzącego obok Venta.

— Mam tu niedaleko dwie znajome młódki, ale iść możemy tylko we dwóch, bo gromady nie wpuszczą. Mów więc cicho, aby tamci nie dosłyszeli.

Mimo że już dobrze podchmielony Vento zrozumiał od razu, o co chodzi.

— Teraz mi to mówisz, chłopie!? Ruszajmy!

— A co z nimi? Ostawimy ich?

— A niech ich grom spali! Przecież nie będziemy im matkować! A dziewczki fajne?

— Młode kozy, dopiero co ostały gamratkami!

— No to już! Idziemy!

— Nie tak głośno. A tamtym powiedz, że ty bierzesz mnie ze sobą. Nie chcę, aby mówili, że rozbijam kompanię!

Vento roześmiał się.

— Dobra! Niech ci będzie! — Zwrócił się głośno do reszty: — No, towarzysze zacni, pijemy na rozstanie. — Uniósł kufel do góry. — Przypomniało mi się, że mam tu kogoś, kogo chętnie bym odwiedził. Jawna

postawił mi dobry miód, a ja odwdzięczę mu się babą! Jawna, idziesz ze mną?!

— Pewnie, że tak! Z ochotą! — Benko również uniósł kubek do góry.

Rozległy się głosy protestu.

— Vento, a my?! Nie możemy iść kupą?! Ostawisz nas samych?!

— Są tylko dwie i gromady nie puszcza! Nic na to nie poradzę, do furty chyba traficie?

— Trafić trafimy, tyle że markotno będzie tu bez was!

— Pocieszcie się kufelkiem. Abyście tylko na zamku nie dali się przytapać!

Po wyjściu pogrążyli się w ciemności. Słyszeli w niej tylko człapanie własnych stóp, które z trudnością musieli wyrywać z gęstej, rozmokłej już na dobre ziemi. Droga była uciążliwa, ale mimo to szli rażno. Benko prowadził, oświetlając grunt latarką, którą starannie osłaniał połą płaszczka, ciemność nocy bowiem chroniła lepiej niż zbroja przed rysimi oczami nocnych rozbójników.

Gdzieś w górze, na czarnym tle nieba, migotało dalekie światełko.

Zapewne sączyło się z okiennej szczeliny którejś z zamkowych wież. Chmury ciągnące po czarnym niebie stawały się widoczne tylko wtedy, gdy ich warstwa rzedła na tyle, że przebijało przez nią nieco

księżycowego blasku. Wówczas robiło się jaśniej i idący mogli rozeznaczyć w mroku czarne kontury drzew i zarysy odległych domów.

Co pewien czas zza murów miasta dochodziło przytłumione oddaleniem nawoływanie nocnych stróż. Gdzieś bliżej odezwał się pies. Odpowiedziało mu odległe ujadanie i jakiś czas trwała psia rozmowa.

— Daleko jeszcze? — w pewnej chwili zapytał Vento.

— Już dochodzimy — odpowiedział zgodnie z prawdą Benko, gdyż właśnie chmury przetarły się i dostrzegł kontur szopy, gdzie swego czasu spotkał się z Bertem.

Wreszcie, kiedy światło latarki padło na słupy podtrzymujące dach, stanął i czekał, aż Vento się zbliży.

— Dlaczego zatrzymałeś się? Czy to gdzieś tu? — Giermek rozejrzał się na boki. — Krom tej szopy nie widać nic.

— Mimo to jesteśmy na miejscu, Vento... — padła cicha odpowiedź.

Było w niej jednak coś, co kazało tamtemu z nagłą przystanąć. Ale Benko odwrócił się spokojnie i postawił latarkę na przewróconej łodzi. Dopiero potem, również bez pośpiechu, zbliżył się do Venta.

— Wiesz, kto jest? — zagadnął, stając przed nim.

— O co ci chodzi? Przecież wiem! — Giermek odstąpił pół kroku do tyłu.

Benko pokręcił głową z przeczącym gestem.

— Nie, nie wiesz. A to, że zaraz ci to powiem, będzie znaczyło, że koniec twój nadszedł. Pamiętasz ten pograniczny gródek, coście go latem napadli pod wodzą tego zbója Sonnenberga?

— Co ty gadasz? Rycerza zbójem zwiesz? Ktoś ty?!

Vento rzucił pytanie bardziej zdumiony niż wystraszony.

— Jam Benko z Rubieży, mąż owej niewiasty, którą twój pan, zadawszy jej gwałt, ze sobą uwiózł...

— Z Rubieży?... — Giermek jak gdyby nagle uprzytomnił sobie, o co chodzi. — Ty?! — Odskoczył o krok, odrzucając połą opończy, by sięgnąć po rękojeść miecza. Ale Benko swój już trzymał w garści.

Wyszarpnął go z pochwy i obracając ostrze na płask, uderzył tamtego w skroń.

Vento zwałił się na ziemię.

Benko nachylił się nad nim, ujął pod pachy i wciągnął w głąb szopy. Latarkę zdjął z łodzi i postawił za jej burtą na ziemi, aby z zewnątrz nie była widoczna. Potem wyciągnął z kąta swój przygotowanego sznura i związał wciąż nieprzytomnego giermka. Oparł go plecami o ścianę i wyszedł, kierując się do stawu.

Wrócił z wodą zaczerpniętą do czapki. Chlusnął nią na swego jeńca i nachylony wpatrywał się w jego twarz. Vento zamrugał powiekami i jeszcze na wpółprzytomny rozejrzał się dookoła. Strużki wody ściekające mu po policzkach migotały w świetle latarki.

Benko przysiadł naprzeciw i w milczeniu obserwował, jak tamtemu wracała przytomność. Panowała zupełna cisza. Ciemność nocy nie niosła żadnych odgłosów. Wszystko jakby zastygło w pełnym napięciu oczekiwaniu. Płomień latarki chwiał się za przezroczystą błoną, rzucając chybotliwe smugi światła i cieni ślizgających się po ścianie szopy i dwóch nieruchomych postaciach.

Vento wreszcie oprzytomniał.

— Czego chcesz ode mnie? — warknął, krzywiąc się z bólu i próbując się oprzeć na łokciu skrępowanej ręki.

— Gdzie moja niewiasta?

Vento chciał się roześmiać, ale widać głowa go jeszcze bolała, gdyż śmiech zamienił się w grymas. Rzucił ze wzgardliwą drwiną:

— Możesz długo pytać, ty sobako! Coś mi się widzi, że ją nieprędko obaczysz. Ponoć wielce memu panu dogadza.

Płomień szaleństwa pojawił się w oczach Benka, kiedy z wolna podniósł się z łodzi. Słowa padły jednak cicho i spokojnie:

— Vento, gdzie ona?

Giermek, ujrawszy te oczy, po raz pierwszy poczuł, jak przerażenie z nagła zatrzymuje mu bicie serca. Mimo to nieprzytomne zapamiętanie w nienawiści pokonało strach.

— Wprzódzy zdechniesz, zanim ci powiem! Poczekaj, aż Sonnenberg będzie jej miał dość, to ją trafisz w jakim zamtuzie! — Tym razem roześmiał się, nie zważając na tupiący ból w głowie.

Benko stanął okragiem nad leżącym, potem opadł na kolana, obejmując nimi biodra leżącego. Nachylił się nad nim i bez pośpiechu, z pełną grozy powolnością począł mu rozpinać na piersi kaftan. Mruczał przy tym na wpół do siebie, na wpół do niego:

— Powiesz, Vento, powiesz wszystko, co ci przykażę... obaczysz, że powiesz...

Tym razem przerażenie giermka wzięło górę nad jego wściekłością.

— Co chcesz mi czynić? Co chcesz... — próbował poderwać ciało ku górze, ale dłoń Benka opadła mu na brodę, przyciskając głowę ku ziemi. Druga ręka rozchyliła koszulę, obnażając pierś.

— Po raz ostatni cię pytam: gdzie ona?

Sięgnął za pas i wyciągnął nóż. Jego ostrze prześlizgnęło się szybko po piersi jeńca, znacząc dwie pionowe czerwone linie.

WNĘTRZE SZOPY WYPEŁNIŁ ryk bólu.

— Vento, gdzie ona? — rozległ się jednocześnie zimny, spokojny głos Benka.

— Obyście gnili za żywota, ty i ona. Obyście...

A KIEDY BENKO ZNÓW sięgnął po nóż i przystawił go do piersi, Vento zwinął się w sobie i wycharczał:

— Poniechaj... powiem...

— Gdzie ona? — padło w odpowiedzi uparte pytanie.

— Na Podzamczu w Barcianach... u Vogtów... — Słowa przerywał ciężki, świszczący oddech.

— Przysięgnij, że nie łżesz, teraz, w godzinie swego zgonu...

— Chcesz mnie ubić? Przysięgam, że nie skłamał, tak mi, Boże, dopomóż!

— Wiesz, ktom jest. Czy myślisz, że ostawię cię żywego? Poprzysięgłem, że śmiercią zapłacicie za moją hańbę, ty i twój pan...

Uniósł się z klęczek i wyciągnął z pochwy miecz.

— Poniechaj mnie... — jęknął Vento, nie spuszczać wzroku z połyskującego ostrza.

— Nie może to być...

Miecz błysnął krótko w świetle latarki.

Stał, wpatrując się w leżące u nóg zwłoki. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił się i odrzucił broń na bok. To samo zrobił z wyjętym zza pasa nożem, przejechawszy nim przedtem po własnej piersi, rozcinając w ten sposób siermięgę, koszulę i raniąc ciało. Wreszcie rozejrzał się wokół i podniósł kamień. Ważył go chwilę w dłoni, po czym z nagłą uderzył we własny policzek, skierowując uderzenie ku dołowi, tak że na twarzy powstała szeroka, krwawiąca szrama.

Pod wpływem tego ciosu zachwiał się na nogach, bo go zamroczyło. Chwilę stał, dysząc z wysiłku i czekał, aż pierwszy gwałtowny ból minie, po czym znów schylił się i ująwszy w obie ręce pełne garście ziemi, rozsmarował je po policzku i ubraniu.

Uderzenie kamieniem dawało jeszcze o sobie znać. Przysiadł więc na łodzi i czekał, aż minie zamroczenie i wróć siły wraz z jasnością myślenia.

Mógł się nie spieszyć. Pierwszą część zadania udało się wykonać. Ta druga będzie chyba łatwiejsza, jeśli przewidywania okażą się słuszne.

Kiedy wreszcie wróciły mu siły, zarzucił zwłoki na plecy i ruszył w powrotną drogę.

Dowlókt się wreszcie ze swoim ciężarem pod mury, staniając się z trudu na nogach, obszarpany, brudny i pokrwawiony. Złożył trupa na ziemi i okrzyknął straż.

Przyzwany przez knechtów dowódca uniósł do góry pochodnię i rzuciwszy okiem na nieruchomy kształt leżący u jego nóg, zawołał do dyszącego z wysiłku Benka:

— Ależ to Sonnenbergowy giermek! Kto go ubił? Widzę, żeś i ty swoje oberwał! Co się wam zdarzyło?!

— Nie teraz mówić o tym! Przenieście go do wartownej izby... Mnie zaś dajcie nieco wody... słabo mi...

— Trzeba budzić komtura! Hej, Bruno, biegiem na zamek! A wy złożcie zabitego na płaszcz i zabierzcie do naszej izby, niech tu w błocie nie leży!

— Stój! — Benko wstrzymał knechta, po czym zwrócił się do dowódcy: — Nie radzę budzić komtura. To Sonnenbergowy giermek. Przywołajcie jego, a on niech już sam postanowi, co dalej czynić. Wiem, kto i dlaczego zabił Venta. Lepiej będzie, jak wprzód przywołasz jego rycerza. Obaczysz, że uzna to za rozwałę.

Dowódca popatrzył na Benka.

— Wiesz, kto to uczynił? — spytał z nutą ciekawości w głosie.

— Wiem. Ale i ty wiedz, że przysłużysz się bratu Sonnenbergowi, jeśli jemu pozostawisz troskę o tę sprawę. To jego giermka ubito.

Ta uwaga ostatecznie przekonała starszego strażników.

— Bruno, słyszałeś? Biegnij na zamek i cichcem przywołaj rycerza Sonnenberga! Niech tu zaraz przybywa! Strażom zamkowym nie mów, co się stało, a i wy trzymajcie gęby zawarte! A teraz bierzcie ubitego, a temu pomóżcie iść.

Złożono zwłoki na ceglanej posadzce wartownej izby i podano Benkowi dzban z wodą. Już silniejszy, siadł na ławie, oparł się plecami o ścianę i, przymknąwszy oczy, w modlitwie szukał pokrzepienia, by starczyło mu sił na spokojne spojrzenie w nienawistną twarz, którą za chwilę miał ujrzeć.

W izbie zrobiło się cicho. Knechci, na których nie przypadała warta, siedzieli w milczeniu za stołem co i raz spoglądając na podłużny kształt przykryty płaszczem.

Wreszcie rozległy się na zewnątrz szybkie kroki i drzwi otworzyły się gwałtownie. Na progu stanął wysoki, barczysty mężczyzna, o grubo ciosanej

twarzy obramowanej szeroką łopatą ciemnej brody. Obrzucił spojrzeniem wewnątrz, zatrzymał je nieco dłużej na postaci Benka — jego poszarpanej, zabłoconej odzieży i zakrwawionym obliczu — po czym nachylił się nad zwłokami, uchylając przykrywającą je opończę.

Benko natychmiast poznał rycerza spotkanego na gościńcu pod Kostrzyniem. Bóg go strzegł, że wówczas nie wiedział, iż to był właśnie ten! Teraz, przygotowany na to spotkanie, oczekujący nań, skupił dość sił, by opanować żądzę mordu, zachować spokój oblicza i zdolność doboru właściwych słów.

Sonnenberg jakiś czas wpatrywał się w twarz zmarłego, której uniesiona warga robiła wrażenie pełnego złowrogiej kpiny uśmiechu, potem wyprostował się i zwrócił wzrok na Benka.

— Tyś z nim był?

— Tak, wasza wielmożność. — Benko podniósł się z ławy. — Przy mnie go ubito, a kiedy odeszli, przyniosłem go tu.

— Jak to się stało, że ciebie zostawili żywego? Kto to był?!

Benko powiódł wzrokiem po stojących wokół knechtach.

— Odpowiem, ale myślę, że lepiej będzie, jak będziemy sami.

Ściągnięte gniewem brwi rycerza uniosły się na moment ku górze.

— Tak myślisz?! No, obaczmy, czy lepiej... — Zwrócił się do knechtów: — Ostawcie nas samych, a ty — polecenie dotyczyło dowódcy — dopilnuj, by nikt pod drzwiami się nie kręcił. Ruszajcie!

Kiedy knechci opuścili wartownię, rycerz przysiadł bokiem na stole i czas jakiś przyglądał się Benkowi. Ten stał przed nim i odwzajemniając spojrzenie spokojnie czekał, aż zakonny pan pierwszy zabierze głos. Wreszcie Sonnenberg przemówił:

— Opowiadaj zatem, jak to się stało?

— Pozwolicie mi, wasza wielmożność, przysiąc, bom poranion i we łbie mi się kręci, że myśli zebrać trudno...

— Siadaj i mów wreszcie! — warknął rycerz.

Benko podał pokrótce przebieg zdarzeń poprzedzających wyprawę na przedmieście. W pewnej chwili Sonnenberg przerwał mu:

— Toście wbrew regule wyszli po zmroku za mury! Jakże was straż przepuściła?

— Knechci mają tu takie sekretne wyjście, jeśli chcą wymknąć się na piwo czy dziewczki. Ale zdarza się to przecież i rycerzom, panie. I to nie jest ważne...

Sonnenberg rzucił ostre spojrzenie na mówiącego. Chwilę mierzyli się wzrokiem, dopóki na ustach Benka nie pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiezek. Pojawił się i zniknął zaraz, ale starczyło tego, by rycerz ściągnął brwi. Wydawało się, że wybuchnie gniewem, ale musiał pod wpływem jakiejś myśli opanować ten odruch, bo powiedział spokojnie:

— Możeś i praw. No, mów dalej...

— A więc wyszliśmy we dwóch. Vento jako prowadzący szedł pierwszy. Ciemno było zupełnie, więc nawet nie wiem, którądy prowadził. Uszliśmy kawałek, kiedy usłyszałem w ciemności jakąś komendę, rozbłysły latarki i dojrzałem wtedy, że doskakuje ku nam kilku drabów. Nawet nie zdążyliśmy dobyć mieczy, jak podzielili nas pałkami po głowach... Kiedy ocknąłem się z omdlenia, stałem przywiązany do słupa, pod dachem jakowejś rybackiej szopy, bom w świetle latarki dojrzałem obrócone czółno. A teraz powiem wam krótko, kto dokonał na nas napaści. To był, wasza wielmożność, Benko z Rubieży. Mąż tej niewiasty, coście mu ją porwali z gródka i trzymacie w ukryciu...

Sonnenberg przyskoczył do Benka i chwycił jego kaftan w garść.

— Skąd wiesz?!

— Wasza wielmożność, sprawiacie mi ból! Przejechali i mnie nożem przez pierś, rozcinając więzy.

Sonnenberg opanował się. Puścił kaftan Benka, przysiadając znów na brzegu stołu.

— Zatem skąd to wiesz?

— Z rozmowy, jaką wiódł ów Benko z Ventern. Najpierw powiedział mu, kto jest, a potem żądał, by wasz giermek wyjawiał, gdzie ukryta jego niewiasta...

— A Vento?

— Początkowo odmówił, nawet kpił z tamtego, ale potem nie strzymał bólu, kiedy ów... — Benko urwał, po czym dodał: — Co wam zresztą będę mówił. Obaczcie sami...

Sonnenberg ruszył ku ciału i odchyliwszy opończę, a potem kaftan, przyglądał się przez chwilę zwłokom.

— O, ty diable! Czekał, jeszcze ci się odplacę! — mruknął wreszcie przez zaciśnięte zęby, prostując się.

— Kiedy dowiedział się, czego chciał — ciągnął Benko — pchnął biedaka mieczem i obrócił się ku mnie. Myślałem, że i na mnie przyszła ostatnia godzina, ale on rzekł: „Widziałeś, co tu się stało. Ciebie nie ubiję, bo chcę, aby tamten — wybaczone wasza wielmożność, ale nie powtórzę, jak was nazwał — aby wiedział, kto ubił jego pomocnika. Niech wie, że dosięgnę i jego, a wówczas będzie skomlał o śmierć, bo o takiej męce, jaką mu zadam, nikt jeszcze nie słyszał...”

Wymawiając ostatnie słowa, Benko ściszył głos, gdyż przeląkł się, że wzbierająca w nim pasja zdradzi go przedwcześnie. Sonnenberg nie zwrócił jednak uwagi na ton wypowiedzi, pochłonięty jedynie jej treścią. Mimo że usiłował panować nad sobą, widać było, że usłyszana relacja wstrząsnęła nim.

— A więc jest tu... — mruknął. — A skoro jest, dopadnę go wcześniej niż on mnie.

— I to byłoby wszystko, wasza miłość. Stąd oto znam waszą tajemnicę. Odchodząc, odcięli mnie od słupa, a kiedyostałem, sam rozciąłem więzy temu nieborakowi. Przekonałem się, że jeszcze dyszy. I tu muszę wam jeszcze rzec ostatnie słowa waszego giermka, kiedy trzymał jego głowę na kolanach: „Jawnuta — wydyszał — chroń mego pana... Ty jeden tylko wiesz, jak ten zbój wygląda... Ostań przy moim rycerzu i strzeż go... przysięgnij mi...” No i przysięgłem, wasza miłość, bo jak można było konającemu tłumaczyć, że możecie nie chcieć moich usług...

Sonnenberg uniósł w czasie tych słów głowę i ostro popatrzył w twarz Benka.

— Chciałbyś istotnie zastąpić mi Venta!

— Byłby to dla mnie zaszczyt, wasza wielmożność, służyć tak znakomitemu rycerzowi jak wy.

— A więc widziałeś go...? — Sonnenberg zamyślił się na chwilę. — Tyś uciekł z Litwy?

— Tak, panie.

— Z jakiego rodu pochodzisz?

— *Jawmuntowiczów. Stary ród, spowinowacony z Olgierdowym.*

— *Klejnot przyjąłeś?*

— *Tak. Po chrzcie kraju przystąpiliśmy do rodu Toporczyków.*

— *Taka służba to nie byle co, zwłaszcza przy zakonnym rycerzu. Ubiegają się o nią synowie baronów i hrabiów. A i wyposażenie kosztuje dużo. Skąd weźmiesz na zbroję i konia?*

— *Niech mi Zakon pożyczyci. Ja nie byle chudopachotek. Zmożemy Witolda, będę miał z czego oddać. A jeszcze sobie myślę, że Zakon powinien dać mi to wyposażenie, bo przecież chodzi tu o wasze bezpieczeństwo.*

Sonnenberg skierował się ku drzwiom.

— *Rozważę sobie tę sprawę. Być może przyjmę cię do służby, jeśli uzyskam zgodę kapituły. W każdym razie ani pary z gęby o Benkowej niewieście. Jakby cię przesłuchiowano na zamku, mów, że Benko mścił się za śmierć żony i spalenie gródka. Zrozumiałeś? — W głosie Sonnenberga zadrgała tajona groźba.*

— *Tak, panie. Możecie być spokojni. Przyjmiecie mnie na służbę albo nie — wasza wola. Ale słowem nikomu waszej sprawy nie zdradzę. Zostanie ona między nami dwoma.*

NIKŁY PŁOMIEŃ ŚWIECY nie rozpraszał mroków izby. Twarz Alberta ukazywała się Czarnemu oświetlona mocniej lub słabiej, w zależności czy przechylał się ku lichtarzowi, czy też oddalał od niego. A i to słabe światło, jakie na nią padało, oświetlało tylko jedną jej stronę, drugą pozostawiając w ciemności.

Toteż, mimo że nie spuszczał z niej wzroku, nie mógł dobrze rozeznąć, co wyrażała. Że słowa raczej maskowały, a nie wyrażały myśli — to zaczął wyczuwać coraz wyraźniej, zbyt były mierzone, chwilami zbyt ostrożne, chwilami znów zbyt liczne.

Rozeznanie zaś, jakie to były myśli, stawało się nieodzownie potrzebne, gdyż od tego zależało własne bezpieczeństwo. Bowiem, wbrew ustalonej zasadzie, w tym samym miejscu musiał szukać schronienia po powrocie.

— *Nie powiodło się w Gdańsku? — Mistrz Albert z kolei przechylił się ku lichtarzowi, tym razem zupełnie blisko, gdyż musiał przyciąć knot.*

— *Nie o to chodzi. Szukają inni, szukam i ja. Musiałem przeto wrócić, by naprawić błąd, który tu popełniłem.*

— *Jakiż to błąd?*

— *Poprzestaliśmy wówczas na informacjach chłopca, nie usiłując na własną rękę zasięgnąć wiadomości. Jeżeli nawet więcej nie mógł nam*

powiedzieć, nie znaczy to, że inni nie poczynili tam jakichś spostrzeżeń. Należało koniecznie przepytać służki klasztorne.

Mistrz Albert poprawił się w fotelu.

— Macie zamiar ten błąd naprawić?

— Właśnie... Musicie mi pomóc znaleźć sposób, bym mógł dostać się do klasztoru i przepytać służbę.

— Nad wyraz niebezpieczne przedsięwzięcie! Co przez to spodziewacie się osiągnąć? Zwłaszcza teraz, po kilku tygodniach? Czy ktoś będzie tam jeszcze o tym pamiętał? Ryzyko duże, zwłaszcza dla mężczyzny, boć to żeński klasztor. Duże, powtarzam... Większe, niż może sądzicie...

Czarny spojrzał bacznie na gospodarza.

— Co macie na myśli?

— Przepytawali tu o was. Na szczęście już po waszym wyjeździe.

— Kto?

Mistrz Albert spojrzał w bok i wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. I to tym bardziej mnie zaniepokoiło. Jacyś dwaj...

— I coście im rzekli?

— Udałem, że nie wiem, o co chodzi.

Czarny milczał przez chwilę.

— Długo tu siedzieć nie będę. Ale na wszelki wypadek wskażcie mi wyjście zapasowe.

— Czy nie lepiej poszukać innej kryjówki?

— Po dawnemu pełne portki strachu? — rzucił ironicznie Czarny. Mówiąc to, nie spuszczał wzroku z twarzy gospodarza. Kryjówka stawała się niepewna — to było jasne — nawet jeśli, jak przypuszczał, wiadomość o owych dwóch osobnikach była podsunęta umyślnie, by wypłoszyć niebezpiecznego gościa. Mimo wszystko należało się śpieszyć z wykonywaniem zamiaru.

— Jak chcecie — mruknął gospodarz. — Jeżeli uważacie, że coś osiągniecie? Bo ja wątpię...

— Rozwahałem z towarzyszem całą sprawę. I przyszło nam na myśl, by szukać inaczej. Nie po gościńcach czy obozach, lecz ludzi, którzy wchodzili w skład orszaku. Owych knechtów czy woźnicę sań. Jeśliby udało się ich znaleźć...

— Niezła myśl — przytaknął mistrz Albert. — Należałoby przepytawać w malborskim Podzamczu, bo przecież stamtąd ich przysłali.

— I ja tak sądziłem. Ale dowiedziałem się, że nikt w tym czasie do Torunia nie był wysyłany. To pewna wiadomość.

— Zatem i ta droga okazała się zła?

— Tylko początkowo tak sądziłem. Potem, zastanowiwszy się, pojąłem popełniony błąd.

— To znaczy? — Twarz mistrza Alberta wyłoniła się z mroku, gdyż znowu przechylił się bliżej ku stojącej między nimi świecy.

— Prościej chyba było wysłać najbliższą pocztą rozkaz do toruńskiego komtura, by sekretnie odstawił dziewczynę na wskazane miejsce, co?

Dłoń mistrza Alberta uderzyła o poręcz fotela.

— Do czarta! Chyba macie rację! Sanie i knechci musieli być stąd!

— O to chodzi. I dlatego muszę wybrać się do klasztoru, by przepytac wśród służebnych dziewcząt, czy nie rozpoznały kóregoś z tych ludzi.

W dwa dni później, wracając o gęstym już zmroku do swojej kwatery w podwórzu Albertowego obejścia, Czarny rozpamiętywał przebieg zdarzeń, oceniając tę niedzielę jako jeden z pomyślniejszych dla siebie dni.

Zresztą szczęście zaczęło mu się już w piątek, następnego dnia po odbytej z Albertem rozmowie. Pomny na dziewczki służebne, nakupił broszek, szklanych paciorków oraz parę kolorowych chust i dostał się do klasztoru jako wędrowny handlarz. To, że u furty nie było akurat nikogo, już sobie poczytywał za dobrą wróżbę. Drugą szczęśliwą okolicznością było, że najbardziej jego towar podniecał Jagnę, która, jak się potem okazało, spełniała rolę narzędzia Opatrzności, gdyż znała woźnicę sań, narzeczonego jej przyjaciółki. Bo oddział istotnie składał się z knechtów pochodzących z załogi miejscowego zamku.

Przeto Czarny umówił się z Jagną na niedzielę u Świętego Jana, obiecując przynieść paciorki i wybraną chustę. Po mszy już razem wybrali się do owej przyjaciółki. Pachołek zaś, jej narzeczonego, opowiedział przy piwie przebieg zdarzeń.

Było już ciemno, kiedy znaleźli się na Podzamczu Tczewa, bo tam przykazano im zawieźć brankę. Rycerz dowodzący ich oddziałem kazał dziewczynie wysiąść z sań, oni zaś mieli udać się na zamek, przenocować i rankiem wracać do Torunia. Można było jednak sądzić, że miejsce ukrycia

jest bliskie, gdyż rycerz zsiadł z konia, wierzchowce zabrał ze sobą oddział, a tamci pozostali na drodze.

Nie było to wszystko, co Bert pragnął wiedzieć, ale osiągnął główny cel — znał miasto, do którego wywieziono brankę. Teraz musiał odszukać miejsce ukrycia, chociażby przyszło zaglądać kolejno do wszystkich domów pod murami tczewskiego zamku. Musiało znajdować się blisko, skoro rycerz wraz z dziewczyną mieli iść piechotą. Tu mogli okazać wielką pomoc ludzie Kosookiego.

Rozmyślając o tym, Czarny szedł szybko, by przed zapadnięciem zupełnej ciemności zdążyć do domu. Był zadowolony, bo po długim okresie niepowodzeń los znów uśmiechnął się do niego.

Na zasadzie umowy z posługaczem, popartej kilku skojcami, furta od podwórza była otwarta. Zsunął za sobą rygle i skierował się ku schodom wiodącym ku czeladnej izdebce na piętrze, którą dla niego przeznaczył mistrz Albert.

Schody nieco skrzypiały pod stopami, ale się tym nie martwił, bo z tej strony innych mieszkalnych pomieszczeń nie było. Ogień na małym palenisku w rogu izby tlił się pod okapem. Po omacku odnalazł leżące obok szczapy łuczywa i przytknął jedną z nich do żarzących się węgli, by oświetlić wnętrze.

W tej właśnie chwili w ciemności poza nim rozległ się rumor wywracanego zydła i Bert nie zdążył się nawet obrócić, kiedy poczuł kilkoro rąk chwytających go za ramiona i wczepiających palce we włosy. Szarpnął się raz i drugi, ale nie zdołał pokonać siły paru napastników. Poczuł, jak szorstki sznur krępuje mu ramiona i opasuje ciało.

WIOSENNE SŁOŃCE PRZYGRZEWAŁO mocno. Grzbiety wzgórz pokrywała już wysoka trawa świeżą, soczystą zielenią, a wielkie, białe obłoki sunęły po przejrzystym błękitnie nieba. Rozrzucone tu i ówdzie tkwiły grapy dębów, nieco dalej zwierając się w gęsty, mroczny las. W kotlinach pomiędzy wzgórzami połyskiwały tafle jeziora, odbijając ciągnące nad nimi obłoki.

Mało co przetarta droga, a właściwie nikły jej ślad, wiła się kręto wśród łąk i rozrzuconych tu i ówdzie uprawnych poletek, jakby szukając sobie miejsca, by przemknąć pomiędzy wzgórzami.

Po zabójstwie Venta i innych zdarzeniach, które potem nastąpiły, oddział ochrony osobistej rycerza Sonnenberga został powiększony i dzielił się w drodze na dwie części. Kilku knechtów pod wodzą nowego giermka, Jawnuty,

jechało o staję w przodzie, bacznie obserwując drogę, zwłaszcza kiedy szła ona lasem. Reszta oddziału jechała tuż za rycerzem.

Te środki bezpieczeństwa stały się konieczne, gdyż nad głowę rycerza Sonnenberga zawisła poważna groźba. Zaczęły się bowiem pojawiać zagadkowe przesyłki z uciętymi skokami zajęczymi, a potem nastąpił napad. Ów Benko mianowicie w czasie jednej z podróży brata Sonnenberga urządził na niego zasadzkę. Tylko dzielna postawa knechtów i wyjątkowe poświęcenie nowego giermka, który własną pierś osłaniał swojego rycerza, wyratowały go z opresji. Napastnicy zostali odparci. Pozostawili dwóch swoich ludzi na drodze i uciekli, kryjąc się w gąszczu lasu. Padło również paru knechtów z orszaku rycerza, a reszta była mocno poturbowana. Giermek powiedział potem rycerzowi w poufnej rozmowie, że rozpoznał wśród napastników Benka.

Zdarzenie to było kolejnym potwierdzeniem rodzącego się poglądu rycerza Sonnenberga, że strata Venta nie była znów tak bardzo dotkliwa. Nowy giermek bowiem okazał się bardziej sumienny, dokładny i staranny zarówno o osobistą wygodę rycerza, jak i o stan wierzchowców i rycerskiego sprzętu. Fakt zaś, że tylko on jeden wiedział, jak ów Benko wygląda, uczynił zeń niezastąpionego człowieka. W wypadkach bowiem zemsty osobistej — o czym Krzyżak wiedział dobrze — sama śmierć, a zwłaszcza skrytobójcza, nie była dostatecznym wyrównaniem rachunków. Pełne zaspokojenie dawało tylko zabójstwo krzywdziciela dokonane ręką skrzywdzonego, i to w bezpośrednim starciu. Jeśli więc Jawnuta znajdował się w pobliżu, nie mogło być mowy o zaskoczeniu, a to już dawało czas na przygotowanie obrony.

Chętnie też rycerz gawędził ze swoim giermkim czy to przed spoczynkiem na postoju, czy w czasie drogi, kiedy rozmową można było rozproszyć nudę podróży, zwłaszcza że brat Sonnenberg nie lubił wokół siebie ciszy i milczenia.

Podczas tych rozmów giermek odzywał się mało, ale umiał krótkim, w porę rzuconym pytaniem podtrzymać temat lub nadać mu nowy, równie ciekawy kierunek. Wreszcie Jawnuta znał tajemnicę rycerza, przeto i w tym zakresie nie potrzebował on hamować swojej chęci do zwierzeń. I nie hamował. Najchętniej mówił o zgryzocie, co niby zadra tkwiła mu w sercu. Rozmawiał się bowiem w kobiecie, która odpłacała mu wzgardą. Pragnął jej, weszła mu w krew, jakby już innych kobiet na świecie nie było, ale pragnienie

to mógł zaspokajać, tylko biorąc ją siłą, bo stale stawiała mu opór. Wciąż więc na nowo zadawał swej brance gwałt, rozumiejąc jednocześnie, że w ten sposób tylko pogłębia jej nienawiść. Nie widział dla siebie wyjścia, to zaś, że mógł o tym z kimś mówić, ujmowało sercu ciężaru.

Zza stoku wzgórze ukazało się kilka chłopskich wozów spieszenie zjeżdżających w bok na widok zbrojnych. Przedni oddział zatrzymał się przy nich na chwilę, po czym ruszył dalej. Kiedy z kolei ich mijali, rycerz nawet na chłopków nie spojrzął, tak pewny był Jawnutowego oka.

Ponieważ zaczęło mu się nudzić, pchnął knechta do przodu, aby przywołał giermka. Po chwili jechał on, zgodnie ze zwyczajem, po lewej stronie, zważając, by koński tęb nie wysforował się przed postać rycerza.

— W brzuchu mi już kręci, chyba pora zrobić postój — rzucił Sonnenberg przez ramię, kiedy kątem oka dojrzał giermka przy sobie.

Benko spojrzął na niebo.

— Jeszcze nie południe. Podciągniemy z milę i dopiero wtedy się zatrzymamy.

— Bodaj psy zżarły taką służbę! Tłucze się człowiek po gościńcach jak wędrowny kramarz! I Witold, i Władysław nasyłają nam wciąż szpiegów, opędzić się już nie można!

— Toteż nie wiem, czemu komturowie od razu nie wieszają tego robactwa, miast przysparzać nam tyle mitręgi... Mało co siedzicie w Malborku, panie.

Sonnenberg sapnął ze złością.

— Taka to już służba! Ale od razu wieszać też niedobrze. Zdarza się czasami coś ciekawego od nich wydobyć. Potem, skrawek dokładając do skrawka, niejednego można się dowiedzieć.

— W Orniecie chyba wytchniemy?

Sonnenberg obejrzał się nieco za siebie, by przekonać się, jak daleko jest podążający za nim oddział.

— Diabła tam! Mam wiadomość z Torunia, że złapali jakiegoś nowego ptaszka! Ale że czekał do tej pory, niech jeszcze poczeka! Wprzód skręcimy na Barciany. Ckni mi się za tą przeklętą babą...

Giermek, jak zwykle, nie podtrzymał tematu.

— Toruń może być jednak ważny. Co donoszą o owym pojmanym?

— Ponoć przybył z Polski, bo mu porwano dziewczkę. Może to i prawda, ale powód tego porwania każe być ostrożnym...

— Jeśli ją miłuje?

— Myślę, że nie o miłowanie tu chodzi, a zresztą może nawet nie wie, dlaczego została uprowadzona. W tym właśnie muszę się rozeznać.

— Co Zakonowi po dziewczce? Żeby to jeszcze był rycerz, okup mógłby dać... — Giermek wzruszył ramionami.

— Była zakładniczką, a obecnie przyobiecano ją niejakiemu Vogelwederowi z Krakowa. Ale chyba nie do łoża — Sonnenberg roześmiał się — bo dla takiej przyjemności nie płaciłby za nią pięćset grzywien! Widzisz więc, że dziewczka może być droższa od rycerza!

— Po co ona owemu Vogelwederowi, i to za taką cenę?

— Potrzebna mu, bo coś tam o nim wie, więc kupiec płaci za bezpieczeństwo. W lipcu ma wpłacić pieniądze, a nasi bracia terminów przestrzegają, zwłaszcza jeśli grosze mają otrzymać!

Rycerz znów się roześmiał, po czym dorzucił:

— A jak już coś w garści trzymają, to za byle co nie popuszczą!

Benko przypomniał sobie parę skąpych słów Berta o poszukiwaniach porwanej przez brodaczy dziewczyny. Pozwalały jednak na domysł, kto dostał się do toruńskich lochów. Była to zła wiadomość, ale na szczęście miał czas jeszcze ją przemyśleć. W każdym razie nie należało teraz dalszymi pytaniami budzić czujności niebezpiecznego rozmówcy. Ojciec Erazm w czasie niedawnego spotkania nakazał dbać bardziej niż wprzódy własne bezpieczeństwo, służba bowiem przy boku Sonnenberga dawała zgoła inne możliwości niż praca na Podzamczu, i o tym, jak i o danej przysiędze, surowo przykazał pamiętać. Toteż pamiętał, ale z buntem wściekłością w duszy, bo przysięga ta gniotła go niby twarde wędzidło zwłaszcza teraz, kiedy wroga miał wreszcie w zasięgu ręki.

Milczał więc, zastanawiając się, kim był Vogelweder i jaki pożytek z tej wiadomości będzie miał ojciec Erazm?

Sonnenberg po rzuceniu ostatniej uwagi jechał jakiś czas w milczeniu. Konie szły kłusa, chrzęszcząc uprzężą i dudniąc kopytami po twardej drodze. Milczenie przerwał giermek:

— Jak długo będziemy siedzieć w Ornecie?

— Kilka dni zbiegnie...

— A potem do Torunia?

— E tam...! — Rycerz pochylił się do przodu i poprawił wodze wplątane w grzywę. — Wprzódy ruszymy do Barcian! Chcę sprawdzić, jak ją tam chronią na nowym miejscu, bom po Ventowej śmierci

schowanie musiał zmienić, jako że stare ów Benko odkrył. A i cknę mi się bez niej, choć taka oporna. — Zastanowił się chwilę. — A może właśnie dlatego?... Jak jej dłużej nie widzę, miejsca znaleźć trudno, a jak znów jestem przy niej, muszę hamować złość, by nie uchwycić tej pięknej szyi w palce, nie zdusić i skończyć wreszcie z tą szarpaniną, co miota człkiem między gniewem a żądzą...

Benko zacisnął usta i pobiegł spojrzeniem ku skrajowi lasu, który granatową wstęgą wił się po pobliskich stokach. Och, co za męka! Przeklęty Erazm i przeklęta niech będzie ta przysięga! Duszę lepiej zgubić, niż słuchać tych słów! Utopić z nagła miecz w tym psim gardle i niech knechty potem rozsieką. Lepsze to niż ogień we wnętrzu, który ten gad wciąż podsycy! Przeklęty Bóg, co ustanowił świętość przysięg, plwać na Jego potępienie...

Mimowolnym gestem przeżegnał się, bo uprzytomnił sobie, że bluźni.

— Co ci? — zdumiał się rycerz. — Dlaczego się żegnasz?

Benko się opamiętał.

— Bom grzeszne słowa usłyszał. Żądza i gniew to najcięższe grzechy. Przecie mnichem jesteście...

Sonnenberg wybuchnął gromkim śmiechem, aż ściana lasu odbiła go echem.

— Mój że ty pobożny człeczyno! Pewnie, żem zakonny brat, ale my zakon wojowników! A cóż warte rycerskie serce, w którym gniew nie wzmacnia siły ramienia, a żądza stawy nie pcha do czynów! Oto masz i żądzę, i gniew godne pochwały! Zatem kazań mi nie praw, bo my wprzód rycerze, a potem mnisi! — Zamilkł, po czym dorzucił już z drwiną: — A jako mnisi, jedno mówimy, a drugie czynimy...

— Ależ przecież Świętej Pannie służycie i pod Jej imieniem.

— Prawda to, lecz służymy mieczem, a inna to służba niż po zwykłych zakonach. Przeto i ubóstwo naszemu Zakonowi obce, bo kto mieczem chce władać, temu pieniądź potrzebny. Toteż wszyscy zabiegamy, aby go przysparzać, bo to nawet od miecza silniejszy oręż władania. Nie dalej przecież jak kilka niedziel temu Marek z Norymbergi i Krzysztof Gersdorf dla

swego pana, Zygmunta, czterdzieści tysięcy węgierskich złotych od nas pobrali. Niby to za Marchię, którą i bez tego dzierzymy, a w rzeczywistości za przyrzeczenie, że nie zawrze Luksemburczyk żadnego przymierza nam niemiłego. Wzmacnia to nas bardziej niż sto chorągwi, bo wiąże Władysławowi ręce na południu. A co to sprawiło? Nasza zasobność i bogactwo. Polityka kosztuje, tak jak wojna...

— Wiem coś o tym, bom słyszał o wydatkach Witolda...

Sonnenberg uśmiechnął się.

— Teraz ma większe, bo sposobi wojska, i to przeciw nam.

— Pewne to? — Benko przesunął się z koniem, zdradzając zainteresowanie. Mógł sobie na to pozwolić, bo temat był mu przecież bliski.

— Może Bóg da, że wreszcie skręcicie mu kark!

— Możesz być pewny, że się o to staramy, i to zanim dojdzie do rozprawy wojennej. Tym razem Świdrygiełło da sobie chyba z nim radę, mimo że Witold oka z niego nie spuszcza!

— Jak słyszałem, pogodził się z nim za wstawiennictwem moskiewskiego Wasyla?

— Witold pozwolił wrócić Świdrygielle na Litwę, chcąc uniknąć zbrojnej rozprawy z Moskwą. Musi mieć spokój na wschodzie, by zająć się nami. Ale jeśli Świdrygielle powiedzie się, do rozprawy pozostanie nam tylko sama Polska.

— Zatem Świdrygiełło przyjął zakonne warunki? Podobno przed naszym wyjazdem był od niego goniec?

— Nie od niego, bo w Wilnie go nie ma. Bawi teraz u Tatarów, tam zapewne również szukając pomocy. Ale więcej mi mówić nie wolno. Jedno ci jeszcze powiem: wszystko idzie ku temu, że niedługo wrócisz do siebie.

— Oby Bóg dał!

— Wrócisz, i to już wkrótce! Myślę, że za miesiąc, dwa obalimy Witolda, tyle ci mogę rzec. A teraz zarządź postój, bo już południe.

ROZMOWA Z ERAZMEM, którą tak Benko przeklinał, odbyła się natychmiast po przesłaniu przez niego wiadomości o tym, że został Sonnenbergowym giermkim. W dwa dni potem zatrzymał go na drodze ołtarzowy posługacz z kaplicy Świętego Wawrzyńca, znajdującej się na Podzamczu, i powiedział półgłosem:

— Mam przykazane ci rzec, abys o zmroku przybył do kaplicy. Zajdź od tyłu.

Benko skinął w milczeniu głową i szedł dalej. A więc i tu nie był sam... Wielu jeszcze takich jak on pełni swoją cichą służbę wśród tego ludzkiego mrowia?

Ciemność zamkniętej o tej porze kaplicy oświetlała jedynie mała oliwna lampka. W jej nikłym blasku ujrzał klęczącą przed ołtarzem postać o pochylonych plecach i twarzy ukrytej w dłoniach. Na odgłos cichych stąpań modlący wyprostował się i spojrzał przez ramię. Benko dojrzał w mroku otok siwych włosów i poznał klęczącego.

Brat Erazm podniósł się z klęczek i, skinąwszy na niego, poprowadził za ołtarz. Tam przysiadł na skrzyni z kościelnym przyodziewkiem i wskazał mu miejsce obok siebie.

— Należy ci się pochwała — zaczął bez wstępów — żeś dotarł tak blisko do Sonnenberga. To rzecz godna podziwu i uznania. Jakżeś tego dokonał?

Przez czas kilku pacierzy mówił Benko, zdając sprawę z przebiegu zdarzeń, a kiedy skończył, brat Erazm milczał dłuższą chwilę, zanim się odezwał:

— Trapi mnie w tym, com usłyszał, żeś związanego ubił, ale rozumiem, że inaczej nie mogłeś. Największe jednak zło tkwi w tym, że przyczyną śmierci, którą zadałeś, było pragnienie zemsty, a nie

dobro sprawy, której służysz. Ani na chwilę nie pomyślałeś, jak cenne wiadomości możesz tą drogą uzyskać! Tylko zemstę, bracie, miałeś na oku, nic więcej... I to ci muszę wypomnieć — pokręcił głową.

— Nie gańcie mnie, ojcze! — W głosie Benka zadrgała prośba, ale i rozgoryczenie. — Wypominacie mi zemstę, nie bacząc, że ona mi tylko została i ona tylko trzyma mnie przy życiu. Odejmijcie mi tę nadzieję, a nie będę już zdalny do niczego. Pamiętam jednak o przysiędze, chociaż cięży mi ona niby kamień u szyi. Wiem, że bez waszej pomocy nie byłbym tu, ale nie żądajcie ode mnie zbyt wiele! Jam nie bezduszny głaz, lecz ciężko doświadczony przez Boga człowiek!

— Ale właśnie o Bogu pamiętaj! Przysiękłeś Mu... On patrzy na ciebie i widzi, czy dochowujesz słowa...

— Bodajbym oniemiał przed tą przysięgą! — wybuchnął Benko, tracąc panowanie nad sobą. Poczł dłoń tamtego opadającą mu na kolano.

— Współczuję ci, bracie... Wierz mi, że cierpię wraz z tobą, ale nie wolno nam — i mnie, i tobie — czynić inaczej. Pomijam miłosierdzie chrześcijańskie i nie upominam cię, abys zemstę pozostawił wyrokowi boskiemu, ale żądam jedynie, abys jej spełnienie odłożył. Zbyt cenna dla nas jest osoba Sonnenberga i zbyt ważne można od niego uzyskać wiadomości, by ich źródło wysuszyć mieczem. Zemsta musi poczekać, bo to prywatna, a ja, com cię tu wysłał, nie prywatnie służę.

— Ale w hańbie mi niewiastę ostawiacie! — jęknął Benko.

— A ty co w zamian dla niej szykujesz? Śmierć? — zapytał cicho Erazm. — Gorsze to, bo ostateczne... To nie poprawa losu, lecz jego przecięcie, do czego, nawet mężem jej będąc, prawa nie masz. Dola jej ciężka, ale hańba nie jej. Tego, co się stało, już się nie odmieni, a Sonnenberg — żywy — zbyt nam potrzebny, o czym cię upominam jeszcze raz. O los zaś twojej niewiasty nie ty jeden się troszczysz, jest jeszcze ktoś, kto nie mniej nad tym cierpi.

— Myślicie o Hubercie z Borów?

— Tak, bo to jej brat. Już mu zezwoliłem, aby cię w poszukiwaniach zastąpił. I myślę, że da sobie radę, a jego bezpieczeństwo mniej w tej chwili ważne niż twoje. Widzisz więc, że i ja o twojej niewieście pamiętam i chrześcijańskiej duszy w biedzie nie ostawiam.

— A kiedyż uwolnicie mnie z przysięgi?

— Jak rozprawimy się z Zakonem. A bliska to już chwila.

Benko jęknął.

— Co dla was bliskie, dla mnie wieki trwać będzie! Rok, dwa albo i więcej to dla narodu chwila, ale dla jednego człowieka to szmat czasu! Nie strzymam, ojcze!

— Jak Bóg zezwoli, niewiasta twoja będzie wolna wcześniej. A zemstę wstrzymasz, bo tak trzeba.

— Wojna, a jej koniec to różne terminy! Jak będzie wojna, ten pies ruszy na nią i nic już nam po nim! Wojna niech mnie zwalnia z przysięgi!

Po chwilowym milczeniu Erazm rzekł przyzwalająco:

— Może tak być. A teraz słuchaj uważnie, co chcę ci rzec.

Benko skłonił głowę, rad z uzyskanej zgody.

— Teraz, kiedy przydatność twoja wzrosła niepomierne, musimy przede wszystkim dbać o twoje bezpieczeństwo. Nie wolno ci za nikim się wstawiać ani nikogo ratować, choćbyś wiedział, że to nasz człowiek, i choćby tracili go w twoich oczach. Ty masz być rzetelnym doradcą, opiekunem i gorliwym sługą swego pana. Musi cię potrzebować i ufać we wszystkim. Ja zaś zatroszczę się, aby wzmóc twoją przydatność.

— Jak to chcecie uczynić?

— Zaraz ci powiem, bo musisz to wiedzieć. Wziął cię do siebie, bo boi się owego Benka, a ty jesteś jedynym człowiekiem, który wie, jak jego wróg wygląda. Należy więc sprawić, aby czuł, że ów Benko krąży wokół niego, że jest bliski i groźny. To umocni twoje bezpieczeństwo i znaczenie. Wkrótce zdarzy się, że w czasie drogi was napadną. Zakażę użycia kuszy, a z bronią sieczną powinniście dać sobie radę, bo napastników nie będzie zbyt wielu. Ty broń Sonnenberga własną piersią i nie zważaj, jeśli usieczesz parę łbów. Potem mu powiesz, żeś rozpoznał wśród napastników jego prześladowcę.

— Kiedy ów napad się zdarzy?

— Nie potrzebujesz tego wiedzieć, bo możesz się zdradzić. Poza tym Sonnenberg będzie otrzymywał na niektórych postojach przesyłki, ale tak, by doręczyciela nie można było przychwycić.

— Co chcecie przestać?

— Znak groźby, ale taki, aby musiał go odgadnąć. Znaczenie zbyt głęboko ukryte nie będzie. — Erazm podniósł się ze skrzyni. — Pamiętaj o tym, com ci mówił, bracie, i idź z Bogiem!

W BARCIANACH ZASTAŁA SONNENBERGA wieść o powstaniu na Żmudzi. Wybuchło ostatniego dnia maja, obejmując kraj niby ogień suchą trawę stepu. Bezpośrednim jego powodem stało się polecenie nadesłane z Malborka do żmudzkiego wójta, by odbierał bojarom dzieci, które jako zakładnicy miały stać się gwarantami wierności wobec Zakonu, bo ponoć pojawili się tajemni wysłannicy wzywający ludność do oporu.

Co znaczniejsi więc żmudzcy bojarzy, jak Nigaiłta, Lanskwid, Argatła i inni, postali swych synów, ale na Witoldowy dwór, by tam, a nie w Malborku byli zakładnikami ich wierności.

Szły po Żmudzi wieści, że wielki książę z ogromną siłą ruszył na Królewiec, inne głosiły, że natychmiast po żniwach całą mocą uderzy na Zakon. Już zeszłego roku ciemiężony bezlitośnie kraj porwał za broń, jednak

pożogę buntu Zakon ugasił potokiem krwi. Tym razem jednak powstanie zostało przygotowane dokładnie. Wysłannicy Witoldowi docierali wszędzie, podniecając gniew uciskanej ludności, tajnymi drogami poprzez leśne ostępy szła broń, zaopatrzenie i pieniądze.

Mimo sześćoletnich rządów Krzyżaków i głoszenia przez nich chrześcijańskiej wiary, w niedostępnych borach nad Niewiażą żmudzki Kriwe–Kriwejte, czczony jak niegdyś, ogłosił wolę bogów, by lud nie nadużywał dłużej ich cierpliwości i skończył wreszcie z obcymi bluźniercami. W świętym zaś borze Wentis, w dolnym biegu Niemna, wciąż niedostępnym dla obcych, odbywały się narady kapłanów i bojarskiej starszyny.

Zjawiły się też z Litwy zbrojne oddziały, by walczyć pod powstańczymi znakami. Ogólne kierownictwo objął zaufany wielkiego księcia, Rumbold Wolimontowicz.

Nagłość działań, ich zasięg i sprawność były powodem, że tym razem krzyżackie jarzmo pękło. Oddziały rozestane dla odbierania dzieci zostały wybite do ostatniego ciury. Nie przepuszczono żadnemu z zakonnym pfliegerów.

Stało się to mimo poleceń wielkiego kniazia, który rozkazywał: „...Gdziekolwiek spotkacie kilku Niemców, nie czyncie im szkody, włos z ich głów niech nie spadnie bezkarnie, gdyż nie chcę i nie życzę sobie, aby uważano mnie za takiego, który by pierwszy krok do wojny uczynił z Niemcami”.

Chociaż nienawiść do ciemieńczy była silniejsza niż strach przed dalekim księciem, w większości wypadków przywódcy panowali nad sytuacją, nie dopuszczając do palenia wsi kolonistów i dobywania grodów, do czego rwali się wojowie. W myśl poleceń otoczono jedynie krzyżackie zamki zasiekami, przekopano wiodące ku nim drogi, obwarowano wszystkie przejścia i szlaki, odcinając całkowicie krzyżackie załogi. Uczyniwszy to, nie wypuszczono broni z rąk, czekając na obiecany sygnał ostatecznej rozprawy.

Szczęk tego oręża echo przyniosło do Malborka; od żmudzkich ostępów szła groza bliskiej wojny. Zakon zrozumiał, że nadchodzi czas wielkiej rozprawy.

Skutkiem tych wieści Sonnenberg poniechał chwilowo zwykłych swych czynności, omawiając z zamkową starszszą ostatnie zdarzenia i ich dalszy przypuszczalny rozwój. Nie poniechał jednak odwiedzenia swojej branki.

Miało się ku wieczorowi następnego dnia po przybyciu, kiedy wróciwszy do swej komnaty polecił czekającemu nań giermkowi sposobić się do wyjścia. Życzył sobie bowiem, aby mu towarzyszył, tak jak dawniej Vento. Pójdą piechotą, bo to niedaleko, a zresztą wyjazd zwróciłby zbytnią uwagę.

Wyszli ubrani w zwykłe szare kubraki, żeby strojem nie przyciągać ku sobie ciekawych oczu. W bramie rycerz kazał przywołać starszego straży i zamienił z nim półgłosem kilka słów. Dla tak znacznego gościa zwodzony most mógł pozostać nieco dłużej na fosie, zwłaszcza że zapewne dobro służby wymagało, by wrócił nieco później na zamek.

Za bramą Sonnenberg skręcił w bok i jakiś czas szli brzegiem Stawu Wielkich Młynów. Potem droga zaczęła się od niego oddalać, zagłębiając pomiędzy podzamkowe zabudowania. Minęli parę skleconych z desek szop, potem jakieś ogrody pełne zieleni i kwiatów. Po chwili rycerz znów skręcił i weszli na ścieżkę biegnącą pomiędzy drzewami, wśród których tu i ówdzie widać było dachy mieszkalnych domostw i okalające je palisady.

Szli szybko i w milczeniu, każdy pochłonięty swymi myślami. Może też dlatego nie zwrócili uwagi na małego chłopca, który wymknął się za nimi z zamkowej bramy.

Wreszcie Sonnenberg przystanął przy jednej z takich palisad i gwałtownie uderzył żelazną kołatką wiszącą obok furty.

Po chwili niecierpliwie powtórzył sygnał.

— Gleich, gleich — odezwały się po drugiej stronie niemieckie słowa i rozległ się stuk odsuwanych rygli. Benko ujrzał tęgą, barczystą kobietę o nalanej białej twarzy, czarnych, nieco przyprószonych siwizną włosach i równie czarnych oczach, które patrzyły przenikliwie i wrogo, jednak na widok rycerza pojawił się w nich wyraz służalczej gotowości, a na ustach przymilny uśmiech.

— Proszę, wasza wielmożność! Proszę...

— Witam, pani Stein! — Rycerz minął furtę i skinąwszy na Benka, by szedł za nim, ruszył ku domowi. Pani Stein obrzuciła giermka szybkim, lustrującym spojrzeniem, potem, zamknąwszy furtę, pośpieszyła za przybyłymi.

Zatrzymali się przed murowanym domem. W stromym dachu, pomiędzy dwoma gorgulcami, Benko ujrzał wykusz mansardy o jednym oknie.

— Wszystko w porządku? — rzucił przez ramię rycerz, zatrzymując się przed drzwiami.

— W porządku, wasza wielmożność. Nasza gołąbeczka czuje się dobrze i na pewno tęskni za wami.

Weszli do sieni wykładanej kamiennymi płytami. Przy jej tylnej ścianie biegły schody prowadzące na piętro.

— Zamknięta, jak przykazałem? — burknął rycerz, nie zwracając uwagi na ostatnie słowa kobiety.

— A jakże, wasza wielmożność! Strzeżemy jej pilnie, i ja, i Paul. Mąż teraz w ogrodzie, ale ja siedziałam w domu...

— Gdzie klucz? — przerwał bezceremonialnie Sonnenberg.

Pani Stein pobiegła ku drzwiom widocznym pod schodami i po chwili wróciła z wielkim żelaznym kluczem.

— Oto jest, wasza wielmożność! Może zanieść na górę piwa?

— Nie trzeba! Giermek będzie tu czekał na mnie. Dajcie jemu!

— Zaraz przyniosę! — zakrzętnęła się jejmość, starając się okazać gotowość do usług.

Benko, widząc tę krzątanicę, domyślił się, że opłata za schronienie branki musiała być wysoka.

— I ja nie będę pił — powiedział, starając się nadać głosowi normalne brzmienie. — Poczekam w sadzie — zwrócił się objaśniająco do rycerza. — Stamtąd będę miał lepsze baczenie.

— Czekaj, gdzie chcesz, abyś baczył pilnie, bo ostrożność nie zawadzi. Czort wie, czy tamten nie czai się gdzieś blisko.

— Bądźcie spokojni... Nie zaśpię... — Giermek obrócił się do wyjścia, skrywając w ten sposób twarz, a rycerz ruszył ku schodom.

W tym czasie schowany za drzewem chłopak rozejrzał się wokoło, by dobrze zapamiętać położenie domu, po czym, wysunąwszy się z ukrycia, biegiem ruszył w powrotną drogę.

Benko wyszedł z sieni i, półprzytomny, skierował się pomiędzy drzewa sadu. Szedł pochylony, co parę kroków tracąc równowagę jak zmorzony trunkiem. Był otępiały, oszołomiony miotającą nim burzą nienawiści, pragnienia mordu i skręcającej trzewia zazdrości. Jednocześnie przygniatało go poczucie bezradności i żalu do nieznanym, pastwiących się nad nim mocy. Dominowało wśród tego chaosu odczuć jedno: że wreszcie znalazł swoją

ukochaną, dotarł do niej, że jest ona tuż za ścianą tego domu, a pozostaje dla niego nadal również nieosiągalna, jakby była odległa o tysiące mil. Że nadal nic nie może uczynić, by nieść jej ratunek, by ochronić przed pohańbieniem. I to było chyba jeszcze gorsze niż wszystko, co dotychczas przecierpiał. Bo teraz, odnalazłszy, musiał czekać cierpliwie, aż tamten nasyci się jego niewiastą.

Upadł na trawę i skrywszy w niej twarz, wpił palce w ziemię. Teraz tamten jest u niej... teraz... teraz... Ta jedna myśl, niby stalowe sztydło, wierciła mózg.

Nie masz litości, Wszechmocny Boże, żeś taką mi zgotował dolę? Ubiłem sługę, by dosięgnąć pana, mam go w zasięgu ramienia, tylko palce zawrzeć na grubym karku, i nie wolno mi, właśnie dlatego, że jestem w jego pobliżu... Po co tedy cały trud, wysiłek i własną ręką zadawane sobie cierpienia, kiedy przez to dalej się znalazłem, niżem był?

Co za przekleństwo rzuciłeś na mnie, com zgrzeszył, że tak okrutnie plączesz mi drogę? I jaki grzech cięższy: złamać przysięgę czy pozwalać na poniewierkę swojej niewiasty? Czy nie ma z tej matni wyjścia?

Nagła, twarda i już bez wahań powzięta decyzja przerwała ten tok rozpaczliwych myśli. Precz z upomnieniami, precz z zakazami! To on, ten mnich, wepchnął go w to bagno, które, wessawszy, skrępowało ruchy! Omotał, wciągnął, a teraz ostrzega i grozi. Nie ma innego wyjścia...

I tak w skrytych myślach dawno została skazana, ale księżę słowa tumaniały, wahał się... Zabiwszy, skończy z poniewierką niebogi i własną męką. Wtedy i z zemstą lżej będzie czekać. Niech więc śmierć przetnie węzeł, którego rozwikłać nie sposób!

Obrócił się gwałtownie na plecy i usiadł. Skroś gałęzie drzew widział wyraźnie zarysy domu i jego stromy dach. To nadbudowane okno będzie jej... Oglądał, szczegół po szczególe, cały budynek. Już wiedział, jak po gzymisie dostanie się do okna. Błonę rozetnie mieczykiem bez zbędnego hałasu. Trzeba tu być tuż przed brzaskiem, ludzie wtedy śpią mocno. Zyta krzycheć nie będzie — zrozumie, że nie ma innego wyjścia...

Potem zaczął się zastanawiać, jak przebyć zamkowe mury i jak powrócić. Wystarczy kawał liny, straż niezbyt liczna i na pewno drzemiąca po kątach. Przy jakim takim szczęściu można wyjść i wrócić niezauważonym. A potem

będzie, że ów Benko... Śledził ich i zabił żonę. Roześmiał się gorzko i stanął na nogi.

Powzięta decyzja przyniosła mu ulgę. Łatwiej przychodziło teraz znieść świadomość bezradności tak zupełnej, że musiał stróżować gwałciciela własnej żony.

Toteż kiedy wkrótce ujrzał na twarzy wychodzącego Sonnenberga dwie naszłe krwią szramy biegnące przez cały policzek, tylko krótki, zimny uśmiech przewinął mu się przez wargi.

Boczną furtę w zamkowej bramie zastali otwartą i czekającego przy niej dowódcę straży.

— Wasza miłość — zatrzymał Sonnenberga — szukał was nasz kapłan. Przybył goniec z pismem i wielebny chciał wam powiedzieć, że macie jak najspieszniej jechać do Elbląga. Bawi tam wielki mistrz, który nadesłał wam wezwanie.

Sonnenberg skinął głową.

— Przypuszczałem, że tak będzie — zwrócił się do Benka. — Przykaż pachołkowi, by czuwał nocą i zbudził cię przed świtem. Dopilnujesz, by oporzędzono konie, bo ruszamy o pierwszym brzasku!

Benko zacisnął usta i bez słowa skinął głową. Los istotnie zawziął się na niego.

WIEŻA STRAŻNIKÓW, WIELKA, kwadratowa budowla, stanowiła jeden z obronnych segmentów murów miejskich. Parter zajmowały magazyny, zbrojownie i izby wartownicze, na piętrze znajdowały się pomieszczenia fiertelmanów, a w piwnicy cele więzienne dla pojmanych. Była tam również sala przesłuchań i tortur, oświetlona tylko małymi oknami, których otwory, niby tunele, przebijały grube kamienne mury fundamentów. Toteż w razie potrzeby oświetlano ją pochodniami zatykanymi w specjalne gniazda zamurowane w ścianach.

Przesłuchań dokonywał imć pan pisarz miejski, a w wypadkach ważniejszych nawet sam jego wielmożność radca miasta do spraw spokoju i porządku publicznego. Zdarzało się również, że ów przekazywał więźnia w ręce służebnego brata, którego z knechtami przysyłał z zamku jego pan, komtur Jan von Sayn.

Czarny, po pojmaniu go przez strażników, został umieszczony w jednej z podziemnych cel tej wieży. Była ona dość obszerna, bo przeznaczona dla

kilku więźniów, jak o tym świadczyły cztery pary łańcuchów zamocowanych w ścianach, po dwie z każdej strony.

Jedno małe okno w ścianie środkowej, zabezpieczone grubymi żelaznymi prętami, znajdowało się pod samym sklepieniem. Kupy starej, przegniłej słomy, rozrzucone pod ścianami, stanowiły legowiska przeznaczone dla więźniów.

Przy świetle uniesionej ku górze pochodni założono mu na ręce bransolety będące zakończeniem każdej pary łańcuchów, po czym zatrzaśnięto na nich zamki. Cela nie była zajęta, toteż po chwili pozostał w niej sam.

Długość łańcuchów pozwalała na względnie swobodne wyciągnięcie się na słomie. Położył się więc, nie zważając, że była brudna i wilgotna. Ale nie spał przez całą noc, przemyślając nad tym, komu zawdzięczał swoją obecną sytuację. Wreszcie, zmorzony, usnął dopiero nad ranem.

Obudził się, kiedy już z okienka padała na kamienie podłogi ostra smuga światła, rozpraszając nieco mrok celi. Stanął na nogi i dzwoniąc łańcuchami, przeciągnął się, bo bolały go wszystkie kości.

Cela miała z sześć kroków szerokości, a długa była na dziesięć. Łańcuchy, podobne do tych, którymi był przykuty, zwisały również na przeciwległej ścianie, umocowane na długich skoblach zakończonych uchami.

Obejrzał się za siebie. Taki sam skobel miał nad głową — gruby kawał żelaza wpuszczony w fugę między dwoma kamieniami muru. Bransolety były dość luźne, ale nie na tyle, by można było przesunąć przez nie dłoń.

Żelazne drzwi zamykały dwa potężne rygle zasuwane od zewnątrz. Nawet gdyby miał swobodę ruchów, nie sposób było wydostać się z celi, a cóż dopiero, kiedy odsunąć się od ściany można było najwyżej na dwa kroki.

Siadł na ziemi i, objąwszy ramionami kolana, oparł się plecami o zimne kamienie muru. Trzeba było zastanowić się, co należy ukryć, a o czym mówić.

Gdzieś koło południa szcęknięły rygle i wszedł barczysty, brodaty chłop ubrany w sukienne, mocno wyświechtane spodnie i skórzany kubrak. Postawił przy ścianie kubek z wodą i miskę kaszy z kawałkiem chleba.

— Masz, żryj! — rzucił krótko, ale bez złości. — Ma ci starczyć i na wieczkę.

— Gościna nie za bogata... — Czarny uśmiechnął się, chcąc sobie zjednać strażnika.

— Sobakom, co przybywają do nas, by węszyć, to i taka za dobra!

— Posądzacie mnie o to?! — Czarny okazał zdumienie. — Ależ, wielmożny panie, przysięgam na zbawienie duszy, że żaden ze mnie postrzegacz! Dziewki swojej przybyłem szukać, bom zwiedział się, że zakonni panowie ją pojmali!

Strażnik roześmiał się hałaśliwie.

— A jeśli nawet i porwali! Toś spodziewał się, że ją sobie tak, bez zachodu, odbierzesz?! Alboś głupi, albo coś skrywasz, bratku.

— Nic nie skrywam! Przybyłem tu, by błagać o uwolnienie dziewczyny, albo jak inaczej nie pójdzie, targować się o okup.

Strażnik wzruszył ramionami.

— *To nie moja sprawa! O tym będziesz z panem pisarzem gadał, a ten, jak zwącha, że łiesz, odda cię w ręce małodobremu. Moja sprawa dać ci żryć i pilnować, abyś tu siedział!*

— *A kiedy ten pisarz zechce przyjść? Długo mi tu siedzieć?*

— *Tak ci pilno na przesłuchanie? Nie radzę spieszyć, bo z tym różnie bywa. Jeszcze możesz prosić Boga, aby o tobie zapomnieli.*

— *I co? — Czarny nadal starał się nie wychodzić z roli naiwnego człeczyny. — I ostać tu...?*

— *A cożeś myślał? Że komu pilno? Im dłużej pojmany siedzi, tym chętniejszy do gadania.*

— *O ja nieszczęsny! Com wam zawinił? Za miłowanie tak muszę cierpieć! Jedyna pociecha, że w was znalazłem dobrego człowieka.*

Brodacz uśmiechnął się z łaskawą wyrozumiałością.

— *Pewnie, że wam, psubraty, życzliwości nie skąpię... Chyby że mi należytego respektu nie okazujecie. Ale ja mam służbę tylko w dzień. Na noc przyjdzie drugi. Jego się strzeż, bo bez kańczuga nie chodzi, a do użycia go więcej jest skory.*

— *Więc tylko we dwóch tu stróżujecie? Toć to nadmiar roboty! Przecież sam tu nie siedzę, więźniów macie na pewno więcej...*

— *A jest ich ze dwudziestu... Ale z robotą sobie radzimy, bo każdy z nas ma pachotków do pomocy, a w razie potrzeby są i strażnicy na górze.*

— *Żaden z więźniów nie próbował ucieczki?*

Strażnik roześmiał się głośno.

— *Jak piętnaście lat tu jestem, takiego wypadku jeszcze nie było! I bez naszej pieczy łańcuchy mocno trzymają!*

— *Oj tak... I uwierają mocno, spać nie dając — jęknął Czarny.*

Brodacz wygiął pogardliwie usta i skierował się ku drzwiom. — Przyzwyczaisz się, czasu ci starczy...

— *Jeszcze jedno, panie — zatrzymał go Czarny.*

Strażnik odwrócił się, marszcząc brwi.

— *Czego znów? — mruknął. — Widzi mi się, żeś zbyt gadatliwy. — Tym razem w głosie dozorczy zadrgała nuta groźby.*

— *Kogo mam spytać o rzeczy, com miał przy sobie? Nóż, sakiewkę z paru skojcami, a głównie święty medalik. Odebrano mi nocą.*

Brodacz wykrzywił się w złośliwym uśmiechu.

— *To i nocną zmianę pytaj! Ale nie wiem, czy wyjdzie ci to na zdrowie.*

— Dziękuję wam, panie, za to ostrzeżenie.

A więc nóż miał nocny strażnik. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem i zaraz rozległ się dwukrotny zgrzyt rygli.

Pierwszy dzień uwięzienia wlokł się na nieruchomym zmaganiu z czasem. Każdą mijającą minutę Czarny przeżywał, jakby oddzielnie pokonując jej trwanie. Był to najgorszy dzień ze wszystkich, jakie dotąd przeżył.

Wreszcie minął i on: słaba światłość ledwie rozpraszająca mroki celi poczęła zagasać i zrobiło się ciemno. Ciemność ta jeszcze bardziej zwolniła bieg czasu. Bert musiał mocno wziąć się w garść, by nie szarpać łańcuchami i krzykiem nie wyładować ogarniającego szaleństwa niemocy.

Wreszcie po długim trwaniu z głową wspartą na podciągniętych kolanach usłyszał za drzwiami ciężkie stąpanie, a potem stuk rygli.

Drzwi otworzyły się i na progu ukazała się niska, tęga postać, oświetlona latarnią trzymaną tuż nad ziemią przez długie grube jak konar ramię. Przybyły wszedł do celi, dzwoniąc pękiem kluczy zwisających u pasa, za którym Czarny dostrzegł od razu rękojeść swego noża.

Latarnia stanęła na ziemi. Czarny, unosząc głowę, dojrzał najpierw wygięte pałkowato, klockowe nogi. Jednocześnie usłyszał nagły świst i płomień ostrego bólu ogarnął mu głowę i barki. Świst powtórzył się i znów ból niby cięcie noża przeniknął ciało.

Zerwał się z postania, zastaniając ramionami głowę. Trzecie uderzenie padło wraz ze słowami:

— Na nogi, psie, kiedy wchodzę!

Czarny spojrzął w małe oczka świecące w szparkach powiek. Twarz była okrągła, nalana, z kępami rudych włosów obrastających usta.

Przypomniał sobie ostrzeżenie dziennego strażnika. Przekonał się teraz, jak było słuszne. Rozsądek kazał nie drażnić oprawcy, któremu okrucieństwo wyzierało z oczu. Toteż kiedy tamten uniósł znów ramię, potrząsając kańczugiem o długim, grubym na palec rzemieniu i rzucił drwiąco:

— Zrozumiałeś, wasza wielmożność?

Odpowiedział mu spokojnie:

— Zrozumiałem.

— Spodziewam się! — Strażnik roześmiał się urągliwie. — I zadbam, abyś nie zapomniał! — Ujął latarnię i kołysząc się na boki, ruszył ku drzwiom.

Znów wróciła ciemność, czarna, nieomal namacalna, a wraz z nią samotna walka z czasem.

W kilka dni później stanął przed miejskim skrybą, chudym człowieczkiem, pełnym poczucia własnej ważności, o chytrym i złym spojrzeniu. Potem już do nikogo nie był wzywany i znów wiódł walkę z czasem, noc po nocy i dzień po dniu. Wlokły się i plątały ze sobą, zacierały w pamięci tak, że stracił ich

rachubę. Nieraz jeszcze spadały mu na głowę razy, przed którymi starał się chronić ramionami, nieraz musiał zaciskać usta, by nie dać ujścia wzbierającej wściekłości, tym bardziej szalonej, że bezradnej.

Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy, siedząc na posłaniu i błędząc wzrokiem po przeciwległej ścianie, zatrzymał spojrzenie na tkwiącym w niej skoblu... Takim samym, do jakiego przymocowane były i jego łańcuchy.

WIOSNA TEGO ROKU, 1409 od narodzenia Pańskiego, przysła wcześniej i była nadspodziewanie ciepła, Zwłaszcza piękne pogody przyniósł maj, toteż ziemia szybko okryła się zielenią soczystą i bujną, a na targowiskach pełno już było świeżych warzyw.

Był właśnie dzień targowy i na placu tłoczno, więc możliwość zdobyczy łatwa, tym bardziej że ludek przybyły z okolic nie odznaczał się przesadną ostrożnością. Toteż Hans Kugellot, zwany pospolicie Dziobakiem z powodu śladów po przebytej ospie, był pewien, że dnia nie zmarnuje. Przeciskał się przez tłum, rzucając wokół badawcze spojrzenia, w nadziei, że dostrzeże gdzieś beztrosko rozpiętą kaptotę. Byłaby to okoliczność pomyślna i godna bliższego zainteresowania.

Mimo słonecznego dnia i ożywionego gwaru nie był w najlepszym humorze. Do tej pory, a upłynęło już sporo czasu od otwarcia targu, nie zdarzyło się jeszcze znaleźć właściwej okazji. A musiała to być okazja nie nastrożająca ryzyka, bo złapanie „na lico” groziło sznurem, i to natychmiast, bez żadnych ceregieli i sądów. Imć Kugellot ufał jednak, że i on zdobędzie swoją szansę.

Przechodził właśnie obok stoisk rybnych i z dezaprobatą skrzywił długi nos.

— Co się tak wykrzywasz? — zagadnął go jowialnie tłuścioch stojący za deskami z rozłożonym towarem. Kupujących akurat nie było i handlarz miał okazję do pogawędki. — Śmierdzi ci mój towar, Dziobak?

Zagadnięty zatrzymał się przy straganie.

— Nie, wqcham, bo pachnie różami... Jak ci idzie, Hugo?

Tłuścioch skrzywił się.

— Szkoda gadać! Sam widzisz, że stągnie mam jeszcze pełne, a południe już blisko.

— Nie tak znów blisko — pocieszył go Dziobak i odsunął się nieco, bo do straganu podeszły dwie kobiety. Kiedy — po dłuższym utyskiwaniu na złą jakość towaru i wysokie ceny — załadowały nabyte ryby do koszyków i odeszły, przysunął się znów bliżej.

— Dawno byłeś na zamku? — spytał od niechcienia grubasa.

— Ze dwa dni temu. Tam przynajmniej nie grymaszą jak te baby. Aby tylko rybki były świeże, biorą jak leci, większe czy mniejsze...

— Nic tam nowego? Coraz bardziej gadają ludzie o wojnie. Podobno z Gdańska nadeszły krypy z zaopatrzeniem.

— Dla kogo? Przecież Polacy nie dotrą aż tu. Tczew zbyt daleko od granicy! Wieszać cię będą swoi, nie obcy!

Dziobak skrzywił się.

— Ty opasty sumie — mruknął zgryźliwie — oby cię oskubały raki do samych kości!

Hugo roześmiał się i chciał coś odpowiedzieć, ale zamilkł, gdyż do straganu podeszła nowa klientka. Była dostatnio odziana, o ptasim nosie i wygiętych z dezaprobatą ustach.

— Witam, pani Kraut! — przywitał ją handlarz. — Cieszę się, że pamięta pani o swoim pokornym słudze. Moje rybki chyba smakowały, skoro znów panią widzę!

— E, tam! — Niewiasta machnęła ręką. — Byle płocie pan sprzedaje, i to za ciężki grosz! — Kupno zaczęło się od normalnego procederu.

— Jak pani może mówić coś takiego! — Grubas udał oburzenie. — Wszyscy wiedzą, że u Hugona najpiękniejsze ryby w całym Tczewie! Sztuka w sztuce! — wskazał ręką na stojące obok stągwie. — Nawet nie trzeba wybierać!

Kobieta wskazała na okazałego szczupaka.

— Daj mi pan tego. Powinien wystarczyć.

— Rodzina powiększyła się, pani Kraut? Zapewne ktoś przyjechał w gości, bo ostatnio, chwalić Boga, więcej pani bierze.

Po tych słowach pani Kraut niespokojnie zerknęła na boki, co nie uszło uwagi Dziobaka mimo woli przysłuchującego się rozmowie.

— Tacy goście to dopust boży — mruknęła.

— Niechrześcijańskie to słowa, pani Kraut. Goście to znak boskiej łaski...

— E tam, gadasz pan, aby gadać! — Kobietę poirytowała ostatnia uwaga. — Jak za zapłatą to nie goście!

— Wzięła pani kogoś na stancję? — Hugo prowadził zdawkową rozmowę, by zabawić klientkę w czasie ważenia towaru.

— Wzięłam! — prychnęła już z wyraźną złością. Widać było, że chęć wylania nagromadzonej złości walczy w niej z ostrożnością, by nie wypowiedzieć zbyt wiele. Jednak potrzeba ulżenia sobie przeważała szalę. — Kazali, tom wzięła!

— Kazali? — zdziwił się już szczerze Hugo. — To z wójtowego przykazania macie tych gości?

— Bez tego nie brałabym takiego kłopotu na głowę, i to za parę skojców?

— Zatem jakaś biedota? I o takich wójt by się troszczył? — Teraz pytania nie były zdawkowe, gdyż Hugona zainteresował temat. O ile jednak

powodowała nim zwykła ciekawość i zamięrowanie do nowin mieszkańca małego miasta, to zainteresowanie imć Kugellota było innego rodzaju. Teraz już pilnie przysłuchiwał się rozmowie, rozglądając się jednak obojętnie na boki, jak gdyby mało go ona obchodziła.

Pani Kraut dała się ponieść fali rozdrażnienia.

— Dwie baby! Jedna młódka, a druga jędza z piekła rodem!

— Jakże się mieście? Toć z waszym starym macie tylko jedno pomieszczenie?

— Zajmują z wójtowego przykazania izbę strażniczą nad bramą. Dlatego mnie przykazali dawać im żarcie.

— Co to za jedne? Może jakoweś krewne poległego rycerza? I to zasłużonego Zakonowi, że sprawują nad nimi pieczę?

Pani Kraut znów rozejrzała się na boki i ściszyła konfidencjonalnie głos:

— Chyba nie, bo ta jędza stróżuje przy młódce jak pies. Ale nie mówcie nikomu, bo srogo przykazali milczeć.

— Może pani być spokojna. U mnie jak w torbę rzucił — zapewnił kobietę Hugo.

— Obaw też nie mam, bo znamy się parę lat — stwierdziła pani Kraut, nie zwracając uwagi na stojącego o parę kroków Dziobaka. — Wiele za rybę?

Kiedy kobieta odeszła, ten mruknął obojętnie:

— Ależ gadatliwa baba, myślałem, że nie odczepisz się od niej. Co to za jedna?

— Nie znasz jej? To żona bramnego z zamku. Dobrze, że na mnie trafiła, bo po prawdzie to jęzor w samej rzeczy ma nieco przydługi. Z naszymi panami niebezpieczna to rzecz...

— Też mają o co robić tajemnicę! — Dziobak wzruszył ramionami; — O jakieś tam baby! Niech je lichy porwie! No idę, bądź zdrów, Hugo! Postawisz do wieczery kufelek?

— Przyjdź „Pod Zielonego Węgorza”, może i postawię!

Dziobak ruszył w dalszy obchód w przekonaniu, że mimo wszystka dzień okazał się szczęśliwy. Należało teraz jak najszybciej zawiadomić Kosookiego. Pięć grzywien obiecanej nagrody to majątek. Tyle nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się zdobyć, nawet jeśli wyciągnięta sakiewka okazała się zasobna.

SKOBEL BYŁ GRUBY I BLISKO pięć cali wystawał ze ściany. Z jego okrągłego ucha zwisały dwa łańcuchy, takie same, jakimi i on był przykuty.

Przez chwilę siedział bez ruchu, pieszcząc w sercu nikły promyk nadziei. Potem wstał, by od razu przystąpić do wykonywania dopiero co zrodzonego pomysłu. Zdawał sobie sprawę, że trud to będzie znaczny i długotrwały, rezultat zaś zupełnie niepewny. Ale ta nagle dostrzeżona szansa była jedyną i należało ją wypróbować.

Ściągnął bransolety ku górze tak wysoko, jak tylko się dało, po czym z nagłą rzucił się w bok, wzdłuż ściany. Łańcuchy naprężyły się gwałtownie i szarpnęły do tyłu. Cofnął się i ten sam manewr wykonał w drugą stronę. Szarpał w ten sposób łańcuchami, potęgując siłę szarpnięcia całym ciężarem swego ciała. Po pewnym czasie poczuł, że skóra pod bransoletami piecze niby dotknięta ogniem.

Należało niestety odczekać, aż się skaleczenia zagoją.

Po kilku dniach znów mógł rozpocząć przerwana pracę. Początkowo podkładał pod bransolety skrawki płótna urwanego z koszuli, ale wkrótce skóra w miejscach nacisku zgrubiła i stała się odporna. Obecnie dnie, podzielone na okresy wytrwałej szarpaniny i krótkich odpoczynków, schodziły mu szybciej.

Przerywał swoją pracę tylko na czas wizyt strażników. Dziennego, który był mu jako tako życzliwy, i nocnego, nierozstającego się z kańczugiem. Kiedy uderzenia spadały mu na barki i głowę, Czarny osłaniał ją ramionami i starał się znosić razy bez ruchu i bez słowa protestu, gdyż przekonał się, że wówczas grubas najczęściej tracił zainteresowanie swoją ofiarą.

Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy w pewnej chwili poczuł, że skobel wyraźnie się poruszył.

Zatrzymał się i wierzchem dłoni przetarł czoło. Dzika radość przepełniła mu serce, ale zaraz naszała też wątpliwość. A może uległ złudzeniu?

Rozejrzał się po celi. Dzień miał się ku schyłkowi i różowy mrok zaczął wypełniać celę. Zebrał łańcuchy, by nie dzwoniły, naprężył mięśnie i rzucił się w przeciwną stronę.

Nie ulegało wątpliwości — skobel drgnął i poddał się szarpnięciu.

Powtarzał teraz szarpnięcia gwałtownie i niecierpliwie, czując za każdym razem coraz wyraźniejsze chwianie się skobla.

Wreszcie zdecydował, że nadszedł czas ostatecznej próby.

Znów zebrał łańcuchy, obrócił się plecami do ściany i skoczył do przodu.

Upadł na kamienie podłogi i przejechał po niej siłą rozpędu, słysząc za sobą brzęk wleczonych łańcuchów.

Siadł na podłodze, nawet nie czując bólu spowodowanego upadkiem, z sercem przepętnionym tryumfem. Najtrudniejszą część zadania miał za sobą. W murze, gdzie przedtem tkwił skobel, widniała wielka, czarna dziura. Wykruszony z niej tynk obsypał słomę.

Podsunął się na czworakach do postania i skrzętnie zebrał na dłoń wykruszony tynk. Resztę przykrył słomą, zacierając ślady. Potem podniósł się i z cebrzyka nalał nieco wody, mocząc suchy pył tynkowy i urabiając go na papkę. Kiedy miał już w ręku sporą gomółkę, podniósł skobel, wsunął go na poprzednie miejsce i oblepił wokół tynkową papką, zatykając szparę. Teraz należało obchodzić się z łańcuchem ostrożnie, by przedwcześnie nie naruszyć skobla. Stanął pod ścianą i oparłszy się o nią plecami, rozpoczął cierpliwe oczekiwanie. Cóż jednak znaczył czas, który wkrótce miał minąć, wobec tego, który pokonał dotychczas?

Wreszcie na korytarzu rozległo się ciężkie, dobrze znane stąpanie. Towarzyszyło mu pobrzękiwanie kluczami, potem rozległ się szcęk rygli i skrzyp otwieranych drzwi. Światło latami padło smugą w ciemność celi i na progu ukazał się nocny dozorca.

Wszedł z wolna do środka, jak zwykle postawił latarnię na ziemi i zbliżył się do więźnia z kańczugiem w ręku.

Czarny przez chwilę patrzył w złośliwe, błyszczące, małe oczka, po czym przeniósł wzrok na pas strażnika. Głowa orła połyskiwała nad nim wypolerowaną od użycia rękojeścią.

Coś w postawie więźnia — być może pełne skupienia napięcie mięśni — zwróciło uwagę strażnika. Ujął mocniej rączkę kańczuga i podszedł krok bliżej.

— Cóż mnie tak mierzysz ślepiami? Dawno nie smakowałeś bata?

Odchylił ramię do tyłu i zamachnął się. Rzemień ze świstem przeciął powietrze, ale klasnął już o pustą ścianę, bo Czarny, uniósłszy złożone ręce w górę, skoczył do przodu.

Skobel wyleciał ze ściany i z brzękiem łańcuchów upadł na kamienie, a cios zadany z całej mocy żelaznymi bransoletami, spadł na dyniasty czerep, który pękł od tego uderzenia, przyskając krwią i mózgiem. Opasłe ciało zważyło się raptownie i nieruchomo legło na ziemi.

Czarny schylił się i wyszarpnął z zaciśniętych palców dozorca pęk kluczy. Po krótkim wyborze znalazł właściwy i po chwili zrzucił z rąk bransolety. Wyciągnął zabitemu swój nóż, zatknął go za pas i ujawszy w jedną rękę latarnię, w drugą porzucony kańczug, ruszył ku drzwiom.

Za progiem przystanął, nasłuchując. Niski, o łukowatym sklepieniu korytarz wypełniła ciemność i cisza. Zza pobliskich żelaznych drzwi, prowadzących do kolejnych więziennych pomieszczeń, nie dochodziły żadne odgłosy. Przypomniawszy sobie mgliście drogę, którą go tu prowadzono, i teraz starał się odtworzyć ją w pamięci. Korytarz, na którym stał, prowadził wprawdzie do wyjścia, ale załamywał się gdzieś w pobliżu, a za tym załamaniem znajdowała się izba tortur, gdzie doprowadzono go na wstępne przesłuchanie. Naprzeciw dostrzegł wówczas uchylone drzwi, zapewne do wartowni więziennych strażników, gdyż stał tam stół i parę ław, a pod ścianą drewniany stojak na glewie. Przypomniawszy sobie, że właśnie za tymi uchylonymi drzwiami, nieco w głębi, biegły w górę kamienne stopnie; a więc tamtędy prowadziła droga do wolności.

Ruszył w głąb korytarza. Latarnia rzucała mu pod nogi smugi chybliwego światła. Szedł szybko, nasłuchując czujnie odgłosów, które mogły go dość z zionącej przed nim ciemności.

Wkrótce osiągnął załamanie korytarza. Nie zatrzymując się, skręcił za węgł muru, gdyż i tak światło padające na parę kroków przed nim musiało już zdradzić jego nadejście.

Tędy prowadzono go w noc pojęcia. A oto zbliżają się owe drzwi wartowni, również i teraz nieco uchylone. Pada z nich na korytarz smuga światła.

Zaczął teraz iść, stąpając ciężko, jak robił to nocny strażnik. Do drzwi pozostało jeszcze pięć kroków, cztery, trzy... Nie przyspieszając kroku, minął je i szedł dalej. Schody były coraz bliżej, światło już padało na pierwsze stopnie.

Nagle zza uchylonych drzwi rozległo się wołanie:

— Hej, Martin, gdzie idziesz?! Piwo nalane!

Czarny, pokonując raptowny skurcz krtani, rzucił niskim, ochrypłym głosem nocnego strażnika:

— Stul mordę! Zaraz wrócę!

Po tej odpowiedzi nastąpiła uspokajająca cisza. Jeszcze chwila, i wstąpił na pierwsze stopnie, gasząc jednocześnie latarnię. Szedł teraz po omacku, sunąc dłońią po ścianie. Wreszcie wyczuł pod palcami zimno żelaznych drzwi, znalazł ich uchwyt i pociągnął ku sobie. Obecnie zachowanie ciszy stanowiło o powodzeniu ucieczki, przypomniał sobie bowiem w porę, że u drzwi prowadzących do lochów minęli wówczas strażnika.

Z ulgą poczuł, jak drzwi się poddają. Ciągnął je wolno, z obawą, by nie skrzyknęły. Szczelina ukazująca rozgwieżdżone niebo stawała się coraz szersza, aż wreszcie Czarny ocenił, że zdoła się przez nią prześliznąć.

Wysunął się ostrożnie na zewnątrz i po raz pierwszy od długiego czasu ujrzał nad głową niebo, po którym, w widmowym blasku księżyca, sunęły postrzępione płachty obłoków.

Skulony, by nie wysunąć głowy poza kamienne obmurowanie, nasłuchiwał. Dopiero po pewnej chwili usłyszał miarowy odgłos stąpania, który stawał się coraz bliższy, potem na moment ścichł, wreszcie odezwał się znów, ale tym razem oddalając się.

Wówczas Czarny w paru cichych susach przeskoczył resztę stopni i w półmroku dostrzegł plecy wartownika. Miał on przy sobie mieczyk, a w rękę giewię, której ostrze połyskiwało w księżycowym świetle.

Rozejrzał się dookoła.

Z lewa ciągnął się masyw obronnych murów, w prawo szła w górę ściana wieży, a pod nią, nieco dalej, majaczył pas krzaków. Wzdłuż murów biegła wąska uliczka, ginąc pomiędzy jakimiś budynkami.

W chwili kiedy strażnik zawracał, Czarny skrył się za obmurowanie schodów. Teraz musiał polegać tylko na słuchu.

Kroki znów zaczęły się zbliżać. Wreszcie były tuż i Czarnemu wydawało się, że noga wartownika zaraz potrąci jego głowę. Ale stąpanie nagle ucichło i znów, jak uprzednio, zaczęło się oddalać.

Zatknął kańczug za pas i jednym susem wyskoczył na zewnątrz. Plecy i pierś knechta krył półpancerz, a głowę hełm, toteż uderzenie noża padło na otwarte miejsce pomiędzy dolnym krańcem hełmu a obrzeżem pancerza.

Ugodzony jęknął głucho i zwałił się na ziemię, wypuszczając z rąk giewię. Czarny chwycił ją, i, nie tracąc czasu, skoczył w cień padający z murów, gdzie nie docierało światło księżyca.

Biegł szybko, wypatrując schodów wiodących na hurdycę widoczną na szczycie. Dotarł do jakiejś baszty i przystanął, odpoczywając chwilę po szybkim biegu. Jednocześnie nasłuchiwał, czy nie dosłyszycy krzyków pogoni lub kroków wartownika na pomoście hurdycji, panowała jednak cisza.

Okrążył półkolisty brzuch baszty. Schody znalazł poza nią. Począł cicho wspinać się nimi ku pomostowi. Straży na murach w czasie pokoju zbyt gęsto nie rozstawiano, miał więc szansę wydostania się niezauważony na zewnątrz.

Pod dachem krużganka panowała zupełna ciemność. Szedł nim jakiś czas, po czym dach się skończył i Czarny wyszedł na otwartą koronę muru.

Wychylił się poza blankę. Księżyc ukazał się właśnie, mógł więc dojrzeć pod sobą płaszczynę ściany biegnącą w mroczną przepaść, u dna której opadała piaszczysta skarpa, a pod nią sunący z wolna, miejscami skrzący się, ciemny nurt rzeki.

Kucnął pod blanką, chroniąc się w jej cieniu i wyjąwszy nóż, naciął u dołu drzewca glewii głębokie wgłębienie. Oparał to nacięcie końcem kańczugowego rzemienia, mocno zaciskając węzeł. Kiedy się z tym uporał, odszukał w krenelażu otwór mahikuty i opuścił weń najpierw kańczug, potem glewie. Pod ostrzem miała ona dwa zagięte ku dołowi wąsy, które oparł o skraj otworu, w samym narożniku. Kiedy zakończył te przygotowania, przeżegnał się i, położywszy na brzuchu, opuścił się do otworu. Potem, zsuwając się wolno, objął nogami drzewce glewii i kolejno obniżając chwytły dłoni, rozpoczął ostrożną wędrówkę w mroczną przepaść pod sobą.

Wydostał się spod krenelażu i dotarł do rzemienia kańczuga. Ten wprawdzie ślizgał mu się w rękę, raniąc dłonie, wkrótce jednak osiągnął grubą rękojęść i mógł teraz uchwycić ją mocno.

Bujając się z lekka na boki, spojrzął w dół. Piaszczysta skarpa przybliżyła się znacznie. Czarny odbił się lekko od muru i puścił rękojęść.

Poleciał w dół, potem jechał po zboczu skarpy, starając się nogami hamować pęd. Wodny nurt szybko przybliżył się ku niemu, ostatecznie jednak udało mu się zatrzymać na brzegu rzeki. Wstał i, otrzepawszy ubranie, spojrzął w górę. Mury wydawały mu się stąd niezmiernie wysokie, niemal sięgające obłoków. Ich czarny masyw zwiisał nad jego głową milczący i groźny.

Tuż przy wodzie biegła wąska ścieżka. Ruszył nią, nie dbając już, czy zostanie dostrzeżony z murów. Zresztą księżyc przykryły znów chmury i

ciemność zgęstniała. Ale ścieżka po chwili urwała się i skarpa opadała stromo wprost do rzeki. Czarny zacisnął więc mocniej pas, wszedł do wody i obróciwszy się na plecy, pozwolił, by bystry nurt niósł go na sobie. Woda była cieplejsza, niż przypuszczał.

W CZAS ROZPOCZĘCIA SIANOKOSÓW dwór królewski przybył do Obornik. Był to tym razem orszak wyjątkowo liczny, bo król Władysław wezwał wszystkich znacniejszych dostojników państwa na zjazd do Łęczycy. Stawili się więc jako pierwsi przede wszystkim panowie wielkopolscy, bo ci mieli najbliżej; reszta oczekiwała pana na miejscu.

Ale i ci, którzy już byli przy królewskim boku, stanowili wraz z dworem poczet godny wielkiego monarchy, przybyły bowiem z nimi ich hufce przyboczne, służba i wozy taborowe.

A więc poza Radą królewską, która towarzyszyła królowi od początku podróży, przybyli: arcybiskup gnieźnieński, Mikołaj z Kurowa biskup poznański, Wojciech Jastrzębiec, starosta wielkopolski, Tomasz z Węgleszyna, wojewoda poznański, Sędziwój z Ostroroga, kasztel Mościc ze Straczewa, Maciej z Łabiszyna, Wincenty z Granowa, wojewoda łęczycki, Jan z Borka Ligęza, który wyjechał panu naprzeciw, znamienity rycerz Jan z Brzozogłów i wielu innych.

Zwołał ku sobie król najgodniejszych przedstawicieli kraju, jako że należało podjąć decyzję dużej wagi: Czy Polska stanie w obronie Litwy, jeśli uderzy na nią Zakon rozsierdzony oderwaniem Żmudzi?

Opowiedzenie się bowiem za udzieleniem pomocy oznaczało wojnę z Zakonem. I to tym razem wojnę, która zniszczyłaby nie tę czy inną ziemię, ale byłaby zmaganiem śmiertelnym — życie ma być wam lub nam.

Król wiedział z dawna, że rozprawa taka jest nieunikniona i od lat cicho ku niej kroczył. Teraz jednak, kiedy nadeszła konieczność powzięcia ostatecznej decyzji, należało odwołać się, jeśli nie do całego narodu, to przynajmniej do jego najznamienitszych przedstawicieli.

Wiedział król, że naród jest za wojną, dość mając zbójckiego sąsiada, ale sąsiad ten miał swoich stronników, i to nawet przy królewskim boku. Toteż po poufnych naradach z podkanclerzym postanowiono zwołać na połowę lipca zjazd, wzywając wielmożów z całego kraju, a zwłaszcza Wielkopolski, bo tam wszyscy byli za wojną. W ten sposób spodziewał się wicekanclerz zdusić opozycję i utrzeć zakonnych popleczników, których głosy stracą wagę wobec przytłaczającej większości.

Zamek obornicki, tkwiący w widłach Wełny i Warty, w miejscu, które od wieków stanowiło punkt obronny przed najazdem plemion pomorskich, z powodu szczupłości miejsca pomieścił tylko najbliższych królewskiej osobie dworzan i co znaczniejszych dygnitarzy, zwłaszcza duchownego stanu. Ponadto imć Grochowski, wicemarszałek dworu, musiał zatroszczyć się o kwaterę również i dla poselstwa zakonnego, które przysłało gońca z zapytaniem, gdzie zostaną przyjęci przez jego królewską mość dla przedłożenia swojej sprawy. Poselstwo zostało skierowane do Obornik, należało więc zabezpieczyć dlań kwaterę, i to niepoślednią, gdyż kanclerz osobiście upomniał marszałka, by okazał troskę w tym względzie.

Pozostali więc musieli korzystać bądź z kleci i chat przyzamkowej osady, bądź rozbijać namioty na nadrzecznych łąkach. Powstało stąd nieomal całe miasteczko, pełne ruchu i gwaru.

Pod wieczór dnia dziewiętnastego czerwca strażę otrąbiły zbliżenie się znacznego oddziału. Rozpoznano zakonne płaszcze, toteż z zamku wyjechał zaraz hufiec przyboczny króla pod wodzą jego siostrzeńca, księcia Siemaszki, i ustawił się po obu stronach drogi wiodącej ku opuszczonemu mostowi. Rycerze byli w pełnym rynsztunku paradnym: przy hełmach powiewały na wietrze barwne pióra, a z ramion spływały po zbrojach sobolowe futra. Barwne proporce furkotały przy wzniesionych kopiach.

Wolą bowiem króla było należyte uczczenie zakonnych panów, jako że pozory zgody należało zachować możliwie jak najdłużej.

W tumanie kurzu, połyskując z dala polerowanymi blachami zbroi, ukazał się idący rysią zbrojny oddział. Kiedy zbliżył się do szeregów królewskiego hufca, ustawionych po obu stronach drogi, jeźdźcy ściągnęli wodze i poczet wjechał już stępa w szpaler utworzony z dwóch rzędów końskich łbów.

Na przodzie jechał trębacz, tuż za nim dwaj chorągiewni ze znakami ziemi toruńskiej i starogardzkiej, gdyż posłami byli: wielki szafarz Zakonu, Albrecht von Schwarzburg, nominalny komtur Torunia, i Wilhelm von Nippen, rzeczywisty komtur Starogardu.

Okryci zbrojami, w białych zakonnych płaszczach z czarnymi krzyżami, jechali na czele przybocznego oddziału składającego się z samych zakonnych

rycerzy i ich giermków, resztę bowiem orszaku wraz z taborami skierowano od razu na poślednie kwatery.

Obaj zakonni wielmoże, jadąc wolno szpalerem, mierzyli wzrokiem twarze rycerzy widoczne pod uniesionymi przyłbicami. Ci jednak, nieruchomi zupełnie, patrzyli wprost przed siebie, nic więc z ich spojrzeń posłowie nie zdołali odczytać.

Szpaler kończył się przy zwodzonym moście. Dudnienie kopyt po balach zagłuszył dźwięczny głos trąby zakonnego trębacza. Z sambora zabrzmiała odpowiedź kilku rogów. Chorągwie i kopie rycerskiego orszaku pochyliły się, kiedy oddział począł pogrążyć się w ciemność pod uniesioną bronią.

Przyjęcie posłów odbyło się następnego dnia, i to dopiero po południu, gdyż i polscy, i zakonni rycerze spali długo po wieczery, która przeciągnęła się przy kuflach do późna w noc. Minęła na prawieniu sobie grzeczności, opowiadaniu przygód wojennych i miłosnych, żartach i przypowieściach, im bardziej sprośnych, tym bardziej wartych gromkiego śmiechu. Nie poruszano jednego tylko tematu — powodu poselstwa, dobry bowiem obyczaj nakazywał zachowywać w tym względzie milczenie. Była to pora krotchwili i zabawy, o sprawach poważnych mówić się będzie we właściwym czasie. Zresztą dzięki wiadomościom otrzymanym z zakonnego państwa, król wiedział, w jakiej sprawie poselstwo przybyło.

Zebrani następnego dnia w zamkowej sali dygnitarze przerwali rozmowy prowadzone w małych grupach i obrócili twarze ku drzwiom, gdy stanął w nich dworzanin, oznajmiając przybycie miłościwego pana. Jakoż wszedł wkrótce szybkim krokiem, kierując się ku krzesłu przykrytemu szkarłatnym aksamitem, stojącemu na prowizorycznym wzniesieniu. Jak zwykle ubrany był w szary sukienny kaftan bez ozdób. Siadł i typowym dla siebie ruchem przesunął palcami po włosach, zaczesując je za uszy, po czym obiegnął zebranych na sali kilku szybkimi spojrzeniami.

Stojący obok królewskiego krzesła wicekanclerz skinął dłonią ku straży przy drzwiach wiodących do bocznej komnaty.

Kiedy zostały rozwarte na całą szerokość, na progu ukazał się herold, obwieszczając donośnym głosem posłów i wyliczając ich wszystkie tytuły, po czym usunął się na bok, dając drogę marszałkowi

królewskiego dworu. Ten, z wysoką laską w ręku, znakiem sprawowanej godności, wprowadził obu posłów.

Tłum dworzan, rozbity dotąd na małe grupy, rozwarł się samorzutnie, tworząc przejście, którym postępowali zakonni wysłannicy. Ubrani byli ciemno i bez ozdób, ale obciste spodnie i kubraki o suto pofałdowanych rękawach były uszyte z najprzedniejszego flandryjskiego sukna. Jedyne pasy, przy których ze względu na osobę królewską nie było broni, błyszcząły złotymi klamrami i rzędami drogich kamieni.

Wielkie, krągłe oblicze Schwarcburga okalała ruda broda. Niższy wzrostem von Nippen szedł pół kroku za nim. Kiedy stanęli przed wzniesieniem, kanclerz wystąpił do przodu, by przywitać posłów w monarszym imieniu.

Obznajmieni w aktualnym układzie stosunków z zakonnym państwem, nastawili uszu, ciekawi, w jakim języku przemówi. Istniał bowiem i w tym względzie spór. Zakon wszystkie swoje pisma sporządzał w języku niemieckim, mimo że Korona proponowała używanie łaciny jako niewymagającej tłumaczenia, które groziło zagubieniem lub wypaczeniem subtelnych zawłości dyplomatycznego języka. Zakon jednak uparcie ignorował te propozycje, i to raczej przez butę niż z powodu nieznamościami łaciny. W obecnej sytuacji kanclerz miał więc do wyboru bądź łacinę, jeśli już z góry pragnął zaakcentować nieustępliwość, bądź niemiecki, jeśli chciał okazać względy i pojedynawczość. Trzecia możliwość — użycia języka polskiego — nie była, i to raczej przez obie strony, brana pod uwagę.

Kanclerz przemówił po niemiecku, na co niektórzy ściągnęli brwi, a po sali przeszedł szmer.

— Witajcie, wasza wielmożność wielki szafarzu, i wy, starogardzki komturze. Jak zawsze chętnie gościmy zakonnych posłów, bo dowód to dla nas, że wy, tak jak i my, dążycie do dobrosąsiedzkiego współżycia i w porozumieniu, a nie w orężu szukacie sposobu na usuwanie sporów. Toteż radzi was przyjmujemy, wdzięczni za trud podjętej podróży... — Kanclerz na chwilę zawiesił głos, po czym zakończył:

— Przedłożcie teraz miłościwemu panu waszą sprawę.

Von Schwarcburg rozwinął trzymany w ręku rulon papieru, opatrzony wielką pieczęcią zwisającą na kolorowych wstążkach, i rozpoczął czytanie. Od czasu do czasu zacinał się, niektóre słowa powtarzał, bo w rzeczywistości, nie umiejąc czytać, musiał treść pisma mówić z pamięci. Z wolna jednak w ciszy panującej na sali głos jego zaczął brzmieć coraz donośniej i pewniej:

— „...brat Wasz, wielki książę Litwy, Aleksander, Ziemię Żmudzką wieczystym prawem i jawnymi pismy przez siebie mistrzowi i Zakonowi nadaną i zapisaną, co do której wszelkiego zrzekł się prawa, niesprawiedliwie odebrał z wielką Zakonu krzywdą i zniewagą...”⁵

Znów szmer głosów niby podmuch wiatru przeszedł po sali.

Posel zamilkł, a kiedy nastała cisza, ciągnął rzecz dalej. W ślad za nim tłumacz powtarzał po polsku kolejne zdania. Wreszcie poseł zakończył przemówienie:

— „...zatem mistrz i Zakon żądają od króla, aby oświadczył, czyli ma zamiar brata swego, Aleksandra, księcia litewskiego, wspierać w jego sprawie, a to, iżby mistrz i Zakon, wiedząc Jego zamiar, wcześniej mógł pomyśleć o sobie...”

Von Schwarcburg skończył i zwinąwszy pismo, wręczył je kanclerzowi. Wszyscy oczekiwali teraz na odpowiedź królewską.

Władysław pochylił się do przodu i przez chwilę patrzył, milcząc, na obu postów. Jego spojrzenie przebiegało szybko z twarzy na twarz, wreszcie król wyprostował się i rzucił porywczo:

— Powiedz swojemu mistrzowi, aby żądania posyłał do zakonnych wasali! Dotychczas nie nauczyliście się przystojnego języka!

— Czy słowa te mają starczyć za całą odpowiedź? — zapytał z ironicznym uśmiechem von Nippen.

— Powinny starczyć — odparł ostro król, po czym jednak ciągnął dalej, już spokojniej: — Ale mimo waszej buty i zaznawanych zniewag, nie zapominając o chrześcijańskiej pokorze, a zachowując wciąż pragnienie, by utrzymać zgodę i pokój między nami, i tę sprawę rozpatrzę sprawiedliwie, z całą ku wam życzliwością. Powtórz te moje słowa mistrzowi, niech wie, że zwady z nim nie chcę. Ale zbyt poważna to sprawa, by można dać odpowiedź już teraz. W lipcu naznaczyłem zjazd w Łęczycy. Tam rzecz z moją Radą i koronnymi dostojnikami rozpatrzę i rozważę, po czym wyślę do was poselstwo, które odpowiedź doręczy.

Z kolei odpowiedział von Schwarcburg głosem zdradzającym rozdrażnienie:

— Przybyliśmy tu, miłościwy panie, przekonani, że tym razem rzecz swoją przedłożywszy, uzyskamy waszą odpowiedź bez zwłoki i warunków,

5 — Tekst autentyczny.

jak zwykliście dotąd to czynić. Tymczasem widzimy, że i teraz nie inaczej robicie. Jeśli zatem tak rzecz się ma, ożywni szczerym pragnieniem, by pokój między nami zachować, prosimy was, miłościwy panie, o pozwolenie, abyśmy w waszej przytomności mogli spytać waszą Radę, czy nie zechce już teraz udzielić odpowiedzi?

Tym razem sala zaszumiła gwarem, z którego tu i ówdzie wybijały się pełne gniewu okrzyki. Król uniósł rękę, uciszając zebranych, po czym rzekł spokojnie:

— Zezwalam. Możecie pytać.

Von Schwarcburg zwrócił się ku grupie wielmożów otaczających wzniesienie i przemówił donośnie:

— Panowie szlachta, rycerze i pachołkowie! Prosimy was, jako tych, którzy Boga, honor i chrześcijaństwo mają w sercu, abyście chcieli ubłagać waszego łaskawego króla, iżby on nie wspierał zdrady Żmudzinów, którą oni uczynili przeciw Zakonowi i chrześcijaństwu, i to bez wypowiedzenia wojny, bez wiedzy Zakonu! Obyście mu doradzali, aby nie pomagał zdrajcom, a w razie gdyby go kto chciał inaczej w rzeczy poinformować, to powstrzymajcie go swą doradą od zamiarów, jak to wam

wszystkim zawieramy, a wreszcie odmówcie im pomocy, która by zmierzała ku zgubie całego chrześcijaństwa!

Poseł zamilkł, wodząc oczyma po twarzach słuchających go w ciszy dworzan. Ciszę tę przerwał głos marszałka koronnego, Zbigniewa z Brzezia:

— Czy na tę tu przemowę waszą pragnęlibyście od razu otrzymać odpowiedź?

— Ależ tak!

— Zatem w imieniu Rady królewskiej odpowiadamy wam, iż będziemy doradzać naszemu panu i królowi to, co jemu na pożytek wychodzić będzie.

Von Schwarcburg zmarszczył brwi i rzucił porywczo:

— Daj Boże, abyście mu tak doradzali, aby rady wasze pożytek i korzyść przyniosły!

Po czym, zwracając się znów do króla, przemówił:

— Wielki mistrz i Zakon gotowi byli z Królestwem Polskim stałej przyjaźni sojusze wiernie zachować, niegdyś między Kazimierzem, królem polskim, a mistrzem i Zakonem zawarte. Ale gdy nie chcecie odstąpić brata swego Aleksandra, księcia litewskiego, i w niesłusznej sprawie pomoc mu swoją przyrzekacie — bo tak wasze odpowiedzi musimy rozumieć — nie

mają przeto panowie polscy za złe mieć mistrzowi i Zakonowi, jeśli za doznane ciężkie krzywdy wojnę Litwie wypowiedzą...

— Wasza wola! — odpowiedział Jagiełło, spojrzawszy spod brwi na posłów. — Ja atoli powtarzam, co z kolei powtórzyście wielkiemu mistrzowi, że odpowiedź na to jego poselstwo nadeślę po łęczyckim zjeździe.

Domawiając tych słów, król uderzył dłońmi w poręczę fotela i wstał na znak, że posłuchanie jest skończone. Poprzedzany przez dwóch pachołków, zszedł z podwyższenia i skierował się ku swoim komnatom.

Schwarcburg i Nippen spojrzeli na siebie, nie maskując złości. Podeszedł do nich Jaśko z Tarnowa z wyciągniętą dłonią i uśmiechem na twarzy.

— Widzę, żeście niezadowoleni z odpowiedzi miłościwego pana. Sprawa jednak nie tak pilna, by na kolanie ją rozważać.

— Dla was może i niepilna! — mruknął von Nippen — bo grabieżcę chroniąc, wolicie zwłóczyć!

Jaśko zmarszczył brwi.

— Czy nie za ostre słowa, panie pośle?

— Gracie na zwłokę — wtrącił Schwarcburg — naruszając porozumienie. Ale upominacie jednocześnie, że używamy ostrych słów!

— *Myślę, że nie bez słuszności! No, ale zostawmy te sprawy! Zaraz ustawią tu stoły i zasiądziemy do dzbanów. Przyznaję, żem mocno głodny!*

Von Schwarcburg pokręcił głową.

— *Wybaczcie, wasza miłość, ale pilno nam w drogę, przeto zaproszenia nie przyjmujemy...*

Istotnie poselstwo, do końca zachowując wrogą postawę, jeszcze tego samego dnia opuściło Oborniki.

STARY PRUS WYCIĄGNAŁ RĘKĘ i odsunął psa, który usiłował wpakować mu łeb pod ramię. Gest ten nie przerwał toku słów. Mówił wolno, bo przyuczona niemiecka mowa nie pozwalała na swobodne wyrażanie myśli, a brak zębów powodował, że słowa nie zawsze brzmiały wyraźnie. Toteż Rudy musiał słuchać uważnie, by braki uzupełniać domysłem i nie tracić wątku, bo stary mówił o rzeczach ciekawych.

Siedzieli na przyzbie klety. Tu, po przybyciu wraz z chłopcem do Barcian, wskazany przez Czarnego człowiek dał im schronienie. Miejsce było ustronne, otoczone zewsząd sadami, a sitowie pobliskiego stawu szumiało nieomal o kilka kroków od nich.

— *...i tak to szło... Naród co i raz powstawał, chwytając za broń, ale płaciliśmy krwią za złudę. Suto płaciliśmy, bo szeroko rozlewała się po ziemiach Pomezanii, Natangi, Warmii, Nadrawy, Sambii... W potokach jej nurzać się mogłeś... I co z tego? Słyszysz mnie przecież, jak w obcej mowie do ciebie mówię? We własnym kraju obcy jest nam srogim i złym panem... Odwrócili się od nas bogowie, precz odeszli, nowemu dając miejsce...*

— *Nowe niezłe, aby własne — wtrącił Rudy, spoglądając ku koronie drzew, nad którymi zachód rozpalił czerwoną łunę. — Długo dziś chłopca nie ma. Musieli go na zamku zatrzymać...*

— *Przyjdzie — mruknął stary i ciągnął dalej, zajęty własnymi myślami: — Tak... odeszli... Nie ma już potężnego Perkuna, kapryśnego Kurcho. Zniknęli w chmurach Patolla i Natrimp...*

— *W chmurach? — zdziwił się Jaks.*

— *Widzieli to wszyscy... Wszyscy, którzy zostali żywi po ostatniej bitwie ostatniego powstania. Wicher porwał się nad pobojuwiskiem rak, że drzewa gięły ku ziemi... Tuman piasku począł wirować i szedł w górę wyżej i wyżej, aż ujrzeli, jak obleka się w postać najpierw Patolli, a potem Natrimpa. Rosły one i rosły, aż głowami chmur dosięgnęły i zniknęły w nich, a kurz i piasek poniósł wiatr hen, dalej na kraj...*

I nie ma już naszych bogów, a my, co jeszcze zostaliśmy, żyjemy w niewoli. Srogi musiał być ich gniew, że taki nam przeznaczili los... Mimo to my, starzy, modlimy się jeszcze do nich, bo młódź już nowym i hołduje...

— *Modlicie się jeszcze do starych bogów...?*

Stary milczał przez chwilę, potem rzucił ścisząc głos:

— *A jak... I świątynie jeszcze się nam tu i tam zachowały. Po lasach albo i... — stary urwał i uważnie rozejrzał się dookoła. — Zresztą mogę ci powiedzieć, bo wiem, że mnie nie zdradzisz. Mamy i tu, pod*

miastem... Tyle że nie w lesie, a pod ziemią, pod dawnym naszym grodem, z tamtej strony stawu za kanałem... Po wierzchu tylko wzgórze zostało porośnięte chaszczami...

— Do kogo odprawiacie modły?

— Kurcha czcimy, bo to bóg łaskawości i urodzaju. Ludzkim dostatkiem rządzi...

— A świątynię ma poczesną? Z ołtarzem? — Jaksza na dobre zainteresował się tematem.

— Pewnie, że ma, tylko dojść do niej trudno. Nie obznajmiony zabłądzi i wyjścia nie znajdzie. A podziemne korytarze prowadzą od niej aż do samej puszczy. Tamtędy uciekali wojownicy, kiedy grodu utrzymać nie mogli.

— Ciekawe rzeczy mówicie. Słyszałem o takich miejscach, ale nigdy nie zdarzyło się widzieć samemu.

— Którejś nocy, jak pojedziemy przy łuczynie raki łowić, to ci je pokażę, jeśli przysięgniesz milczeć.

— Przysięgnę... — Jaksza chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili rozległ się szybki tupot bosych nóg i na ścieżce wiodącej ku klęcie ukazał się biegnący chłopak.

— Jest i Tomek! — rzucił z ulgą Rudy.

Chłopak zatrzymał się przed nim, dysząc szybko. Chciał coś mówić, ale nie mógł złapać tchu.

— Rycerz wychodził z zamku z panem Benkiem! — wydyszał wreszcie. — Wiem, gdzie byli! Tam musiał schować naszą panią!

Rudy chwycił go za rękę.

— Wiesz?! Będziesz mógł wskazać?

Tomek skinął głową.

— Będę! Dom za palisadą, na Przyzamczu, z tamtej strony zamku...

— Pójdziemy tam jutro, bo teraz robi się już ciemno. Zuch jesteś, mały! Mów, jak było!

— Dostrzegłem ich, jak szli przez zamkowy podwórzec, więc ruszyłem za nimi. Pomyślałem sobie, że ani chybi tym razem mi się poszczęści. I poszczęściło się!

— Pewności jednak nie masz, że tam właśnie...

— A po co wieczorem by tam szli?! Na Przyzamczu szynków nie ma! I tylko we dwóch, z panem Benkiem?

— Jużem raz ci mówił, że nie ma pana Benka! — fuknął na chłopca Rudy. — Giermek Jawnuta. Zapamiętaj to sobie!

Urwał i zastanawiał się chwilę.

— Więc razem szli... Niech ją zatem Bóg ma w swojej opiece, a nam nie wolno zwlekać.

Długie rozważania, godziny samotnych rozmyślań poprzedzają ważne, zasadnicze decyzje władcy. Ale skoro już decyzję poweźmie, dla jej

wykonania musi mieć pomoc innych, którzy myśl przewodnią nie tylko należycie pojmą, ale i rozwiną.

Toteż król Władysław niejedną godzinę niejednej nocy spędził na naradach z najbliższymi sercu dworzanami, o których miał przeświadczenie, że zaufania nie zdradzą.

Dużo bowiem było spraw, które należało rozstrzygnąć, skoro zdecydowano się już na tę zasadniczą, że rozprawa z Zakonem jest konieczna.

Ustalono więc wytyczne dla politycznych posunięć: utrzymania jak najdłużej Zakonu w nieświadomości co do własnych zamierzeń przez okazywanie ugodowości i pokojowych gestów; stworzenia sytuacji, która zmusi przeciwnika, by pierwszy rozpoczął działania wojenne, a wreszcie rozwinięcia akcji dyplomatycznej na Zachodzie, przeciwdziałającej antypolskiej propagandzie Zakonu.

Wysłane więc zostały poselstwa na tamtejsze dwory z pismami i darami dla władców. Prócz tych pism, skarżących się na gwałty, zaborczość i oszukańcze postępowanie rycerzy–mnichów, podkanclerzy opracowywał specjalne jednobrzmiące orędzie dla uświadamiania tamtejszej społeczności, by w ten sposób przeciwdziałać ochotniczemu napływowi rycerstwa zawsze żądnego przygód, którymi mamili Krzyżacy, obwieszczając, że chodzi tylko o wyprawę przeciw pogaństwu.

Innym problemem, już z zakresu polityki wewnętrznej, była sprawa pokonania oporów królewskiej Rady, w większości przeciwnej ryzyku generalnej rozprawy. Niektórzy z jej członków, wyraźnie przychylni Zakonowi, otwarcie głosili celowość utrzymania przyjacielskich stosunków nawet kosztem ustępstw, zwłaszcza w stosunku do obcej im Litwy.

Ludzie ci nie widzieli jednak albo dostrzec nie chcieli panującej w całym kraju żądy zduszenia wroga. Po latach krzyżackich gwałtów, grabieży, obłudnych obietnic i niedotrzymywanych porozumień stan rycerski — bo on właściwie tylko się liczył — gorzał nienawiścią ku przeniewierczemu sąsiadowi. Przodowali w tej nienawiści Wielkopolanie, gdyż ich ziemie były najbardziej narażone na krzyżackie napaści. Ale nie tylko ich kapłani wygłaszali po kościołach przemowy wzywające do rozprawy z wrogiem, rozbudzając poczucie narodowej wspólnoty. Głośne w kraju stały się kazania w Nowym Sączu Jana z Pragi, a w Beszowie Łukasza z Wielkiego Kamienia.

Król doskonale zdawał sobie sprawę z tych nastrojów, z tego wyjątkowego ogólnego zrywu i nie miał wątpliwości, że zdoła go przeciwstawić i wykorzystać przeciw własnej Radzie. Jednak rozumiał również, że nastroje ogółu są jak fale — mają swe szczyty. Wykorzystać je należy w chwili największego natężenia, a przeoczenie tego momentu byłoby błędem.

Ale i poza Radą miał w Polsce Zakon swoich stronników i przyjaciół.

W stosunku do tych, których potrzebował lub spodziewał się, że może potrzebować, umiał być przyjacielski i szczodry. Nie odmawiał pomocy i pożyczek, obdarowywał nieraz wręcz bogato, a o pożyczonych sumach zdawał się nie pamiętać. Byli też i ludzie bojaźliwych serc, którzy, znając potęgę północnego sąsiada, bali się z nim rozprawy, przedkładając trwanie w tym, co jest, bez ponoszenia ryzyka usuwania zła.

Biorąc jednak pod uwagę pragnienie olbrzymiej większości narodu, postanowiono na jednej z narad ostateczną decyzję oprzeć nie na królewskiej woli, lecz na głosie tych, którym przypadnie stawać z orężem. Ustalono przy tym, by wypowiedź rycerstwa nie dotyczyła bezpośrednio zagadnienia pokoju czy wojny, lecz rozstrzygnęła jedynie, czy Korona ma popierać Litwę w jej rozprawie z Zakonem czy nie. Było jednak zrozumiałe, że opowiedzenie się za poparciem Litwy oznaczało objęcie wojną własnego kraju.

Istniejący właśnie konflikt Zakonu z Litwą o Żmudź pozwalał na wysunięcie tego zagadnienia. Gdyby zaś zatarg z Zakonem powstał z tego powodu, gwarantowałyby to Polsce, że Litwa nie pozostanie na uboczu.

Żmudź bowiem była obiektem cennym tak dla Zakonu, jak i dla Litwy. Dla Zakonu stanowiła pomost łączący go z rycerzami inflanckimi, którzy jako potencjalnie słabsi popadliby w zależność od Malborka. Dla Litwy zaś była sprawą prestiżu dynastycznego i wojennym zagrożeniem przez całkowite okrążenie z północy.

Po udanym powstaniu żmudzkiem Zakon, nie mogąc pogodzić się ze stratą tej ziemi, rozpoczął gorączkowe przygotowania wojenne i ożywioną akcją dyplomatyczną.

Głównym celem tej akcji było uzyskanie wsparcia Zygmunta Luksemburczyka i ściągnięcie do siebie zachodniego rycerstwa. Poza tym należało upewnić się, co w powstałej sytuacji uczyni Polska?

Powrót poselstwa z Obornik bez wyraźnej odpowiedzi był niepokojący, toteż Zakon przyspieszył przygotowania, biorąc już pod uwagę możliwość rozprawy z połączonymi siłami polsko–litewskimi, a nawet i wojskami zaciężnymi, co potwierdzały wieści dochodzące z Czech, i Moraw i Śląska.

Otrzymano bowiem informację o pojawieniu się tam Jagiełłowych wysłanników werbujących zaciężne rotę. Werbunek objął te kraje wyjątkowo szerokim zasięgiem, bo wysłannicy działali sprawnie i byli dobrze zaopatrzeni. Jednocześnie stało się wiadome zakonnej kapitule, że Płock został ustanowiony jako główny magazyn zaopatrzenia wojennego.

Szło tam kryptami zboże, w beczkach solone mięso, pasza dla koni, oblężnicze maszyny, działa, proch i pociski do nich, gromadzono wozy taborowe, namioty i inny wojenny sprzęt. Zamki zaś ziemie dobrzyńskiej, jak Bobrowniki, Dobrzyń, Rypin i Lipno, otrzymywały transporty z zaopatrzeniem. Wzmacniano w nich mury, powiększono załogi.

Przygotowania do wojny szły więc po obu stronach, bo wielki mistrz lustrował zamki, a rada zakonna obradowała nieomal co dzień. Z Malborka też biegły zarówno zarządzenia wewnętrzne, jak i pisma na Zachód.

Wielki książę sposobił się do wojny nie mniej gorliwie niż władca Polski. Może nawet bardziej gorączkowo i pośpiesznie, bo liczyć się musiał, że lada dzień ruszy nań odwetowa nawała krzyżacka. Jemu bowiem przypadło w udziale — jeśli użyć można takiego porównania — kopnięcie bestii, która, rozjuszona, teraz zrywała się do skoku, by rzucić się na śmiałka.

Granica z Prusami została ściśle zamknięta; w obawie zdrady nie dopuszczano stamtąd nikogo.

Do Grodna skierował książę dwa tysiące wojów z poleceniem, by uderzali w kierunku na Istenburg, gdyby doszło do wojny. U jednego brzegu Biebrzy stał oddział trzech tysięcy wojowników, a Moniwid z czterema tysiącami przywarował na drugim. Resztę wojsk Witold skoncentrował pod Kownem, oczekując odwetowej rajzy.

Ponadto wzmocniał wielki książę pośpiesznie grody i ścigał z podległych mu nawet najodleglejszych ziem wojska na wyznaczone miejsca koncentracji. Szły tam wozy z żywnością, bronią, wojennym przysposobieniem.

Mimo podziału czynności pomiędzy podległych książąt i zaufanych wodzów czasu stawało coraz mniej i to on właśnie czas stawał się coraz groźniejszym przeciwnikiem; ogrom zadań, by zasób sił i środków skupić,

uporządkować i należyte zorganizować, począł nie mieścić się w przewidywanych terminach.

Zaczęły więc iść do Jagiełły pisma z żądaniami zwłoki i prośbami, by sprawy możliwie opóźniał.

Wszelka zwłoka była jednak dla króla niebezpieczna. Rozumiał, że nie wolno mu odsuwać ostatecznej rozgrywki, bo raz wkroczywszy na drogę konfliktu, błędem byłoby teraz cały rozpęd hamować. Rozbudzony zapał musiał znaleźć ujście, jeśli nie miał wygasnąć. Sytuacji, w której Zakon pierwszy byłby gotów chwycić za broń, nie da się tak łatwo powtórzyć. Kłopoty Zygmunta, czającego się za plecami, mogą się rychło skończyć, nie wolno też dopuścić, by własna opozycja miała czas na skonsolidowanie się i zorganizowanie przeciwakcji.

Toteż król upominał i prosił brata, by nie osłabiał tempa przygotowań. Niech już raczej wyjdzie w pole choćby z częścią sił, niżby miał odsuwać czas gotowości. Tłumaczył, że i on sam ma podobne troski, ale nawet myśli do siebie nie dopuszcza, by wojnę odwlec, nawet jeśli w zupełności nie będzie do niej gotowy. Taka sytuacja może oczywiście przynieść nieprzyjacielowi początkowe sukcesy, co mieć będzie dobrą stronę, że jeszcze bardziej rozpali gniew i zawziętość rycerstwa, ale jakkolwiek by było, konfliktu łagodzić nie zamierza, żyjąc w Bogu nadzieję, że zarówno on sam, jak i miły mu brat i sprzymierzeniec na czas walnej rozprawy zdołają stanąć na czele wszystkich sił.

Poza przygotowaniem wojennymi wielki książę miał i inne troski. Główną był Świdrygiełło, z którym aczkolwiek pogodził się, to jednak nadal nie darzył go ufnością.

Tę specjalną nieufność Witolda powodowały wiadomości z zakonnego państwa o tajnych naradach w Malborku nad wykorzystaniem osoby Świdrygiełły w obecnym konflikcie z Litwą. Ponoć ustalono już z nim główne punkty porozumienia. Ze strony Zakonu pomoc w uzyskaniu władzy na Litwie, a w razie niepowodzenia azyl w dowolnie przez księcia wybranym zamku lub mieście zakonnym — ze strony księcia uroczyste zrzeczenie się Żmudzi po wsze czasy i zobowiązanie, że nie zawrze z nikim umów, tak teraz, jak i w przyszłości, bez zgody Zakonu.

Wiadomo było również wielkiemu księciu, że jego stryjeczny udał się obecnie do Ordy. Celu tej podróży nietrudno się było domyślić, tu jednak

istniało mniejsze niebezpieczeństwo, gdyż chanowi zbyt zależało na dobrych stosunkach z potężnym księciem. Mimo to polecił Witold Mikołajowi Małdzykowi, polskiemu rycerzowi, a swemu

ulubionemu dworzaninowi, którego rozum i spryt wysoko cenił, udać się z tajnym poselstwem do Kipczaku, by chan, wysyłając obiecane posiłki, dostarczył wraz z nimi na Litwę niebezpiecznego intryganta.

Należało jednak maskować swą czujność. Toteż w okresach, kiedy Świdrygiełło przebywał na wileńskim dworze, wielki książ traktował go z dobroduszną rubaszością, w czasie wieczornych biesiad sadzał przy sobie, często przepijając do niego i, jako istotnie dobrego znawcę wojennego rzemiosła, zapraszał na narady, jeśli te nie były tajne.

Dla podkreślenia zaś swej łaskawości zgodził się wypuścić z wileńskich lochów jego stronników, pod warunkiem, by w oczekującej kraj rozprawie z Zakonem udowodnili swoją skruczę gotowością wiernej służby z bronią w ręku.

Ponieważ jednak marszałek Rumbold, jak i horodniczy Minigajło bawili akurat w tym czasie na Żmudzi, nikt nie przypomniał kniaziowi, że z owego aktu łaski należy wyłączyć Jawnutę z Niemierzy.

Stało się więc, że wydostał się on z wileńskich lochów. Drugim zaś fatalnym dla pewnych spraw i ludzi wydarzeniem było wybranie go przez tajnych doradców Świdrygiełły na wystańca do Malborka po glejt dla kniazia, by ten mógł bezpiecznie przejechać przez zakonne ziemie w celu podpisania układu.

Dlatego pewnego letniego przedświt, kiedy jeszcze szarość pierwszego brzasku dopiero srebrzyła mgły, rzeczywiście Jawnuta z Niemierzy zagłębił się w puszcze.

Stuk kołatki pierwszy usłyszał Paul, który pracował w ogrodzie. Wyprostował się i spojrzał przez ramię ku palisadzie.

— Co za diabeł tam się dobija? — mruknął niezadowolony, że musi odrywać się od roboty, ale ruszył ku furcie, człapiąc drewnianymi chodakami.

Nie był to jednak diabeł, lecz wędrowny mnich, odziany w lichą, wytartą opończę, której kaptur mimo upału naciągnął na głowę. W smagłej, niemal brązowej twarzy świeciły oczy nienaturalnym blaskiem, tym mocniejszym, że podkreślonym głębokimi cieniami. Cienie te nadawały jego spojrzeniu groźny i niesamowity wyraz.

Kiedy furta się otworzyła, przybysz zamiast słów powitania gwałtownym ruchem wyciągnął przed siebie rękę, dotykając chudym i brudnym palcem piersi Paula. Ten, zaskoczony, cofnął się o krok.

Jednocześnie padło nieoczekiwane pytanie:

— Jesteś chrześcijaninem? — Palec nadal naciskał na pierś, zmuszając gospodarza do cofania się. Mnich postępował za nim.

— Ależ oczywiście... — wyjąkał Paul. — Oczywiście, że jestem...

— Zatem chwalisz imię Pana naszego, Jezusa Chrystusa?!

Ton przybysza nadal był napastliwy i władczy.

— Chwałę go, ojcze! Szczerze go chwałę! — wykrzyknął Paul, nie mogąc ochłonąć z zaskoczenia.

— A więc zamknij furtę — polecił nakazująco mnich — i udziel gościny wędrownemu biedakowi, który Mu służy!

Paul bez słowa wykonał polecenie.

— Jestem zdruzony i chciałbym chwilę odetchnąć — wyjaśnił już spokojniej przybysz. — W ten sposób ja, boży sługa, wytchnę dla dalszej służby Panu, a ty, grzeszniku, możesz uzyskać nieco bożej łaski za udzielenie mi przytułku!

— Ależ tak, czcigodny ojcze. Proszę... Miska stawy znajdzie się również. — Paul ruszył ku domowi, gdzie w drzwiach ukazała się kobieta.

— Mario, czcigodny ojciec pragnie nieco wytchnąć. Daj mu i posiłek.

Mnich stanął przed kobietą i bez słowa wpatrywał się w jej twarz.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie kobieta pierwsza opuściła oczy, a lekki rumieniec ukazał się na jej policzkach. Mnich odezwał się cicho:

— Duszy twojej grozi niebezpieczeństwo. Bacz, by chciwość nie zamknęła ci wrót raju...

— Nie... nie wiem, o czym mówicie? — wyjąkała kobieta ze zmieszaniem. Obserwujący tę scenę Paul obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. Nie zdarzyło mu się widzieć, by ta kobieta nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

— Zło dojrzałem w twych oczach, siostrzo, strzeż się szatana! — Mnich pogroził jej palcem.

Pani Stein odstępowała na bok i, kryjąc zakłopotanie, zrobiła zapraszający gest ręką.

— Wejdźcie, ojcze, i odetchnijcie. Pozwólcie też, że podam skromny posiłek. Czym chata bogata...

— Chętnie wytchnę, bom po to do was przyszedł. — Mnich przestąpił próg. — Z daleka bowiem idę i daleka jeszcze droga przede mną, ale za poczęstunek dziękuję. Najwyżej kubek wody i kromkę chleba, nic więcej.

Weszli do sieni. Kobieta poszła przodem, wskazując drogę do izby, której przeznaczenie wskazywał wielki piec z okapem. Zakrzyknęła się przy palenisku, a jej mąż podsunął gościowi zydel.

— Może pozwolicie nieco barszczu, ojcze? Na mięsie gotowany, sił wam doda! — zapraszała pani Stein, odwracając się ku gościowi.

— Daj, o co prosiłem, i nie kuś grzesznego człeka zbytkiem jadła! — upomniał ją mnich karcącym tonem. Toteż bez słowa już przystawiła bochen do obfitej piersi, ukroiła wielką pajdę, położyła ją na kubku i podała świętobliwemu mężowi.

Ten skinął w podzięcie głową, odbierając kubek, po czym uniósł rękę, by przeżegnać posiłek. Dłoń rozpoczęła kreślić znak krzyża, ale nie dokończyła ruchu, raptem nieruchomiejąc w powietrzu.

— W imię Boga Jedyngo! — wykrzyknął mnich, zrywając się na nogi. — Ręka mi zaciżyła! Nie sposób przeżegnać tego chleba!

Gospodarze z przerażeniem spojrzeli na mnicha. Paul wsparł o stół latające ze strachu ręce, jego żona otworzyła usta i stała bez ruchu.

— Ojczy! O czym mówicie?! — wyjąkała wreszcie.

— Szatan jest w tym domu! Znaku krzyża świętego nie dał uczynić! — Mnich rzucał słowa coraz szybciej i głośniejsze. — On tu jest, czuję go! Egzorcysta daje mi moc rozeznania! Coście uczynili takiego, biedni grzesznicy, że wszedł pod wasz dach? Bo on tu jest, czuję jego smród!

— Ojczy, nie może to być! My przecież... — kobieta zająknęła się, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

— Rzekłem ci, niewiasto, że posiadam utwierdzony drugimi święceniami dar rozpoznawania szatana! Ale myślę, że jeszcze nie jesteście straceni, skoro Bóg miłosierny tu właśnie skierował moje kroki! Wiedział w swej łaskawości, co czyni! Poszukajcie zatem w sumieniach waszych, czym przywabiliście tu siłę nieczystą!

Teraz mnich niemal krzyczał:

— Ukorcie serca przed Panem! Błagajcie Go o przebaczenie, błagajcie, aby wzmógł udzieloną mi moc, abym wygnał stąd precz śmierdzącego gada!

— O Boże, bądź nam łaskaw! — Paul gruchnął na kolana i wznosił ku górze złożone ręce. — Ratuj nas, świętobliwy mężu, nie zostawiaj na jego pastwę, skoro masz moc ku temu!

— Złóżcie zatem ręce na krzyż, obróćcie oblicza na zachód i wydechajcie go z siebie, kiedy rozpoczną modły! Będę z nim walczył w imię Boże i wierzę, że go pokonam i wygnam!

Mnich sam również obrócił się na zachód, najpierw splunął parę razy, po czym zaczął wydechiwać z siebie gwałtownie powietrze, by po chwili rozpocząć egzorcyzmowanie.

— ...Egzorcyzmuję cię, domu, jako rzeczy stworzonej przez Boga, w imię Boga Wszchemogącego, w imię miłości Jezusa Chrystusa i w imię potęgi Ducha Świętego!

Przerwał i obrócił się do gospodarzy:

— Prowadźcie mnie do innych komnat!

Oboje poderwali się z miejsca, opanowani strachem, i ruszyli ku drzwiom. Znaleźli się wszyscy w sieni, gdzie mnich zatrzymał się, znów spluwając na zachód i czyniąc wydechy.

— ...Egzorcyzmuję cię przez Boga żywego, przez Boga Świętego, który cię stworzył, który rozkazał, abym poświęcił ten dom dla ludzi wierzących... — ciągnął.

Z sieni szły w górę schody. Mnich, nie zważając na gospodarzy, począł wstępować na stopnie. Przejęci i oszołomieni, ruszyli za nim. Kiedy znaleźli się w małej sionce, z której były tylko jedne drzwi z tkwiącym w nich kluczem, mnich obrócił się i rzucił nakazująco:

— Otwórzcie!

Oboje zawahali się na moment, co widząc, mnich wykrzyknął:

— *Otwierajcie w imię Boga Wszechmogącego! Otwierajcie, gdyż szatański smród bije stamtąd! Otwierajcie albo porwie was nieczysty i ciśnie w ogniste czeluści!*

Paul, już nieprzytomny ze strachu, rzucił się, by wypełnić rozkaz, jego żona, oparta o ścianę, dyszała szybko, nie mogąc wymówić słowa. Chciała oponować, nie dopuścić intruza do kryjówki kobiety, której miała strzec, ale ośwładnął ją paniczny strach przed konsekwencjami oporu. Wierzyła święcie, że w tej izbie, za tymi drzwiami istotnie, tak jak mówił mnich, było gniazdo szatana, ale co stanie się z tamtą kobietą? A jeśli ją porwie ze sobą demon, którego świątobliwy mnich stąd wyżenie? Co wówczas powiedzą srogiemu rycerzowi? Jak wytłumaczą brak jego lubej? Tymczasem mnich wymawiał dalsze zaklęcia:

— *...Egzorcyzmuję cię, abys stał w imię Trójcy Przenajświętszej przeciwko nieprzyjacielowi...*

Drzwi otworzyły się i mnich przerwał na chwilę, przekraczając próg z wyciągniętym przed siebie ramieniem, kreśląc bez przerwy znak krzyża.

Izba była nieduża. W rogu stało szerokie łóżko, pod zaciągniętym błoną oknem stół, a przy nim zydel. Obok stołu, z ręką wspartą o jego blat, mnich ujrzał stojącą młodą kobietę. Miała smukłą, zgrabną figurę, ściągnął, piękną twarz i dwoje wielkich ciemnych oczu. Dojrzał w nich wyraz nieco dziecinnego zdziwienia.

Dalsze słowa egzorcyzmów, które miał już wypowiedzieć, zamarty mu na ustach. W milczeniu wpatrywał się w ciemną przepaść tych oczu i tak stali dłuższą chwilę naprzeciw siebie. Wreszcie mnich jak gdyby się ocknął, gdyż lekki uśmiech ukazał się na jego ustach, po czym Zyta ujrzała ze zdumieniem, jak jedno jego oko mruga ku niej porozumiewawczo.

Jednocześnie rozległ się grzmiący głos.

— *Coś za jedna, nieszczęsna, która przebywasz w samym gnieździe zła?! Czy to ciebie szatan obrał za swe narzędzie? Jeśli tak, módl się ze mną, by Wszechmogący wzmógł me siły, abym go zdołał wygnać! Módl się, siostrze, módl się wraz ze mną!*

Wytchnął parokrotnie powietrze i wznowił egzorcyzmowanie:

— *...A więc prosimy Cię, Panie Boże, abys ten dom i tych ludzi uświęcił przez ten akt konsekracji mojej, abys przez błogostawieństwo pobłogosławił, aby się stał spokojnym przybytkiem i spokój dał ludziom...*

Urwał i obrócił się ku gospodarzom stojącym przy drzwiach.

— *Czuję opór w modlitwie. Zły duch opiera się mocno... Co to za niewiasta?*

— *To... to nasza krewna... — wyjąkała Steinowa, uciekając na bok oczami.*

Mnich postąpił ku niej o krok.

— *Krewna mówisz? To po to walczę z szatanem, usiłując precz go wygnać, abys ty go kłamstwem podtrzymywała w uporze? To krewną na klucz zamykasz? Azali niespełna ona rozumu, że to czynisz?!*

— Nie, ojczy! Nie! O, ja nieszczęsna! — Kobieta załamała ręce, wybuchając płaczem. — Już nie wiem, co mam rzec!

— Tedy nic lepiej nie mów, abyś znów nie zaczęła kłamać! Bo tu jest właśnie główna siedziba szatana! Zanim nie wypowiadam tej niewiasty, na nic wszelkie wysiłki, aby go odegnąć! Inaczej nie zdołam wyzwolić was od złego! Usuńcie się zatem stąd i pozostańcie za drzwiami, aż was przywołam!

Mnich już na tyle opanował wolę i umysł gospodarzy, stumaniwszy strachem, że bez sprzeciwu wykonali polecenie. Posłusznie wysunęli się do sionki, wymieniając szeptem uwagi. Nie mieli żadnych wątpliwości co do wykrycia obecności złego ducha w ich domu. Zbyt silna była ogólna wiara w świat demonów, diabłów, czarownic i wszelkich innych niewidzialnych a nieczystych sił czyhających na ludzi. Dla nich problem polegał na tym, co należało teraz uczynić, by nie narazić się z jednej strony na dalsze działania piekielnych mocy, z drugiej na gniew zakonnego wielmoży, gdyby nie okazali mu posłuszeństwa.

Tymczasem mnich, zamknąwszy za nimi drzwi, szybkimi krokami zbliżył się do branki, przykładając palce do ust. Ta cofnęła się o krok pod wpływem zdumienia. Po raz drugi przybysz zachował się w sposób nielicujący z jego osobą. Zdumienie kobiety wzmożło się, kiedy schylił się ku niej, szepcząc:

— Nie bój się. Przybyłem, aby cię uwolnić. Nie zdradz się, zem ci to rzekł!

— Ktoś ty? Czy Benko cię przystał? — zapytała równie szeptem.

W tym momencie mnich uznał, że zbyt długo trwa w izbie cisza, więc nie odpowiadając, wykrzyknął:

— Na kolana, nieszczęsna! Obudź w sercu skrucę, błagaj Wszechmogącego o łaskę i wybaczenie! I otwórz swe serce przed Jego nędznym sługą, aby dopomógł ci je uzyskać!

Potem znów szepnął:

— Benka się strzeż! Postanowił cię ubić.

— Benko? Mnie?

W oczach kobiety ukazał się taki wyraz bólu, że Rudemu ścisnęło się serce.

— Musiałem ci to powiedzieć, abyś się strzegła. On już wie, gdzie przebywasz.

— A ty kto jesteś?

— Przyjaciel Berta. Brat twój mnie tu przystał, abym cię uwolnił.

Zyta chwyciła rękę zakonnego mnicha w obie dłonie i uniosła do ust.

— Dzięki tobie i jemu... więc nie ostawicie mnie na poniewierkę?

Rudy, skonfundowany, wyszarpnął rękę i znów odezwał się głośno:

— Mów, siostrze, mów dalej i całą prawdę, bo nie ja, a Bóg cię słucha!

Jednocześnie wyciągnął z zanadru zabezpieczony pochwą nóż i podał go Zycie.

— Masz — szepnął — ale lepiej go nie używaj, chyba w ostateczności. Czekaj na dalsze wieści ode mnie.

— Kiedy po mnie przybędziesz?

— Tego nie mogę rzec. Teraz będę czynił przygotowania do ucieczki. Przyjdę znów, i to zapewne nocą, jak wszystko będzie gotowe.

— Nie wiem, jak mam ci dziękować... Niech ci to Bóg wynagrodzi. Och, że też Benko tak postanowił!... Cóżem ja winna? — Po policzkach spłynęły jej łzy, znacząc ślad potyskliwymi ścieżkami.

Rudy zaczął znów wykrzykiwać, aby dopomóc kobiecie do opanowania się.

— Pamiętaj zatem, że niezmiernie jest miłosierdzie Boga! Wyszarpnie cię On z grzechu i przywróci do swej łaski, jeśli szczerą okażesz skruchę!

Skierował się ku drzwiom i otworzył je szeroko. Oboje gospodarze przystąpili ku niemu, ale minął ich bez słowa i począł zstępować ze schodów z zaszępieniem wyrazem twarzy. Dopiero kiedy znaleźli się znów w kuchennej izbie, obrócił się ku nim i, wsunąwszy dłonie w szerokie rękawy, patrzył na nich bez słowa.

— I co teraz, czcigodny ojcze? Wszystko zapewne już wiecie? — rzuciła z troską pani Stein.

— Wiem — oświadczył krótko mnich. — Wygnałem szatana z waszego domu, ale wróci on niechybnie, jeśli będziecie trwać w grzechu!

— Co zatem mamy czynić? — wtrącił bezradnie Paul. — Grozicie nam szatanem, ale i rycerski gniew mało co gorszy... Patrz, dokądśmy zaszli przez twoją chciwość — zwrócił się z wyrzutem do żony.

— Przestań biadolić! Radź teraz, co zrobić! — fuknęła na niego kobieta.

— Dobrze ci mówić! Można to rycerz i okrutny, jeśli uczynimy coś nie po jego myśli, nie ujrzymy już światłości dnia. Wy zaś, ojcze, grozicie wiecznym potępieniem... Ot, jaka nasza dola!

— Rozważcie w waszych sercach, jakie zło gorsze. Być może Bóg was zechce oświecić...

— A wy, czcigodny ojcze? Nie widzicie dla nas ratunku? — z nadzieją i prośbą w głosie pytał Paul.

Mnich ściągnął brwi, po czym przyłożył dłonie do twarzy i trwał tak przez pewien czas. Milczeli, by najmniejszym szmerem nie przeszkodzić swemu wybawcy. W izbie zapanowała cisza.

Wreszcie mnich opuścił dłonie i przesunął po nich spojrzeniem — Spostrzegłem nieco światła w mrokach waszej doli — mruknął cicho.

— Mówcie, czcigodny ojcze! Uczynimy, jako rzekniecie!!

— Trzeba usunąć stąd tę niewiastę. Najlepiej, żeby sama uciekła... Małżonkowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Ale jak to uczynić? — rzekła cicho kobieta. — Jeśli to zrobi, my pójdziemy do lochu.

— Niech to wygląda, żeście ulegli przemocy. Wtedy ów rycerz nie będzie mógł szukać na was zemsty.

— Kto tego dokona? — wtrącił Paul. — Do tego trzeba zaufanego człeka.

— Tak, to prawda... — zafrasował się mnich. — Musicie znaleźć takiego.

— A gdzie ta niewiasta pójdzie? Przecież złapią ją od razu, a wtedy wszystko może się wydać. — Paul pokręcił głową.

— Macie rację, znaleźliście się w trudnym położeniu, ale to wasza wina! — rzucił strofująco mnich. — Nie mogę jednak zostawić was bez pomocy, bo sam niewart byłbym miana chrześcijanina! Mam jeszcze szmat drogi przed sobą, ale będę wracał za kilka dni, to do was wstąpię. Przez ten czas postaram się całą rzecz spokojnie rozważyć. A jakby ów rycerz chciał w tym czasie swym chuciom upust dawać, powiedzcie, że owa niewiasta ciężko zaniemogła. Najlepiej od razu niech legnie w łożu.

Paul przypadł do nóg mnicha.

— Jak mamy wam dziękować, czcigodny ojcze, że nie ostawiacie nas w biedzie! Przybywajcie jak najprędzej!

— Robię, co mi przykazuje sumienie i obowiązek zakonny, dziękować więc nie potrzebujecie. A dla waszego bezpieczeństwa radzę zamilczeć, żem tu był, A teraz ostańcie z Bogiem!

Nie zważając na podziękowania gospodarzy, świątobliwy mnich skierował się do wyjścia.

Kiedy zaś wrócił do swojej klety, mył przede wszystkim długo twarz, aby usunąć z niej ślady wywaru z cebuli i cienie zrobione w oczodołach nadpalonym drzewem. Potem położył się w trawie i podłożywszy ręce pod głowę, zastanawiał się, co robić dalej. W pamięci miał obraz dwojga ciemnych oczu wpatrzonych w niego najpierw z wyrazem zdziwienia, potem z bólem i nadzieją.

NA ŚWIĘTEGO ALEKSEGO, czyli w dniu siedemnastym lipca 1409 roku, zebrani w Łęczycy prałaci i wielmoże podjęli znaczną większość głosów uchwałę zasadniczej wagi dla dalszego rozwoju zdarzeń. Ogłoszono bowiem wolę Korony, by Litwy w jej sporze z Zakonem nie opuszczać, a w razie krzyżackiej napaści udzielić wszelkiej możliwej pomocy w zakresie, jaki miłościwy pan uzna za potrzebny i wskazany. Wolę tę miało zakomunikować wielkiemu mistrzowi poselstwo, które natychmiast udało się do Malborka.

Skład tego poselstwa król Władysław ustalił przezornie, by mieć pewność, że wypełni ono swoje zadanie zgodnie z jego intencjami. Wyjechali więc: arcybiskup gnieźnieński, Mikołaj z Kurowa, wojewoda sandomierski, Mikołaj z Michałowa i kasztelan kaliski, Janusz z Tuliszkowa.

Odpowiedź królewską ustalono po drobiazgowych naradach. Chodziło bowiem o to, by brzmiała ona pokojowo, nie doprowadzając do natychmiastowej akcji wojennej, która w obecnej chwili zastałaby kraj jeszcze do tego w pełni nieprzygotowany.

Proponował zatem król, by spór o Żmudź przekazać sądowi polubownemu, który by sprawę pomiędzy trzema stronami — Polską, Litwą i Zakonem — rozpatrzył i rozstrzygnął. Do chwili zaś ogłoszenia wyroku strony zobowiązałyby się nie wszczynać przeciwko sobie kroków wojennych: Zakon nie ruszy na Żmudź, a wielki książę wycofa stamtąd swoich ludzi i wojska.

Brzmiała więc ta propozycja istotnie pokojowo, ale tylko w zewnętrznej swej formie. W istocie zaś groziła wojną w razie napaści na Żmudź bądź Litwę.

Redagując tę odpowiedź, wicekanclerz nie miał wątpliwości, że Zakon zrozumie i inny ukryty między wierszami jej sens.

MNIEJ WIĘCEJ W TYM SAMYM czasie Jawnuta z Niemierzy przedzierał się przez puszcze, uparcie zdążając na zachód. Noce spędzał przy maskowanych ogniach, by nie zdradzić swojej obecności, pożywiając się głównie wieczorami ustrzelonym za dnia ptakiem, którego potem, oblepiwszy gliną, piekł w żarze, bądź — jeśli nie zdołał nic upolować — kawałkiem chleba z serem lub słoniną z zapasów przytroczonych mu w Wilnie do sakiew przy siodle.

W ten sposób pewnego dnia dotarł do Niemna.

Zatrzymał się i patrzył na szeroko rozlaną rzekę. Na drugim brzegu ciągnął się ciemną wstęgą bór, taki sam, jaki miał za plecami. Nad roztoczem wód z krzykiem krążyło ptactwo. Tu i ówdzie ze skrzęcej się w słońcu powierzchni nurtu wynurzały się rozległe, piaszczyste łachy.

Teraz należało szukać brodu.

Schylił się w siodle, zerwał z pobliskiego krzaka gałązkę i począł obrywać z niej liście. Postanowił ruszyć w lewo, jeśli wypadnie liczba nieparzysta, a w prawo — jeśli parzysta.

Jednak dopiero po pięciu dniach, i to dzięki pomocy rybaków zamieszkałych w małej osadzie nad rzeką, klucząc od łachy do łachy, dostał się na przeciwny brzeg.

W OSTATNICH TYGODNIACH, czyli od czasu kiedy Sonnenberg przebywał w orszaku wielkiego mistrza, przesyłki zawierające ucięte skoki zajęcze przestały się pojawiać. Początkowo były powodem bezsilnej wściekłości rycerza, z czasem zaczął je kwitować tylko ironicznym skrzywieniem ust. W każdym razie, mimo energicznych usiłowań, ani razu nie udało mu się złapać tajemniczych pościgów. Obaj też z giermkami stosunkowo prędko domyślili się, co owe przesyłki miały oznaczać.

— Grozi, że mu nie ucieknę — mruknął Sonnenberg przy jednej z takich okazji. — Ale myślę, że to ja jego będę ścigał...

— To samo znaczenie i mnie przyszło do głowy — zgodził się giermek. — I tak samo myślę jako i wy, że pierwsi go dopadniecie.

— A wtedy pogadamy sobie! — zaśmiał się rycerz i więcej już o tej sprawie nie mówili, aż do wieczora na malborskim zamku, kiedy po wieczerzy Sonnenberg wrócił do swojej izby. Giermek, który jadał przy innym stole, już wcześniej zakończył swój posiłek i oczekiwał na pana, by usłużyć mu przy rozbieraniu.

Wprawdzie rozbieranie to polegało na rozpięciu pasa i zrzuceniu kaftana, bo rycerze zakonni sypiali w spodniach i butach, ale Sonnenberg lubił w owych chwilach pogawędzić, żądał przeto obecności giermka.

I tym razem nie śpieszył się z ułożeniem do snu. Rozpiąwszy pas i kaftan, rozparł się w fotelu i, wyciągnąwszy przed siebie nogi, sięgnął po dzban z piwem, o który, wbrew regulaminowi, co dzień starał mu się giermek.

— *Jutro będziemy mieli męczący dzień — mruknął, ziewnąwszy szeroko.*

— *Przez to Władysławowe poselstwo?*

— *Tak... I przykazuję ci, abyś nie odstępował mnie na krok. Być może, że ten człowiek wkręci się pomiędzy przyboczny orszak posłów. Wypatruj go dobrze, bo niepokoi mnie, że zaprzestał podrzucania tych swoich ostrzeżeń.*

— *Początkowo złościście się na nie, a teraz ich brak niepokoi waszą miłość? — Giermek pozwolił sobie na lekko kpiący ton.*

— *Ano, tak to bywa... — Sonnenberg upił piwa i otarł brodę.*

— *Czyżbyście mieli obawę, że ośmieli się uderzyć na was tu, w zamku? Nie bardzo w to wierzę — rzucił powątpiewająco Benko.*

— *Kto może wiedzieć? Nienawiść może go pchnąć do takiego czynu, a mnie życia nie powróci to, że go inni rozsiekają mieczami.*

— *A więc jutro wielki mistrz będzie przyjmował posłów?*

— *Posłuchanie wyznaczone na południe. Ciekaw jestem, z czym przybyli. Nic nie zdołałem się dowiedzieć. Rycerze z orszaku niechętnie wdają się w rozmowę, ale i sami pewnie niewiele wiedzą.*

— *Ponoć od Świdrygiełły przybyli znów gońce? Czyżby już wrócił! z Kipczaku?*

— *Nie tyle wrócił, co go przywiedli. Teraz, kiedy rozstrzygnięcie się zbliża, gońce będą ganiać coraz częściej. Ciebie to bardziej ciekawi?*

— *A pewnie, że bardziej. Co mi po Polakach... — Giermek wzruszył ramionami.*

Sonnenberg czknął na całą izbę.

— *Tfu! — mruknął. — Baranina była za tłusta, spać nie będę mógł.*

— *Już późno. Przed północnymi modłami wytchnijcie nieco — poradził giermek, by nie okazać ciekawości zbyt natarczywym trzymaniem się tematu, jednak Sonnenberg sam wrócił do niego.*

— *Wojny tylko patrzeć... Coraz więcej rycerstwa z Zachodu przybywa. Ostatnich domowy komtur zakazał już na zamku lokować. Mają po gospodarach na własny koszt czekać, aż w pole ruszą. Chorągiew z nich von Gersdorf już formuje. Schwarcburg z Obornik wrócił wesół, znali to, że wkrótce chwycimy za miecze, bo on bardziej nawet od samego wielkiego mistrza jest za wojną! Ponoć Jagiełło*

zwłóczy i kręci, ale my go znamy dobrze — wiemy, co to znaczy! Ze Świdrygiełłą musimy więc szybko sprawę załatwić, by Witoldowi nie brakło roboty we własnym domu. My zaś uderzymy na Polskę! A jak uderzymy — to koniec i z Polską, i z Jagiełłą!

— Czy nie za lekko traktujecie przeciwnika? Widzi mi się, że wojna z Polską to nie z kozuchową Litwą sprawa. Mówię tak, bo chociaż« sam Litwin, ale zamykać oczy na prawdę to głupców zwyczaj...

— Dzięki, żeś mnie tę prawdę wskazał, zwąc głupcem! — roześmiał się Sonnenberg. — Ale zapominasz o naszej sile! Nie ma równej w całej Europie! Nawet Zygmunt, gdyby zwołał całe swe rycerstwo, nie mógłby się z nami mierzyć! Ale on na tyle mądry, że przeciw nam nie wystąpi — z nami pójdzie...

— To już uzgodnione?

Sonnenberg przyłożył palec do ust.

— O tym sza! W zaufaniu ci jednak powiem, że tak. Ugodę podpiszemy wkrótce. Kupiliśmy już książętkę pomorskie, kupimy i jego. Więc od południa uderzy Zygmunt, na wschodzie Witold będzie musiał walczyć o własną skórę, a od północy uderzymy my! Przetoczymy się po Polsce niby żelazny walec i zmiażdżymy wszystko, co stanie nam na drodze!

— Myślicie, że Zygmunt tym razem nie zawiedzie? Mówią o nim, że nie zdarzyło się jeszcze, by zdzierzył komu słowo.

— Ostatnio otrzymał od nas czterdzieści tysięcy florenów, niby to dług za Marchię. Ale on wciąż potrzebuje pieniędzy i wie, że od nas je dostanie. Porozumienie gwarantuje mu trzysta tysięcy guldenów, a to nie fraszka! Prócz tej kwoty gotowi jesteśmy zapłacić za każdą wystawioną kopię dwadzieścia cztery guldeny, żądamy zaś co najmniej dziesięciu tysięcy kopii. Policz sobie

teraz, wiele to wyniesie! W zamian ma uderzyć na Polskę za naszą radą i zgodą, przyznając nam Litwę, Żmudź, Kujawy i ziemię dobrzyńską.

— A resztę?

— Resztę obejmie sam.

— Plany tak wielkie, że we łbie człowiekowi się kręci... A co będzie, jeśli Świdrygiełło lub Zygmunt zawiodą?

— Jużem ci mówił. Sama potęga Zakonu też wystarczy. Tamto to ułatwienie zadania, szybsze i mniej kosztowne niż własna krew. Dlaczego zresztą mieliby zawieść? Zygmunt łakomy na pieniądze, a poza tym przypadnie mu bez większego wysiłku i kosztów kraj ludny i bogaty. Ze Świdrygiełłą zaś ostatecznie rzecz załatwimy w Świeciu, dokąd ma wkrótce przybyć. Będzie rządził Litwą z naszego ramienia, i to... — Sonnenberg urwał, uśmiechnął się nie kończąc zdania i sięgnął po kufel.

— Nie miej obaw — ciągnął, odstawiając go na stół. — Już rychło wrócisz do siebie! Może nawet razem ze Świdrygiełłą, jak tu przyjedzie, by ugodę podpisać.

— A jeśli jego zabiegi wyjdą na jaw? I bez tego zresztą nie tak łatwo przyjdzie mu ujść spod Witoldowej opieki.

— To dobra głowa i chytryści mu nie brak, da sobie radę. Zresztą jeńcem przecież nie jest.

— Musi mieć sporo stronników, skoro się na to waży...

— A sporo. Witoldowe rządy twarde i zbyt kniaziami pomiata. Żaden z nich nie jest pewny swego książęcego krzesła, bo coraz tego lub owego usuwa, inszego stanowiąc. Świdrygiełło zaś ma zapewnione po parcie kniazów, bo obietnic im nie żałował. Przede wszystkim zaprzysiągł ustanowienie prawa dziedziczości do podległych włości i nienaruszalność ich granic. Już i tego starczy, by za nim stanęli.

— Raduje się serce, gdy słucham takich wieści — westchnął giermek, przycinając knot świecy.

— Możesz już nie przycinać — mruknął, ziewając Sonnenberg — pora spać! Niewyspani pójdziemy na modły, bo do północy niezbyt daleko. A jutro czeka nas ciężki dzień.

Nazajutrz był dzień świętego Piotra przypadający na pierwszy sierpnia. Benko nie mógł przebywać u boku swego rycerza, tak jak on sobie tego życzył, gdyż ceremoniał przyjęcia poselstwa nie przewidywał obecności

giermków na sali letniego refektarza Średniego Zamku, gdzie odbywały się zwykle tego rodzaju uroczystości. Sam Sonnenberg został włączony w skład orszaku wielkiego mistrza, siłą więc rzeczy pozostawał w jego bezpośrednim sąsiedztwie, a to już zupełnie wykluczało trzymanie przy sobie giermka.

Stał więc Benko wśród tłumu dworzan zakonnych, kapelanów, niektórych z półbraci i giermków, tak jak i on zgromadzonych w położonym obok refektarzu zimowym, i, nie mogąc widzieć, starał się przez rozwarte drzwi usłyszeć przebieg posłuchania.

Znał już z widzenia starszysznę zakonną, a postów obejrzał sobie rankiem na krużganku, kiedy udawali się na poranną mszę do kaplicy Świętego Bartłomieja: masywną postać gnieźnieńskiego arcybiskupa, o ostrym spojrzeniu ciemnych oczu i wielkim nosie; ściągłą, suchą twarz i zwyczajem zachodnim w klin przyciętą brodę Mikołaja z Michałowa oraz szerokie bary i wielki, łysy czerep Janusza z Tuliszkowa.

Przez otwarte drzwi, w zupełnej ciszy, dochodził wyraźnie głos arcybiskupa Mikołaja. Niskim, nieco ochrypłym głosem przemawiał bez pośpiechu, jakby odmierzał słowa:

— ... Przeto nie godzi się królowi w tej wojnie, którą Aleksandrowi, księciu i Litwie wydać zamierzacie, i w każdym innym razie tegoż księcia opuszczać, ale owszem, winien go wszelką siłą i pomocą wspomagać! Wstrzymajcie się zatem od wojny, a zezwólcie na wzajemne w określonym czasie i miejscu układy, mocą których król Polski, Władysław, przyrzeka uchylić i nagrodzić to wszystko, co z waszą krzywdą i niesprawiedliwie było zdziałane, i skłonić brata swego Aleksandra, wielkiego księcia litewskiego, jako podległego sobie i Królestwu Polskiemu, iżby uczynił, czego słuszność i wzajemny pokój wymaga. A dopóki ten spór nie zostanie załagodzony i rozstrzygnięty, żąda i prosi król, abyście na Żmudź nie napadali. Jeżeli na to Zakon się zgodzi, oświadczymy, że mamy upoważnienie do

napisania w imieniu króla do wielkiego księcia, aby swych kasztelanów i urzędników odwołał ze Żmudzi i aby ich nadal nie brał w obronę.

Arcybiskup zakończył i zapanowała tak zupełna cisza, że słyszeć by w niej można lot muchy. Wszyscy oczekiwali z napięciem na odpowiedź wielkiego mistrza, zdając sobie sprawę, że nadeszła przełomowa chwila, która zadecyduje o wojnie bądź pokoju.

Ten milczał dość długo, ważąc widać w myślach odpowiedź, wreszcie przemówił. Już sam ton, gniewny i drwiący zarazem, wskazywał, ku czemu zmierza.

— Rad was widzę przed swoim obliczem, posłowie króla Władysława, pragnę bowiem, abyście zapewнили mnie jego imieniem, że przeszkód żadnych, skrytych ni jawnych czynić ani on, ani książ Aleksander nie będą, gdy rychło już uderzę na Żmudź, by swoich poddanych, a teraz buntowników, mieczem pokarać. Skoro to uczynicie, imieniem naszego Świętego Zakonu zapewnię was, że ani wy, Polacy, ani Litwa żadnej szkody ani napaści od nas nie zaznacie.

Cichy szmer przeszedł po sali po tej wypowiedzi. Wielki mistrz przemówił, jakby w ogóle nie słyszał propozycji posłów, stawiając własne, zupełnie odmienne, warunki.

Znów zabrał głos arcybiskup:

— Przedkładając swoje propozycje, pominąłeś uwagą nasze słowa. Rad bym przede wszystkim usłyszeć na nie odpowiedź.

Wielki mistrz już nie hamował swego gniewnego tonu.

— Chcielibyście, bym godząc się na te podstępne warunki przyznał, że sprawa Żmudzi wymaga dopiero rozważania i rozstrzygnięcia? Że moje prawo karania żmudzkich buntowników jest wątpliwe?

— Półkoliste sklepienia sali odbijały echem gwałtownie rzucone słowa. — Dopiero jakowyś sąd ma rozstrzygnąć, czy mam to prawo, a zatem i to, czym panem owej ziemi! Tego chcieliście?! Spodziewaliście się, że jako łatwowierne pachole wdam się w jakoweś spory o swoje?!

Tym spokojniejsza wydała się kolejna wypowiedź arcybiskupa, który przemówił, nie unosząc głosu:

— To ty chcesz tak to zrozumieć. Król Władysław pragnie pokoju z Zakonem i dążąc do jego zachowania, taki proponuje sposób.

— Dobrze — rozległy się z kolei słowa wielkiego mistrza — w sprawach moich, które mam z królem lub wielkim księciem, zawsze gotów jestem poddać się pod sąd rozjemczy, ale gdy Żmudzini należą do Zakonu, ani król, ani książ Witold do nich prawa nie mają! Nie powinno to ich obchodzić, czy Zakon zechce ukarać zdradę Żmudziców, czy nie! Ja dłużej krzywdy nie ścierpię, lecz natychmiast z całą potęgą wyruszę na Żmudź i na tych, którzy tam zdradę wspierają!

Odpowiedź padła natychmiast, i to tonem zdradzającym, że arcybiskupa również ogarnął gniew:

— Nie strasz, wielki mistrzu, wojną z Litwą! Jeśli ty bowiem uderzysz na Litwę, król nasz Prusy zbrojnie nawiedzi! Nieprzyjaciół Litwy my za swoich będziem uważać wrogów!

Oświadczenie było ważkie, toteż obecni znieruchomieli, by nie uronić ani słowa z odpowiedzi wielkiego mistrza. Jakoż odpowiedział prawie natychmiast, już niespodziewanie spokojnie, ale z kłującą ironią i mało ukrywanym zadowoleniem:

*— Dzięki ci, ojczyźnie przynajwielebniejszy, że nie zataiłeś przede mną zamiarów twojego króla. Twoją mową objaśniony i upewniony, raczej tedy na głowę aniżeli na członki wymierzę cios. Wolę nawiedzić wojną ziemię osiadłą, miasta i włości aniżeli pustki i lasy. Tedy wojnę zamierzoną przeciw Litwie obrócę przeciw Polsce!*⁶

Arcybiskup skinął głową.

— Powtórzę twoje słowa, wielki mistrzu, memu panu.

Wielki mistrz mówił teraz spokojnie, jak gdyby razem z tym oświadczeniem, równoznacznym z wypowiedzeniem wojny, pozbył się całego zasobu nagromadzonego gniewu i rozdrażnienia.

— Zakon ustanowiony został na obronę chrześcijan od niewiernych. W tym celu pobudował zamki i miasta na Żmudzi. Czy wasz król zaręczy nam i upewni, że nie obawiając się Żmudzinów Zakon może wesprzeć i zaprowiantować zamki żmudzkie?

Arcybiskup od razu zrozumiał ukryty sens tego zdania, toteż odpowiedział:

— Na takie pytanie nie mamy w naszej instrukcji odpowiedzi.

Wielki mistrz zwrócił się teraz zapewne do kogoś stojącego blisko, gdyż Benko ledwie usłyszał rzucone półgłosem słowa:

— Podajcie mi, wasza wielbność, ich pismo kredencjalne.

Rozległ się szelest rozwijanego rulonu, po czym znów zabrzmiał głos wielkiego mistrza, tym razem zupełnie wyraźnie:

— Według tego pisma macie mi dać pewną i ostateczną odpowiedź.

— Nad to, cośmy wam przedłożyli, niczego innego nie rozkazano nam mówić.

6 — Wypowiedź posła i wielkiego mistrza autentyczna.

— Powiedzieliście aż za dużo — rzucił z przekąsem wielki mistrz.

— Słyszeliście też moją odpowiedź. Pisemne wypowiedzenie wojny, jak każe dobry rycerski obyczaj, wysłę wam na dniach. Posłuchanie na tym zostaje zakończone.

Słowa więc zamilkły, miał teraz przemówić oręż, gdyż wypowiedzenie wojny istotnie wyszło z Malborka dnia 6 sierpnia.

PO DŁUGIEJ I UCIAŹLIWEJ podróży, w piękny słoneczny dzień Jawnuta z Niemierzy dotarł wreszcie do celu. Wjechawszy na wzgórze, ujrzał na horyzoncie przymglone oddaleniem, ledwie co widoczne, zwaliste kontury budynków i wież malborskiego zamku.

Z MURÓW OKALAJĄCYCH KOŚCIÓŁ Najświętszej Marii Panny i skupione wokół niego dwory członków kolegiaty dochodziły odgłosy nawołującej się straży. Tylko one zakłócały nocną ciszę komnaty.

Po późnej wieczery król od razu udał się na spoczynek, zdrożony całodzienną jazdą. Za jego przykładem poszedł cały dwór. Jedynie wicekanclerz nie położył się, by jeszcze raz sprawdzić treść orędzia, które następnego dnia miało być wysłane na zachodnie dwory.

Rozłożył na stole zwój i przebiegał wzrokiem rzędy pisma, mrużąc pod nosem treść:

„Władysław, z Bożej łaski król Polski, Wielki Książę Litewski, pan dziedziczny Pomorza, Rusi itd.

Sprawiedliwy Boże, Sędzio wszechwładny, który badasz skrytości serc ludzkich, Ciebie wzywam i błagam, abys w tej skardze mojej na dolegające cierpienia nie dozwolił zbłądzić i przeciw prawdzie fałszywymi słowy bluźnić. Wiedźcie zatem i uważcie, a bierzcie to w uszy Wasze, wszyscy królowie i książęta, tak duchowni, jak i świeccy, dostojnicy, panowie szlachta, rycerze, społeczeństwo gmin miejskich itd., i wszyscy zgoła mieszkańcy ziemi, a świątobliwej katolickiej wiary prawni wyznawcy, iż w sprawach między nami a bracią Krzyżakami Pruskimi zachodzącymi żadnego dla nas ci Krzyżacy nie okazują względu i uczciwej chęci, przez co wszelką cierpliwość ducha pokoju i zgody, do której z zaleceniem Króla Najwyższego Jezusa Chrystusa byliśmy zobowiązani, w sercach naszych tłumią. Oni wbrew sojuszom, pod fałszywym pozorem przyjaźni, nas niewinnych kłamliwie i potwarczo przed niektórymi książętami i uczciwymi ludźmi oskarżają...”

Świeca, dotąd paląca się równym płomieniem, na chwilę przygasła uniósł więc głowę i ostrożnie oczyścił knot, po czym znów zabrał się do czytania.

„...twierdząc, że pod rządami Witolda Aleksandra, księcia litewskiego, wiara katolicka przez ochrzcenie Litwy niewiele rozkrzewiła się i wzmogła, że nikt z naszego narodu przez nas do wiary chrześcijańskiej nie był nawrócony...”

„...niechby, przeciwnie, o sobie powiedzieli, ile ta wiara zyskała w Prusiech, w krajach przez nich opanowanych od lat przeszło dwóchset. W porównaniu, co na Litwie zrobiono, za nic to można uważać...” Szept czytającego na moment ucichł w komnacie, ale za chwilę znów się wzmógł.

„...żadnego z pogan Krzyżacy nie prowadzą szczerze do wiary katolickiej, jak to widać na Żmudzinach, których powinni już byli ochrzcić, a przecież w ciągu pięciu lat żadnego do wiary katolickiej nie nawrócili...”

„To tylko ich życzenie, aby mogli kraje cudze jakimkolwiek bądź sposobem posiadać. Stąd zaiste wnosimy, że jeśli tak przewrotnie z innymi książętami, jak z nami postępować będą, trudno, aby się kto przy nich utrzymał”.

„...ziemię dobrzyńską do Korony Polskiej należącą, a przez Krzyżaków opanowaną, za wielkie pieniądze wykupiliśmy. Lecz i to nie na wiele nam się przydało, gdyż w pokoju nie znaleźliśmy pokojności, wkrótce bowiem po zawarciu przymierza jeszcze większe niż wprzód poczęli nam wyrządzać krzywdy...”

Kanclerz odsunął od siebie zwój i zamyślił się. Sformułowanie nie wydało mu się szczęśliwe, zastanawiał się więc przez dłuższą chwilę, czy nie wnieść jeszcze jednej poprawki. Widać jednak zrezygnował i pogodził się z taką wersją, bo znów w ciszy komnaty rozległo się mruczenie:

„Godzi się więc z naszej strony wnieść przeciw nim żalobę i wymienić, acz z goryczą serca, krzywdy od nich doznane, które tu osobnym pismem Waszej Światłości wypisujemy, prosząc, abyście oskarżeniom, jakie Krzyżacy przeciw nam i bratu naszemu Witoldowi zelżywie miotają, wiary nie dawali, fałszywie bowiem nas obwiniają, sami pełni przewrotności i występku. A jeśli żądać będą pomocy przeciw nam i bratu naszemu, księciu Witoldowi, nie pozwalajcie poddanym Waszym przechodzić do ich obozu.

Dan w Opatowie, w sam dzień św. Wawrzyńca męczennika (10 sierpnia) roku Pańskiego tysiąc czterysta dziewiątego”7.

Skończył czytanie, zwinął rulon i westchnąwszy, odłożył go na bok. Potem wstał i cicho stąpając, by nie przeszkodzić spoczywającemu za ścianą prałatowi Danielowi, u którego stanął kwaterę, pogrążony w myślach, rozpoczął spacer po komnacie.

TYM RAZEM TERENEM SPOTKANIA Czarnego z ojcem Erazmem nie był hulk przycumowany do portowego nadbrzeża. Po uciążliwej drodze, którą przebył po wydostaniu się rzeką z Torunia, najpierw pieszo, potem jako oryl na komiedze, Czarny dostał się do Gdańska.

Tu wiedział już, jak ma sobie radzić, mimo że sakiewka pozostała w izbie zajmowanej u mistrza Alberta. Ale znak i hasło do człowieka, który był mu potrzebny, sprawiły, że otrzymał od razu pieniądze na najważniejsze wydatki. Mógł więc zaopatrzyć się przede wszystkim w odzież, bo tej, w której siedział w lochu, a potem przebył szmat drogi, nie chciałby odziać najgorszy włóczęga.

Czekał teraz, nie pokazując się nigdzie, na odpowiedź od ojca Erazma, do którego poszła wiadomość o jego przybyciu.

Nie wiedział, kto ją zaniósł ani dokąd, ale po czterech dniach oczekiwania nocny stróż, u którego miał schronienie, polecił mu iść za sobą.

Szli długo, klucząc ulicami. Przewodnik od czasu do czasu rzucał w ciemność głośne wołanie, wzywając mieszkańców do gaszenia świateł i do spoczynku. Noc nie pozwalała na obserwowanie drogi, toteż Czarny wkrótce z tego zrezygnował. Wreszcie przy wylocie jakiegoś zaułka stróż zatrzymał się i, kiwając latarnią, cicho gwizdnął.

Z zaułka wyłoniła się przygarbiona postać owinięta opończą z kapturem skrywającym twarz.

— On cię doprowadzi na samo miejsce — szeptał stróż. — Później, gdy już będziesz wracał, czekaj za tym rogiem, aż ujrzysz moją latarnię. Tędy wiedzie mój obchód — wcześniej czy później przybędę.

Czarny skinął bez słowa głową i ruszył za nowym przewodnikiem. Szli ciasnym zaułkiem, a po kilku zakrętach zatrzymali się przed ciemni ścianą jakiejś wielkiej, murowanej budowli. Przewodnik odezwał się po raz pierwszy:

7 — Autentyczne (w skrócie).

— Uważaj na schody!

Zejsście było strome i prowadziło w głęboki wykop, kończący się okutymi żelazem drzwiami. Rozległ się szcęk przekręcane go klucza, gruba tafia drzwi uchyliła się cicho i Czarny poczuł stęchły zapach wilgoci.

Tu ciemność była zupełna, niemal namacalna. Posłyszał, jak zamykają się za nim drzwi, a potem znów dłoń przewodnika dotknęła jego ramienia.

Uszli kilkanaście kroków, kiedy dłoń kazała mu stanąć. Po chwili ujrzał przed sobą oświetloną szczelinę, która powiększała się w miarę rozwierania się drzwi.

Pałca się latarnia stała za murem, na ziemi. W jej świetle Czarny dostrzegł podwójny rząd olbrzymich, drewnianych kadzi, w jakich przechowuje się wino. Tu powietrze było lepsze. Człowiek w opończy ujął latarnię i ruszył przejściem pomiędzy beczkami. Kiedy ich szereg skończył się, skręcili w bok i Czarny znów ujrzał drzwi. Spod ich dolnej krawędzi sączyło się światło.

Przewodnik zapukał dwa razy, po chwili znów dwa razy, krótko i silnie, a kiedy rozległ się zgrzyt odsuwane go rygła, zawrócił, rzucając przez ramię:

— Znajdziesz mnie koło wyjścia.

Drzwi uchyliły się i Czarny ujrzał przed sobą ojca Erazma. Pomieszczenie, do którego wszedł, było małą izdebką bez okna. Drewniana prycza stała pod dłuższą ścianą, obok niej stół i dwa stołki. W bocznej ścianie Czarny dostrzegł drugie drzwi, wąskie i niskie, zatarasowane drągami założonym na haki.

— Rad jestem, że cię znów widzę. Przybywasz w samą porę! — odezwał się zakonnik.

Czarny uśmiechnął się.

— Mało brakowało do zupełnej rozłąki!

— Siadaj i opowiedz, co się stało. Dostałem z Torunia wiadomość, że cię ujęto, ale nie wiem, kto to zrobił, ani nie znam przyczyny.

Czarny opowiedział pokrótce swoje spostrzeżenia z pobytu u Alberta, potem historię ucieczki z lochu.

— Hm... zbadam to jeszcze — mruknął brat Erazm, kiedy Czarny skończył. — Myślę, że to nie Albert, mimo że tchórz. Widzę, że nóż masz przy sobie. A co z pieniędzmi?

— Sakiewkę schowałem w izbie. Pewnie tam jeszcze leży. Było w niej dwadzieścia grzywien. Tu dostałem trochę grosza od Helmuta. Musiałem się przyodziać.

— Wiem. Masz, weź to. — Brat Erazm sięgnął pod siennik i wyciągnął skórzany woreczek dość mocno wypełniony. — Będziesz teraz potrzebował nieco więcej, a na co, zaraz usłyszysz. Tamte pieniądze odzyskamy. Gdzie je schowałeś?

— Za belką, co biegnie nad drzwiami.

Brat Erazm w milczeniu skinął głową, po czym spojrzął spod łba na Czarnego.

— Wiesz, gdzie ukryli tę dziewczynę?

— W Tczewie, gdzieś w pobliżu zamku.

— A więc i ty wpadłeś na trop. Tyle że siedzi ona w samym zamku w wieży bramnej, pod pieczę klucznika.

— Wiem, że wysadzili ją przed zamkową bramą. Sanie i poczet wjechały do środka, a rycerz, co im przewodził, poszedł z dziewczyną dalej piechotą.

— Aby reszta nie wiedziała, gdzie ona ma być ukryta. Zapewne po odjeździe oddziału nieco odczekał, a potem wprowadził brankę na zamek. Ukryli ją dobrze, bo dziewczka została sprzedana Vogelwederowi za pięćset grzywien.

— Aż za taką ogromną sumę?! — zdziwił się Czarny. — Kiedy ma zapłacić?

— Wiem, że jest w Malborku, więc zapewne już zapłacił. Dużo czasu zatem nie masz. Helmut dostał polecenie, aby ci przygotować konia. Wyruszysz o brzasku. Do Tczewa wjedziesz wschodnią bramą, gdzie spytasz o strażnika Jana. On ci powie, czy Vogelweder przybył i w jakiej oberży się zatrzymał. Dalej działaj, jak uważasz za celowe, ale radzę, abyś się nie kusił o odebranie dziewczyny w mieście ani tym bardziej w zamku. Poczekaaj, aż Peter znajdzie się poza murami. Myślę, że będzie wiózł dziewczkę wozem. W razie gdybyś potrzebował kilku ludzi zdatnych do bijatyki, przepytaj o handlarza ryb Hugona, któremu powiesz, że chcesz mówić z Dziobakiem. To złodziejasek i zbój, ale taki ci będzie potrzebny. O paru jeszcze drabów sam się już postara, abyś tylko nic skąpił grosza. Pieniądze, które ci dałem, powinny starczyć.

— Dziękuję, ojcze, za pomoc — powiedział gorąco Czarny. — Bez was niewiele bym zdziałał. Ale proszę, powiedzcie, co słyhać u nas? Nie znam nowin. Przecież długie tygodnie siedziałem w lochu.

— Wojna już blisko. Tyle tylko mogę ci powiedzieć, bo sam w kraju dawno nie byłem. Myślę, że nasi szykują się tak, jak i ci tutaj...

MIAŁO SIĘ KU WIECZOROWI, kiedy na drodze prowadzącej do Zamku ukazało się trzech jeźdźców. Jechali brzegiem jeziora Czartoria, utworzonego po przekopaniu obronnego kanału od Wisły. Konie szły rysią, wzniesając za sobą obłok kurzu, który z wolna kładł się za nimi na przydrożne zagony. Wkrótce zniknęli w bramie wjazdowej.

Był to ksiądz Andrzej, który w asyście dwóch zbrojnych pachołków powracał z uciążliwej i niebezpiecznej podróży.

Pozostawiwszy konia na podwórku zamkowym, kazał natychmiast zawiadomić wicekanclerza o swoim przybyciu.

Zastał go w otoczeniu grona dostojników. Na widok przybyłego Trąba ruszył ku niemu, nie czekając, aż sam się zbliży, i ścisnął za ramiona.

— A więc wróciłeś szczęśliwie! Zaczekaj tu z nami, naradę właśnie kończymy!

Wkrótce potem zostali sami. Trąba ujął księdza Andrzeja pod ramię i zapytał z ożywieniem:

— Ciekaw jestem, co przywozisz! Wyjdźmy gdzieś odetchnąć świeżym powietrzem. Mamy teraz gorące dni! Człowiek siedzi wciąż w izbie i gada bez przerwy!

— Raczcie prowadzić, wasza wielbność.

— Pójdziemy na mury! Piękny stamtąd widok, a i ciekawych uszu nie będzie!

Wyszli na korytarz, a z niego przez wąskie drzwi na kręcone schody wijące się wewnątrz okrągłej baszty. Ruszyli nimi w górę i, minąwszy mocno okute drzwi, znaleźli się na koronie murów.

Istotnie widok, jaki ujrzeli, był piękny. Zachodzące słońce rozpało na pół nieba purpurową tunę. Odbijając jej blask, wiła się wśród rozległych pól czerwona wstęga Nidy, z drugiej zaś strony majestatyczny nurt Wisły skrzył się rubinem i złotem. Kępy drzew obsiadłych domostwa obu miast, Starego i Nowego Korczyna, zdawały się gorzeć pożarem, rzucając długie fioletowe cienie, a woda jeziora była niby tafla szkła podświetlona ogniem.

Wicekanclerz zbliżył się do wielkiej kuszy przeznaczonej do wyrzucania płonących pocisków i przysiadł na belce jej podstawy.

— Siadajże i mów! — wskazał miejsce obok siebie. — Jakże z tym mnichem? Daje sobie radę?

— Nad podziw dobrze. Wie wszystko, co dzieje się w zakonnych miastach i zamkach.

— Z Włocławka też dochodzą ciekawe wieści. Jak sądzisz, damy im radę?

Wicekanclerz przeszedł z nagłą do najbardziej frapującego tematu. Ksiądz Andrzej zrozumiał ten skok myślowy i odpowiedział z zastanowieniem:

— Nie mam dostatecznego wglądu w nasze siły, a bez tego trudno o odpowiedź. Mogę wam jedynie podać, a i to tylko w pewnym przybliżeniu, jakimi siłami obecnie rozporządza Zakon. O wartości ich mówić nie będę, bo wasza wielbność sama o tym wie. Tak chętnego do bitwy i posłusznego rozkazom rycerstwa nie znajdzie się nigdzie.

— Gdzie zbierają wojska?

— Obóz zakładają pod Świeciem, ale należy przypuszczać, że uderzą albo już uderzyli wzdłuż całej granicy. Arnold z Nowej Marchii ma pokusić się o zdobycie Drezdenka i Wielunia, komturowie Człuchowa i Tucholi, objąwszy ogólne dowództwo nad chorągwiami ze Świecia, Grudziądza, Starogardu, Gdańska i Tczewa, uderzą na Krajnę⁸. Sam wielki mistrz na czele chorągwi własnej, sztumskiej, chełmińskiej, a oddzielnie biskupa chełmińskiego, elbląskiej, toruńskiej, brodnickiej i dwóch zachodnich ma ruszyć na ziemię dobrzyńską, a Markward von Salzbach i hrabia Zollern, chorągwie z Ostródy, Ragnety, Balgi, Królewca, Brandenburgii i biskupa warmińskiego zbierają pod Dąbrównem. Ci zapewne uderzą na ziemię księcia Janusza.

— Czekajże, rachujemy... — Trąba rozstawił palce, po czym kolejno zaginał je ku dłoni.

— Zatem na Krajnę ruszy siedem chorągwi, wliczywszy w to własne chorągwie Pincenaua i Schelborna. Wielki mistrz będzie miał pod sobą dziewięć, a Salzbach i Zollem osiem — razem więc będzie dwadzieścia

8 — Tak nazywano ziemie na zachód od Bydgoszczy.

cztery. Liczmy średnio na chorągiew sto pięćdziesiąt kopii, da to nam około pięciuset rycerzy⁹, a więc razem mieliby dwanaście tysięcy.

— Prócz piechoty. Ponadto brat Erazm ostrzega nas przed artylerią krzyżacką. Ponoć wielki mistrz przykładą ogromną wagę do bombard. Ma ich już blisko dwieście. Ostatnio ulano w Malborku nadzwyczaj wielkie działo. Tak wielkie, że nie ma wozu, który by je udźwignął. Toteż sporządzono bombardę z dwóch części, które do strzału ściskają obręczami. Pociski do niej ważą po parę cetnarów i każdy woźą osobno.

— Takiemu działu nie ostoją się mury naszych granicznych grodów — mruknął z troską wicekanclerz.

— Należy się z tym liczyć — stwierdził spokojnie ksiądz Andrzej.

— Ale te dwadzieścia cztery chorągwie to chyba nie wszystko, czym rozporządza Zakon?

— Myślę, że stać go na drugie tyle. Po pierwsze, nie dołączyły jeszcze chorągwie pomorskie. Tamtejsi księżęta zwlekają, ale od pomocy Zakonowi nie zdołają się zapewne uchylić. Po drugie, część wojsk skierowano na wschód, dla zabezpieczenia się od Litwy. Poza tym rycerstwo zachodnie wciąż napływa, a zaciężne hufce jeszcze nie przybyły.

— Mówisz, że rycerstwo z Zachodu napływa?

— Tak, ale podobno nie w takiej liczbie, jakiej Zakon się spodziewał. Znacznie ich mniej niż przed rajzami na Litwę.

Wicekanclerz uśmiechnął się.

— Zatem moje manifesty pomogły. Nie poniechałem żadnego z zachodnich dworów, aby nie skierować tam naszych posłów z pismami i darami. Nawet na Wyspę Brytyjską poszły dla Henryka cztery najpiękniejsze ogiery z królewskiej stadniny. Ostatnio zaś rozesłałem heroldów i do zakonnych ballei¹⁰, a więc do Hiszpanii, Wenecji, na Sycylię, do Turynii, Frankonii, Czech, Austrii, Lotaryngii, Utrechtu, Koblencji, Alzacji — trudno wymienić wszystkie kraje, gdzie nasz wróg ma swoje zagraniczne komturstwa. Upominałem i prosiłem, by nie przykładali ręki do niecnej sprawy!

— Widać też skutek.

9 — Rycerz z kopią szedł do boju w asyście giermka i lżej zbrojnego tzw. strzelczego (z kuszą).

10 — Posiadłości—komturstwa Zakonu za granicą.

— Nie taki, jakiego bym pragnął. Nie znają na Zachodzie Zakonu tak, jak my go znamy. Tam cieszy się on poważaniem i podziwem. Być półbratem zakonnym to zaszczyt, którego nie odrzucają nawet koronowane głowy.

Wicekanclerz podniósł się.

— Chodź, przejdziemy się nieco. Nogi mi ścierpły, a i zimno się robi.

Ruszyli wzdłuż blanków. Słońce zaczęło się już chować za czarny sznurek lasu widoczny na horyzoncie.

— A co ze Świdrygiełłą? — wznowił rozmowę Trąba. — Czy masz o nim jakieś wiadomości z krzyżackiego podwórka?

— Mam. — Ksiądz Andrzej zasępił się. — Ugodę ponoć już zawarli i księżę przysłał gońca, żądając dla siebie glejtu, bo brodacze chcą, by u nich podpisał warunki porozumienia.

— To i on nie dowierza im zbytnio... — rzucił ironicznie wicekanclerz.

— Kto ich zna choć trochę, musi być nieufny, więc i książę zbyt pewny nie jest. Toteż Zakon żąda pisemnego zobowiązania od niego, a on od nich glejtu bezpieczeństwa.

— Kiedy mają podpisać to porozumienie?

— Trudno rzec. Obecnie, kiedy lada dzień wybuchnie wojna, sprawa ta może się odwlec. Ale skoro działania jesienią ustaną, tym pilniej zaborą się do kniazia. Należy zatem sądzić, że w październiku lub listopadzie.

— Należy ostrzec wielkiego księcia.

— Na pewno już o tym wie, bo i on ma swoich ludzi w Prusach. Zresztą brat Erazm utrzymuje również kontakt z opatem Łukaszem. Ale skoro już o tym się zmówiło... Czy pamięta wasza wielbność moją prośbę sprzed spotkania w Nowogródku z wielkim kniazem?

— Pamiętam. W sprawie owego Jawnuty? Powtórzyłem twoje żądania księżęcym dworzanom. Czemu o to pytasz?

— Bo ów Jawnuta został jednak wypuszczony na wolność.

— Jakże to mogło się stać? Przykażę najbliższą pocztą o to spytać!

— To już nic nam nie da. Tak się bowiem nieszczęśliwie złożyło, że właśnie ów Jawnuta pojechał do Malborka z pismem Świdrygiełły w sprawie owego glejtu.

Kanclerz przystanął.

— I co...? Co z tym, który był tam pod jego imieniem?!

Zawrócili, ruszając z powrotem.

— Otóż to... Został pojmany i na pewno wezmą go na męki, aby wyznał, kto jest. Jak dotąd, twierdzi, że to przybyły podszywa się pod jego imię, będąc nie gońcem Świdrygiełły, ale Witoldowym szpiegiem. Nie jest to najgłupsze, bo inaczej już by go ubili, a i Świdrygielle podstawia w ten sposób stołka.

— Zatem jest nadzieja, że się wykręci?!

Proboszcz zaprzeczył ruchem głowy.

— *Mała, wasza wielbność. Sonnenberg z Rakuz, ten, który swego czasu otrął w Królewcu Witoldowych synków, danyh jako zakładników, straci go. Zrobi to nie dlatego, że mu udowodni winę, ale dla szybkiego ukręcenia łba całej sprawie. Tym bardziej że ów rzekomy Jawnuta został jego giermkim i zna tajemnicę swego pana, sprzeczną z zakonnymi przepisami. Będzie się więc Sonnenberg bał, że wyjdzie ona przy tej okazji na jaw.*

— *To ów Benko, który poszukiwał swojej niewiasty!*

— *Tak.*

— *Był z niego pożytek?*

— *Niematły. Brat Sonnenberg lubił dużo gadać, a do swego giermka miał zaufanie.*

— *Zaraz, zaczekaj... Zatem ten Benko był giermkim u gwałticiela swojej niewiasty?*

— *Tak.*

— *Okrutny zgotowaliście mu los! Doprawdy, bracie Andrzeju, niecne to metody! Potępiam ciebie, żeś na to zezwolił!*

— *Czy wasza wielbność uważa za ważne wiadomości, jakie przywiozłem? — spokojnie spytał proboszcz, jakby nie słysząc wicekanclerza.*

— *Pewnie, że tak! Ale co to...*

— *Wiadomości zatem wasza wielbność ceni, ale metody potępia! — W głosie księdza Andrzeja zadrgała gorycz i ironia. — Benko przyjął służbę z własnej woli. Nie mogliśmy poniechać takiego źródła informacji, zbyt blisko stoi Sonnenberg zakonnej starszyny i zbyt dużo wie... Zresztą tak to już jest w naszej służbie. Ten i ów ubywa, a na jego miejsce przychodzą inni, bo oczy musimy wciąż mieć otwarte.*

— *Obecnie bardziej niż poprzednio! — Podkanclerzy podszedł do kuszy i usiadł na poprzednim miejscu, a ksiądz poszedł za jego przykładem. — Teraz zwłaszcza strzec należy naszych własnych tajemnic, by brodacze nie*

zwiedzieli się, co zamierzamy. To staje się ważniejsze nawet od wiadomości z zakonnego terenu!

Proboszcz skinął głową.

— *Jakże odbyłeś podróż?*

— *Jakoś się udało... — uśmiechnął się ksiądz Andrzej i zaraz zapytał:*

— *A co tu słyhać? Dunin wrócił do równowagi?*

— Doszło jednak do rozmowy, którą odradzałeś. Ale sytuacja zmieniła się, więc jej nie unikałem. Sam ją zresztą zaczął.

— Sam? Czyżby się przyznał?

— Tak. Przyszedł z tym, aby go zwolnić z obowiązków i zezwolić na pozostanie przy duszpasterstwie. Kiedy zacząłem go naciskać, dlaczego o to prosi, padł na kolana i wyznał prawdę. Uważał się za niegodnego zajmowanego stanowiska.

— No proszę! Wtedy dopiero, gdy już nie było komu odbierać wiadomości! — rzucił z sarkazmem proboszcz. — A co na to wasza wielbność?

Wicekanclerz zawahał się nieco z odpowiedzią.

— No cóż... Przebaczyłem mu. Był przymuszony w okrutny sposób, a nie widziałem bardziej skruszonego człowieka.

— Gdyby ktoś waszej wielbności uciął głowę, przebaczylibyście mu również! — prychnął bezceremonialnie ksiądz. — Jeszcze troszczylibyście się, czy nie zmordował się za bardzo!

— Nie mając głowy, trudno się troszczyć — odparł z uśmiechem wicekanclerz.

— Ja bym wsadził go na parę lat do wieży! Niechby sobie pomedytował nad tym, co czynił!

— Alem mu przebaczył i nie chcę więcej o tym gadać! — fuknął Trąba. — A tobie polecam, abyś spotkawszy go, nie dał po sobie poznać, że coś wiesz!

— Nie czynię tego ze zwyczaju! — mruknął ksiądz Andrzej.

— A co z tą siostrzenicą Dunina? Ale zjedźmy już stąd, bo robi się ciemno i ziąb bierze na noc!

— Mam nadzieję, że wkrótce będzie wolna. — Proboszcz uniósł się z miejsca w ślad za Trąbą.

— Chwała Bogu! To się nieborak Dunin uraduje!

— Wasza wielbność wciąż swoje! — już z wyraźną zgryźliwością mruknął ksiądz, uchylając drzwi baszty przed dostojnym towarzyszem, po czym obaj zaczęli ostrożnie schodzić, opierając dłonie o ścianę, bo wewnątrz było już zupełnie ciemno.

PO ZASIĘGNIĘCIU JĘZYKA na przedmieściu Czarny minął mur okalający cmentarz. Na tle nieba rysował się poza nim ponury kontur szubienicy. Za przepokopem zaś, wykonanym swego czasu przez pracowitych dominikanów, dojrzał masyw wieży o dwuspadowym dachu, ozdobionym u góry sterczynowym szczytem.

U dołu, niby okraczony przez nią, prowadził przejazd do miasta.

Była to Księża brama, którą powinien był minąć Peter Vogelweder, jeśli przybył już do Tczewa.

Wskazanego mu strażnika Czarny znalazł od razu. Przywołany podszedł i, uniósłszy głowę, milczał wyczekująco. Kiedy usłyszał rzucone półgłosem hasło, szybko rozejrzał się na boki i, oparłszy rękę o fękę siodła, mruknął:

— Jedźcie, przejdę kawalek z wami.

Kiedy znaleźli się w przejeździe bramy, szepnęli:

— Jeszcze go nie było...

— Czy można jechać na kwaterę?

— Można. To mój brat. Czekajcie u niego na wiadomość.

— Dziwne, że jeszcze nie przybył.

— Mogło mu coś przeszkodzić. Ale bądźcie spokojni. Musi tędy jechać, a jeśli nawet i nie, to i tak będę wiedział. Wiadomość dostaniecie natychmiast.

— Dobrze, dziękuję! — Czarny ruszył koniem, by nie przeciąga rozmowy.

Istotnie coś się z Peterem musiało stać, bo nie przybył ani tego dnia, ani następnego, ani nawet za tydzień. Czarny niepokoił się coraz bardziej, ale czekał cierpliwie, gdyż, według wiadomości otrzymanych z kolei od Dziobaka, dziewczyna nadal przebywała na zamku. Imć pan Kugellot dobrał sobie dwóch rosyłych drabów, z którymi, tak jak i Bert, czekał na sygnał rozpoczęcia akcji. Ustalili, że odbiją dziewczynę poza miastem, zaraz na pierwszym noclegu. Czarny miał podążyć za nimi konno w pewnym oddaleniu, gdyż Vogelweder go znał. Oni zaś mieli ruszyć na chłopskim wozie, by nie zwrócić na siebie uwagi, a i broń łatwiej można było ukryć przykrywszy ją słomą.

Petera wciąż nie było, ale Czarny pocieszał się, że zwłokę tę spowodowała gorączka wojenna, jaką dawało się dostrzec na każdym kroku. Na drogach pełno było zbrojnych, szły sznury wozów, miasta wysyłały oddziały, po kościołach odprawiano modły o pomyślność wojenną. Miejscowy wójt, Matius von Bebern, już wyruszył na czele chorągwi, ponoć pod Świecie.

Przypuszczenia Czarnego okazały się słuszne. W Malborku wrzało jak w ulu. Nie było wielkiego marszałka ani wielkiego komtura, ostatniego zresztą człowieka, z którym Peter chciałby mówić. Wszyscy znaczniejsi bracia znajdowali się przy wielkim mistrzu, który już wyruszył w pole.

Poradzono jednak Vogelwederowi, by czekał cierpliwie, gdyż wielki marszałek wkrótce miał przybyć na zamek. Peter, rad nierad, musiał usłuchać. Ulokował się na mieście u znajomego kupca, bo wszystkie gospody były zajęte przez zagranicznych rycerzy czekających na formowanie się chorągwi.

A czekać musiał, bo dziewczyna była mu obecnie bardziej niezbędna niż wówczas, gdy zabiegał o nią w zimie.

Teraz bowiem znał już dokładnie swoją sytuację, a była ona znacznie gorsza, niż wówczas przypuszczał. Johann żył w strachu i omal nie chciał gadać z wysłannikiem, którego Peter pchnął z Wrocławia. Okazało się też, że ów bakałarz, który istotnie nie był bakałarzem, wymknął się

Brennerowi, ubiwszy go poprzednio. Antoniego znaleziono powieszzonego w stajni za nogi, a co się stało z parobkiem, nikt nie wiedział. Zabrało go dwóch nieznanymi ludźmi, nawet nie wiadomo — żywego czy martwego. Ale najgorsze z wszystkiego było to, co spowodowało strach Johanna. Ponoć rozgłoszono po mieście przez heroldów nagrodę pięćdziesięciu grzywien za dostarczenie jego, Petera Vogelwедера, żywego albo martwego. Nie mógł więc nawet nosa pokazać nie tylko w samym Krakowie, ale i w bliższej okolicy.

W tym stanie rzeczy transakcja z Zakonem nieoczekiwanie okazała się dobrym interesem, dając jedyną i ostatnią szansę na wybrnięcie z beznadziejnej sytuacji. Dziewczyna stała się mocnym atutem w ręku. Czy jednak, jako rzekomy wybawca, zdoła pozyskać jej względy? Jeśli będzie się opierać, można by opór przełamać... Wtedy może nawet chętnie zgodzić się na poślubienie człowieka, któremu już uległa, a to zapewniało i majątek, i bezpieczeństwo. W ostatecznym zaś razie, jeśli ta droga zawiedzie, niech

matka i ów kanonik w zamian za jej wolność zatroszczą się o żelazny list dla niego.

Rozważając sytuację jeszcze w drodze z Wrocławia, Peter przygotował miejsce ukrycia dziewczyny. Pozostało teraz odebrać ją i zawieźć tam, a czas wskaże, jaką drogę wybrać.

Wreszcie otrzymał upragnioną wiadomość, że wielki marszałek jest już na zamku. Prosił więc zaraz o posłuchanie, przygotowany na to, że zapewne jeszcze przyjdzie na wezwanie poczekać, tymczasem otrzymał polecenie natychmiastowego stawienia się. Zadowolony, że okres oczekiwania się skończył, ale i niespokojny, co mogło być przyczyną nagłości wezwania, ruszył na zamek.

Został wprowadzony do tej samej komnaty, w której przyszło mu wysłuchać zakonnego wyroku. Marszałek nie był sam. Pod oknem stał nieznanemu Vogelwederowi mężczyzna o surowej twarzy okolonej czarną brodą.

Von Wallenrode siedział w krześle i na powitalny ukłon skinął niedbale głową.

— Z czym przybywasz, mości Vogelweder?

— Z pieniędzmi, wasza miłość.

— Masz całą sumę?

— Tyle, wiele przykazaliście.

— Dobrze. Wpłacisz ją bratu skarbnikowi. Od niego też otrzymasz pismo do zastępcy Bebera, bo dziewczka przebywa na zamku w Tczewie. Brat skarbnik już o tym wie.

— Prosiłbym również o glejt zezwalający mi na podróż po zakonnym państwie. Teraz czasy wojenne i mógłbym mieć kłopoty.

Marszałek skinął głową i zwrócił się do brodatego mężczyzny.

— Bracie Gamrat, każcie wystawić mu i takie pismo. A teraz, mości Vogelweder, posłuchaj, co ci powiem.

Peter skłonił się bez słowa.

— *Wiesz już zapewne, co stało się w Krakowie. Wbrew temu, coś nam tu obiecywał, powrotu tam nie masz. Ale na twoje szczęście od tamtego czasu sytuacja zmieniła się, bo mamy wojnę i na owego kanonika możemy machnąć ręką. Otrzymasz zatem inne zadanie i dlatego mówisz dziś ze mną.*

Peter zaklął w duchu, ale przywołał na twarz uśmiech.

— *Cieszę się, że mogę nadal służyć Zakonowi.*

— *Bacz pilnie, abys służył dobrze! — W głosie marszałka zabrzmiała groźba. — Brat Anzelm został stracony, połapano i braci z innych klasztorów. Mimo to ostatnio osiadł w Koronowie nowy mnich. Nawiążesz z nim styczność, niech ci pomoże w zadaniu, jakie ci dam...*

Marszałek przerwał na chwilę, patrząc badawczo w oczy swego rozmówcy. Spojrzenie to było zbyt ostre jak na gust Petera, mimo to twarzą nadal wyrażał swoją pełną szacunku gotowość do usług.

— *Musisz dotrzeć do burgrabi bydgoskiego zamku. To silny gród, ale mamy zamiar go dobywać. Niech otworzy nam bramy. Kiedy i którą, masz to uzgodnić i powiadomić obecnego tu brata Gamrata von Pincenau, człuchowskiego komtura, który będzie oblegał miasto.*

— *Co ofiarować owemu burgrabi? — spytał rzeczowo Peter.*

Von Wallenrode uśmiechnął się lekko.

— *Tak się szczęśliwie złożyło, że wśród jeńców zabranych po zdobyciu Lipna znaleźliśmy jego syna z żoną i dwojgiem dzieci. Mamy obecnie nad nimi pieczę. Jeśli okaże się posłuszny, nic złego im się nie stanie. Wprost przeciwnie — odeślemy ich do Bydgoszczy, jeśli oczywiście miasto będzie w naszym ręku, całych i w dobrym zdrowiu. Tak mu powiedz.*

— *Rozumiem, wasza miłość... Czy to już wszystko?*

— *Na razie tak. Jak dobrze się sprawisz, przywrócę ci swoje zaufanie. Zgłoś się teraz do skarbnika z pieniędzmi, odbierz pisma i hasło do brata Lasoty, naszego nowego człowieka w Koronowie.*

— *Jeszcze jedno, wasza miłość, jeśli pozwolicie rzecz...*

— *Mów!*

— *Wprzódzy zanim wyruszę, muszę skryć dziewczynę. To zajmie mi nieco czasu.*

— *Wiele?*

— *Myślę, że nie więcej jak osiem, dziesięć dni.*

— *Niech będzie. Ale nie dłużej. Potem zaś zwijaj się bystro, bo uderzymy na Bydgoszcz już wkrótce.*

— *Będę się śpieszył. — Peter złożył głęboki ukłon i obrócił się do wyjścia.*

SZCZĘK BRONI, KRZYK mordowanych, huk płomieni rozległ się nad nieszczęsną ziemią dobrzyńską, Krajną, Mazowszem. Nawąta krzyżacka ruszyła, paląc i mordując wszystko, co znajdowała na drodze. Szły z dymem

wsie, ludność zabijano lub brano w niewolę. Trzody bydła, pędzone przez knechtów, ciągnęły ku północy, by zasilić zakonne zasoby. Padł Rypin, Lipno, a potem i Dobrzyń, gdzie starosta tej ziemi, Jan z Płomienia, dał głowę pod topór, by wieść o tym złamała ducha obrońców pozostałych grodów. Bobrowniki opasał żelazny pierścień oblężenia pod dowództwem samego wielkiego mistrza. Komtur brandenburski, Markward von Salzbach, i Konrad hrabia Zollem z Ostródy uderzyli na Mazowsze, a komturzy Człuchowa i Tucholi, Gamrat von Pincenau i Henryk von Schelborn, ten, który przed sobą kazał nosić dwa obnażone miecze, przysięgłszy, że prędzej ich nie schowa, aż nie ubroczy polską krwią, wtargnęli do Krajny. Złupili i spalili arcybiskupie miasta Kamień i Sępólno, po czym ruszyli na Bydgoszcz.

Złość, jaką okazał Jagiełło usłyszawszy o tym, dowodziła, że nie spodziewał się tak szybkiego działania. Złość tę okazał jeszcze na zamku w Nowym Korczynie, kiedy przyjmując krzyżackiego posła, rzucił na ziemię pismo wypowiedające wojnę i porwał za rękojeść miecza, wołając:

*— Ty do mene z hramotoj, a ja tebe sabłoj!*¹¹

Na odbytej zaraz naradzie uchwalono wezwać rycerstwo ziemi krakowskiej, sandomierskiej, lubelskiej i podolskiej, by na piętnastego września, czyli za miesiąc, stawiało się w Wolborzu, a Wielkopole w Łęczycy. Poszło pismo i do Witolda, by przytączył się ze swymi chorągwiami na pruskiej granicy.

Jednocześnie znów poruczono arcybiskupowi Mikołajowi z Kurowa i staroście Maciejowi z Łabiszyna poselstwo do wielkiego mistrza celem rozeznania, na jakich warunkach gotów byłby zaprzestać wojennych działań. Podnosiły się wprawdzie głosy przeciwne takiemu poselstwu, wskazując, że może to być poczytywane za słabość i brak ducha do walki polskiego rycerstwa, ale że był za tym i wicekanclerz, król Władysław odrzucił te prestiżowe zastrzeżenia i polecił posłom natychmiast ruszać w drogę. Mieli nakazane prowadzić rozmowy w sprawie warunków zaprzestania wojny, z poufnym jednak zaleceniem, by rokowań nie kończyć, lecz przeciągać jak najdłużej. I nie odrzucając ostatecznie najbardziej ostrych warunków, w ten sposób dokonać próby osiągnięcia właściwego celu: ograniczenia zasięgu i intensywności wojennych działań krzyżackich.

11 — Autentyczne.

Po pierwszym poselstwie miano za złe arcybiskupowi Mikołajowi, że nie okazał opanowania w rozmowie z wielkim mistrzem i niepotrzebnymi słowami wywołał przedwcześnie wojnę. Król podzielał tę negatywną ocenę, bo i on sam, i wielki książę nie byli do tej wojny gotowi. Toteż postanowiono, aby w ślad za poselstwem wysłanym do wielkiego mistrza udało się kilku panów z Rady i oczekiwało za Wisłą na wyniki rozmów arcybiskupa Kurowskiego. Będąc w pobliżu, łatwiej mogli kierować posłami, udzielając wskazówek, a nawet decydować na miejscu w sprawach wymagających szybkiego rozstrzygnięcia.

W tym celu wyjechali panowie: Jan z Tarnowa, wojewoda krakowski, Mikołaj z Michałowa — sandomierski, Sędziwój z Ostroroga — poznański, i Piotr Szafraniec, podkomorzy królewski. Przydano

im dla ochrony znaczny poczet, na wypadek krzyżackiej rejsy poza Wisłę. Należało się z tym liczyć, mimo że uprzednio poszło na północ kilka chorągwi, by broniły lewego brzegu Wisły przed taką napaścią.

Chciał jechać i wicekanclerz Trąba, ale go król zatrzymał przy sobie, sam potrzebując wsparcia radą w trudnej sytuacji, jaka powstała z powodu szybkości działania Zakonu.

A działanie to było istotnie błyskawiczne i dobrze obmyślane. Swoją szybkością zdołał bowiem wielki mistrz zaskoczyć przeciwnika, a i cel głównego uderzenia wybrał dobrze. Ziemię dobrzyńską łatwiej bowiem było napaść, niż bronić, bo od zaplecza odgradzała ją Wisła, utrudniając nadsyłanie posiłków, na swojej zaś granicy z Zakonem zamków obronnych nie miała, bo te, z którymi należało się liczyć, a więc sam Dobrzyń, Bobrowniki i Złotoryja, leżały właśnie nad samą Wisłą, zatem nie mogły stanowić przeszkody w opanowaniu prowincji. Toteż wielki mistrz od razu ruszył na nie, pozostawiając pomniejszych punkty oporu, jak Rypin czy Lipno, poza sobą. Te zostały złupione dopiero przez podążające za nim oddziały piechoty i knechtów taborowych. W ten sposób, zajmując szybko teren, od razu dotarł do Wisły, zabezpieczając się tym samym od ewentualnej odsieczy lub uderzenia z boku.

Jednocześnie z działaniami na tym froncie poszły uderzenia i w innych kierunkach, absorbując tym samym te siły, które mogłyby mimo wszystko przyjść z pomocą pustoszonej bezlitośnie ziemi dobrzyńskiej. Dlatego to Markward von Salzbach i hrabia Zollem uderzyli na Mazowsze, a von

Schelborn i Pincenau na Krajnę, pustosząc posiadłości arcybiskupie, by uderzyć następnie na Bydgoszcz.

Wielki mistrz po zdobyciu Dobrzynia i po wielkiej rzezi, którą zezwolił dokonać dla zastraszenia załóg innych grodów, ruszył na Bobrowniki.

Tam właśnie osiągnął go arcybiskup Mikołaj, wszczynając rozmowy i tym razem znacznie ostrożniej je wiodąc. Toteż kiedy von Jungingen zażądał oddania Bobrownik i Złotoryi, aby mógł sobie przez to powetować koszta wojny, za co godził się na zawieszenie broni, Mikołaj nie odrzucił bynajmniej tych propozycji, dając do zrozumienia, że zapewne i jego władca, i Rada zgodzą się również na te warunki. Prosił jednocześnie o przypuszczenie go do oblężonej załogi, by wysłuchać tego, co ona mu powie. Uzyskał na to przyzwolenie, nie dostrzegając zapewne tego, co dostrzegł jego przeciwnik, że takie rozmowy, dające nadzieję na ugodę, osłabią ducha obrońców, którym zły los wojenny kazał stanąć do boju z wielokroć przeważającymi siłami.

Udał się więc arcybiskup na zamek, gdzie z kolei odbył naradę z jego dowódcą, Warcisławem z Gotardowic, któremu — jak ten potem wyjaśnił na niepołomickim sejmie — obiecał nadesłać pomoc, czego jednak nie dokonał, bo dokonać nie było możliwości.

Po powrocie z zamku prosił arcybiskup o dobę zwłoki dla zasięgnięcia zgody członków królewskiej Rady znajdujących się za Wisłą. Wielki mistrz przystał i na to, a nawet przydał mu dwóch komturów, by szybciej otrzymać odpowiedź, chcąc tym okazać, że i on dąży do zaniechania wojny.

Ponieważ zaś Rada oświadczyła wysłanym komturom, że nic im odstąpić ani oddać bez zgody władcy nie wolno, wielki mistrz, nie dając się już wciągać w dalsze przeciąganie sytuacji, wysłał herolda bezpośrednio do Gotardowica z zapytaniem, czy podda zamek — w razie odmowy grożąc

natychmiastowym szturmem. Nie otrzymując obiecanych posiłków, Warcisław zrezygnował z oporu i oddał gród w krzyżackie ręce, co potem przypłacił więzieniem.

Teraz wielki mistrz ruszył z kolei na Złotoryję. Tam znów dopadł go arcybiskup, cierpliwie zabiegając o poniechanie wojennych działań, i prosząc o wysłanie warmińskiego dziekana Bartłomieja, by ostatecznie ustalić z Radą warunki porozumienia. Ulryk i tym razem nie wzbrania się przed dalszymi rozmowami, zgadza się, by dziekan jechał z arcybiskupem, ale teraz już nie wstrzymuje szturmu na zamek.

Tu jednak spotyka się z innym duchem obrońców niż w Bobrownikach; parokrotnie ponawiany szturm zostaje krwawo odparty.

Wielki mistrz, znając swoją przewagę, nie ma wątpliwości co do wyniku walki. Dufny w zwycięstwo, każe prosić niewiasty z toruńskiego mieszczaństwa na ucztę i piękne widowisko. Uczując wraz z nimi, przygląda się przy dźwiękach kapeli, wśród żartów i wybuchów śmiechu, śmiertelnym zmaganiom.

Istotnie mury nie wytrzymują uderzeń taranów i działowych pocisków. Walą się, dając dostęp do grodu szturmującym oddziałom. Ci, którzy nie padli w zaciętej obronie, poszli w niewolę, a wśród nich głośni rycerze: Iwan z Gór, Dobiesław Olewiński, Hebermut i inni.

Tymczasem wrócił dziekan Bartłomiej, prosząc i ostrzegając, by wielki mistrz okazał umiar i ustąpił z Polski, obiecując doprowadzić do zgody. Ale Ulryk, poparty przez swoją radę, pewny siebie po łatwo odniesionych sukcesach, dierząc w ręku dobrzyńską ziemię i zdobytą już Bydgoszcz, nie jest skory do ustępstw. Cena, za jaką byłby gotów przygasić swój wojenny animusz, jest wysoka.

A więc ani Polska, ani król nie udzielą Żmudzi pomocy, zdobyte zamki Zakon zatrzyma do rozsądzenia sprawy przez sąd polubowny, który też rozstrzygnie kwestię odszkodowań wysuwaną przez Koronę, a wreszcie Władysław i Witold nie będą sobie pomagać, gdyby któryś z nich miał wojnę.

Arcybiskup, pomny poleceń, by żadnych warunków nie odrzucać, i tym razem wdał się jedynie w targi, żądając innego sformułowania ostatniego zwłaszcza punktu. Po czym prosił, już przez swego wysłannika, o skierowanie do Torunia pełnomocników Zakonu, gdzie przybędą również posłowie z Polski.

Pojechał więc wójt z Rogoźna, Fryderyk Weda, i komtur Kowalewa, Mikołaj Wiltz. Daremnie jednak czekali na polskich posłów.

Tak to arcybiskup wypełniał poruczoną mu misję, podczas gdy wypadki tego roku biegły dalej.

DROGA OKRĄŻAŁA NA SZCZYCIE wzgórze skupisko kilkunastu dębów. Czarny wstrzymał konia pod drzewami i spoglądał na rozległą równinę oblamowaną granatowym pierścieniem lasów.

W środku tej równiny rozłożyła się wieś. Pola wokół niej pokrywa rżyska, tu i ówdzie kroczyły po nich woły, ciągnąc za sobą sochy, za którymi kładły się czarne pasy odwalanych skib.

Dostrzegł od razu płócienny dach wozu, obciążony smołowanym płótnem. Pałubę otaczało sześciu zbrojnych knechtów, ostrza ich włócznie połyskiwały w słońcu krótkimi błyskami. Za nimi, o dwie albo trzy staje, jechał chłopski wóz zaprzęgnięty w małego konika, który ciągnął go z trudem po

piaszczystej drodze. W wozie siedziało trzech chłopów. Woźnica, chcąc ulżyć koniowi, szedł przy nim piechotą.

Czarny wjechał pomiędzy drzewa i zsiadł z konia. Wyjął mu wędzidło i, spętawszy, puścił na trawę. Sam siadł pod drzewem, obserwując oba wozy.

Wieś nazywała się Swaróżyn i, jak już wiedział, była miejscem, skąd droga rozchodziła się w trzech kierunkach. Do zamku Skarszewy, do Starogardu, a na południe do Pelplina. Postanowił więc, korzystając z dogodnego punktu obserwacyjnego, odczekać tu, aby się przekonać, który kierunek obierze czarna buda. Sam nie mógł pokazać się oddziałowi, który prowadził Peter, by nie zdradzić się przed nim swoją obecnością. Poznał już jednak na tyle przebiegłość Dziobaka, aby ufać, że potrafi on dać sobie radę.

Wkrótce oba wozy skryły się pomiędzy zabudowaniami wsi i musiał dość długo czekać, zanim znów dojrzał orszak Petera. Było już po południu i zapewne zatrzymali się we wsi na postój. Wkrótce potem ukazał się i wóz Dziobaka. Oba jechały na zachód, w kierunku Skarszew.

Czarny zdjął koniowi pęta, założył wędzidło i skoczywszy na siodło wolno, bez pośpiechu, począł zjeżdżać ze wzgórza. Odległość była już zbyt duża, by mógł być rozpoznany.

Po południowym posiłku w Swaróżynie Vogelweder kazał woźnicy dosiąść swego konia, a sam przesiadł się na przednie siedzenie koło dziewczyny i ujął lejce. Odezwał się jednak dopiero po pewnym czasie, kiedy ostatnie zabudowania wsi zostały za nimi.

— Nie miałem dotąd sposobności z wami pogadać — zagaił rozmowę, spoglądając z ukosa na swoją brankę. Siedziała obok z opuszczoną głową, milcząc. Złociste włosy wymykały się jej spod chustki, jeden z kosmyków opadł na zapadnięty policzek. Ale usta były pełne i czerwone, piękne w rysunku, a zgrabny nos miał delikatnie zarysowane nozdrza.

— O czym chcieliście mówić? — rzuciła półgłosem, nie unosząc głowy.

— Jak wam powiedziałem jeszcze w Tczewie, mam polecenie odwieźć was na skarszewski zamek. Wybuchła wojna i jego wielmożność wielki marszałek uznał, że tam będzie bezpieczniej.

Dziewczyna uśmiechnęła się gorzko.

— To pięknie, że tak dbacie o moje bezpieczeństwo.

— Udało mi się skłonić do tego wielkiego marszałka... — rzucił od niechcienia Vogelweder.

— Wam...? — spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Peter uśmiechnął się, starając się wyrazić tym uśmiechem zażenowanie.

— Nie jestem byle kto, aby nie liczył się z moją radą. A przy tym mam i własne zamiary.

— Własne zamiary...? — Zielone oczy dziewczyny rozszerzyło zdumienie.

— Tak... Pomyślałem sobie, że, być może, uda mi się wam pomóc.

— Teraz mówicie o pomocy, ale w Krakowie wy przecie, nie kto inny, przykazaliście brać mnie na skutę!

— Bom miał taki rozkaz. Zresztą nie wiedziałem, o co chodzi. Dowiedziałem się o tym później. Ja... bo... no trudno, nie będę skrywał, że mocno zapadliście mi w pamięci... I dlatego postanowiłem, nawet narażając życie, wyciągnąć was z biedy! Już wtedy, w Krakowie, wiedziałem, że nie zdołam was zapomnieć... — dokończył, ścisząc głos.

Una rzuciła spojrzenie na siedzącego obok niej mężczyznę i usta jej najpierw zaczęły drżeć, a potem wybuchnęła śmiechem. Peter nie dał się jednak tym śmiechem wyprowadzić z równowagi.

— Jesteś piękna. Cóż w tym dziwnego? — rzucił cicho.

Una przestała się śmiać.

— Wybaczcie — powiedziała przepraszająco. — Zaskoczyliście mnie tym wyznaniem. Czy chcecie mnie uwolnić i czego w zamian spodziewacie się po mnie?

— Twój i mój los zależy od ciebie! — wykrzyknął Peter. — Jeśli dasz mi nadzieję, zaufasz mi i nie odtrącisz, nie zajedziemy na zamek! Miniemy go, zagłębimy się w lasy, a zanim się spostrzegą, że nie dotarłaś do celu, będziemy już w Polsce. Moi ludzie wykonają bez sprzeciwu wszystko, co im przykażę!

— A jeśli się nie zgodzę?

— No cóż... Jeśli odbierzesz mi nadzieję, nie sprzeniewierzę się przynajmniej rozkazom.

Dziewczyna nie odpowiedziała i jakiś czas jechali w milczeniu. Wreszcie odezwała się, patrząc w twarz Petera:

— Trudny dajecie mi wybór. Pragnę wydostać się z krzyżackich pazurów, ale bez miłowania niczyją nie zostanę. Nawet za cenę wolności... zresztą... nie znam was. Czy w tych warunkach spodziewacie się, że od razu dam odpowiedź, abyście mogli decydować, jak postąpić?

Peter skinął głową.

— Mądre to słowa, nie niewieście.

— Co zatem postanowicie? — zapytała dziewczyna z nutą bezradności w głosie.

Peter nie dał bezpośredniej odpowiedzi.

— Jeślibym zdecydował się na ucieczkę, i to bez żadnej od was obietnicy, czy wyrażicie przynajmniej zgodę, że o dalszych waszych krokach ja będę stanowią?

Dziewczyna zastanawiała się chwilę.

— Dziwne to pytanie, bo przecież, postanawiając ucieczkę, wy przede wszystkim bierzecie na siebie ryzyko, musicie więc stanować. Będę wam we wszystkim posłuszna i kłopotu nie sprawię, to mogę obiecać.

— Pamiętajcie wasze słowa, jak i ja będę pamiętał — powiedział Peter z ledwo ukrytą nutą groźby w głosie. Dziewczyna wyczuła ją, ale stłumiła w sobie uczucie niepokoju, które na moment owładnęło jej sercem.

OBA WOZY DOTARŁY DO Skarszew w odstępie półgodzinnym, jeszcze sporo przed zachodem słońca. Była to osada, a właściwie podgrodzie silnego zamku.

Ponieważ tędy wiódł szlak ku pomorskim księstwom i chodziły często wozy krzyżackie, osada posiadała zajazdy. Wóz Vogelwedera wjechał na podwórzec jednego z nich. Dziobak zatrzymał swój zaraz w pierwszej zagrodzie przy drodze. Po krótkim targu z kmiotkiem wprowadzili wóz na jego podwórze. Czarny, który w tym czasie nadszedł, wysłał Kugellota, by przewąchał, gdzie zatrzymał się poczet Vogelwedera, sam zaś wziął jego ludzi i razem skryli się w stajni, by nie zwracać na siebie uwagi.

Przysiedli na skrzyni z obrokiem i oczekiwali na powrót wystawnicy. Słońce, schylając się już ku zachodowi, sączyło przez szpary poszycia

pomarańczowe smugi blasku, które niby świetliste strzały przebijały półmrok wnętrza. Czas oczekiwania skracali prowadzoną półgłosem gawędą.

Wreszcie uchyliły się wrota i do środka wsunął się Kugellot.

— Są tu niedaleko, w zajeździe. Pachołkowie rozsiadli już konie i siedzą w stajni. Wypiłem tam dla niepoznaki kufel piwa i słyszałem, jak ten gruby zamawiał dwie izby, dla siebie i dziewczki.

— A ona? Nie okazywała oporu?

— Nie. Przysiadła spokojnie na zydlu.

— Nic nie mówiła?

— Nie. Słuchała tylko, jak tamci gadali.

— Ciekawe... — mruknął Czarny. — No, ale mniejsza z tym. Co teraz proponujesz?

Imć Kugellot, który przez cały dzień przemyślał nad sytuacją, w którą wplątał go dobry los, przesunął spojrzeniem po twarzach towarzyszy, z którymi już uprzednio obgadywał rezultat tych przemyślań, po czym zwrócił wzrok na Czarnego.

— Proponuję poczekać, aż się ściemni, a wtedy zakraść się do stajni i wybić wprzód pachołków. Ten gruby, jak zostanie sam, dziewczki nie obroni.

— Łatwo to sobie wyobrażasz! Nie obędzie się bez hałasu, zresztą nie chcę bez potrzeby rżnąć ludzi. Lepiej zakraść się do oberży i rozprawić się z samym grubasem.

— A jeśli postawi pachołka przy drzwiach?

— Trzeba go będzie obezwładnić, jeśli się da, bez oręża.

— Ja bym się tam z nimi nie cackał — odezwał się jeden z opryszków. — Po co utrudniać sobie robotę?

— Zrobisz tak, jak ci każe! — uciął krótko Czarny. — A nie pytany milcz!

Zbój uśmiechnął się lekko, ale nie odpowiedział. Rzucił jedynie krótkie spojrzenie na Dziobaka, który mu je odwzajemnił. Nie uszło | to uwagi Czarnego, nie dojrzał w tym jednak nic podejrzanego. Nagła nieufność zrodziła się w nim dopiero przy następnej wymianie spojrzeń, która miała miejsce przy słowach Dziobaka:

— Teraz, wasza miłość, wyciągnijemy z wozu broń i będziemy się szykować, bo już się ściemnia i zaraz będzie można ruszyć. Chodźcie; chłopcy, kusze i kindżały pochować pod kapoty, aby kto nie dostrzegł.

Kiedy wyruszyli, Czarny spoglądał na nich ze zmarszczoną brwią.

Dziobak coś knuł. Czyżby postanowił przejąć sprawę w swoje ręce i upiec własną pieczeń? Dziewczyna to takomy kąsek, a za Vogelwедера mógł spodziewać się sporego okupu, dużo większego niż umówiona zapłata za pomoc.

Sytuacja skomplikowała się raptownie i zupełnie nieoczekiwanie. Czarny postanowił mieć oczy i uszy otwarte i nie dać się zaskoczyć.

Postanowienie to jednak nie na wiele się zdało, bo kiedy rozległ się skrzyp wrót i na progu stanął Dziobak, ujrzał wymierzoną w siebie kuszę.

— Spokojnie, jeśli od razu nie chcesz być trupem — rzucił zbój półgłosem. — Jeden ruch, a spuszczę bełt.

Czarny natychmiast dostrzegł, że kusza była napięta, a palec opryszka oparty na ciągle spustowym, toteż nie ruszał się, patrząc uważnie w twarz pełną blizn.

Dwaj pozostali stanęli obok, spoglądając na Czarnego jak ogary na zdobycz, którą lada chwila dopadną.

— Łycha, odbierz mu broń, a ty, Świstun, zwiąż go dobrze! Tam na kołku wiszą lejce! I dać mu do gęby kawał płótna, żeby nie narobił wrzasku!

— Po co go wiazać? — zaprotestował Świstun. — Dźgnę go nożykiem, że ani kwiknie!

— Rób, co ci każe, i nie mędrkuj! Zadźgać go mamy czas! Może i za niego coś nam wpadnie! Ej, Łycha, odsuń się sprzed kuszy, bo nie ty jego, a on ciebie rozbroi! — ostrzegł kompana Dziobak, wykazując tym obycie w swoim rzemiośle.

Trudno było próbować oporu, mając o trzy kroki od siebie napiętą kuszę, toteż Czarny spokojnie dał się związać. Odebrano mu sakiewkę, nóż, odpasano mieczyk i pchnięto niby kłodę na kupę słomy przygotowanej na podściółkę.

Było już po zachodzie i w szopie zapanowała zupełna ciemność. Zbóje wyszli i Czarny słyszał, jak zatrzymali się przed wrotami, słuchając poleceń swego herszta. Potem rozległ się chrobot deski podpierającej wrota i kroki poczęły się oddalać. Nastąpiła cisza.

PETER VOGELWEDER PRZYKAZAŁ dać swoim ludziom obfitą wieczerzę, a do niej po dużym kufle piwa i wyprawił ich na spoczynek do stajni, gdzie na piętrze był skład siana. Wprawdzie podczas noclegu w oberży

nic mu grozić nie mogło, bo ze względu na bliskość zamku w osiedlu było spokojnie, ale mimo to polecił, by wystawili straż na podwórku. Wolał niczego nie zaniedbać teraz, kiedy jego zamierzenia zaczęły się pomyślnie realizować. Po odbytej rozmowie powziął przekonanie, że z dziewczyną dojdzie do porozumienia. Czasu wprawdzie nie miał wiele, ale postanowił na razie nie nalegać ostro, lecz okazywać starania i względy, by w ten sposób zdobyć przychyłność.

Toteż siadł do wieczerzy pełen nadziei, że obecne trudności wkrótce przeminą i znów zdoła pewnie stanąć na nogi. Do swojej branki zaczął odnosić się z nadskakującą grzecznością. Zatem kiedy nakrywszy stół kawałkiem płótna służba ustawiła na nim półmisek z pieczoną kurą i kufle z piwem, dwornym gestem wskazał dziewczynie zydel.

— Siadajcie, proszę, i przyzwólcie, że w waszej izbie z wami wspólnie spożyję ten posiłek. Nie tak chciałbym was ugościć, ale cóż, gospoda nie najprzedniejsza, nawet wina nie mają.

Spojrzała na niego z nieco kpiącym uśmiechem, ale dostosowała się do jego tonu.

— Dziękuję wam i za to — odpowiedziała, zajmując wskazane miejsce. — Muszę wam wyznać, że dawno już nie jadłam takiej wieczerzy! Od czasu porwania karmiono mnie byle czym.

— Postaram się to zmienić o tyle, o ile się da, uciekając po bezdrożach. Staranie o waszą wygodę i bezpieczeństwo będę miał na pierwszym miejscu.

— Nie boicie się, że nas pojماją? Już mi przyszło na myśl, czy nie narażamy się zbyt, nocując pod samymi murami zamku?

Peter wzruszył ramionami.

— Zapewne nawet nie wiecie, że mamy tu przybyć, bo pismo marszałka dopiero mam im doręczyć! Jutro zaś ruszymy z pierwszym braskiem, by jak najrychlej zagłębić się w lasy. Nie będziemy też jechać głównymi traktami, bo teraz moc wojska nimi ciągnie.

— Nie wiem, jak wam dziękować za wyrwanie mnie z tej niewoli! — wykrzyknęła gorąco dziewczyna.

Peter spojrzał w jej oczy. Pod tym spojrzeniem zamilkła, z rumieńcem na twarzy. Z lekkim uśmiechem podsunął jej półmisek.

— Bierzcie, proszę. To skrzydełko jest ładnie zarumienione. Po wieczerzy udam się do swojej izby, a wy zamknijcie się na skobel. Idźcie zaraz spocząć, bo jutro trzeba wstać do dnia.

Una chciała coś powiedzieć, ale w tej chwili posłyszeli szybkie kroki dochodzące z sieni. Vogelweder znieruchomiał raptownie, mimo woli chwytając za nóż tkwiący za pasem. W tej chwili drzwi odskoczyły z hukiem i dwóch drabów z obnażonymi kindzałami stanęło w progu. Peter zerwał się na nogi i, wyszarpując nóż z pochwy, odważnie skoczył do przodu.

Teraz wszystko odbyło się w ciągu krótkiej chwili. Una dojrzała, jak jeden z napastników unosi ramię i rękojeścią kindzału uderza w głowę Vogelwedera. Rozległ się łoskot wywracanego zydlą, a w ślad za nim głucho uderzenie walącego się na podłogę ciała.

Obezwałdniona przerażeniem, dotąd siedziała nadal na swoim miejscu. Teraz i ona zerwała się na nogi.

Zbój zdawał się jednak nie zwracać na nią uwagi, gdyż rzucił swemu towarzyszowi:

— Wywlec go do oberży i strzeżcie obaj dobrze. Niedługo do was przyjdę! Teraz chcę się tu nieco zabawić...

— A my, Dziobak?

— Nie bój się, starczy i dla was! No, jazda, bierz go! — Opryszek nachylił się nad nieruchomym ciałem, podsunął pod nie ramię i, stęknąwszy, zarzucił na plecy. Kiedy zgięty pod swoim brzemieniem wyszedł z izby, Dziobak obrócił się ku dziewczynie, która, obezwałdniona grozą, przyglądała się tej scenie.

— Jak się masz, sikorko! — roześmiał się, szczerząc zęby. — Nadspodziewanie piękna z ciebie dziewczka!

Postępował ku niej krok za krokiem. Una zaczęła cofać się, aż poczuła za sobą ścianę. Stanął przed nią i, nie przestając się uśmiechać, wyciągnął dłoń ku jej piersi. Kiedy zaś zwała przed sobą ramiona, chwycił ją wpół, poderwał w górę i jednym zamachem cisnął na przygotowane do snu postanie.

Dominującym uczuciem, któremu Czarny uległ, leżąc na słomie, była wściekłość. Przede wszystkim na siebie, że dał się ująć tak prosto. Był bezradny w chwili decydującej, tuż przed wykonaniem zadania, w które włożył tyle wysiłku.

Wkrótce jednak rozsądek zaczął brać górę, a ten kazał opanować złość, która zaciemniała umysł. Z ciemności rozległ się chrobot żujących koni, jego własnego i gospodarza. Ponieważ ten zarzucił już nocny obrok, nie było nadziei, by tu zaszedł. Chłopek, który ich przywiózł, jeszcze za dnia wyprzągnął swego, przywiązał do wozu i, podsunąwszy siana, sam ułożył się do nocnego spoczynku przykrywszy siermięką. Nie należało więc liczyć na jego pomoc.

Leżąc na słomie, usiłował rozluźnić sznury najpierw na rękach skrzepowanych na plecach, a kiedy się to nie udało, próbował z nogami. Węzeł wprawdzie poddawał się nieco, ale trzymał mocno.

Obrócił się na bok, potem na brzuch i zdołał uklęknąć. Teraz, przeginając się w tył, zdołał skrzepowanymi rękami dosięgnąć sznura na nogach. Po chwili wyczuł go i cierpliwie począł szarpać zań palcami. Napięty kręgosłup bolał, ale nie zwracał na to uwagi, czując, że węzeł zaczyna się coraz bardziej rozluźniać.

Po chwili nogi miał wolne. Wyprostował się i, dysząc z wysiłku, wypoczywał, by napięte dotąd mięśnie nieco się odprężyły. Wreszcie jednym podrzutem poderwał się w górę i stanął na nogi.

Podszedł ku wrotom. Nie mógł wołać woźnicy, bo w dalszym ciągu miał w ustach knebel zabezpieczony opaską ze starego worka. Naparł więc ramieniem, próbując odwalić podpórkę, ale próba okazała się daremna.

Chwilę zastanawiał się, wreszcie przypomniał sobie własne siodło i wraz z żywnością ukryty w saku nóż do krojenia chleba. Ale jak znaleźć w ciemności siodło i jak wydostać nóż skrępowanymi rękami?

Siodło wisiało na kołku. Sam je tam powiesił, ale w ciemnej i obcej stajni trudno je było odszukać.

Pomógł mu w tym przypadek, bo posuwając się w ciemności, trącił on głową.

Podparł je z jednej strony ciemieniem i w ten sposób zrzucił na ziemię. Znowu upadł na kolana, a potem ułożył się tak, by sak mieć za plecami.

Jakiś czas trwało, zanim znalazł sprzączkę. Potem poszło już szybciej i po chwili nóż miał w ręku.

Znowu stanął na nogi i, przywarłszy do ściany, wbił go w deski, uderzenie popierając wagą ciała.

Wyczuł, że koniec wszedł w drewno dość mocno, tak jak go ustawił ostrzem do góry. Wystarczyło teraz obrócić się plecami i pocierać sznurami o ostrze.

Skaleczenia przegubów nie udało się uniknąć, ale nie zważał na ból. Po chwili poczuł, że zacisk sznurów zaczyna słabnąć, aż wreszcie i ręce miał wolne.

Osiodłanie konia nie zajęło mu więcej jak pół pacierza. Kiedy był już z tym gotów, wyszarpnął nóż i wsunął go w szparę wrót, odsunął na bok podpierając je deskę. W moment później był już w siodle i wypadł za bramę.

Nie obawiał się, że nie zdoła odszukać zajazdu, jak również nie dbał o to, że za całą broń miał zwykły nóż kuchenny.

Istotnie ujrzał wkrótce drogę z nadzianym nań garnkiem; powszednie wiadomy znak dla podróżujących.

Budynek był parterowy, ale długi. Z prawa dostrzegł szeroką bramę, teraz zawartą, a przy niej furkę. Spod okiennic domu sączyło się w jednym z okien światło.

Czarny zeskoczył z konia i skrył się pomiędzy drzewami okalającymi podjazd. Potem podkraść się do furty.

Była otwarta. Zapewne zbóje nie zatroszczyli się o jej zamknięcie, co oszczędziło mu sporo czasu. Wsunął się na podwórze i bacznie rozejrzał dookoła.

Na ciało natknął się po kilku krokach. Leżało w poprzek ścieżki skręcającej za węgłem. Zabity miał nogi podkurczone pod siebie, a jedno z odrzuconych ramion opierało się o ścianę. Wokół głowy dojrzał czarną plamę. Obok leżała porzucona kusza.

Czarny nachylił się nad zwłokami, odpiął ramię podtrzymujący pochwę miecza i zwisający u pasa woreczek z bełtami. Wyciągnął zabitemu zza pasa i nóż, zatykając go za własny. Potem podniósł kuszę i ostrożnie wyjrzał zza węgła. Nikogo jednak nie dostrzegł, począł więc skradać się wzdłuż ściany, szukając drzwi.

Znalazł je po kilku krokach. Były, tak jak i furta, niezamknięte.

Znalazł się w jakimś pomieszczeniu, w zupełnej ciemności. Zatrzymał się chwilę, nasłuchując.

Raptem w otaczającej go czerni rozległo się stęknienie. Zdawało mu się, że głos zabrzmiał tuż przy nim, nieomal nad samym uchem.

Nie poruszał się, by nie zdradzić, gdzie się znajduje. Po chwili odgłos powtórzył się, ale tym razem zawtórowało mu niewieście chlipnięcie.

Czarny po ciemku naciągnął kuszę i założył bełt. W ciemności znów rozległ się głos. Tym razem było to z cicha rzucone przekleństwo. Czarny zdecydował się odezwać.

— Kto tam jest? — rzucił półgłosem.

— A tyś kto? — Rozległo się tym razem głośne pytanie, a potem błagalna prośba: — Ratuj, dobry człowieku, kto byś nie był!

— Nie wiem, kogo mam ratować?

— Gospodarza tej oberży i służebną dziewczkę, których jacyś zbóje zamknęli w tej komórce!

— Czemuś krzykiem nie przywołał sąsiadów, a siedzisz tu niby pies w budzie!

— Bo zagrozili, że całe obejście puszcza mi z dymem! Ratuj tedy! Leć po pomoc! Wynagrodzę sowicie!

— Dobrze, już lecę! Tylko mi powiedz, jak się tu obrócić.

— Zaraz z prawa masz drzwi do kuchni, a za nią oberża. Oni tam pewnie siedzą albo są w izbach, które z wieczora zajęli podróżni!

— A izby gdzie?

— Za oberżą! Ale nie gadaj tyle, pośpieszaj po pomoc!

— A gdzie reszta ludzi, co tu przybyli?

— Śpią w stajni! Wystawili strażnika, ale chyba go ubito, bo ich nie zbudził! — objaśniał oberżysta, nie zastanawiając się, że pytający sam zbyt dużo wie.

— No to biegnę, a ty siedź cicho, bo gotowi spełnić groźbę i upieką cię tu jak gąsiora! — Zaczął posuwać się wzdłuż ściany, macając dłonią w ciemności. Po chwili znalazł drzwi.

Kuchnia była obszerna i pusta. Tłący na palenisku żar oświetlał nieco jej wnętrze, znacząc sprzęty czerwonymi konturami. Do następnych drzwi dotarł już bez trudności. Dochodziły spoza nich głosy.

Uniósł kuszę do biodra i kopnął drzwi. Odskoczyły gwałtownie, ukazując wnętrze oberży. Łycha i Świstun siedzieli na ławie, mając pomiędzy sobą Petera. Na widok Czarnego wszyscy trzej porwali się z miejsc. Obaj zbóje wyszarpnęli kindżały z pochew, ale on nie pozostawił im czasu na obronę.

Szczęknął spust kuszy, stuknęła zwolniona cięciwa i Świstun ugodzony bełtem w pierś, zwałił się na ziemię.

Czarny odrzucił kuszę i wyciągnął miecz. Łycha próbował zastonić się kindżałem, ale nie na wiele się to zdało. Ugodzony w skroń, zgiął w kolanach nogi i przewalił się przez stół. Bezbronny Peter wyciągnął przed siebie dłonie, powtarzając raz po raz:

— Kacper?! Skąd?! Skąd?! — Upadł na kolana, nie opuszczając wyciągniętych ramion. — Nie ubijaj! Wiozłem ją do Krakowa... do matki... Wyrwałem z krzyżackich rąk.

— Gdzie ona, ty psie?! — Czarny nachylił się nad klęczącym unosząc miecz.

— Tam... — Peter wskazał trzęsącą się ręką następne drzwi. — Pośpieszaj ratować, bo ją zniewoli!

Pchnięty nogą w pierś, przewalił się na bok. Czarny w dwóch skokach dopadł przejścia. Znalazł się w sieni, gdzie doszedł go krzyk dziewczyny:

— Nie! Nie! Ostaw mnie!! Nie chcę!! Nie!!!

Szarpnął drzwiami, zza których dochodziło wołanie, i wpadł do izby.

Dziewczyna wita się pod napastnikiem, który usiłował pokonać resztki jej oporu. Rozdarta koszula ukazywała krągłość piersi, a uniesiona walką spódnica strzelistą smukłość nóg.

— Hej, Dziobak! — zawołał Czarny, zatrzymując się w progu. — Obróć no się!

Kugellot puścił dziewczynę i poderwał się na nogi. Przez jedną krótką chwilę stał, wpatrując się ze zdumieniem w Czarnego, po czym skoczył do stołu, na który odłożył swoją broń.

Czarny z lekkim uśmiechem sięgnął za pas i wydobył nóż. Odczekał krótką chwilę i uniósł ramię.

— Chciałeś, psie, sam polować?

— I zapoluję! — Kugellot poderwał się do skoku, ale w tej chwili nóż Czarnego śmignął świetlistą smugą i wbił się w pierś opryska aż po rękajeść. Ten pod uderzeniem chybnął się do tyłu, a w jego oczach pojawił się błysk jakby zdziwienia. Potem powieki opadły i zbój, kiwnąwszy się raz i drugi, jakby wybierał sobie miejsce do upadku, zwałił się na podłogę.

Una, wstrząśnięta przeżytą przed chwilą walką z napastującym ją mężczyzną, ze zgrozą wpatrywała się w jego nieruchome ciało. Wreszcie

odwróciła wzrok, uniosła dłonie do twarzy i, opierając głowę o ścianę, wybuchnęła płaczem.

Podszedł do niej i schyliwszy się, położył dłoń na ramieniu.

— Nie bójcie się. Nic już wam nie grozi.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

— Oprzytomnijcie! Musimy uciekać! — rzucił półgłosem. — Gdzie wasze okrycie?

— Ja się was boję... — wyjąkała, kierując wzrok na nieruchome ciało.

Czarny zniecierpliwiał się.

— Boicie się czy nie, teraz nie czas na gawędy!

— Dlaczego uciekać? Dokąd chcecie mnie zabrać?

— Wszystko powiem później. Spieszcie, bo przegadamy okazję!! Szybko, gdzie przyodziewek?!

Una, nadal półprzytomna, wskazała ręką na płaszcz przewieszony przez poręcz krzesła i próbowała stanąć na nogi. Zatoczyła się, ale ją podtrzymał, sięgnął po opończę i narzucił jej na ramiona. Potem schylił się nad zwłokami Dziobaka, wyjął z jego kieszeni swoją sakiewkę, a zza pasa nóż.

Wreszcie, rozejrzawszy się po izbie, chwycił ledwie co napoczętą kurę i bochen chleba, ściągnął ze stołu płótno i zawinąwszy w nie żywność, podał dziewczynie.

— Trzymajcie to, przyda się! A teraz w nogi! — Chwycił jej dłoń i pociągnął za sobą.

Pędem przebyli salę, gdzie Czarny nie zapomniał pochwycić porzuconej kuszy, minęli kuchnię i wydostali się na podwórze, nie zważając na okrzyki uwięzionego szynkarza.

Tu przywarli na chwilę pod ścianą. Czarny przyłożył dłoń do ust dziewczyny, bo w podwórzu ujrzał Petera, który klnąc, popędzał swoich ludzi. Ci uwijali się, zajęci siodłaniem koni.

Czarny, wykorzystując tę sytuację, ruszył biegiem wzdłuż domu, nie wypuszczając ręki dziewczyny ze swojej dłoni.

Zostali dostrzeżeni, kiedy już byli przy furcie. Za plecami ich rozległ się wrzask Petera:

— Tam są! Prędkiej, sobaki! Prędkiej, bo nam umkną! Hej, dawajcie mego konia!

Kiedy wydostali się na zewnątrz, Czarny dopadł swego wierzchowca, chwycił dziewczynę i wrzucił na siodło, po czym, nie szukając strzel mienia, skoczył za nią. Jedną ręką objął ją w pól, drugą miał zajętą kuszą; nie mogąc złapać za wodze, krzykiem poderwał konia do biegu.

Wierzchowiec zakręcił się w miejscu i ruszył od razu pełnym galopem. Płaszcz dziewczyny wydął się od pędu, a w ciszy uśpionej wsi głucho zadudniły kopyta. Wkrótce zaś, niby wielokrotnione echo, rozległ się tętent pościgu.

Po owym tak skutecznym wypędzeniu szatana z nawiedzonego domu Rudy miał dużo do czynienia. Porwanie, a potem ucieczkę trzeba było obmyślić i przygotować. Postarać się o konie, znaleźć zaufanych i odpowiednich ludzi, by udzielili pomocy, wreszcie wystarać się o broń i zaopatrzenie. Na szczęście Czarny nie poskąpił mu pieniędzy, toteż o pokrycie niezbędnych wydatków nie potrzebował się troszczyć. Wszystko to należało wykonać w najgłębszej tajemnicy, by nie zwrócić na siebie czyjejkolwiek uwagi.

I chyba Rudy nie dałby temu wszystkiemu rady, gdyby nie pomoc starego Prusa. Okazał się przewidującym doradcą, a jego znajomość miejscowych stosunków, ludzi i terenu była tym bardziej nieoceniona, że, jak Rudy zdołał się przekonać, stary miał wśród swoich współplemieńców wielki posłuch.

Nastąpił jednak nieoczekiwany zwrot w sytuacji, z chwilą gdy pewnego dnia nagle przybiegł Tomek z fatalną wieścią.

— Pojmali pana Benka! — rzucił od progu przerażonym głosem.

— Widziałem, jak przywieźli go w pętach.

Rudy, który pomagał staremu Prusowi wiązać sieci, obrócił się gwałtownie do chłopca.

— Pojmali Benka? Nie mylisz się?!

— Minęli mnie o krok! Pan Benko spojrzał na mnie, ale zaraz odwrócił głowę.

— A ten rycerz, któremu służył, był z nim?

— Tego nie widziałem. Ale mówili, że niedługo ma przybyć! Zabiją mi pana! — Chłopak rozbeczał się.

Prus, który przerwał pracę, w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Rudy spojrzał na niego, ciekaw, co stary powie, ten jednak nie zabierał głosu.

— Idź nad jezioro i rób, co chcesz — polecił chłopcu. — Abyś tylko nam tu nie wadził! Musimy naradzić się w spokoju.

Kiedy już chłopak wyszedł, stary popatrzył spod oka na Rudego.

— Ten pojmany to mąż owej niewiasty?

— Tak. Musimy go ratować! Ot i nowy kłopot... — Jaksza westchnął.

— I to stokroć większy, bo zamkowe lochy to nie byle chałupa.

Prus pokiwał głową zatroskany.

— Myślę, że nie na nasze to siły...

— Ten Sonnenberg chyba nie wie, że jego giermek to mąż owej niewiasty, którą więzi... — zaczął Rudy powoli, coś jakby rozważając.

— Toś powiedział nowinę! — prychnął stary. — Gdyby wiedział, to tamten nie zdążyłby zrobić przed śmiercią nawet znaku krzyża.

— Ale skoro go uwięził, to znaczy, że się tego dowiedział...

— Chyba nie... — zastanowił się stary. — Nie wiózłby go tutaj, a ubiłby od razu. Tu przywożą tych, co mają być brani na męki, by wydusić z nich ważne zeznania.

— *Takie jest wasze mniemanie?*

— *Pewnie, że tak! A ty co byś zrobił, dowiedziawszy się, że mściciela masz pod bokiem? Żeś sypiał i jadł z nim pospołu? Nie ogarnąłby cię gniew, żeś tak dał się podejść?*

— *Chyba kazałbym go pojmać i uwięzić.*

Stary łypnął okiem na swego towarzysza.

— *Aby miał czas rozgadać, że zakonny brat dogadza swym chuciom w ukryciu? I że był tak głupi, iż nie sprawdził, kogo bierze za giermka?*

— *Zatem sądzicie, że Sonnenberg uwięził swego giermka dla jakichś nie znanych nam powodów, ale nie wie, kto on jest?*

— *Tak myślę.*

Rudy uśmiechnął się.

— *To właśnie chciałem usłyszeć, bo i ja tak samo sędzę. A od tego wszystko zależy...*

— *Co wszystko? Co zamierzasz? Gadaj...*

— *Porywać ową niewiastę należy zaraz, zanim przybędzie Sonnenberg. Potem wyślę do rycerza pismo: Oddam ci brankę za twego giermka. Wymienimy ich tam a tam, wtedy a wtedy. Miejsce należy znaleźć takie, by*

dało się uwolnić Benka i pojmać Krzyżaka. Oby tylko potem ujść cało, bo on na pewno będzie chciał zrobić to samo z nami i też naszykuje zasadzkę.

Stary zmarszczył twarz w przebiegłym uśmiechu.

— *No... no... — mruknął. — Czekaj, niech to sobie rozważę...*

Zmrużył powieki i wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą. Po chwili odezwał się, przesuając dłonią po łysinie.

— *Może by takie miejsce i było... Musiałbym jednak naradzić się z innymi. Nie ja jeden bowiem służę Kurcho...*

Rudy domyślił się od razu, o co chodzi.

— *Macie na myśli podziemia świątyni? Lepszego miejsca nie dałoby się znaleźć!*

— *Tak... to dobre miejsce... — W miarę słów stary Prus zaczął się ożywiać. — Ale, jak rzekłem, sprawę muszę obgadać ze swoimi. Ich zgoda i pomoc będzie niezbędna. Ale aby tę pomoc uzyskać, musiałbyś przyjąć jeden warunek.*

— *Cóż to za warunek? — zaniepokoił się Rudy.*

— Krzyżak musi być nasz! Wam pomożemy uciec, ale on musi pozostać! — W głosie Prusa zadrgała zawziętość i nienawiść. — Już dawno nie złożyliśmy naszemu bogu należytej ofiary... Moi bracia nad tym boleją i tylko pod tym warunkiem zdołam, być może, uzyskać ich zgodę.

Rudy zrozumiał, że żadne targi nic tu nie pomogą, zresztą los Sonnenberga był mu obojętny.

— Przystaję na ten warunek... — oświadczył. — Kiedy będziecie mówić ze swoimi?

— Chcesz ją porwać dziś w nocy?

— Teraz nie wolno mi zwlekać ani dnia...

— Dobrze. Pójdę więc zaraz. — Prus wstał z zydlu. — Czekaj tu na mnie.

Powrócił wkrótce po zachodzie. Potem długo jeszcze gadali, kiedy zaś wreszcie narada była skończona, Rudy zabrał się do czynienia ostatnich przygotowań. Sprowadzony Tomek ruszył po umówionych ludzi, by stawili się o świcie, Rudy doszedł bowiem do przekonania, że będzie to najlepsza pora. Zachodziła obawa, że po nocy Steinowie nie otworzą im drzwi, a zbytniego rumoru też nie należało czynić.

Skoro więc pierwsze promienie słońca wystrzeliły ponad korony drzew, ruszyli okrężną ścieżką, by na posesję Steinów dostać się od tyłu.

Przesadzili palisadę i podeszli do domu. Na wyjaśnienie Rudego, który znów przebrał się w habit, kto dobija się do domu, usłyszeli krzątanicę i pospieszne zdejmowanie drągów.

Chociaż obecność znanego już mnicha od razu wyjaśniła Steinom, że nie ze zbójcami mają do czynienia, mimo to widok trzech ludzi z założonymi na twarze chustami tak przeraził gospodarzy, że nawet słowem nie wyrazili sprzeciwu.

Pani Stein od razu podała świątobliwemu mężowi klucz do izdebki.

— Sprawcie się szybko, ojczy — szepnęła. — Ona jest u siebie...

Rudy pozostawił oboje małżonków pod opieką towarzyszy, a sam skoczył na górę. Szybko przekręcił klucz i wszedł do izby. Widok śpiącej kazał mu zatrzymać się na progu i chwilę trwać w podziwieniu.

Śniada twarz, odwrócona na bok, okolona czarną falą włosów spływających na ramię, rysowała się delikatnym profilem na bieli poduszki. Wolno zbliżył się do łoża.

Zyta raptownie uniosła powieki, wpatrując się rozwartymi przerażeniem oczami w pochylającą się nad nią twarz. W następnej chwili usiadła, podciągając kołdrę pod brodę.

— Nie bójcie się... Czy nie poznajecie mnie?

Oprzytomniała dopiero teraz.

— Ach, to wy! Co...?

— Wstawajcie, i to szybko! Przybyłem po was!

Zyta spoglądała na mnicha ze zdumieniem, jakby nie rozumiejąc jeszcze, co do niej mówi.

— Naprawdę...? — wyszeptwała wreszcie. — Naprawdę przyszlście po mnie... i... i pojedę z wami...? Będę wolna...? — Broda zaczęła jej drgać, a w oczach pojawiły się łzy.

— Z tego, co widzę, to nie bardzo tego chcecie. — Rudy wzruszył! ramionami.

— Już... już wstaję! Gdzie moje suknie?! — Rozejrzała się bezradnie po izbie.

— Poczekam w sionce. — Skierował się do drzwi.

— Nie! Nie! — zaprotestowała. — Obróćcie się, ale pozostaniecie! Nie chcę teraz być sama! Będzie mi różniej z wami!

Rudy, obrócony plecami, słyszał za sobą szybką krzątaninę i szelest sukien. Po chwili dobiegły go słowa:

— Nie będę wam teraz dziękować. — Kobieta starała się opanować i mówić spokojnie. — Bo wiem, że nie czas na to. Ale żebyście wiedzieli, co czuję... O Boże, więc wreszcie! No już, jestem gotowa, możecie się obrócić!

Usłuchał zezwolenia. Stała przed nim owinięta opończę, smukła, z błyskami podniecenia w wielkich, ciemnych oczach. Rudy szybko odwrócił wzrok.

Kiedy zeszli na dół, wyciągnął z zanadru rulon obwinięty sznurkiem i spięty lakową pieczęcią. Podał go Paulowi.

— Weźcie to pismo i wręczcie rycerzowi. Jest tam upomnienie naszego zakonu. A jeśli jeszcze powiecie, że ulegliście przemocy, bo było nas tu dziesięciu dobrze zbrojnych mężów, to sądzę, że nie będzie was podejrzewał o znowę. Do furty nie idźcie, aby was nie dostrzeżono. Znajdziemy ją sami.

Zrobiło się już zupełnie widno, ale nad jeziorem wlokły się jeszcze nocne mgły. Przesadzili znów palisadę, podając sobie kobietę, dotarli do ścieżki wijącej się wśród krzaków łożyn i tu Rudy pożegnał towarzyszy, by już bez nich odprowadzić Zytę do miejsca schronienia.

— Ruszamy zaraz? — odezwała się, kiedy zostali sami.

— Nie. Teraz was ukryję niedaleko stąd. Dlaczego, dowiecie się później. Z klety, w której was ostawię, nie wolno ruszyć się ani na krok. To warunek waszego bezpieczeństwa. Zabiorę was stamtąd, jak przyjdzie pora.

— Długo mam czekać? — szepnęła z niepokojem.

— Myślę, że dzień, dwa, może trzy... Ale chyba nie dłużej.

— I będę tam bezpieczna?

— Jeśli usłuchacie zakazu.

— Zresztą — rzuciła z goryczą — co może mnie spotkać gorszego, niż już spotkało?

— Zapomnijcie o tym.

— Czy prędko zobaczę Benka?

Rudy milczał przez chwilę.

— Zapewne już wkrótce. Nawet może się zdarzyć, że uciekać będziecie razem.

— Naprawdę! Oby to Bóg dał!

— I ja Go o to proszę — powiedział poważnie Rudy.

ZAJADŁY, DZIKI GNIEW MAĆIŁ Sonnenbergowi myśli. Oczy nabiegły mu krwią, a gardło zacisnęło się tak, że ledwie zdołał dobyć zeń głosu. Wreszcie złapał trzęsącego się ze strachu Paula za kaftan i przycisnąwszy ku sobie wrzasnął:

— Kto to był? Gadaj, psie!

— Nie wiem kto, wasza wielmożność. Było ich chyba z dziesięciu... I twarze mieli zakryte chustami... Puśćcie, wasza wielmożność... bo... bo dech mi zapiera...

— Ustanie całkiem, jak cię obwieszę! Czemuś jej nie bronił, gadzie?! Bez oporu dałeś ją porwać!

— Jakże miałem bronić — jeden przeciw dziesięciu? Albow to wojak? Zasieliby od razu...

Sonnenberg, który już puścił Paula, obrzucił spojrzeniem jego przygarbioną postać.

— W którą stronę poszli? Nie dostrzegłeś? — spytał już spokojniej.

— Pobiegli do furty i tyle... Nie śmiałem wychodzić za nimi... bo... bo... zakazali. Ale ostawili tu pismo do waszej wielmożności. — Paul obrócił się i wyjął z kuchennej szafy rulon. — Przykazali oddać nie inaczej, jak tylko do waszych rąk...

— Teraz dopiero, głupcze, to mówisz! — Rycerz wyszarpnął z rąk Paula pismo i wsunął je w zanadze kaftana.

— Przeczytam to później — mruknął. — Ale tak czy inaczej, ani pary z gęby, co się tu stało! Bo przyśle po was knechtów — dorzucił znacząco.

— Nikomu nie piśniemy ani słóweczka, wasza miłość! — wykrzyknęli oboje. Sonnenberg przesunął po nich spojrzeniem.

— Kto nimi przewodził? Mały był czy duży? Jakie włosy? A może dostrzeżliście w nim coś, co by zezwoliło go poznać?

Paul zastanowił się przez dłuższą chwilę.

— Tylko tyłem spostrzegł, że był wielki i mocny w sobie, a włosy miał ciemne — objaśnił nie tyle zgodnie z prawdą, co z własnym wyobrażeniem postaci przywódcy. Równie bowiem jak rycerza należało strzec się nieczystych sił, przeciwko którym bronił ich ów świątobliwy mąż.

Sonnenberg wrócił na zamek opanowany gniewem przyprowadzającym go o utratę rozsądku. Należało jednak kryć swe uczucia pod maską spokoju, by nie zdradzić się przed ludzkim wzrokiem. Jedynym śladem wiodącym ku napastnikom było teraz pismo, które przyniósł ze sobą. Dlaczego je pozostawili i co zawierało? Nie umiając czytać, nie mógł sobie na te pytania odpowiedzieć. Ale komu powierzyć zaznajomienie się z jego treścią, która zdradzała przecież ową tak dotąd dobrze zachowaną tajemnicę?!

Wreszcie zdecydował się, że da je do odczytania staremu kapelanowi zakonnemu. Był jego spowiednikiem, więc sprawa nie była mu obca. Poza tym stary był mocno przygłuchy i prawdę powiedziawszy, z tej starości nieco już szwankujący na umyśle. Gdyby więc nawet coś powiedział, nikt do jego słów nie przywiązywałby wagi.

Kiedy znalazł się wreszcie w swojej komnacie, rozpiął kaftan, położył rulon na stole i kazał przywołać ojca Alberta. Potem, zdjawszy pas, opadł ciężko na krzesło i oddał się ponurym rozmyśleniom.

Kiedy zjawił się kapelan, sunąc stopami po kamiennych płytach podłogi, bo nóg nie mógł już unosić, rycerz bez słowa wskazał mu stojący obok fotel, po czym wstał i zbliżywszy się do drzwi, wyrzwał przezornie na zewnątrz, zanim zamknął je dokładnie. Potem dopiero wrócił na swoje miejsce, sięgnął po rulon, rozerwał sznurek z pieczęcią i podsunął papier staremu.

— Przeczytaj to! — rzucił rozkazująco.

Kapelan pochylił pomarszczoną twarz nad papierem, przysuwając go nieomal do chudego nosa, i zaczął czytać:

— „Zabraliśmy ci niewiastę, która nie jest nam potrzebna, ale potrzebny jest twój giermek Jawnuta. Możesz ją odzyskać, pomieniawszy na giermka. Jeśli nie zgodzisz się i ubijesz Jawnutę, my ubijemy twoją nałożnicę. Jeśli jednakowoż zgodzisz się na taką wymianę, daj znak: wystaw w strzelnicy południowej baszty zieloną gałąź. Wymianę życzymy sobie dokonać tak, abyś nas nie podszedł. Tedy tego samego dnia, w którym wystawisz ową gałąź, na czas jednej mszy przed północą wyjdź z Jawnutą na drogę wiodącą od zamku w stronę starego grodziska. Twego więźnia prócz ciebie nie może prowadzić więcej jak dwóch knechtów. U kładki na kanale trafisz na starego żebraka, którego pozdrów słowami: «Błogostawieni cisi, a pokornego serca». On nie będzie nic wiedział, ale cię doprowadzi do człowieka, który będzie twoim przewodnikiem na pobliskie już miejsce, gdzie dokonamy wymiany. Miejsce to,

aczkolwiek ponoć nawiedzane, przecież nas nie przeraża, przeciwnie, zapewnia, że nikt nas nic dojrzy. Sądzymy, że i ty zajęczego serca nie jesteś”.

Sonnenberg, wysłuchawszy, kazał sobie pismo odczytać jeszcze raz, by dobrze wbić sobie w pamięć całą treść. Wreszcie stary kapelan chlipnął nosem raz i drugi i odchylił się na oparcie.

— Oczy już mnie bolą z wysiłku... Coś mi się widzi, że mimo moich napomnień i pokut grzesznej żądy nie opanowałeś.

— Jak znów do was przyjdę, aby grzech wyjawić, zadacie mi podwójną pokutę! — rzucił kpiąco rycerz.

— Ale teraz ja was upominam, że o tej sprawie, jako o spowiedzi, musicie zamilczeć!

— Coś ty! — obruszył się stary. — Bacz, co gadasz! — Raptem roześmiał się skrzekliwie: — He... he... sam nie chciałeś odsunąć grzesznicy, to ci ją Bóg odebrał! Po nocy więc za nią nie ganiaj, bo kto wie, czy w kobolda już się nie przemieniła!

— Teraz to już nie o nią chodzi! Sprawa przybrała zgoła inne oblicze, bo okazało się, że ktoś o niej wiedział i wykorzystał dla innych celów! Muszę więc dociec, co to są za ludzie, którzy ją porwali, i dlaczego tak troszczą się o Jawnutę!

— Bacz, abys mgły w garść nie chwycił miast tej kiecki! O północy złe mocy nabiera i ludzi mami... Od ludzi ustrzec się zdołasz, boś mocny, ale licha nie pokonasz.

— Nawet te psubraty wiedzą, że odwagi mi nie brak! Dlatego nie krączcie mi, bom istotnie nie zajęczego serca!

Po wyjściu kapelana Sonnenberg zamyślił się. W pierwszej chwili podejrzewał, że to ów Benko dokonał napadu i odebrał żonę. Ale list zaprzeczył tym przypuszczeniom, bo mąż nie proponowałby przecież jej zwrotu. Zatem kto stoi za tym czynem?

Ta sprawa istotnie interesowała go teraz najbardziej.

Ale jedynym sposobem, by dowiedzieć się, kto porwał Zytę i kim w istocie jest jego giermek, było przyjęcie propozycji wymiany. Należało zatem wykonać ją tak, by pojmać tych, którzy przyprowadzą kobietę.

W razie powodzenia osiągał wówczas korzyść podwójną: i dla Zakonu, i dla siebie.

Trzeba więc sprawę dobrze przemyśleć. Z listu jasno wynika, gdzie odbędzie się wymiana. Wskazuje na to i droga, którą mają iść, i wzmianka o

nawiedzonym miejscu. Było powszechnie wiadomo, że miejscem tym są ruiny starego pruskiego grodu, leżące pod lasem na wzgórzu.

Sonnenberg wstał i zaczął krążyć po komnacie, rozważając sytuację. Im prędzej sprawę się wyjaśni, tym lepiej. Będą zapewne wybrane miejsce obserwować, toteż knechci powinni otoczyć pierścieniem wzgórze dopiero o zmroku. Co trzeciemu dać pochodnię — na sygnał mają je zapalić, skoro tylko ujrzą, że tamci weszli w obręb pierścienia. Teren jest znany dobrze jemu, i zamkowej załodze. Do środka wpuszczać wszystkich, z pierścienia nikogo. Jeśli nie da się pojmać żywcem, ubić z kusz. Pół grzywny za ubitego, ale trzy za żywego. Zapłata sowita, powinna należycie wzmóc czujność.

W razie jednak, jeśli ich nie ujmą, trzeba będzie iść z więźniem.

Z TERENU ZASADZKI WIEŚCI jednak nie nadchodziły, toteż kiedy zbliżyła się północ, wyszli z bramnej furty. Rycerz wdział na głowę otwarty z przodu hełm, a pod kaftan kolczą koszulkę podarowaną mu przez wielkiego marszałka w nagrodę za jakąś cenną dla Zakonu przysługę. Była sporządzona ze stali kutej w Damaszku i pochodziła jeszcze z czasów, kiedy Zakon miał siedzibę w Jerozolimie.

Skręcili w lewo, ku kanałowi łączącemu dwa stawy, pomiędzy które wcisnął się zamek. Kanał ten tworzył od północy obronną zaporę. Miasto leżące z dala, za krętą Liwną, było niewidoczne w

ciemności. Pomędzy nim a zamkiem leżało wzgórze zarośnięte chaszczami i zielskiem, niegdyś teren, na którym stało pruskie grodzisko.

Księżycy nie było, ale gwiazdy dostatecznie rozpraszały mrok nocy. Rycerz szedł przodem, bacznie rozglądając się wokoło. Za nim dwóch zbrojnych knechtów, osiłków, wybranych z całej załogi, wiodło między sobą skrupowanego więźnia, bowiem pozory należało zachować. Jego nieobecność ostrzegłaby przeciwników i mogłaby ich spłoszyć.

Wkrótce minęli kładkę nad kanałem. Parę kroków dalej ujrzeli siedzącą na kamieniu przygarbioną postać. Sonnenberg zatrzymał się, mówiąc półgłosem:

— Błogosławieni cisi, a pokornego serca.

Żebrak uniósł się na nogi i ruszył naprzód nadszpiewanie szybko. Grupa z rycerzem na czele szła za nim. Sonnenberg stwierdził z zadowoleniem, że knechci z obławy byli dobrze skryci, bo żadnego z nich nie

zdołał dostrzec. Zresztą nierówny teren, pełen dziur i krzaków, sprzyjał zasadzce.

Na niebie tysiące gwiazd mżyło światłem, w którym widać było czerniejące tu i ówdzie niewyraźne bryły zarośli. Ścieżka biegła wśród nich, coraz bardziej wspinając się pod górę. Gdzieś od strony pobliskiego boru odezwało się przeciągłe sówie wołanie.

Wkrótce ukazały się kontury ziemnych wałów ciągnących się wokół szczytu wzgórza. Po chwili żebrak skręcił w bok, gdzie odgałęzienie ścieżki wiło się kręto, omijając gęstniejące zarośla. W ten sposób dotarli do wyrwy w ziemnym wale i wydostali się na płaski szczyt wzgórza.

Tu krzaki i chaszczce rosły równie gęsto, zastaniając zupełnie widok. Leżały wśród nich rzucone chaotycznie wielkie głazy, na wpół zakryte wysoką trawą, miejscami piętrząc się na sobie w ogromne zwały.

Miejsce miało wśród okolicznej ludności złą sławę; powszechnie wiadano, że niebezpiecznie tu było chodzić. Śmiałkowie, którzy odważyli się na to, ginęli bez śladu. Nigdy nie udało się znaleźć nawet wskazówki, która pozwoliłaby bodaj domyślić się, jaki ich spotkał los. Mówiono, że ziemia rozstępowała się pod nimi i ginęli w jej wnętrzu. Przechodzącym zaś po nocy obok wzgórza zdarzało się słyszeć głuche wołania. To duchy padłych tu pruskich wojów wzywały ponoć żywych ku sobie.

Toteż knechci coraz trwoźniej oglądali się wokół, żegnając się, a twarz Sonnenberga robiła się coraz bardziej ponura i zacięta.

Po minięciu wału żebrak zatrzymał się i cicho gwizdnął, po czym bez słowa zawrócił i zniknął w ciemnościach nocy. Zanim jednak ucichł szelest jego kroków, zza pobliskich głazów wysunął się mroczny cień.

Kiedy się zbliżył, ujrzeli postać w długiej opończy. Nowy przewodnik miał odkrytą głowę, świecąc w ciemności bezwłosym czerepem czaszki.

— Witajcie — odezwał się półgłosem. — Już na was czekają...

— Nie widzę tu nikogo. — Sonnenberg wpatrywał się w rozmówcę baczным spojrzeniem. — Gdzie oni są?

— Zaraz ich spotkacie. Chodźcie za mną.

Panowała cmentarna cisza. Nie zakłócał jej najmniejszy odgłos. Nawet podmuchy wiatru nie dochodziły tu, odcięte wałami.

— Prowadź zatem, bo pora sprawę kończyć — rozkazał rycerz.

Ruszyli za przewodnikiem. Tu ścieżki już nie było, brnęli więc przez gęstą trawę, uważając, by nie zejść w bok, bo wokół znajdowało się pełno rozpadlin i wyrw, w które łatwo było wpaść.

Po przejściu kilkunastu kroków przewodnik zatrzymał się przed skupiskiem wielkich głazów, wznoszących się niby ściana ponad głęboką i obszerną jamą zarośniętą chaszczami.

— Jeśli knujesz zdradę, pierwszy padniesz od mego miecza! — warknął rycerz, schodząc za chudą postacią.

— Nie bójcie się, panie... — rozległ się w ciemności lekko kpiący głos.

Na chwilę stracili przewodnika z oczu, a kiedy znów znalazł się przy nich, ujrzeni ze zdumieniem, jak jeden z głazów ściany usuwa się, ukazując czarny otwór wnętrza. W czerni tej migotało światło stojącej na ziemi latarki.

— Wchodźcie śmiało — zachęcił ich przewodnik ruchem ręki, wskazując otwór. — Tam dokonamy wymiany.

Sonnenberg zawahał się. Takiej sytuacji nie przewidywał. Przypuszczając, że wymiana odbędzie się na szczycie, do tego dostosował swój plan. I nie wiadomo, co by ostatecznie zdecydował, gdyby stojący za nim jeden z knechtów nie rzucił z trwogą w głosie:

— Poniechajcie, panie... Tu nieczyste siły mają moc. Lepiej wróćmy...

Brat Sonnenberg rozeźlony zarówno niespodziewanym obrotem sprawy, jak i śmiałością knechta, który niepytany odważył się dawać mu radę, zawołał z wściekłością:

— Stul gębę! Ruszajcie za mną, a ty idź pierwszy! — rozkazał stojącemu przewodnikowi.

Ten schylił się bez słowa i wszedł w ciemny otwór, unosząc stojącą latarnię. Oni ruszyli za nim, a ruchomy głaz cicho zasunął się za nimi na swoje miejsce.

Po kilku krokach natrafili na stopnie, którymi zaczęli schodzić. Powietrze stawało się coraz cięższe i coraz bardziej nasiąkłe wilgocią. Latarka paliła się słabo, oświetlając drogę tylko na krok.

Stopnie skończyły się wreszcie i skręcili w bok. Wkrótce natrafili na drzwi, których przegniłe bale nie stanowiły zbyt mocnej zapory. Minęli je i znaleźli się w obszernym pomieszczeniu, którego sklepienie podparte było stojącymi rzędem trzema kamiennymi słupami.

Pod środkowym stał na cokole posąg, a pod nim koryto wydrążone w wielkim, podłużnym kamieniu.

Posąg wyrażał sobą niezdarne wykuty snop. Ciężkie kłosa rozchylały się u góry, po bokach opadając w dół na kształt ramion. Pośrodku, z gąszczu kłosów, wyłaniała się głowa o grubo ciosanych rysach twarzy. Dwoje wypukłych oczu ślepych spojrzeniem patrzyło w przeciwną stronę, a szerokie usta wykrzywiały ledwie co zaznaczony uśmiech, któremu rzeźbiarz potrafił nadać wyraz łaskawości, ale zarazem szyderstwa.

Po obu stronach posągu paliły się dwa kagańce umocowane na bocznych słupach. Rzuciły chybotliwe światło pełzające czerwonymi błyskami po posągu, ścianach i grupie ludzi stojącej nieopodal. Wśród nich Sonnenberg dojrzał Zytę, a obok niej siwowłosego starca i młodego mężczyznę o rudej czuprynie.

Rycerz postąpił naprzód, a za nim knechci z więźniem pomiędzy i sobą. Kiedy wynurzyli się z mroku, stając w świetle, rycerz posłyszał raptem za sobą okrzyk więźnia:

— Zyta! I ty tu?!

Ujrzał jednocześnie, jak kobieta rzuca się ku nim z wyciągniętymi ramionami. Wprawdzie Rudy przytrzymał ją i zasłonił sobą, ale Sonnenberg usłyszał jej zdumiewający okrzyk:

— Benko! Mój Benko!

Znieruchomiał, teraz dopiero przejęty zgrozą. Myśli burzą przelatywały mu przez głowę. A więc ów Jawnuta to Benko! On sam! Jego giermek i powiernik! A więc to on zabił Venta, aby zająć jego miejsce!

W jednej, krótkiej jak mgnienie chwili rycerz zrozumiał wszystko. Straszliwa, odbierająca rozum i wszelkie rozeznanie wściekłość kazała mu wyszarpnąć miecz.

Nikt z obecnych nie zdążył nawet ruszyć powieką, kiedy ostrze mignęło niby czerwona błyskawica, uderzając w pierś więźnia. W następnej chwili rycerz rzucił się ku Zycie z obnażonym mieczem.

Ale Rudy już swój miał w ręku i zasłonił sobą kobietę. Tylko jeden raz zdążyli skrzyżować ostrza, bo w tejże chwili zza posągu wyskoczyło kilka biało odzianych postaci. Knechci padli pod razami noży, a nad głową rycerza świsnęły rzemienne pętle, opadając nań i krępując ramiona.

Miecz wyleciał mu z ręki, a on sam został obalony na ziemię. Począł szarpać się przyduszony przez napastników, na próżno usiłując zrzucić ich z siebie. Wkrótce też złożono go u stóp ołtarza, spowitego rzemieniami.

Zyta ze szlochaniem dopadła leżącego we krwi męża. Jaksza schylił się nad rannym wraz z nią i przeciął krępujące go więzy, po czym oparł mu głowę o zwłoki jednego z knechtów.

Zrozumiał też od razu, że Benkowi wiele z życia już nie zostało. Pierś była przecięta głęboko i krew spływała z niej obficie.

Ranny, zbieleły zupełnie na twarzy, rozwarł raptem powieki i patrzył przez chwilę w oczy nachylonego nad nim Jaksy. Potem przeniósł spojrzenie na szlochającą Zytę, która klęczała obok i rwała rękaw koszuli, by zatamować krew.

— Zytka... — szepnął. — Wolna...

— Tak! — Przypadła do niego, przykładając płótno do rany. — Och, miły mój! — Przywarła twarzą do twarzy męża. — Nie mów nic, bo krew szybciej uchodzi!

— To już bez... znaczenia... Koniec niedoli...

— Nie! Nie! — krzyknęła rozpaczliwie. — Musisz żyć! Będziesz żył!

Benko poruszył głową.

— Zbliź się... — wyszeptał — coraz trudniej mi mówić... Mącq się myśli, a ważną rzecz chcę... przekazać... — Urwał, łapiąc powietrze świszczącym oddechem.

— Mówcie — odezwał się po raz pierwszy Rudy.

— On cię uwolnił — zwrócił spojrzenie na Zytę — niech tedy dalej nad tobą ma pieczę... — Urwał, znów dysząc ciężko, po czym, jak gdyby skupiając siły, ciągnął szybciej, w obawie, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego:

— Uciekajcie do Trok... tam opat Łukasz... powiedzcie mu... pójdzie wkrótce goniec z pismami do Świdrygiełły... Trzeba odebrać... To Jawnuta z Niemierzy... Wiezie i glejt... Jawnuta... ale to nie ja... Jawnuta... nie ja...

Raptem głowa chybnęła mu się na bok i pozostała bez ruchu. Szloch Zyty rozbrzmiał głośniejsz. Jaksza przeżegnał się i stanął na nogi.

Obejrawszy się za siebie, ujrzał Sonnenberga z pętami na nogach i rękach, leżącego na ziemi. Ale nie był już skrępowany zwykłym sposobem.

Leżał, mając ramiona i nogi rozciągnięte szeroko i przywiązane do wbitych w ziemię kołków.

Biało odziane postacie, skupione kręgiem wokół niego, zwrócone były twarzami ku kamiennemu snopowi. Wszyscy byli starcami o siwych brodach i twarzach pooranych zmarszczkami. Wśród nich Jaksza dojrzał i swego gospodarza odzianego również w białą szatę.

I on więc był kapłanem Kurcho! Rudy teraz dopiero zrozumiał, co było przyczyną poważania, z jakim go traktowano.

Jeden ze starców, stojący w środku półkola, wyrzucił w górę ramiona i zawołał:

— Kurcho! Kurcho!

Rudego przeszedł dreszcz. Głos wołającego wibrował gwałtownym, rozpaczliwym błaganiem.

— Kurcho! Kurcho! — Główny kapłan powtórzył wołanie. — Obróć ku nam oblicze! Obróć ku nam swe oczy! Zechciej nas dojrzeć i obdarz swą łaską, obdarz szczodrością, obdarz przebaczeniem! W imię tych trzewi, w imię tych kości, w imię tej krwi, którą ci ofiarujemy!

W ciszy, jaka nastąpiła po tym wołaniu, słychać było jedynie syk palących się kagańców. Ich chybotliwe płomienie rzuciły na wysoką postać starca czerwone, tańczące światło. Jego długi cień kładł się czarną smugą na ścianie i chwiały na boki, jakby żył własnym życiem.

Zza ołtarza wysunęły się cztery postacie. Każda z nich trzymała w ręku żelazny cep zamocowany do krótszego niż zwykle cepiska.

— Co będziecie z nim czynić? — szepnął Rudy, zbliżając się do swego gospodarza.

— Zgruchoczą mu kości ramion i nóg, aby zmieścił się w kamiennej misie. Tam powolnym konaniem musi obudzić bóstwo.

Jaksa poczuł, że robi mu się niedobrze.

— Nie chcę, aby ona na to patrzyła! Wyprowadźcie nas do koni!

— Nie mogę odejść, póki ofiara nie zostanie spełniona. Ale traficie sami, bo korytarz biegnie prosto i kończy się już w borze. Wskażę wam drogę.

— Zatem żegnam was i dziękuję z całego serca! Chcę jednak prosić jeszcze o jedną usługę.

— Mów. Spełnię, jeśli zdołam.

— Nie mamy możliwości pogrzebania zmarłego męża kobiety. Zróbcie to wy, najlepiej na szczycie wzgórza, i postawcie na mogile krzyż.

Stary Prus skinął głową.

— Pochowamy go tam, gdzie prosisz, i zgodnie z jego wiarą postawimy ten znak na mogile.

— To i wszystko. Żegnajcie!

— Żegnaj, synu, i niech Kurcho prowadzi was szczęśliwie. Konie znajdziesz przy wyjściu z tunelu. Pilnuje je wasz chłopak.

Podali sobie ręce, po czym Jaksa uniósł za ramiona milczącą już Zytę, która klęczała nad zmarłym. Dała się prowadzić, mało co przytomna. Jeden z kapitanów bez słowa podał im palącą się latarnię i wskazał drogę.

A kiedy zagłębili się już w stęchłą ciemność kapiącego kroplami wody przejścia, raptem rozdarł panującą ciszę straszliwy, nieludzki ryk. Ryk ten jeszcze długo słyszeli za sobą, a wtórowały mu głuche, miarowe uderzenia cepów.

Rudy wiódł ślaniającą się na nogach Zytę aż do stopni prowadzących na powierzchnię ziemi. Tam musiał wziąć ją na ręce i wnieść na górę, bo już nie miała siły, by sama je pokonać.

Kiedy wreszcie wydostali się z mroków podziemnego korytarza, znaleźli się wśród gęstego boru. Wokół stał las nieruchomy i milczący. Nad koronami drzew wschodzące słońce rzucało pierwszą różowosrebrzystą jasność.

Rudy od razu dostrzegł pasące się w pobliżu konie. Natomiast Tomek zawierzył widać Opatrzności, bo spał smacznie, owinięty opończę.

Również o przedświcie wyznaczony przez Sonnenberga dowódca obławy postanowił nie czekać dalej na powrót rycerza. Zaniepokojony jego nieobecnością podniósł do ust pieszczatkę.

Nieomal natychmiast rozgorzały wokół pochodnie i zaczęły zbliżać się do wzgórza. W miarę zaś zbliżania się odległość między nimi malała, kiedy zaś knechci wdarli się na wały, ich szczyt zdawał się płonąć nieprzerwanym ognistym kręgiem.

Przeszukawszy teren, oddział skupił się w środku. Okazało się, że ludzkie gadki nie były kłamliwe. Istotnie ziemia musiała pochłonąć brata Sonnenberga i jego ludzi, bo nie znaleziono po nich ani śladu.

Po naradzie odbytej na zamku okazało się, że nie wiadomo było, co dalej czynić, gdyż rycerz nie wtajemniczył nikogo, w jakim celu i kto miał być pojmany w czasie nocnej obławy.

WIEŚĆ O UPADKU BYDGOSZCZY, zdobytej dzięki zdradzie, jak i o okrucieństwach krzyżackich wywołała w Polsce wybuch ogólnego oburzenia.

Rycerstwo spieszyło na wyznaczone miejsca zbiórek, ciągnęły za nimi wozy ze sprzętem i żywnością, miasta wyznaczały ludzi, zaopatrywały ich w broń i formowały oddziały. Na Mazowszu książę Bolesław, syn Janusza Płockiego, na czele własnych wojsk i oddziałów litewsko-tatarskich pali Działdowo i okoliczne wsie, a Żmudzini, już za zgodą Witolda, pod wodzą Warybuta, Klawnsigajłta i Getata, a pod ogólnym kierownictwem Rumbolda, zdobywają i palą zamki Istenburg, Fredenburg, Christmemel, a Dubiszę opuszcza jej załoga, by przebiec się ku swoim, podpalając wpierw gród.

Straż nad granicą z Zakonem wzmacnia Witold Tatarami Dżelal Ed-Dina Tochtamyszewicza, który przybył do niego z Kipczaku, zabiegając o pomoc w uzyskaniu tronu. Nie wolno było tym strażom przepuścić nikogo, kto z ziem zakonnych chciałby się przedostać na Litwę.

Sam król Władysław w pierwszych dniach września przybył do Wolborza, skąd wraz z zebrany tam rycerstwem dziewiętnastego września wyruszył do Łęczycy. Tam kazał na kilka dni rozbić namioty, by dać czas Wielkopolanom na przyłączenie się do jego wojsk. Tam też osiągnął go wielki książę Litwy, który rozstawnymi końmi przybył na czele małego oddziału, by uzgodnić dalszą organizację przygotowań i wspólne działania.

Wreszcie, zebrawszy już całe wojsko, 23 września król zwija obóz i rozpoczyna marsz, którego celu nikt poza kilku panami z Rady nie znał. Poszły oddziały zwiadowcze ku Wiśle, by nieoczekiwany wypad krzyżacki nie uderzył z nagłą w bok ciągnących chorągwi, a na pierwsze miejsce postoju wyznaczono wieś Siedlec.

Szły więc wojska podobne długiemu cielsku olbrzymiego węża. Chorągwie były różnej wielkości i różnie zbrojne. Większe miały i po dwieście samych kopii, a mniejsze nieraz zaledwie po kilkanaście, zależnie od zamożności dygnitarza, który je wystawiał, wielkości rodu lub liczebności mieszkańców w rodzinnej ziemi.

Wrześniowe słońce migotało na hełmach i półzbrojach rycerstwa, pełny bowiem rynsztunek jechał na wozach. W jego świetle biły w oczy jaskrawe

barwy rycerskich sukien, czapraków koni i proporców. Barwy te gasił jednak kurz wznoszony kopytami, i to tak gęsty, że już nawet bliższe czołu chorągwie jechały w nim niby we mgle. Z radością też witali jeźdźcy każdy podmuch wiatru, który, unosząc kurz w pole, pozwalał pierśmi swobodniej oddychać.

Za chorągwiemi szła piechota, dźwigając swoją broń na ramionach. Wiedli ją konni dowódcy, których górujące nad szeregami sylwetki znaczyły poszczególne oddziały.

Za piechotą ciągnęły wozy taborów. Ich sznur wił się wśród pól, a kiedy szły nawet równiną, dostrzec końca nie mogłeś, gdyż ginął gdzieś za zamglonym horyzontem.

Miał bowiem każdy rycerz co najmniej jeden swój wóz, a możniejsi wiedli ich ze sobą i po kilka. Wiozły one ich żywność — bo podług królewskiego rozkazu każdy ze zbrojnych musiał jej mieć najmniej na pięć tygodni, i to dla siebie oraz dla swoich ludzi — a poza tym namioty, zapasową odzież, zbroję i broń, paszę dla koni, no i własny sprzęt gospodarski.

Było więc co na wóz ładować, toteż uboższy często musiał się frasować, jak wszystko na jednym pomieścić.

Prócz wozów rycerskich szły całe tabory dygnitarskie, bo te wiozły zaopatrzenie i dla pana, i dla jego chorągwi. Wreszcie szły tabory królewskie, ciągnąc sprzęt oblężniczy, jak rozebrane na części maszyny, powrozy, drabiny, haki, smołę i łuczywo, działa, proch, pociski wszelkiego rodzaju, namiotowe płótna i wiele innego dobra niezbędnego na wojennej wyprawie.

To wszystko musiało iść w należyтым porządku, by każdy wóz znał swoje miejsce tak w marszu, jak i na postoju, i to w zależności od wymogów, bo postój mógł być różny: dla spoczynku lub dla obrony. Tabory bowiem były ważną częścią wojsk, spełniając funkcję nie tylko transportu zaopatrzenia. Służyły w razie potrzeby i do obrony, a o ich takim czy innym wykorzystaniu rozstrzygał wódz na równi ze sposobem użycia pozostałych formacji.

Pierwszy etap nie był długi, bo należało ludzi wdrożyć do marszowego rygoru. Przenocowawszy w Siedlcu, następnego dnia, skoro świt, pierwsze chorągwie wyruszyły z obozu, a kiedy słońce ukazało się zza pobliskiego boru, wszystkie były już w drodze.

Na następną noc zatrzymano się przy wsi Kaczewie, na trzecią z kolei — pod Radziejowem. Tu, rozbiwszy obóz nad jeziorem, król wysłuchał

dowódców wysłanych na zwiady oddziałów, wyznaczając nowe i liczniejsze, bo zbliżał się coraz bardziej ku nieprzyjacielowi.

Trzeba też było należycie uformować chorągwie, by wyrównać ich liczbowy skład. Toteż było już po północy, kiedy jego królewska mość legł wreszcie na spoczynek.

Mimo to następnego ranka osobiście dozorował wymarszu wojska. Na nocny postój miano zatrzymać się w Szarleju, stąd zaś, skręcając ku zachodowi i po ominięciu Inowrocławia, zatrzymano się nad jeziorem, przy wsi Tuczno.

Dla wszystkich cel wyprawy stał się już jasny. O dzień drogi leżała Bydgoszcz, gdzie, jak donieśli wysłani na przespiesi ludzie, na wieść o zbliżających się hufcach zamknęła się w zamku krzyżacka załoga. Zachowując ostrożność, pierwszą linię czatów wysłano aż o pół mili od obozu. Noc jednak minęła spokojnie, a następnego dnia po południu, wynurzywszy się z borów, ujrzeli polscy rycerze mającące z dala zręby zamku.

DROGA SZŁA ŁUKIEM W PRAWO. Rosły na niej drzewa, a dalej widać było zatarte ciemnością kontury domostw Podgrodzia. Sierp księżycy ukazał się już na niebie, ale pod drzewami leżał głęboki cień, który mógłby chronić ściganych przed oczami ścigających, gdyby kopyta konia nie były tak głośno o twardą ziemię, a nocna cisza nie roznosiła tego odgłosu tak szeroko.

Czarny, obejmując jedną ręką dziewczynę, drugą zdołał zarzucić kuszę na plecy, mógł więc teraz ująć w garść cugle i prowadzić konia.

Wciąż słyszał za sobą dudnienie końskiego cwału. Odgłos ten dochodził go niby miarowe, jednostajne uderzenia bębna.

Raptem drzewa odskoczyły do tyłu, chaty skończyły się i wpadli na otwartą przestrzeń.

W świetle gwiazd i księżycowego nowiu ujrzał przed sobą rozległą płaszczyznę. Teraz droga prowadziła prosto, ku widniejącej z dala ścianie boru, zbyt jednak odległego, by koń, dźwigający podwójny ciężar, zdołał go dopaść, wyprzedzając pościg.

Z prawa połyskiwała wysrebrzona księżycowym światłem tafla wody, a za nią majaczyły na wzgórzu kontury zamku. Jakieś jedno oświetlone okno — zapewne z wieży, bo zdawało się tkwić pod chmurami — patrzyło w noc żółtym punktem niby okiem Cyklopa.

Ziemia uciekała w tył spod kopyt pędzącego konia, ale mimo to miarowe dudnienie, które Czarny wciąż słyszał za sobą, z minuty na minutę stawało się coraz głośniejsze.

Spojrzał na dziewczynę. Oparta ramieniem o jego pierś, kołysała się miarowo, zgodnie z rytmem końskiego grzbietu. Jedną ręką trzymała się przedniego łęku, drugą podtrzymywała pod szyją opończę. Jak gdyby wyczuła jego spojrzenie, gdyż spytała cicho:

— Dlaczego uciekamy przed nimi? Przecież uwolniłeś ich od tych zbójów?

— Nie mam teraz czasu na udzielanie wyjaśnień.

Wszystkie jego myśli krążyły wokół jednego: jak ująć pogoni i co zrobić, jeśli tamci ich dopadną? I wciąż nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Mając bowiem u boku dziewczynę, nie mógł walczyć, nawet gdyby chciał stawać sam przeciw pięciu.

Obejrzał się za siebie. Droga kładła się jasnym pasem wśród potaci rżysk, a na niej sunęła szybko ciemna masa, wzniecając za sobą obłok kurzu.

Raptem spostrzegł czarny pas krętą linią przecinający drogę. Wyteżył wzrok, starając się rozpoznać nieoczekiwaną przeszkodę. Odległość szybko malała, toteż wkrótce mógł stwierdzić, że była to głęboka rozpadlina gruntu. Kiedy dopadł do jej skraju, ujrzał wijący się na dnie strumień.

Droga skręcała i opadała skosem po stoku. Szarpnął wodzami i koń poczęł zsuwać się w dół, coraz to zapierając się przednimi nogami, by nie zwalić się na głowę pod podwójnym ciężarem.

Dotarli szczęśliwie do dna wąwozu i w paru skokach przebyli bród. Koń gwałtownymi susami, dysząc ciężko, pokonywał teraz wzniesienie, którego kraniec rysował się nad nimi na tle nieba.

Wreszcie wydostali się na szczyt. Tu Czarny, zamiast rzucić się do dalszej ucieczki, wstrzymał konia, zeskoczył na ziemię i rzucił dziewczynie wodze.

— Umiesz jeździć? — zawołał szybko, ściągając z pleców kuszę.

— Pewnie, że umiem!

— Zostań tu, koło drzewa, ale jeśli krzyknę, gnaj ku lasowi wiele tchu! Potem skręć w lewo i, nie zagłębiając się zbytnio, czekaj na skraju. Jeśli nie przybędę, radź sobie, jak potrafisz! Ale grubego się strzeż! — dorzucił na

zakończeniu i nie słuchając jej protestów, dopadł urwiska z napiętą już kuszą w rękę.

Odgłos galopujących koni stawał się coraz bliższy, aż wreszcie na przeciwległym skraju ukazały się postacie jeźdźców. Mało co hamując pęd wierzchowców, runęli kupą w dół.

Czarny zaczerpnął głęboko powietrza i wolno uniósł kuszę do oka. Była to jego ostatnia szansa, której nie wolno było zmarnować.

Wolałby strzelać człowieka niż zwierzę, bo nie ono było jego wrogiem, ale wyboru nie miał. Odnalazł końcem kuszy szyję pierwszego wierzchowca, który właśnie był w połowie stoku, i nacisnął spust.

Stuknęła zwolniona cięciwa i bełt ze świstem pomknął w ciemność. Ugodzony koń zwałił się na głowę, jadący na nim wyleciał z siodła, tocząc się po pochyłości, a reszta koni i jeźdźców utworzyła jeden splątany kłęb z wolna sunący w dół.

Po chwili z tego kłębowiska wyskoczyło paru ludzi, jakiś rumak poderwał się na nogi, inny, znać bardziej przerażony, a uwolniony od ciężaru, wyrwał się ku wodzie i gnał przez bród. Puste strzemiona uderzały go w boki, jakby przynaglając do jeszcze szybszego biegu. Dopadł szczytu, na widok Czarnego uskokował raptownie i pognał pustą drogą, niknąc w ciemnościach nocy.

Na stoku pozostały jednak dwa konie, a obok nich jedna ludzka sylwetka z rozpostartymi nieruchomo ramionami.

Czarny przestał już obawiać się dalszego pościgu. Mógł ustrzelić i dwa pozostałe wierzchowce, ale szkoda mu było zwierząt.

Bez zbytniego więc pośpiechu założył kuszę na plecy i skoczył na siodło. Po chwili obejrzał się za siebie, ale tak jak przewidywał, droga była pusta. Ciszę nocy zakłócał jedynie galop własnego konia.

Wkrótce dotarli do zbawczego lasu. Ściągnął wodze i jechali już stępa.

— Że też wpadłeś na taką myśl! — odezwała się dziewczyna. — Szkoda mi tylko tych zwierząt...

— Nie było innej rady. Inaczej musiałbym stawać przeciw pięciu. Wątpię, czy zobaczyłabyś wówczas Kraków.

Jakiś czas milczała, wreszcie uniosła ku niemu oczy.

— A czy teraz go zobaczę?

— Mamy szmat drogi przed sobą, i to trudnej. Ale myślę, że zobaczysz.

Westchnęła i zamilkła na chwilę. Koń szedł stępa, raz po raz wyciągając szyję i potrząsając łbem. Wreszcie Una znów przerwała milczenie:

— Niebezpieczny z ciebie człowiek... Ktoś ty?

— Zwą mnie Czarny — mruknął — Możesz mnie tak nazywać.

— Ale może powiesz mi wreszcie, dlaczego uciekaliśmy przed nimi?

Ten grubas nie był chyba niebezpieczny? A w ogóle skądżeś się znalazł w tej oberży? Dlaczegoś mnie ratował, ryzykując życiem? Mówże wreszcie, skoroś obiecał to wyjaśnić!

Czarny roześmiał się, lekko przycisnął ją do siebie.

— Ganiałem za tobą, ptaszyno, po całych Prusach blisko rok, a ty chcesz od razu wszystko wiedzieć.

— Ty?! Za mną?! — zawołała ze zdumieniem. — Dlaczego?

Spojrzał na nią kpiąco.

— Pięknaś, to prawda... Ale nie z miłości, bo nawet nie wiedziałem, jak wyglądasz! Słyszałem cię tylko.

— Gdzie?

— Ani zgadniesz! Na szkucie, rok temu! A szukałem cię, bo mi tak kazano. Odszukać i odstawić do Krakowa.

Wyjaśnił pokrótce przebieg zdarzeń i powody jej porwania. Kiedy skończył, westchnęła i opuściła głowę.

— Biedny wujcio...

Czarny dostrzegł dwie łzy połyskujące na jej policzkach. Opanowała się jednak i zadała nowe pytanie:

— Ów Vogelweder to ten, z którym jechałam?

— Tak. Zdrajca i krzyżacki sługa.

Powtórzyła mu z kolei przebieg swojej rozmowy z Peterem.

— A to gadzina! — wykrzyknął Czarny. — Kupił cię, a udawał, że chce uwolnić! No, ale pora nam porzucić wygodną drogę!

Obrócił się w siodle i spojrzął na niebo, szukając północnej gwiazdy. Potem zawrócił koniem, kierując go w leśny gąszcz.

Jazda nocą w lesie nie była łatwa. Koń zatrzymywał się co chwila i opuszczając łeb, chrapliwie obwąchiwał zwalone pnie, zanim decydował się na skok. Należało też ciągle omijać co gęstsze skupienia drzew i zarośli.

Wreszcie, po godzinie przedzierania się przez chaszczę, wyjechali na małą polankę. Po zupełnej ciemności lasu wydawało się, że jest na niej widno.

Czarny, rozejrzawszy się, wjechał pod rozłożyste konary starego dębu rosnącego na skraju, zatrzymał konia i pomógł zsiść dziewczynie.

— Tu poczekamy do świtu. Będziesz mogła nieco się przespać.

— A ty?

— Muszę czuwać, bośmy jeszcze zbyt blisko zamku. Nie wiadomo, co Peter przedsięwziął.

Rozkietłnał i spętał konia, po czym, nasiekłszy mieczem drobnych gałęzi, rzucił naręczę pod dąb.

Una, wyczerpana przeżyciami nocy, słaniała się niemal na nogach, toteż ułożyła się od razu na przygotowanym pośłaniu, otulając się opończą. Czarny siadł przy niej, opierając plecy o pień. Kiedy już zasypiała, naraz uniosła powieki, spoglądając nań z dołu.

Widziała teraz suchy profil młodego mężczyzny na tle rozgwieżdżonego nieba i naszała ją przelotna myśl, że skoro przyszedłoby jej znów znaleźć się w sytuacji jak ta w oberży, niechby już przynajmniej to był on.

Czarny zaś rozmyślał początkowo nad drogą, jaka ich czekała. Należało w miarę możliwości unikać ludzkich osiedli, a już koniecznie dróg, bo ciągnęły nimi zbrojne oddziały i taborowe wozy, zmierzające, tak jak i on, ku południowi. Potem zaczęło ogarniać go coraz silniejsze pragnienie snu, z którym walczył, by nasłuchiwać głosów z leśnej gęstwiny.

Ale las trwał w ciszy. Koń skubał w pobliżu trawę, a dziewczyna spała mocno. Pasma jasnych włosów, wymknąwszy się spod opończy, złotym wężem wiło się po derce, którą podłożył jej pod głowę. Ogarnęło go raptem nie znane mu dotąd uczucie tkliwości; chciał mu się wyciągnąć rękę i pogłaskać ją po głowie. Obruszył się wewnętrznie na te ciagoty, a za chwilę zmożył go sen.

Spał czujnie, toteż trzask gałęzi, który rozległ się w pobliżu, obudził go natychmiast. Otworzył oczy, od razu przytomny i czujny. Niebo już różowiło, a polankę zasnuwała mgła, z której grzbiet jego konia wystawał niby czarna wyspa. Zwierzę uniosło łeb i rozdymając chrapy, cicho zarżało. Czarny zerwał się na nogi i sięgnął po kuszę.

Znów dobiegł go chrzęst łamanych gałęzi, a jednocześnie rozległo się chrapliwe rżenie i z mgły wyłonił się koń z siodłem na grzbiecie.

Czarny domyślił się, że był to uciekinier z oddziału Petera. Zbliżył się doń z wolna, przyzywając uspokajająco. Koń, widząc zadowolony z

odnalezienia towarzysza i ludzi, przyzwolił zbliżyć się do siebie, a potem spętać i zdjąć wędzidło.

Czarny ucieszył się z tego daru losu. Mogli teraz podróżować szybciej i wygodniej, bo dziewczyna miała swego wierzchowca.

Zaczęło rozwidniać się coraz bardziej. Znalazł pod drzewem zawiniątko z żywnością zabraną z oberży, którego dziewczyna nie upuściła w czasie ucieczki. Miał wprawdzie nieco żywności również i w torbie u siodła, ale najważniejsza była kusza, bo zapewniała, że nie zabraknie im przynajmniej mięsa.

Obudził towarzyszkę, a kiedy nasycili głód, pomógł jej dosiąść swego konia, gdyż przybysz okazał się młodym ogierkiem, bardzo jeszcze płochliwym.

— Dasz sobie radę? — spytał, kiedy już ruszyli.

— No wiesz! U mamy jeździłam, kiedy miałam jeszcze dziewięć lat!

I nie gap się tak na moje nogi! — zawołała, widząc spojrzenie Czarnego, lustrujące jej zgrabne łydki, których nie zakrywała uniesiona przez siodło spódnica.

Zakonne obszary, zwłaszcza ich południowo-wschodnie połacie, tak z powodu odwetowych najazdów litewskich, jak też trudnych do trzebieenia puszczy, były niezaludnione. Siedzieli tam jedynie po lasach wyrobownicy smoły i węgla, podbieracze leśnych barci, latem przemierzali lasy zbieracze czerwia, zdarzały się rzadkie osady rybackie, których nawet niezwykle szczegółowa ewidencja zakonna nie zdołała zarejestrować. Natomiast tereny położone bardziej na północ były zamieszkane gęściej, bo z dawna wytrzebione duże obszary pozwalały na rolną uprawę. Również i tereny położone na lewym brzegu Wisły, nienarażone na częste działania wojenne, miały liczne i zasobne wsie.

Toteż Czarny, przyjąwszy zasadę omijania ludzkich osiedli, musiał wciąż kluczyć, by nie wysuwać się z lasów, a jeśli otwarty obszar wymagał zbyt dużego nakładania drogi, przebywał go nocą, dzień przeznaczając na wypoczynek.

Było to konieczne, gdyż zdarzało się, że zatrzymawszy się na skraju lasu w oczekiwaniu ciemności widzieli, jak drogami szły konne hufce, ciągnęły sznury wozów lub maszerowały w blasku wrześniego słońca długie kolumny piechoty. Zdarzyło się też, że omal nie natknęli się pewnej nocy na

krzyżacki obóz, w porę jednak dostrzegli żar dogasających ognisk i zdołali się wycofać.

Braku żywności nie odczuwali. Już w pierwszych dniach Czarny ustrzelił sarnę, którą, wypatroszywszy, pokrajał na pasy i wędził przez całą noc, by za dnia nie zdradzić się dymem. Chleb zaś i inne produkty, a zwłaszcza nieodzowną sól, kupował po wsiach, udając knechta poszukującego swego oddziału. Una pozostawała wówczas w lesie, pilnując koni.

W takich chwilach czuła się samotna i opuszczona, a myśl, że mogłoby się Czarnemu coś przydarzyć, przyprawiała ją o przerażenie. Był to zarówno strach przed utratą opieki, którą na każdym kroku nad nią roztaczał, jak i ledwo uświadomiona obawa, że mogłoby zabraknąć jego samego, nawet tych jego kpiących uśmiezków czy drwiących uwag, które tak często doprowadzały ją do gniewu.

Czarny zaś, idąc któregoś dnia polną ścieżką biegnącą od wsi i dźwigając płócienny worek z żywnością, ze swej strony rozmyślał na ten sam temat. On jednak już zdawał sobie sprawę zupełnie jasno, że coraz bardziej ulega urokowi dziewczyny, że coraz trudniejsze staje się dla niego panowanie nad sobą.

Trudne zwłaszcza w te wieczory, kiedy las stał cichy i jakby zadumany, a zachodzące słońce czerwonymi strzałami przedostawało się poprzez jego gąszcz. Ognista zorza gorzała na niebie, cienie pomiędzy pniami gęstniały, a dziewczyna układała się do snu. Otulał ją wówczas skrętnie, bo noce były zimne, a potem, słuchając jej równego, spokojnego oddechu, patrzył na pukle złotych włosów rozsypane wokół głowy i smukłą, zgrabną sylwetkę rysującą się tak kusząco pod fałdami płaszcza.

I jak tu zdzierżyć?

Aż nadszedł taki ranek, gdy bardzo wczesnie ruszyli w drogę. Po pewnym czasie podszycie zniknęło i mogli jechać koło siebie.

— Jak myślisz, kiedy dotrzemy do granicy? — odezwała się Una, przerywając milczenie.

— Granica to jeszcze nie wszystko. Ta wieś, cośmy ją minęli, nazywa się Bysław. Siedzą w niej polscy kmiecie. Dowiedziałem się od nich, że ponoć brodacze zajęli szmat naszej ziemi, a nawet podobno zdobyli i Bydgoszcz, choć w to nie wierzę. Ale może się zdarzyć, że minąwszy granicę, jeszcze nie będziemy między swoimi. Nawet może być i trudniej niż dotąd — dodał po chwili — bo tam toczy się wojna.

— Ojej! A ja myślałam, że wkrótce skończy się nasza tułaczka!

— Ale przynajmniej jesteś wolna.

— Wędrować lasami, kryjąc się przed ludźmi, to jest wolność? Czy nie masz tego dosyć?!

Czarny zajrzał dziewczynie w oczy.

— Nie — powiedział z lekkim uśmiechem — nie mam dość! Wyznam nawet, że mi się to podoba.

— Takeś sobie upodobał sypianie po krzakach?! — Prychnęła, odwracając wzrok. — I wciąż to wędzone mięso i suchy chleb!

— A do tego jeszcze baba na karku. Skaranie Boże!

— Nie kazałam siebie szukać! — obruszyła się, odsuwając z koniem. — Jedź sobie sam!

— Takem ci nadojadł? — rzucił kpiąco.

— Jeszcze jak! Tylko zrządzisz i zrządzisz! A to kładź się, boś zmęczona, a to wstawaj, bo pora w drogę, a jedz, bo worka na kości nie mam. Chcę wreszcie robić to, na co mam ochotę!

— To czemu narzekasz, jak ostawiam cię w lesie?

Spojrzała na niego pogardliwie, z błyskiem gniewu w oczach.

— Dla mnie możesz sobie iść na złamanie karku!

Czarny odezwał się, udając, że mówi sam do siebie:

— Jak to różnie każdy to samo widzi. Dla jednego nocleg w lesie i byle jaka żywność to udręka, a drugi o to nie dba, bo dostrzega piękno uspionego boru, miły mu szum liści nad głową, urzeka czerwień nieba i mgły wólczące się po polankach o brzasku, nie przykre mu zimno nocy i upał dnia. Bór żywi go, chroni i uspokaja boleść serca...

— Choryś na serce? — spytała ironicznie.

— Od pewnego czasu — odpowiedział poważnie. — I jak sobie pomyślę, że koniec naszej drogi staje się coraz bliższy, dolegliwość tę odczuwam coraz mocniej...

— Patrz! — wskazała mu dzięcioła przyczepionego do pnia sosny. — Jaki piękny!

Czarny uśmiechnął się na tę nagłą ucieczkę od tematu. Były to drobne utarczki słowne, ale do poważniejszego incydentu doszło między nimi jeszcze

tego samego dnia, kiedy przed wieczorem dotarli do małego, cichego jeziorka, otoczonego lasem, który odbijał się wiernie w jego gładkiej powierzchni. Czarny zeskoczył na ziemię i zbliżył się ku dziewczynie, by jak zwykle pomóc jej przy zsiadaniu. Z uśmiechem oparła się o jego wyciągniętą rękę, ale kiedy osuwała się już, noga wyslizgnęła się jej ze strzemiesienia i byłaby upadła, gdyby nie chwycił ją wpół. Instynktownie objęła jego szyję ramionami i tu już opanowanie Czarnego pękło. Przyciągnął Unę ku sobie i począł obsypywać jej twarz i szyję pocałunkami, a wreszcie szukać ust głodnymi wargami.

Szarpnęła się raz i drugi, uchylając głowę, ale trzymał ją mocno, nie wypuszczając z objęć. Wówczas, ogarnięta gniewem, oparła obie ręce na jego piersi i, szarpnąwszy się, zdołała rozerwać uścisk.

Odskoczyła krok do tyłu i chwilę patrzyła na niego gniewnymi oczami.

On stał bez ruchu, również mierząc ją wzrokiem. Rozgoryczenie i gniew podyktowały mu kpiące słowa:

— Takim ci przykry? Może wolałabyś tego grubasa?

Oburzenie i wściekłość pchnęły Unę do nieoczekiwanego odruchu. Zaczęła szarpać tasiemkę sznurówki u sukni i wołać ze złością, ale i wzbierającym w gardle szlochem:

— Mnie za jedno ty czy on! Chcesz zapłaty, to będziesz ją miał! Stać mnie na to, ty...

Czarny opamiętał się pierwszy.

— Nie złość się — powiedział spokojnie. — Poniostło mnie.

Una znieruchomiła na jeden krótki moment, po czym rzuciła mu się ze szlochem na pierś. Objął ją jedną ręką w pód, drugą gładził po włosach nachylonej głowy.

— No, nie płacz, kochana... Moja wina, żem nie zdzierzył. Ale rozmiłowałem się w tobie do nieprzytomności. Nie gniewaj się, miła moja... miła moja... — powtarzał, nie mogąc znaleźć słów innych prócz tych najprostszych dla wyrażenia tego, co czuł.

Po chwili oswobodziła się z jego objęć i wierzchem dłoni zaczęła wycierać mokre policzki. Czarny rzucił zdawkowo, starając się, by jego głos miał zwykłe brzmienie:

— Zbierz nieco chrustu, a ja zajmę się końmi.

W dwa dni potem, gdzieś koło południa, znów ujrzeli pomiędzy pniami drzew połyskujące migotliwie lustro wody. Gałęzie zastaniały jeszcze pełny

widok, toteż jego rozległą przestrzeń ocenili dopiero wtedy, kiedy wyjechali z boru i zatrzymali się przed ścianą szumiącego sitowia obrastającego brzeg.

Z przeciwległego krańca ciągnął się las wążutką, zamgloną niteczką. Z lewa zaś i prawa woda i niebo zlewały się z sobą, oddzielone jedynie nikłą linią różnicy barw.

— To chyba już Jezioro Koronowskie — odezwał się Czarny. — W samą porę żeśmy dotarli — dorzucił, spoglądając ku horyzontowi, nad którym rozciągał się ciemny pas chmur. — Idzie burza i tu ją przeczekamy.

Una rozejrzała się dokoła.

— Poszukamy chyba suchego miejsca?

— Oczywiście! Do zmroku jeszcze dużo czasu.

Skręcił konia i ruszył wzdłuż brzegu, trzymając się linii drzew, gdzie nie było grząsko. Dopiero jednak po godzinie jazdy grunt zaczął się wznosić, aż w pewnej chwili las jakby odsunął się zapraszająco, ukazując wzgórek łagodnie schodzący ku wodzie piaszczystym stokiem. Na wzgórku wśród starych sosen ujrzeli szałas spleciony z gałęzi.

— Zobacz! — Una zwróciła się z niepokojem do towarzysza. — Tam ktoś mieszka!

— Wątpię... — Czarny podjechał do szałasu i zeskoczył z konia. — Zapewne upletli go rybacy dla ochrony przed deszczem. Myślę, że przyda się i nam, oszczędzając roboty.

Miejsce na postój było doskonałe, bo i wodę mieli o kilka kroków, i nieopodal paszę dla koni. Wielkie drzewa z trzech stron okalały wzgórek, dochodząc tylko do jego szczytu, co pozwalało na objęcie wzrokiem bezmiaru wodnej przestrzeni. Drobne fale z cichym pluskiem uderzały o piaszczysty w tym miejscu odcinek brzegu, ułatwiający pojenie koni, a w szumiącym obok sitowiu trzepotało i piszcząco wodne ptactwo.

— Pięknie tu... — powiedziała dziewczyna, rozglądając się. — Może byśmy odpoczęli dzień, dwa? Co, Bert? Czuję się już nieco zmęczona.

— Przecież chciałaś jak najprędzej dotrzeć do swoich? Sądziłem, że masz już dość tej podróży — odpowiedział nieco przekornie.

Una wyduła lekko wargi.

— Ale skoro jestem zmęczona...

— Ależ dobrze! — zgodził się Czarny. — Skoro chcesz, możemy pozostać...

— Ale ten szalas? Chyba nie boisz się, że ktoś się tu zjawi?

Czarny zajrzał przez trójkątny otwór do środka.

— Nic w nim nie ma, co by wskazywało, że jest zamieszkaany. Leży tam tylko nieco słomy, i to jeszcze niezsiniatej. Musieli go postawić nie tak dawno.

— Narzucę na tę słomę nieco świeżych gałęzi. Sądzę, że będzie mi tam wygodnie!

— Tylko nie odchodź za daleko — upomniał ją. — Ostatnio bałem się, czyś nie zabłądziła.

— Pozbyłbyś się baby z karku!

— Niechby już lepiej została, i to jak najdłużej — odpowiedział poważnie, patrząc w jej oczy.

Odwróciła szybko wzrok, spoglądając w niebo i znów stosując wypróbowany sposób.

— Pośpiesz się, bo złapie nas deszcz, zanim rozpalimy ogień! Zobacz, jaka chmura ciągnie!

Jednak chmura przeciągnęła, deszcz nie spadł i było nadal parno.

— A jeśli to prawda z tą Bydgoszczą? — zagadnęła, kiedy siedzieli już przy wieczornym ognisku i podsmażali kawałki mięsa nadziane na patyki. — Co wtedy?

Czarny zastanowił się przez chwilę.

— Trudno powiedzieć — przysunął mięso do twarzy i dmuchał nań chwilę, zanim chwycił zębami. — Nie znamy przecież rozmieszczenia wojsk. Ale jedno jest pewne, jeśli to jest rzeczywiście Jezioro Koronowskie, że czeka nas teraz najtrudniejszy odcinek drogi, bo zbliżamy się do terenu walki.

— Czy... czy mogą nas złapać? Bert, tak się boję... Nie chciałabym znów poniewierać się po krzyżackich zamkach!

Pomyślał sobie, że gdyby ich mieli złapać, czekałby ją los znacznie gorszy, ale nie wyraził głośno tej myśli, rzucając uspokajająco:

— Nie martw się, nie damy się złapać!

Ale jednak i Una musiała pomyśleć to samo, co on przed chwilą, bo zawahawszy się, powiedziała:

— *Gdyby jednak... Musisz obiecać, że nie oddasz mnie żywą...*

Nie należało nadal bagatelizować tej sprawy, toteż popatrzył na nią poważnie i lekko skinął głową.

— *Przyrzekam, chyba że sam wprzódę polegę, bo bronić cię będę do ostatniego tchu.*

— *Ginąć ci nie wolno!* — *wykrzyknęła spontanicznie.*

— *Nie żyć mi, gdybym cię stracił...* — *rzucił cicho, patrząc w ogień. Chwilę spoglądała na niego, korzystając, że ma odwrócony wzrok.*

Lekki uśmiech pojawił się na jej ustach.

— *Poniechajmy tych ponurych rozważań! Nie wątpię, że uda ci się przemknąć przez krzyżackie wojska i pozbyć kłopotów ze mną!* — *uśmiechnęła się przekornie.* — *A jak sobie pomyślę, że ujrzę wreszcie matkę i wujcia, chce mi się skakać z radości!*

— *Dokąd będziesz chciała udać się najpierw?*

— *Chyba do matki! Ale potem odwieziesz mnie do Krakowa?*

— *Ja?* — *Uśmiechnął się, wzruszając ramionami.* — *Nie stanowią o tobie! Nie zapominaj, że jestem w służbie i nie wiadomo, jakie dostanę rozkazy.*

— *Jak to?* — *Uniosła brwi do góry.* — *To nie odwieziesz mnie na miejsce?*

— *Moim obowiązkiem jest dowieźć cię na królewski dwór, bo tam są ludzie, którym podlegam. Być może dwór spotkamy po drodze. Wówczas może się zdarzyć, że odwiezie cię do matki kto inny.*

— *Chcę, żebyś to był ty!* — *W jej głosie zadrgała przekora.*

— *Naprawdę?!* — *wykrzyknął z radosnym zaskoczeniem.* — *Więc jednak zależy ci na tym?!*

Gwałtowny rumieniec oblał jej policzki.

— *Co się tak na mnie gapisz?* — *fuknęła, starając się pokryć zmieszanie.* — *Popraw ogień, bo wygasa! I zobacz, co się dzieje na niebie!*

Istotnie, wielka, czarna chmura wyłoniła się zza lasu i z wolna zasłaniała wieczorną zorzę, która błyszczała już tylko wąskim pasem z drugiej strony jeziora.

— *Szałas umocniłem* — *uspokoił ją.* — *Powinien wytrzymać najgorszą ulewę.*

— *A ty? Zmokniesz do nitki!*

Wzruszył beztrosko ramionami.

— *Nie pierwszy raz! Rankiem obeschnę!*

Wstał, by przywiązać konie, gdyż wystraszone nadchodzącą burzą mogły pognać w las. Una wsunęła się do szałas, a on ułożył się pod dębem z głową opartą o siodło, owinięty opończę.

Nie wiedział, jak długo spał. Zbudziła go raptem fioletowa światłość i ogłuszający huk gromu, chwilę zaś potem usłyszał szum deszczu uderzającego o liście drzew. Następną błyskawica znów rozerwała ciemności nocy, ukazując rozległą przestrzeń jeziora sieczonego ulewą.

— Bert! Och... Bert! — rozległo się wołanie z szałasu.

Zerwał się na nogi i wyskoczył spod dębu.

— Jestem tu! — Schylił się ku otworowi w szałasie.

— Boję się... — rozległ się w ciemności wystraszony szept. W tej chwili nowa błyskawica oświetliła fioletowo, ociekające wodą drzewa, konie szarpiące się na uwięzi i linię dalekiego lasu, przestoniętą smugami deszczu.

— Bert! Nie chcę być sama!

Czarny wsunął się do szałasu i wyciągnąwszy ramię, odnalazł pochyloną głowę. Dziewczyna siedziała na postaniu, z podciągniętymi pod siebie nogami, trzymając twarz w dłoniach.

Pioruny biły raz po raz, ściągane powierzchnią wody. Przy następnym uderzeniu, wyjątkowo bliskim, poczuł, jak dwoje ramion opasuje mu szyję, a głowa dziewczyny przytula się do jego piersi. Doszedł go szept:

— Tak się boję...

Czarny otoczył ją ramieniem.

— Nie bój się, kochanie, burza zaraz przejdzie.

— Dobrze, że jesteś przy mnie. — Poczuł na policzku ciepło jej dłoni. — Mój... najdroższy...

Poryw szczęścia targnął sercem Czarnego. Nie panując już nad sobą, począł obsypywać jej twarz pocałunkami. Po chwili poczuł, jak sama odnalazła jego usta.

Upadli na postanie. Piorun za piorunem uderzały z trzaskiem dartego płótna, po niebie toczyły się grzmoty z hukiem tysięcy walących się gładów, a oni przeżywali swoją pierwszą miłosną noc.

Było już widno, kiedy Una obudziła się. Bert spał obok z głową odrzuconą na bok. Nachyliła się i przyłożyła mu palec do końca nosa.

— Pora wstawać, śpiochu...

Z wolna otworzył oczy. Kiedy spotkał się z jej nieco rozbawionym i nieco zawstydzonym spojrzeniem, uniósł się raptownie i, objąwszy ramionami, przyciągnął ku sobie.

Nad jeziorem pozostali jeszcze dwa dni, spędzając je na wspólnych kąpielach, podczas których, nie wstydząc się siebie, wyplływali daleko od brzegu i, leżąc na wodzie, prowadzili nieco leniwe, rwące się rozmowy. Czarny wyreperował uprzęż, a Una oporządziła swoją uszkodzoną w drodze suknię. Wreszcie Czarny musiał przerwać beztroski wypoczynek, zmuszony do tego kończącą się żywnością.

Ruszyli w dalszą drogę już nieprzytomnie w sobie zakochani. Tym bardziej Czarny drżał teraz o bezpieczeństwo dziewczyny. Coraz częściej przypadał w lasach, coraz ostrożniej wysuwał się z nich, czujnie badając teren.

Widzieli teraz na drogach krzyżackie chorągwie, a pewnej nocy dostrzegli dalekie tony pożarów. Przyszła jednak i taka noc, kiedy Czarny, przycajony wśród drzew lasu niedaleko drogi, usłyszał na niej tupot kopyt, chrzęst uprzęży, brzęk zbroi i raptem rzucone polskie przekleństwo. Trwał jeszcze chwilę w niepewności, bo w krzyżackich chorągwiach służyli i Polacy, ale kiedy za chwilę doleciały go głosy rozmowy prowadzonej po polsku, postanowił zaryzykować i przykazawszy dziewczynie, by pozostała w gąszczu, sam wyjechał na trakt i czekał na zbliżający się oddział.

Wkrótce został otoczony, ale wyjaśnienia nie trwały długo. Po oznajmieniu, kto jest i w jakiej służbie, dowiedział się, że królewskie wojska przystąpiły do oblężenia Bydgoszczy, a spotkał oddział zwiadowczy pod wodzą rycerza Zakliki ze Żnina, z chorągwi trzymającej straż nad krzyżacką granicą.

Wojska królewskie otoczyły półkolem miasto od południa, rozlokowawszy się w otaczających je borach. Lewe skrzydło sięgało Brdy przy bramie Zachodniej, hufce prawego wraz z taborami zajęły zalesione wzgórza wokół zamku. Był tu główny obóz wojsk i tu znajdowała się królewska kwatera w namiotach rozbitych wśród dębowego gaju.

Sam zamek, zbudowany z kamienia, otoczony grubymi, również kamiennymi murami, wznosił się na wzgórzu, które od tej strony oblewała sztucznie przekopana odnoga rzeki. Nad brzegami jej ciągnął się pas łąk, dalej stała ściana boru.

Łąki te zaroily się teraz ludzkim mrowiem. Tysiące łopat, migając w słońcu, zaczęło ryć ziemię, sypiąc szańce i umocnienia dla dział. Ciągnęły sznury pachołków, którzy, niby pracowite mrówki, szli szeregami, dźwigając kosze z ziemią i pęki wikliny do umocowania stoków. Inne oddziały przystąpiły do sypania przejść przez fosę, nie zważając na ostrzał z grodu.

Zamek bowiem przemówił natychmiast ogniem bombard. Dymy spowiły jego mury, a echo daleko po okolicy rozniosło grzmoty wystrzałów. Jednocześnie zza zrębów blanków, z obronnych wież i baszt wyfrunęło tysiące strzał.

Wkrótce oblegający odpowiedzieli ogniem. Szańce dla burzących bombard — z rozkazu królewskiego mające sięgać wysokości murów grodu — nie były jeszcze gotowe, ale na niższe pozaciągano lżejsze działa i puszkarze przystąpili do roboty.

Wtedy też rozpoczęły pracę „niedźwiadki” i „osły”.

„Niedźwiadki” były to ogromne kusze umieszczone na dwóch kołach. Kolba kuszy zamieniała się w tyle na dyszel, który wspierano o ziemię mocując go krzepko. Miast korby prężny, stalowy łuk napinają dwa powrozy zaczepione hakami za cięciwę po obu stronach koryta dla bełtu. Powrozy te nakręcone są z tyłu na drewniany wał ze szprychami. Ośmiu ludzi, po czterech z każdej strony wału, dopiero natężywszy się mocno, dają sobie radę z napięciem łuku. Ale też kiedy po odcięciu powrozów cięciwa zostaje zwolniona z urządzenia spustowego, zwanego orzechem, bełt wyrzucony „niedźwiadkiem” leci na dwa tysiące łokci. „Niedźwiadki” służą do wyrzucania pocisków zapalających.

Innego rodzaju bronią miotającą są „osły”. Na czterech małych, pełnych kołach spoczywa gruba, pozioma rama. Z przodu ma zamocowaną zastrzałami ramę pionową wysoką na dobre półtora chłopca. Na jej górnej belce znajduje się skórzana poduszka wypchana włosiem. Za pionową ramę stoi stalowy pręt, płaski, gruby dołem, a cieniejący ku górze, zakończony czymś w rodzaju wielkiej łyżki, która służy do umieszczania pocisku.

Od góry pręta zwisa łańcuch zakończony uchem, na które czeka hak zamocowany w tylnej części ramy.

Pręt odginają do tyłu dwa powrozy nawinięte na wał ze szprychami, podobnie jak u „niedźwiadka”. Skoro po odgięciu pręta ucho łańcucha sięgnie haka, odzepia się powrozy, a strzelczy uderzeniem młota zbija ucho.

Nagle zwolniony pręt uderza w poduszkę pionowej ramy, wyrzucając pocisk z łyżki. „Osłem” można rzucić człowieka na najwyższe mury, a kosz pełen kamieni leci co najmniej na trzysta łokci.

Król Władysław mało co teraz sypiał. Otoczony najbliższymi doradcami, cały dzień przyjmował meldunki, wydawał polecenia i rozkazy, a często i dosiadał konia, by osobiście dopilnować ich wykonania.

Zaraz po przybyciu pod Bydgoszcz pchnął król znaczne siły ku północy, by, przebywszy Brdę, oczyścić od nieprzyjaciela cały teren aż do granicy. Inne chorągwie poszły na Solec z poleceniem nawiązania łączności z uprzednio wystanymi nad Wisłę hufcami; miały one ochraniać główne siły przed nagłym wypadem krzyżackim z tej strony.

Wśród tych zajęć musiał król znaleźć jeszcze czas na rozmowy z poselstwem czeskim, które dotarło aż tu, pod Bydgoszcz.

Wysłał bowiem Wacław dwóch księżyk Konradów Oleśnickich, ojca i syna, dwóch panów Duninów i Jana von Kemnitz, by zabiegali jego imieniem o przywrócenie pokoju pomiędzy walczącymi stronami, proponując sąd polubowny.

Nie chciał i nie mógł król Władysław odrzucić tego pośrednictwa, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że idzie ono na rękę Zakonowi, który w ten sposób zamierzał utrzymać się przy swoich zdobyczach, a zwłaszcza nie wypuścić z rąk bydgoskiego zamku, z którego utratą wobec oblężenia musiał się liczyć.

Nie chciał, bo zdawał sobie sprawę, że do walnej rozprawy ciągle jeszcze nie jest gotów, jak nie był gotów i Witold, a nie mógł, bo odrzucenie Wacławowego pośrednictwa groziło zacieśnieniem czesko-krzyżackiego przymierza. Toteż nie zrywając rozmów z posłami, gorączkowo kończył przygotowania do rozpoczęcia szturmów, by jak najszybciej zdobyć zamek.

Ogromne ogniska, rozpalone rzędami, oświetlają teren. Krząta się wokół nich ludzka ćma, przekrzykując się, nawołując i klnąc. Przekleństw nie szczędzą również i majstrowie—cieśle swoim pomocnikom, bo dostali surowe rozkazy, by do świtu maszyny były gotowe.

Wtórują więc tym przekleństwom uderzenia toporów i młotów, zgrzyt pił i świdrów. Ciężkie działa zostały jeszcze za dnia zaciągnięte na kosze i od razu przemówiły basowymi grzmotami.

Mimo silnego ostrzału z murów, nie zważając na ofiary, zasypano w kilku miejscach fosę, dając możliwość podejścia pod mury oddziałom szturmowym i machinom. Pierwszy szturm miał więc nastąpić o świcie.

To było powodem gorączkowego pośpiechu, z jakim uwijali się cieśle, by maszyny były gotowe na czas. Przyszły tu rozebrane na części, które teraz należało zmontować i osadzić na kołach. Ogromne beluardy, szerokie na czterdzieści stóp, o wysokości równej murom, nie wyższe ani nie niższe, bo wówczas przerzucenie z nich pomostów byłoby niemożliwe, piętrzyły się ku niebu, ginąc szczytami w ciemnościach nocy. (Wysokość ta w odniesieniu do bydgoskiego zamku była znana, w stosunku do innych mierzono długość cienia muru i zatkniętej w ziemię włóczni. Potem przemyślni majstrowie, znając długość włóczni, potrafili obliczyć wysokość murów).

Beluardy są to potężne wieże, budowane z grubo ciosanych belek i osadzone na sześciu szerokich, pełnych kołach. Na samym dole mają długoramienne proce do wyrzucania kamieni, zwane kozami. Na pomoście piętra leżą przygotowane drabiny i drągi z hakami, stoją kubły z wodą na wypadek podpalenia beluardy, a na samym szczycie, otoczona mocną barierą, znajduje się platforma dla rycerzy i strzelczych, zbrojnych w łuki i kusze. Z jednej strony tej platformy brak jest bariery, zamiast niej sterczy w górę podniesiony na łańcuchach pomost. Służy on jako ochrona przed pociskami w czasie jazdy beluardy pod mury, a z chwilą zetknięcia się z nimi, zostaje opuszczony, dając możliwość rycerzom przedostania się po nim ku obrońcom grodu. Bój często toczy się na samym pomoście, wysoko ponad ziemią, i biada temu, kto pośliznie się na zbroczonych krwią deskach.

Obok beluardy spoczywają w groźnym bezruchu niższe od nich i bardziej wydłużone kształtem — „żółwie”. Są to też wieże obite wikliną i skórą, które przed atakiem oblewa się wodą, by, mokre, były mniej podatne dla zapalających pocisków.

Wewnątrz „żółwia”, za ochronnymi ścianami, pracuje jego liczna załoga. U dołu bowiem na długich i mocnych łańcuchach wisi poziomo ogromna i ciężka dębowa kłoda, okuta u końca żelazem, nazwana „baranią głową”. Odciąga ją do tyłu zgodny wysiłek kilkudziesięciu ramion. Potem, na okrzyk dowódcy, z nagłą puszczone, bije ze straszliwą siłą w mur.

Najmniejsze z urządzeń oblężniczych są „myszki”, lekkie, mocne daszki ustawione na ramach. Kilku ludzi niesie je na ramionach. Pod nimi idą do

szturmu oddziały wojów, w ten sposób chroniąc się od strzał w drodze pod mury.

Działa grzmiały cały dzień, zasnuwając dymami szanie i łąki pełne zbrojnych oddziałów. Z dymów tych raz po raz wydzierały się języki ognia nieustannych wystrzałów wyrzucających ku zamkowi kamienne pociski, które z hukiem grzmotu uderzały o mury.

Ogień kilku dział kierowano w jedno i to samo miejsce. Wzmagano to skuteczność ostrzału, a w wolne od niego pola mogły podejść pod mury oblężnicze maszyny i oddziały szturmowe.

Wraz z kilkudziesięcioma działami pracowały bowiem „żółwie” i beluardy, których jednak nie można było użyć w większej ilości z powodu trudności, jakie stwarzał teren; stoki wzgórza miejscami były tak strome, że nie pozwalały na podprowadzenie ciężkich machin.

Zamek odpowiadał nieustannym ogniem. Grzmot wystrzałów z jednej i drugiej strony zlewał się w jedno głucho złowrogie dudnienie.

Zgodnie z rozkazami o świcie rozpoczął się szturm. Na chrapliwy dźwięk rogów ruszyły pod osłoną „myszek” pierwsze oddziały, niosąc drabiny. Im bliżej murów, tym bardziej przyspieszali kroku, by wreszcie rzucić się ku nim biegiem, z dzikim, przenikliwym wrzaskiem.

Z góry sypaną się na nich grad pocisków. Leciały strzały, bełty, kamienie, włócznie i oszczepy. Mimo tarcz i ochronnych „myszek” drogę oddziałów znaczyły ciała pierwszych padających.

Za nimi ruszyły też i „żółwie”, popychane dziesiątkami ramion. Toczyły się wolno i niezdarne, ale uparcie zbliżając się ku murom. U dołu, jakby z niecierpliwej żądzy niszczenia, kotowały się na łańcuchach potężne belki.

Obrona była równie zawzięta, jak zawzięty był szturm. Z dołu pięli się rycerze odziani w blachy lub skórzane kaftany, w hełmach chroniących głowy, ponad które unosili dla dodatkowej jeszcze osłony małe, krągłe tarcze.

Przy strzelczych machinach gorączkowo uwijała się obsługa, zakładając bełty lub wiklinowe kosze z kamieniami. Pachołkowie, sprężywszy grzbiety i sapiąc z wysiłku, obracali szprychy wałów windowych. Zakładano pocisk, a potem strzelczy uderzał młotem i żelazny pręt z nieuchwytną dla oka szybkością leciał ku poduszce. Walił w nią z taką siłą, że drżała wokół ziemia, a spod zamocowanych kół unosiły się obłoki kurzu.

Nie próżnowały i „niedźwiadki”. Raz po raz zlatywały z orzechów cięciwy, wyrzucając bełty. Furkotały za nimi języki ognia palącej się smoły, ciągnąc za sobą, niby ogon, strugę czarnego dymu.

Atakowano i broniono się z dziką zaciętością, nieustępliwie, twardo. Kiedy odparte oddziały cofały się spod murów, szły na ich miejsce nowe, wypoczęte i pełne bojowej ochoty. A kiedy słońce zaczęło opadać, nurzając się w czerwonych chmurach, znów zagrały rogi, tym razem oznajmiając koniec walki.

„Żółwie” i beluardy oderwały się od murów, by wrócić na nocne leże. Zacięły w koszach bombardy, ale dymy z nich snuły się jeszcze po łąkach, mieszając się z wieczornymi mgłami.

Poselstwo czeskie, przebywając w królewskim obozie, nie ustawało w staraniach, by doprowadzić do porozumienia, utrzymując jednocześnie w tym celu stały kontakt z wielkim mistrzem. Król Władysław nie spieszył się jednak zbytnio z zakończeniem tych rozmów, chcąc najpierw odbić Bydgoszcz, a potem dopiero ustanowić warunki porozumienia.

Szły więc coraz gwałtowniejsze szturmy, dociągano działa, a jednocześnie stawiano coraz to nowe zastrzeżenia, żądano dodatkowych wyjaśnień, proponowano nowe sformułowania.

Wielki mistrz teraz dopiero zaczął orientować się w taktyce swego partnera. Zaproponował więc natychmiastowy rozejm na warunkach obecnego stanu posiadania. Strona polska wyraziła na to zgodę z zastrzeżeniem, że ziemia dobrzyńska do czasu sądu polubownego pozostanie pod zarządem czeskich wysłanników.

Otrzymałszy taką odpowiedź, wielki mistrz nie powziął jednak na czas właściwej decyzji, zgodnie z dotychczasową taktyką zakonną, niechętny wypuszczeniu z rąk raz uchwyconej zdobyczy.

Jednak mimo tych targów obie strony dążyły do zawieszenia działań. Jagiełło musiał czekać na Witolda, a Krzyżacy obawiali się polskich chorągwi stojących nad pomorską granicą i zaskoczenia ze strony wielkiego kniazia, licząc się z możliwością jego uderzenia na Prusy. Należało również dać czas Świdrygielle na wywołanie wojny domowej na Litwie.

Już siedem dni trwało oblężenie, a zamek jeszcze się bronił. Polacy parli zaciekle na mury, mimo że krzyżacka załoga lała na nich smołę i wrzątek, ciskała belki, kamienie, a nieraz i zwłoki własnych, poległych towarzyszy. Z

ustawionych na murach beliot i bombard leciały pociski, chmury strzał bez przerwy śmigały ku oblegającym.

Choć nie udało się dotychczas wdrzeć do grodu, widać już było skutki niszczycielskiego działania bombard i machin. W niektórych miejscach mury popękały; trzeba je było nocami łątać, stawiając drewniane rusztowania podpierające, i zasypywać ziemią. Narożna, południowo-wschodnia baszta czerniała odymionymi cegłami i resztkami zwęglonego dachowego belkowania.

Nastał świt ósmego dnia walki. Mgła, idąca kłębami znad Brdy, zasnuła szańce i obóz. Wystawały z niej szczyty i górne więzania beluard ciemnymi, ociekającymi wilgocią konturami.

Mury zamku widać było również tylko w ich górnych fragmentach.

Na tle ciemnego jeszcze z tej strony nieba pięły się w górę strome skosy dachów.

Z pierwszą jasnością dnia rozpoczął się wśród oblegających wojsk ruch; chrapliwie grały rogi, a oddziały ustawiały się do szturm, czekając jedynie na ukazanie się słońca.

Jakoż wkrótce strzeliło w górę pierwszymi promieniami niby złocistym wachlarzem, rozpostartym ponad linią borów. Wkrótce też tumany mgły poczęły rzednąć, przypadać ku ziemi, przecierać się i niknąć. Jeszcze tylko gdzieś tam chowała się w chaszczach obrastających fosę, kiedy pierwsze hufce poszły do walki.

Nastawiwszy ponad głowy tarcze, rycerze wstąpili na przystawione drabiny. Kilku co mocniejszych podpierało je po bokach, by nie dopuścić do obalenia, reszta szybko pięła się po szczeblach. Kiedy zaś rzucony kamień lub włócznia dosięgnęły pierwszego i ten, rozłożywszy ramiona, leciał w dół, opryskując mury krwią, miejsce jego zajmował następny, napierany przez wspinających się za nim towarzyszy.

Niejedna drabina, zaczepiona hakiem osadzonym na długim drągu, najpierw wolno przechylała się na bok, a potem mimo podpierających ją włóczni padała z trzaskiem łamanego drzewa i krzykiem walących się z niej ludzi.

Czasami udawało się niektórym z rycerzy wdrzeć na mury. Rozkraczywszy wówczas nogi, siekł szerokimi zamachami topora lub miecza

tak długo, aż przebity dziesiątkiem włóczni wylatywał na zewnątrz niby wielki jeź i z hukiem uderzał o zdeptaną ziemię.

Dziki krzyki walczących, jęki ugodzonych, szczęk oręża, trzask łamanego drzewa, grzmoty dział i głucho, jednostajne uderzenia taranów zlewały się w jeden bitewny tumult. Żółwie tkwiły pod murami i baranie głowy waliły w nie bez ustanku. Trzydziestu pachołków, czerwonych z wysiłku, odciągało do tyłu kłodę i puszczało ją ze zgodnym pokrzykiem. Ciężka belka ze straszliwą siłą uderzała w kamienie, aż ziemia drżała od gwałtowności tego ciosu. Sypały się odpryski, wzbijał się w górę biały wapienny tuman, a kiedy żelazo okucia ześlizgiwało się po wypukłości kamienia, wytryskiwał z tego piekła ognisty snop iskier.

Kapiąc ogniem, leciały maczane w smole pakuły. Z sykiem padały na drewniane wiązania wież, gdzie gaszono je natychmiast strugami wody. Kiedy zaś, odbijając się od wilgotnych skór poszycia, leciały w dół, pryskając płomieniami, porażeni wojownicy uciekali spod wieży i z wrzaskiem padając na ziemię, tarzali się po niej, by wygasić palącą się odzież.

Prócz ognia leciały z boków sznury i łańcuchy zakończone hakami. Jeśli rzut był szczęśliwy i żelazny kiel wbijał się w drzewo, zaraz dziesiątki rąk chwyciły za drugi koniec, zgodnym wysiłkiem ciągnąc powróż wzdłuż murów.

Osadzeni na szczycie co najsprawniejsi pachołkowie starali się taki hak odrąbać albo wyrwać. Ale jeśli siedział mocno albo łańcuch toporem przeciąć się nie dał, cielsko „żółwia” przechylało się, zrazu powoli, potem coraz szybciej, by wreszcie przewalić się ze straszliwym łoskotem. Towarzyszył temu triumfalny wrzask na murach, natomiast ludzie w dole rozbiegali się jak spłoszona czereda kur, a ci, co nie zdążyli, ginęli wśród rumowiska bierwion.

Nieco później, kiedy już słońce dobrze wzniosło się ponad korony drzew, od strony nieruchomych dotychczas beluard zagrały rogi, ledwie przebijając się poprzez bitewny zgiełk. Na ten znak odziani w żelazo rycerze zaczęli wstępować na drabiny. Długie ich miecze dzwoniły o stopnie, kiedy jeden za drugim pięli się wewnątrz wieży na górną platformę. Tu i tam rozlegał się śmiech lub rzucone słowo.

Po chwili ciężkie maszyny, wsparte u dołu ramionami pachołków, drgnęły i poczęły wolno posuwać się ku usypanym przez fosę groblom.

Ich niespiesznemu pochodowi towarzyszyła groza. Zdawały się być potworami pełnymi mocy i miażdżącej wszystko siły. Szły jak leniwe olbrzymy, które się ocknęły z drzemki, chwiejąc się na nierównościach gruntu, dufne w swą moc.

Przed nimi sterczały podciągnięte pomosty, o które zaczęły zaraz stukać dziesiątki strzał. Zmieniać ustawienie bombard nie jest tak łatwo, toteż pierwsze kamienne kule śmignęły ku nim, kiedy już większość drogi miały za sobą.

Słońce skakało blaskami po blachach rycerzy tłoczących się na najwyższym pomoście z obnażonymi do walki mieczami. U dołu zaś pchały ciężkie wieże gromady pachołków zbite w ciasne szeregi.

Kiedy beluardy podeszły do murów, z chrzęstem łańcuchów opadły pomosty i pierwsi rycerze rzucili się ku blankom.

Zadzwoniły o zbroje pociski, gruchnęły uderzenia na podstawione tarcze, miecze rozpoczęły krwawą robotę. Każdą deskę pomostu, każdą stopę zdobytego terenu splekiwały strumienie krwi. Ostrza rozwalaly hełmy i kołpaki, kąsały blachy na piersiach i ramionach, a kiedy ręce omdlały od parowania i zadawania ciosów, zmęczony rycerz cofał się, by nieco odetchnąć, a jego miejsce zajmował czekający swojej kolei towarzysz.

Niejeden z polskich rycerzy, wzywając Boga, walił się na pomost albo i w dół, w głęboką przepaść pomiędzy murami a wieżą. Niejeden, ranion, opadał do tyłu, gdzie podtrzymywali go towarzysze i chwiejącego się prowadzili ku drabinie.

Było już dobrze po południu, kiedy po prawej stronie dwóch beluard tkwiących przy murach rozległ się raptem ogłuszający rumor, a potem grzechot i dudnienie toczących się kamieni. Zawtórował mu triumfalny krzyk polskich rycerzy.

Pobliska część murów runęła, a kiedy biała chmura tynku odplynęła, ukazała się wielka wyrwa. W jednej chwili rzucili się ku niej wszyscy zbrojni, którzy byli w pobliżu. Najbliższa część podmurza raptownie opustoszała, porzucono niepotrzebne już drabiny, gdyż rycerze, skacząc po kamieniach rumowiska, znikali w rozwalonym przejściu.

Krzyk rozpaczny przeleciał wśród obrońców. Wystarczył tylko ten jeden moment ich raptownego bezruchu i zwrócenia oczu ku miejscu katastrofy, by Polacy z beluard wdarli się na mury.

Pomosty obu wież również opustoszały, bo ich załogi, wykorzystując chwilę zaskoczenia, walczyły już na krenelażu, spychając przed sobą obrońców.

CZARNY I UNA DOTARLI z oddziałem Zakliki do obozu polskich chorągwi pod Koronowem, który tu kazał rozbić poznański wojewoda Sędziwój z Ostroroga, wyznaczony przez króla na dowódcę oddziałów skierowanych na północ. Teraz dopiero Bert dowiedział się o przebiegu ostatnich wypadków, jak i o osobistym dowództwie królewskim nad wojskami obiegającymi Bydgoszcz. Ponieważ osoby władcy nie opuszczali jego doradcy, a wśród nich pierwszym był podkanclerzy Trąba, wywnioskował z tego Bert, że znajdzie pod Bydgoszczą również i proboszcza Andrzeja.

Ostrzeżony przez wojewodę Sędziwoja, że mimo oczyszczenia terenu z wojsk krzyżackich zdarzają się jeszcze ich zbójcekie wypady dla rabunku i pojmania niewolników, Czarny postanowił nie ruszać się samotnie w dalszą drogę, tym bardziej że oczekiwano w obozie na krzyżackiego herolda, który udawał się do czeskiego poselstwa przebywającego pod Bydgoszczą. Miał on otrzymać zbrojną ochronę i Bert postanowił przyłączyć się do tego oddziału.

Na razie zaś znalazł dla Uny kwaterę w Koronowie u statecznego kupieckiego małżeństwa. Tam wykorzystywała czas na ogarnięcie się w nowe suknie, bo to, co miała, nie nadawało się już do noszenia.

Prawie jednocześnie z przybyciem herolda nadleciał z królewskiej kwatery goniec z zawiadomieniem o odbiciu Bydgoszczy, co wywołało w obozie wybuch radości i wzmogło zapal wojenny.

Po przybyciu do miasta, które w czasie walk zbyt nie ucierpiało, Czarny bez trudności znalazł kwaterę dla dziewczyny w najprzedniejszej oberży. Po przyzwoitym ogarnięciu się wspólnie

powędrowali na zamek, by odszukać księdza Andrzeja. Czarny musiał mu bowiem przekazać odzyskaną brankę i wysłuchać dalszych rozkazów.

Ulicą Przy Zamczysku dotarli do Kujawskiej bramy i, wydostawszy się poza miejskie mury, weszli do zamku. Tu mógł Czarny w pełni ocenić niszczycielską pracę bombard. Gęsto biegły po murach szczeliny pęknięć, budowle zamkowe miały pozrywane dachy, potrzaskane dachówki, powybijane okna i uszkodzone ściany, z których sterczały zwęglone krokwie. Podwórcę pełne były jeszcze gruzu, potrzaskanych sprzętów i zniszczonego

oręża. Oddziały pachołków krzątały się już, sprzątając rumowisko i ładując gruz na podstawione wozy. Wszędzie pełno też było zbrojnych, panował gwar, powszechnie rozważano, dokąd obecnie król powiedzie rycerstwo, by wreszcie do cna wytępić znieawidzonych brodaczy.

Czarny szybko prowadził dziewczynę przez podwórcę, by nie dopuścić do zaczepki, która zmusiłaby go do zbrojnego starcia, tak niebezpiecznego ze względu na bliskość królewskiej osoby.

W pewnej chwili musiał jednak zatrzymać się, i to zgoła raptownie.

Przechodzili właśnie koło zamkowej studni, obok której leżało na krzyżach drążone w kłodzie koryto. Schyliwszy łby, piło z niego parę koni, a kołowrót kręcił potężny chłop o szerokich barach. Był odwrócony tyłem, ale Czarny poznał go od razu.

— Hej, Dzieweczka! — krzyknął.

Olbrzym odwrócił się z wolna, ale na widok Czarnego kubek, który właśnie miał zamiar obrócić nad korytem, wysunął mu się z łap.

— Czarny?! Tyś to?! — wymamrotał ze zdumieniem. — Skądżeś się tu wziął?!

Bert, nie udzielając odpowiedzi, objął go ramionami.

— Toś się, bracie, jednak wylizał! Puśćże, głupcze, bo mnie udusisz! — Musiał wyrwać się z uścisku Dzieweczki, czując, że jeszcze chwila, a żebra mogą nie strzymać.

Ten puścił go wreszcie i patrzył nań w milczeniu. Czarny dostrzegł, jak w kącikach oczu olbrzyma ukazują się dwie łzy. Aby więc pokryć i własne wzruszenie, zaczął mówić:

— Tym razem ci się udało, ale na przyszłość unikaj mleka jak zarazy! Mało to masz, niecnoto, lepszych trunków? Gadaj, co tu robisz?!

Ksiądz proboszcz zatroszczył się o mnie! Najpierw leczyli mnie cyrulicy niby jakiego wielmożę, a potem dał mi w stajni pracę. Toteż jeżdżę teraz z dworem.

— Una! — Czarny skinął na towarzyszkę. — Chodź, poznaj tego osiłka; czego nie ma w głowie, ma w łapach, a może i nieco w sercu! Dzieweczka, uściśnij rękę mojej narzeczonej!

Una z uśmiechem wyciągnęła dłoń. Olbrzym spojrział ze zdumieniem na Czarnego.

— Twoja narzeczonej? Czarny, naprawdę? Taka do żeniaczki...?

Bert uznał, że pora kończyć to powitanie.

— Słuchaj no — rzucił szybko — gdzie może być teraz ksiądz proboszcz?

— Przed chwilą widziałem, jak wchodził o tam... — Dzieweczka wskazała schody prowadzące na krużganek.

— No to bywaj! Wkrótce cię odszukam, to sobie pogadamy dłużej! Chodź, Una, czas na nas.

W zamku straż pałacowa nie umiała wskazać miejsca, gdzie może przebywać ksiądz Andrzej, ale objaśniła, jak trafić do kanclerskiej kancelarii. A potem, przechodząc przez salę na piętrze, Czarny zetknął się oko w oko z młodocianym wikarym, sekretarzem proboszcza. Ten przystanął, mierząc go zdumionym spojrzeniem.

— I... i... wy tutaj?

— Jak widzisz, braciszku! Ksiądz Andrzej gdzie?

— Jest w kancelarii. — Młodzieniec zerknął ku najbliższym drzwiom. — Ale zajęty...

— Ty zawsze swoje! Kto z nim jest?

— Sam jego wielebność podkanclerzy. — Wikary z szacunkiem zniżył głos. — Pisma czytają we własnych osobach...

— Idź, bracie, i zgłoś mnie! I to zaraz! — dodał groźnie, widząc wahanie tamtego. — Bo cię ucześnie Belze...

Młodzieniec zatkał uszy.

— Apage! Apage! Tyś straszny człek! No dobrze, już idę!

Po chwili drzwi, za którymi zniknął, uchyliły się i młody wikary wysunął się zza nich, kiwając ręką.

— Powiedziałem, żeś z panną, ale kazali, byś szedł sam... Ja mam się tu ostać z wami — uzupełnił, zwracając się do dziewczyny i rumieniąc gwałtownie.

Obaj duchowni siedzieli za stołem założonym zwojami papierów. Na widok Czarnego ksiądz Andrzej wstał z krzesła i, zbliżywszy się, ujął go dłońmi za ramiona.

— Cieszę się, że widzę cię znów! I to po wykonaniu zadania. Dziewki na razie nie proszę, bo wpróżd musisz mi rzec, coś tam widział, a do tego świadkowie nam niepotrzebni. Ale mów najpierw, jak doszło do uwolnienia i dlaczego tak to długo trwało?

Bert podał przebieg zdarzeń, a potem musiał odpowiadać na szereg pytań, które nie miały żadnego związku z jego zadaniem. Nie na wszystkie mógł udzielić odpowiedzi, ale wydawało mu się, że proboszcz jest z niego zadowolony. Do spięcia doszło nieoczekiwanie, w chwili gdy obracał się ku drzwiom, by wprowadzić do komnaty dziewczynę. Ksiądz Andrzej wstrzymał go jeszcze i, spoglądając mu badawczo w twarz, zapytał z nieoczekiwaną surowością w głosie.

— Mam nadzieję, żeś sobie na żadną poufałość z nią nie pozwolił? Dziewkę powierzyłem twojej opiece. Czyś o tym pamiętał?

Czarny poczuł, jak rumieniec oblewa mu twarz. Ksiądz poruszył jego osobistą sprawę, ale zrozumiał, że na to pytanie musi udzielić odpowiedzi. Tego wymagała służba, jaką pełnił, i poruczone mu zadanie. Toteż opanowawszy wewnętrzny sprzeciw, zdobył się na pośrednią odpowiedź, czyniąc wyznanie:

— Rozmówaliśmy się w sobie, wasza wielbność...

Podkanclerzy, który do tej pory bez słowa przysłuchiwał się rozmowie, poruszył się na krześle, ściągając brwi.

— Rozmówaliście się, rzekłeś? Zatem przyznajesz tym, żeś jej nie uszanował? Żeś, zapominając o rycerskim honorze, wykorzystał położenie? — Głos księdza Andrzeja brzmiał już ostro i groźnie. — Mów, jak do tego doszło!

— Burza była... A ona bała się mocno, przeto przywołała mnie, abym był przy niej... — Udzielając tego wyjaśnienia Czarny z trudem hamował gniew.

— Zapomniałeś, com ci już raz rzekł w Krakowie? Ale tym razem płazem ci to nie ujdzie, bo dwa razy nie zwykłem mówić jednego! Przywołaj teraz dziewczkę i czekaj na moją decyzję!

Czarny obrócił się bez słowa. Kiedy skinął na Unę i ta zbliżyła się ku niemu, była zaskoczona wyrazem jego twarzy.

— Co się stało? Czy cię coś przykrego spotkało?

— Nic! — uciął krótko. — Przywołuję teraz ciebie.

Kiedy zjawiła się w komnacie, pierwszy z życzliwym uśmiechem powitał ją wicekanclerz.

— A więc mamy z powrotem naszą zgubę? Chodź no bliżej, panno... Hm... wcale gładka jesteś... Frasował się wielce twoją przygodą kanonik Dunin. Myślałem, że z boleści rozum postrada.

— Biedny, drogi wujcio! Wkrótce chyba będę mogła go uścisnąć!

— Namęczyłaś się, niebożę, w krzyżackiej niewoli, co?

— W istocie, ale dzięki waszej trosce już wolna i szczęśliwa, że pomiędzy swoimi! — odparła Una gorąco. — Dzięki, żeście nie zapomnieli o mnie!

Wicekanclerz Trąba spojrzął na księdza, który spod oka przyglądał się dziewczynie.

— To głównie zasługa proboszcza, bo to on posłał tego młodego rycerza, aby cię ratował.

Dziewczyna schyliła się ku ręce księdza Andrzeja, ale on wyrwał ją szybko.

— Zostaw! — mruknął, nie rozpogadzając twarzy. — Powiedz nam lepiej, jak to było w drodze...

Wicekanclerz przerwał jednak proboszczowi i tuszując ostry ton jego słów, powiedział łagodnie:

— Pamiętaj, kochane dziecko, że pod nieobecność twojej rodzicielki masz przed sobą swoich opiekunów, mów więc wszystko szczerze.

— Co mam mówić? — Una uniosła brwi.

— No... hm... Jak tam zeszła wam droga? Nie mieliście złych przygód?

— Nie! Żadnych! Bert chodził koło mnie jak niańka!

— Podobno złapała was burza?

— To i co z tego? Ja się burzy nie boję!

Podkanclerzy uniosł brwi z wyrazem zaskoczenia, a ksiądz Andrzej poruszył się na krześle.

— Nie boisz się? Dziewczęta zwykle okazują strach, kiedy biją pioruny.

— Ale nie ja! — rzuciła swobodnie Una. — Mnie pioruny nie przerażają!

— No... no... — Podkanclerzy zawahał się, nie wiedząc, co sądzić o tych dwóch różnych relacjach. Z kolei odezwał się ksiądz Andrzej:

— Słyszeliśmy tu sprawozdanie z waszej podróży. Wynikało z niego, że jednak nieco się bałaś... Nie wiemy więc, komu mamy wierzyć?

Na twarzy dziewczyny ukazał się raptowny rumieniec. Nie odpowiadała, jednak spojrzenie, jakie rzuciła na proboszcza, nie wyrażało zbyt uległości.

— Wystraszyłaś się, czy nie?

— A więc tak... ale sama nie wiem, dlaczego właśnie tym razem poczułam strach...

— Istotnie nie wiesz...?

Ale zamiast wyjaśnienia Uny w komnacie zabrzmiał głośny śmiech podkanclerza.

— No, księżo proboszczu, dajmy już spokój tej sprawie! Wszystko rozumiem! A teraz mi powiedz, drogie dziecko, jak rodzonemu ojcu: bardzo go miłujesz?

— Ponad życie, wasza wielbność! — wykrzyknęła gorąco dziewczyna.

— I chcesz go za męża?

Dziewczyna opuściła głowę. Tym razem odpowiedziała zupełnie cicho:

— Nie żyć mnie bez niego...

— A on? Czy też cię miłuje?

— Niechby spróbował nie! — Znów żywość usposobienia i wrodzona przekora wzięły górę.

— Widzę, że dasz sobie z nim radę — uśmiechnął się ksiądz Andrzeja — Radziłbym jednak ślubu zbytnio nie odkładać...

— To zależy od waszej wielbności! Pragnę, aby Bert jechał ze mną do matki, ale powiedział, że może to być tylko za waszym przyzwoleniem.

Podkanclerzy spojrział pytająco na proboszcza, ten jednak pokręcił przecząco głową.

— Jest mi tu potrzebny, ale zwłoka nie powinna być długa. Obiecuję ci postać go zaraz po wykonaniu polecenia.

— A może kogoś innego? — mruknął pytająco wicekanclerz.

— On go zna... — odpowiedział cicho proboszcz, po czym zwrócił się do dziewczyny: — Zawołaj, panno, swego lubego, niech tu przyjdzie.

Kiedy Czarny zjawił się ponownie przed obliczem obu mężów, ksiądz zwrócił się do niego już łaskawszym tonem:

— Słyszeliśmy od twojej narzeczonej, że razem wybieraliście się do Lublińca?

— Jeśliby wasza miłość zezwolił...

— Otóż na razie to niemożliwe. Twoją dziewczynę odeślemy teraz do Krakowa, i to już jutro, bo jedzie tam część królewskiego obozu, więc ma okazję podróż odbyć i bezpiecznie, i wygodnie. Niech tam czeka, aż po nią przyjedziesz.

Czarny rzucił spojrzenie na dziewczynę, której oczy zaszkliły się łzami. Ksiądz to dostrzegł i prędko dodał:

— Myślę, że sprawisz się tu szybko, bo rzecz nie jest na miesiące. Potem będę prosił jego wielbność, aby ci nie odmówił polecającego pisma do jejmości kasztelanowej, by wiedziała, kto przed nią staje w tak ważnej sprawie.

— Dziękuję waszej wielbności. — Czarny skłonił się, poruszony nieoczekiwaną łaskawością księdza.

— Jeśli wasza wielbność zezwoli, to miałbym jedną prośbę.

— No, mów!

— Znalazłem tu tego parobka, którego otruto u Vogelwederów. Czy zezwolilibyście, by towarzyszył mojej miłej? Będę o nią spokojniejszy, bo to wierny kompan, a silny jak tur.

— To ten, jakże mu tam, Dzieweczka? — Ksiądz Andrzej uśmiechnął się. — Dobrze, niech jedzie, bo istotnie opieki nigdy nie za dużo. Niech więc panna szykuje się do drogi, a ty przyjdź do mnie po południu, to ci wyjaśnię, czego od ciebie chcę.

— A co z Zytą, wasza wielbność? Czy są jakieś wieści?

— Co z nią, tego nie wiem. Jeśli zaś chodzi o Benkę, to wieści są i niedobre, i dziwne. Został przez Krzyżaków uwięziony i wysłany do Barcian. Tam ów Sonnenberg uprowadził go nocą pod strażą dwóch knechtów i wszyscy czterej przepadli, jakby ich pochłonęła ziemia.

Idąc już korytarzem do wyjścia, Czarny zagadnął dziewczynę:

— Coś ty im powiedziała takiego, że przywrócili mnie do łaski? Musiałem im wyznać, co między nami zaszło, i rozsierdzili się mocno.

Ale Una tylko się roześmiała.

— Nie bądź taki ciekawy! — powiedziała przekornie.

— Zadanie to nie powinno ci zająć dużo czasu, a potem będziesz mógł załatwić swoje osobiste sprawy — zagał popołudniowe posłuchanie ksiądz Andrzej, swoim zwyczajem spacerując po komnacie. — Wolę powierzyć go

tobie, bo mimo wszystko jakoś tam dajesz sobie radę, a poza tym chodzi tu o człowieka, którego ty znasz.

— Znów Vogelweder? — uśmiechnął się Czarny, usłyszawszy nieco zgryźliwą uwagę proboszcza o sobie.

— Tak sądzę. — Ksiądz Andrzej skinął głową. — Ale zupełnej pewności nie mam.

— Pozostawiłem go o parę mil od Tczewa. Zdążył już tu przybyć i nabroić?

— I to nielicho. Przez niego straciliśmy ten zamek.

Bert cicho gwizdnął.

— Ale do rzeczy, bo jeszcze nie wiesz, o co chodzi. Otóż gród bydgoski Krzyżacy zdobyli zdradą. W czasie obrony tutejszy burgrabia otworzył im bramę. Tego złapaliśmy i trzymamy w lochach. Zeznał, że przed oblężeniem przybył do niego nieznany mu człowiek, którego opis pasuje mi do owego Vogelwedera. Ów przybysz zawiadomił burgrabię, że w krzyżackie ręce wpadła jego rodzina, po czym zażądał pomocy w opanowaniu grodu, pod groźbą uśmiercenia pojmanych. Burgrabia, przestraszony groźbą, wyraził zgodę i udzielił u siebie schronienia wysłannikowi. Ten w ukryciu oczekiwał na krzyżackie oblężenie, by dopilnować wykonania rozkazu.

— Jakie będzie moje zadanie?

— Czekaj, to jeszcze nie wszystko, bo brak przecież końca nitki, a ten koniec chcę ci właśnie dać. Otóż ów przybysz, możemy go chyba nazwać Vogelwederem, musiał przecież przez kogoś postać wiadomość o wyniku. Burgrabia zeznał również, że jego gościa odwiedził jakiś osobnik, którego jednak nie zdołał dostrzec, aczkolwiek usłyszał parę końcowych słów, jakie tamten rzucił na odchodnym, kiedy zegnał Vogelwedera w ciemnej sieni. Powiedział podobno: „Nie strzymuj mnie, bo już późno, a drogi sporo. Byłoby źle, gdybym nie zdążył na nocne psalmy...”

— Zatem jakowyś mnich? W Koronowie jest klasztor, a więc znów cystersi?!

— Chyba tak. Burgrabia siedzi w lochu i za zdradę da głowę, ale musimy wiedzieć, który z mnichów pomagał Vogelwederowi i co stało się z tym ostatnim. Skoro był na zamku i przeżył oblężenie, musiał stąd uciec. Ukrywa się zapewne albo w mieście, albo gdzieś w pobliżu, by przeczekać gorącą wojenną. W klasztorze go nie ma, to sprawdziłem. Był tu u mnie

opat, którego wezwałem, by się o tym upewnić. Chcę więc, abys wykrył tego mnicha, a przy tym może i miejsce pobytu Vogelwedera. Czy może chciałbyś jeszcze coś wiedzieć? — Ksiądz Andrzej przerwał wędrówkę i siadł na krześle, spoglądając pytająco na Berta.

— Mają zapewne jakieś hasło, którym się posługują. Czy nie jest ono wiadome waszej wielebności?

— Po ujęciu Anzelma w Mogile nakryliśmy dzięki hasłu, jakie nam wyznał, jeszcze kilku braciszków. Hasło to brzmiało: „Chwała Marii, która depcze węża”, odzew zaś: „A biada wężowi...” Musisz jednak liczyć się z tym, że brodacze, dowiedziawszy się o ujęciu tamtych, hasło zmienili.

— Czy ostatnio do Koronowa przybył jakiś nowy mnich?

— Pytałem i ja o to samo opata. Otóż klasztor liczy wprawdzie dwudziestu sześciu braci, ale tu jest trudność. W ostatnim czasie przybyło aż trzech nowych.

— Opat ich wskaże?

— Prosiłem go o to. Obserwuj ich pilnie, mówiąc hasło. Nie możemy liczyć, że jest ono jeszcze ważne, ale być może ten, którego szukamy, zdradzi się czymś. Co i jak masz robić, tego już ci mówić nie będę. Jeśli potrzebujesz do pomocy ludzi, bierz, wielu chcesz.

— Sądzę, że trzech konnych mi starczy. No i jeden luźny wierzchowiec dla jeńca... — Czarny uśmiechnął się.

Ksiądz Andrzej odwzajemnił ten uśmiech, ale upomniał go:

— Nie bądź zbyt pewny siebie. To sprytni i przemyślni hultaje.

— Kiedy mam jechać?

— Wolałbym, aby jeszcze dziś. Ale rozumiem, że będziesz chciał wyprawić swoją dziewczynę. Orszak rusza jutro rano. Skoro ją pożegnasz, jedź bez zwłoki.

WĘDRÓWKA PRZEZ LITEWSKIE puszcze była uciążliwa i powolna. Należało omijać liczne mokradła i bagna, ciągnące się nieraz milami, zwłaszcza w pobliżu rzek i leśnych jezior. Prócz tego napotykali często połacie lasów tak gęste i tak pełne wykrotów i chaszczy, że nawet pieszo były nie do przebycia, chyba że toporem torowałbyś sobie drogę. Pełno też było zwalonych pni, jam, dołów porośniętych krzakami i przez to niewidocznych, a tam, gdzie docierało nieco słońca, leśna młodź tworzyła gęstwinę tak splątaną i silną, że przebić się było nie sposób.

Jaksa w czasie rozmów ze starym Prusem nasłuchiwał się różnych opowieści o litewskich bogach i ich sługach, sygenotach¹² i sejnotach¹³. Został też ostrzeżony przed różnymi leśnymi bóstwami i duchami: astwarami, ragunami, łanami czy mamunami, które w borach czekają na swoje ofiary.

Radził więc stary Prus, aby rankami, przed wyruszeniem w dalszą drogę, zatykać w ziemię świeżo ułamaną gałąź, pochyloną nieco w zamierzonym do podróży kierunku, a wówczas bóg podróźnych, Bentis, weźmie ich pod swoją opiekę i nie dopuści, by mamuny wiodły w kółko po leśnych ostępach.

Śmiał się wówczas w duchu z tych ostrzeżeń, ale teraz, kiedy je sobie przypominał, wcale nie było mu do śmiechu. Inaczej bowiem te rzeczy wyglądały w zacisznej izbie klety, a inaczej, kiedy człeka wokół otaczała nieruchoma ściana boru o tajemniczej, groźnej swym mrokiem głębi. Raptowny trzask gałęzi gdzieś z boku, szelesty i szmery w gąszczach poszycia, kiedy żadnej żywej istoty widać nie było, przyprawiały o niepokój, który na próżno w sobie zwalczał.

Musiał teraz bardzo uważać, by nie zbłądzić w zdradliwej puszczy. W pogodny dzień, kiedy słońce było widoczne, często spoglądał ku niemu i wtedy wyzbywał się wątpliwości, bo było najlepszym przewodnikiem w utrzymaniu wschodniego kierunku. Kiedy zaś dzień był pochmurny, obserwował pnie i korony drzew. Pnie bowiem od północy obrastał mech, a korony od tej strony zawsze miały mniej gałęzi i były liche. Tę czujność musiał przestrzegać bez ustanku, jeśli nie chciał wieczorem znaleźć się na miejscu swego ostatniego obozowiska.

Zyta nadszpiewanie dobrze znosiła trudy tej podróży. Początkowo musiał przymuszać ją do posiłków, bo jeść nie chciała, a wszelkie próby rozmowy, które wszczynał, by nieco rozproszyć jej myśli, zbywała półśłówkami. Ale fizyczny wysiłek, powietrze, ruch i poczucie swobody poczęły z czasem wywierać swój dobroczynny wpływ. Rudy, który przygotowywał posłanie, a potem długo w noc stróżował, widział, jak leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w gwiazdy migające wśród wierzchołków drzew, usypiając dopiero nad ranem. Po pewnym czasie spostrzegł jednak, że sen zaczął ją nachodzić prędzej, a potem zasypiała już nieomal od razu, posiłków zaś nie odmawiała, jak dotąd, niemy ruchem głowy.

Był dla niej pełen współczucia i zrozumienia, ale też zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu — przynajmniej teraz — niczym zdradzić uczucia, które w nim obudziła wtedy, kiedy ujrzał ją śpiącą, z rozrzuconymi na poduszce włosami, owego ranka jej uwolnienia.

Toteż był tylko przyjacielski, troskliwy, dbał o nią i starał się rozpraszać jej złe myśli.

Przyjmowała te starania bez sprzeciwu ani zakłopotania, jak gdyby rzecz rozumiała i naturalną, ale też we wszystkim była mu posłuszna. stosując się do jego wskazówek. Rudy domyślał się, że czerpie z kapitału, który zdobył, dając jej wolność, a który pomnożył swoimi słowami Benko.

Byli w podróży już dziesięć dni albo i więcej, kiedy spotkała ich dziwna przygoda.

Słońce opadało właśnie ku zachodowi i pomiędzy drzewami zaczęły zalegać pierwsze cienie wieczoru. Rudy nie znajdował odpowiedniego miejsca na postój, toteż parł naprzód konie, by zupełna ciemność nie zastała ich w siodłach.

Grunt nadal jednak był wilgotny, pełen wykrotów i jam, w których stała woda. Cienie zaczęły też coraz bardziej gęstnieć i Jakska na dobre już się zaniepokoił, czy nie przyjdzie im nocować na mokrym mchu, który stanowił tu podszycie.

I właśnie w tej chwili dostrzegł przed sobą nikłe światełko.

Dziwne było jakieś, bo tańczące, chwiejne; podobne wprowadzie do małego ogniska, ale świeciło z wysoka, jakby spomiędzy gałęzi drzew.

— Licho jakoweś, panie — rzucił cicho Tomek jadący obok niego. — Toć to pogański kraj...

— Nie pleć głupstw! — zgromił go Rudy tym gniewniej, że samemu zrobiło mu się straszno.

Zamiast odpowiedzi chłopak zaczął mrużyć modlitwę: — ... i oczy Twój miłosiernie k'nam obróci, a Jezusa błogosławiony owoc żywota Twego nam po tej to puszczy ukaży...

Raptem grunt zaczął stawać się coraz suchszy i Jaksza poczuł, że koń zaczyna wspinać się po stoku. Od razu więc zrozumiał, dlaczego ogień dojrżeli gdzieś u góry. Po prostu palił się na szczycie wzgórza, ku któremu teraz zdążyli.

Kiedy go osiągnęli, ujrzeli ogień zupełnie blisko. Mimo jednak, że stąpanie koni było głośnie, jak dotąd nikt ich nie okrzyknął.

Było to dziwne, bo ogień mógł rozpalić tylko człowiek, a człowiek musiał strzec się w puszczy innych ludzi równie bacznie, jak drapieżnych zwierząt. Czyżby opuścił ognisko i obserwował ich z ukrycia?

Rudy sięgnął po kuszę, naciągnął ją i założył belt. Z opartą o udo bronią ruszył przodem, uważnie lustrując spojrzeniem pnie pobliskich drzew'.

Kiedy jednak te rozsunęły się ostatecznie przed nimi, ujrzął małą polankę, a na niej przy wielkiej kłodzie zwałonego leśnego olbrzyma palący się ogień, przy którym siedziała nieruchoma postać. Był to starzec, odziany w brunatną, postrzępioną opończę. Siwe, długie, dawno niestrzyżone włosy opadały mu na ramiona, a broda sięgała nieomal do pasa. Twarz, którą właśnie uniósł znad ognia, spoglądając w milczeniu na zbliżającego się wierzchowca, miał suchą, o zapadniętych policzkach, pełną bruzd i zmarszczek. Jedyne oczy w tej twarzy, wielkie i ciemne, były pełne blasku, być może dlatego, że odbijały refleksy ognia.

Na widok małego pocztu nie zerwał się na nogi ani nie okazał zdziwienia. Zagadał tylko coś śpiewną mową, z której Rudy nie rozumiał ani słowa, po czym obojętnie zajął się ogniem, dorzucając kawałki łamanych w ręku gałęzi.

Zyta i Tomek przysunęli się z końmi do Rudego, bez słowa przyglądając się starcowi.

— Nie mówicie, ojcze, po rusku? — odezwał się Jaksza. — Nie rozumiałem, coście mówili.

— Pozdrowiłem was, wędrowcy, w swojej litewskiej mowie — odpowiedział starzec, tym razem również po rusku.

— Pozwolisz zasiąść przy twoim ogniu?

— Nie pytaj, skoro widzisz, że jest przy nim miejsce. Ale ugościć was nie będę miał czym. Chyba że zechcecie przyjąć rzepę, co piecze się w popiele.

— Żywności mamy dość. Zjedz ty z nami.

Rudy zeskoczył z konia i pomógł zsiąść Zycie. Tomek zajął się zwierzętami, a oni zbliżyli się do ognia. Stary uśmiechnął się z lekka.

— Jedźcie swoje. Pełny żołądek mąci myśli... Nie potem szukał tu schronienia przed nowym, aby on dbać.

— Toś nie w drodze jako i my? — zdziwił się Rudy. Osunął się na ziemię naprzeciw starca, a Zyta przysiadła na zwałonym drzewie.

— Nie. Mieszkam tu sporo już czasu. Szałas stoi nieco niżej — wskazał ręką za siebie — ciemno już, to go nie dojrzysz.

— Myślałem, żeście w podróży.

— Moja podróż dobiega kresu. Tu ją chcę zakończyć, w tej puszczy, gdzie schronili się i moi bogowie...

Starzec zachowywał się tak, jak gdyby to spotkanie w głębi boru uważał za coś powszedniego. Uderzyło to Jakse, toteż spytał:

— Nie dziwicie się nam, ojcze? Czy tak często odwiedzają was ludzie?

— Odwiedzają, ale nie tacy jak wy. Z dala tu nawet przychodzą do starego sejtona po wróżbę. Wieści ze świata przynoszą i nieco żywności. A o waszym przybyciu wiedziałem, toteż rychlej rozpalilem ogień, byście na mokradłach nie nocowali.

— Jakże mogliście wiedzieć? — zawołał ze zdumieniem Rudy.

— Zapach końskiego potu nadleciał mnie z zachodu.

Jaksa pokręcił głową, ale nie odpowiedział. Samotne przebywanie w puszczy musiało tak wyostrzyć staremu zmysły.

W każdym razie ten dziwny człowiek zdawał się być im życzliwy. Rudy podniósł się już bez słowa z ziemi i poszedł do siodła, by wyciągnąć żywność i przygotować wieczerzę.

Zyta, która siedziała dotąd bez słowa, przysłuchując się rozmowie, raz i drugi zerknęła na starca. Ten zdawał się nie zwracać na nią uwagi.

Kawałkiem patyka usunął nieco palące się gałęzie i rozgrzebał popiół. Sprawdziwszy, że rzepy nie są jeszcze dostatecznie upieczone, zasypał go z powrotem i nasunął ogień na dawne miejsce. Potem uniósł raptownie wzrok i przez chwilę patrzył bez słowa w oczy kobiety.

Ta, spotkawszy się z nim spojrzeniem, ujrzała dwoje ciemnych źrenic, które zdawały się przenikać ją na wskroś, docierać do mózgu, wiedzieć i rozeznawać każdą myśl. Jednocześnie zdawało się jej, że wpatrzone w nią oczy rosną i rosną, olbrzymieją, przesłaniają sobą wszystko, stają się wielkie jak dwa czarne księżyce, połyskliwe i zagadkowe, wywołujące strach, ale i ciągnące ku sobie jak niebezpieczna głębia, w którą chciałoby się skoczyć i zanurzyć mimo grożącej zguby.

Raptem rozległ się głos starca i całe otoczenie z nagłą ukazało się rzeczywiste i zwykłe. Ogień tańczył wesoło, słychać było chrzęst końskiego żucia, a Jaksza pochylał się ku niej z kawałkiem chleba i sera.

— Dokąd was Bentis prowadzi? — zagadnął go pustelnik.

— Dalej i dalej, na wschód. Chcemy dotrzeć do ludzkich osiedli, by znaleźć się wreszcie wśród przyjaznych serc.

— To od wrogów uciekacie?

— Rzekłeś, ojczu. Tej oto niewiasty męża ubili.

Starzec znów rzucił spojrzenie na Zytę, ale tym razem przelotne i jakby od niechcenia, po czym mruknął:

— Ale nie tylko ta jedna boleść ją gnębi. Taka strata serce rozdziera, ale nie kaleczy duszy. A ona ma duszę ranioną...

Zyta zerwała się na nogi, wpatrując się w starca z przerażeniem. Potem opadła z powrotem na pień, jakby opuściły ją wszystkie siły, i, uniósłszy dłonie ku twarzy, wybuchnęła płaczem.

— Przestańcie gadać brednie! — wybuchnął Jaksza wstrząśnięty tym płaczem. — I wy ją raniacie, choćby tylko słowami!

— Nie frasuj się! Taki płacz leczy. Łzy osad wszelki i szlam z jej duszy spłuczają. Niech płacze.

— Nie słyszałem o takim leczeniu, co rany drażnić może — mruknął z gniewem Rudy.

— Małoś tedy jeszcze słyszał. A że ją miłujesz, to i nie dostrzegasz wszystkiego.

— Ja... miłuję...?! — Rudy poczuł, jak krew uderza mu na policzki. — Co wy...?! Co wy...?!

Starzec popatrzył na niego badawczo, po czym przeniósł wzrok na Zytę, która przestała płakać i zwróciła ku niemu twarz, po której ściekały jeszcze łzy. Odezwał się znów do Rudego:

— Czemu się zwijasz jak ugodzony strzałą? Po co to skrywasz? Lepiej dla ciebie i dla niej, jak będzie to wiedziała.

— Zamilknijcie już! — rzucił ze złością Jaksza, ale w tej złości była i nuta błagania.

— Jam niegodna miłowania — cicho odezwała się Zyta. — Nieszczęsny ten człowiek, który mnie do serca weźmie...

— Choraś, moja córko, jużem ci to rzekł — z dziwną powagą odezwał się starzec. — Ale trzy są rzeczy, które cię uleczą. Jeszcze godność swą odzyskasz i śmieiej spojrzysz na świat, niż teraz to czynisz.

— Cóż to są za rzeczy, o których mówicie? — szepnęła Zyta, schylając głowę.

— Łzy, czas i miłość. To sobie spamiętaj.

— Mnie miłować nie wolno.

— Teraz tak myślisz, ale ta, ku tobie, będzie ci ratunkiem. Nie wzbraniaj jej zatem.

Odwróciła głowę, spoglądając w czarną głębię lasu.

— Nie chcę o tym ani mówić, ani nawet słuchać...

— Ten wstyd cię uratuje. Płać nim za uzdrowienie, bo gdybyś go nie czuła, nie byłoby dla ciebie ratunku. Ale też i nie piastuj go, bo zginąć możesz od jego oparów.

— Jaks, chcę już spocząć — odezwała się do towarzysza, udając, że nie słyszy ostatnich słów. — Zmożonom do cna.

— Masz już gotowe postanie — rzucił pośpiesznie, po czym dodał z lekkim zażenowaniem: — Zaśnij szybko i zapomnij, o czym tu mówiliśmy.

Wstała z pnia. Przechodząc koło starca, schyliła się raptem i, uniósłszy jego rękę, przyłożyła do niej usta. Ten nie bronił ręki, a kiedy się oddaliła, zagadnął Rudego:

— Długoście w drodze?

— Chyba będzie ze dwanaście dni...

— Czyń o nią starania i niech wie, że ją miłujesz. To doda jej sił i złagodzi ból.

— Dziękuję, ojczu — odpowiedział po prostu Rudy.

— A więc podążacie na wschód... — odezwał się po krótkiej chwili starzec. — Zatem wiedz, że za dzień drogi staniecie nad Biebrzą. Tam miej oczy i uszy otwarte, bo obsadzona jest gęsto Tatarami, którzy trzymają straż, nie puszczając nikogo na Litwę. Mają przykazane ubić każdego, kto z zachodu przybywa. Strzeż się zwłaszcza brodów, bo przy nich najczujniej stróżują.

— Jakże tedy przedostanę się przez rzekę?

— Musisz płynąć za koźmi. I to nocą, bo oni lubią ognie trzymać, będziesz tedy wiedział, gdzie są, a ciemność cię zabezpieczy.

— A jeśli trafimy u przeciwległego brzegu na bagno?

Starzec zamyślił się.

— Hm... — mruknął wreszcie. — Niech tedy już tak będzie... Wskażę wam miejsce sposobne do przeprawy.

— Nie wiem, ojczu jak wam dziękować! — wykrzyknął Jaks.

— Nie pleć! Dasz mi przygarść soli, jeśli możesz. Dawno już nie miałem jej na języku.

— Z ochotą! Mam w sakwie zapas. Starczy i dla was.

— No to idź i ty spocząć, bo obudzę was przed świtem.

Ale było już dobrze widno, kiedy ruszyli w dalszą drogę. Rudy proponował starcowi konia, chcąc wziąć Tomka na swoje siodło, ale sejton wolał iść piechotą. Jakoż szedł szparko, łatwiej dając sobie radę w leśnej gęstwinie niż cięższe i mniej zwrotne konie.

Długi czas jechali za nim jedno za drugim, ale w pewnej chwili, korzystając, że las nieco się przerzedził, Zyta przysunęła się z koniem do Rudego. Dłuższą chwilę milczała wpatrzona w końską grzywę, ale wreszcie uniosła głowę i spojrzała z wahaniem na swego towarzysza.

— Już dawno chciałam cię spytać... Ciągle mi to chodzi po głowie i spokoju nie daje.

— Co takiego? Mów śmieie.

— Ostawiliśmy Benka wśród tych pogan ani zatroszczywszy się o pochowanie... Wiem, że czasu nie było, ale mimo to ciągle się tym trapię. Jak myślisz, czy oni pogrzebali go jak należy? I czy postawili krzyż? Chyba nie, boć to poganie...

— Dobrze, żeś mnie spytała, bo jakoś wypadło mi z głowy, aby ci to rzec. Prosiłem jednego z nich, żeby sprawili Benkowi pogrzeb i krzyż postawili. Obiecał mi to, a skoro obiecał, dotrzyma, bo to taki człowiek. Nie trap się więc. Mieli go pochować na szczycie wzgórza. Tam nikt nie zagląda, będzie więc spoczywał w spokoju.

— Jaks! — wykrzyknęła głosem pełnym wdzięczności. — Nie zapomniałeś o tym?!

— Nie — odpowiedział jej krótko, odwracając głowę.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Potem raptem znów usłyszał jej głos i słowa:

— Prawda to, że mnie miłujesz?

Był zaskoczony i tym pytaniem, i bezpośredniością, z jaką zostało rzucone. W pierwszej chwili nie mógł zmusić się do odpowiedzi, ale opanowawszy się, spojrzał w jej twarz i rzucił tylko jedno słowo:

— Prawda.

Wówczas zawołała porywczo, ze szlochem w gardle:

— Jak możesz?! Powiedz, Jaks, jak możesz?! Pojąć tego nie potrafię!

Rozpacz, która brzmiała w jej głosie, wstrząsnęła nim do głębi. Toteż zaczął mówić, nie dobierając słów, tak jak mu kazało uczucie, które nareszcie mógł z siebie wyrzucić.

— Po co masz pojmować? Albo to wola człeka rządzi jego sercem? Jakem cię ujrzał wtedy, w tej izbie, wiedziałem już, że to ciebie wybrał Bóg, aby spełniło się, co mi przeznaczył. Że ani nie ucieknę od tego, ani nie odegnam, ani opanuję! Mimo że wiedziałem o tobie wszystko, znałem twoją dolę... A przecież kiedym ujrzał cię śpiącą na tym łożu... właśnie tam... mimo to poczułem, że życia bez ciebie dla mnie nie ma, że już na żadną inną do śmierci nie spojrzę! Los był ci okrutny, ale nań nie plwam, skoro mi pozwolił spotkać ciebie. A tamto...? — Wzruszył ramionami. — Niczego nie było, nic nie jest ważne...

— urwał i dokończył z nutą goryczy: — Wybacz, że rozgadałem się ponad miarę, ale wyrwałaś ze mnie te słowa nagłym pytaniem. Już więcej mówić o tym nie będę.

Śluchała go, patrząc przed siebie, a kiedy skończył, obrzuciła go krótkim spojrzeniem i powiedziała:

— Znam to, bo tak miłowałam Benka. — Potem dodała cicho: — I jeszcze miłuję...

— Wiem. I rozumiem, jak bolejesz po tej stracie. Ale to ten starzec tak nas na te sprawy naprowadził. Aż dziw bierze, jak on to wszystko dojrzał!

— To litewski wróż. Kiedy patrzyłam mu w oczy, czułam, że czyta wszystkie moje myśli.

— Musiał wyczytać i moje. Niepowszedni to człowiek, ale myślę, że mądry i o dobrym sercu.

Więcej już ze sobą nie rozmawiali, bo bór znów zgęstniał. Pokraccie karłowate sosny porastały podmokły tutaj grunt, który ugiął się pod kopytami koni, a woda zaraz wypełniała powstałe wgłębienia. Stary zaczął zmieniać dość często kierunek, ale musiał dobrze znać tę część puszczy, bo prowadził bez wahania.

W tydzień zaś później ujrzeli przed sobą srebrnosiną, szeroką wstęgę Niemna, a nad nim, na wysokiej górze, grodzieński zamek. Panował nad rozłożonym u jego stóp miastem dwoma grodami, Dolnym i Górnym, które przedzielał głęboki parów. Dolny otaczały dwa pierścienie fos, do Górnego można się było dostać tylko przez Dolny, po drewnianym pomoście zawieszonym nad głęboką przepaścią parowu. Okalał go pas grubych murów z czterema obronnymi basztami.

Rudy zdołał dotrzeć do samego namiestnika wielkksiążęcego, grodzieńskiego starosty, Mikołaja Radziwiłła. Po krótkiej rozmowie otrzymał od niego „znak” na swobodny przejazd, pismo do horodniczego z Trok, Sumigajły, by udzielił opieki ważnemu gońcowi, i sute zaopatrzenie na resztę drogi.

W pięć dni potem Rudy stanął przed obliczem ojca Łukasza.

PO ODBICIU BYDGOSZCZY toczyły się ożywione narady co do dalszych wojennych kroków. Część panów z Rady była za wykorzystaniem powszechnej nienawiści rycerstwa do Zakonu dla dalszego prowadzenia działań, wysuwając żądanie natychmiastowego uderzenia na Pomorze. Ale tych była mniejszość, bo rozsowniejsi radzili raczej skorzystać z obecności czeskiego poselstwa i działania zawiesić. Bliska zima i tak zmusi do przerwania ich, a koszty utrzymania wojska pod bronią wzrosną, nie przynosząc żadnych korzyści. Kraj natomiast i pod względem wojskowym, i politycznym nie jest jeszcze gotów do tak poważnej rozprawy.

Było bowiem wiadomo, że szła ożywiona wymiana pism pomiędzy Zakonem i Luksemburczykiem, czemu należało przeciwdziałać na innych polach. Na Litwie nieodzowne stało się ukrócenie knowań Świdrygiełły, należało też dokonać koncentracji wojennych zasobów, doprowadzić do końca własną mobilizację i zagraniczne zaciągi.

Toteż bardziej trzeźwo patrzący na sytuację członkowie Rady doradzali cierpliwość i umiar. A ponieważ król, ostrożny z natury i nieskory do pochopnego działania, również skłaniał się do tego stanowiska, już w dwa dni po bydgoskim zwycięstwie, w dniu 8 października, w obozie polskim pod Koronowem, jako położonym blisko granicy, a więc dogodnym dla obu stron, rozejm został podpisany.

Obowiązywał do 24 czerwca przyszłego roku, do zachodu słońca. Obie strony zatrzymały w swym ręku zdobycze posiadane w dniu jego zawarcia, co było korzystne dla Krzyżaków. Drugi sukces

dyplomatyczny odnieśli, wymuszając warunek, że polska strona nie udzieli pomocy Żmudzi ani „tym, którzy ją wspierają”.

Stąd wynikało, że Zakon bez narażenia się na zarzut złamania przymierza mógł uderzyć na Litwę, mógł pokusić się o odebranie wielkiemu kniaziowi Żmudzi. Litwa zaś, na życzenie samego Jagiełły, nie została w dokumencie wymieniona. Uderzenie więc na Litwę mógł Zakon tłumaczyć tym, że porozumienie zostało zawarte tylko z Polską.

Dlaczego zatem strona polska zgłosiła takie życzenie? Znow z tego samego powodu, tylko przy innej interpretacji. W razie bowiem krzyżackiej napaści na Litwę brak wzmianki o niej pozwalał na udzielenie nawet i zbrojnej pomocy, gdyż wówczas król z kolei mógł twierdzić, że nie złamał porozumienia, bo dla niego Polska i Litwa to jedno.

Żmudź natomiast, jako formalnie przyznana Zakonowi pokojem w Raciężu, mogła w układzie zostać wymieniona. Jednocześnie obie strony godziły się na sąd polubowny Wacława Czeskiego, którego termin ustalono na 9 lutego przyszłego roku, a miejsce w Pradze. Był to trzeci polityczny sukces Zakonu; uzyskał on zgodę przeciwnej strony na stawiennictwo przed sądem, którego wyrok z góry był przesądzony, jako że (o czym strona polska jeszcze zapewne wówczas nie wiedziała) za ten trud król Wacław miał otrzymać od Zakonu 60 000 złotych florenów jako „zwrot kosztów procesowych”.

Cierpliwy, z wolna, ale nieustępliwie zmierzający ku wytkniętemu celowi król Władysław, mimo doznanych krzywd, przelanej krwi i strat, jakie poniósł kraj, godził się i na ten warunek, bo rozumiał, że żaden sąd polubowny — choćby nie wiem jak jemu, a nie wrogowi przychylny — strat tych nie wyrówna. To mógł dać tylko oręż, ale aby go przysposobić, należało zyskać na czasie.

Na wieść o podpisaniu rozejmu w namiotach zawrzało. Rycerstwo chciało się bić i żądało walki, a nie ugody, omal nie doszło do rebelii, oburzano się głośno i bez ogródek pomawiano panów z Rady o przენiewierstwo za krzyżackie pieniądze.

„Ohydny wszystkim wydał się ten rozejm” — powie później o nim kronikarz, nie dodawszy jednak tych trzech słów, które należało dodać: „ale był mądry”.

CZARNY PO PRZEMYŚLENIU otrzymanych poleceń zabrał trzech pachołków i ruszył do Koronowa. Po przybyciu na miejsce ulokował swoich

ludzi w pobliżu klasztoru, poleciwszy nigdzie się nie ruszać, a czekać na nagłe zawołanie, choćby przyszło ono dopiero za kilka dni.

Odział stare portki i nieco wytarty kubrak, poniechawszy mnisiego stroju, by nie zdradzić się nieznajomością jakichś klasztornych reguł, i pod wieczór zastukał do furty braci cystersów.

Usłyszał po chwili szybko drepzące kroki, stuk odsuwanego rygla i ujrzał dwoje chytrze spoglądających oczu, które zmierzyły go lustrującym spojrzeniem. — Czego sobie życzysz? — zagadnął furtian.

— Mówić z ojcem Bartłomiejem — oświadczył pokornie Czarny. — Mam do niego pisanie.

— Widzicie go, posła! A od kogo to pismo, bo o byle co nie będę jego wielebności niepokoić?

— Idę z daleka i myślę, że miłe będzie to zlecenie wielebnemu opatowi. Zgłóście mu, niech sam decyduje, a od kogo, powiem tylko jemu samemu.

— Miłe, mówisz? No, zobaczymy, czy na pożegnanie nie każe ci przyłożyć parę kijów! Rozważ to sobie, bo już niejeden wydrwigrosz próbował go podchodzić!

— Nie trapie się o mnie, wielebny bracie. Za wrota czcigodny opat mnie nie wyrzuci.

— Chodź tedy... — Braciszek cofnął się, uchylając szerzej furtę, by zaraz zatrzasnąć ją za Czarnym, z hałasem zasuwając rygiel.

Zgodnie z zapowiedzią opat Bartłomiej od razu wiedział, kogo ma przed sobą. Odbił z Czarnym krótką rozmowę w cztery oczy, po czym, przywoławszy brata ochmistrza, polecił mu przybysza, który strudzony daleką podróżą dzień lub dwa w klasztorze odetchnie. Wspomniał też sprytnie, że udziela gościny człowiekowi, który mu z Magdeburga przywiózł pisma od przyjaciela, tamtejszego kanonika.

A ponieważ w koronowskim klasztorze był obyczaj, że w refektarzu siadali braciszki przy stołach nie podług piastowanych funkcji czy przynależnych godności, lecz w zależności od czasu pobytu, gościa posadzono na końcu stołu, wśród ostatnio przybyłych braciszków.

Czarny po rozmowie z opatem znał już ich imiona i wygląd. Było ich trzech. Lasota, przybyły przed paru miesiącami ponoć z Radziejowa, małomówny, żylasty, o długiej końskiej twarzy i zupełnie łysej głowie, brat Zygfryd, wesoły i lubiący żarty, nieco rudy i piegowaty, najmłodszy wiekiem,

bo niemający więcej niż dwadzieścia kilka lat, przybyły do Koronowa z dalekich Rakuz, i wreszcie siwy, przygarbiony, o sterczącej grdyce i zapadłych policzkach, brat Egon z klasztoru w Koblencji.

Ten po modlitwach obrzucił przybysza krótkim spojrzeniem i więcej nie zwracając nań uwagi, zabrał się do jedzenia. Brat Lasota nieco dłużej zatrzymał na gościu wzrok, uważnie spoglądając spod nieco napuchłych, grubych powiek. Natomiast braciszek Zygfryd już przy pierwszej łyżce zagaił z przybyszem rozmowę:

— Skądże się u nas wziął? Rzadko tu przyjmujemy gości.

— Z Magdeburga wędruję i pismo przyniosłem od przyjaciela waszego opata... — wyjaśnił Czarny, nie przerywając jedzenia.

— Wracasz do Magdeburga?

— Nie. To pismo wziąłem, gdyż było mi po drodze. Podążam do Gdańska.

— Teraz chcesz tam iść? Przecież mamy wojnę! — wtrącił brat Egon, unosząc głowę nad miski i spoglądając ze zdziwieniem na Czarnego.

— Mówią, że lada dzień pokój zawrą. Ale i bez tego nie boję się zakonnych braci. Myślę, że krzywdy mi nie zrobią...

— Ponoć już zawarli, niech będą dzięki Niebieskiemu Pasterzowi — westchnął brat Lasota. — Dziś to słyszałem!

— Lepiej jednak jeszcze zaczekać — zaopiniował brat Zygfryd. — Niech się nieco uspokoi. Chyba że ci śpieszno? — zawiesił głos, spoglądając z lekkim uśmiechem na Czarnego.

— Niezbyt — odpowiedział ten obojętnie. — Pomarł matczyny brat i ponoć ostawił nieco schedy. Idę upomnieć się o swoje.

— A czym się, bracie, trudnisz? — Z kolei znów odezwał się brat Lasota.

— Garncarz jestem, mam w Magdeburgu warsztat. Po ojcu... — uzupełnił, odsuwając pustą już miskę.

Przeor właśnie dał znak na zakończenie wieczerzy i bracia podnieśli się do dziękczynnej modlitwy, po czym ruszyli tłumnie do wyjścia, by udać się do dormitarza. Jeden z nich podszedł do Czarnego.

— Chodź, naprowadzę cię do izby, gdzie będziesz spał.

Cela, w której się znalazł, była mała, ale czysto wymieciona. Na klęczniku paliła się świeca, rozpraszając mrok wnętrza.

Czarny położył się, ale nie mógł usnąć. O północy usłyszał, jak, śpiewając psalmy, bracia szli na nocne modlitwy. Naciągnął więc na głowę, derkę, ale zasnął nie tak prędko.

Do następnej rozmowy doszło znów przy stole, podczas południowego posiłku. Początkowo dotyczyła zawieszenia broni, o czym już powszechnie było wiadomo, potem zeszła na osobę przybysza i jego szanse na bezpieczne dotarcie do celu.

— Gdańsk znam dobrze — odezwał się w pewnej chwili przeważnie milczący brat Egon. — Gdzie twój krewny miał swoją posiadłość?

Czarny milczał przez chwilę, potem, z wolna wymawiając słowa, odrzekł:

— Nie w samym Gdańsku, czcigodny bracie. Jeśli chcesz wiedzieć, to w Oliwie.

Brat Lasota skinął z lekka głową.

— Tam również jest klasztor Cystersów, tyle że starszy od naszego...

— Wiem o tym, bo go znam. Starszy jest, i to znacznie. Wielce czcigodni bracia tam siedzą.

Lasota patrzył nań badawczo, brat Egon obojętnie przeżuwał kawał mięsa, zapatrzony w blat stołu przed sobą. Po słowach Czarnego na chwilę zwrócił na niego wzrok, ale nadal jadł, nie zabierając głosu. W oczach brata Zygfryda Bert nie dostrzegł niczego więcej ponad zwykłe rozbawienie, do którego młody braciszek zapewne był skłonny.

— A duża to scheda? — spytał zaciekawiony. — Bacz, byś jej nie roztrwonił, bo na świecie moc pokus czyha na człeka... — Wzniósł pobożnie ku górze oczy, ale uśmiech pozostał na jego twarzy.

Czarny zdecydował, że nadeszła pora dokonania próby.

— Wiem ci o tym, bracie — westchnął lekko — że szatan to wąż, który na nas czyha! Ale moce niebieskie czuwają nad nami. Chwała Marii, która depcze węża...

Czarny nie spuszczał wzroku z trzech otaczających go twarzy, czujnie nasłuchując, który z braci da mu odzew. Nie było go jednak. Wszyscy mruknęli tylko: „Chwała... Chwała”, po czym znów zabrali się do jedzenia.

Nie wszczynał więc dalej rozmowy i resztę posiłku odbyli w milczeniu, bo i najrozmowniejszy z nich, brat Zygryd, zajął się wyłącznie zawartością swojej misy.

Toteż kiedy znów znalazł się u siebie, rzucił się na postanie i, podłożywszy ręce pod głowę, ze wzrokiem utkwionym w sufit, zastanawiał się nad sytuacją. Strzał okazał się niecelny, ale mimo to przeciwnik musi w jakiś sposób dać znać o sobie.

Najbliższa przyszłość okazała, że przewidywanie to nie było mylne. Czas płynął z wolna. Klasztor trwał w ciszy, do celi nie dochodziły żadne odgłosy z zewnątrz. Czarnemu zaczęło się zdawać, że pozostał sam w tych murach i pozostanie w nich już na zawsze niby zamurowany w grobowcu. Naszedł go strach przed poddaniem się temu królestwu ciszy, dławiącej każdą chęć ruchu.

Gdy w pewnej chwili zerwał się z postania, aby wyjść z celi na powietrze i słońce, usłyszał raptem na korytarzu szybkie człapanie mnisich sandałów, które zatrzymało się pod jego drzwiami. Dopadł ich i, otworzywszy, stanął oko w oko z młodym braciszkiem.

— Przychodźcie zaraz — rzucił ten szybko. — Wielebny opat pilnie chce z wami mówić!

Wyszli obaj na wirydarz, a stamtąd ścieżką wśród malin do domu zajmowanego przez opata. Tu braciszek zatrzymał się na podcieniu.

— Idźcie teraz sami. Mnie jego wielbność przykazała tu czekać.

Opat był sam w swojej sypialnej komnacie. Na widok Czarnego rzekł bez wstępów, z uśmiechem na twarzy.

— Nie sądziłem, żeście taki niebezpieczny człek!

Czarny zdziwił się tym początkiem rozmowy.

— Nie rozumiem... — mruknął, nie wiedząc, o co opatowi chodzi.

— Przed chwilą otrzymałem ostrzeżenie, żeście krzyżacki postrzegacz! Co na to powiecie?

Czarny zastanowił się przez chwilę.

— Kto was, ojcze, ostrzegł? To ważna dla mnie wiadomość.

— Jeden z braci, i to właśnie jeden z tych podejrzanych.

— Który? — rzucił krótko Czarny.

— Brat Zygfryd. Przyszedł do mnie z tym oskarżeniem i prosił, bym nie poniechał środków ostrożności.

— Czym to uzasadniał?

— Ostrzeżenie oparł na waszych wypowiedziach. Ponoć zdradziliście się tym, że nie boicie się zakonnych rycerzy, którzy, jak rzekliście, „nic złego wam nie uczynią”.

— Hm... Istotnie coś takiego mówiłem. I bratu Zygfrydowi starczyło tego do oskarżenia mnie o krzyżacką służbę? Ciekawa pochopność, czy wasza wielebność tak nie sądzi? Warto nad nią pomyśleć...

— Co teraz mam zrobić? — Opat zatrzymał się przed Czarnym, spoglądając nań z rozterką.

Ten uśmiechnął się.

— Uwierzyc bratu Zygfrydowi. I wam chyba będzie to wygodne.

— To znaczy?

— Przywołać cichcem czterech mocnych mnichów, przytrzymawszy mnie rozmową, a potem uwięzić! Macie tu chyba, ojczu, jakąś kwaterę z zamknięciem?

— Człowieku! — obruszył się opat. — I co potem mam z tobą począć?!

— Poradzę sobie sam. Jedyne, o co was jeszcze, ojczu, poproszę, to abyście po moim uwięzieniu zebrali braci i obwieścili, że dzięki czujności jednego z nich został pojmany niebezpieczny krzyżacki szpieg! Potem oznajmicie im, że z powodu późnej pory pozostaną tu na noc pod zamknięciem, ale rankiem każecie mnie odstawić do obozu wojewody Sędziwoja, który już będzie wiedział, gdzie takiego jak ja ptaszka obwiesić. Aha... i dodajcie jeszcze, że przejrzawszy dobrze pismo, które przywiozłem, przekonaliście się, że zostało ono zręcznie podrobione, dlatego w pierwszej chwili daliście się zwieść.

— Co chcesz przez to uzyskać? Nic nie rozumiem! — wykrzyknął zdumiony opat.

— Chcę zabawić się z tym chytrym mniszkiem. Myślę jednak, że nam obu nie będzie jednakowo wesoło — rzucił Czarny z groźbą w głosie.

— No dobrze, ale co mam robić rankiem? Czy naprawdę chcesz, abym odesłał cię do obozu?

— Myślę, że rankiem nie najdziecie mnie w komórce. A może też zabraknie i brata Zygfryda...

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz, ale skoro działasz w królewskiej służbie, nie moja to sprawa. Czy chcesz być skrępowany?

— Nie. Niech tylko wrzucą mnie do komórki i zaryglują drzwi. Kłódki przy nich lepiej nie wieszać.

— Dobrze. Zaraz każę przywołać braci. — Opat skierował się ku drzwiom.

Pomieszczenie, w którym znalazł się Czarny, było małe i ciemne. Znajdowało się w piwnicach klasztornych, toteż do sklepionego łukiem sufitu mógł sięgnąć ręką.

Nieduże okienko, tuż nad powierzchnią ziemi, ledwie dawało światło, drzwi były liche, zbite z nieostruganych desek, a za całe zamknięcie służył zwykły drąg zakładany za żelazne ucha. Gdyby leżało to w jego zamierzeniach, mógłby z tymi drzwiami uporać się w dwa pacierze. W przekonaniu jednak braciszków stanowiły dostateczną gwarancję, że więzień nie ucieknie.

Komórka była składem drzewa. Wielkie szczapy brzoźowe leżały stertą sięgającą sufitu. Czarny przysiadł na niej, rozpoczynając cierpliwe oczekiwanie na dalszy rozwój wypadków.

Po długim czasie doszedł go odległy srebrzysty głos dzwonka wzywającego na Anioł Pański, a potem znów trwała zupełna, niczym nie zakłócona cisza. Aż wreszcie rezonans murów przeniósł stłumione i ledwie słyszalne odgłosy stąpań. Domyślił się, że braciszki wracają z wieczery.

Wreszcie ostatnie blaski gasnącego słońca zaczęły zanikać, resztki czerwonych refleksów, jakie tu i ówdzie błąkały się po ścianach, roztopiały się w coraz mocniejszym mroku i komórkę wypełniła ciemność.

Czarny poruszył się raz i drugi, bo zaczęły mu drętwieć nogi, ale czekał cierpliwie dalej. Wreszcie doszły go odgłosy nocnych modłów. Zatem doczekał północy.

Niedługo też posłyszał przy okienku szelest, a po nim cichy szept:

— Ej, jesteś tam? Odezwij się!

Czarny podniósł się na zdrętwiałe nogi i zbliżył się do okienka. Twarz owionęło mu zimne powietrze nocy.

— Jestem — rzucił półgłosem. — Kto mnie wzywa?

Słowa odpowiedzi doszły Czarnego, tak jak gdyby mówiący nachylał mu się nad uchem. Jednak głosu nie mógł rozeznać, gdyż przybysz mówił szeptem, leżąc zapewne przy okiennym otworze.

— Nieważne, kto mówi. Jeśli jesteś zakonnym posłańcem, czemuś nie podał właściwego hasła?

— Właściwego? — Czarny nadał głosowi ton zdziwienia. — A co ci się w nim nie spodobało?

— Nie znasz hasła! To, któreś powiedział, zostało zmienione. Teraz jest inne.

— A to dopiero! — rzucił już ze zdumieniem Czarny. — Tegom się nie spodziewał.

— Jak to, posłali cię, nie podawszy hasła?

— Cała rzecz w tym, że nie mnie posłali do ciebie!

Teraz z kolei człowiek z tamtej strony muru okazał zdumienie.

— *Jeśli nie ciebie, to po coś tu przybył?*

— *Bom obiecał temu, który tu był wysłany! Znałem go, bo nieraz i do mnie przychodził po wieści, gdyż trzeba ci wiedzieć, że nie żaden garncarz z Magdeburga, lecz mieszkaniec Bydgoszczy i służę Zakonowi jako i ty. Onegdaj przywłókł się do mnie ranny, bo pojmąta go zamkowa straż, a kiedy wyrwawszy się im, uciekał, postrzelili go śmiertelnie z kuszy. Skonał na moim łożu, ale przed śmiercią zaprzysiągł mnie, że przejmę jego zadanie, bo o ważną rzecz tu chodzi — bezpieczeństwa jednego człeka, co tu się gdzieś ukrywa, i twoje.*

Z tamtej strony panowało jakiś czas milczenie. Widać mnich rozważał usłyszaną relację.

— *Mówisz więc, że i o moje bezpieczeństwo tu chodzi? — odezwał się po chwili z wyraźnym akcentem strachu.*

— *Twoje i Vogelwедера...*

— *Ty go znasz?! — wykrzyknął mnich.*

— *Jak słyszysz. Ale dość tego gadania! Albo mnie stąd uwolnisz, albo idź do czarta i niech ci założą stryk na szyję! Ja dam sobie radę sam!*

— *Człowieku, nie sierz się! Pewnie, że cię uwolnię, ale czemuś nie powiedział hasła?*

— *Bo umierający albo nie zdążył go przekazać, albo myślał, że je znam! A ja znam, ale stare, a zresztą i tego nie używaliśmy, znając się z oblicza.*

— *Pasterzu Niebieski, co też uczyniłem! Zaraz cię, bracie, uwolnię, bądź chwilę cierpliwy!*

Czarny, usłyszawszy wezwanie do „Niebieskiego Pasterza” przypomniał sobie od razu, kto używał tego zwrotu. Toteż rzucił z lekką kpinką:

— *Pośpiesz się więc, bracie Lasoto, bom dość się już tu wysiedział!*

— *A więc i wiedziałeś, z kim masz mówić?!*

— *Przecież mówiłem ci, że wysłannik wszystko mi rzekł krom hasła!*

— *Czekaj że, już idę!*

Rozległ się szelest oddalających się kroków, a potem zaległa cisza. Po pewnym czasie kroki te dały się słyszeć pod drzwiami, stuknął zdejmowany drąg i rozległ się stłumiony szept:

— *Chodź, tu jestem! Wyprowadzę cię na górę, bo sam w tej ciemności nie trafisz.*

Czarny ruszył za przewodnikiem, kierując się słuchem. Minęli schody, parę pomieszczeń, zapewne kuchnie, bo poczuł zapach smażonego tłuszczu, i wreszcie wyszli na zewnątrz budynku, pomiędzy drzewa owocowego sadu. Nad ich wierzchołkami ciągnęły tu i ówdzie chmury odstawiające chwilami księżycowy nów. Jego światła starczyło jednak do rozeznania klasztornych budowli.

Brat Lasota przystanął w mroku rozłożystej jabłoni i obrócił się do Czarnego.

— *Mów teraz! Co ci przekazał ów wysłannik? Jakie niebezpieczeństwo nam grozi?*

Ta sprawa zdawała się obecnie najbardziej go absorbować, spychając na dalszy plan wszelką nieufność do przyszłości.

— *Mam zabrać Vogelwедера. Powiedziano mi, że on się ukrywa i ponoć wiesz gdzie. Ty zaś również masz uciekać, bo w każdej chwili mają się tu zjawić po ciebie strażnicy. Podobno nastąpiła jakaś zdrada, ale zmarły nie podał mi niczego bliższego. Być może, że i sam nie wiedział.*

— *Dobrze ci mówić: uciekać! Jak i kędy, skoro pełno teraz wszędzie wojska!*

— *Teraz biadolisz, ale rzucisz na mnie podejrzenie! Zgubiłbyś sam siebie, gdyby opat postanowił zaraz odejść do wojewody!*

— *Musiałem tak uczynić, by przekonać się, czyś nie farbowany lis. Młody Zygfryd dostatecznie wziął sobie do serca podejrzenie, którym mu wmówił, by polecieć z nimi do opata! — Mnich roześmiał się z cicha. — Ale teraz najważniejsze, co zrobić?*

— *Mam tu ze sobą trzech pachołków, a w borze czeka na nas reszta zbrojnego oddziału. Jest on wystarczająco liczny, by doprowadzić nas do granicy.*

— *Weź i mnie ze sobą! Beze mnie nie trafisz do Vogelwедера! Ukrywa się na wyspie. To ja dostarczałem mu tam żywność!*

— *A umiesz siedzieć na koniu? Mam jednego w zapasie, przeznaczony jest wprawdzie dla Vogelwедера, ale mógłbyś z niego chwilowo skorzystać. Później zobaczymy.*

— *Umiem! Chodź, nie potrzebujemy korzystać z furty, bo jest tu takie jedno miejsce, które przy przedostaniu się za mury...*

Wkrótce potem Czarny zabrał oczekujących pachołków i z bratem Lasotą w środku wydostali się poza ostatnie zabudowania miasta.

Mnich trzymał się jako tako w siodle, zwłaszcza że zbytnio nie śpieszyli; wierzchowce szły równym kłusem.

— *Czy Vogelweder dawno się ukrywa? — przerwał milczenie Czarny, kiedy już droga zagłębiła się w las. Były to decydujące chwile, nie chciał więc dać mnichowi sposobności do rozmyślań i zastanawiania się nad sytuacją.*

— *Od zdobycia zamku. Najpierw przebywał w mieście, ale kiedy dowiedział się o pojmaniu burgrabiego, postanowił zmienić kryjówkę.*

— *Wygodna zapewne nie jest?*

— *Ale pewna, bo na wyspę można dostać się tylko czółnem:*

— *Dokonałście obaj odważnego czynu! Gdyby was złapali, nie obyłoby się bez łapania kołem...*

— Niech ich piekło pochłonie! — mruknął mnich wstrząśnięty wzmianką Czarnego o torturach. — Abyśmy wreszcie dotarli do swoich!

— Nie martw się! Wkrótce już będzie po wszystkim! — pocieszył go Czarny. — Daleko jeszcze?

— Zaraz skręcimy w prawo, ku jezioru. Wiedzie tam wąska ścieżka, ale koń się na niej zmieści. Ale powiedz mi jeszcze — obrócił ku Czarnemu długą twarz zakończoną lśniącem w świetle księżyca czerepem — skądżeś wziął to pismo do opata, o którym nam mówił?

Czarny beztrąsco wzruszył ramionami.

— Wiem ja o waszym opacie więcej, niż możesz przypuszczać! Skąd pochodzi, gdzie i z kim się przyjaźnił, kiedy otrzymał kapłańskie święcenia i dużo innych rzeczy. A napisanie listu...? To było głupstwo! Mam takiego jednego skrybę, który za pół grosza co chcesz najpiękniej ci wypisze!

— Ale fałszywe pismo opat rozpoznał...

— Jakżeś go na to, mądralo, naprowadził! — mruknął zgryźliwie.

Zgodnie z zapowiedzią mnich wkrótce przyhamował konia i skręcił w prawo. Ścieżka była mało widoczna, ale musiał istotnie dobrze znać drogę,

gdyż prowadził bez wahania. Wkrótce też wynurzyli się z lasu na połąć podmokłej łąki dzielącej ścianę drzew od brzegu jeziora. Porastały ją tu i ówdzie krzaki wikliny aż ku rozległej i nieruchomej, ciemnej płaszczyźnie wody.

Nie dalej jak o lot strzały od brzegu czerniała plama wyspy z kępą obrastających ją drzew.

— Jak zawiadomić go, żeby tu przybył? — zapytał Czarny.

— Mam taki sygnał...

— Czy usłyszysz go po nocy?

— Usłyszysz, bo śpi czujnie. Weźcie mego wierzchowca i cofnijcie się nieco w las, bo jak was ujrzy, nie będzie wiedział, co ma sądzić, i strachu się naje!

Brat Lasota zsiadł z konia i podszedł do brzegu, a oni czekali między drzewami. Czarny wiedział, że już mu nie ujdą, więc spokojnie obserwował poczynania mnicha.

Ten, zbliżywszy się do wody, podniósł palce do ust i gwizdnął przenikliwie, po czym powtórzył gwizdnięcie jeszcze dwukrotnie. Odczekał pewien czas i znów powtórzył poprzedni sygnał.

Czarny cicho uprzedził pachołków, by przygotowali rzemienie i zważali na jego znak.

Po chwili ujrzeli mały, czarny kształt, który począł sunąć ku brzegowi. Kiedy czółno uderzyło o piasek, gruby wioślarz poderwał się z ławki i, z trudem utrzymując równowagę, wyskoczył na ziemię, witając oczekującego nań mnicha. W tym momencie Czarny ruszył koniem, a za nim jego ludzie.

Potem już wszystko odbyło się błyskawicznie. Pachołkowie w ślad za swoim przywódcą zeskoczyli z koni i rzucili się ku tamtym. W jednej chwili wykręcili im ramiona na plecy, krępując je rzemieniami.

Zdumieni i zaskoczeni nawet nie stawiali większego oporu. Dopiero kiedy sadzano obu na zapasowego wierzchowca i wiązano pod jego brzuchem powróż krępujący ich nogi, brat Lasota począł zlorzeczyć okropnie i ciskać najgorsze przekleństwa na głowę Czarnego. Natomiast imć Vogelweder, poznawszy krakowskiego bakalarza, milczał, złamany zupełnie, bo wiedział, jaki czeka go los.

Nie upłynęło i dwóch pacierzy, jak mały oddział ruszył w drogę powrotną.

Po zawarciu rozejmu obie strony nie ustały bynajmniej w przygotowaniach do generalnej rozprawy.

Wielki mistrz już w czasie oblegania Bobrownik wszczął rozmowy z Świętoborem II Szczecińskim i Wacławem VIII Wołogoskim, przyobiecując 40 000 kop groszy za przyłączenie się do Zakonu i nadesłanie posiłków. Po zawarciu zaś październikowego porozumienia wysłał zaraz wielkiego szpitalnika i toruńskiego komtura do Zygmunta Luksemburczyka, ponawiając przyrzeczenie zapłaty olbrzymiej — jak na owe czasy — sumy 300 000 dukatów, jak i pokrycia kosztów zaciągu dziesięciu tysięcy kopii po 24 dukaty za kopię, jeśli cesarz po wygaśnięciu zawartego rozejmu również uderzył na Polskę. Jednocześnie proponował podział polskich ziem: dobrzyńską, Kujawy oraz Litwę ze Żmudzią dla Zakonu, a Ruś, Mołdawię i Podole dla Zygmunta.

Te kroki nie były wszczęte jedynie z inicjatywy Zakonu, bo i Luksemburczyk bacznie śledził przebieg zdarzeń, nie pozostając wobec nich biernym widzem. Chcąc okazać Zakonowi swoją przychylność w tych trudnych dlań chwilach, obiecuje nie przyłączyć się do żadnego z zakonnych sąsiadów, gdyby który groził wojną, jak i nie wybrać wielkiego kniazia Witolda na rozjemcę jakichkolwiek sporów pomiędzy wielkim mistrzem a Polską. Te właśnie zachęcające obietnice skłoniły Ulryka do wystania poselstwa z własnymi propozycjami.

Nadal też idą z Malborka pisma na zachodnie dwory i do landskomturów zagranicznych ballei zakonnych z wezwaniem o udzielenie pomocy Zakonowi, „szpitalowi niemieckiej szlachty”.

Pisma wysyła również tak Polska, jak i Litwa, usiłując — nie bez skutku — wyjaśnić przyczyny sporu i naświetlić istotę poczynań Zakonu, a również sposoby, jakich używają Krzyżacy w realizowaniu swoich zaborczych celów. Wszczynają też obie kancelarie, królewska i wielkokiążęca, dyplomatyczne akcje, by skłonić Zakon Inflancki, Psków i Moskwę do pozostania w tym konflikcie na uboczu.

Z Niepołomic, po odbytych tam sejmie, jego królewska mość podążył do Lublina, tam też osiągnął go Witoldowy goniec z pismami, w których wielki książę zawiadamiał o ogólnym położeniu na Litwie, a także o zdradzie

Świdrygiełły i uwięzieniu tegoż, proponując spotkanie w Brześciu pod koniec listopada dla omówienia zarówno tych spraw, jak i planów na przyszłość.

Z kniazem Świdrygiełłą miał wielki książę istotnie duże kłopoty, jeśli można tak określić cichą walkę, jaką toczył ze swoim stryjecznym bratem. Z jednej strony stał on, władca absolutny podległych mu ziem, z całym atrybutem władzy i środkami, jakie ona daje, z drugiej — człowiek przebiegły, działający w ukryciu, kierujący siłami, które również były niemałe, popierany przez wrogą, obcą potęgę,

chroniący się za tarczą dziedzicznych praw swej krwi, rodzony brat władcy, któremu i on, Witold w zasadniczych przynajmniej sprawach musiał być posłuszny.

Osiągnął nad przeciwnikiem chwilową przewagę, ściągając go z Kipczaku właściwie pod strażą tatarskich jeźdźców, rzekomo przydatnych jako asysta mająca dbać o bezpieczeństwo dostojnego gościa Ordy. Ściągnął go więc i trzymał przy sobie, otoczywszy niebezpiecznego krewniaka baczna opieką i czujnie śledząc każde jego poruszenie.

Taka była sytuacja, kiedy opat Łukasz prosił wielkiego kniazia o nagłe posłuchanie.

Wieści, jakie przyniósł, i tym razem były ważne. Goniec z pismami wielkiego mistrza i glejtem dla kniazia Świdrygiełły miał przybyć wkrótce do Wilna. Należało zatem wzmocnić pierścień ochronny wokół kniazia, by za wszelką cenę pisma te przejąć.

Wyjaśnienia i dodatkowe informacje Rudego, który został wezwany do kniazia, by udzielić mu wiadomości z pierwszej ręki, znać zadowolili władcę, bo kiedy Jaksą, korzystając z okazji, prosił o ułatwienie mu dalszej drogi do Polski, książę obiecał włączyć go do swego orszaku, jako że sam już wkrótce miał zamiar tam wyruszyć. Dla Zyty zaś i chłopca znalazło się miejsce na dworze wielkiej księżny Anny, która jechała wraz z małżonkiem.

Był to dowód przychylności wielkiego kniazia, wdzięcznego za cenną usługę. Dalszym zaś dowodem był rozkaz wypłacenia Rudemu stu grzywien, by mógł zadbać o należyty ekwipunek po przygodach, jakich zaznał, i ubogimi szatami nie odznaczać się w bogatym orszaku. Wielki książę, okrutny i bezwzględny dla opieszałych i nieposłusznych, umiał być hojny dla tych, którzy potrafili zaskarbić sobie jego łaskę.

Natychmiast też zostały wydane rozkazy zmierzające do pojmania posła. Na drogi wyruszyły patrole ze specjalnymi ludźmi, którzy znali Jawnutę,

obsadzono bramy, innych porozmieszczano w gospodach, roztoczono nadzór nad spokrewnionymi z Jawnutą rodzinami, jak również wzmocniono tajną straż wokół samego kniazia Świdrygiełły i jego najbliższego otoczenia.

Wszystkie te kroki zapobiegawcze nie poszły na marne. Aczkolwiek Jawnuta, omijając główne trakty, uszedł patrolom, został jednak rozpoznany przy wjeździe do miasta i ujęty na jego ulicach. Listy wielkiego mistrza znaleziono sprytnie ukryte w rybim pęcherzu pod sutą grzywą wierzchowca.

Mając wreszcie z dawna pożądane dowody w rękę, wielki książę osobiście asystował przy ujęciu Świdrygiełły. Pod wpływem gniewu, zgodnie ze swoją porywczą naturą, chciał go ściąć od razu, ale wstrzymali go od tego trzeźwi doradcy, by pochopnością działania nie doprowadził do napięcia stosunków między sobą a królem Polski, i to teraz, kiedy Litwa tak bardzo potrzebowała jego pomocy. Było zresztą i dużo innych spraw zależnych od decyzji Jagiełły, który do Świdrygiełły czuł braterską miłość.

Rady te uratowały niebezpiecznego buntownika, ale nie uchroniły go przed lochami krzemienieckiego zamku, gdzie osiadł na długich dziewięć lat.

DZIEŃ ŚWIĘTEGO ANDRZEJA był zimny, pochmurny, ale bezwietrzny. Nagie gałęzie rysowały się na tle szarych obłoków czarną siatką, gęstą i splątaną. Mało co przetarty trakt prowadził pomiędzy ścianami starych drzew, których powykręcane konary podobne były wyciągniętym ramionom usiłującym zewrzeć uścisk ponad dzielącą je drogą.

Ciszę lasu zakłócił najpierw mały oddział zbrojnych idący rysią. Za ledwie zacichł pobrzęk ich broni, kiedy za zakrętem traktu rozległ się gwar głosów, parskanie koni i dudnienie ich kopyt.

Wkrótce wyłonił się zza drzew poczet okrytych pełną zbroją rycerzy o uniesionych w górę kopiach, podobny do olbrzymiego jeża, z grzbietem pełnym nastawionych kolców, a za nim liczny i bogaty orszak. Grał różnokolorowym pokryciem szub, delii, płaszczy, kubraków i futrzanych czap, zdobnych piórami lub guzami ze szlachetnych kamieni. Tu i ówdzie zalśnił w nim półpancerz lub hełm, ale z rzadka, bo dosiadający pięknych rumaków mężowie nie robili wrażenia ciągnących na wojenną wyprawę.

Na czele tego orszaku jechał mąż szczupły i niewysokiej postaci. On jeden był ubrany skromnie, rzec by można, niemal ubogo. Na nogach miał nieco wytarte łośiowe spodnie, a na sobie kubrak, podbity wprawdzie futrem, ale kryty zwykłym, szarym suknem, bez żadnych ozdób ani kosztownych

klamer. Konia miał tylko wspanialszego od innych i jadąc na czele orszaku, widać przewodził, bo towarzyszący mu jeźdźcy, aczkolwiek trzymali się blisko, pilnie jednak baczyli, by łby ich wierzchowców nie wysunęły się przed jeźdźca.

Respektu tego wymagał istotnie majestat monarszy, bo był to sam król Władysław odbywający ostatni etap podróży do Brześcia, dokąd podążał na umówione spotkanie z wielkim kniazem Witoldem.

Czarny po wykonaniu zadania w koronowskim klasztorze i odstawieniu więźniów, zaopatrzony w przyobiecane pismo kanclerskie, nie szczędząc konia, pognał do Lublińca. Tam przywitany został gorąco przez ukochaną, chłodniej przez kasztelanową. Jednak jako wybawiciel Uny, a również dzięki jej zdecydowanej, stanowczej postawie, i nie bez pomocy kanclerskiego pisma, zdołał początkową rezerwę skruszyć. Wrócił więc w umówionym czasie na królewski dwór, z wyznaczonym terminem ślubu na drugi dzień Bożego Narodzenia.

Wieści zaś, jakie zastał w Krakowie, dopełniły miary jego szczęścia. Ksiądz Andrzej na wstępie powiadomił go, że doniesiono mu z Wilna o przybyciu tam jego siostry i druha, którzy szczęśliwie wydostali się z Prus. Towarzysząc zaś zamierzonej podróży królewskiej do Brześcia, na pewno ich tam spotka, bo wielki książę okazał byłej brance Zakonu i jej towarzyszowi swą łaskawość i włączył oboje do towarzyszącego mu dworu.

Nic więc dziwnego, że Czarny, jadąc w orszaku kanclerskim, niecierpliwił się z powodu zbyt, jego zdaniem, powolnej podróży, czekając dnia, kiedy wreszcie dotrze do celu.

Zbliżało się południe. Wkrótce drzewa zaczęły rzednąć i orszak wyjechał na otwartą przestrzeń pól. Przed nim, zaciągnięte jesiennymi mgłami, rysowały się kontury chłopskich chałup.

W tej chwili w mgłę zasłaniającej horyzont ukazał się najpierw mały czarny punkt, który rósł szybko, przeobrażając się coraz wyraźniej w sylwetkę jeźdźca. Nadleciał, zdzierając konia przed kniazem Siemaszką, prowadzącym przyboczną straż królewską, i coś mu szybko powiedział.

Z kolei książę, dając znak chorągwi, by szła dalej, zatoczył koniem i pognał ku osobie królewskiej.

— Wasza królewska mość! — zakrzyknął. — Nadleciał goniec ze straży przedniej! Orszak wielkiego kniazia jest o trzy staje przed nami!

— Co mówisz?! — Głos królewski był niski i szorstki. — To jak daleko jeszcze do Brześcia?

— Będzie mila, najjaśniejszy panie!

Jagiełło uśmiechnął się.

— To ładnie ze strony miłego brata, że zechciał aż tak daleko nas spotykać! Każ tedy, niech chorągiew idzie szybciej, a i my pognamy konie!

Książę Siemaszko, kiedy dopadł czoła orszaku, rzucił krótki rozkaz i sam spiął ostrogami wierzchowca. Chorągiew z nagłą zadzwoniła zbroją i poszła za nim wyciągniętym kłusem.

Przelecieli z grzmiotem końskich kopyt przez wieś i wypadli znów na rozległe pole. Z dala przed sobą ujrzeli zbitą masę jeźdźców, zdążających im naprzeciw, a wkrótce mogli już rozeznaczyć pojedyncze postacie jadących przodem wojowników.

Książę Siemaszko rozrzucił na boki ramiona i dobrze wyćwiczona chorągiew w jednej chwili rozdzieliła się niby rozdarta wzdłuż. Jeźdźcy dokonali zwrotu i zjechali na pobocze drogi, dając miejsce królewskiemu orszakowi, sami zaś tworząc po obu stronach zwarty szpaler.

Z czoła nadlatujących tatarskich wojowników rozległ się głos piszczałki. Oni również sprawnie rozdzielili się na boki i, zatoczywszy końmi, pogнали do tyłu.

Orszak wielkiego kniazia był również liczny i również wspaniały. On sam, drobny i szczupły, wydawał się jeszcze drobniejszy, bo siedział na wielkim, bułanym ogierze. Wysunął się przed swoją świtę, co również zrobił król Władysław, i obaj dopadli do siebie, hamując gwałtownie konie i przechyliwszy się w siodłach, objęli ramionami. Potem wielki książę, pozostając już przy boku swego królewskiego brata, towarzyszył mu przy powitaniu drugiej znacznej osoby, która wraz z nim spotykała tego dnia polskiego władcę.

Był nim śniady, otyły, skośnooki Dżelal Ed-Din, syn Tochtamysza, którego podstępny Edyga, właściwy rządca Białej i Złotej Ordy, odsunął od chanowego tronu. Przybył więc, by ubiegać się o litewsko-polskie poparcie w dochodzeniu swoich praw.

Po dokonaniu powitania oba orszaki, zmieszawszy się ze sobą, ruszyły już wspólnie w dalszą drogę do pobliskiego Brześcia, który oczekiwał dostojnych gości.

Czarny wypatrywał, czy nie dojrzy gdzieś w tłumie jeźdźców rudej czupryny Jaksy. Rozglądał się pilnie dookoła, przesuając się z wierzchowcem do przodu, coraz bardziej zniecierpliwiony i pełen zawodu.

Zaczynało mu już przychodzić na myśl, czy Jaksza nie pozostał w Brześciu albo może zgoła nie przybył z wielkim kniazem, mimo zapowiedzi księdza Andrzeja, gdy raptem dostrzegł przed sobą smukłego jeźdźcę siedzącego na pięknym, karym ogierze, odzianego w krytą modrym atłasem szubę, spiętą na wielkie bursztynowe guzy. Obrócił właśnie twarz w bok, rozglądając się również na strony, i Czarny dostrzegł znajomy profil o prostym nosie i ściągłych, lekko piegowatych policzkach.

Teraz, kiedy miał już poszukiwanego na oku, Czarny opanował radość ze spotkania i, przeciskając się koniem wśród tłumu jeźdźców, zbliżył do towarzysza. Mając go po chwili na długość ramienia, rzucił zdawkowo:

— Czy można waszą dostojność powitać?

Na dźwięk jego głosu Jaksza odwrócił się gwałtownie. Przez jedną krótką chwilę patrzyli sobie w oczy, dostrzegając w nich jednakowe blaski wzruszenia, ale że obaj dość długo przebywali wśród waganckiej braci, gdzie okazywanie sentymentów było powodem nieuchronnych kpin, Rudy odwzajemnił nieco drwiący uśmiech, jaki dostrzegł na twarzy druha, i rzucił protekcyjnie:

— A czegoż to ode mnie chcecie, dobry człowieku?

Tu jednak opanowanie obydwóch pękło i bez słowa już przechylili się z siodła, obejmując ramionami.

— Gdzie Zyta? — rzucił od razu Czarny.

— Została w Brześciu. Jest przy kniahini jako jej dworka. Oczekuje ciebie z niecierpliwością.

— Zdrowa? Jak się czuje?!

— Na ciele zdrowa... — Rudy na chwilę odwrócił wzrok. — Ale duszę ma chorą... Przyjść do siebie nie może.

— To jej minie. Czas goi najlepiej. Bardzo miłowała Benka...

— Myślę, że z jego stratą już się pogodziła. Jeno tamtego nie może zatrzeć w pamięci. — W głosie Rudego zadrgał ból.

Czarny natychmiast wyczuł to osobiste zaangażowanie towarzysza. Spojrzał więc bystro na jego pochyloną twarz, ale nie zdradził się z dokonanego spostrzeżenia.

— Myślę, że minie i to... Życie znów wciągnie ją w swoje sprawy i zagoi tę ranę.

— Chce iść do klasztoru... — mruknął Rudy, unosząc głowę. Czarny chciał coś powiedzieć, ale zawahał się i rzucił dopiero po chwili:

— Bardzo dobra myśl! Tam nieboraczka zazna wreszcie spokoju i odetchnie po krzywdzie, jakiej doznała!

Rudy spojrział z wyrazem przykrego zaskoczenia.

— Coś ty?! — wykrzyknął z oburzeniem. — Taka młoda i miałyby rzucać świat, nie czując żadnego powołania jeno chwilową bolesć, o której sam mówisz, że minie...?! Najgłupsza rzecz, jaką mogłaby uczynić!

Czarny przymrużył jedno oko, pewny już teraz swego podejrzenia.

— Ejże, bracie! Coś mi nazbyt gorąco potępiasz ten zamysł!

Na policzkach Rudego ukazał się rumieniec.

— Nie potępiam, ino nie widzę w tym żadnego lekarstwa.

— A jakie widzisz, ty przechero? Gadaj po prostu i ślipek nie opuszczaj!

— Dobrze ci żartować... — mruknął Rudy. — I co mam ci gadać, kiedy widzę, żeś sam już odgadł.

— Rozmłowałeś się w Zycie? Co, Jaksza?

— Ponad własne zrozumienie, ponad zbawienie duszy! Nie żyć mi bez niej i choć tylko służyć, jeśli inaczej być nie może! — wybuchnął ten.

Czarny cicho gwizdnął.

— To tak... Jak to dziwnie się składa... Obaj uwolniliśmy kobiety i obaj żeśmy się w nich rozmłowali! Widać i tobie, i mnie było jednakowo sądzone.

— Ty...? — zdumiał się Jaksza. — Rozmłowałeś się?!

— Co stawiasz takie oczy?! — obruszył się Czarny. — A bo co, gorszym od ciebie?! Nasz ślub na Boże Narodzenie!

— Idziesz do ślubu...? Ty? — Jaksza w dalszym ciągu nie bardzo chciał wierzyć w usłyszana nowinę.

— Przestań wydziwiać! — obruszył się już na dobre Czarny.

— Jakoś mi się to nie chce pomieścić w głowie! — roześmiał się Rudy. — Dużo zatem mamy sobie do opowiadania...

— Toteż siądziemy w Brześciu przy kufelkach i opowiemy, co się komu przydarzyło. Bardzom ciekaw, jak udało ci się wyrwać Zytę z łap Sonnenberga. A o nią się nie martw! Klasztor wybijemy jej z głowy!

Rudy chwycił ramię Czarnego.

— Dziękuję ci, bracie! Druh żeś prawdziwy!

— A ty cóżes myślał? Że naprawdę przystanę, by do klasztoru szła? Ale widzę, że cię wzięło! Co też ona ma takiego w sobie, że jak który chłop na nią spojrzy, to zaraz przestępuje z nogi na nogę?!

Przerwali rozmowę, bo we mgłach ostatniego listopadowego dnia ukazały się pierwsze podmiejskie zabudowania Brześcia.

KSIĘŻNA ANNA ZAJĘŁA ZE swym otoczeniem obszerny dwór na Podgrodziu, należący do jednego z książęcych namiestników. Tam też Bert i Jaks, odłączając się od orszaku, udali się zaraz po przyjeździe. Przepuszczeni przez straż, która znała już Rudego, znaleźli się w dworzyszczu pełnym służby i dworzan.

Jaks wprowadził towarzysza do niedużej izby, położonej obok głównej sieni, i kazawszy na siebie czekać, udał się na poszukiwanie Zyty.

Bert zdjął futrzaną czapkę i łosiowe rękawice i złożywszy je na okiennym parapecie, począł niecierpliwie krążyć po komnacie.

W chwilę potem zaszumiła spódnica i do izby wpadła Zyta. Przystanęła na jedną krótką chwilę, wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w twarz brata, a potem podbiegła ku niemu i objąwszy ramionami, ze szlochaniem upadła mu na piersi.

Czarny, starając się opanować wzruszenie, zwłaszcza że Rudy stał obok, objął ją wpół i gładząc po pochylonej głowie, próbował uspokoić wstrząsający ją szloch.

— No już, Zytka... Wszystko będzie dobrze... No, uszy do góry... — Ujął ją palcem pod brodę i uniósłszy głowę, z uśmiechem wpatrywał się w zapłakaną twarz.

— Wreszcie cię widzę, Bert... — wyszeptła. — Nie zapomniałeś o mnie... I... i nie potępiłeś... Tak dużo ostatnio myślałam o tobie!

— Nie mniej niż ja o tobie, siostrzyczko! Teraz dłużej będziemy razem. Niejedno chciałbym od ciebie usłyszeć i dużo sam ci powiedzieć! Cieszę się, że widzę cię przy życiu i zdrową! Ale to mamy do zawdzięczenia temu rudowłosemu, który cię z oczu nie spuszcza! Jemu należą się za to podziękowania!

Zyta spojrzała na Rudego.

— Wiem, com mu winna...

— Dobrze, że chociaż to! — Czarny spojrzał porozumiewawczo na Rudego. — Teraz zaś pokaż mi się, niech się tobą nacieszę!

Odsunął ją na odległość ramion i patrzył badawczo w twarz. Zarumieniła się pod tym spojrzeniem i przestoniła powiekami wielkie, ciemne oczy.

— Pięknaś jak nigdy! — rzucił ze szczerym zachwytem. — Aż mi miło w sercu, że mam taką siostrę!

— Przestań! — ofuknęła go z zakłopotaniem.

— Teraz nic już więcej nie powiem, bo pora ogarnąć się po podróży.

Potem pogadamy ze sobą. Czy możemy tu przyjść do ciebie wieczorkiem?

— Myślę, że tak. Księżna pani chyba nie wzbroni...

— A miodu kazesz dla nas przygotować? I to co najmniej beczułkę.

— Przychodźcie — przeniosła wzrok na Rudego. — Będzie i miód.

Czarny ucałował ją w oba policzki.

— No to do wieczora! Dużo mam ci do powiedzenia!

Było już zupełnie ciemno, bo listopadowe dni są krótkie, kiedy oświetlając sobie drogę pochodnią, brnęli po błocie od zamku ku siedzibie księżnej. Wiele po drodze nie mówili, bo trzeba było bacznie patrzeć pod nogi i wybierać co suchsze miejsca, by nie wpaść po kolana w wymieszaną końskimi kopytami czarną, gęstą maź, obok której biegła nieco suchsza ścieżka.

Po wymienieniu hasła dostali się poza obronne ogrodzenie dworu, tam zaś nie potrzebowali już szukać Zyty, bo w sieni oczekiwał na nich Tomek, który zaraz pobiegł zawiadomić swoją panią o ich przybyciu, Zanim przyszła, oczyścili się nieco z błota, a potem, prowadzeni przez nią, znaleźli się w jednej z bocznych komnat, zacisznej i ciepłej, bo na kominku paliły się sosnowe szczapy, rzucając blaski światła na całe wnętrze.

Przysunęli więc zydle bliżej ognia i z pełnymi kubkami w ręku poczęli teraz dopiero szczegółowo opowiadać sobie swoje przygody. Kończąc relację, Czarny zwrócił się do siedzącej między nimi Zyty:

— No, a teraz powiem ci rzecz najważniejszą, com dotąd umyślnie zatajał: żenię się w drugi dzień świąt!

— Bert?! Naprawdę?! Z tą Uną, coś ją uwolnił? — Zerwała się i objęła go za szyję. — Jakże się cieszę! Na pewno polubię ją z całego serca!

— Poznasz ją na ślubie i myślę, że ci się spodoba. Albo nawet i prędejsz, bo wybierała się do Krakowa szykować wyprawę! Bierz więc Jaksę i jedźcie tam również! Napiszę pismo do kanonika z prośbą o gościnę dla ciebie! Rudy może zatrzymać się w oberży.

— Znów „Pod Turem”? — mruknął Jaks, po czym dorzucił: — Dla Zyty taka podróż byłaby dobra, ale nie wiem, czy marszałek nas zwolni...

— Myślałby kto, że bez was się nie obejdą!

— No, a ty co o tym myślisz? — Czarny zwrócił się do siostry.

— Sama nie wiem... Niemiły mi teraz widok obcych twarzy...

— Rozumiem cię. I mnie żal Benka, ale właśnie teraz powinnaś przebywać jak najwięcej pomiędzy ludźmi.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Przeciwnie, Bert... Chcę od nich uciec, wtedy może odzyskam spokój serca i równowagę ducha. Im bardziej o tym myślę, tym bardziej umacnam się w pewnym zamiarze...

— Jakim znowu? — Czarny udał, że nie wie, o co chodzi.

Podniosła na niego pełne bólu oczy.

— Chcę iść do klasztoru...

Czarny, który miał już czas sprawę przemyśleć, odezwał się spokojnie:

— Do klasztoru? A po co?

W oczach Zyty ukazał się wyraz zdumienia.

— Nie rozumiem... Jak to po co? Aby zaznać spokoju.

— A któż ci go zakłóca! I przed czym chcesz uciec? A może przed kim?

— Przed nikim... Przed własnymi myślami...

— Życie klasztorne to nie ucieczka przed nimi, lecz oddanie się na ich pastwę. Tam cię dopiero dopadną i zaczną gryźć jak ogary, i nie opędzisz się im! Nie, Zytka, to nie miejsce, gdziebyś mogła znaleźć wytchnienie!

— Gdzie go więc najdę?

— Otrząśnij się własnymi siłami! Żyj między ludźmi i śmiało patrz im w oczy, bo nie masz powodu wzroku opuszczać! Do tej sprawy nie będę powracać, ale też wzbraniam ci nawet myśleć o klasztorze! Jam teraz twój główny opiekun, póki inny się nie znajdzie, i po rodowym starszeństwie mnie musisz być posłuszna!

— Ach, Bert... — szepnęła, opuszczając głowę. — Dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć?

— Właśnie rozumiejąc, sprzeciwiam się takiemu lekarstwu.

— Co tedy mam robić? — szepnęła bezradnie, na wpół do siebie.

Czarny spojrzał ponad jej głowę na Rudego, który milcząc, przysłuchiwał się ich rozmowie, zapatrzony w płomienie ognia. Ten odwzajemnił to spojrzenie, ale nadal nie zabierał głosu. Czarny opróżnił więc kubek stojący obok i postawiwszy go na stół, odpowiedział:

— Najpierw odbądź żałobę po Benku. Rok to kawał czasu. Weź się w garść i nie uciekaj od ludzi. Nie siedź nigdy beczynnie, bo beczynność to nawóz dla głupich myśli. A po roku zdecydujesz: będziesz nadal chciała do klasztoru — to trudno. Ale teraz, kiedy takie postanowienie czynisz wzburzonym umysłem, zgody dać nie mogę!

— A po roku dasz?

— Nie upieraj się, Zytka! Po roku pytaj, nie teraz! Teraz zaś upraszam Jakę, by w czas mojej nieobecności baczył na ciebie, bo być może służba każe mi znów ganiać po świecie.

Zyta spojrzała na Rudego. Lekki, ledwo widoczny uśmiech przemknął jej po ustach.

— I Benko obarczył go tym brzemieniem... Ale ani go nawet nie pytasz, czy mu to w smak?

Czarny roześmiał się.

— Jakbyś to nie wiedziała!

Zarumieniła się gwałtownie.

— A ty wiesz?

— Wielka mi sztuka dojrzeć, co w nim siedzi, skoro tylko o tobie umie gadać! — Mówiąc to, Czarny napełnił kubek towarzysza i uniósł go.

— Twoje zdrowie, Zytka! I za pomyślność Rudego! Ale wracając do rzeczy, zgodziłabyś się pomóc Unie w szykowaniu wyprawy?

— A ty, Bert, nie mógłbyś z nami jechać, jeśli dostaniemy księżęce przyzwolenie?

— I ja musiałbym o nie prosić. Ale gdybym je uzyskał, ptakiem leciałbym do mojej miłej! Dobrze, próbujmy więc jechać razem!

Narady w brzeskim zamku rozpoczęły się następnego dnia od rozmów z Dżelal Ed–Dinem. Brali w nich udział i panowie z królewskiej Rady, jako że sprawa dotyczyła zobowiązań politycznych, wymagających zarówno wnikliwego wejrzenia, jak i szerszego uzgodnienia, gdyż rozejm zawarty

między Wilnem a Moskwą stanowił zbyt poważny element polityczny, by poczynania Edygi, działającego rzekomo imieniem bezwolnego chana Złotej Ordy, można było pozostawić losowi. Tego roku bowiem uderzył Edyga na ziemie moskiewskie, głosząc o swoim przymierzu z kniazem Witoldem i królem Jagiełłą. Łatwo można się w tym było domyślić skutków pobytu Świdrygiełły w Kipczaku. Domyśły te potwierdziły zresztą wieści, jakie wielki książ otrzymał ze Świdrygiełłowego otoczenia.

Pognali więc bojarzy–putnicy z pismami Witolda do Moskwy, by wyjaśnić intrygę, i dobre stosunki udało się zachować, ale należało teraz wyrównać rachunki z Edyggą.

Toteż zachęcony pismami wielkiego kniazia przybył do Wilna Tochtamyszowy syn, Dżelal Ed–Din, by uzyskać poparcie w staraniach o tron chana. Teraz zaś, jako że sprawa wymagała Jagiełłowej zgody i wspólnego wsparcia, przybył wraz z wielkim kniazem, by to wsparcie zapewnić sobie również i ze strony Polski.

Nie przybył na próżno, gdyż po parodniowych rozmowach porozumienie zostało zawarte. Spisano warunki i zakres pomocy, on zaś przyobiecał przybyć latem z 30 000 wojowników, by stanąć u boku polsko–litewskich wojsk do rozprawy z Zakonem.

Na dalsze rozmowy jego królewska moc nie wzywał już Rady. Rozmawiał z kniazem Witoldem tylko w obecności wicekanclerza, co było powodem zawiści, jak i różnych domysłów. Słusznie dwór wnioskował, że taka ścisła narada mogła dotyczyć tylko planów przyszłej wojny. Było tak istotnie, z pewnym jednak wyjątkiem. Bowiem na wstępie tych narad omawiano nie wojenne plany, ale zdradę kniazia Świdrygiełły.

Książ Witold z właściwym sobie wyczuciem ocenił, że chwila jest sposobna do pomyślnego załatwienia spraw, które mu leżały na sercu. Tymi sprawami były Żmudź i Podole. Wielki książ począł bowiem żywić obawy, czy Jagiełło nie skusi się na przehandlowanie Żmudzi na ziemię dobrzyńską.

Jednocześnie zaś sam już z dawna spoglądał łakomym wzrokiem na żyzne i bogate Podole, gdzie po odebraniu go Elżbiecie, wdowie po Spytku Melsztyńskim, nominalnym starostą królewskim był Szafraniec, a rządził Piotr Wołodkowicz z Charbinowa, krakowski podczasy. W tej sytuacji należało więc mocno nastawać na głowę przeniewierczego kniazia, którego Jagiełło miłował. Wówczas cena ustępstwa siłą rzeczy mogła być wyższa.

Umieszczenie zaś tych spraw przed omawianiem planów wojny również zapewniało powodzenie w ich pomyślnym załatwieniu, bowiem można było założyć, że dostojny kontrahent nie zechce odmową zepsuć nastroju dalszych rozmów.

Jagiełło dobrze orientował się w dążeniach Witolda do objęcia rządów nad Podolem, bo już nie pierwszy raz wielki książę poruszał z nim tę sprawę, jak dotąd nie uzyskując jednak przychylniej decyzji. Wiedział również, jak mocno interesował Witolda los Żmudzi. Domyślał się też, że te zawieszona w powietrzu sprawy były przyczyną Witoldowej wstrzeźliwości wojskowej w czasie letnich działań zakonnych przeciw Polsce.

Nie można było narażać na szwank istniejącej współpracy, zwłaszcza w tak ważnej dla losów kraju chwili. Realizm polityczny nakazywał pójść na ustępstwa, toteż książę Witold otrzymał uroczyste potwierdzenie dotychczasowych zobowiązań Korony, że w żadnym razie nie dopuści, by Żmudź wróciła do Zakonu, a sprawę Podola przyrzekał król załatwić po myśli wielkiego kniazia, ale po wojnie. Była to wprawdzie tylko obietnica–przynęta, ale i takie przyrzeczenie miało swoją wagę, gdyż stanowiło już samo w sobie rozstrzygnięcie, na którym można było w przyszłości się opierać.

Co do samej zaś osoby Świdrygiełły, to zważywszy na ciężący na nim zarzut zdrady stanu, nie mógł Jagiełło wyraźnie okazywać pragnienia, aby tak poważna zbrodnia została mu puszczona w niepamięć. Toteż oznajmił po namyśle, że wielki książę winien z nim postąpić „zgodnie z prawem”, biorąc jednak pod uwagę osobę przestępcy i okoliczności jego przeniewierstwa. Ta dodatkowa wzmianka króla była dostatecznie zrozumiała dla Witolda, jako że Świdrygiełło był niewymienionym wyraźnie obiektem zakończonych pomyślnie przetargów. Teraz nadszedł czas, by przystąpić do roztrząsania głównego tematu ich zjazdu, planu wojennej kampanii.

Narady te zagał ich trzeci uczestnik, proboszcz od Świętego Floriana, kanonik i generalny prokurator krakowski, wicekanclerz Królestwa Mikołaj Trąba.

Dni były chłodne. Jesienna wilgoć i zimno przenikały nawet grube bale zamkowego dworzyszczka, toteż już od rana palono kłody drzewa na wielkim kominku w komnacie przeznaczony do narad i pilnie strzeżony przez królewską straż.

Mrok grudniowej szarej godziny zalegał komnatę, w której nawet w słoneczne dni nie było zbyt widno. Mrok ten jednak rozpraszał blask ognia bijący z kominka i światła z lichtarzy ustawionych na stole obok dużej, rozłożonej na nim mapy i zwojów kanclerskich pism.

Obaj władcy siedzieli w fotelach, wyciągnąwszy do ognia nogi, wicekanclerz zaś ulokował się bliżej stołu, aby mieć w razie potrzeby pod ręką swoje notatki i pisma.

Król obrócił ku niemu głowę wyczekującym gestem, więc Mikołaj zabrał głos:

— Mija rok, jakeśmy odbyli wspólną naradę, by rozpatrzyć sprawy, które i dziś zaprzętną naszą uwagę — rozpoczął z cicha swoje przemówienie. Mówił niezbyt głośno, by nawet strzępy słów nie wydostały się na zewnątrz.

— Zanim przejdę do poszczególnych punktów, które będzie należało rozważyć, tak jak i poprzednio, słów parę poświęcę obecnej sytuacji politycznej.

Wiele się ona nie zmieniła. Tak samo jesteśmy zagrożeni z północy, zachodu i południa. Straciliśmy ziemię dobrzyńską, ale odzyskaliśmy Żmudź, co może w świetle czekającej nas wojny jest ważniejsze, bo utrudnia Zakonowi uzyskanie wsparcia od landmistrza inflanckiego. Zresztą kroki, jakie poczyniliśmy, wsparcie to ograniczą zapewne tylko do pozornego gestu solidarności. Przypuszczam, że więcej jak jedna chorągiew stamtąd nie przybędzie.

Pokój od wschodniej strony, tak baczenie chroniony przez jego wielkksiążęcą moc, pozwala nam i z tej strony czuć się bezpiecznie. Po onegdajszym porozumieniu z Tochtamyszewiczem sądzę, że i od Edygi. nie grożą nam jakieś niespodzianki, bo będzie miał teraz inne kłopoty na głowie. Południowy wschód możemy więc również uważać za bezpieczny. Mołdawia i Wołoszczyzna są nam przychylnie. Aleksander Mołdawski nie tak dawno złożył hołd miłościwemu panu, a z wołoskim Mirczą zawarliśmy układ, który jak najrychlej musi być przez waszą królewską moc zatwierdzony, gdyż przewiduje dostarczenie posiłków w oczekującej nas rozprawie.

Wicekanclerz zamilkł na chwilę. Jagiełło obrócił ku niemu głowę i rzucił z lekkim uśmiechem:

— Jak dotąd częstujesz nas samymi specjałami...

— Pan kanclerz obrócił porządek dań — dodał z humorem wielki książę — deser daje na wstępie uczyty...

— Bo reszta jest waszym majestatom znana i nic się tu nie zmieniło. Na północy czeka nas śmiertelna rozprawa z wrogiem, któremu Zachód i Południe wyraźnie sprzyjają. Tyle tylko, że musimy liczyć się jedynie z siłami Zakonu, bo, wedle mego rozeznania, Zygmunt zbrojnie przeciw nam nie wyruszy. Cała jego polityka ma na oku dwa cele: wyciągnąć od Zakonu jak najwięcej złota i jak najgłośniej nam grozić, by groźby te rozległy się po całych Niemczech i zapewniły mu przychylność tamtejszych książąt.

— Zatem jesteś, Mikołaju, mniemania, że Luksemburczyk gróźb nie wypełni i zawartego z Zakonem przymierza nie dochowa?

— Z tego, co mi donoszą przychylni nam ludzie, mogę wnosić, że Zygmunt nie poczyni żadnych ryzykownych posunięć — odparł bez wahania Mikołaj. — Zresztą byłoby to przeciwne jego naturze; zbyt jest ostrożny, za nic też sobie ma własne obietnice czy przyrzeczenia. W najgorszym razie możemy się z tamtej strony spodziewać jakiejś zbrojnej demonstracji, a i to tylko celem ubezpieczenia się przed krzyżackim zarzutem, że nie dotrzymał przymierza i darmo wziął pieniądze.

— Zatem granicy tej zezwalasz nie ubezpieczać?

— Bezbronna zupełnie nie może ostać, bo jednak mogą nam Węgrzy złupić tamtejsze ziemie, ale do ochrony powinno wystarczyć kilka chorągwi.

Jagiełło skinął głową.

— Będziemy o tym pamiętać.

Wicekanclerz podjął przemówienie:

— Po tych kilku słowach wstępu przejdę do właściwego celu naszej narady, na której mamy rozstrzygnąć sprawy dotyczące czekającej nas wojny. Zatem, na polecenie miłościwego pana, mój urząd przygotował zestaw materii, które musimy rozważyć, zanim przystąpimy jednak, zapewne już w dniach następnych, do ich rozpatrzenia, widzę konieczność postawienia sobie dwóch pytań, na które wprzódy trzeba odpowiedzieć...

— Jakież to pytania? — przerwał wicekanclerzowi wielki książę, odwracając się w fotelu.

— Wie o nich najjaśniejszy pan, bośmy z nim niejedną już godzinę spędzili nad roztrząsaniem odpowiedzi. Zaraz je przedstawię, abyście, wasza

dostojność, dobrze sobie rozważyli ich sens. Oto one: Jaki cel ma mieć ta wojna? Jakim sposobem mamy ją prowadzić?

— Hm... — mruknął tylko wielki książę i nic już więcej nic powiedział.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał wicekanclerz:

— To, co ustaliliście, wasze dostojności, stanie się przewodnikiem dalszych naszych rozważań.

— Skoroście, panie kanclerzu, odbywali już narady w tej sprawie z jego królewską mością, może zechcecie mnie objaśnić, do czegośd doszli?

Jagiełło zaznaczył gestem, że sam chce udzielić odpowiedzi.

— W rozmowach tych — zaczął — staraliśmy się ustalić, czego chcemy. Czy zdobyć ten lub inny gród albo ziemię, czy też zebrać takie siły i uderzyć z taką mocą, by rozbić zupełnie wroga i raz na zawsze uchronić się od gróźb, jakie zawiesił nad naszymi głowami. Odpowiedź tu nietrudna, boć oczywiste jest, że chcielibyśmy tego ostatecznego i najlepszego dla nas wyniku. Stąd też i cel wojny narzuca się sam przez się. Nie grody ani ziemię, ale zupełne rozbicie Zakonu, zrównanie z ziemią jego gadzinowego gniazda, winno być celem tej wojny! Oto, jak widzę, odpowiedź na to pierwsze pytanie. A teraz mów ty, bracie Witoldzie, czy również do tego chcesz dążyć?

Wielki książę dobrze zrozumiał ukryty sens takiego ukazania sprawy. Pomyślał też sobie, że wicekanclerz dobrze tę naradę przygotował, bo już na wstępie zmuszał go do zajęcia wyraźnego stanowiska. Zmuszając zaś do tego, stawiał w trudnym położeniu. Wyrazić pogląd, że wystarczy ograniczyć cele wojny do zysków terytorialnych, znaczyło przyznać się do skrytej chęci zachowania bytu Zakonu. Natomiast wyrażenie zgody na cel określony przez Jagiełłę było równoznaczne z wyrzeczeniem się dotychczasowego balansowania szalami wagi — polityki skłaniania się ku Zakonowi przy zbytym nacisku ze strony Władysława i Korony.

Że jednak bystrość umysłu była jedną z Witoldowych cech, pomyślał sobie zaraz, że postawienie celu, a dojście do niego to dwie różne rzeczy. Nie należy więc przywiązywać zbytnej wagi do samego pragnienia czy postanowień wynikających z owego pragnienia.

Myśli biegną szybko, toteż zwłoka w odpowiedzi nie była długa i Witold rzucił zdecydowanie:

— I ja mam dość ich matactw i dosyć obnażonego miecza, który coraz to unoszą mi nad głową!

Wicekanclerz uśmiechnął się z lekka i skłonił głowę, Jagiełło zaś rzucił porywczo:

— To i dobrze! Rad jestem, żeśmy zgodni!

— Zatem, skorośmy w tej najważniejszej materii doszli do porozumienia, pomyślmy teraz, jak nasz cel osiągnąć? Powaga zadania, jakieśmy przedsięwzięli, wymaga również specjalnych sposobów. Bo zwyczajem krzyżackim wojując, to znaczy dobywając grody i łupiąc ziemie, do naszego celu nie dojdziemy. Zbyt obznajmieni jesteście, wasze dostojności, z rycerskim rzemiosłem, by tego nie rozumieć.

— Zniszczyć przeciwnika można tylko w bitwie, do której staną wszystkie jego siły — odezwał się wielki książę, schylając się po żelazny hak, którym zaczął odsuwać zbyt blisko żarzące się węgle. — Musimy więc tak prowadzić nasze działania, aby staną przed nami z całym swym wojskiem.

— Doprowadzimy do tego, działając jedną całą armią, bez rozpraszania sił! — dorzucił Jagiełło.

— Oczywiście! Jeśli uderzymy w paru miejscach, oni również będą musieli rozdzielić swe chorągwie i do walnej bitwy nie dojdzie, a tylko zwycięstwo w walnej bitwie otworzy nam drogę na Malbork!

— Powstaje zatem dla nas niebezpieczeństwo związane z koncentracją sił. Oni są przeważnie pod bronią, podczas gdy my będziemy dopiero musieli przeprowadzić zbiórkę naszych chorągwi. I to z kilku kierunków: Małopolski, Wielkopolski i Litwy. Łatwo wówczas mogą uderzyć i rozbić nadciągające chorągwie, zanim by się zebrały. Nad tym należy pomyśleć...

— Istotnie, to będą najtrudniejsze dni — wtrącił Trąba.

— Trzeba będzie zatem tak wybrać drogi przemarszu — zabrał głos wielki książę — by zabezpieczyć się przed takim uderzeniem lub zawczasu pomyśleć o ochronie przez te chorągwie, które już stoją w pobliżu granicy. Zresztą dotyczy to tylko Wielkopolan i mnie, bo Małopolanie drogę będą mieli bezpieczną.

— To są już szczegóły, wasze dostojności — upomniał Trąba. — Teraz ustalmy tylko główne zasady działania.

— Zgadzam się z wielkim kniazem — odezwał się Jagiełło — że tylko nierozdzielne siły własne zmuszą i wroga do skupienia swoich. A tylko wówczas możemy go rozgromić zupełnie. To założenie chcę jednak już teraz

uzupełnić uwagami, które mi nasunęły dotychczasowe rozmowy. Musimy je koniecznie rozważyć, jeśli nie zaraz, to na następnych naradach.

— Co, bracie, masz na myśli? — zainteresował się wielki książ.

— A więc trzeba obmyślić i ustalić jakieś maskujące działania, które nie pozwoliłyby Ulrykowi na domysł, z jakiego miejsca i w jakim kierunku uderzymy. Poza tym musimy jednak dobrze się zastanowić nad miejscem koncentracji, szlakami, którymi pójdzie Wielkopolska i Litwa, bazami zaopatrzenia. Być może, ujawnią się i inne trudności, których w tej chwili nie widzę, a które zjawią się, jak zaczniemy dokładniej rzecz rozpatrywać. Pan kanclerz uważa to za szczegóły, ale są one zbyt ważne, abyśmy je pominęli.

— Mamy na to czas — Witold wstał z fotela i przeciągnął się. — To dopiero pierwszy dzień naszej narady. Chodźcie, przypatrzmy się teraz tej mapie, co ją nam pan kanclerz przygotował. Ona da nam odpowiedź na wiele spomiędzy tych trosk, które nas gnębią.

— Jedno teraz widzę jasno — rzekł Jagiełło, unosząc się za przykładem Witolda z fotela i zbliżając do stołu. — Musimy nasze działania przenieść na zakonne ziemie. To powinno dać nam przewagę, bo uzależni Ulryka od naszych poczynań i nie pozwoli na wykonanie własnych zamiarów!

Kanclerz odsunął się od stołu, by dać miejsce królowi. Podsunął jednocześnie bliżej lichtarze, by władcy lepiej mogli rozeznaczyć treść mapy, na której wiły się czarnymi węzami koryta rzek na tle różnobarwnych konturów prowincji i księstw, a kółka i kreski oznaczały lasy i bagna.

Następne dni wypełniło rozstrzyganie zagadnień bardziej szczegółowych. A więc ustalono przede wszystkim miejsce zbiórki wszystkich wojsk. Po zbadaniu szeregu propozycji ostatecznie wybrano znów Wolbórz, jako że leżał najdogodniej dla wszystkich trzech kierunków koncentracji, chroniła go i Wisła, i dość znaczna od niej odległość, a w pobliżu był Płock, główne miejsce, dokąd wodą szło zaopatrzenie. Wytyczono jedynie drogi przemarszu wojsk na miejsce zbiórki. Dla Wielkopolan szlak wzdłuż granicy, ale oddalony od niej o dziesięć mil, poprzez ujście Skrwy i Wkry, pod ochroną ciągnącego się tam pasa bagien i puszczy oraz zamków Bydgoszczy, Inowrocławia, Nakła i Brześcia Kujawskiego. Litwa miała się zebrać w rejonie Grodna i ciągnąć pod osłoną tamtejszych puszczy i bagien Biebrzy i Narwi. Ochrona ta zapewniała zupełne bezpieczeństwo, natomiast groźba ataku pojawiała się przy dotarciu do Narwi i przeprawie przez jej wody.

Ustalono więc, że na wezwanie wielkiego księcia wyjdą mu naprzeciw polskie chorągwie dla zabezpieczenia przeprawy.

Zbiórkę wojsk wyznaczono na trzy dni przed upłynięciem terminu rozejmu. Nie zostawiało to zbyt dużo czasu dla dołączenia spóźnionym oddziałom, ale wcześniejszy termin groził wykryciem miejsca zbiórki przez krzyżackich szpiegów i stwarzała możliwość stokroć gorszego niebezpieczeństwa, niż nie dokonana w pełni koncentracja. Spóźnieni mieli jeszcze czas dopędzić główne siły przy przeprawie, która ze względu na wielkość armii mogła się odbyć zbyt szybko.

Sama przeprawa stanowiła przedmiot dużej troski. Po dłuższych naradach wybór padł na Czerwińsk, ale nie posiadał on dogodnego brodu, należało więc wybudować specjalny most. Budowa zdradziłaby jednak natychmiast Zakonowi, gdzie przeprawa będzie się odbywać, co z kolei dawało możliwość wywnioskowania przypuszczalnego miejsca zbiórki i dalszego kierunku marszu. Do tego zaś nie można

było dopuścić. I tu król Władysław przypomniał sobie zastysznaną gdzieś opowieść, jak w podobnej sytuacji rozwiązali taką trudność najeźdźcy mongolscy.

Most został przez Tatarów przerzucony nie na wbitych w dno palach, ale łodziach silnie umocowanych przeciw naporowi nurtu. To pozwalało na budowanie go w dowolnym miejscu i przewiezienie w częściach, dla szybkiego złożenia w całość na wybranym miejscu.

Ustalono więc, że most będzie budowany w Kozienicach. Był tam znany na kraj cieśla Jarosław, mistrz w swoim fachu, a miejscowość leżała dostatecznie daleko. Nadzór, troskę o materiał i baczenie, by robota na czas była gotowa, postanowiono powierzyć staroście radomskiemu, Dobrogostowi Czarnemu z Odrzywołu.

Dalsze narady dotyczyły działań maskujących dla wprowadzenia w błąd przeciwnika. Działania te powinny mu nasunąć przypuszczenie, że obaj władcy zamierzają wojować osobno. Po dłuższych rozważaniach uchwalono, że Jagiełło dokona koncentracji nad granicą pomorską, co zmusi wielkiego mistrza do przewidywania ataku na Pomorze, natomiast Witold dokona uderzenia wydzielonymi specjalnie w tym celu siłami w kierunku Kłajpedy.

Wreszcie w ostatnim dniu obrad wytyczono drogę marszu ku pruskiej granicy. Ponieważ ustalonym celem uderzenia był Malbork, najlepszą drogą stał się trakt na Żochów i Jeżewo, ku Drwęcy. Tam istniało kilka brodów, ale

tylko jeden nie prowadził w gęszcz obronnych zamków krzyżackich, które trzeba by żmudnie zdobywać. Był to bród pod Kurzętnikiem. Drwęca w tym miejscu miała ich nawet kilka, co pozwalało na tym szybszą przeprawę. Na przeciwległym natomiast brzegu wojska poszłyby szlakiem na Kwidzyn i Sztum, nie napotykając znaczniejszych grodów.

Uzgodniwszy te główne i wiele pomniejszych spraw, obrady zakończono ósmego grudnia. Dostojni goście natychmiast potem opuścili Brześć, by przez Kamieniec Litewski udać się na zaproszenie wielkiego kniazia do Puszczy Białowieskiej na polowanie. Zaproszenie to objęło również i Dżelal Ed-Dina. Natomiast podkanclerzy Trąba postanowił natychmiast udać się do Krakowa, by stamtąd bez zwłoki rozpocząć wprowadzanie w czyn powziętych uchwał.

TA KANCLERSKA DECYZJA OSZCZĘDZIŁA Czarnemu ubiegania się o zezwolenie na tę podróż, natomiast i Zyta, i Jaksza zgodę na nią uzyskali bez trudności. Horodniczy Minigajło, który zastępował wciąż nieobecnego marszałka Rumbolda, zajętego sprawami żmudzkiemi, udzielił takiego zezwolenia, zapewniwszy łaskawie, że po powrocie obejmą bez trudności dotychczasowe obowiązki — Zyta jako dworka kniahini, Jaksza jako dworzanin do specjalnych poruczeń wielkiego księcia.

Dzięki łaskawemu zezwoleniu wicekanclerza, który zresztą wolał odbyć podróż w siodle, Zyta wraz z Tomkiem znaleźli miejsce w jego kolasie.

Nastały pierwsze mrozy. Śnieg zaczął z lekka prószyć, a rażno idącym koniom buchały z nozdrzy kłęby pary. Jechali za orszakiem kanclerskim, by ciężki ekwipaż nie wadził jego jeźdźcom.

Dłuższą chwilę panowało milczenie, wreszcie Rudy przyhamował nieco wierzchowca i zbliżył się do Czarnego.

— *Myślisz, że będzie jej tam wygodnie?*

Czarny nie potrzebował zbytnio wysilać się, by pojąć, co tamten miał na myśli.

— *Dom kanonika jest obszerny. Najlepiej będzie, jak zajmą wspólną komnatę z Uną. Ta nie pozostawi jej czasu na rozmyślania. Szykuje sobie wyprawę, a wybór szatek to dla bab najmiłsza zabawa. Będą miały o czym gadać!*

— *Ale Unie chyba nie powiesz...?*

— *Powiem tyle, że straciła męża. To wystarczy, by wiedziała, jak z nią postępować. To mądra dziewczka, lepiej się nią zajmie niż stu takich jak my!*

— *Oby Bóg dał... — westchnął Jaks.*

Czarny roześmiał się.

— *Jam wpadł nielicho, ale chyba ty jeszcze bardziej!*

— *Nie możemy się równać — poważnie rzekł Rudy, patrząc przed siebie na coraz bardziej bielejącą przestrzeń pól. — U ciebie sprawa prosta, miłujecie się oboje i niedługo będzie twoja. A ja wiem, co mi jutro przyniesie...*

— *Nie frasuj się! To, że zgodziła się na tę podróż, już pomyślnie wróży na przyszłość! Bacz na nią pilnie, a jak przyjdzie czas, ślepiami nie przewracaj, a stawaj mocno!*

— *Dobrze ci gadać! To nie takie proste.*

— *Już teraz założę się z tobą o konia przeciw ostrogom, że swego dopniesz! Zbyt dobrze znam was oboje! — Czarny znów przybrał zartobliwy ton.*

— *Dziękuję ci za te słowa, nieco mi teraz rażniej na sercu. Czas istotnie leczy i dużo zmienia. Chociażby i ja sam... Niecały rok temu zdążyłem do Krakowa na własnych nogach i o głodzie, a teraz na własnym koniu i dzięki księżęcej łasce z pełną kieszą. Odziliśmy się z Zytą w Wilnie dostatnio i jeszcze wiele zostało z tych stu grzywien, któreśmy dostali.*

— *I dla mnie ten rok nie był zły! Zdobyłem Unę i ująłem naszego Peterka!*

— *Gdzie on teraz?*

— *Nie wiem! — Czarny beztrząsco wzruszył ramionami. — Coś mi wspomniał ksiądz Andrzej, że kazał go przywieźć do Krakowa, bo w Bydgoszczy nie starczyło już czasu na przesłuchanie. Tak czy inaczej, czeka go katowski topór.*

Znów zamilkli na dłuższą chwilę, każdy zajęty własnymi myślami. Karoca toczyła się przed nimi z głuchym dudnieniem wielkich kół, kolebiąc się na pasach po nierównościach gruntu. Konie szły ostrym klusem, parskając od czasu do czasu, co zawsze poczytywano za dobrą wróżbę.